

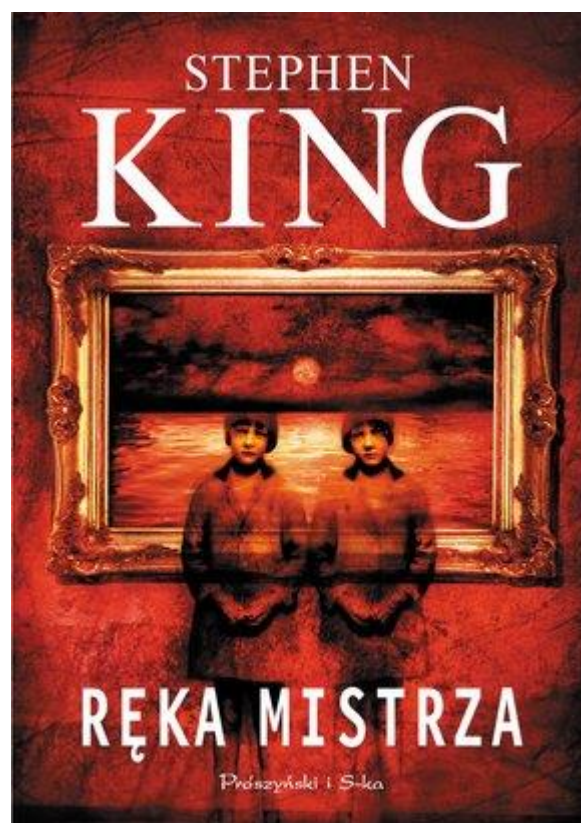
STEPHEN
KING



RĘKA MISTRZA

Prószyński i S-ka

STEPHEN KING



RĘKA MISTRZA

(DUMA KEY)

Przełożył Michał Juskiewicz

*

Dla Barbary Ann i Jimmiego

Fragmenty „Burzy”, „Kupca weneckiego” Williama Shakespeare'a, „Ody o urnie greckiej” Johna Keatsa, wiersza „Pstre piękno” Gerarda Manleya Hopkinsa oraz wiersza „Podoba mi się w Agonii” Emily Dickinson w przekładzie Stanisława Barańczaka

Fragment wiersza „Mors i Cieśla” Lewisa Carrolla w przekładzie Roberta Stillera

Fragment wiersza „Miłość nas wzywa do spraw tego świata” Richarda Wilbura w przekładzie Ludmiły Marjańskiej

Pamięć (...) jest pogłoską na prywatny użytek.

George Santayana

Rozkosz i miłość - życie to więcej.

Szukam skarbu, po to jestem.

Zapłać, żeby wejść do gry.

Wszyscy płacą, płac i ty.

Szukasz skarbu, po to jesteś.

Shark Puppy

JAK POWSTAJE OBRAZ (I)

Zaczynj od pustej płaszczyzny. Nie musi to być papier ani płótno, ale jeśli chodzi o kolor, to moim zdaniem powinien być biały. Mówimy „biały”, bo trzeba go jakoś nazwać, ale jego prawdziwe imię brzmi: nicość. Czerń to brak światła, biel natomiast - to brak wspomnień, barwa pustej pamięci.

Co sprawia, że zatrzymujemy wspomnienia? To pytanie zadawałem sobie nieraz po powrocie z wyspy zwanej Dumą; często rozmyślałem o tym nad ranem, z oczami pełnymi czarnego braku światła, wspominając nieobecnych przyjaciół. Czasami o tej porze nachodzą mnie też inne refleksje. Myślę o horyzoncie. Bo horyzont trzeba nakreślić. Trzeba pozostawić ślad na bieli. Nic prostszego, ktoś mógłby powiedzieć, ale każdy czyn, który stwarza świat na nowo, zasługuje na miano bohaterstwa. Ja w każdym razie w to wierzę, bo się o tym przekonałem.

Wyobraź sobie dziewczynkę, całkiem malutką. Niedługo minie dziewięćdziesiąt lat od dnia, kiedy ta dziewczynka wypadła z dwukółki, uderzyła głową o kamień i straciła pamięć. Zapomniała nie tylko, jak się nazywa, ale wszystko, wszystko, co wiedziała! Trwało to jakiś czas, aż wreszcie opamiętała się na tyle, żeby wziąć w palce ołówek i przekreślić białą płaszczyznę tą pierwszą niepewną linią. Był to, rzecz jasna, horyzont. Ale także szczelina, przez którą przelata się ciemność.

Wyobraź sobie jednak tę małą dłoń, która unosi ołówek... Zamiera z wahaniem... A potem przekreśla biel, pozostawia ślad. Wyobraź sobie, jakiej potrzeba odwagi, aby stworzyć świat na nowo, rysując jego wizerunek. Zawsze będę kochał tę dziewczynkę, pomimo ceny, którą zapłaciłem za znajomość z nią. Muszę ją kochać. Nie mam wyboru.

Obrazy to magia. Sam o tym wiesz.

MOJE POPRZEDNIE ŻYCIE

I

Nazywam się Edgar Freemantle. W Minnesocie, w moim poprzednim życiu, to nazwisko znaczyło naprawdę wiele w branży budowlanej. „Moje poprzednie życie” to tekst, który podłapałem od Wiremana. O Wiremanie też wam opowiem, ale najpierw skończę o Minnesocie.

To trzeba powiedzieć: byłem tam wzorcowym okazem amerykańskiego dziecka szczęścia. Zaczynałem w firmie budowlanej. Piąłem się w górę, dopóki to było możliwe, a kiedy skończyła się drabina awansu, odszedłem, żeby założyć własny biznes. Szef, kiedy mu o tym powiedziałem, wyśmiał mnie, przepowiadając, że zbankrutuję w ciągu roku. Zdaje się, że większość szefów mówi to samo młodym wilkom, które postanawiają odejść na swoje.

Ale mnie wszystko szło jak po maśle. Boom budowlany w Minneapolis - St. Paul nakręcił wymarzoną koniunkturę dla Freemantle Company. Kiedy biznes szedł gorzej, nie wychylałem się i nie próbowałem szarżować. Kierowałem się intuicją i zazwyczaj dobrze na tym wychodziłem. Zanim stuknęła mi pięćdziesiątka, nasz wspólny majątek - to znaczy mój i Pam - był wart czterdzieści milionów dolarów. Mimo to nie szastaliśmy pieniędzmi. Mieliliśmy dwie córki; w momencie, gdy nasz osobisty złoty wiek dobiegł nagłego końca, Ilse studiowała na Brown University, a Melinda była we Francji, gdzie pracowała jako nauczycielka w ramach programu wymiany. Zamierzaliśmy z żoną wybrać się do niej, ale wtedy właśnie wszystko wzięło w łeb.

Miałem wypadek na budowie. Sytuacja była w sumie zupełnie prosta: żadna furgonetka, niech to będzie nawet wypasiony na maksa dodge ram, nie ma szans, kiedy próbuje się siłować z dwunastopiętrowym dźwigiem. Z prawej strony głowy miałem tylko stłuczenie, ale po lewej znajdowała się rama drzwi. Wyrznąłem o nią z taką siłą, że czaszka pękła mi w trzech miejscach. A może w pięciu. Moja pamięć funkcjonuje już o wiele sprawniej, ale i tak jeszcze długo poczekam, zanim powróci do stanu pierwotnego.

To, co stało się z moją głową, lekarze określili mianem „uszkodzenia z przeciwwagi”. Tak nazywa się mechanizm zwrotny, który często powoduje o wiele większe obrażenia niż samo uderzenie. Do tego miałem połamane żebra i prawe biodro w kawałkach. Straciłem tylko trzydzieści procent wzroku w prawym oku (w pogodny dzień jest nawet jeszcze lepiej), ale za to całą prawą rękę.

Nie powinienem był tego przeżyć, ale przeżyłem. Uszkodzenia mózgu wywołane obrażeniami z przeciwwagi miały doprowadzić do upośledzenia umysłowego i z początku faktycznie tak było, ale potem mi przeszło. Mniej więcej. Kiedy wróciłem do zdrowych zmysłów, nie miałem już żony, tylko że już nie mniej więcej, lecz całkiem definitywnie. Nasze małżeństwo trwało dwadzieścia pięć lat, ale, jak to mówią: gówno chodzi po ludziach. Zresztą wszystko jedno: odeszła, to odeszła. Koniec to koniec. Czasem tak jest lepiej.

Kiedy mówię, że byłem upośledzony umysłowo, to znaczy, że przez jakiś czas nie rozpoznawałem nikogo - nawet własnej żony - i nie wiedziałem, co się ze mną stało. Nie potrafiłem zrozumieć, skąd się bierze ten potworny ból, który czuję. Teraz już nie pamiętam, jak bardzo cierpiałem; od tamtych wydarzeń minęły cztery lata. Przypominam sobie, że musiałem znosić ten ból i że był on wprost niewyobrażalny, ale to już raczej czysto teoretyczne rozważania. Wtedy to nie była teoria. Wtedy czułem się jak facet, który trafił do piekła i nie ma zielonego pojęcia za co.

„Najpierw boisz się, że umrzesz, a potem - że przeżyjesz”. Tak mawia Wireman, a on wie, co mówi; też był na wakacjach w piekle.

Przez cały czas wszystko mnie bolało. W uszach dzwoniło bez chwili przerwy, jakbym miał we łbie wielki sklep, a w nim na wszystkich półkach - zegary bijące północ. Prawe oko miałem rozwalone, więc oglądałem sobie świat w kolorze krwi, z tym że nie bardzo wiedziałem, na co właściwie patrzę. Niczego nie umiałem nazwać. Pamiętam, jak kiedyś przyszła do mnie Pam; leżałem jeszcze w szpitalu. Stała obok mojego łóżka, a ja byłem maksymalnie wkurzony, że stoi, kiedy ma na czym usiąść. Przecież zaraz pod ręką stało to coś, na czym się siada.

- Przynieś sobie cherlaka - powiedziałem. - Usiądź na cherlaka.

- O co ci chodzi, Edgar? - Nie zrozumiała.

- Cherlaka, zdechlaka! - wrzasnąłem. - Przynieś sobie, kurwa, to truchło, ty zasrana suko!

Głowa pękała mi z bólu. Pam zaczęła płakać. Przeklinałem ją za to, że tak płacze bez powodu. W końcu to nie ona, tylko ja tkwiłem w tej klatce, to ja widziałem wszystko przez czerwoną mgłę. To nie ona była jak małpa w klatce. I wtedy mnie olśniło.

- Przynieś sobie to chuchro i sadzaj!

Mój skołowany, rozpieprzony mózg nie potrafił znaleźć bardziej odpowiedniego określenia przedmiotu, o który chodziło. A chodziło o krzesło.

Wszystko bez przerwy mnie drażniło. Miałem dwie pielęgniarki w starszym wieku, które przezywałem „Sucha Cipa Jeden” i „Sucha Cipa Dwa”; gdyby Dr. Seuss* chciał kiedyś napisać dla odmiany jakąś obleśną historyjkę, nie mógłby wymyślić lepszych imion. Wolontariuszkę, która do mnie przychodziła, nazywałem „Obywatelka Śliwka”. Dlaczego? Nie mam pojęcia, ale w jakiś sposób kojarzyło się to z seksem. Przynajmniej mnie. Kiedy powróciło mi trochę siły, zabrałem się do bicia ludzi. Dwa razy próbowałem dźgnąć Pam nożem i raz mi się nawet udało. Trafiłem ją w przedramię, a chociaż to był tylko plastikowy nóż stołowy, to i tak trzeba było szyc. Czasami musieli mnie krępować.

Co mi się najlepiej wryło w pamięć z tego okresu mojego poprzedniego życia? Pewne upalne popołudnie pod koniec miesięcznego pobytu w bardzo drogim domu dla rekonwalescentów. Bardzo droga klimatyzacja nie działała, ja leżę przywiązany do własnego łóżka, cały prawy bok, boleśnie zeszywniały, piecze i kłuje, jakby ktoś mnie szturchał po grzebaczem, prawa ręka, której nie mam, swędzi, palce prawej dłoni, której też nie mam, drżą, na następną dawkę oxycontin przez jakiś czas nie mogę liczyć (nie wiem, jak długo będę czekał, bo kompletnie straciłem poczucie czasu), a tu nagle z czerwonej mgły wynurza się pielęgniarka - przyszła popatrzeć na małpę w klatce - i pyta:

- Jest tutaj pańska żona. Chce pan się z nią zobaczyć?

A ja odpowiadam:

- Nigdy w życiu. Chyba że przyniosła gnata, żeby mnie zastrzelić.

Wydaje się, że taki ból nigdy nie ustanie, ale to nieprawda. Kiedy wreszcie przestaje boleć, odsyłają człowieka do domu, gdzie zaczynają się nowe tortury: rehabilitacja. Powoli przestałem widzieć wszystko na czerwono. Pewien psycholog, specjalista od hipnoterapii, pokazał mi parę sprytnych sztuczek, żeby móc radzić sobie z bólami fantomowymi i swędzeniem amputowanej ręki. Nazywał się Kamen, Reba, jedna z niewielu rzeczy, które zabrałem ze sobą, porzucając poprzednie życie, aby zamieszkać na wyspie o nazwie Duma Key, była prezentem od niego.

- Ta technika panowania nad gniewem nie jest oficjalnie zalecana przez psychologów - zastrzegł się doktor Kamen, ale podejrzewam, że mógł skłamać, chcąc, żeby ten pomysł bardziej mi się spodobał. Powiedział, że muszę dać jej imię, którego szczerze nie znoszę,

* Dr. Seuss (wł. Theodor Seuss Geisel) - amerykański autor książek dla dzieci. Najbardziej popularną z nich jest *The Cat in the Hat* (wydana w 1957 r., polski przekład pod tytułem „Kot Prot”) (przyp. tłum.).

więc chociaż z wyglądu przypominała mi Lucille Bali, czyli pamiętną Lucy Ricardo z serialu „Kocham Lucy”, to nazwałem ją imieniem ciotki, która w dzieciństwie szczypała mnie w palce, kiedy nie chciałem zjeść do końca marchewki z talerza. I co się stało? Raptem dwa dni po tym, jak ją dostałem, zapomniałem, jak się nazywa. Pamięć podsuwała mi same chłopięce imiona, a każde kolejne złościło mnie coraz bardziej: Randall, Russell, Rudolph, River. River, kurna, Phoenix.

To było już po tym, jak wypisali mnie ze szpitala i pozwolili wrócić do domu. Pam przyniosła mi śniadanie. Zauważyłem, że śledzi mnie wzrokiem i czeka, aż wybuchnę; musiałem mieć to wypisane na twarzy. Ale chociaż nie mogłem sobie przypomnieć imienia tej rudej lalki, prezentu od psychologa, to nie zapomniałem, jak ma mi ona służyć w sytuacjach takich jak ta.

- Pam - powiedziałem - zostaw mnie na pięć minut. Muszę się opanować. Dam sobie radę.

- Na pewno...

- Na pewno. Rusz te cztery litery i idź sobie przypudrować, co tam uważasz. Dam sobie radę.

Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć, ale tak właśnie należało powiedzieć. Zapomniałem imienia tej pieprzonej lalki, ale pamiętałem, że mam mówić „dam sobie radę”. Kiedy wspominam końcówkę swojego poprzedniego życia, ten jeden szczegół nie budzi żadnych wątpliwości: bez przerwy powtarzałem „dam sobie radę”, nawet wiedząc, że nie dam rady, że nie mam żadnych szans, żadnych widoków, że wyżej dupy nie podskoczę.

- Dam sobie radę - powiedziałem i Bóg jeden wie, jaką miałem wtedy minę, bo Pam wyszła bez słowa, nie zostawiając nawet tacy ze śniadaniem. Pamiętam grzechot filiżanki postukującej o talerz.

Kiedy zostałem sam, złapałem lalkę, zaglądając w jej kretyńsko bławatkowe oczka i z całej siły wbijając kciuki w jej kretyńsko miękkie ciało.

- Jak się nazywasz, ty suko sparciała? - wrzasnąłem na nią. Nie przyszło mi nawet do głowy, że Pam słyszy to wszystko w kuchni, bo włączyła domowy interkom. Siedziała tam razem z pielęgniarką, która codziennie przychodziła się mną opiekować. Powiem wam, że gdyby nawet interkom był wtedy zepsuty, nie zrobiłoby to wielkiej różnicy. Byłoby mnie słyszeć przez drzwi. Tego dnia warunki głosowe miałem naprawdę niezłe.

Zacząłem trząść tą lalką, aż jej głowa latała w tę i z powrotem, a koafiura à la Lucy Ricardo (z tworzywa sztucznego) rozwiła się dziko. Ogromne bławatkowe oczy, jak z kreskówki, patrzyły na mnie z wyrzutem. Prawie słyszałem jej zawodzenie: „Ouuu, ty

niedobry!”, jakby to nie była lalka od psychologa, tylko Betty Boop z tych starych animowanych filmów, które czasami puszczają w kablówce.

- Jak się nazywasz, suko? Jak się nazywasz, cipo? Jak się nazywasz, ty szmato wypchana gałganami? Mów, jak się nazywasz! Mów, jak masz na imię! Mów, bo wykluję ci gały, oderżnę nos, a potem wypruję...

I nagle skojarzyłem. Takie odległe asocjacje zdarzają mi się do dziś, chociaż minęły już cztery lata, a trzecie życie Edgara Freemantle'a toczy się w Meksyku, w stanie San Luis Potosi, w mieście Tamazunchale. Na jedną chwilę wróciłem do swojego pikapa. Z prawej strony dobiegał mnie brzękliwy stukot: na wycieracze leżało moje stare blaszane pudełko na kanapki, objając się o metalowy klips podkładki do pisania, która też tam wylądowała (na pewno nie jestem jedynym pracującym milionerem w Stanach, wożącym kanapki w pudełku, ale prawdopodobnie można nas liczyć na dziesiątki). Obok, na siedzeniu, miałem PowerBook, a z radia dobiegał kobiecy głos, jedno słowo wyśpiewane w istic kaznodziejskim uniesieniu: „Czerwona!”. Jedno słowo, nic więcej, ale wystarczyło. To była piosenka o biednej matce, która posyła swoją ładną córkę na ulicę, żeby została prostytutką. Miała tytuł „Fancy”, a śpiewała ją Reba McEntire.

- Reba - szepnąłem, przytulając laleczkę. - Jesteś Reba. Reba, Reba, Reba. Już nigdy nie zapomnę, jak się nazywasz.

Zapomniałem kilka dni później, ale tym razem obyło się bez złości. Nie. Tym razem przygarnąłem ją do siebie jak ukochane dzieciątko i zamknąłem oczy, wyobrażając sobie swój samochód, skasowany przez dźwig. Przywołałem w pamięci blaszane pudełko na kanapki objające się z brzękiem o metalowy klips podkładki do pisania i żarliwy, kaznodziejski głos kobiety wyśpiewującej w radiu te same trzy słowa: „Czerwona!”.

Doktor Kamen nazwał to wydarzenie przełomem. Był bardzo poruszony. Moja żona wykazała się mniejszym entuzjazmem; cmoknęła mnie, co prawda, w policzek, ale czułem, że robi to z obowiązku. Dwa miesiące później, o ile dobrze pamiętam, poinformowała mnie, że chce się rozwieść.

II

W końcu ból zaczął przechodzić - albo to mój mózg dokonał jakichś zasadniczych adaptacji i przystosował się do niego. Głowa wciąż dawała mi się we znaki, ale te napady były już rzadsze i znacznie słabsze. Zegary w sklepie pod sklepieniem mojej czaszki wciąż wybijały północ, ale już nie o każdej porze dnia i nocy. Środki przeciwbólowe (vicodin o

piątej i oxycontin o ósmej) nadal łykałem z największą ochotą - bez tych czarodziejskich pigułek nie miałem co marzyć, żeby wsadzić pod pachę moją jaskrawoczerwoną kulę i pokuśtykać chociaż kilka kroczków - ale poskładane biodro zaczęło się już zrastać.

W poniedziałki, środy i piątki do Casa Freemantle w Mendota Heights przyjeżdżała Kathi Green, treserka inwalidów. Przed każdą naszą sesją treningową dostawałem jedną dawkę vicodinu ekstra, niepotrzebnie zresztą, bo nie przydawała się na nic. Darłem się tak, że było mnie słychać w całym domu. W piwnicy, gdzie mieliśmy pokój wypoczynkowy, urządzono dla mnie profesjonalną salę do ćwiczeń rehabilitacyjnych. Było tam wszystko, nawet specjalna wanna dla niepełnosprawnych. Po dwóch miesiącach tortur z Kathi mogłem już zejść do piwnicy bez niczyjej pomocy i samodzielnie ćwiczyć chorą nogę, a nawet zacząć pracować nad mięśniami brzucha. Moja rehabilitantka powiedziała, że taka sesja na kilka godzin przed snem pobudzi wydzielanie endorfin, dzięki czemu będzie mi się lepiej spało.

I właśnie podczas jednego z tych wieczornych treningów (Edgar na tropie efemerycznych endorfin) do piwnicy zeszła kobieta, która przez ćwierć wieku była moją żoną, i oznajmiła mi, że chce się rozwieść.

Przerwałem ćwiczenie - brzuszki - i przyjrzałem się jej. Siedziałem na macie. Ona stała pod przeciwległą ścianą, u stóp schodów, roztropnie trzymając się z daleka. Mogłem zapytać, czy mówi poważnie, ale oświetlenie w piwnicy było idealne - jarzeniówki - więc nie było potrzeby. Zresztą dla kobiety, sześć miesięcy po tym, jak jej mąż cudem przeżył ciężki wypadek, to chyba raczej nie jest temat do żartów. Mogłem zapytać o powód, ale domyśliłem się, o co chodzi. Widziałem bardzo dokładnie białawą bliznę na przedramieniu Pam. W to miejsce trafiłem ją plastikowym nożem, który dostałem w szpitalu do posiłku. A to jeszcze było nic w porównaniu z resztą. Przypomniałem sobie, jak całkiem niedawno kazałem jej ruszyć te cztery litery i iść sobie przypudrować, co tam uważa. Chciałem poprosić, żeby się zastanowiła, ale w tym momencie powrócił gniew. W tamtym okresie swojego życia byłem za pan brat z brzydkim uczuciem, które doktor Kamen nazywał „niewłaściwym gniewem”. Ale coś wam powiem. W tamtej chwili to uczucie nie wydawało mi się ani trochę niewłaściwe.

Ćwiczyłem bez koszulki. Moja prawa ręka kończyła się dziewięć centymetrów poniżej ramienia. Kiwnąłem nią w stronę Pam; o nic więcej nie mogłem się pokusić, bo miałem za mało mięśnia.

- To ma znaczyć - warknąłem - że właśnie pokazałem ci środkowy palec. Chcesz odejść - krzyżyk na drogę. Spieprzaj, ty tchórzliwa, mięczakowata ciapo.

Łzy pociekły jej po policzkach, ale mimo to jeszcze próbowała się uśmiechnąć. Efekt był upiorny.

- Cipo, Edgar - poprawiła mnie. - Mówi się: cipo.

- Mówię, jak mówię - oznajmiłem, zabierając się z powrotem do brzusków. Ciężko to robić bez jednej ręki; całe ciało przekręca się na wybrakowany bok. - Ja bym cię nie zostawił. O to chodzi. Zostałbym przy tobie. Choćby się waliło i paliło. Choćby skały srały.

- To co innego - zwróciła mi uwagę, nie próbując nawet wycierać łez. - Sam wiesz, że to co innego. Ja bym nie dała rady rozszarpać cię na kawałki, gdybym wpadła w szal.

- Jasne, już to widzę, jak rozrywam cię na kawałki jedną ręką. - Podkręciłem tempo ćwiczeń.

- Dźgnąłeś mnie nożem - przypomniała, jakby to było najważniejsze. Oboje wiedzieliśmy, że nie jest.

- Ten nóż był z plasteliku, a ja nie wiedziałem, co wyprawiam, bo byłem jak wariat. I wiesz co? To będą twoje ostatnie słowa na złożu śmierci: „Eddie dziabnął mnie plastycznym nożem, żegnaj, okrutny świecie”.

- Próbowalesz mnie udusić - szepnęła ledwie słyszalnym głosem.

Znieruchomiałem, gapiąc się na nią jak cielę. W uszach zaczęły mi bić zegary z mojego sklepu: bim - bom, nadchodzi zgon.

- Jak to udusić? Nigdy cię nie dusiłem!

- Wiem, że nie pamiętasz, ale to prawda. I zmieniłeś się. Jesteś inny niż przedtem.

- Daj spokój. Takie pierdoły możesz opowiadać temu... temu... temu twojemu... - Wiedziałem, że znam to słowo. Człowieka, o którego mi chodziło, miałem przed oczami, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć, jak mam go nazwać. - Temu łysemu chujowi, co ma ten gabinet. Temu, co do niego chodzisz.

- Mówisz o moim psychoterapeucie - podsunęła. Rozwścieczyło mnie to jeszcze bardziej: ona знаła właściwe słowo, a ja nie. A dlaczego? Bo jej nie zrobili z mózgu galarety.

- Chcesz rozwodu? Dostaniesz rozwód. Rzuć to wszystko w diabły, czemu nie. Ale nie zgrywaj tu aligatora. Zejdź mi z oczu. Wynoś się.

Pani wyszła z piwnicy i zamknęła za sobą drzwi, nie oglądając się ani razu. A ja, dopiero kiedy zostałem sam, uświadomiłem sobie, że chciałem powiedzieć: „Nie mam ochoty oglądać twoich krokodylich łez”.

No, trudno. Dziewięć punktów na dziesięć, jak mawia Wireman.

Zresztą koniec końców to ja się wyniosłem, a nie ona.

III

Pam była moją pierwszą i jedyną partnerką w poprzednim życiu. Edgar Freemantle osiągnął sukces (uwaga, można notować), opierając się na czterech złotych zasadach: nigdy nie pożyczaj większej sumy niż twój iloraz inteligencji razy sto, nigdy nie pożyczaj pieniędzy od człowieka, który przy pierwszym spotkaniu od razu przechodzi na ty, nigdy nie pij przed zachodem słońca i nigdy • - nigdy w życiu - nie wiąż się z kobietą, której nie chcesz dotykać nagiej na łóżku wodnym.

Miałem jednakowoż zaufanego księgowego i to właśnie ten facet, Tom Riley, pomógł mi ogarnąć kilka niezbędnych rzeczy i przeprowadzić się z Mendota Heights do naszego drugiego, mniejszego domu nad jeziorem Phalen. Dopóki nie skończyliśmy wozić moich gratów, Tom, który dwukrotnie odniósł sromotną porażkę w matrymonialnym turnieju, nie przestawał wiercić mi dziury w brzuchu.

- W takiej sytuacji nie wolno oddawać domu - powtarzał. - Przynajmniej dopóki sędzia cię z niego nie wykopie. To tak, jakby w meczu o wszystko drużyna zrezygnowała z przewagi własnego boiska.

Ale ja miałem w tamtej chwili głęboko gdzieś przewagę własnego boiska; zależało mi tylko na tym, żeby dowiózł mnie całego na miejsce. Krzywiłem się nerwowo za każdym razem, kiedy samochód jadący z naprzeciwka zbliżał się, na moje oko, za bardzo do środka jezdni. Bywało, że sztywniałem na całym ciele, wciskając ze wszystkich sił nieistniejący hamulec. Czy widziałem się jeszcze kiedyś za kierownicą? Nie za bardzo. Ale, rzecz jasna, Bóg uwielbia niespodzianki. Tak mawia Wireman.

Kathi Green, treserka inwalidów, też była rozwódką. Co prawda miała za sobą tylko jedno nieudane małżeństwo, ale nadawała na tej samej fali co Tom. Mam w pamięci taką scenę: Kathi, w swoim trykocie do ćwiczeń, siedzi po turecku na macie, trzyma w dłoniach moje stopy i mierzy mnie ponurym, zgorzonym wzrokiem.

- Fuksem uciekłeś śmierci spod kosy, straciłeś rękę, a ona co? Do widzenia? I czemu? Bo drasnąłeś ją plastikowym nożem, kiedy nie bardzo wiedziałeś nawet, jak się nazywasz. No żeż trzymajcie mnie i walcie po kolei! Czy ta kobieta nie rozumie, że huśtawka nastrojów i utrata pamięci krótkotrwałej to w takiej sytuacji zupełnie normalna rzecz?

- Ona rozumie tylko tyle, że się mnie boi - wyjaśniłem.

- Tak? To posłuchaj mamusi, chłopczyku: jeśli masz dobrego adwokata, możesz z niej wycisnąć odszkodowanie za to, że się zachowała jak ostatni mięczak. - Dmuchnęła w kosmyk włosów, które nie chciały siedzieć tam gdzie reszta i wyrwały się z gestapowskiego więzienia,

jakim był jej koński ogon, uciekając z tyłu głowy aż na czoło. - Moim zdaniem powinna za to zapłacić. Posłuchaj mnie bardzo uważnie: jesteś czysty. Nie można cię w żaden sposób oskarżyć o to, co się stało.

- Ona twierdzi, że próbowałem ją udusić.

- No faktycznie, jednoręki inwalida to szczególnie groźny dusiciel. Można się polać w gacie ze strachu. O ile to w ogóle prawda z tym duszeniem. Daj spokój, Eddie. Nie puszczaj jej tego płazem. Wiem, że wtrącam się w nie swoje sprawy, ale mam to w nosie. Nie wolno tak postępować.

- Duszenie i dźganie nożem do masła to chyba nie wszystko. Mogło być coś jeszcze. -
Co?

- Nie pamiętam.

- A co ona mówi na ten temat?

- Nic.

Sękał w tym, że przeżyłem z Pam naprawdę wiele lat i nawet jeśli nurt naszego uczucia dotarł już do delty biernej tolerancji, to znałem ją chyba na tyle dobrze, żeby się zorientować, że owszem, było coś jeszcze i że właśnie od tego ona chce uciec.

IV

Niedługo po przeprowadzce nad jezioro Phalen odwiedziły mnie moje dziewczyny. A właściwie - moje młode kobiety. Przywiozły wielki kosz piknikowy. Siedzieliśmy sobie na werandzie pachnącej sosnami, patrzyliśmy na jezioro i zajadaliśmy kanapki. Było już po wrześnieowym święcie pracy* i na wodzie nie kręciło się zbyt wiele pływających zabawek; miały powrócić dopiero w przyszłym sezonie. W koszyku znalazła się też butelka wina, ale wypilem tylko odrobinę. Przy takiej ilości środków przeciwbólowych, jaką przyjmowałem, alkohol działał na mnie mocno i szybko: jedno piwo i już bełkotałem jak rasowy pijak. Dziewczyny - młode kobiety - dokończyły butelkę same i to je trochę odprężyło. Melinda, która od czasu mojej scysji z dźwigiem już po raz drugi przyleciała do Stanów, z czego nie była wcale zadowolona, zapytała mnie, czy wszyscy dorośli po pięćdziesiątce zaczynają miewać takie niemiłe okresy regresji i czy ma się zacząć na to nastawiać. Ilse, jej młodsza siostra, zaczęła płakać i przytuliła się do mnie, pytając, czy między nami - to znaczy mamą i mną - nie może już być tak jak dawniej. Lin ofuknęła ją, że to nie jest odpowiednia chwila na

* W Stanach Zjednoczonych święto pracy obchodzi się w pierwszy poniedziałek września (przyp. tłum.).

jej specjalność, czyli numer a la dzidzia, a Illy w odpowiedzi pokazała jej środkowy palec. Wybuchnąłem śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać. Potem śmialiśmy się już wszyscy.

Podły nastrój mojej starszej córki i gorzkie łzy młodszej nie należały do przyjemności, ale były szczerze i dobrze mi znajome. Tak dobrze jak pieprzyk na podbródku Ilse albo ta biała pionowa kreska na czole Lin, która powstała na skutek częstego marszczenia brwi i z czasem miała się przekształcić w głęboką bruzdę.

Linnie zapytała, co teraz zrobię. Odpowiedziałem, że nie wiem. Przez długi czas rozmyślałem nad odebraniem sobie życia i wreszcie byłem bliski ostatecznego postanowienia. Ale nawet gdybym się zdecydował, musiałyby to wyglądać jak wypadek. Nie mógłbym zostawić tych dwóch młodych kobiet na progu samodzielnego życia, obarczonych ciężarem wyrzutów sumienia po samobójczej śmierci ojca. To samo tyczyło się tamtej trzeciej kobiety, tej, z którą kiedyś piłem nago w łóżku mleczny koktajl, zaśmiewając się do rozpuku przy nagraniach Plastic Ono Band.

Po tym naszym wspólnym napadzie śmiechu moim córkom wreszcie udało się wyluzować - czyli, w medycznym żargonie doktora Kamena, dokonać pełnej i całkowitej wymiany uczuć. Pamięć podsuwa mi następnie obraz przemęłego popołudnia: przeglądaliśmy stare albumy ze zdjęciami, pogadując o dawnych czasach. Wydaje mi się nawet, że było jeszcze trochę śmiechu, ale nie wszystkie moje wspomnienia z poprzedniego życia są stuprocentowo wiarygodne. Wireman mówi, że karty z przeszłości każdy tasuje, jak mu pasuje.

Ilse zaproponowała, żebyśmy pojechali razem na obiad, ale Lin umówiła się z kimś w bibliotece i musiała zdążyć, zanim ją zamkną, a ja z kolei nie za bardzo czułem się na siłach, żeby kuśtykać wyczynowo na dłuższym dystansie. Miałem ochotę się położyć i przed zaśnięciem przeczytać jeszcze kilka rozdziałów ostatniego Johna Sandforda. Dostałem od obu córek - już z powrotem w najlepszej komitywie - po buziaku, a potem pożegnaliśmy się i dziewczyny zniknęły za drzwiami.

Dwie minuty później Ilse wróciła.

- Powiedziałaś Linnie, że zapomniałam kluczy - oznajmiła.

- Domyślałam się, że to nieprawda - odparłem.

- Tak. Tato, powiedz mi, czy byłbyś w stanie zrobić mamie coś złego? To znaczy teraz, po tym, co się stało? Tak specjalnie, z rozmysłem?

Potrząsnąłem przecząco głową, ale taka odpowiedź jej nie wystarczyła. Poznałem to po tym, że stała przede mną bez ruchu i patrzyła mi prosto w oczy.

- Nie - powiedziałem. - Nigdy. Wolałbym chyba.

- Co byś wolał, tato?

- Chciałem powiedzieć, że wolałbym odrąbać sobie rękę, ale jakoś nagle wydało mi się, że to głupi pomysł. Nigdy bym jej nie skrzywdził, Illy. Nigdy i koniec.

- Więc dlaczego ona cały czas się ciebie boi?

- Wydaje mi się, że chodzi o... moje kalectwo.

Wtedy Ilse przywarła do mnie z takim impetem, że prawie przewróciliśmy się na sofę.

- Przepraszam cię, tato - chlipnęła. - To wszystko jest takie... takie be.

Pogładziłem ją po głowie.

- Wiem, ale pamiętaj: gorzej już być nie może.

To nie była prawda, ale moja córka nigdy nie miała się dowiedzieć, że kłamałem w żywe oczy; trzeba było tylko zachować ostrożność.

Od strony podjazdu rozległ się dźwięk klaksonu.

- Idź już. - Pocałowałem ją w mokry policzek. - Twoja siostra nie lubi czekać.

Ilse zmarszczyła nos.

- Masz dla mnie jeszcze jakieś nowiny? Nie przesadzasz ze środkami przeciwbólowymi, co?

- Nie.

- Gdybyś mnie kiedyś potrzebował, to tylko zadzwoń. Przylecę pierwszym samolotem.

Wiedziałem, że mówi serio. Dlatego też nie miałem zamiaru do niej dzwonić.

- Masz to jak w banku. - Pocałowałem ją w drugi policzek. - To dla Linnie.

Illy skinęła głową i poszła. A ja opadłem na kanapę i zamknąłem oczy. Głowę miałem pełną przeraźliwego bicia zegarów.

V

Moim następnym gościem był doktor Kamen, psycholog, od którego dostałem lalkę imieniem Reba. Nie zapraszałem go. To była sprawka Kathi, mojej rehabilitacyjnej sadystki.

Kamen, choć z całą pewnością nie miał więcej niż czterdzieści lat, poruszał się, jakby był znacznie starszy, i sapał, nawet kiedy siedział. Przez olbrzymie okulary w rogowych oprawkach przyglądał się światu ze szczytu pagóra, jakim było jego pękate brzuszysko. Bardzo wysoki i bardzo czarny, nawet jak na Murzyna, rysy twarzy miał tak grube, że wydawały się aż nierzeczywiste. Szeroko otwarte cyklopowe oczy, nos niczym okrętowy aflaston oraz usta jak u totemicznego idola dopełniały wizerunku, straszliwego i

fascynującego zarazem. Doktor Xander Kamen miał wygląd półboga w garniturze z Men's Warehouse, wygląd sugerujący, że jeszcze przed pięćdziesiątką zejdzie na udar albo atak serca.

Kiedy zaproponowałem mu coś do picia, odmówił, tłumacząc się, że wpadł tylko na chwilę, a następnie, jakby chciał zaprzeczyć własnym słowom, położył neser na kanapie i usiadł. Od razu zapadł się głęboko, niknąc za podłokietnikiem, ale to bynajmniej nie był koniec - cały czas szedł w dół, aż zacząłem się martwić, czy sprężyny wytrzymają. Siedział tak i patrzył na mnie, posapując dobrotliwie.

- Cóż cię sprowadza? - zapytałem.

- Nic takiego. Kathi mówi, że podobno chcesz się wykończyć.

Tym samym tonem mógłby powiedzieć: „Słyszałem, że urządzasz imprezę i będą świeże kremówecki”.

- To plotka czy prawda? - zapytał.

Otworzyłem usta i zamknąłem je, nie mówiąc ani słowa. Kiedy miałem dziesięć lat i mieszkałem jeszcze w Eau Claire, zwędziłem raz komiks ze stojaka w sklepie. Wsadziłem go sobie za pasek, zasłoniłem koszulką i ruszyłem pewnym krokiem do wyjścia. Było mi wesoło i rozpierała mnie duma, że jestem taki sprytny. Nagle poczułem na ramieniu czyjąś dłoń; to była ekspedientka. Zatrzymała mnie, a drugą ręką podniosła mi koszulkę, ukazując światu mój nieuczciwie zdobyty skarb.

- A to skąd się tutaj wzięło? - zapytała. Przez kolejnych czterdzieści lat nie zdarzyło mi się ani razu, żebym kompletnie nie wiedział, co mam odpowiedzieć na w gruncie rzeczy zupełnie proste pytanie. Dopiero Kamenowi udało się mnie zagiąć.

W końcu zdobyłem się na odpowiedź, ale było już o wiele za późno, żeby mogła odnieść jakikolwiek efekt.

- Śmieszne - wykrztusiłem. - Skąd jej to w ogóle przyszło do głowy?

- Nie wiesz?

- Nie. Na pewno nie napijesz się coli?

- Dziękuję, ale nie.

Wstałem, żeby przynieść sobie butelkę z lodówki. Wetknąłem ją pod pachę, przyciskając mocno kikutem do żeber (to jest wykonalne, ale bolesne, bo niezależnie od tego, co pokazują na filmach, połamane żebra bolą bardzo długo), i odkręciłem lewą ręką. Jestem mańkutem. Ale ci się trafiło, *muchacho*, jak mawia Wireman.

- Dziwi mnie w ogóle, że tak sobie wzięłeś do serca gadanie Kathi - powiedziałem, wracając do salonu. - To pierwszorzędna rehabilitantka, ale nie jest przecież psychiatrą. -

Przerwałem na chwilę, przystanąłem, zastanawiając się, gdzie usiąść. - Ty zresztą też nie. Formalnie rzecz biorąc.

Kamen przyłożył stuloną dłoń do ucha, które na oko miało rozmiar szuflady.

- Co ja słyszę? Szczęki? Stukoty? Tak, chyba się nie mylę!

- O czym ty mówisz?

- Jest pewien uroczy odgłos o szczególnym średniowiecznym charakterze. Tak pracują uaktywnione ludzkie mechanizmy obronne. - Mruknął do mnie. Miało to być mrugnięcie ironiczne, ale wymiary jego twarzy czyniły ironię niemożliwością; stać go było tylko na parodię. Tak czy inaczej, zrozumiałem, w czym rzecz. - A co się tyczy Kathi Green, to rzeczywiście masz rację. Czy ktoś taki się w ogóle na tym zna? Przecież ona tylko pracuje na co dzień z paraplegikami, tetraplegikami, ofiarami wypadków - to twoja parafia - no i z rekonwalescentami po ciężkich urazach głowy. To też twoja parafia. Zajmuje się tym od piętnastu lat i napatrzyła się do woli na tragicznie okaleczonych ludzi, którzy na własnej skórze się przekonali, że czasu nie można cofnąć choćby o sekundę. Czy ktoś taki w ogóle może mieć pojęcie o objawach zespołu przedsamobójczego?

Osunąłem się na zakłęśnięty fotel stojący naprzeciwko kanapy. Spojrzałem na Kamena z ponurą miną. Ten facet narobi mi kłopotów. Wiedziałem to. A Kathi Green dołoży swoje.

Kamen pochylił się w moją stronę. O kilka centymetrów. Na więcej nie pozwolił mu brzuch.

- Musisz z tym poczekać - oznajmił.

Wytrzeszczyłem oczy, a on tylko skinął głową.

- Zaskoczyłem cię. Wiem. Ale nie jestem chrześcijaninem, a tym bardziej katolikiem, więc nie mam uprzedzeń w kwestii samobójstwa. Uważam jednak, że każdy człowiek jest za coś odpowiedzialny, a ponieważ wiem, że podzielasz ten pogląd, powiem ci tak: jeśli teraz się zabijesz... Czy nawet za pół roku... Twoja żona i córki wszystkiego się domyślą. Możesz stanąć na głowie, żeby upozorować wypadek, ale ich nie oszukasz.

- Ja wcale...

Kamen uniósł dłoń.

- Pracownicy towarzystwa ubezpieczeniowego, które sprzedało ci polisę na życie - nie wątpię, że zapłaciłeś za nią kupę forsy - też się domyślą. Być może nie dadzą rady niczego udowodnić... ale na pewno będą bardzo usilnie próbować. Puszczą w obieg plotki i narobią twoim dziewczynom nieprzyjemności. Wydaje ci się może, że wasze córki są twarde, ale tego na pewno nie zniosą.

Melinda faktycznie miała grubą skórę, ale Ilse - to zupełnie inna historia. Kiedy starsza siostra chciała jej dokuczyć, przezywała ją „dzieckiem zatrzymanym w rozwoju”, ale moim zdaniem przesadzała z tym. Illy po prostu była wrażliwa.

- A gdyby udało im się dowieść, że to nie był wypadek... - Kamen wzruszył swoimi monstrualnymi ramionami. - Nie będę próbował zgadywać, o jaką sumę zmniejszy się wypłata z twojej polisy, ale spuścizna po Edgarze Freemantle'u na pewno będzie znacznie skromniejsza.

Nie myślałem w tej chwili o pieniądzach. Wyobraziłem sobie ekipę detektywów ubezpieczeniowych węszących po moich śladach w poszukiwaniu jakiegoś kantu. I nagle, zupełnie znenacka, porwał mnie śmiech.

Kamen położył dłonie, przypominające ogromne brązowe bochny, na kolanach wielkości odbojów drzwicowych i przyglądał mi się z uśmiechem mówiąc: „Ja widziałem już wszystko”, Z tym że twarz tych rozmiarów nie jest zdolna do czegoś takiego jak uśmiezek. Pozwolił mi się wychachać, a potem zapytał, co mnie tak rozbawiło.

- Chcesz mi powiedzieć, że jestem zbyt bogaty, żeby się zabić - wyjaśniłem.

- Chcę ci powiedzieć, żebyś się z tym wstrzymał. Nic więcej. Chcę też udzielić ci pewnej rady. Robię to wbrew temu, czego nauczyła mnie praktyka zawodowa, ale mam co do ciebie bardzo silne przeczucie. Podobne przeczucie tknęło mnie, żeby dać ci wtedy tę lalkę. Proponuję, żebyś zastosował kurację geograficzną.

- Proszę?

- Tak nazywamy furtkę, z której często korzystają alkoholicy w późnych stadiach uzależnienia. Ludzie w takiej sytuacji mają nadzieję, że zmiana otoczenia pomoże im zacząć od nowa. Wyjść na prostą.

Coś we mnie drgnęło. Nie powiem: „obudziła się nadzieja”, ale coś poczułem.

- Ta metoda działa, ale bardzo rzadko - poinformował mnie Kamen. - Weterani grup AA, którzy mają odpowiedź dosłownie na wszystko - to ich przekleństwo i błogosławieństwo zarazem, chociaż mało który zdaje sobie z tego sprawę - mówią tak: „Jak debil wsiądzie do samolotu w Bostonie, to w Seattle debil wysiądzie”.

- A jak to się ma do mnie osobiście? - zapytałem.

- A tak, że w tej chwili mieszkasz na przedmieściu St. Paul. Proponuję ci, żebyś znalazł sobie jakieś miejsce gdzieś daleko stąd i pojechał tam. Spokojnie możesz to zrobić, bo jesteś w wyjątkowo komfortowej sytuacji życiowej. Mam na myśli pozycję finansową w połączeniu z twoim obecnym stanem cywilnym.

- Na jak długo mam wyjechać?

- Przynajmniej na rok. - Spojrzał na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Jego olbrzymia twarz była wprost stworzona do takich spojrzeń; wizerunek doktora Kamena wyrzeźbiony na grobowcu Tutanchamona musiałby zadziwić nawet samego Howarda Cartera. - A jeśli po upływie roku postanowisz jednak podjąć kroki, to, Edgar, na miłość boską... Nie. Na miłość twoich córek: postaraj się, żeby to dobrze wypadło.

W trakcie naszej rozmowy zapadł się w starą kanapę niemalże po samą szyję. Teraz, kiedy skończył, zaczął się z niej wydobywać. Podszedłem, żeby mu pomóc, ale odpędził mnie machnięciem dłoni. W końcu stanął na nogach, sapiąc tak głośno, jak jeszcze nigdy. Wziął swój neseser. Spojrzał na mnie z wysokości stu dziewięćdziesięciu kilku centymetrów tymi swoimi wytrzeszczonymi, żółtawymi oczami, które za grubymi jak denka od butelek szklami wyglądały na jeszcze większe niż w rzeczywistości.

- Powiedz mi, Edgar, czy jest coś, co sprawia ci radość?

Zastanowiłem się pobieżnie nad tym pytaniem (zbyt głębokie drążenie tematu nie wydawało mi się bezpieczne) i odparłem:

- Kiedyś lubiłem szkicować.

Prawdę mówiąc, robiłem więcej niż proste szkice, ale to było dawno temu. Zarzuciłem rysunek. Ożeniłem się, zacząłem robić karierę. A teraz moje małżeństwo dobiegało końca, o karierze też właściwie trudno było mówić.

- Kiedy? - zapytał Kamen.

- W dzieciństwie.

Chciałem mu powiedzieć, że marzyłem o szkole sztuk pięknych (od czasu do czasu, kiedy było mnie stać, kupowałem sobie nawet albumy z reprodukcjami), ale w końcu się rozmyśliłem. Przez trzy dekady mój wkład w rozwój sztuki na świecie ograniczał się do bazgrania w trakcie rozmów przez telefon, a ostatni album z rodzaju tych, które trzyma się na widoku, żeby szpanować przed znajomymi, kupiłem chyba z dziesięć lat temu.

- Robieś coś w tym kierunku, kiedy dorosłeś?

Już miałem skłamać, bo nie chciałem wyjść na totalnie opętanego robotą pracoholika, ale postanowiłem trzymać się prawdy. Kiedy się ma tylko jedną rękę, trzeba mówić prawdę, kiedy tylko można. To nie Wireman; to ja sam tak mówię.

- Nie - przyznałem się.

- Wróc do rysowania - poradził mi Kamen. - Potrzebne ci są żywopłoty.

- Żywopłoty - powtórzyłem, zbity z tropu.

- Otóż to. - Spojrzał na mnie zdziwiony i jakby nieco rozczarowany tym, że nie ogarniam umysłem tak prostego pojęcia. - Żywopłoty, za którymi schronisz się przed

mrokiem nocy.

VI

Mniej więcej tydzień później odwiedził mnie ponownie Tom Riley. Liście na drzewach zaczynały już nabierać jesiennych kolorów. Pamiętam plakaty o specjalnych ofertach na Halloween; wieszali je pracownicy w supermarkecie, gdzie kupiłem sobie pierwsze bloki do szkicowania od czasu studiów... albo nawet, cholera, od czasów liceum.

Najlepiej zapamiętałem z tego spotkania jedną rzecz: Tom był niesamowicie speszony i zakłopotany.

Zaproponowałem mu piwo. Zgodził się chętnie. Po powrocie z kuchni zobaczyłem, że trzyma w dłoni rysunek, który zrobiłem piórkami: zarys trzech palm na tle bezkresnego morza, a po lewej stronie, na pierwszym planie, wbity fragment werandy zastawionej parawanami.

- Niezłe - oznajmił. - To ty?

- Nie, elfy. Wpadają tu w nocy. Buty naprawią, coś narysują.

Zaśmiał się - odrobinę za głośno - i odłożył obrazek na biurko.

- U nasz w Mjinnesoota nje ma takje wjidoki - powiedział, małpując szwedzki akcent.

- Przerysowałem to z jakiejś książki - wyjaśniłem. Tak naprawdę za wzór posłużyło mi zdjęcie z broszury reklamowej agencji obrotu nieruchomościami. Był to widok z pokoju o nazwie „Floryda”. Pokój ten mieścił się w domu noszącym miano „Przyłodek Łososi”, który to dom właśnie wynająłem na rok. Nigdy nie byłem na Florydzie, nie spędziłem tam nawet jednego dnia urlopu, ale to zdjęcie poruszyło we mnie jakąś głęboko ukrytą strunę; po raz pierwszy od czasu wypadku poczułem, że czegoś chcę i na coś czekam. Ta struna była cienka i cichutka, ale była.

- Z czym przychodzisz, Tom? - zapytałem. - Jeśli chodzi o sprawy firmy, to...

- Prawdę mówiąc, przysłała mnie Pam. - Tom schował głowę w ramiona. - Nie uśmiechało mi się to wcale, ale jakoś nie mogłem jej odmówić. Znamy się tyle lat, wiesz, jak to jest.

- Jasne. - Znajomość z Tomem sięgała czasów, kiedy na cały majątek Freemantle Company składały się trzy furgonetki, spychacz Caterpillar D9 i garść wielkich marzeń. - Wal śmiało. Nie bój się, nie gryzę.

- Pam wynajęła adwokata. Jest zdecydowana na ten rozwód.

- Nigdy w to nie wątpiłem. - To była szczerza prawda. W dalszym ciągu nie mogłem

sobie przypomnieć, żebym kiedyś próbował ją udusić, pamiętałem za to doskonale wyraz jej oczu, gdy mi o tym mówiła. A poza tym moja żona miała już taki charakter, że bardzo rzadko zawracała z raz obranej drogi.

- Interesuje ją, czy będziesz chciał zaangażować Bożię.

Na myśl o tym musiałem się uśmiechnąć. Gdyby William Bozeman III, sześćdziesięcioletni mecenas z kancelarii prawniczej obsługującej moją firmę, zawsze wytworny, z nieodłączną muszką i starannie wypielęgnowanymi dłońmi, dowiedział się, że od dwudziestu lat Tom i ja mówimy na niego „Bozia”, dostaliby najprawdopodobniej zatoru mózgu.

- Nie myślałem o tym. O co chodzi, Tom? Czego ona konkretnie chce ode mnie?

Mój księgowy wypił pół swojego piwa i odstawił szklankę na półkę, gdzie leżał tamten niewydarzony rysunek. Na policzki wystąpił mu ceglasty rumieniec.

- Żeby obyło się bez nieprzyjemności. Ma nadzieję, że uda się to załatwić ugodowo. Powiedziała tak: „Nie chcę być milionerką i nie chcę się z nim szarpać. Chciałabym tylko, żeby potraktował nas, mnie i obie dziewczyny, uczciwie, tak jak zawsze. Przekaż mu to, dobrze?”. Więc ci przekazuję. - Tom wzruszył ramionami.

Wstałem i podszedłem do dużego okna wychodzącego na werandę. Roztaczał się z niego widok na jezioro. Pomyślałem o pokoju „Floryda”, który już gdzieś tam na mnie czekał, i o jego oknach z widokiem na Zatokę Meksykańską/Niedługo miałem go zobaczyć. Ciekawe, czy to będzie lepsze miejsce niż ten dom nad jeziorem Phalen. Albo choćby inne. Uznałem, że wystarczy mi, żeby było inne; nie musi być lepsze, przynajmniej nie tak od razu. Jakakolwiek odmiana to już dobry początek.

Kiedy odwróciłem się od okna, Tom Riley miał dziwnie zmienioną twarz. Najpierw przestraszyłem się, że może coś mu zaszkodziło, ale po chwili dotarło do mnie, że facet ostatkiem sił powstrzymuje się od płaczu.

- Tom, co się stało? - zapytałem.

Otworzył usta, ale zamiast odpowiedzieć, zachrypiał tylko przez połykane łzy. Odchrząknął i za drugim razem udało mu się wykrztusić:

- Nie mogę się pogodzić, że ucięli ci rękę, szefie. Strasznie mi ciebie żal.

Ujął mnie tym, że powiedział to tak prostodusznie i spontanicznie; trafił prosto w serce. Przez chwilę groziło nam, że rykniemy sobie zdrowo na dwa głosy, jak para wrażliwców w programie Opry Winfrey.

Wyobraziłem sobie nas w tym programie i to pomogło mi wziąć się z powrotem w garść.

- Mnie też jest żal - powiedziałem - ale daję radę. Naprawdę. Skończ ten swój browar, zanim cały gaz uleci.

Roześmiał się i przelał resztę piwa z puszki do szklanki.

- Przedstawię ci propozycję, którą przekażesz Pam w moim imieniu - ciągnąłem dalej.
- Jeśli spodoba jej się taka opcja, możemy zacząć dogadywać szczegóły. Operacja w stylu „zrób to sam”. Bez angażowania adwokatów.

- Mówisz poważnie, Eddie?

- Owszem. Zrób podsumowanie księgowości, żebyśmy znali orientacyjną wartość całego majątku. Dzielimy łupy na cztery części. Ona bierze trzy, czyli siedemdziesiąt pięć procent, dla siebie i dla dziewczyn. Reszta dla mnie. A w kwestii samego rozvodu, to w końcu u nas w Minnesocie nie ma czegoś takiego jak orzekanie o winie. Po obiedzie możemy podskoczyć do Bordersa i kupić jakiś stosowny poradnik, na przykład „Rozwód w weekend”.

Tom zrobił wielkie oczy.

- Jest taka książka?

- Nigdy się tym zbyt nie interesowałem, ale jeśli nie ma, to tu mi krokus wyrośnie.

- Mówi się chyba „kaktus”.

- A jak ja powiedziałem?

- Nieważne. Słuchaj, Eddie. Jeśli zrobimy tak, jak mówisz, to trzeba będzie pokroić cały majątek na kawałki.

- Pies to trącał. Pies czy bies? Zresztą wszystko jedno. Zależy mi tylko na firmie, a firma ma się dobrze, prowadzą ją ludzie, którzy wiedzą, co robią. Co do podziału majątku, to proponuję, żeby każde z nas powściągnęło odrobinę miłość własną, bo na braku umiaru korzystają tylko adwokaci. Jeśli zachowamy rozsądek, to będzie się czym dzielić.

Tom uniósł szklankę do ust i dopił piwo, nie spuszczać ze mnie wzroku.

- Czasami nie wiem, czy naprawdę rozmawiam z tym samym facetem, dla którego pracowałem przez tyle lat - mruknął.

- Ten facet umarł w samochodzie zmiażdżonym przez dźwig - powiedziałem.

VII

Pam przyjęła moją propozycję ugody. Wydaje mi się nawet, że wystarczyłoby jedno moje słowo, a moglibyśmy zapomnieć o ugodzie i powrócić do zgody, prawdziwej zgody; podczas obiadu w restauracji, na który umówiliśmy się celem omówienia szczegółów, jej twarz co chwilę jaśniała, jakby oświetlało ją słońce przedzierające się przez chmury. Ale ja

nie uroniłem tego jednego słowa. Moje myśli krążyły wokół Florydy, owego azylu młodych par i starych grzybów. Sądzę zresztą, że w głębi serca Pam zdawała sobie sprawę, że tak będzie najlepiej - wiedziała, że facet, który po wyciągnięciu ze zmiażdżonego dodge'a miał stalowy kask zawinięty na uszach i powgniatany jak zdeptana puszka po psiej karmie, to już nie jest ten sam znajomy człowiek, za którym zamknęły się drzwi tamtego samochodu. Moje życie z żoną i córkami, życie właściciela firmy budowlanej, dobiegło końca; w tym domu nie było już niezbadanych pokoi. Ale zostały jeszcze drzwi. Te z napisem SAMOBÓJSTWO, jak słusznie zauważył doktor Kamen, chwilowo nie stanowiły właściwego wyjścia z sytuacji. Pozostały więc tylko te drugie. Opisane nazwą wyspy: DUMA KEY.

Zanim się jednak przez nie wymknąłem, w moim poprzednim życiu wydarzyło się jeszcze coś. Mam na myśli to, co spotkało psa Moniki Goldstein, jack russell teriera o imieniu Gandalf.

VIII

Jeśli wyobrażacie sobie, że dom, w którym powoli dochodziłem do jako takiej formy, stał w dumnym odosobnieniu nad brzegiem malowniczego jeziora, na samym końcu ustronnej drogi nieznażącej asfaltu, zagubionej gdzieś wśród lasów odludnej północy - to lepiej idźcie po rozum do głowy. Mówimy o normalnych miejskich peryferiach. Nasz domek nad jeziorem stał pod ostatnim numerem na Aster Lane, uliczce biegnącej od skrzyżowania z East Hoyt Avenue nad samą wodę. Najbliższymi sąsiadami była rodzina Goldsteinów.

W połowie października wzięłem sobie wreszcie do serca radę Kathi Green i zacząłem chodzić na spacer. To nie były jeszcze moje Wielkie Wędrówki Brzegiem Morza, bo te dopiero czekały na swoją kolej, ale wtedy nawet takie krótkie przechadzki dawały mi mocno w kość. Poskładane biodro wyło o litość, niejedną raz aż łzy kręciły mi się w oczach, ale wiedziałem, że podążam we właściwym kierunku. Podczas jednego z tych spacerów, kiedy wracałem już do domu, pani Fevereau potrąciła psa Moniki Goldstein.

Miałem już za sobą trzy czwarte drogi powrotnej, kiedy minął mnie jej samochód, hummer pomalowany na idiotyczny musztardowy kolor. Zobaczyłem ją przez szybę: jak zawsze, w jednej dłoni miała komórkę, a w drugiej papierosa. I jak zawsze jechała za szybko. Zresztą to wszystko ledwie do mnie dotarło, a już na pewno nie zauważyłem, jak gdzieś tam przede mną Gandalf wyskakuje na jezdnię. Nie patrzył, co robi, wiedział tylko, że chodnikiem po drugiej stronie ulicy idzie jego pani, mała Monica, wystrojona w skautowski mundur. Podobnie jak on, ja byłem niepodzielnie skoncentrowany na jednej rzeczy, a mianowicie na

moim zrekonstruowanym biodrze, tym tak zwanym cudzie współczesnej ortopedii: jak zawsze pod koniec tamtych krótkich spacerów, składało się ono z, lekko licząc, dziesięciu tysięcy mikroskopijnych okruchów tłuczonego szkła zatopionych w żywej tkance.

Nagle usłyszałem przeraźliwe wycie opon, do którego sekundę później dołączył przerażony dziewczęcy pisk:

- Gandalf, nie!!

W tym momencie stanął mi przed oczami dźwig, który omal mnie nie zabił. Wizja była niezmiernie wyraźna: świat, który znałem od urodzenia, nagle zniknął, pochłonięty przez żółty ocean o wiele jaśniejszy niż hummer pani Fevereau. Czarne litery unosiły się na tych żółtych falach, puchnące, pęczniejące: **LINK - BELT***.

Później Gandalf też zaczął krzyczeć, a moja wizja - doktor Kamen nazwałaby ją zapewne „wspomnieniem odzyskanym” - znikła. Do tej pory nie miałem pojęcia, że psy potrafią krzyczeć. Dowiedziałem się o tym dopiero tamtego październikowego popołudnia, cztery lata temu.

Zerwałem się do koślawego biegu, który w moim wykonaniu przypominał dreptanie kraba. Końcówka kuli łomotała o chodnik. Gdyby ktoś mnie zobaczył, miałby pewnie niezły ubaw, ale nikt nie zwracał uwagi na kuśtykającego kalekę. Monica Goldstein klęczała na środku ulicy, a obok, pod wysoką, kwadratową kratownicą osłaniającą przód musztardowego hummera, leżał jej pies. Kredowobiała twarz dziewczynki ostro kontrastowała z leśną zielenią munduru ozdobionego wstęgą z odznaczeniami i znaczkami sprawności. Koniec tej wstęgi leżał w rosnącej kałuży krwi Gandalfa, powoli nasiąkając czerwienią.

Pani Fevereau otworzyła drzwi, na wpół zeskakując, a na wpół spadając z niedorzecznie wysokiego siedzenia kierowcy. Ava Goldstein wybiegła przed dom, wołając córkę. Była boso, a bluzkę miała zapiętą tylko do połowy.

- Nie dotykaj go, kotku, nie dotykaj - wzdrygnęła się pani Fevereau, zaciągając się nerwowo papierosem, którego wciąż trzymała w palcach.

Monica nie posłuchała. Przesunęła dłonią po boku Gandalfa. Kiedy tylko go dotknęła, pies krzyknął jeszcze raz - to był prawdziwy krzyk - a ona schowała twarz w dłoniach. Powoli zaczęła kręcić głową. Nie dziwiłem się jej wcale.

Pani Fevereau wyciągnęła rękę, jakby chciała podnieść dziewczynkę z klęczek, ale ostatecznie zmieniła zdanie. Odeszła dwa kroki dalej, oparła się o wysoką burtę swojego hummera i uniosła głowę, spoglądając w niebo.

* Link - Belt Construction Equipment Company - amerykańska firma produkująca ciężki sprzęt budowlany (przyp. tłum.).

Ava Goldstein podeszła, przyklękając obok córki.

- Kochanie, nie rób tego, proszę cię - jęknęła.

Gandalf leżał na jezdni w rosnącej kałuży krwi i wył. A ja przypomniałem sobie wtedy dźwięk, który wydawał tamten dźwig. To nie było *bip - bip - bip* fabrycznego sygnału alarmowego (alarm, który włącza się przy wycofywaniu, był zepsuty), tylko wstrząsający ziemią bełkot dieslowskiego silnika i zgrzytanie piachu pod gąsienicami.

- Zabierz stąd Monice, Avo - powiedziałem. - Weź ją do domu.

Pani Goldstein objęła córkę ramieniem i podniosła z jezdni.

- Chodź, kochanie. Chodź do domu.

- Nie zostawię Gandalfa! - zaszlochała Monica. Miała już jedenaście lat i była dojrzała jak na swój wiek, ale tamtego dnia, w tamtej chwili, zachowywała się jak najwyżej trzylatka. - Nie zostawię mojego pieseczka! - Nasiąknięty krwią koniec wstęgi mundurowej plasnął ją w nogę, pozostawiając na łydce długi czerwony pas.

- Idź do domu, Monico, i zadzwoń po weterynarza - powiedziałem. - Powiedz, że ma natychmiast tutaj przyjechać, bo Gandalf wpadł pod samochód. Idź, ja z nim zostanę.

Monica spojrzała na mnie. W jej oczach dostrzegłem o wiele więcej niż rozpacz czy szok. Był w nich obłęd. Znałem to spojrzenie bardzo dobrze. Napatrzyłem się na nie w lustrze.

- Przysięga pan? Niech pan powie: „Jak mamę kocham”.

- Jak mamę kocham. Idź już.

Dziewczynka odeszła z mamą w stronę domu. Na schodach obejrzała się jeszcze przez ramię, wydając z siebie ostatnie zawodzące kwilenie. A ja chwyciłem się zderzaka musztardowego hummera i ukląknęłam obok Gandalfa. Szło mi nieskładnie, boleśnie i miałem mocny przechył na lewą stronę, tak jak zawsze od czasu wypadku. Prawej nogi starałem się nie zginać, jeśli to nie było absolutnie konieczne, ale pomimo tych wszystkich zabiegów jęczałem z bólu, zastanawiając się jednocześnie, czy uda mi się wstać o własnych siłach. Bo pani Fevereau, zauważyłem, sama nie była w najlepszej formie do udzielenia pomocy: sztywnym krokiem, rozstawiając szeroko nogi, przeszła na lewą stronę ulicy, a nad samym krawężnikiem skłoniła się w pas jak podczas prezentacji rodzinie królewskiej i zwymiotowała do ścieku. Dłoń z papierosem wyciągnęła w bok, trzymając daleko od siebie.

Odwróciłem wzrok i przyjrzałem się Gandalfowi. Samochód rąbnął go w tylną część ciała, miażdżąc kręgosłup. Spomiędzy połamanych zadnich łap ciekła leniwie krew zmieszana z odchodami. Pies podniósł na mnie oczy; była w nich przerażająca, koszmarna nadzieja. Polizał mnie w lewy nadgarstek. Ozorek miał zimny i suchy jak dywan. Zegnał się z

życiem, ale mimo wszystko mógł umrzeć o chwilę za późno. Byłem pewien, że Monica za kilka minut do niego wróci, a nie chciałem, żeby wtedy żył i polizał ją w nadgarstek tak jak mnie.

Zrozumiałem, co muszę zrobić. Nikt mnie nie widział. Monica poszła z mamą do domu. Pani Fevereau stała plecami do mnie. Gdyby którykolwiek z sąsiadów, dzielących z nami tę końcówkę ulicy, podszedł teraz do okna (ewentualnie wyszedł przed dom), to i tak masywny hummer zasłaniał całkowicie kalekę z niezgrabnie wyprostowaną nogą, siedzącego nad potraconym psem. Miałem więc kilka chwil, ale tylko kilka. Gdybym zaczął się teraz zastanawiać nad tym, co robię, zmarnowałbym okazję.

Zabrałem się więc do dzieła: na wpół uniosłem Gandalfa z jezdni - i w tej samej chwili wróciłem na plac przy Sutton Avenue, gdzie Freemantle Company rozpoczyna, właśnie budowę czterdziestopiętrowego wieżowca dla firm bankierskich. Siedzę w swoim pikapie. W radiu Reba McEntire śpiewa „Fancy”. Chociaż nie usłyszałem żadnego sygnału, żadnego alarmu, nagle dociera do mnie, że dźwig pracuje zbyt głośno, a kiedy rzucam okiem w prawo, świat za oknem nie wygląda już tak, jak powinien wyglądać. Opadła na niego lita żółta kurtyna, po której pływają czarne litery: **LINK - BELT**. Pęcznieją mi w oczach. Szarpię za kierownicę, skręcam ją w lewo aż do oporu, choć wiem i tak, że już za późno. Dobiaża mnie jęk uginającego się metalu. Ginie w nim piosenka z radia, a prawa strona samochodu zaczyna się nagle kurczyć, bo dźwig wdziera się na moje terytorium, kradnie moją - moją! - przestrzeń. Dodge nabiera przechyłu. Łapię za klamkę, ale drzwi nie dają się otworzyć. Trzeba było spróbować od razu, bo w tej rozgrywce bardzo wcześnie zrobiło się za późno na wszystko. Świat zza przedniej szyby znika, gdy szkło zmienia się w ściętą lodem kałużę mleka o powierzchni oblepionej kożuchem tysiąca pęknięć - a kiedy całe okno wypada, pojawia się z powrotem, wciąż wirując powoli dookoła własnej osi. Zaraz. Czy ja powiedziałem, że okno wypadło? Nie. Ono wyfruwa z ramy, wyrwane wielką siłą i złożone na pół jak karta do gry. Rzucam się na kierownicę, wciskając łokciami klakson; w ten sposób po raz ostatni używam prawej ręki. Klakson z trudem przebija się przez ryk silnika dźwigu. **LINK - BELT** jest już coraz bliżej, pcha przed sobą prawe drzwi, likwiduje miejsce dla pasażera, roztrzaskuje deskę rozdzielczą, która pęka niczym ziemia rozdarta drgnięciem płyt tektonicznych. Ze schowka wypadają śmieci i szpargały, radio milknie, moje pudełko na kanapki zgrzyta o klips na podkładce, a **LINK - BELT** jest tuż - tuż. **LINK - BELT** dotyka mnie; gdybym wysunął język, mógłbym, kurwa, polizać tę kreskę w środku, pomiędzy słowami. Zaczynam się drzeć, bo już czuję, jak mnie gniecie. Najpierw dociska prawą rękę do boku, potem ją rozprasowuje, a w końcu miażdży. Krew oblewa mi kolana, gorąca jak

wrzątek; jest jej chyba całe wiadro. Słyszę, jak coś pęka. To pewnie moje żebra. Brzmi tak, jakby ktoś deptał kości z kurczaka.

Przygarnąłem Gandalfa do piersi i rozkazałem mu w myślach: przynieś cherlaka, usiądź na cherlaka, usiądź, kurwa, na to truchło, ty zasrana suko!

A potem widzę, że sam usiadłem na chuchro, na to, kurwa, truchło. Jestem w domu, ale dom to nie dom, kiedy pod moją popękaną czaszką biją zegary zwiezione chyba z całej Europy. Nie mogę sobie przypomnieć, jak nazywa się lalka, którą dostałem od Kamena, pamięć podsuwa mi tylko jakieś chłopięce imiona: Randall, Russell, Rudolph, River. River, kurna, Phoenix. Mówię jej, żeby zostawiła mnie samego, bo widzę, że weszła z tą tacą, przyniosła mi owoce i ten cholerny tfurożek, chcę, żeby mnie na pięć minut zostawiła. Dam sobie radę, mówię, bo tak nauczył mnie Kamen. To jest sygnał, alarm, to jest *bip - bip - bip*, które oznacza: „Uważaj, Pammy, Edgar wrzucił wsteczny i jedzie”. Ale ona, zamiast wyjść, bierze z tacy serwetkę i ociera mi czoło, chyba po to, żebym przestał je marszczyć, a kiedy tak stoi nade mną, łapię ją za gardło, bo w tej chwili zdaje mi się, że to wszystko przez nią. To jej wina, że zapomniałem imienia mojej lalki i w ogóle to wszystko jej wina, **LINK - BELT** też. Zaciskam palce lewej, zdrowej dłoni na jej szyi. Na kilka sekund opanowuje mnie pragnienie, żeby ją zabić, i kto wie, może nawet mu ulegam. Pewien jestem tylko jednego: wolałbym pamiętać ze szczegółami wszystkie tragiczne wypadki jak świat długi i szeroki niż wyraz jej oczu, kiedy usiłuje odepchnąć moją zaciśniętą dłoń. A potem słyszę w myślach trzy słowa: „Czerwona!” i puszczam ją.

Przytuliłem Gandalfa do piersi, tak jak moje córki, kiedy były jeszcze malutkie, i pomyślałem: dam sobie radę. Dam sobie radę. Dam sobie radę. Czuję na udach jego krew, gorącą jak wrzątek, przesiąkającą przez spodnie. Dawaj, ofiaro losu, rozkazałem mu w myślach, wysiadka.

Trzymałem Gandalfa, myśląc o tym, co czuje człowiek miażdżony żywcem w samochodzie, gdy pogięta karoseria zabiera mu powietrze i wytłacza z płuc oddech, kiedy z nozdrzy tryska krew, a w głowie, w ostatnim momencie przed dezercją świadomości, błyska zrozumienie: te ostre trzaski to dźwięk pękających kości. Żeber, ręki, biodra, nogi, twarzy, czaszki.

Trzymałem psa Moniki Goldstein. „Czerwona!”, wykrzyknąłem w myśli, porwany żałościwie triumfalnym uniesieniem.

Zapadłem się w ciemność przetykaną czerwienią, tą samą czerwienią. Trwało to chwilę, a potem otworzyłem oczy. Lewą ręką przyciskałem Gandalfa do piersi, a on patrzył na mnie...

Ale już mnie nie widział. Jego wzrok przechodził na wskroś przez moje ciało i przez niebo nad moją głową.

- Panie Freemantle - usłyszałem za sobą czyjś głos. To był John Hastings, starszy facet mieszkający dwa domy za Goldsteinami. W swojej kamizelce i tweedowej angielskiej czapce wyglądał tak, jakby się właśnie wybierał na wycieczkę po wrzosowiskach Szkocji. Gdyby tylko nie ten strach wymalowany na twarzy. - Panie Edgarze. Może pan puścić tego psa. On już zdechł.

- Prawda - przytaknąłem, odsuwając Gandalfa od piersi. - Pomoże mi pan wstać?

- Nie wiem, czy dam radę - odparł John Hastings. - Moglibyśmy obaj wylądować na ziemi.

- W takim razie proszę iść do Goldsteinów i sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- To pies ich córki? - westchnął. - Miałem nadzieję... - Potrząsnął głową.

- Zgadza się - potwierdziłem. - Nie chcę, żeby wyszła i zobaczyła go w takim stanie.

- Oczywiście, ale...

- Ja panu pomogę - odezwała się pani Fevereau. Wyglądała już odrobinę lepiej, wyrzuciła też papierosa. Wyciągnęła dłoń, chcąc ująć mnie pod pachę - prawą - ale zawahała się w ostatniej chwili. - Czy to zaboli?

To było więcej niż pewne, ale dalsze siedzenie w tej pozycji bolałoby znacznie bardziej, więc powiedziałem jej, że nie. John Hastings poszedł ścieżką do domu Goldsteinów, a ja złapałem się zderzaka musztardowego hummera i wspólnymi siłami udało nam się postawić mnie na nogi.

- Nie ma pani zapewne w samochodzie niczego, czym można by przykryć tego zwierzaka?

- Tak się składa, że mam. Wożę z tyłu kawałek starego chodnika.

- Dobrze. Świetnie.

Pani Fevereau ruszyła w kierunku bagażnika - biorąc pod uwagę rozmiary jej wozu, zanosiło się na długą wyprawę - ale po chwili odwróciła się jeszcze w moją stronę.

- Dzięki Bogu, że psiak zdechł, zanim ta dziewczynka zdążyła wrócić.

- Dzięki Bogu - przyznałem.

IX

Mój dom był już całkiem blisko, na końcu uliczki, ale to mi nic nie pomogło. Telepałem się powoli, a zanim doszedłem, dłoń zaczęła mnie rwać tępym, jak go nazywałem,

„kulobólem”. Na koszuli schły ciemne plamy krwi Gandalfa. Stanąwszy przed drzwiami, zauważyłem jakąś kartkę wetkniętą za siatkę przeciw owadom. Wyciągnąłem ją. Było na niej zdjęcie uśmiechniętej, salutującej skautki, a pod spodem krótki tekst:

ODWIEDZIŁA DZIŚ PAŃSTWA MIŁA SĄSIADKA

Monica

Z KOSZYKIEM PEŁNYM

PRZEPYSZNYCH SKAUTOWSKICH CIASTECZEK!

NIE ZASTAŁA NIKOGO W DOMU,

ALE NA PEWNO JESZCZE WRÓCI!

DO ZOBACZENIA!

Zamiast kropki nad „i” w swoim imieniu Monica narysowała uśmiechniętą buźkę. Zmiałem kartkę w dłoni i pokuśtykałem przez kuchnię w kierunku łazienki, wyrzucając ją po drodze. Musiałem wziąć prysznic. Koszulę, dzinsy i poplamioną krwią bieliznę cisnąłem do pojemnika na śmieci, żeby zniknęły mi z oczu raz na zawsze.

X

Na podjeździe stał mój dwuletni lexus, ale od dnia wypadku nie usiadłem za kierownicą. Zakupy i inne sprawy załatwiał mi chłopak z miejscowej szkoły policealnej; był do mojej dyspozycji trzy razy w tygodniu. W razie czego mogłem też liczyć na Kathi Green, która, gdybym ją tylko poprosił, chętnie zahaczyłaby o najbliższy supermarket w drodze na sesję tortur ze mną albo przyjechała trochę wcześniej, żeby zabrać mnie do jakiegoś Blockbustera (to musiało być przed treningiem - po byłem zawsze półżywy). Gdyby ktoś mi powiedział, że jeszcze tej jesieni będę znów prowadził samochód, tobym go wyśmiał. Nie chodziło wcale o chorą nogę; po prostu na samą myśl o tym oblewał mnie zimny pot.

Tymczasem niedługo po wyjściu spod prysznicia siedziałem już za kółkiem i obracałem kluczyk w stacyjce, oglądając się przez prawe ramię, żeby wycofać z podjazdu na ulicę. Zamiast dwóch tabletek oxycontinu połknąłem cztery. To był czysty hazard: czy uda mi się dojechać po takiej dawce do marketu Stop and Shop niedaleko skrzyżowania East Hoyt z Eastshore Drive - i nikogo nie przestraszyć ani nie zabić.

W sklepie obsłużyłem się szybko. To nie były normalne zakupy, tylko błyskawiczny nalot: dopaść lodówki w dziale mięsny, a potem kuśtyk - kuśtyk do kasy z tabliczką „do

dziesięciu artykułów” i już, dziękuję, nie biorę kuponów, nie mam nic do oclenia. Co nie zmienia faktu, że zanim zdążyłem dojechać z powrotem na Aster Lane, byłem już praktycznie na haju. Gdyby zatrzymała mnie drogówka, test trzeźwości wypadłby bardzo negatywnie.

Nikt mnie nie zatrzymał. Po drodze minąłem dom Goldsteinów, gdzie na podjeździe parkowały cztery samochody (plus jeszcze co najmniej pół tuzina na ulicy), a we wszystkich oknach paliło się jasne światło. Mama Moniki zadzwoniła po posiłki i wyglądało na to, że silna grupa krewnych odpowiedziała na wezwanie. Świetnie. I dla nich, i dla Moniki.

Niespełna minutę później parkowałem już samochód na własnym podjeździe. Pomimo że wziąłem tyle leków, prawa noga rwała mnie jak diabli od przekładania stopy z gazu na hamulec i z powrotem, a do tego rozbolała mnie głowa - zwyczajnie i tradycyjnie, od stresu. Ale pierwszym i najważniejszym z moich problemów był w tej chwili głód. To właśnie on wygonił mnie z domu. Z tym że „głód” jest zdecydowanie zbyt łagodnym określeniem tego, co czułem. To był najprawdziwszy wilczy apetyt. Nie zadowoliliby się resztkami lasagne, które miałem w lodówce. Było w tym mięso, ale zdecydowanie za mało.

Wtoczyłem się do domu, postukując kulą o podłogę. Od oxycontinu kręciło mi się w głowie. Z szuflady pod kuchenką wyciągnąłem patelnię, którą postawiłem z rozmachem na palniku, od razu odkręcając gaz do oporu. Strzeliła iskra, ogień zapłonął z szumem i sykiem, ale ja ledwie to słyszałem, zajęty zdzieraniem folii z porcji mielonej polędwicy wołowej. Rzuciłem mięso na patelnię i rozklepałem gołą dłonią; dopiero wtedy rozejrzałem się za łopatką, którą znalazłem w szafce obok kuchenki.

Po powrocie ze spaceru, kiedy zrzuciłem z siebie zakrwawione ciuchy, żeby wskoczyć pod prysznic, czułem wibrujące skurcze żołądka, ale uznałem, że to zwykłe mdłości - jak najbardziej na miejscu w takiej sytuacji. Ale kiedy zmywałem z siebie mydło, to już nie były skurcze, tylko nieprzerwane, basowe dudnienie potężnego silnika pracującego na jałowym biegu. Leki przeciwbólowe zagłuszyły je odrobinę, ale teraz powróciło ze zdwojoną siłą. Jeśli kiedykolwiek w całym moim życiu czułem podobny głód, to nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy to było.

Przewróciłem ten groteskowo wielki kotlet mielony na drugą stronę i zacząłem liczyć do trzydziestu. Wykombinowałem sobie, że tyle czasu na największym gazie wystarczy, żeby przynajmniej w ogólnych zarysach zbliżyć się do upowszechnionej idei smażonego mięsa. I być może udałoby mi się wytrzymać tak długo, gdybym tylko pomyślał o tym, żeby włączyć wentylator nad kuchenką i pozbyć się zapachu. Bez tego nie doliczyłem nawet do dwudziestu, bo już przy siedemnastu złapałem papierowy talerz, zsunąłem na niego to, co było na patelni, i oparty o szafkę, zacząłem szarpać zębami na wpół surową wołowinę. Mniej więcej w

połowie porcji zauważyłem krew sączącą się spomiędzy czerwonych włókien mięsa i w jednej krótkiej chwili spłynęła na mnie wtedy olśniewająca wizja: Gandalf patrzył na mnie, a to, co zostało z jego połamanych tylnych nóg, zalewało się krwią zmieszaną z gównem, zlepiającą sierść w strąki. Mój żołądek zareagował na ten obrazek tylko lekkim drgnięciem i dalej niecierpliwie domagał się jedzenia. Byłem głodny.

Głodny.

XI

Tej nocy śniło mi się, że leżę na łóżku w sypialni, którą przez tyle lat dzieliłem ze swoją żoną. Pam spała obok mnie; nie słyszała, że w ciemnym domu rozbrzmiewa chrapliwy głos, powtarzający bez przerwy cztery słowa: „młode pary, stare grzyby”. Brzmiał jak zacięta płyta albo inne urządzenie. Potrząsnąłem ją za ramię, ale ona tylko przekręciła się na drugi bok. Odwróciła się ode mnie. Sny przeważnie nie kłamią, prawda?

Wstałem z łóżka i zszedłem na parter, trzymając się poręczy, żeby nie przeciążać chorej nogi. Czułem się jednak jakoś dziwnie, kiedy tak sunąłem palcami po tej dobrze mi znanej listwie z polerowanego drewna. I na ostatnich schodach zrozumiałem dlaczego. Może to i niesprawiedliwe, ale światem rządzą praworęczni. Gitary robi się dla praworęcznych, tak samo szkolne pulpity i konsole w amerykańskich samochodach. Schody w domu, gdzie kiedyś mieszkałem razem z rodziną, nie były bynajmniej wyjątkiem: miały poręcz po prawej stronie, bo chociaż dom zbudowała moja firma według moich własnych planów, to moja żona i obie córki były praworęczne - a kto ma większość, ten rządzi.

Tak czy inaczej czułem, jak przesuwam dłońią po poręczy.

Oczywiście, pomyślałem. Przecież to sen. Taki sam jak po południu. Wiesz, o czym mówię?

Gandalf to nie był sen, odpowiedziałem sobie w myślach, a obcy, który zakradł się do mojego domu - i był już teraz bardzo blisko mnie - powtarzał wciąż: „młode pary, stare grzyby”. Wiedziałem, że kimkolwiek jest, znajdę go w salonie. Nie chciałem tam zaglądać.

Nie, Gandalf to nie był sen, pomyślałem - może te myśli pochodziły od mojej fantomowej prawej ręki? *Snem jest to, że go zabiłeś.*

Czyli co, sam umarł? Czy to chciał mi powiedzieć ten głos? Bo w moim przekonaniu Gandalf nie umarł sam. Potrzebował pomocy i znalazł ją - takie było moje zdanie.

Wszedłem do salonu, który kiedyś należał do mnie. Nie byłem świadomy tego, że poruszam nogami. Szedłem tak, jak się idzie we śnie, więc to raczej świat mnie mijał, zostając

w tyle; przypominało to jakiś wymyślny i kosztowny trik. I tam, w starym drewnianym fotelu na biegunach należącym do Pam, siedziała lalczka Reba, moja konsultantka ds. zarządzania zasobami złości, ale większa, duża jak prawdziwe dziecko. Miała upiorne, różowe miękkie nóżki bez kości i wymachiwała nimi; jej stopy, wbite w czarne dziewczęce pantofelki, śmigały tuż nad samą podłogą. Puste oczka były utkwione we mnie. Zwiędłe loczki koloru truskawek kołysały się tam i z powrotem. Usta lalki były wysmarowane krwią, a ja, w tym śnie, wiedziałem, że to nie jest krew człowieka ani psa, tylko to, co wyciekło z mojego prawie surowego kotleta - to, co zlizalem z papierowego talerza, kiedy skończyło się mięso.

„Ta niedobra żaba nas gonila!”, krzyknęła Reba. „Ona ma ZEMBY!”.

XII

Echo tego słowa - ZEMBY! - brzmiało mi w głowie nawet po przebudzeniu, kiedy zerwałem się, siadając na łóżku zalany zimnym światłem październikowego księżyca. Próbowałem wrzasnąć, ale zamiast wrzasku wydałem z siebie tylko serię cichych sapnięć. Serce waliło mi jak młotem. Sięgnąłem do włącznika nocnej lampki i szczęśliwym trafem udało mi się nie strącić jej na podłogę, chociaż, kiedy już zapaliło się światło, zobaczyłem, że podstawa jest wysunięta za krawędź szafki aż do połowy. Zegar w radiu z budzikiem pokazywał godzinę trzecią dziewiętnaście.

Usiadłem na skraju łóżka, opuszczając nogi na podłogę. Sięgnąłem po telefon. „Zadzwoń, jeśli naprawdę będę ci potrzebny”, powiedział Kamen, „o każdej porze dnia i nocy”. I gdybym tylko miał jego numer w pamięci aparatu stojącego w sypialni, to najprawdopodobniej skorzystałbym z propozycji. Ale kiedy poczucie rzeczywistości powróciło mi już na dobre - jestem nad jeziorem Phalen, a nie w Mendota Heights, i tutaj w salonie nie ma żadnego chrapliwego głosu - ta gwałtowna potrzeba szybko przeszła.

Reba, lalka ds. zarządzania złością, siedząca w drewnianym fotelu na biegunach, duża jak prawdziwe dziecko. W sumie czemu nie? Przed zaśnięciem czułem złość, chociaż nie na biednego Gandalfa, tylko raczej na panią Fevereau. Zębata żaba natomiast wydawała mi się w całym tym galimatiasie ni przypiął, ni przyłatał. Najważniejsze jednak w moim przekonaniu było to, co stało się z psem Moniki Goldstein. Czy to ja go zabiłem, czy może sam wyzionął ducha?

A może niesłusznie przywiązywałem do tego aż taką wagę? Może najistotniejsze było to, dlaczego po jego śmierci skręcało mnie z głodu? Może.

I dlaczego musiałem najeść się mięsa.

- Wziąłem go na ręce - wyszeptalem.

Raczej na rękę, bo masz już tylko jedną. Jedną zdrową. Lewą.

Ale pamięć podsunęła mi inny obraz: wziąłem go na ręce, ręce w liczbie mnogiej.
Powściągnąjąc narastający gniew

(CZERWONA)

spróbowałem odwrócić swoje kipiące emocje od tamtej głupiej kobiety z papierosem w jednej ręce, a komórką w drugiej i przekazać je - sobie samemu, w jakimś obłąkanym zamkniętym obiegu. Wziąłem go na ręce... To na pewno była halucynacja, ale tak, nie inaczej, tamto zdarzenie zapisało mi się w pamięci.

Wziąłem go na ręce. Ręce.

Kładąc jego kark w zgięciu lewego łokcia, żeby prawą dłonią móc sięgnąć mu do gardła i udusić.

Udusić i zakończyć jego tragedię.

Sypiam bez koszulki, więc żeby przyjrzeć się kikutowi, wystarczyło odwrócić głowę. Mogłem nim pokiwać - i to było na tyle. Kiwnąłem więc kilka razy, a potem wbiłem wzrok w sufit. Galopujący puls zaczął już zwalniać.

- Pies umarł od obrażeń - powiedziałem głośno. - I z szoku. Żeby tego dowieść, wystarczy przeprowadzić sekcję zwłok.

Tylko że żaden patolog nie zrobi sekcji psa rozjechanego na placek przez hummera, którego prowadziła nieostrożna, rozkojarzona kobieta.

Błądziłem wzrokiem po suficie, marząc o tym, żeby mieć już za sobą to życie, to smutne życie, które zaczynałem kiedyś z tak wielką ufnością. Wydawało mi się, że tej nocy już nie zasnę, ale jednak po jakimś czasie zapadłem w sen. Każde zmartwienie w końcu się zużywa.

Tak mawia Wireman.

JAK POWSTAJE OBRAZ (II)

Pamiętaj, że prawda tkwi w szczegółach. Niezależnie od tego, jak postrzegasz otaczający cię świat, niezależnie od artystycznego stylu wypowiedzi, który ów świat ci dyktuje - prawda tkwi w szczegółach. Oczywiście, w szczegółach siedzi także diabeł - wszyscy to mówią - ale być może „prawda” i „diabeł” to dwie nazwy tej samej rzeczy. Wiesz co? To całkiem możliwe.

Wyobraź sobie jeszcze raz tamtą małą dziewczynkę, tę, która wypadła z dwukółki. Uderzyła o kamień prawą skronią, ale to lewa półkula jej mózgu ucierpiała najbardziej - pamiętasz, co mówiliśmy o przeciwwadze? W lewej półkuli znajduje się pole Broca, chociaż w latach dwudziestych mało kto jeszcze o tym wiedział. Tam mieści się ośrodek mowy. Odpowiednio mocne i celne uderzenie może dosłownie odebrać człowiekowi mowę, czasem na chwilę, a czasem na zawsze. Ale mówić to nie to samo co widzieć, choć są to rzeczy bliskie sobie.

Dziewczynka nie przestała widzieć.

Widzi pięć swoich sióstr. Widzi ich sukienki. Ich włosy, które na dworze czesał szalony wiatr. Widzi wąsy swojego ojca; pojawiły się w nich już nitki siwizny. Widzi nianię Melde, która nie jest zwykłą gosposią, ale przybraną mamą, jedyłą, jaką ta dziewczynka miała w życiu! Widzi chustę, którą niania zawiązuje sobie na głowie, kiedy zabiera się do sprzątania: z przodu, na samym szczycie jej wysokiego, brązowego czoła sterczy duży węzeł. Widzi srebrne bransoletki niani, które w promieniach słońca, wpadających przez okna, migoczą niczym gwiazdy.

Szczegóły, szczegóły. Prawda tkwi w szczegółach.

A czy to prawda, że „widzieć” zawsze łączy się z „mówić”, nawet wtedy, gdy umysł szwankuje? Czy zmysł wzroku domaga się wypowiedzi, nawet wtedy, kiedy mózg jest uszkodzony? O, na pewno tak, na pewno.

Dziewczynka myśli: „Boli mnie głowa”.

A potem: „Stało się coś złego i teraz nie wiem, kim jestem. Ani gdzie jestem. Ani co znaczą te wszystkie jasne obrazy, które widzę”.

Kolejna myśl: „Libbit? Tak się nazywam? Kiedyś to wiedziałam. Kiedyś znalazłam ten język, którym się tu mówi, ale teraz moje słowa są jak rybki w wodzie. Chcę do tego pana z włosami pod nosem”.

I dalej: „ To jest mój tatuś, ale kiedy chcę go zawołać, mówię tylko: »Tak! Tak!«, bo właśnie za oknem przeleciał jakiś tak, widziałam każde piórko, i oczy jak szklane kulki, i nogę zgiętą, jakby była złamana, i na to się mówi: »kszywa«. Boli mnie głowa”.

Wchodzą siostry. Maria i Hannah. Dziewczynka nie lubi ich tak jak bliźniaczek. Bliźniaczki są małe, tak jak ona.

Myśli: „ W języku - z - kiedyś mówiłam na Marię i Hannah »paskudy«. Tak mówiłam”. I nagle uświadamia sobie, że znów to wie. Kolejna rzecz wróciła do głowy. Tytuł kolejnego szczegółu. Dziewczynka zdaje sobie sprawę, że na pewno znów wyleci jej on z pamięci, ale kiedy kolejny raz go sobie przypomni, będzie już pamiętać dłużej. Jest tego prawie całkiem pewna.

Myśli: „Kiedy chcę powiedzieć »Hannah«, mówię: »Tak! Tak!«. Kiedy chcę powiedzieć »Maria«, mówię: »Ii! Ii!«. A one się śmieją, te paskudy. Płaczę. Chcę do tatusia, ale nie pamiętam, jak mam krzyknąć, żeby był. Słowa są jak ptaki, bo odlatują i odlatują, i odlatują. Moje siostry mówią. Mówią, mówią, mówią. Mam sucho w gardle. Próbuję powiedzieć: »woda«. Mówię: »Da! Da!«, ale one tylko się śmieją, paskudy. Czuję pod bandażem, pachnie jodyna, i spocone pachnie, i słucham, jak się śmieją. Krzyczę na nie, głośno. Uciekają. Przychodzi niania Melda, głowę ma całą czerwoną, bo owinęła ją sobie usta. Jej kółeczka robią błysk - błysk w słońcu, i na to się mówi »branzoletki«. Mówię: »Da! Da!«, a niania nie rozumie, o co mi chodzi. Więc mówię: »Sik! Sik!«, a niania sadza mnie na nocniczek, chociaż wcale mi się nie chce. Siedzę na nocniczku, widzę i pokazuję palcem: »Sik! Sik!«. Wchodzi tatuś. »Co to za krzyki?«, pyta, i całą buzię ma w białych bąbelkach, oprócz jednego gładkiego miejsca, tam, gdzie przesunął tym czymś, od którego nie ma włosów. Tatuś widzi, na co pokazuję. Rozumie. »Ona mówi, że chce jej się pić«. Nalewa do szklanki. W pokoju jest dużo promyczków. Kurz kurzy w promyczkach, a jak tatuś niesie szklankę, to widać szklankę w promyczkach i na to się mówi: ładne. Piję wszystkie łyki do końca. I potem znów płaczę, ale inaczej, bo już lepiej. Tatuś daje buzi i tuli, i tuli, a ja próbuję: »Tatuś!« i znów nie mogę. Więc rozglądam się w myślach, szukam jego imienia i widzę: »John« i mówię to sobie w głowie i kiedy myślę: »John«, z buzi wylatuje: »Tatuś!«, a on znów tuli i tuli”.

Dziewczynka myśli: „Stało się coś złego. A »tatuś« to moje pierwsze słowo po tym, jak stało się to coś złego”.

Prawda tkwi w szczegółach.

WIELKI KORAL

I

Kuracja geograficzna Kamena poskutkowała, ale tego, że wyjazd poukładał mi z powrotem w głowie, nie zawdzięczam, jak sądzę, Florydzie jako takiej. Wybór miejsca to był przypadek. Prawda, mieszkałem tam, ale nie można powiedzieć, że stałem się mieszkańcem Florydy. Terapia geograficzna powiodła się dzięki dwóm rzeczom: wyspie Duma Key oraz Wielkiemu Korolowi. Dla mnie te miejsca to był cały odrębny świat.

Wyleciałem z St. Paul dziesiątego listopada, z nadzieją w sercu, ale bez sprecyzowanych oczekiwań. Kathi Green, treserka inwalidów, odprowadziła mnie na samolot, a na pożegnanie pocałowała w usta, przytuliła mocno i szepnęła: „Spełnienia wszystkich snów, Eddie”.

- Dzięki, Kathi - odpowiedziałem. Byłem wzruszony, nawet pomimo tego, że nie mogłem przestać myśleć o śnie, w którym laleczka Reba ds. zarządzania złością, duża jak prawdziwe dziecko, siedziała w zalanym poświatą księżycy salonie mojego dawnego domu, gdzie kiedyś mieszkałem razem z Pam. Byłbym całkiem zadowolony, gdyby ten sen się nie spełnił.

- I przyślij mi zdjęcie z Disney World. Muszę cię zobaczyć z uszami Myszki Miki.

- Załatwione - obiecałem, ale w końcu nigdy nie wybrałem się do Disney World. W Sea World, Busch Gardens ani na Daytona Speedway też nie byłem*.

Wyleciałem ze stolicy Minnesoty learem 55 (bogaty emeryt może się cieszyć pewnymi przywilejami). Było minus cztery i pół stopnia, a na ziemię spadały właśnie pierwsze płatki śniegu zwiastujące kolejną długą, północną zimę. Wylądowałem w Sarasocie, gdzie świeciło piękne słońce, a temperatura wynosiła prawie trzydzieści stopni na plusie. Już

* Sea World Orlando - morski park rozrywki sieci Sea World w Orlando na Florydzie. Busch Gardens - tematyczny ogród zoologiczny w Tampa Bay (Floryda), przedstawiający faunę i florę Afryki, Daytona Speedway - tor wyścigowy w Daytona Beach (Floryda). Długość 4 km, mieści 168 tys. widzów. Odbývają się tam m.in. słynne wyścigi Daytona 500 i Rolex 24 (przyp. tłum.).

na lotnisku, wlokąc się do VIP - owskiego terminalu wsparty na wiernej czerwonej kuli, czułem, jak moje biodro rozplywa się z wdzięczności.

Kiedy wracam pamięcią do tych chwil, doznaję najprzeróżniejszych emocji: jest w tym koktajlu i miłość, i tęsknota, i groza, i zgroza, i żal, a także ta niezmierzona słodycz znana tylko tym, którzy otarli się o śmierć. Wydaje mi się, że coś podobnego musieli czuć Adam i Ewa. Bo przecież z całą pewnością obejrzeliby się na Eden, kiedy ruszali przed siebie ścieżką prowadzącą do świata, który znamy, posępnego świata polityki, karabinów, bomb i telewizji satelitarnej. Nie sądzicie, że musieli choć raz obejrzeć się na to, co pozostało, za zamkniętą bramą strzeżoną przez anioła dzierżącego ognisty miecz? Jasne. Jestem przekonany, że bardzo pragnęli raz jeszcze spojrzeć na utraconą krainę pełną zieleni, słodkiej wody i łagodnych, dobrych zwierząt. W której, oczywiście, nie zabrakło też węża.

II

W pobliżu zachodniego wybrzeża Florydy leży łańcuch koralowych wysepek, naszyjnik - amulet rzucony na fale. Kto ma siedmiomilowe buty, może jednym krokiem przejść z Longboat na Lido, z Lido na Siestę i ze Siesty na Casey. A kolejny krok zawiódłby go na wyspę o nazwie Duma Key. Jest to skrawek lądu długi na czternaście i pół kilometra, a szeroki - w najszerszym miejscu - na osiemset metrów, położony pomiędzy Casey Key a Don Pedro Island. Większą jego część pokrywa dzika gęstwina figowców, palm i rzewni skrzypolistnych; brzegiem od strony Zatoki Meksykańskiej biegnie plaża, nierówna, pofałdowana licznymi wydmami i otoczona, niczym żywopłotem, dzikim zagonem unioli szerokolistnej, wysokiej aż po pas.

- Uniola może tutaj rosnąć - powiedział mi kiedyś Wireman - ale cała reszta tego szajsu nie ma prawa przeżyć bez nawadniania.

Kiedy mieszkałem na Dumie, przez długi czas nie było tam nikogo oprócz Wiremana, Narzeczonej Ojca Chrzestnego i mnie.

Moja agentka z firmy wynajmującej nieruchomości w St. Paul nazywała się Sandy Smith. Poprosiłem ją, żeby znalazła mi jakiś cichy zakątek - nie wykluczam, że użyłem słowa „odosobniony”, chociaż nie mam pewności - ale jeszcze w zasięgu infrastruktury. Przypomniawszy sobie radę Kamena, powiedziałem, że chcę wynająć dom na jeden rok, a cena nie gra roli, dopóki nie zacznie mi się wydawać, że za bardzo ze mnie zdzierają. Nawet zmagając się z depresją i nieustannym (bądź też prawie nieustającym) bólem, nie miałem szczególnej ochoty, żeby ktoś mnie wykorzystywał. Sandy podała moje życzenia

komputerowi, a ten znalazł dla mnie Wielki Koral. Czysty fart, nic więcej.

Z tym że jakoś nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego? Bo już moje pierwsze obrazy miały w sobie... czy ja wiem... coś.

Coś.

III

W dniu, kiedy pojawiłem się tam po raz pierwszy (przywieziony wypożyczonym samochodem przez młodzieńca nazwiskiem Jack Cantori, którego Sandy Smith zatrudniła mi do pomocy, kontaktując się z biurem pośrednictwa pracy w Sarasocie), o historii Duma Key i o samej wyspie nie wiedziałem absolutnie nic - oprócz tego, że prowadzi na nią zwodzony most przerzucony z Casey Key w czasach istnienia Work Projects Administration*. Kiedy już przez niego przejechaliśmy, zauważyłem, że północny kraniec wyspy, w odróżnieniu od reszty, nie jest wcale zarośnięty; dostrzegłem nawet ślady pracy nad architekturą zieleni, co na Florydzie oznacza mniej więcej tyle, że grunt nawadnia się praktycznie bez przerwy, żeby mogły rosnąć trawa i palmy. Wąska i wyboista droga biegła dalej w kierunku południowym. Wzdłuż niej było rozrzuconych kilka zabudowanych posesji. Na najdalszej z nich wznosiła się hacjenda - olbrzymia i bez wątpienia niezwykle elegancka.

Tymczasem już całkiem blisko, o niecałą długość boiska futbolowego od zjazdu z mostu, zobaczyłem różowy dom wiszący ponad wodami zatoki.

- To ten? - zapytałem Jacka, błagając w duchu: „Niech to będzie ten. Chcę mieć ten dom”. - To ten, prawda?

- Nie wiem, panie Freemantle - odparł. - Znam Sarasotę, ale na Dumie jestem pierwszy raz w życiu. Nigdy nie miałem tu niczego do załatwienia. - Zatrzymał samochód obok skrzynki na listy. Widniała na niej wielka czerwona trzynastka. Jack zerknął do folderu leżącego na siedzeniu między nim a mną. - Zgadza się, to tutaj. Przyłodek Łososi, pod numerem trzynaście. Nie jest pan chyba przesądny?

Potrząsnąłem przecząco głową, nie odrywając oczu od różowego domu. Stłuczone lustra i czarne koty na ogół darzę głębokim lekceważeniem, wierzę natomiast głęboko w... no, może nie w miłość od pierwszego wejrzenia, bo Rhett i Scarlett to nie mój styl, ale w,

* Work Projects Administration (Zarząd Organizacji Zatrudnienia) - największa instytucja powołana w ramach „Nowego Ładu”, czyli programu reform społeczno - gospodarczych wprowadzonego przez prezydenta Roosevelta w celu likwidowania skutków Wielkiego Kryzysu. Powstała w 1935 r. Zajmowała się tworzeniem miejsc pracy dla bezrobotnych, głównie w sektorze robót publicznych (drogi, mosty, budynki użyteczności publicznej itd.) oraz kulturalno - oświatowym. Rozwiązana w 1943 r. w następstwie wojennego boomu produkcyjnego (przyp. tłum.).

powiedzmy, natychmiastowy wzajemny magnetyzm. Czemu nie? To właśnie czułem, gdy poznałem Pam, na randce we dwie pary (nie była to randka w ciemno - ona przysłała z tym drugim facetem). Patrząc na Wielki Korał, czułem dokładnie to samo. Od pierwszej chwili.

Stał wsparty na palach i wyglądał tak, jakby wystawił nos poza krawędź brzegu, chcąc przyjrzeć się linii przyboju. Przy drodze, na starym, zszarzałym paliku wisiała przekrzywiona tabliczka z napisem „Wstęp wzbroniony”, ale uznałem, że mnie to nie dotyczy.

- Po podpisaniu umowy wynajmu dostaje pan ten dom na cały rok - poinformowała mnie Sandy. - Nawet jeśli zostanie sprzedany, właściciel nie ma prawa pana stąd wykopać, dopóki umowa nie wygaśnie.

Jack podjechał powoli do tylnych drzwi... które, ze względu na to, że fasada domu wisiała nad wodami Zatoki Meksykańskiej, stanowiły jedyne wejście.

- Dziwne, że w ogóle ktoś wydał zezwolenie na zbudowanie domu tak blisko krawędzi - powiedział. - Ale za dawnych czasów chyba wszystko było inaczej. - Dla niego te „dawne czasy” prawdopodobnie oznaczały lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku. - Tam stoi pana samochód. Mam nadzieję, że nie będzie nawalał.

Samochód zaparkowany na kwadratowym skrawku wyłożonego popękkanymi płytami placu po prawej stronie domu był to średniej wielkości dwuślad produkcji amerykańskiej, czyli uniwersalna specjalność wszystkich wypożyczalni. Nie zaszczyciłem go niemalże spojrzeniem; od dnia, kiedy pani Fevereau potrafiła Gandalfa, nie siedziałem za kierownicą. Z rzeczy, które wynająłem do swojego użytku, o wiele bardziej interesował mnie ów kanciasty różowy słoń.

- A nie ma przepisów, które określają, ile wynosi minimalna odległość domu mieszkalnego od brzegu zatoki? - zapytałem.

- Teraz pewnie są, ale kiedy to budowali - nie sędzę. A w praktyce wszystko sprowadza się do tego, że brzeg ulega erozji. Przecież nikt by nie chciał, żeby jego dom tak wisiał, i nie postawiłby go specjalnie w ten sposób.

Bez wątpienia miał rację. Z miejsca, gdzie stałem, widać było co najmniej sześć pali podpierających zastawioną parawanami werandę, czyli tak zwany pokój „Floryda”. Jeśli te pale nie były wbite głęboko w skalne podłoże - na jakieś dwadzieścia metrów - to dom musiał w końcu spaść do Zatoki Meksykańskiej. Była to tylko kwestia czasu.

Usłyszałem, że Jack Cantori wypowiada na głos moje myśli. Skończył i uśmiechnął się do mnie.

- Proszę się nie martwić. Na pewno nic tu pana nie zaskoczy. Kiedy coś się zacznie dziać, będzie słyhać rumor.

- Tak jak w domu Usherów - mruknąłem.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Przez jakieś pięć lat na pewno jeszcze nic tu nikomu nie zagrozi. Gdyby tak nie było, pierwsza inspekcja kazałaby go rozebrać.

- Nie bądź tego taki pewien - powiedziałem. Jack podjechał tyłem pod dom i zatrzymał się blisko drzwi, żeby można było łatwo wyładować moje rzeczy z bagażnika. Nie miałem tego wiele: trzy walizki, jeden pokrowiec na ubrania, laptop w stalowym futerale i plecak z najprostszymi przyborami do rysowania; najwięcej miałem bloków i kolorowych kredek. Opuściłem poprzednie życie z niewielkim bagażem, doszedłszy do wniosku, że w tym następnym najbardziej przyda mi się książeczka czekowa i karta American Express.

- Jak to? - zdziwił się Jack, nie rozumiejąc mojej uwagi.

- Jeśli kogoś było stać na działkę i dom w takim miejscu, to starczyłoby mu też na rozmowy z INB.

- INB? Co to takiego?

Przez chwilę nie potrafiłem mu odpowiedzieć. Miałem przed oczami to, o co mi chodziło: facetów w białych koszulach i pod krawatem, wystrojonych w żółte plastikowe kaski. Widziałem podkładki z klipsami, które mieli w dłoniach, widziałem nawet długopisy w kieszeniach ich koszul, zaczepione o plastikowe nakładki ochraniające brzeg materiału. Diabeł siedzi w szczegółach, tak? A jednak mimo to nie mogłem sobie przypomnieć, co oznacza INB, chociaż znałem ten skrót tak samo dobrze jak własne nazwisko. W jednej chwili wpadłem w furję. Nagle wydało mi się, że najrozsądniejszym wyjściem z sytuacji będzie zacisnąć lewą dłoń w pięść i rąbnąć znienacka siedzącego obok chłopaka prosto w grdykę. Czuję, że właściwie muszę to zrobić. To przecież on mnie tak kompletnie zagiął tym swoim pytaniem.

- Panie Freemantle?

- Chwilę - odpowiedziałem, myśląc: dam sobie radę.

Pamięć podsunęła mi Dona Fielda, człowieka, który w latach dziewięćdziesiątych skontrolował co najmniej połowę stawianych przeze mnie budynków (tak mi się w każdym razie wydawało), i znów doznałem zwarcia skojarzeniowego. Dotarło do mnie, że siedzę sztywno wyprostowany i trzymam zaciśnięte pięści na kolanach. To dlatego głos chłopaka był taki przejęty. Wyglądałem pewnie, jakbym dostał rozstroju żołądka. Albo zawału.

- Przepraszam - bąknąłem. - Jestem po wypadku. Oberwałem w głowę. Czasem mózg mi się zawiesza.

- Niech się pan nie przejmuje - odpowiedział Jack. - Nie ma sprawy.

- INB to skrót: Inspektorat Nadzoru Budowlanego. Ogólnie rzecz biorąc, są to ludzie, którzy oceniają, czy budynek, który postawiłeś, zawali się czy nie.

- Czyli chodzi panu o łapówki? - zapytał ponuro. - To na pewno się zdarza, szczególnie w tych okolicach. Pieniądz otwiera wszystkie drzwi.

- Nie bądź aż taki cyniczny. Czasami chodzi o to, kto się z kim kumpluje. Budowniczcy, wykonawcy, inspektorzy budowlani, nawet goście z inspekcji pracy... Cała ta ferajna na ogół pije w tych samych knajpach. Wszyscy chodzili do tych samych szkół. A czasem do tych samych poprawczaków - zaśmiałem się.

- Dwa domy na północnym brzegu Casey Key przeznaczono niedawno do rozbiórki, bo wzrosło tempo erozji - powiedział Jack. - Jeden z nich naprawdę spadł do wody.

- No cóż, tak jak powiedziałeś, będzie pewnie słychać rumor, a na razie nie wygląda to szczególnie niebezpiecznie. Chodź, wniesiemy moje rzeczy do środka.

Wysiadłem i natychmiast zatoczyłem się ciężko; chore biodro zablokowało się pod obciążeniem. Gdybym nie zdążył podeprzeć się na kuli, to moje powitanie z Wielkim Koralem byłoby bardziej czołobitne, niż tego chciałem.

- Sam wniosę rzeczy - oznajmił Jack. - Pan niech wejdzie i sobie usiądzie, panie Freemantle. Łyk czegoś zimnego też chyba nie zaszkodzi. Wygląda pan na porządnie zmęczonego.

IV

To były następstwa podróży. Czuję się gorzej niż zmęczony. Kiedy wreszcie dotarłem do fotela w salonie (wlokąc się mozolnie z przechyłem w lewo i pilnując, żeby jak najmniej zginać prawą nogę), byłem już skłonny przyznać się nawet sobie samemu, że jestem wykończony.

Nie męczyła mnie jednak tęsknota za domem, przynajmniej na razie. Jack kursował w tę i z powrotem, wnosząc moje bagaże: walizki postawił w większej z dwóch sypialni, a laptopa położył na biurku w mniejszej. Ja tymczasem co chwilę zerkałem na zachodnią ścianę salonu, która była w zasadzie jednym wielkim oknem wychodzącym na werandę, czyli pokój „Floryda” i to, co było dalej - czyli Zatokę Meksykańską. W tamto upalne listopadowe popołudnie prezentowała się ona jako bezkresna błękitna przestrzeń, płaska niczym talerz. I chociaż okno - ściana było zamknięte, nie przeszkadzało mi to słyszeć łagodnych, miarowych westchnień zatoki. „Ona nie ma wspomnień”, pomyślałem. Zaskoczyła mnie ta osobliwa, w dodatku dziwnie optymistyczna myśl.

Jack wyszedł z pokoju gościnnego i przysiadł na poręczu kanapy niczym ptak na żerdzi: znak, że chce się już zbierać do odlotu.

- Z jedzenia kupiłem panu wszystkie podstawowe produkty - zameldował - plus gotowe sałatki, hamburgery i takiego gotowanego kurczaka w plastikowej kapsule. U nas w domu mówi się na to Kogut Kosmonauta. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony.

- W porządku.

- Mleko dwa procent...

- Jak wyżej.

- ...a do kawy śmietanka z mlekiem. Gdyby miał pan życzenie, następnym razem mogę kupić prawdziwą śmietankę.

- Chcesz mi zatkać ostatnią tętnicę?

Parsknął śmiechem.

- Ma pan tutaj niedużą spiżarnię, a w niej do wyboru puszkowanego szaj... żarcia. Kabłówka podłączona, Internet działa - zamówiłem panu Wi - Fi, trochę droższe, ale śmiga jak ta lala - i gdyby pan chciał, może być jeszcze satelita.

Potrząsnąłem głową. Było mi miło, że tak się troszczy, ale marzyłem już o tym, żeby posłuchać zatoki, jej słodkich słówek, które ulatują z głowy w chwilę po usłyszeniu. Chciałem też wsłuchać się w głos domu, sprawdzić, czy ma coś do powiedzenia. Bo wydawało mi się, że może mieć.

- Wszystkie klucze są w kopercie na stole w kuchni. Do samochodu też. Na lodówce wisi lista telefonów, które mogą się przydać. Codziennie oprócz poniedziałku mam wykłady na uczelni w Sarasocie, ale noszę przy sobie komórkę, a poza tym będę do pana przyjeżdżał we wtorki i czwartki o piątej po południu, chyba że umówimy się inaczej. Może tak być?

- Jasne. - Wyjąłem z kieszeni plik banknotów. - Dam ci parę dolców ekstra. Świetnie się spisałeś.

Chłopak machnął ręką.

- Nie trzeba. To jest bardzo miła fucha, panie Freemantle. Dobre godziny i niezła kasa. Tylko ostatni wał mógłby wziąć coś ekstra.

- W porządku - roześmiałem się, chowając pieniądze z powrotem.

- Może powinien się pan teraz zdrzemnąć - zasugerował, wstając z miejsca.

- Zobaczymy - odparłem. Czuję się nieco dziwnie, będąc traktowany jak stary, chory dziadzio, ale chyba należało do tego przywyknąć. - A co się stało z tym drugim domem na północnym brzegu Casey Key?

- Proszę?

- Powiedziałeś, że jeden spadł do wody. A ten drugi?

- O ile wiem, stoi tam, gdzie stał. Ale jeśli przyplącze się tutaj kiedyś jakiś większy huragan, taki jak Harley, i uderzy prosto w wybrzeże, to będzie jak na wyprzedaży przed likwidacją sklepu: cały towar znika z półek. - Podszedł do mnie, wyciągając rękę. - Witamy na Florydzie, panie Freemantle. Mam nadzieję, że będzie panu tutaj naprawdę dobrze.

Uścisnąłem mu dłoń.

- Dziękuję... - urwałem, ale ta nagle pauza była na tyle krótka, że niczego nie zauważył, a ja nie zdążyłem się rozżłościć. W każdym razie nie na niego. - Dzięki za wszystko - dokończyłem.

- Nie ma sprawy. - W jego oczach przemknął cień zdziwienia, więc może jednak zauważył. Może. Nie obchodziło mnie to. Nareszcie byłem sam. Stałem, przysłuchując się, jak muszle i żwir grzechoczą pod oponami, kiedy jego samochód ruszał z miejsca. Potem nasłuchiwałem oddalającego się warkotu silnika. Cicho, ciszej, cisza. Pozostały tylko łagodne, miarowe westchnienia zatoki. I bicie mojego serca, szepczącego stłumionym głosem. W żadnym z pokoiów nie było ani jednego zegara. Nic nie biło, nie dzwoniło, nic nawet nie tykało. Odetchnąłem głęboko, wciągając w nozdrza zastały, lekko wilgotny zapach domu, który przez długi czas był zamknięty na głucho, nie licząc rytualnego wietrzenia raz w tygodniu (albo raz na dwa tygodnie). Wydało mi się też, że czuję woń soli oraz jakichś podzwrotnikowych traw, których nie umiałbym nawet jeszcze nazwać.

Ale przede wszystkim wsłuchiwałem się w szemrzące westchnienia fal, tak bardzo podobne do oddechu jakiegoś ogromnego, śpiącego zwierzęcia. Wyrzałem też przez wielkie okno w salonie, za którym rozciągała się rozległa wodna równina. Wielki Koral stał tak wysoko, że siedząc daleko od okna, nie widziałem nawet skrawka plaży; mój fotel mógłby równie dobrze znajdować się na tankowcu pełznącym z ropą przez Zatokę Meksykańską z Wenezueli do Galveston. Lekka mgiełka przesłoniła kopułę nieba i przygasiła punkciki światła płonącego na powierzchni wody. Po lewej stronie na tle błękitu odcinały się ostrym konturem trzy palmy. Delikatna bryza poruszała ich pierzastymi liśćmi. To właśnie te drzewa były tematem pierwszego, nieśmiałego rysunku, o jaki pokusiłem się po wypadku. „U nasz w Mjinnesoota nje ma takje wjidoki”, powiedział Tom Riley.

Widok tych palm obudził we mnie na nowo chęć rysowania. Było to uczucie podobne do głodu, ale nieumiejscowione w żołądku; miałem wrażenie, że śwędzi mnie mózg, a do tego, co dziwniejsze, kikut amputowanej ręki.

- Nie teraz - powiedziałem. - Później. Jestem wypompowany.

Udało mi się podnieść z fotela już za drugim razem. Dobrze, że chłopak pojechał i nie

mógł usłyszeć, jak bluzgam po dziecinnemu („W dupę jeża!”), kiedy za pierwszym podejściem klapnąłem ciężko z powrotem. Stanąwszy wreszcie na nogach, przez chwilę tkwiłem w miejscu, opierając się na chybotliwej kuli. Zazwyczaj tak tylko się mówi, że człowiek jest wypompowany, ale w tej chwili to określenie idealnie oddawało mój stan.

W końcu ruszyłem do większej sypialni, stawiając kroki powoli, jako że nie miałem najmniejszej chęci pierwszego dnia rozłożyć się na podłodze. Znalazłem tam olbrzymie łóżko. Miałem tylko jedno życzenie: usiąść na nim, zrzucić kulą na podłogę te głupie dekoracyjne poduszki (na jednej hasała para słodkich cocker - spanieli, a pod spodem biegł dość zdumiewający komentarz: MOŻE PSY TO TYLKO LUDZIE W NAJLEPSZYM WYDANIU), a potem położyć się i zdrzemnąć przez dwie godziny. Względnie trzy. Ale po drodze zrobiłem jeszcze przystanek obok ławy stojącej w nogach łóżka - wciąż poruszałem się ostrożnie, zdając sobie sprawę, jak łatwo mogą poplątać mi się nogi, kiedy jestem taki padnięty - bo na tej ławie chłopak położył dwie z moich walizek. Ta, o którą mi chodziło, była oczywiście na dole. Bez chwili zastanowienia zwałem tę z góry na podłogę i wreszcie mogłem się dostać do właściwej.

Z zamykanej na suwak wierzchniej kieszeni wyjrzały szkliste bławatkowe oczka, zastygłe w wiecznym wyrazie niezadowolonego zaskoczenia: „Ouuu, ty niedobry! Ile mam tutaj siedzieć?”. Kosmyczek zwiędłych pomarańczowoczerwonych włosów wyrwał się na wolność: laleczka Reba, konsultant ds. zarządzania zasobami złości. W odświętnej niebieskiej sukience i czarnych pantofelkach.

Włożyłem ją sobie pod pachę, przytrzymując kikutem, a następnie położyłem się na łóżku. Zrobiwszy sobie miejsce pośród dekoracyjnych poduszek (przede wszystkim musiałem zważyć na podłogę te rozhasane spaniele), wyjąłem Rebę spod pachy i położyłem obok siebie.

- Zapomniałem, jak on się nazywa - wyznałem jej. - Przez całą drogę pamiętałem, a potem wyleciało mi z głowy. - Reba patrzyła na wentylator pod sufitem, na jego nieruchome, milczące łopatki. Zapomniałem włączyć. Nie obchodziło jej, czy mój nowy pomocnik z doskoku nazywa się Ike, Mike czy Andy Van Slyke. Nie obchodziło jej to, bo była tylko różowym woreczkiem wypchanym gałganami - i to prawdopodobnie przez jakieś biedne dziecko z Kambodży czy innego Urugwaju, zmuszane do pracy w fabryce zabawek.

- Jak on się nazywa? - zapytałem ją. Chociaż byłem zmęczony, poczułem wyraźnie, że za chwilę po staremu wpadnę w czarną panikę. W czarny, złowieszczy gniew. Zacząłem się bać, że tak mi już zostanie do końca życia. Albo jeszcze się pogorszy! No jasne, przecież to wcale nie jest niemożliwe! Zabiorą mnie do domu opieki, który różni się od piekła tylko tym, że ma czyste, odświeżone ściany.

Reba nie odpowiedziała na moje pytanie, szmata jedna.

- Dam sobie radę - oznajmiłem, sam w to nie wierząc. I rzuciłem pierwsze imię, które przyszło mi do głowy: Jerry. Nie, Jeff. Nie: tamten facet to był Jerry Jeff Walker, debilu, warknąłem w myśli. Johnson? Gerald? Rozhasany Jozafat?

Zacząłem odpływać. Zapadałem w sen, mimo gniewu i strachu, które mną trzęsły. Dostrajałem się do łagodnego oddechu zatoki.

Dam sobie radę, pomyślałem. Zwarcie skojarzeniowe. Tak jak było z INB.

Wyobraziłem sobie tego chłopaka, jak mówił: „Dwa domy na północnym brzegu Casey Key przeznaczono niedawno do rozbiórki”. Czułem, że w tych słowach coś jest. Kikut swędział mnie jak jasna cholera, a tu trzeba było udawać, że to nie mój kikut, tylko jakiegoś innego faceta, z innej galaktyki i dalej gonić to coś, to zrzeczenie, to skoszenie, to skojarzenie...

...odpływam...

„Ale jeśli przyplącze się tutaj kiedyś jakiś większy huragan, taki jak Harley, i uderzy prosto w wybrzeże...”

Bingo.

Charley to był huragan, a kiedy przychodził do nas huragan, to jak każdy Amerykanin oglądałem Weather Channel, a tamten ich facet od huraganów nazywał się...

Wziąłem Rebę do ręki. Wydawało mi się, że waży co najmniej dziesięć kilo, taki byłem ociężały i senny.

- Facet od huraganów nazywa się Jim Cantore - powiedziałem na głos. - A mój pomocnik nazywa się Jack, Jack Gantori. Sądzę zamyka sprawę.

Odłożyłem lalkę. Zamknąłem oczy. Przez jakieś dziesięć czy piętnaście sekund słyszałem jeszcze, jak zatoka cicho wzdycha. Potem przyszedł sen.

Spałem aż do zachodu słońca. Od ośmiu miesięcy nie udało mi się zasnąć tak głęboko i obudzić tak wypoczętym.

V

W samolocie tylko coś przegryzłem, skutkiem czego po przebudzeniu miałem iście wilczy apetyt. Zamiast dwudziestu pięciu ćwiczeń na rozluźnienie chorego biodra zrobiłem tylko dwanaście i po krótkiej wizycie w łazience potoczyłem się do kuchni. Korzystałem z kuli, ale nie opierałem się na niej aż tak mocno, jak mógłbym się spodziewać, biorąc pod uwagę czas trwania mojej drzemki. Plan był następujący: na początek kanapka albo może

dwie. Miałem nadzieję znaleźć w lodówce kielbasę w plasterkach, ale właściwie zadowolilibym się dowolną wędliną. Po jedzeniu - zadzwonić do Ilse i poinformować, że dotarłem cały i zdrowy. Mogłem być pewien, że moja młodsza córka przekaże tę wiadomość dalej i wyśle e - maile wszystkim, którym leży na sercu dobro Edgara Freemantle'a. Na koniec zaś zamierzałam zażyć wieczorną dawkę leków przeciwbólowych i spenetrować resztę domu. Całe piętro czekało na odkrycie.

Mój plan nie przewidywał jednego: widok w zachodnim oknie uległ zasadniczej zmianie.

Słońce już zaszło, ale nad prostą linią horyzontu wciąż wisiał pas olśniewającej pomarańczowej poświaty. Jego czystą barwę mąciła tylko jedna skaza: sylwetka jakiegoś dużego statku. Miał on kształty tak proste jak na rysunku pierwszoklasisty. Pomiedzy jego dziobem a jakąś wysoką konstrukcją, która dla mnie była wieżyczką radiową, prężyla się sztywne, naciągnięta lina, zamykając ciemny kontur trójkąta wypełnionego światłem. Nagle to światło się rozproszyło, jakby pomknęło prosto do nieba, pomarańczowa zorza przygasła, a na jej miejsce wlał się oszałamiający szmaragdowy błękit, który natychmiast skojarzył mi się z ilustracjami Maxfielda Parrisha. Był to kolor, jakiego nigdy w życiu nie oglądałem własnymi oczyma... a jednak miałem dziwne uczucie *deja vu*, jakbym go już skądś znał. Może ze snu? Może każdy z nas widuje w snach takie nieba; to tylko obudzony umysł nie potrafi przełożyć tych widoków na język kolorów, które posiadają nazwy.

Wysoko w górze, pośród coraz głębszej czerni - pierwsze gwiazdy.

Nie czułem już głodu i odechciało mi się dzwonić do Ilse. Pragnąłem tylko jednego: narysować to, co miałem przed oczami. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że nie uda mi się wszystkiego przenieść na papier, ale Co tam - to właśnie było najpiękniejsze. Miałem w nosie, że mi się nie uda. A nawet głębiej.

Mój nowy pracownik (znów umknęło mi jego imię, ale powiedziałem w myślach: Weather Channel, a potem: Jack - sąd zamyka sprawę) zostawił plecak z przyborami do rysowania w mniejszej sypialni. Pokuśtykałem z nim na werandę, niosąc go niezgrabnie w dłoni i próbując jednocześnie operować kulą. Na zewnątrz włosy zmierzwił mi powiew bryzy, trochę wścibski, ale nie nachalny. Myśl o tym, że tutaj wieje taki wiaterek, a tymczasem w St. Paul (czyli w końcu na jednej i tej samej kuli ziemskiej) pada śnieg, wydała mi się niedorzeczna - po prostu fantastyka naukowa.

Położyłem plecak na długim, prostym drewnianym stole. Po chwili namysłu postanowiłem nie włączać światła, tylko rysować, dopóki będę widział, co robię. A potem iść spać. Usiadłem przy stole, wykręcając po swojemu chorą nogę, i wyciągnąłem z plecaka blok

rysunkowy. ARTISAN, głosił firmowy napis na okładce: „rzemieślnik”. Niezły żart, biorąc pod uwagę poziom mojego warsztatu. Sięgnąłem głębiej, po pudełko z kredkami ołówkowymi.

Szkicowałem i kolorowałem szybko, nie zwracając prawie uwagi na to, co robię. Horyzont wykreśliłem żółtą kredką, którą potem położyłem pierwszą warstwę pod pas poświaty zachodzącego słońca. Machałem nią w dzikim zapamiętaniu w tę i z powrotem, czasami wchodząc na kontur statku (to będzie pierwsza jednostka pływająca chora na żółtaczkę, pomyślałem) i nie przejmując się tym ani trochę. Nasyciwszy światło żółcią w zadowalającym mnie stopniu - robiło się coraz ciemniej - chwyciłem pomarańczową kredkę i nasyciłem barwę. Potem poprawiłem jeszcze sam statek, zarysowując go kilkoma czarnymi kreskami. Tak przedstawiało się to, co widziałem.

Kiedy skończyłem, było już prawie całkiem ciemno.

Po lewej stronie trzy palmy klekotały sobie cicho.

Poniżej, w oddali - ale już nieco bliżej niż przedtem, zaczynał się przypływ - niosły się westchnienia Zatoki Meksykańskiej, jakby skarżące się na to, że jest zmęczona długim dniem, a przed nią jeszcze wiele pracy.

Nad moją głową rozbłysły już tysiące gwiazd, a kiedy na nie patrzyłem, w każdej chwili pojawiały się nowe.

To wszystko jest tutaj od zawsze, pomyślałem i nagle przypomniało mi się, jak moja córka Melinda, kiedy usłyszała w radiu piosenkę, która spodobała jej się od pierwszych dźwięków, zawsze mówiła: „Dzień dobry, moje cudo”. Pod szkicowym zarysem tankowca dopisałem małymi literami: DZIEŃ DOBRY. O ile dobrze sobie przypominam (a teraz już lepiej z tym u mnie), to był pierwszy raz, kiedy nadałem tytuł obrazowi. W dodatku całkiem niezły tytuł, prawda? Nie zapominając o wszystkich tych nieszczęściach, do których doszło później, wciąż uważam, że jest to idealny tytuł dla rysunku stworzonego przez faceta z całych sił walczącego z ogarniającym go smutkiem - usiłującego przypomnieć sobie, jak to jest być szczęśliwym.

Rysunek był skończony. Odłożyłem kredkę, a Wielki Koral wybrał ten właśnie moment, żeby odezwać się do mnie po raz pierwszy. Jego głos był cichszy niż westchnienia zatoki, ale mimo to usłyszałem go całkiem wyraźnie.

Czekałem na ciebie, powiedział.

VI

Ten rok to był dla mnie czas rozmów ze sobą samym. Mówiłem do siebie i

odpowiadałem. Czasem odpowiadały mi też inne głosy, ale tamtej nocy byłem tylko ja, sam na sam ze sobą.

- Houston, tu Freemantle, słyszysz mnie, Houston, odbiór? - Zajrzałem do lodówki, i pomyślałem: Jezu Chryste, jeśli to są podstawowe produkty, to nie chcę wiedzieć, czego on by mi tu nawiózł, gdyby mu zlecić porządne zakupy. Przecież ja z tym prowiantem mogę przeczekać trzecią wojnę światową.

- Słyszę cię, Freemantle, odbiór - odpowiedziałem sobie.

- Znalazłem kielbasę, Houston, powtarzam: jest kielbasa, odbiór?

- Przyjąłem, Freemantle, słyszę cię głośno i wyraźnie. Jak stoisz z majonezem?

Majonez, podobnie jak kielbasa, był. Zrobiłem sobie dwie kanapki - tam, gdzie się wychowałem, dzieciaki dorastają w przekonaniu, że biały chleb z kielbasą i majonezem to przysmak bogów - i zjadłem je przy stole w kuchni. W spiżarni znalazłem stertę paczkowanych ciastek firmy Table Talk - z jabłkami i z borówkami też. Zacząłem się zastanawiać, czy nie zmienić testamentu i nie zapisać wszystkiego Jackowi Cantoriemu.

Nażarty do granic wytrzymałości, wróciłem do salonu i włączyłem wszystkie światła, żeby przyjrzeć się swojemu „Dzień dobry”. Nie był to najlepszy rysunek, ale miał w sobie coś intrygującego. Nabazgrana zorza, podobna do łuny bijącej z otwartego paleniska, sprawiała posępne wrażenie; efekt był zaskakujący. Statek wyglądał inaczej niż ten, który widziałem, był trochę upiorny i przez to właśnie interesujący. Coś jakby strach na wróble w wydaniu pełnomorskim, z tym że żółte i pomarańczowe krechy wążące w jego kontury zrobiły z niego statek widmo - miało się wrażenie, że jest na wpół przezroczysty, a blask tego dziwnego zachodu słońca przebija go na wskroś.

Postawiłem rysunek na telewizorze, obok tabliczki z napisem WŁAŚCICIEL PROSI, ABY PAŃSTWO ORAZ PAŃSTWA GOŚCIE UPRAJĘMIĘ POWSTRZYMALI SIĘ OD PALENIA W DOMU. Popatrzyłem na niego jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy nie dorzucić jeszcze czegoś na pierwszym planie - na przykład jakiejś łódki, żeby statek na horyzoncie zyskał lepszą perspektywę - ale nie chciało mi się już rysować. Poza tym każdy dodatek mógł spieprzyć cały urok, jaki miał w sobie ten obrazek. Zamiast kombinować, poszedłem do telefonu. Gdyby się okazało, że nie działa, zadzwoniłbym z komórki, ale Jack, jak się szybko przekonałem, zadbał i o to.

Myślałem, że włączy się automatyczna sekretarka - studentki to chronicznie zajęte stworzenia - ale Ilse odebrała już po pierwszym sygnale.

- Tatusi? - Kiedy to usłyszałem, zatkało mnie kompletnie, aż musiała powtórzyć: - Tata?

- Ja - wykrztusiłem. - Skąd wiedziałaś?

- Wyświetlił się numer z kierunkowym 941. W tej strefie jest ta twoja Duma. Sprawdziłam.

- Trochę techniki i się gubię. Co u ciebie?

- Wszystko gra. Powiedz mi lepiej, jak ty się masz.

- Dobrze. Prawdę mówiąc, nawet lepiej niż dobrze.

- A ten facet, którego wzięłaś do pomocy?

- Kumaty. Łóżko posłane, lodówka pełna. Po przyjeździe zdrzemnąłem się trochę. Mniej więcej pięć godzin.

Zapadła chwila ciszy, a kiedy Ilse odezwała się ponownie, w jej głosie brzmiał najwyższy niepokój.

- Nie zwiększyłeś sobie chyba na własną rękę dawki środków przeciwbólowych? Bo oxycontin to podobno taki koń trojański... ale przecież sam dobrze wiesz.

- Spokojnie, trzymam się recepty. Tylko że... - Urwałem w pół słowa.

- Co, tato? No, co? - Słyszałem, że jeszcze chwila i Ilse wybiegnie z domu, wskoczy do taksówki i każe się wieźć prosto na lotnisko.

- Właśnie do mnie dotarło, że nie wziąłem vicodinu o piątej... - rzuciłem okiem na zegarek - ...i oxycontinu o ósmej też. Nie do wiary.

- Bardzo cię boli?

- Dwa tylenole i będzie po bólu. Przynajmniej do północy.

- To pewnie zmiana klimatu. I sen.

Bez wątpienia i jedno, i drugie dobrze mi zrobiło, ale to jeszcze nie było wszystko. Może to głupota tak myśleć, ale miałem przekonanie, że pomogła mi też praca nad rysunkiem. A właściwie nie przekonanie: pewność.

Pogadaliśmy przez chwilę i powoli niepokój w głosie mojej córki ucichł. A jego miejsce zajął smutek. Domyśliłem się, o co chodzi. Zaczęło do niej docierać, że cała ta impreza to twarda rzeczywistość, że jej rodzice nie obudzą się pewnego dnia i nie powiedzą: odwołujemy to wszystko. Obiecała mi jednak, że zadzwoni do Pam i napisze do Melindy, da im znać, że wciąż jestem wśród żywych.

- Nie masz tam e - maila, tato?

- Mam, ale dziś ty bądź moim e - mailem, Kruszyńko.

Roześmiała się, pociągnęła nosem, znów się roześmiała. Już chciałem zapytać, czy płacze, ale powstrzymałem się, po zastanowieniu dochodząc do wniosku, że może lepiej o to nie pytać.

- Ilse - powiedziałem - będę kończyć. Chcę wziąć prysznic. To był długi dzień.

- Dobrze, ale... - Urwała, żeby po chwili wybuchnąć: - Nie mogę znieść myśli, że jesteś zupełnie sam i to gdzie! Na Florydzie! A jak się przewrócisz pod tym prysznicem? Tak nie wolno robić!

- Kruszyńko, czuję się dobrze. Naprawdę. Ten chłopak... Nazywa się... - Huragany, pomyślałem. Weather Channel. - Nazywa się Jim Cantori. - Nie. Dzwonią, ale w innym kościele. - To znaczy Jack - poprawiłem się.

- Wiesz, że to nie to samo. Mam do ciebie przyjechać?

- Chyba że bardzo chcesz, żeby twoja matka oskałpowała nas oboje - odparłem. - Masz zostać tam, gdzie jesteś, i robić swoje, kotku. Będę się odzywał.

- Dobrze. Ale uważaj tam na siebie. Bez wygłupów.

- Bez wygłupów, Houston, przyjąłem.

- Hm?

- Nieważne.

- Wolałabym, żebyś mi to obiecał, tato.

Przez jedną chwilę, straszną i niesamowitą, zobaczyłem Ilse - jedną - stolatkę, wystrojoną w mundur skautki i patrzącą na mnie przerażonymi oczami Moniki Goldstein. Zanim zdążyłem się opamiętać, słowa same uleciały i usłyszałem, jak mówię:

- Obiecuję. Jak mamę kocham.

Ilse zachichotała.

- Pierwszy raz to słyszę.

- Niejednym cię jeszcze zaskoczę. Mam głęboką osobowość.

- Skoro tak mówisz... - Umilkła na moment. - Kocham cię - dokończyła.

- Ja ciebie też.

Odłożyłem delikatnie słuchawkę, a potem przez długi czas siedziałem bez ruchu, wpatrując się w nią.

VII

Zamiast wziąć prysznic, wybrałem się na plażę. Szybko odkryłem, że na piasku kula jest nieprzydatna - a właściwie bardziej przeszkadza, niż pomaga - ale od węgła domu nad wodę było wszystkiego raptem dwadzieścia parę kroków. Łatwizna, wystarczyło iść powoli. Przyływ był łagodny, fale liżące piasek nie miały więcej niż kilka centymetrów wysokości. Tylko ze sporym trudem mogłem sobie przedstawić, jak taka woda, smagnięta dzikim

porywem huraganu, potrafi powstać i ruszyć przed siebie, niszcząc wszystko na swojej drodze. Wydawało mi się to wręcz niemożliwe. Później usłyszałem od Wiremana, że Bóg zawsze karze nas za to, czego nie umiemy sobie wyobrazić.

To było jedno z jego lepszych powiedzonek.

Odwróciłem się, chcąc wracać już do domu, ale coś mnie jeszcze zatrzymało. Światło, choć skąpe, wystarczyło, aby dostrzec, że pod wystającą podłogą pokoju „Floryda” leżą naniesione przez wodę muszle, całe ich stosy, całe zaspy. W szczytowym momencie przyływu, uświadomiłem sobie nagle, front mojego nowego domu musi wyglądać niemalże jak pokład statku. Przypomniałem sobie, co mówił Jack: jeśli Zatoka Meksykańska zechce połknąć Wielki Koral, to na pewno nie bez ostrzeżenia. Uprzedzi mnie rumor. Cóż, pewnie miał rację... ale z drugiej strony dźwigi na budowach też podobno nie cofają się bez ostrzeżenia.

Dokuśtykałem do węgła domu, gdzie zostawiłem kulę, opartą o ścianę. Stąd do drzwi prowadziła już krótka ścieżka ułożona z desek. Pomyślałem o prysznicu, ale zdecydowałem się na kąpiel. Wejście i wyjście z wanny wyglądało jak jazda w damskim siodle. Tej techniki nauczyła mnie w poprzednim życiu Kathi Green; oboje ćwiczyliśmy w strojach kąpielowych, a moja prawa noga wyglądała jak kiepsko rozebrany udziec w zakładzie rzeźniczym. Teraz ten zakład stał zamknięty na cztery spusty - mój organizm zaczął pokazywać, że zna się na cudach. Blizny, rzecz jasna, miały zostać mi na całe życie, ale nawet one zbledną. Już były mniej widoczne.

Po wytarciu się ręcznikiem i wyszorowaniu zębów wziąłem kulę i pokuśtykałem do dużej sypialni, gdzie stało tamto wielkie łóżo, pozbawione już dekoracyjnych poduszek.

- Houston - zameldowałem - jest łóżko.

- Przyjąłem, Freemantle - odpowiedziałem sobie. - Startuj do łóżka.

Mogłem startować, czemu nie? O śnie nie było mowy po tej mojej długometrażowej drzemce, ale miałem ochotę położyć się na chwilę. Chociaż noga sprawowała się całkiem dobrze, nawet po tej przechadzce nad wodę, to czułem skurcz mięśni w dole pleców i bolesną sztywność karku. Wyciągnąłem się na posłaniu. Nie, sen był zdecydowanie wykluczony, ale mimo to zgasiłem lampkę. Żeby oczy odpoczęły. Poleżę sobie troszkę, pomyślałem, niech ten ból ustąpi, a potem wyciągnę z walizki książkę i poczytam.

To znaczy, poleżę sobie troszkę....

Po powtórzeniu pierwszego punktu planu już mnie nie było. Nie miałem żadnych snów.

VIII

W środku nocy do jakiej - takiej przytomności przywróciło mnie swędzenie w prawej ręce, mrowienie w prawej dłoni, dręczące uczucie, że nie wiem, gdzie jestem, oraz donośny chrzęst, jakby coś wielkiego toczyło się ciężko gdzieś w dole, pode mną. Z początku wydawało mi się, że to jakaś maszyna, ale ten odgłos miał zbyt nieregularny rytm jak na mechanizm. I brzmiał zbyt... organicznie. Wyobraziłem sobie wielkie zgrzytające zęby, ale żadne stworzenie nie mogło mieć zębów takich rozmiarów. Przynajmniej w znanym człowiekowi świecie.

To brzmi jak oddech, pomyślałem, i to nawet jakby się zgadzało, ale czy jest na świecie zwierzę, które ma taki głośny, świszczący oddech? Do tego prawa ręka swędziała mnie już na całej długości przedramienia, od przegubu do łokcia; drażniło mnie to tak, że zaczynałem wariować. Sięgnąłem lewą, żeby się podrapać, i oczywiście nie znalazłem żadnego przegubu ani łokcia. Mogłem się podrapać w prześcieradło.

To już rozbudziło mnie zupełnie. Usiadłem na łóżku. W pokoju było bardzo ciemno, ale przez okno wychodzące na zachód wpadało nieco światła gwiazd. Dzięki tej słabej poświacie mój wzrok mógł sięgnąć krańca łóżka. Stała tam ława, na której leżały moje walizki. Ten widok przypomniał mi, gdzie jestem: znajdowałem się na wyspie Duma Key, tuż obok zachodniego wybrzeża Florydy - azylu młodych par i starych grzybów. Zamieszkałem w domu, który już zdążyłem ochrzcić w myślach imieniem Wielki Koral, a ten głośny chrzęst to...

- Muszle - mruknąłem, opadając z powrotem na posłanie. - Muszle pod podłogą. Zaczął się przypływ.

Zakochałem się w tym dźwięku od pierwszej chwili, od tamtej nocy, kiedy obudziłem się w ciemności, nie wiedząc, gdzie jestem, kim jestem i które części ciała jeszcze mam, a których już nie. Ten dźwięk był mój.

Dzień dobry, moje чудо.

EKSPLOATACJA NOWYCH ZASOBÓW

I

Tak rozpoczął się dla mnie powrót do zdrowia, jak również okres przejściowy pomiędzy moim poprzednim życiem a tym, które wiodłem na Dumie. Doktor Kamen wiedział prawdopodobnie, że kiedy człowiek przeżywa coś takiego, to najczęściej istotnych zmian - niepokoje społeczne, rozruchy, rewolucje, a wreszcie masowe egzekucje, gilotyna i kosze pełne głów dygnitarzy starego reżimu - zachodzi wewnątrz. Jestem przekonany, że mój gargantuiczny głowolog widział już takie rewolucje i znał zarówno ich triumfy, jak i klęski. Bo, jak wam pewnie wiadomo, nie każdemu udaje się zacząć nowe życie. A ci, którym się nie powiodło, nie zawsze docierają na złociste wybrzeże krainy niebieskiej.

Mnie w przejściu z życia do życia pomogła nowo odkryta pasja, ale również moja córka Ilse. Będę jej za to wdzięczny do końca swoich dni. A jednak po dziś dzień pali mnie wstyd na wspomnienie tego, że grzebałem w jej torebce, kiedy zasnęła. Mogę powiedzieć tylko tyle: wtedy wydawało mi się, że nie mam innego wyjścia.

II

Rankiem pierwszego dnia po przyjeździe czułem się tak dobrze, jak jeszcze nigdy od czasu wypadku - ale jednak nie na tyle, żeby odpuścić sobie poranny koktajl leków. Popiłem tabletki sokiem pomarańczowym i wyszedłem z domu. Była siódma. W St. Paul od chłodu natychmiast ścierpłby mi nos, ale na Dumie wiatr był ciepły i delikatny niczym pocałunek.

Odstawiłem kulę pod ścianę dokładnie w tym samym miejscu co w nocy i podobnie jak wtedy zszedłem nad morze, liżące piasek potulnymi falami. Obróciłem się w prawo: nie było stąd widać ani Casey Key, ani mostu, który na nią prowadził. Zaslaniał je dom. Natomiast po lewej stronie...

Odwróciwszy głowę w lewo, zobaczyłem pas plaży ciągnący się w nieskończoność, oślepiająco biały pomiędzy stalowoniebieską zatoką a nabrzeżnymi kępami gęsto rosnącej

unioli. W oddali widniała tylko jedna ciemniejsza plamka, najwyżej dwie; poza tym to bajeczne pocztówkowe wybrzeże było całkowicie wyludnione. Żaden z pozostałych domów nie stał blisko plaży, a spojrzawszy w kierunku południowym, dostrzegłem tylko jeden dach, za to tak wielki, że wydawał się mieć z pół hektara powierzchni. Pomarańczowe dachówki ginęły w gęstwinie palmowych liści. To była ta hacjenda, którą zauważyłem wczoraj. Mogłem ją zasłonić dłonią i poczuć się jak Robinson Crusoe.

Ruszyłem w tamtą stronę, po części dlatego, że jako mańkut przez całe życie instynktownie zwracam się w lewo, głównym powodem było jednak to, że tam coś widziałem. Nie zaszedłem zresztą daleko. Tego dnia nie odbyła się jeszcze Wielka Wędrówka Brzegiem Morza, bo chciałem mieć pewność, że dam radę wrócić do miejsca, gdzie zostawiłem kulę; ale tak czy inaczej to był początek. Pamiętam, jak przystanąłem i odwróciłem się, patrząc ze zdumieniem na ślady pozostawione na piasku. Odciski lewej stopy, oświetlone porannym brzaskiem, były wyraźne i mocno odbite, jak spod prasy, ślad prawej natomiast zacierał się często, bo powłóczyłem tą nogą. Ale na początku nawet on był wyraźny i czytelny. Wracając, naliczyłem trzydzieści osiem kroków. Biodro zaczynało już pulsować. Nadszedł zatem odpowiedni czas, aby wrócić do domu, wziąć sobie jogurt z lodówki i sprawdzić, czy kablówka naprawdę działa tak dobrze, jak zachwalał Jack Cantori.

Okazało się, że tak.

III

Wkrótce weszło mi to w nawyk: codziennie rano sok pomarańczowy, spacer, jogurt i wiadomości w telewizji. Zaprzyjaźniłem się z Robin Meade, młodą prezenterką Headline News prowadzącą serwis informacyjny od szóstej do dziesiątej. Nudna rutyna, prawda? Pamiętajcie jednak, że powierzchowne obserwacje wydarzeń w kraju rządzonego przez dyktatora to też nudy na pudy - dyktatorzy lubią, wręcz uwielbiają nudę - nawet jeśli pod powierzchnią burzą się już wiry wielkich przemian.

Natomiast chore ciało i umysł są właściwie wcieleniem dyktatury. Nie ma tyrana równie bezlitosnego jak ból ani despoty, który dorównałby okrucieństwem poplątanym myślom. Dopiero gdy zostałem sam i ucichły wszystkie głosy, które mnie otaczały, zrozumiałem, że mój umysł został okaleczony równie mocno jak ciało. To, że próbowałem udusić kobietę, która przez dwadzieścia pięć lat była moją żoną, i to tylko dlatego, że chciała obetrzeć mi czoło - to wcale nie był, okazało się, największy problem. Nie był nim też fakt, że od mojego wypadku do naszego rozstania (a upłynęło dobrych kilka miesięcy) ani razu nawet

nie próbowaliśmy się kochać, chociaż teraz widziałem w tym ewidentny sygnał ogólniejszego kryzysu. Nawet moje nagłe, niepokojące wybuchy gniewu nie stanowiły sedna problemu.

Owym sednem było oddalenie. Nie umiem nazwać tego inaczej. Moja żona stała się dla mnie kimś... innym. Podobnie zresztą jak reszta znajomych mi ludzi (z małymi wyjątkami), niepokojące zaś było to, że wcale się tym zbyt nie przejąłem. Z początku próbowałem się uspokajać, powtarzając sobie, że to raczej zupełnie normalne u faceta, który nie zawsze potrafi sobie przypomnieć, jak nazywa się to coś do zapinania spodni - sawuk, siwek czy suwnica. Miałem nadzieję, że to przejdzie, ale nie przeszło, a kiedy Pam powiedziała, że chce się ze mną rozwieść, najpierw się wściekłem, ale potem mi ulżyło. Mogłem już patrzeć na ludzi tym „innym” okiem, jak na obce osoby. A w każdym razie mogłem tak patrzeć na nią. Bo teraz stała się naprawdę kimś obcym. Zdjęła koszulkę i odeszła z drużyny Freemantle.

Podczas pierwszych tygodni spędzonych na Dumie dzięki temu poczuciu „inności” w stosunku do znajomych nabrałem sporej wprawy w szlachetnej sztuce wykręcania się sianem. Odpowiadałem na listy i e - maile od na przykład Toma Rileya, Kathi Green i Williama Bozemana III (nieśmiertelnego Bozi) za pomocą krótkich formułek mających niewiele wspólnego z tym, jak żyłem i jak się czułem: wszystko w porządku, pogoda jak marzenie, kości się zrastają. A kiedy listy i e - maile najpierw zaczęły przychodzić rzadziej, a wreszcie ustały zupełnie, nie było mi przykro.

Tylko jedna Ilse nie odeszła z mojej drużyny. Tylko ona nie wyrzuciła swojej koszulki. Ona jedna nigdy nie wydawała mi się „inna”. Każdego dnia widziałem ją w monitorze laptopa, w tym moim oknie na Świat - i zawsze z wyciągniętą do mnie ręką. Jeśli codziennie nie wysłałem jej e - maila, łapała za telefon. Jeśli nie zadzwoniłem co trzeci dzień, dzwoniła sama. Tylko jej nie wciskałem kitu w stylu: „wybieram się na połów ryb w Zatoce Meksykańskiej” albo „muszę podskoczyć na kontynent i zobaczyć Everglades*⁹⁹. Mojej Ilse mówiłem prawdę, albo może inaczej: tailem przed nią tylko tyle, żeby nie pomyślała, że zwariowałem.

Na przykład opowiedziałem jej o swoich porannych spacerach po plaży i o tym, że każdego dnia dochodzę odrobinę dalej, ale już o grze w cyferki nie wspomniałem, bo wydawało mi się, że to głupota... chociaż właściwie chyba powinienem powiedzieć: „zaburzenie obsesyjno - kompulsywne”.

Pierwszego dnia oddaliłem się od Wielkiego Korala na trzydzieści osiem kroków.

* Everglades National Park - park narodowy na południowym krańcu półwyspu Floryda. Na jego terenie znajduje się największy obszar lasu podzwrotnikowego w USA (przyp. tłum.).

Drugiego, po wypiciu dużej szklanki soku pomarańczowego, ponownie ruszyłem brzegiem morza na południe i tym razem przeszedłem czterdzieści pięć kroków, co wtedy było dla mnie sporym wyczynem, jeśli nie mogłem korzystać z kuli. Udało mi się, bo wiedziałem, jak sobie wmówić, że to tak naprawdę tylko dziewięć kroków. Na takiej właśnie sztuczce opiera się gra w cyferki. Robi się jeden krok, potem dwa (ale licząc od początku), potem trzy, cztery i dalej, za każdym razem zerując licznik. W końcu dochodzi się do dziewięciu, a suma wszystkich liczb od jednego do dziewięciu wynosi czterdzieści pięć. Nie będę się sprzeczał, jeśli powiecie, że to się wam wydaje popieprzone.

Trzeciego dnia pokusiłem się o przejście dziesięciu kroków brzegiem morza - czyli w sumie oddaliłem się od Wielkiego Korala na pięćdziesiąt pięć kroków, pokonując w obie strony dystans mniej więcej osiemdziesięciu metrów. Tydzień później doszedłem do siedemnastu kroków... a suma liczb od jednego do siedemnastu wynosi sto pięćdziesiąt trzy. Po zrobieniu ostatniego kroku przystanąłem, oglądając się na swój dom, który wydawał się niesamowicie odległy. Oczywiście na myśl, że czeka mnie teraz tak samo długa droga z powrotem, mina mi zrzęda.

Dasz sobie radę, pocieszyłem się w myślach. To tylko siedemnaście kroków.

Tak się przekonywałem, ale Ilse nie pisałem o tym ani słowa.

Każdego dnia oddalałem się trochę bardziej od domu. Na plaży zostawał mój ślad, odciski butów wytłoczone w piasku. A zanim jeszcze w centrum handlowym przy Beneva Road, dokąd Jack Cantori woził mnie czasem na zakupy, pojawił się pierwszy Święty Mikołaj, zauważyłem coś niewiarygodnego: wszystkie ślady, które pozostawiłem, oddalając się od domu, były wyraźne. Odcisk podeszwy mojej prawej tenisówki zaczynał się zacierać dopiero w drodze powrotnej.

Trening uzależnia, więc nawet deszcz nie potrafił sprawić, żebym zrezygnował z porannej zaprawy. Piętro Wielkiego Korala było w zasadzie jednym dużym pomieszczeniem. Na podłodze leżał dywan w kolorze różu, z gatunku tych nie do zdarcia. Okno - pojedyncze, olbrzymie, wychodzące na Zatokę Meksykańską. I nic więcej. Jack zaproponował, żebym zrobił listę mebli, które chcę tam mieć; powiedział, że wypożyczy je z tej samej wypożyczalni, z której pochodziło to, co stało na parterze... o ile, oczywiście, odpowiada mi to, co stoi na parterze. Zapewniłem go, że meble są w porządku, ale jeśli chodzi o piętro, to nie potrzeba mi wielu sprzętów. Podobało mi się, że jest tam tak pusto. To działało na wyobraźnię. Poprosiłem Jacka tylko o trzy rzeczy: zwykłe krzesło z prostym oparciem, sztalugi i mechaniczną bieżnię firmy Cybex. Czy da się to dla mnie sprowadzić? Powiedział, że się da, i sprowadził. Zajęło mu to trzy dni. Odtąd piętro stało się dla mnie miejscem, które

odwiedzałem, kiedy zachciało mi się rysować albo malować, tam też zachodziłem, żeby poćwiczyć w te dni, gdy pogoda nie pozwalała mi wyjść z domu. Tamto krzesło z prostym oparciem było jedynym prawdziwym meblem, jaki trafił na piętro za czasów mojej bytności w Wielkim Koralu.

Deszczowych dni nie było zresztą zbyt wiele; Floryda nie bez racji nosi miano Słonecznego Stanu. W miarę jak moje wypady na południe stawały się z dnia na dzień coraz dłuższe, ciemna plamka bądź plamki ostatecznie przybrały kształt dwóch ludzkich sylwetek - a przynajmniej najczęściej widziałem ich tam dwie. Pierwsza osoba siedziała na wózku inwalidzkim i miała na głowie coś, co z daleka wyglądało jak słomkowy kapelusz. Druga popychała wózek, ustawiała go, a potem siadała obok. Ta para pojawiała się na plaży około siódmej rano. Czasami ta osoba, która mogła chodzić, zostawiała tę na wózku samą, żeby po kilku chwilach wrócić, niosąc jakiś przedmiot, który błyszczał w porannym słońcu. Przypuszczałem, że jest to dzbanek z kawą albo taca ze śniadaniem, ewentualnie dwa w jednym, czyli kawa i śniadanie na tacy. Ponadto nabrałem przekonania, że obie osoby oraz ich sprzęty pochodzą z tamtej ogromnej hacjendy, tej z półhektarowym dachem krytym pomarańczową dachówką. Był to ostatni dom na Duma Key, który w ogóle było widać spośród drzew; dalej droga nikła w entuzjastycznie rozrośniętej gęstwinie pokrywającej większą część wyspy.

IV

Jakoś nie mogłem się oswoić z tym, że Duma jest aż tak odludna. „Podobno jest to niezwykle spokojne miejsce”, mówiła Sandy Smith, ale mimo to spodziewałem się, że w południe na plaży będzie pełno ludzi: par opalających się na kocach i smarujących nawzajem olejkami, studentów grających w siatkówkę i słuchających muzyki z iPodów przypiętych na ramieniu, dzieci w luźnych, workowatych kostiumach, pluskających się na samej linii przyboju. Wyobrażałem sobie też, że kilkanaście metrów od brzegu będą śmigać w tę i z powrotem brzęczące skutery wodne.

Jack uprzytomnił mi, że jest dopiero grudzień.

- Pomiędzy Świętem Dziękczynienia a Bożym Narodzeniem - wyjaśnił - turystyka na Florydzie zamiera. Mogiła. Co prawda w sierpniu jest jeszcze gorzej, ale to i tak martwy okres. A poza tym... - Zakreślił ręką szeroki krąg. Staliśmy obok skrzynki pocztowej z czerwoną trzynastką, ja wsparty na kuli, on zadający szyku w obciętych džinsach i modnie postrzępionej koszulce z emblematem drużyny baseballowej Tampa Devil Rays. - Poza tym

trudno to miejsce nazwać rajem dla turystów. Widzi pan tu choćby jakiegoś tresowanego delfina? Cała wyspa to siedem domów, licząc ten duży... No i dżungla. A propos: w dżungli stoi jeszcze jeden dom, podobno totalna ruina. Tak opowiadają na Casey Key.

- Co jest z tą wyspą, Jack? Piętnaście kilometrów od najdroższych gruntów i nieruchomości na Florydzie, piękna plaża... I nikt nigdy tego nie zagospodarował? Dlaczego tak jest?

Wzruszył ramionami.

- Wiem tylko, że toczy się jakiś zadawniony spór w sądzie. Chce pan, żebym spróbował sprawdzić, o co chodzi?

Zastanowiłem się, ale potrząsnąłem przecząco głową.

- Czy panu to nie przeszkadza? - zapytał Jack z autentyczną ciekawością w głosie. - Ta cisza? Bo mnie by to drażniło, jeśli mam być całkiem szczery.

- Nie - odparłem. - Ani trochę.

I to była prawda. Powrót do zdrowia to swoisty przewrót, jak już chyba wspominałem. A przewrót to taka rzecz, która, żeby wszystko się powiodło, musi zacząć się w tajemnicy.

- A co pan tutaj robi? Jeśli mogę zapytać?

- Rano ćwiczę. Czytam. Popołudniami śpię. I rysuję. Może w końcu spróbuję coś namalować, ale na razie nie jestem jeszcze na to gotowy.

- Niektóre pana prace są naprawdę niezłe jak na amatora.

- Dziękuję ci, Jack, jesteś bardzo miły.

Nie umiałem odgadnąć, czy Jack tylko chciał być miły, czy może próbował podzielić się ze mną swoją wizją prawdy. Zresztą to chyba nieważne. Rozmowa na temat czegoś takiego jak obraz zawsze przecież sprowadza się do wyrażania opinii, prawda? Ja wiedziałem jedno: coś się ze mną dzieje. Coś się zmienia we mnie. Czasami trochę się tego bałem, przeważnie jednak było niesamowicie. Pięknie jak cholera.

Rysowałem głównie w pomieszczeniu na piętrze, które z czasem zacząłem nazywać „Koralikiem”. Widok z okna był stały i niezmienny - zatoka i horyzont prosty jak linijka - ale przywiozłem ze sobą aparat cyfrowy i od czasu do czasu robiłem zdjęcia, które potem drukowałem i wieszałem na sztalugach (ustawiliśmy je z Jackiem tak, że mocne popołudniowe słońce przebijało przez papier), żeby mieć wzór do rysunku. Te fotki były dla mnie kompletnie bezsensowne, ale kiedy opowiedziałem o nich Kamenowi w e - mailu, odpisał, że nieprzytomny umysł sam pisze poezję, jeśli tylko nikt mu nie przeszkadza.

Może *si*, może *no*.

Uwieczniłem w ten sposób swoją skrzynkę na listy. Potem zabrałem się do

portretowania tego, co rosło w pobliżu domu, i specjalnie poprosiłem Jacka o leksykon „Pospolita roślinność wybrzeża Florydy”, żeby móc nadawać rysunkom tytuły. Nazwa w jakiś sposób pomaga obrazowi - dodaje mu mocy. Kończyłem już wtedy drugie pudełko kredek... a trzecie czekało za kulisami na swoją kolej. Miałem w tej serii i aloes, i zatrwian zwyczajny, usiany obłoczkami żółtych kwiatków (a każdy z nich miał maleńkie serduszek w głębokim odcieniu czystego Fioletu), i ostrokrzew o długich liściach w kształcie pikowego serca, i mój ulubiony szupin, który według książki nosi! również nazwę perełkowca - od strączków rosnących na jego gałęziach, podobnych do małych wisiorków.

Rysowałem też muszle. To chyba oczywiste. Były wszędzie: gdzie tylko postawiłem nogę, zdrową czy chorą, tam natrafiałem na muszle, multum muszli. Z nich powstała Duma Key; w krótkim czasie zgromadziłem ich w domu dziesiątki.

A oprócz tego, niemalże każdego wieczoru, kiedy słońce chowało się za horyzont, rysowałem zachód. Miałem pełną świadomość, że zachód słońca to banał, i dlatego właśnie to robiłem. Coś mi mówiło, że gdybym choć raz przebił się przez ten mur z napisem: „ograne, oklepane”, to będzie to już konkretne osiągnięcie. I tak rósł stosik portretów zachodzącego słońca, a żaden z nich nie był chociażby obiecujący. Próbowałem znów kłaść pomarańczowy kolor na żółty, ale już ani razu mi nie wyszło tak dobrze jak pierwszego wieczoru. Zawsze brakowało tego posępnego nastroju przywodzącego na myśl łunę z otwartego paleniska. Wszystko było do dupy, a kolory, zamiast bić po oczach, mówiły mniej więcej tylko tyle: „Zwróć uwagę, że ten horyzont płonie”. Czterdzieści lepszych zachodów można kupić prosto z chodnika co sobotę w Sarasocie albo w Venice Beach. Odkładałem sobie niektóre z nich, ale generalnie były dla mnie tak ohydne, że większość skończyła w koszu.

Pewnego wieczoru, po kolejnej długiej serii nieudanych prób, znów patrzyłem, jak łuk tarczy słonecznej znika za widnokretem, wymalowując na nieboskłonie rumieniec jak na Halloween. Nagle pomyślałem: To przez ten statek. To on wlał w mój pierwszy rysunek tę odrobinę magii. Zachodzące słońce świeciło prosto przez niego. Mogłem mieć rację, ale w zasięgu wzroku nie płynął akurat żaden statek. Horyzont był prostą, nieprzerwaną linią, oddzielającą żółtopomarańczową zorzę od delikatnej cienistej zieleni, na którą mogłem sobie co najwyżej popatrzeć. Dysponując tak skąpym zasobem kolorów, nie miałem szans, żeby ją odtworzyć na papierze.

Na podłodze dookoła sztalug leżało ze dwadzieścia albo trzydzieści wydrukowanych zdjęć. Jedno z nich wpadło mi w oko: zbliżenie perełkowego wisiorka szupinu. Przyglądając mu się, poczułem, że prawa ręka zaczyna mnie swędzieć. Wetknąwszy żółtą kredkę w zęby, pochyliłem się, żeby podnieść fotografię z podłogi i przyjrzeć się jej dokładniej. Dzień

zaczynał już gasnąć, ale powoli, stopniowo: pomieszczenie na piętrze, zwane przeze mnie „Koralikiem”, posiadało tę zaletę, że było w nim jasno przez długi czas. Miałem więc dość światła, żeby móc podziwiać szczegóły - mój aparat robił doskonale zbliżenia.

Bez zastanowienia, nie myśląc, co właściwie robię, przypiąłem zdjęcie klamerką na skraju sztalugi i dorysowałem szupinową bransoletę do zachodu słońca, nad którym biedziłem się tego wieczoru. Pracowałem szybko. Najpierw szkic, kilka łuków, nic więcej, potem kolor: brąz, pod spodem czerni, obok plamka żółtego - to kilka płatków starego, opadłego kwiatu. Pamiętam, że byłem maksymalnie skoncentrowany na tym, co robię, tak jak czasami zdarzało mi się za dawnych lat, kiedy dopiero rozkręcałem swoją firmę, a każda budowa (właściwie każdy przetarg) to była gra o wszystko. Pamiętam też, że w pewnym momencie znów włożyłem kredkę do ust, żeby podrapać się w rękę, której nie było; wciąż zdarzało mi się zapomnieć o tym, co straciłem. Kiedy byłem rozkojarzony, a niosłem coś w lewej ręce, czasami próbowałem otworzyć sobie drzwi prawą. Ludzie po amputacji mają skłonność do zapominania. Umysł nie pamięta, a kiedy powracają do zdrowia, ciało nie próbuje wyprowadzać go z błędu.

Najlepiej z całego tamtego wieczoru pamiętam cudowne, błogie uczucie spełnienia; przez trzy albo cztery minuty było tak, jakbym złapał do butelki grom z jasnego nieba. Potem w pokoju na piętrze zaczęło robić się mroczno. Ze wszystkich kątów wylewały się cienie i pełzły po różowym dywanie, podkradając się do gasnącego okna. Nawet w ostatnich promieniach zachodzącego słońca przebijających przez kartkę na sztaludze nie mogłem dobrze się przyjrzeć swojemu dziełu. Wstałem z krzesła i pokuśtykałem do drzwi, omijając po drodze bieżnię. Dotknąłem przełącznika na ścianie obok framugi, po czym wróciłem, żeby odwrócić sztalugi. I dopiero mnie zatkało.

Szupinowa bransoletka wisiała nad horyzontem niczym macka morskiego potwora, tak ogromnego, że mógłby połknąć supertankowiec. Żółty kwiatek można by z powodzeniem uznać za oko. Oko bestii z kosmosu. Ale najważniejsze dla mnie było to, że dzięki tej operacji mój zachód słońca odzyskał prawdę, piękno i lekkość zwyczajności. Nie miałbym oporów, żeby go komuś pokazać, rzucając przy tym lekceważąco: „Takie coś mogę machnąć od ręki”.

Ten rysunek odłożyłem, po czym zszedłem na dół, odgrzałem w mikrofalówce porcję kurczaka i pochłonałem ją do ostatniego kęsa.

V

Następnego wieczoru zarzuciłem horyzont pękami prosa włosowatego. Jaskrawe

pomarańczowe światło zachodzącego słońca przebiło przez gęstą zielen, a na widnokręgu wybuchł pożar lasu. Dzień później spróbowałem wkomponować tam palmy, ale nic z tego nie wyszło. To był kolejny banał - widziałem niemalże podrygujące tancerki hula - hula, a w uszach zagrały mi ukulele. Potem ustawiłem na linii horyzontu wielką, starą konchę; zorza otoczyła ją płomienną koroną. Efekt był - przynajmniej dla mnie - przerażający, wprost nie do zniesienia. Odwróciłem ten rysunek do ściany. Wydawało mi się, że następnego dnia straci tę moc, ale nie, dalej robił takie samo wrażenie. Przynajmniej na mnie.

Zrobiłem mu zdjęcie i wysłałem w załączniku do e - maila. Ów list dał początek internetowej rozmowie, której zapis potem wydrukowałem i schowałem do teczki.

Od: EFree19 do: KamenDoc

10:14

9 grudnia

Kamen: jak ci już pisałem, wróciłem do rysowania.

Wszystko przez ciebie, więc żeby mi to zrekompensować, możesz przynajmniej zajrzeć do tego załącznika i powiedzieć, co myślisz. To jest widok z okna w domu, gdzie teraz mieszkam. Tylko bez owijania w bawełnę.

Edgar

Od: KamenDoc do: EFree19

12:09

9 grudnia

Edgar: myślę, że można mówić o poprawie. OGROMNEJ.

Kamen

PS Szczerze: ten rysunek jest niesamowity. Jak jakiś zaginiony Dali. Bez dwóch zdań: odkryłeś w sobie nieznanne pokłady. Duże, jak myślisz?

Od: EFree19 do: KamenDoc

13:13

9 grudnia

Nie wiem. Może i duże.

EF

Od: KamenDoc do: EFree19

13:22

9 grudnia

Więc zjeżdżaj na dół i DRAŻ!

Kamen

Dwa dni później zjrzał do mnie Jack, żeby spytać, czy czegoś mi potrzeba. Odpowiedziałem, że chcę jechać do jakiejś księgarni i kupić album Salmana Dali.

- Chciał pan powiedzieć: Salvadora Dali - roześmiał się Jack. - Chyba że chodzi panu o tego faceta, co napisał książkę i miał potem mocno przerabane. Jaki ona miała tytuł... Nie pamiętam.

- „Szatańskie wersety” - strzeliłem bez namysłu. Mózg to wesoła małpa, co?

Cena albumu była mocno zaporowa: sto dziewiętnaście dolarów, i to z kartą rabatową Barnes & Noble. Dobrze, że zostawiłem sobie parę milionów przy podziale majątku. Kiedy wróciłem z nowym nabytkiem do domu, rzuciła mi się w oczy migająca lampka na aparacie telefonicznym: NAGRANE WIADOMOŚCI. Dzwoniła Ilse, a wiadomość wydała mi się zagadkowa, ale tylko przy pierwszym odsłuchaniu. „Zadzwoni do ciebie mama”, usłyszałem. „Zrobiłam wszystko, żeby ją namówić, tato: wypomniałam jej wszystkie długie wdzięczności, które u mnie miała, prosiłam najładniej, jak potrafię, a jeśli chodzi o Lin, to prawie musiałam ją błagać. Więc zgódź się, dobrze? Zgódź się. Zrób to dla mnie”.

Usiadłem przy stole i zjadłem ciastko Table Talk, na które właściwie nie miałem już ochoty, chociaż myślałem o nim przez całą drogę do domu. Przekartkowałem swój nowy, kosztowny zakup, myśląc sobie przy tym: „Hello, Dali” (na pewno nie byłem pierwszym, któremu przyszedł do głowy taki dowcip). Całość nie powaliła mnie na kolana. Często miałem wrażenie, że oglądam prace utalentowanego cwaniaka, który maluje, bo mu się nudzi. Niektóre z nich jednak naprawdę mnie poruszyły, a kilka przestraszyło, tak jak tamten mój zachód słońca z konchą zawisłą nad horyzontem. Na przykład: tygrysy płynące w powietrzu

ponad leżącą na wznak nagą kobietą. Albo lewitująca róża. Znalazłem też jeden obraz - nosił tytuł „Łabędzie odbijające się w wodzie jako słonie” - tak dziwny, że aż nie mogłem na niego patrzeć... ale mimo wszystko co chwilę wracałem na tę stronę.

A tak naprawdę przez cały czas czekałem tylko, aż zadzwoni moja już niedługo była żona i zaprosi mnie do St. Paul na święta. Ona, ja i dziewczyny. I w końcu doczekałem się, a kiedy Pam oznajmiła: „Zapraszam cię, chociaż absolutnie nie jestem do tego przekonana”, oparłem się pokusie, żeby odgryźć się jej na odlew: „Ja też, ale przyjmuję zaproszenie”. Powiedziałem tylko: „Rozumiem”, a potem: „To może przylecę w Wigilię?”. W odpowiedzi usłyszałem krótkie „Dobrze”, wypowiedziane już o wiele łagodniejszym tonem. W ten sposób uniknęliśmy kłótni, która miałaby wszelkie szanse zgładzić ideę rodzinnych świąt w zarodku. Ale i tak bynajmniej nie zacząłem nagle szaleć z radości, że muszę lecieć z powrotem do domu.

DRAŻ, napisał Kamen. Wielkimi literami. Miałem przeczucie, że jeśli teraz wyjadę, to mogę raczej wszystko pograć. Wpadnę do domu na święta, a mogę wypaść z rytmu na Dumie. Spacerki, rysunki. Czułem, że jedno nakręca drugie i odwrotnie. Nie mogłem rozgryźć, w jaki sposób, ale nie było to dla mnie istotne.

Ale Illy prosi: zgódź się. Zrób to dla mnie. Wiedziała, że się zgodzę, nie dlatego, że była moją ulubienicą (dla Lin, przypuszczam, nie stanowiło to żadnej tajemnicy), ale dlatego, że nigdy nie domagała się nie wiadomo czego i bardzo rzadko prosiła o cokolwiek. A również dlatego, że słuchając nagrania, które mi zostawiła, przypominałem sobie, jak rozplakała się wtedy, gdy przyjechały do mnie z Melindą nad jezioro Phalen, jak przytuliła się i zapytała, czemu nie może być tak jak dawniej. Odpowiedziałem jej chyba, że nigdy nie jest tak jak dawniej, ale być może udałoby się jednak sprawić, żeby na kilka dni wróciły stare czasy... albo chociaż ich w miarę znośna reprodukcja. Ilse miała już dziewiętnaście lat; to chyba za dużo, żeby spędzać Boże Narodzenie jak dziecko, nawet jeśli to ma być ostatni raz. Z drugiej strony na pewno nie była za duża na być może ostatnie święta z rodziną, w której wyrosła. To samo dotyczyło się Lin. Ona co prawda miała twardszą skórę, ale to, że zgodziła się po raz kolejny przylecieć do domu z Francji, przecież coś znaczyło.

A więc dobrze. Polecę i będę miły. Muszę tylko koniecznie zabrać ze sobą Rebę, na wypadek nagłego ataku szału. Moje ataki w dużej mierze ustąpiły, ale w końcu na Dumie nie miałem się tak naprawdę na co wściekać, oprócz luk w pamięci i kulawej nogi. Zadzwoniłem do firmy czarterowej, z której usług korzystałem od piętnastu lat, aby zarezerwować sobie przelot learjetem z Sarasoty na MSP International, dwudziestego czwartego grudnia o dziewiątej rano. Jack, z którym też rozmawiałem, chętnie zgodził się odwieźć mnie na

lotnisko Dolphin Aviation i odebrać po powrocie, dwudziestego ósmego. A kiedy już sobie wszystko pozalatawałem i poukładałem, zadzwoniła do mnie Pam i odwołała całą imprezę.

VI

Ojciec Pam to emerytowany komandos z piechoty morskiej. W ostatnim roku dwudziestego stulecia przeprowadził się z żoną do Kalifornii. Kupili dom w Palm Desert, na zamkniętym osiedlu z rodzaju takich, gdzie w sąsiedztwie obowiązkowo musi się znaleźć jedno małżeństwo afroamerykańskie i cztery żydowskie. Dzieci i wegetarianie - wykluczone. Wszyscy mieszkańcy głosują na republikanów i mają małe pieski z oczkami pełnymi bezbrzeżnej głupoty. Pieskom kupują obróżki wysadzone strasami i nadają imiona, które zawsze muszą kończyć się na - i. Może być Taffi, ale lepsze jest Cassi, a Rififi albo coś w tym stylu to już totalny szczyt i szpan. U ojca Pam wykryto raka odbytu. Mnie osobiście to nie zdziwiło. Jak się żyje w stadzie białych palantów, to o coś takiego wcale nietrudno.

Nie powiedziałem tego, rzecz jasna, mojej żonie, która na początku naszej rozmowy przez telefon trzymała się dzielnie, a potem zupełnie się rozkleiła i wybuchnęła płaczem.

- Od razu zaczął chemioterapię, ale mama mówi, że mogą już być przecieki... nie, zaraz... prze... Och, do jasnej cholery, nieważne, jak to się nazywa! Już zaczynam pieprzyć jak ty!

Umilkła, a po chwili, wstrząśnięta i spokorniała, szepnęła, wciąż pociągając nosem:

- Przepraszam cię, Eddie. To było wstrętne, tak powiedzieć.

- Nieprawda - zaprzeczyłem. - To wcale nie było wstrętne. Chodzi ci o przerzuty.

- Tak. Dziękuję. No więc dziś wieczorem będą mu usuwali ten główny guz. - Znow zaczęła płakać. - Nie mogę uwierzyć, że mojego ojca spotkało coś takiego.

- Nie bój się - pocieszyłem ją. - Dzisiejsza medycyna czyni cuda. Jestem najlepszym tego przykładem.

Ewidentnie nie byłem dla niej aż takim cudem albo po prostu nie chciała rozmawiać na ten temat.

- Tak czy inaczej nie robimy świąt tutaj.

- Jasne - przytaknąłem. I szczerze? Byłem zadowolony. Jak cholera.

- Jutro lecę do Palm Desert. Ilse dołączy w piątek, Melinda dwudziestego. Domyślam się, że... Biorąc pod uwagę, że nigdy nie mieliście z ojcem wspólnych poglądów.

Biorąc pod uwagę, że kiedyś prawie się pobiliśmy z teściem (nazwał demokratów „partią komukratów”), było to bardzo łagodne określenie. Odpowiedziałem:

- Jeśli domyślasz się, że nie mam wielkiej ochoty lecieć na święta do Palm Desert, to słusznie się domyślasz. Będziesz pomagać rodzicom finansowo, a oni nie zapomną, mam nadzieję, że jest w tym też jakiś mój wkład...

- To chyba nie jest odpowiedni moment, żeby machać mi przed nosem książeczką czekową!

I w jednej chwili, jak na zawołanie, powrócił gniew. Diabełek wyskoczył ze swojego śmierdzącego pudełka. Już chciałem warknąć: „Zamknij ryj, głupia cipo”, ale się powstrzymałem. Między innymi dlatego, że powiedziałbym pewnie „gupia ciapo” albo „zamknij raj”. Nie wiem skąd, ale byłem pewien, że tak będzie.

A jednak niewiele brakowało.

- Eddie? - Ostro, jak zaczepka: jestem gotowa i chętna do walki.

- Nie macham ci niczym przed nosem - odparłem, przysłuchując się uważnie każdemu słowu. Zabrzmiało W porządku. Ulżyło mi. - Chcę tylko powiedzieć, że twój ojciec szybciej wróci do zdrowia, jeśli nie będzie musiał mnie oglądać.

W tym momencie gniew (nie, nie gniew: furia) znów przypuścił atak i prawie zmusił mnie, żebym dodał: „Ja też nie pamiętam, żebym go widział chociaż raz, kiedy sam leżałem w szpitalu”. Po raz kolejny zdołałem się powstrzymać, ale to już był konkretny wysiłek; poczułem, że się pocę.

- W porządku. Masz rację - przyznała. A potem, po chwili ciszy: - W takim razie co będziesz robił w święta, Eddie?

Namaluję zachód słońca, pomyślałem. Może mi wyjdzie.

- Jeśli będę grzeczny - powiedziałem, nie wierząc w ani jedno słowo - to może Jack Cantori zaprosi mnie na świąteczną kolację do swojej rodziny. Jack to taki młody facet, który dla mnie pracuje.

- Czujesz się już lepiej, to słyhać. Wracają ci siły. Masz jeszcze problemy z pamięcią?

- Nie przypominam sobie.

- Niezły żart.

- Śmiech to najlepsze lekarstwo. Czytałem o tym w „Przeglądzie”.

- A ręka? Dalej masz te bóle fantomowe?

- Nie - skłamałem. - Ustały zupełnie.

- To dobrze. Świetnie. - Znów chwila ciszy, a potem: - Eddie?

- Jestem. - Byłem, a jakże; a we wnętrzu obu dłoni miałem wielkie bordowe ślady po wbitych paznokciach.

Zapadła długa chwila milczenia. Telefony już nie szumią i nie trzeszczą tak jak za moich młodych lat, ale w słuchawce słyszałem wyraźnie, jak wiele kilometrów nas dzieli. Każdy z nich wzdychał łagodnie, jak zatoka, kiedy cofnie się przypyływ. Wreszcie Pam się odezwała:

- Przykro mi, że tak to wszystko wyszło.

- Mnie też - powiedziałem, a kiedy się rozłączyła, wziąłem do ręki muszlę, taką całkiem sporą, z mocnym postanowieniem, że pieprzne nią w telewizor. Ostatecznie rozwiązałem to inaczej: pokuśtykałem do drzwi i wyrzuciłem ją na pustą drogę. Nie zrobiłem tego z nienawiści do żony - nie do końca - ale czegoś jednak naprawdę nienawidziłem. Może tamtego poprzedniego życia.

A może tylko siebie.

VII

Od: nIMFa88 do: EFree19

9:05

23 grudnia

Kochany Tato,

Lekarze nie chcą dużo mówić, ale mam przecucie, że z tą operacją działo to nie za bardzo wszystko wyszło. Oczywiście możliwe, że to przez mamę tak mi się zdaje. Codziennie jeździ do szpitala, zabiera ze sobą babcię, ciągle powtarza „głowa do góry”, ale znasz ją, różowe okulary to nie ona. A ja chciałabym cię odwiedzić. Sprawdziłam sobie połączenia i mogę przylecieć do Sarasoty 26.12. Samolot ląduje o 18:15 twojego czasu. Zostałabym na dwa - trzy dni. Proszę, zgódź się! Będę mogła sama przywieźć ci prezenty, zamiast wysyłać je pocztą. Buziaki...

Ilse

PS Mam Ci też jedną ważną rzecz do powiedzenia.

Przemyślałem to sobie? Posłuchałem pierwszego impulsu, jaki podyktował mi

instynkt? Może ani jedno, ani drugie. Może nie było dla mnie nic ważniejszego niż to, że chcę ją zobaczyć. Tak czy inaczej odpisałem błyskawicznie.

Od: EFree19 do: nIMFa88

9:17

23 grudnia

Ilse: przyjeżdżaj! Poukładaj sobie wszystko, a ja wyjadę

po ciebie z Jackiem Cantorim (czyli moją osobistą Śnieżynką).

Mam nadzieję, że spodoba ci się mój dom; nazwałem go Wielki Koral.

Jedna prośba: mama musi o wszystkim wiedzieć i wyrazić zgodę.

Jesteśmy oboje po trudnych przejściach, zresztą sama dobrze o tym wiesz.

Mam nadzieję, że te ciężkie czasy to już przeszłość. Myślę, że mnie rozumiesz.

Tata

Odpowiedziała tak samo szybko jak ja. Pewnie czekała przy komputerze.

Od: nIMFa88 do: EFree19

9:23

23 grudnia

Mama już się zgodziła, pytałam ją. Próbowałam namówić Lin, żeby

wybrała się ze mną, ale ona woli posiedzieć tutaj, zanim wróci

do Francji. Nie gniewaj się na nią.

Ilse

PS Hurra! Ale się cieszę! ☺

Nie gniewaj się na nią. Moja Nimfa broniła tak starszej siostry od zawsze, odkąd tylko nauczyła się mówić. Lin nie chce iść na grilla, bo będziecie robić kielbaski, a ona nie lubi hot dogów... ale nie gniewaj się na nią. Lin nie włoży tych trampek, bo u niej w klasie nikt już nie nosi takich za kostkę... ale nie gniewaj się na nią. Lin woli, żeby na bal zawiózł ich tata Ryana... ale nie gniewaj się na nią. I wiecie, co było w tym wszystkim najgorsze? Nigdy się

na nią nie gniewałem. Mógłbym wyjaśnić Linnie, że faworyzowanie Ilse było dla mnie jak leworęczność (w tym sensie, że nic nie mogłem na to poradzić), ale tylko pogorszyłbym sprawę, chociaż to była święta prawda. A może właśnie dlatego, że to była prawda.

VIII

Ilse przyjeżdża na Dumę, do Wielkiego Korala. Hurra, ale się cieszy. Ja też, hurra, się cieszyłem. Jack znalazł dla mnie pomoc do sprzątania: silną, mocno zbudowaną panią imieniem Juanita. Przychodziła dwa razy w tygodniu. Poleciałem jej przygotować pokój gościnny, poprosiłem też, żeby dwudziestego szóstego przywiozła jakieś świeże kwiaty. Uśmiechnęła się i zaproponowała, że kupi „krokus bardzo rozvolnieniowy”, tak to przynajmniej zabrzmiało. Szlachetną sztukę kojarzenia przekrojowego mój mózg miał już wtedy opanowaną całkiem biegle, więc tę przeszkodę pokonałem w pięć sekund i już mogłem odpowiedzieć Juanicie, że kaktus bożonarodzeniowy na pewno szalenie spodoba się mojej młodszej córce.

W Wigilię wydrukowałem sobie tamten pierwszy e - mail od Ilse i usiadłem, żeby go przeczytać. Słońce opadało już ku horyzontowi, ciągnąc za sobą po wodzie długi pas wspaniałego blasku, ale do zachodu pozostały jeszcze co najmniej dwie godziny. Siedziałem w pokoju „Floryda”. Trwał przypływ. Pod podłogą z chrzęstem przewalały się fale ciężkie od muszli; ich głos był jak oddech albo ochryply, poufny szept. Przesunąłem kciukiem po kartce, w miejscu, gdzie widniało postscriptum: „Mam Ci też jedną ważną rzecz do powiedzenia”. W tym samym momencie, ni stąd, ni zowąd, poczułem mrowienie w prawej ręce, tej, której już nie miałem. Było tak wyraźne, że mogłem je dokładnie, wręcz precyzyjnie, zlokalizować: zaczynało się w zgięciu łokcia i biegło spiralą w dół, do punktu po zewnętrznej stronie nadgarstka. Szybko się nasiliło, przechodząc w uporczywe swędzenie. Najchętniej bym się podrapał.

Zamknąłem oczy i strzeliłem palcami prawej dłoni. Nie rozległ się żaden dźwięk, ale poczułem - poczułem! - jak środkowy palec uderza o kciuk. Potarłem ręką o biodro. Poczułem ciepło i tarcie. Położyłem prawą rękę, dawno temu obróconą w popiół w czeluściach szpitalnej spalarni, na poręczy fotela i zabębniłem w nią palcami. Znów cisza, ale dotyk mówił wyraźnie: twoja - skóra ociera się o wiklinę. Poczułem to, mógłbym przysiąc na Boga.

Nagle, zupełnie znienacka, naszło mnie, żeby coś narysować.

Chciałem pójść na piętro, ale wydało mi się, że to zbyt daleko. W salonie, na niskim

stoliku, leżały moje bloki rysunkowe; wziąłem jeden. Większość przyborów trzymałem na górze, schowałem jednak kilka zestawów kredek w szufladzie biurka, które stało w salonie. Wyjąłem sobie jedno pudełko.

Tak zaopatrzony wróciłem do pokoju „Floryda” (w myślach zawsze będę go nazywał werandą) i usiadłem, zamykając oczy i przysłuchując się, jak fale niestrudzenie przekopują się przez sterty naniesionych muszli, układając z nich coraz to nowe wzory i desenie. Ten chrzęst, kiedy wzrok był wyłączony, jeszcze bardziej przypominał brzmieniem mowę: dzięki falującej wodzie skrawek łądu przez chwilę przemawiał tym użyczonym językiem. Tymczasem chwile owego łądu były już policzone, ponieważ z geologicznego punktu widzenia Duma Key nie miała przed sobą długiego życia, podobnie jak reszta koralowych wysepek u wybrzeży Florydy. Zatoka Meksykańska zabierze je wszystkie, a potem gdzieś indziej powstaną nowe archipelagi. To samo zresztą prawdopodobnie czekało cały półwysep. Tutejszy łąd stał nisko i czekał na odwołanie.

Ale ten dźwięk był cudownie kojący. Hipnotyzował.

Nie otwierając zaciśniętych powiek, sięgnąłem po kartkę z e - mailem od Ilse i przebiegłem po niej palcami. Palcami prawej dłoni. Potem otworzyłem oczy i odsunąłem kartkę na bok, używając drugiej ręki, tej, która mi została. Otwarty blok położyłem sobie na kolanach, a dwanaście zaostrzonych firmowo kredek firmy Venus wytrząsnąłem z pudełka na stojący przede mną stolik. I zabrałem się do rysowania. Zamierzałem narysować Ilse - w końcu to przecież o niej przez cały czas myślałem - szykując się na szczególnie widowiskową porażkę, bo odkąd wróciłem do rysowania, nie przymierzałem się nawet jeszcze do postaci człowieka. Ale to nie była Ilse, a wyszło wcale nie najgorzej. Żadne arcydzieło, na pewno nie Rembrandt (nawet nie Norman Rockwell), ale naprawdę - nie najgorzej.

Narysowałem młodego mężczyznę w dżinsach i drużynowej koszulce Minnesota Twins. Był na niej numer 48, który dla mnie osobiście nic nie znaczył; w poprzednim życiu chodziłem na mecze T - Wolves (tak się mówi na Twinsów), kiedy tylko mogłem, nigdy jednak nie byłem zagorzałym kibicem baseballu. Chłopak na moim rysunku miał włosy koloru blond, ale wiedziałem, że to nie do końca odpowiada prawdzie; nie miałem odpowiednich barw, żeby oddać ten odcień, ciemniejący w kierunku brązu. W ręce - książka. Na twarzy - uśmiech. Wiedziałem, kto to. To była ta ważna rzecz, którą miała mi do powiedzenia Ilse. Szeptaly o tym muszle, porywane, przerzucane, przewracane przez fale: zaręczeni, zaręczeni. Ilse dostała pierścionek, z brylantem, kupiony u... Upuściłem niebieską kredkę, którą wykańczałem dżinsy chłopaka, chwyciłem czarną i wypisałem jedno słowo:

ZALES

u dołu kartki. To była informacja, jak również tytuł rysunku. Nazwa dodaje mocy.

Potem, nie przerywając ani na chwilę, odrzuciłem czarną i wziąłem pomarańczową, żeby dorysować chłopakowi ciężkie robocze buty. Kolor wydawał się zbyt jaskrawy i wyglądały jak nowe, chociaż nowe nie były, ale koncepcja jako taka okazała się słuszna.

Podrapałem się w prawe ramię - to znaczy palce lewej dłoni przeszły przez nie na wylot i zatrzymały się na żebrach.

- Kurwa. - zakląłem pod nosem.

W chrzeście muszli pod podłogą pobrzmiwało jakby męskie imię. Connor? Nie. I zacząłem też mieć wrażenie, że coś jest nie tak. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale nagle, całkiem niespodziewanie, fantomowe swędzenie prawej ręki przerodziło się w zimny, kłusający ból.

Przewróciłem kartkę i zacząłem rysować na nowej, czerwonej kredką. Czerwień, czerwień, CZERWONA! Kredka mknęła po papierze, a spod czerwonego grafitu, niczym krew z rany, wylewał się kontur ludzkiej postaci. Stała tyłem, odziana w czerwoną szatę z kołnierzem wyciętym w ząbki. Jej włosy również narysowałem czerwoną kredką, bo dzięki temu wyglądały jak strumień krwi, a od tej osoby czuło się krew. I zagrożenie. Nie dla mnie, ale dla...

- Dla Ilse - mruknąłem. - Ilse jest w niebezpieczeństwie. Czy to ten chłopak? Pan ważna rzecz do powiedzenia?

Coś ewidentnie było nie tak z panem Ważnym, ale to raczej nie on mnie tak spłoszył. Ale w takim razie co? Po pierwsze, postać w czerwonej szacie nie miała bynajmniej męskiej sylwetki. Nie mogłem przyjrzeć się jej dokładnie, ale tak... to chyba... była kobieta. Czyli jej strój to zapewne nie szata. Może suknia? Długa czerwona suknia?

Odwróciłem z powrotem pierwszą kartkę, przypatrując się książce, którą trzymał pan Ważny. Cisnąłem czerwoną kredką na podłogę i pokolorowałem okładkę na czarno, po czym, przyjrzawszy się chłopakowi jeszcze raz, nagle rzuciłem na papier jedno słowo:

SKOWRONKI

tuż ponad jego głową. Skończywszy pisać, wypuściłem z palców czarną kredkę i zakryłem twarz drżącymi dłońmi. Wykrzyknąłem imię swojej młodszej córki, takim samym głosem, jakim woła się, widząc kogoś, kto podszedł zbyt blisko stromizny albo ruchliwej ulicy.

Możliwe, że po prostu oszalałem. A nawet całkiem prawdopodobne.

Koniec końców dotarło do mnie, że zakrywam twarz - oczywiście - jedną dłonią.

Fantomowy ból i swędzenie ustąpiły. Poczucie, że zaczynam wariować - że już zwariowałem - pozostało. I tylko co do jednej rzeczy nie mogłem mieć absolutnie żadnych wątpliwości: byłem głodny. Jak wilk.

IX

Samolot Ilse wylądował dziesięć minut przed czasem. W spłowiałych dzinsach i koszulce Brown University moja córka wyglądała olśniewająco; nie mogłem zrozumieć, jakim cudem Jack mógł nie zakochać się w niej od pierwszego wejrzenia, tam na miejscu, w terminalu B. Illy rzuciła mi się na szyję, obsypała twarz pocałunkami, a potem ze śmiechem podtrzymała mnie, kiedy wsparłem się ciężko na kuli, nabierając przechyłu na lewą burtę. Przedstawiłem ją Jackowi, a kiedy podawali sobie ręce, udawałem, że nie widzę małego brylantu (kupionego, byłem tego absolutnie pewny, u Zalesa), który płonął na serdecznym palcu jej lewej dłoni.

- Wyglądasz cudownie, tato - powiedziała Ilse, kiedy wyszliśmy na zewnątrz i owiało nas balsamiczne powietrze grudniowego wieczoru. - Opaliłeś się. Ostatni raz widziałam u ciebie opaleniznę, kiedy budowałeś tamten kompleks rekreacyjny w Lilydale Park. I przybyło ci ciała. Co najmniej ze cztery kilo. Nie sądzisz, Jack?

- Sama wiesz najlepiej - uśmiechnął się Jack. - Przyprowdzę samochód. Wytrzyma pan, szefie? To chwilę potrwa.

- Spokojnie, dam radę.

Przystanęliśmy na chodniku, stawiając obok dwie podręczne torby i futerał z laptopem. Ilse spojrzała mi w oczy, uśmiechając się szeroko.

- Zauważyłeś, prawda? - zapytała. - Nie udawaj, że nie.

- Jeśli pytasz o pierścionek, to tak, zauważyłem. Mógłbym ci pogratulować, ale najpierw musisz mnie przekonać, że to nie jest zabawka z wesołego miasteczka. Lin już wie?

- Wie.

- Mama?

- A jak myślisz, tato? Zgadnij.

- Zgaduję, że... nie. W tej chwili za bardzo się przejmuję dziadkiem.

- Między innymi z tego powodu w Kalifornii przez cały czas chowałam ten pierścionek w torebce. To znaczy, wyjęłam go raz, żeby pokazać Lin. Ale główny powód był inny. Wiesz jaki? Chciałam najpierw pokazać go tobie. Czy to coś złego?

- Nie, kochanie. Jestem wzruszony.

I naprawdę byłem. Ale dręczył mnie też niepokój o nią, i to nie tylko dlatego, że do jej dwudziestych urodzin pozostały jeszcze całe trzy miesiące.

- Nazywa się Carson Jones i studiuje teologię, wyobrażasz sobie? Kocham go, tato, bardzo, bardzo go kocham.

- Cieszę się, kotku - powiedziałem, ale w tym samym momencie zdjął mnie nagły lęk, od którego zdrząły mi kolana. Tylko nie kochaj go za bardzo, prosiłem w myślach. Nie kochaj za mocno. Bo...

Pochwyciłem jej baczne spojrzenie. Gasnący uśmiech.

- Co? Co się stało? - zapytała.

Zapomniałem, że jest bystra i potrafi przejrzeć mnie na wylot. Miłość czyni z człowieka jasnowidza, prawda?

- Nic, maleńka. To znaczy... biodro mnie trochę boli.

- Wziąłeś leki przeciwbólowe?

- Prawdę mówiąc, staram się brać coraz mniej. W styczniu chciałbym całkiem je odstawić. To jest moje postanowienie noworoczne.

- Cudownie, tatusiu!

- Z tym że postanowienia noworoczne są po to, żeby je łamać.

- Nie w twoim wypadku. Jak ty już coś powiesz, zawsze dotrzymasz słowa. - Ilse zmarszczyła brwi. - Mama bardzo tego u ciebie nie lubiła. Chyba była zazdrosna.

- Kotku, rozwód rodziców to nic takiego. Zdarza się. Nie musisz wybierać między mną a mamą.

- Tak? To opowiem ci jeszcze o czymś - odparła, zaciskając wargi. - Teraz, kiedy mama siedzi w Palm Desert, zaczęła się strasznie często widywać z jednym facetem, który mieszka na tej samej ulicy. Mówi, że tylko chodzi z nim na kawę, że to tylko wzajemne współczucie, bo Max sam stracił ojca w zeszłym roku, Max zawsze lubił dziadzia, Max to, Max tamto... Ale ja widzę, jak ona na niego patrzy i... mam... to... w nosie!

Zacisnęła usta tak mocno, że wargi prawie całkowicie zniknęły; wyglądała w tej chwili niesamowicie, zupełnie jak jej matka. Ten widok nasunął mi pewną dziwnie pocieszającą myśl. Nic jej nie będzie, pomyślałem. Poradzi sobie, nawet jeśli ten święty panicz Jones ją rzuci.

Dostrzegłem już swój samochód, ale wiedziałem, że zanim Jack będzie mógł nas zabrać, minie jeszcze kilka minut. Sznur furgonetek włókł się w żółwym tempie. Oparłem kulę o biodro i przytuliłem córkę, dziewczynę, której chciało się przylecieć na Florydę z Kalifornii, żeby mnie zobaczyć.

- Nie bądź zła na mamę, dobrze? - poprosiłem.

- Nie obchodzi cię, że...

- Ostatnimi czasy obchodzi mnie przede wszystkim to, czy wy dwie, ty i Melinda, jesteście szczęśliwe.

Zauważyłem pod jej oczami ciemne półkola; chociaż była młoda, to jednak długa podróż ją zmogła. Będzie jutro spała do późna, pomyślałem z zadowoleniem. Ucieszyło mnie to, ponieważ jeśli się miało okazać, że nie myliło mnie przeczucie co do jej narzeczonego (a byłem pewien swego, chociaż bardzo chciałem się mylić), to w nadchodzącym roku czekała ją długa seria bezsennych nocy.

Jack był na wysokości terminalu Air Florida, mieliśmy więc jeszcze trochę czasu.

- Masz jego zdjęcie? - zagadnąłem. - Dociekliwych ojców interesują takie rzeczy.

Ilse rozpromieniła się od razu.

- Jasne, że mam.

Fotka, którą wyciągnęła ze swojego czerwonego skózanego portfela, była włożona w przezroczystą plastikową okładkę. Illy podała mi ją i tym razem chyba niczym się nie zdradziłem, bo jej czuły (a tak naprawdę to troszeczkę gapowaty) uśmiech nie przygasł ani trochę. A ja? Poczułem się tak, jakbym połknął coś, co w żadnym wypadku nie powinno się znaleźć w ludzkim gardle. Na przykład ziarno ołowianego śrutu.

Rzecz nie w tym, że Carson Jones przypominał człowieka, którego narysowałem w Wigilię. Na to byłem przygotowany, wiedziałem, że tak będzie, gdy tylko zobaczyłem na palcu Ilse ten ślicznie pobłyskujący pierścionek. Wstrząsnęło mną co innego: zdjęcie było niemalże identyczne z moim rysunkiem. Zupełnie jakbym zamiast fotografii szupinu, zatrwanu czy ostrokrzewu zawiesił na sztalugach ten, właśnie ten portrecik. Chłopak miał na sobie dzinsy i podniszczone żółte robocze buty, których nie udało mi się dobrze narysować. Włosy koloru ciemnoblond zakrywały mu uszy i opadały na czoło. W dłoni miał książkę - wiedziałem, że to Biblia. A najbardziej przekonującym szczegółem była koszulka Minnesota Twins z numerem 48 na piersi, po lewej stronie.

- Czyj to numer, ta czterdziestka ósemka, i w jaki sposób znalazłaś kibica Twinsów na Brown University? - zapytałem. - Tam chyba rządzą Red Sox, o ile się nie mylę.

- Z numerem 48 gra Torii Hunter - powiedziała Ilse, patrząc na mnie tak, jakbym urwał się z choinki. - Mamy w największej świetlicy duży telewizor. W lipcu Red Sox grali z Twinsami. Poszłam obejrzeć mecz. Do świetlicy zwałił się tłum ludzi, chociaż to był środek letniej sesji, ale tylko ja i Carson przyszliśmy w barwach: on miał koszulkę, a ja swoją czapkę. Więc chyba nic dziwnego, że usiedliśmy razem, no i... - Wzruszyła ramionami, dając

do zrozumienia, że reszta to już historia.

- A jeśli chodzi o wyznanie, to co on preferuje?

- Jest baptystą. - Rzuciła mi wyzywające spojrzenie, jakby zamiast „baptysta” powiedziała, na przykład, „kanibal”. Z tym że ja, jako członek (z długim stażem) Pierwszego Kościoła Adoktrynalnego, nie miałem zupełnie nic przeciwko baptystom. Ze wszystkich religii nie lubię tylko takich, które głoszą: „Nasz Bóg jest większy niż wasz”.

- Od czterech miesięcy chodzimy razem do kościoła. Trzy razy w tygodniu - dokończyła Ilse.

Jack podjechał i zatrzymał się przy krawężniku. Moja córka pochyliła się, żeby zebrać bagaże.

- Carson bierze urlop dziekański na cały wiosenny semestr - poinformowała mnie. - Jedzie w trasę, bo on śpiewa. W chórze gospel. Świetni są, poważnie. To będzie prawdziwe tournée, z rezerwacją biletów i w ogóle. Jego chór nazywa się Skowronki. Musisz go kiedyś posłuchać. Ma głos jak anioł.

- No chyba - zgodziłem się.

Ilse pocałowała mnie, tym razem delikatnie, w policzek.

- Cieszę się, że przyjechałam, tato. A ty?

- Bardziej niż możesz sobie wyobrazić - zapewniłem ją, pragnąc jednocześnie z całych sił, żeby zakochała się bez pamięci w Jacku Cantorim. To by rozwiązało wszystkie problemy... Tak przynajmniej mi się wtedy wydawało.

X

Nasz świąteczny obiad był skromny, na stole znalazł się jeden z tych kosmicznych kurczaków, które zachwalał mi Jack, a do tego konfitura żurawinowa, sałatka z paczki i pudding z ryżu. Ilse dokładała sobie wszystkiego. A kiedy już wymieniliśmy się prezentami i pozachwycaliśmy się nimi („Skąd wiedziałaś, że właśnie o tym marzyłem?!”), zaprowadziłem Ilse na górę i zaprezentowałem jej większą część swojej twórczości. Portret jej chłopaka i ten drugi rysunek, z kobietą w czerwieni (o ile to rzeczywiście była kobieta), schowałem na górnej półce szafy w sypialni. Miały tam pozostać aż do wyjazdu mojej córki.

To, co miałem do pokazania - około dwunastu prac - przypiąłem do kartonów, które poustawiałem pod ścianami. Ilse obesła tę ekspozycję. Przystanęła, zawróciła, obesła jeszcze raz. Zapadła już noc, a olbrzymie okno było po brzegi zalane mrokiem. Przypływ cofnął się całkowicie; zatoka dawała o sobie znać jedynie cichymi, nieprzerwanymi

westchnieniami fal wdzierających się na plażę, żeby tam umrzeć.

- Naprawdę sam to wszystko narysowałeś? - przemówiła wreszcie Ilse, odwracając się i mierząc mnie wzrokiem, który sprawił, że nagle poczułem się nieswojo. Tak się patrzy na człowieka tylko wtedy, gdy zaczyna się go widzieć w zupełnie innym świetle niż dotychczas.

- Naprawdę - odparłem. - Co sądzisz?

- Niezłe. A nawet lepiej. Ten, na przykład... - Pochyliła się, biorąc ostrożnie do ręki rysunek konchy ustawionej na linii horyzontu, otoczonej feerią żółtopomarańczowego blasku zachodzącego słońca. - Jest zajebis... Przepraszam... niesamowity.

- Też tak uważam - zgodziłem się. - Ale w sumie to nic oryginalnego. Zachód słońca doprawiony szczyptą surrealizmu. - I wykrzyknąłem jak ostatni kretyn: - Hello, Dali!

Illy odłożyła „Zachód słońca z konchą” i wzięła następny rysunek, „Zachód słońca z szupinem”.

- Ktoś je już oglądał? - zapytała.

- Tylko ty i Jack. Aha, i jeszcze Juanita. Powiedziała, że są *asustador*. Albo coś w tym rodzaju. Jack mówi, że to znaczy „straszne”.

- Bo są trochę straszne - przyznała moja córka. - Ale wiesz, tato... Te twoje kredki w końcu się rozmażą. I wydaje mi się też, że jeśli nie zrobisz czegoś z tymi rysunkami, to kolory zaczną blaknąć.

- Co mam z nimi zrobić?

- Nie wiem, ale myślę, że powinieneś pokazać je komuś, kto będzie wiedział. I będzie umiał ci powiedzieć, czy naprawdę są takie dobre.

To mi bardzo pochlebiało, ale jednocześnie poczułem się skrępowany. Wręcz się zląkłem.

- Nie znam nikogo takiego i nie wiem gdzie...

- Zapytaj Jacka. Może on zna jakąś galerię, gdzie ktoś zechce rzucić okiem na twoje prace.

- Jasne. Wejdę tam sobie prosto z ulicy, utykając na jedną nóżkę, i powiem tak: „Dzień dobry, mieszkam na Duma Key i mam tu parę szkiców kredkami. Rysuję głównie zachody słońca, bo to taka rzadkość na wybrzeżu Florydy, a moja gospoia mówi, że te obrazki są *muy asustador*”.

Ilse wzięła się pod boki, przekrzywiając głowę. Tak samo zawsze robiła Pam, kiedy chciała dać do zrozumienia, że nie popuści ani na jotę. Kiedy była gotowa wrzucić najwyższy bieg, rozjechać oponenta i postawić na swoim po jego trupie.

- Ojczye...! - zaczęła Ilse.

- No, dograłem się.

Puściła to mimo uszu.

- Miałeś dwie furgonetki, używany buldożer z wojny w Korei i dwadzieścia tysięcy dolarów kredytu. Zrobiłeś z tego firmę wartą miliony, a teraz chcesz mi powiedzieć, że nie dasz rady przekonać tego czy tamtego właściciela galerii sztuki, żeby rzucił okiem na twoje prace? - Wyrzuciwszy to z siebie, od razu złagodniała. - To są dobre rysunki, tato. Naprawdę dobre. Nie znam się, zaliczyłam raptem jeden beznadziejny kurs z analizy sztuki, i to jeszcze w liceum, ale nawet ja to widzę.

Odpowiedziałem jej coś, ale nie pamiętam dokładnie co. Myślałem o innym rysunku, o szalonym, pospiesznym portrecie Carsona Jonesa alias Skowronka od Baptistów. Czy tak samo przypadłby Ilse do gustu, gdyby mogła go obejrzeć?

Ale nie mogła. Ani tego portretu, ani tego drugiego, postaci w czerwonej szacie. Postanowiłem, że nikomu ich nie pokażę. Tak mi się wtedy wydawało.

- Tato, skoro przez cały czas nosiłeś w sobie taki talent, to gdzie on się podziewał?

- Nie wiem - przyznałem szczerze. - A kwestia tego, czy to naprawdę aż „taki” talent, jest wciąż nierozstrzygnięta.

- Więc poproś kogoś, żeby go ocenił, dobrze? Kogoś, kto się zna. - Ilse wzięła do ręki rysunek skrzynki na listy. - Nawet to... Niby nic specjalnego, a jednak. To przez tego... - dotknęła papieru - ...konika na biegunach. Dlaczego wstawiłeś tu konika na biegunach, tato?

- Nie wiem - powiedziałem. - Sam się prosił.

- Rysujesz z pamięci?

- Nie. Nie potrafię. To skutek wypadku albo może w ogóle nigdy tego nie umiałem. - Czasami jednak mi się udaje, dodałem w myślach. Na przykład kiedy mam portretować młodych facetów w koszulkach Twinsów. - Znalazłem takiego konia w Internecie, wydrukowałem...

- O cholera, zamazałam ci go! - krzyknęła nagle Ilse. - Cholera jasna!

- Nie przejmuj się. Nic się nie stało.

- Właśnie, że się stało! Jak mam się nie przejmować? A w ogóle to mógłbyś, kurwa, malować farbami!

Umilkła, odtwarzając sobie w głowie ostatnie zdanie. Zakryła usta dłonią.

- Pewnie mi nie uwierzysz - powiedziałem - ale znam to słowo, słyszałem je raz albo dwa. Mam jednak wrażenie, że twój chłopak... raczej nie pochwała...

- Zgadłeś - przyznała smętnie. A potem rozjaśniła się na nowo. - Chociaż czasem, jak ktoś zajedzie mu drogę, potrafi rzucić całkiem niezłym „do licha”. Tato, twoje rysunki...

- Bardzo mi miło, że ci się podobają. Po prostu.
 - Podobają to za mało powiedziane. Jestem oczarowana. - Ziewnęła szeroko. - I zasypiam na stojąco.
 - Więc może kubek kakao i spać?
 - Wspaniale to brzmi...
 - To pierwsze czy to drugie?
- Ilse roześmiała się. Jej śmiech był cudowny. Wypełniał cały dom.
- Pierwsze, a potem drugie.

XI

Rano zeszliśmy na plażę, niosąc w dłoniach kubki pełne kawy. Stanęliśmy po kostki w wodzie głaszczącej piasek. Słońce ledwie zdążyło się podźwignąć na tyle wysoko, żeby wyrzeć zza wyspy, płosząc nasze długie cienie, które biegły daleko przed siebie po cichych falach zatoki.

Ilse spojrzała na mnie poważnym wzrokiem.

- Tato, czy to jest najpiękniejsze miejsce na ziemi?
- Nie, ale ponieważ jesteś jeszcze młoda, nie mogę mieć ci za złe, że tak pomyślałaś. Ta wyspa jest czwarta na liście najpiękniejszych miejsc, ale trzy pierwsze mają takie nazwy, że nie da się ich wymówić.

Uśmiechnęła się do mnie oczami znad brzegu kubka.

- Powiedz.
- Skoro nalegasz... Numer jeden: Machu Picchu. Numer dwa: Marrakesz. Numer trzy: Petroglyph National Monument w Nowym Meksyku. A na miejscu czwartym - Duma Key, tuż obok zachodniego wybrzeża Florydy.

Na chwilę lub dwie jej uśmiech stał się jeszcze szerszy, a potem zgasł i powróciło tamto poważne spojrzenie. Przypomniałem sobie, że kiedyś patrzyła na mnie dokładnie takim samym wzrokiem. Miała cztery lata i chciała wiedzieć, czy są na świecie czary, takie jak w bajkach. Odpowiedziałem, że tak, oczywiście - myśląc, że kłamię. Teraz jednak nie byłem już taki pewny, że to nie może być prawda. Ale otaczało mnie ciepłe powietrze, woda zatoki obmywała moje bose stopy i po prostu nie chciałem sprawić Ilse przykrości. Bo przewidywałem, że już wkrótce będzie jej bardzo przykro. A z drugiej strony - przecież każdy zawsze musi dostać swoje od życia, tak czy nie? Jasne. Raz, prosto w nos. Raz, w oko. Raz, poniżej pasa i gleba, a sędziego nie ma, bo właśnie Wyskoczył sobie na hot dog. Tylko że ci,

których się kocha, potrafią nas zranić najmocniej, a do tego pokazać innym, jak to się robi. Zdolność do zadawania bólu to największa siła miłości. Tak mawia Wireman.

- Coś się stało, kochanie? - zapytałem.

- Nic. Myślałam sobie tylko, nie wiem który już raz, jak bardzo się cieszę, że przyjechałam. Wyobrażałam sobie, że gnijesz tutaj pomiędzy domem emeryta a jakimś masakrycznym plażowym barem, gdzie w czwartki urządzą wybory miss mokrego podkoszulka. Chyba naczytałam się za dużo Carla Hiaasena.

- Na Florydzie jest sporo takich przybytków - przyznałem.

- A czy są jeszcze inne miejsca takie jak Duma?

- Nie wiem. Kilka może by się znalazło. - Ale z tego, co opowiadał mi Jack, wynikało, że raczej nie.

- Tak czy inaczej, ty zasłużyłeś sobie, żeby móc tutaj zamieszkać - oznajmiła Ilse. - A jeśli to wszystko - machnęła ręką, wskazując zatokę - cię nie uleczy, to naprawdę nie wiem, co by mogło ci pomóc. Tylko że ten...

- Taak? - zapytałem przeciągle, składając dwa palce w powietrzu, jakbym podnosił coś ze stołu. Każda rodzina ma własny, wewnętrzny język, obejmujący również mowę znaków. Mój gest dla obcego nie znaczyłby nic, ale Ilse go zrozumiała i roześmiała się głośno.

- Nie bądź taki cwany. No dobrze. Jedyna rzecz, która mi tutaj przeszkadza, to ten odgłos, który robią fale, kiedy zaczyna się przypyływ. Obudziłam się dziś w środku nocy i o mało nie wrzasnęłam ze strachu, ale przyszło mi na myśl, że to muszą być muszle unoszące się na wodzie. Mam rację? Powiedz, że tak, proszę.

- Masz rację. A nie wydawało ci się, że to coś innego?

Ilse zadrżała.

- Najpierw pomyślałam... tylko się nie śmieję... że to maszeruje armia szkieletów. Setki kościotrupów chodzą w kółko dookoła domu.

Nigdy nie kojarzyło mi się to w taki sposób, ale potrafiłem zrozumieć, co Ilse ma na myśli.

- A mnie ten dźwięk uspokaja - powiedziałem.

Wzruszyła ramionami z powątpiewaniem.

- Niech ci będzie. Co kto lubi. Nie chcesz już wracać? Zrobię jajecznicę. Dorzucę nawet trochę papryki i pieczarek.

- Zgoda.

- Od wypadku jeszcze ani razu nie widziałam cię bez kuli. To już tyle czasu...

- Mam nadzieję, że do połowy stycznia dam już radę przejść czterysta metrów

brzegiem morza.

Ilse gwizdnęła z podziwem.

- Czteryście? Ale chyba w obie strony?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, nie. Czteryście metrów to czteryście metrów. A z powrotem pofrunę. -
Rozłożyłem ręce, pokazując, jak będę fruwał.

Parsknęła pod nosem i wyszła z wody, przystając nagle, kiedy w oddali zamigotał świetlisty punkcik: raz, potem drugi. Nad brzegiem zatoki, na południe od nas, majaczyły dwie ciemne plamki.

- Ludzie - powiedziała Ilse, osłaniając oczy dłonią.

- Moi sąsiedzi. Aktualnie jedyni, jakich posiadam. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Poznałeś ich już?

- Nie. Wiem tylko tyle, że to mężczyzna i kobieta na wózku. On prawie codziennie przywozi ją nad wodę na śniadanie. To, co tak błyszczy, to chyba taca.

- Powinieneś kupić sobie wózek golfowy. Mógłbyś do nich podjechać i się przedstawić.

- W końcu dotrę tam o własnych siłach i wtedy się przedstawię - oznajmiłem. - Nie będę się woził. Doktor Kamen powiedział: wyznacz sobie cele. To jest mój cel.

- Niepotrzebny ci psychiatra, żebyś wiedział, że musisz stawiać sobie cele, tato - odpowiedziała, wciąż spoglądając w kierunku południowym. - W którym domu oni mieszkają? W tym dużym, co wygląda jak ranczo z westernu?

- Tak mi się wydaje.

- I nie ma tutaj nikogo innego?

- Na razie nie. Jack mówi, że w styczniu i lutym jacyś ludzie wynajmują niektóre z tych pozostałych domów, ale chwilowo jesteśmy tutaj tylko my: ja i oni. A reszta wyspy to flora na dziko. Czysta botaniczna pornografia.

- Mój Boże, czemu?

- Nie mam zielonego pojęcia. Zamierzam się dowiedzieć, a przynajmniej spróbować, ale chwilowo wciąż jeszcze pracuję nad tym, żeby stanąć na własnych nogach. W dosłownym znaczeniu.

Szliśmy już powoli w stronę domu.

- Słoneczna, prawie bezludna wyspa - powiedziała Ilse. - I nic się za tym nie kryje? Chyba powinno, nie sądzisz?

- Sądzę - przytaknąłem. - Jack Cantori proponował mi, że trochę powęszy, ale

powiedziałem, żeby nie zawracał sobie tym głowy. Nie chciałem, żeby mnie wyręczał.

Chwyciłem kulę, wsuwając przedramię pomiędzy dwa stalowe usztywniacze; jak zwykle ta podpora, po tak długim czasie obywania się bez niej, przyniosła mi sporą ulgę. Ruszyłem w kierunku domu, postukując kulą na ścieżce, ale po chwili zorientowałem się, że Ilse została. Obejrzałem się. Znów patrzyła na południe, osłaniając dłonią oczy.

- Idziesz, kotku? - zawołałem.

- Idę.

W oddali jeszcze raz błysnęła taca śniadaniowa. Albo dzbanek do kawy.

- Może oni znają historię tej wyspy - powiedziała Ilse, doganiając mnie.

- Może.

- A ta droga? - Pokazała palcem. - Dokąd prowadzi? Gdzie się kończy?

- Nie wiem.

- Chciałbyś się wybrać po południu i sprawdzić?

- Masz ochotę poprowadzić chevroleta malibu od Hertza*?

- Jasne. - Wzięła się pod boki i udając, że s pluwa na ziemię, oznajmiła, zaciągając jak południowiec: - Pojedziem, ile drogi nam starczy.

XII

Tego dnia końca drogi o nazwie Duma Key Road nie zobaczyliśmy jednak nawet z daleka. Nasza wyprawa na południe zaczęła się dobrze, a skończyła źle.

Wyruszając, oboje byliśmy w pełni sił. Ja odpocząłem sobie przez godzinę, a W południe wziąłem oxycontin, Ilse zaś przebrała się w szorty i bluzkę z odkrytymi plecami, zawiązywaną na szyi. Na moje kategoryczne żądanie posmarowała nos maścią cynkową. Efekt ubawił ją setnie.

- Pajacyk Bobo - chichotała, przeglądając się w lustrze.

Była w świetnym humorze, ja też od dnia wypadku nie czułem się tak szczęśliwy jak wtedy - więc to, co nas spotkało tamtego popołudnia, tym bardziej było totalnym zaskoczeniem. Ilse twierdziła, że zaskodziło nam coś, co zjedliśmy na lunch, może stary majonez w sałatce z tuńczyka. Pozwoliłem jej w to uwierzyć, chociaż moim zdaniem majonez nie miał z tym nic wspólnego. To coś było starsze niż najstarszy majonez.

Ruszyliśmy przed siebie wąską, wyboistą i źle utrzymaną drogą. Zanim jeszcze wbiła się w gęstwinę porastającą większą część wyspy, samochód zaczął podskakiwać na kopcach

* Hertz - amerykańska firma zajmująca się leasingiem samochodów (przyp. tłum.).

piasku przywianego z plaży. Piasek miał kolor starych kości. Wypożyczony chevrolet pokonywał dzielnie te przeszkody, wydając głuche, dudniące odgłosy. Po jakimś czasie droga skręciła jednak nieco, zbliżając się do wody (byliśmy już niedaleko hacjendy, czyli, jak nazywał ją Wireman, *El Palacio de Asesinos*), a nawiany piasek zrobił się głębszy, tak że samochodem zaczęło zarzucać. Ilse uczyła się jeździć w okolicy, gdzie zima oznacza śnieg, więc poradziła sobie bez problemu, nie komentując tego ani słowem.

Domy stojące pomiędzy Wielkim Koralem a *El Palacio* prezentowały styl, który nazwałem „Pastelowa Brzydota a la Floryda”. Miały przeważnie zamknięte okiennice, a dostępu do nich broniły bramy z kłódkami. Był wszakże wyjątek: na jednej posesji zamiast bramy zobaczyliśmy dwa zestawione razem kozły do piłowania drewna, a na nich tablice z poszarzałym napisem, odbitym za pomocą szablonu: **ZŁE PSY ZŁE PSY**. Za Domem Złych Psów zaczynał się już teren, na którym stała hacjenda. Otaczał ją wysoki na około trzy metry mur, pokryty stiukami i wykończony na szczycie pomarańczową dachówką. Podobnej dachówki było w zasięgu wzroku sporo: pochyłości i załamania dachu rezydencji żywym płomiennym kolorem odcinały się od nieskazitelnie błękitnego nieba.

- Jejkuś... - westchnęła Ilse (musiała się tego nauczyć od swojego chłopaka - baptysty). - Zupełnie jak w Beverly Hills.

Mur biegnący wzdłuż wąskiej, zrytej zapadlinami drogi miał co najmniej siedemdziesiąt pięć metrów długości. Nigdzie nie zauważyliśmy tabliczek WSTĘP WZBRONIONY, bo też trudno chyba byłoby wyrazić dobitniej swój stosunek do reprezentantów handlowych i wędrownych mormońskich ewangelizatorów. W połowie muru znajdowała się żelazna brama. Nie była zamknięta, a pomiędzy jej uchylonymi skrzydłami siedziała...

- To ona - mruknąłem. - Ta pani z plaży. Jasna cholera, wygląda jak narzeczona Ojca Chrzestnego.

- Tato! - syknęła Ilse, jednocześnie rozbawiona i oburzona tym określeniem.

Kobieta była naprawdę mocno leciwa, musiała mieć co najmniej osiemdziesiąt kilka lat. Siedziała na wózku inwalidzkim. Na nogach miała olbrzymie niebieskie trampki za kostkę firmy Converse: ich kolor odbijał się w chromowanych prętach podnóżków. Chociaż temperatura tego dnia przekraczała plus dwadzieścia, starsza pani była ubrana w szary, dwuczęściowy dres. Spomiędzy jej sękatych palców wystawał tłący się papieros, a na głowie tkwił słomkowy kapelusz, który zauważyłem już na plaży. Z tym że wtedy nie zdawałem sobie kompletnie sprawy, jaki jest wielki: to nie był zwykły kapelusz, tylko wysłużone, postrzępione sombrero. Podobieństwo do Marlona Brando w ostatnich scenach „Ojca Chrzestnego”, kiedy Don Vito bawi się w ogrodzie ze swoim wnukiem, było uderzające. Na

kolanach staruszki leżał przedmiot przypominający kształtem pistolet.

Pomachaliśmy do niej oboje. W pierwszym momencie nie było żadnej reakcji, a potem pani na wózku uniosła otwartą dłoń, jak Indianin mówiący *howgh*, a jej twarz rozjaśnił słoneczny i niemalże całkowicie bezzębny uśmiech. Towarzyszyła mu nagła eksplozja tysięcy zmarszczek, które nadały nieznamomej kobiecie wygląd dobrej wiedźmy. Na stojący za jej plecami dom nie spojrzałem już ani razu, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarło na mnie jej nagłe pojawienie się, luzackie niebieskie trampki, twarz niczym stara mapa i ten...

- Tato, czy to był pistolet? - spytała Ilse, wpatrując się wytrzeszczonymi oczami w lusterko. - Ta pani miała pistolet?

Samochód zaczęło znosić, tak mocno, że groziło nam już otarcie się o róg muru otaczającego hacjendę. Dotknąłem kierownicy, korygując kurs.

- Chyba tak. Pistolet albo coś w tym rodzaju. Uważaj, jak jedziesz, kotku. Ta droga ma więcej ze ścieżki.

Ilse oderwała wzrok od lusterka. Dotąd jechaliśmy w pełnym słońcu, ale kiedy minęliśmy mur hacjendy, zrobiło się ciemniej.

- Jak to: coś w tym rodzaju? - zapytała.

- To raczej wyglądało jak... Nie wiem, jednoręczna kusza? Coś takiego. Może strzela z tego do węży.

- Dziękujemy Bogu, że się do nas uśmiechnęła - mruknęła Ilse. - Świetny miała ten uśmiech, prawda?

- Prawda. - Skinąłem głową.

Hacjenda był to ostatni dom na odkrytym północnym krańcu wyspy. Dalej gęszcz zaczynał coraz bardziej napierać na drogę; najpierw przyglądałem się temu z zaciekawieniem, potem z fascynacją, aż wreszcie widok za oknem przypawił mnie o klaustrofobię. Fale zieleni sięgały co najmniej trzech i pół metra, a na okrągłych liściach wzrok przyciągały smugi w kolorze ciemnego cynobru, podobne do zaschłych plam z krwi.

- Co tutaj rośnie, tato?

- Kokoloba graniasta. A to zielone z żółtymi kwiatami to wedelia. Pełno jej tutaj. Są też rododendrony. Drzewa to chyba głównie sosnowate, chociaż...

Wlekliśmy się już żółtym tempem. Ilse pokazała coś po lewej stronie drogi, pochylając się nad kierownicą i wyciągając szyję, żeby dostrzec to przez przednią szybę.

- To są chyba jakieś palmy. A tam... Spójrz do góry...

Droga prowadziła jeszcze dalej w głąb wyspy. W miejscu, do którego dojechaliśmy, pnie drzew porastających pobocze wyglądały jak zawężlona płatanina szarych lin, korzenie

powypychały natomiast smołobetonową nawierzchnię od spodu. Teraz, oceniłem, da się jeszcze tędy przejechać, ale za kilka lat? Nie ma mowy.

- To figowiec dusiciel - powiedziałem.

- Niezła nazwa, jak z Hitchcocka. Rosną tylko dziko?

- Nie wiem.

Ilse ostrożnie przeprowadziła chevroleta po fragmencie drogi wybrzuszonym przez korzenie drzew i ruszyła dalej. Figowce dusiciele przebijały się wśród gęstwiny kokolob i rododendronów. Wysokie drzewa pogrążyły drogę w gęstym cieniu. Wzrok nie przebijał zielonej ściany ani po lewej, ani po prawej stronie. Nawet niebo znikło; od czasu do czasu błysnął nam tylko skrawek błękitu albo zbłąkany promień słońca. Jeszcze kawałek i szczeliny w smolistej nawierzchni wypełniły się kępkami kłoci i twardej, połyskliwej werbeny.

Zaczęła mnie swędzieć ręka. Ta, której nie było. Bez zastanowienia sięgnąłem drugą, żeby się podrapać, i jak zwykle przejechałem tylko palcami po żebrach, wciąż jeszcze obolałych i tkliwych. Jednocześnie poczułem swędzenie w okolicy lewej skroni. Tutaj dla odmiany mogłem się podrapać, co też uczyniłem.

- Tato?

- Nic mi nie jest. Dlaczego stajesz?

- Bo... Coś niedobrze się czuję.

Wyglądała też nie najlepiej. Zbladła tak, że jej skóra praktycznie przestała się różnić kolorem od maści cynkowej rozsarnowanej na nosie.

- Ilse? Co ci jest?

- Brzuch mnie boli. Zaczynam mieć poważne wątpliwości co do tej sałatki z tuńczyka, którą zrobiłam na lunch. - Uśmiechnęła się słabo, jak wycieńczona grypowiczka. - Zastanawiam się też, czy dam radę dalej prowadzić, żebyśmy mogli wrócić.

Wątpliwości były słuszne. Nagle wydało mi się, że kokoloby zaczynają napierać na nas, a przebijające się pomiędzy nimi palmy rosną gęściej niż przed chwilą. Dotarło do mnie, że czuję zapach tego wszystkiego, co rośnie dookoła: lepka, włóknista woń, która, miałem wrażenie, spływa mi do gardła, gdzie zaczyna żyć własnym życiem. Właściwie - czemu nie? W końcu wyprodukowały ją żywe organizmy, cisnące się na nas z lewa i z prawa. I z góry.

- Tato...

Swędziało mnie coraz bardziej. To swędzenie miało barwę czerwoną, natomiast smród zatykający mi nozdrza i przełyk był zielony. Tak samo swędzi - wiedziałem to - kiedy człowiek szamocze się, uwięziony w trumnie... w urnie...

- Tatusiu, przepraszam, ale muszę zwymiotować.

Nie w trumnie i nie w urnie, tylko w blaszanej puszcze - czyli w samochodzie. Ilse otworzyła drzwi i wychyliła się na zewnątrz, zjedną dłonią zaciśniętą kurczowo na kierownicy. Po chwili usłyszałem, jak zwraca to, co miała w żołądku.

Czerwień zasnęła moje prawe oko. Pomyślałem: dam sobie radę. Dam sobie radę. Muszę tylko zacisnąć stare zęby i wziąć się w garść.

Otworzyłem sobie drzwi, sięgając ręką przez całą szerokość tułowia. Wysiadłem. A raczej wypadłem. Musiałem przytrzymać się szyby, żeby nie polecieć głową naprzód prosto w gęstwinę splątanych gałęzi kokolob i na wpół tylko widocznego figowca. Swędziało mnie już dosłownie wszystko. Krzaki i gałęzie były tak blisko samochodu, że podrapały mnie, kiedy przeciskałem się na drugą stronę. Jednym okiem widziałem

(CZERWONO)

i zdawało mi się, że zalewa je szkarłatna krew. Czułem, jak koniuszek sosnowej gałęzi drapie mnie w nadgarstek, w - mógłbym to przysiąc - prawy nadgarstek, a słysząc, że Ilse wymiotuje jeszcze raz, pomyślałem: dam sobie radę, muszę. Wiedziałem, że jest cieplej, niż powinno być, nawet biorąc pod uwagę ten szczelny dach zieleni. Nie straciłem głowy na tyle, żeby nie zadać sobie pytania: co nas podkusiło, żeby w ogóle przyjechać w to miejsce, ruszyć przed siebie tą drogą. Ale odpowiedź brzmiała oczywiście: to miał być tylko taki wypad dla zabawy.

Ilse wciąż półwisała w otwartych drzwiach, przytrzymując się prawą ręką kierownicy. Czoło miała usiane grubymi kroplami potu. Spojrzała na mnie z ukosa.

- O rany... - stęknęła.

- Właż do środka, Ilse.

- Tato, co ty chcesz zrobić?

To chyba było jasne, a jednak mimo tej jasności ni stąd, ni zowąd zabrakło mi słów „wracamy” i „prowadzę”. Gdybym się mocno spał, mógłbym najwyżej wykrztusić to trzecie, z samego środka: „ja”. Z tym że samo „ja” w takiej sytuacji nic nie znaczy, jest kompletnie nieprzydatne. Czułem, jak gniew wzbiera mi w gardle, gorący jak wrzątek. Albo krew. O tak, cieplej, cieplej. Bo gniew był, oczywiście, czerwony.

- Zabieramy się stąd - wyjaśniłem. - Właż do środka.

Tylko się na nią nie wścieknij, powtarzałem sobie w myśli. Niech się dzieje, co chce, ale nie krzycz na nią. Jezu, tylko na nią nie wrzeszcz. - Tato, nie możesz...

- Mogę. Dam sobie radę. Właż do środka.

Posłuszeństwo to nawyk, który trudno wykorzenić - szczególnie chyba w relacji pomiędzy ojcem a córką. No i do tego Ilse bardzo źle się czuła. Przesunęła się na siedzenie

pasażera, a ja wgramoliłem się za kierownicę, niezdarnie i idiotycznie, tyłkiem do przodu i oczywiście musiałem jeszcze pomóc sobie ręką, żeby unieść chorą prawą nogę. Czułem mrowienie po całej prawej stronie ciała, jakby ktoś mi aplikował elektrowstrząsy.

Zacisnąłem z całej siły powieki i pomyślałem: dam sobie radę, do jasnej cholery, niepotrzebna do pomocy mi żadna lala wypchana gałganami.

Kiedy znów spojrzałem na świat, było na nim już mniej czerwieni - i, dzięki Bogu, mniej mojego gniewu. Wrzuciłem wsteczny, powoli ruszając do tyłu. Nie mogłem wychylić się przez drzwi, tak jak Ilse, bo nie miałem prawej ręki, żeby kręcić kierownicą. Musiałem patrzeć w lusterko. W uszach rozbrzmiewał mi sygnał alarmowy, jego widmo: *bip - bip - bip*.

- Tylko nie zjedź w krzaki, proszę cię, tato - odezwała się Ilse. - Nie damy rady wrócić na piechotę. Mnie skręca, a ty jesteś niepełnosprawny.

- Nie bój się, Monico - odpowiedziałem, ale ją w tym momencie znów złapały torsje. Wychyliła się przez okno, żeby zwymiotować, i chyba nie usłyszała, co powiedziałem.

XIII

Metr za metrem oddalaliśmy się od miejsca, gdzie Ilse zatrzymała samochód. Wciąż prowadziłem na wstecznym, powtarzając sobie „tylko ostrożnie” i „spiesz się powoli”. Kiedy dotarliśmy w to miejsce, gdzie korzenie figowca dusiciela wybrzuszyły nawierzchnię, moje chore biodro odezwało się rwącym bólem. Kilka razy słyszałem, jak gałęzie kokolob szorują z piskiem po karoserii. Ludzie z Hertza nie będą zadowoleni, ale tamtego popołudnia ich niezadowolenie plasowało się na szarym końcu listy moich zmartwień.

Stopniowo, w miarę jak rzędy drzewa zasłaniające nam niebo, światła zaczęło przybywać. Ucieszyło mnie to niezmiernie. Widziałem już lepiej, a wściekłe swędzenie powoli ustępowało. Z tego cieszyłem się jeszcze bardziej.

- Widzę ten duży dom z murem dookoła - zameldowała Ilse, oglądając się przez ramię.

- Lepiej ci już?

- Może trochę, ale żołądek cały czas mi lata jak bęben od pralki. - Odbiło jej się głośno. - Boże, i po co ja to mówiłam... - Wychyliła się przez okno, zwymiotowała jeszcze raz, po czym opadła z powrotem na siedzenie, pojękując i chichocząc jednocześnie. Pozlepiane w strąki włosy lepiły się jej do czoła. - Uświńłam drzwi - poinformowała mnie. - Powiedz, że masz w domu jakiś szlauch.

- Nie przejmuj się tym. Siedź spokojnie i oddychaj głęboko.

Zasalutowała mi drżącą ręką i zamknęła oczy.

Staruszki w słomkowym kapeluszysku nie było już nigdzie widać, ale brama stała teraz otwarta na oścież, jakby właścicielka hacjendy spodziewała się gości. Albo wiedziała, że będzie nam potrzebne miejsce, żeby wykręcić.

Niewiele myśląc, wjechałem tyłem prosto w otwartą bramę. W przelocie mignął mi dziedziniec wyłożony płytkami w chłodnym, niebieskim kolorze, kort do tenisa, a także olbrzymie dwuskrzydłowe drzwi z żelaznymi pierścieniami. Potem ruszyłem przed siebie, do domu. Dotarliśmy tam pięć minut później. Mój wzrok wrócił już do normy; widziałem tak dobrze jak rano po przebudzeniu, a może nawet lepiej. Nic mi nie dolegało, tylko po prawej stronie ciała odzywało się jeszcze gdzieś słabe śwędzenie.

Oprócz tego bardzo chciało mi się rysować. Nie umiałbym powiedzieć, co stanie się tematem tego rysunku, ale wiedziałem, że wystarczy usiąść na krześle w „Koraliku”, postawić blok na sztaludze - i już będę wiedział. Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości.

- Umyję ci te drzwi - powiedziała Ilse.

- Pójdziesz się położyć - zaprotestowałem. - Wyglądasz jak trzy ćwierci do śmierci.

Uśmiechnęła się słabo.

- Nie do, tylko od. Mama tak zawsze mówiła: nie do, tylko od. Pamiętasz?

Skinąłem głową.

- Idź już. Ja to zmyję. - Pokazałem jej hydrant pod północną ścianą domu i szlauch zwinięty obok niego. - Wszystko podpięte i gotowe do akcji.

- A czy ty na pewno się dobrze czujesz?

- Jak ta lala. Zjadłaś więcej sałatki niż ja.

Udało jej się uśmiechnąć jeszcze raz.

- Zawsze miałam słabość do tego, co sama upichcę. Świetnie się spisałeś, tato.

Dałabym ci buziaka, ale mam taki oddech, że...

Umilkła, kiedy to ja ją pocałowałem. W czoło. Było chłodne i mokre od potu.

- Zbierajcie się, Kruszynko. Rozkaz ze sztabu generalnego.

Poszła do domu, a ja odkręciłem kurek i umyłem drzwi malibu. Specjalnie grzebałem się z tym dwa razy dłużej, niż było trzeba. Chciałem mieć pewność, że kiedy wrócę, Ilse będzie już spać. I tak było. Zajrzawszy przez wpółotwarte drzwi mniejszej sypialni, zobaczyłem ją w łóżku. Leżała na boku, w takiej samej pozycji jak w dzieciństwie: policzek na dłoni, jedno kolano podciągnięte prawie pod samą brodę. Wydaje nam się, że czas nas odmienia, ale tak naprawdę wszystko zostaje po staremu - tak mawia Wireman.

Może *si*, może *no* - tak mówi Freemantle.

XIV

Coś mnie kusiło, żeby to zrobić. Możliwe, że owo „coś” zamieszkało we mnie po wypadku, ale nawet jeśli nie, to z całą pewnością przyjechało ze mną z tej wyprawy w głąb wyspy. Nie opierałem się pokusie. Nie sądzę, żebym mógł się jej oprzeć, nawet gdybym spróbował, ale nie próbowałem; byłem ciekawy.

Torebka mojej córki leżała na stoliku w jadalni. Otworzyłem ją i wyjąłem czerwony skórzany portfel, żeby przejrzeć zdjęcia, które Ilse w nim nosiła. Czułem się przy tym jak drań - ale tylko trochę. Przecież niczego nie kradnę, tłumaczyłem sobie. Z tym że okradać innych można na wiele różnych sposobów, prawda?

Znalazłem w portfelu fotkę Carsona Jonesa, którą Illy pokazała mi na lotnisku, ale ta była mi niepotrzebna. Nie interesował mnie solo; chciałem zobaczyć ich razem, we dwoje. I zobaczyłem. Zdjęcie zrobiono chyba obok przydrożnego straganu z warzywami, bo dookoła stały kosze pełne ogórków i kolb kukurydzy. Oboje byli uśmiechnięci, piękni i młodzi. Stali objęci, a jedna dłoń Carsona Jonesa, wydawało mi się, zawędrowała aż na tyłek mojej córki, wbity w niebieskie džinsy. O, ty kościelny świntuszu, pomyślałem. Prawa ręka wciąż mnie swędziała, słabo, ale nieustannie; czułem na skórze mrowie drobnych ukłuć, jakbym miał potówki. Sięgnąłem lewą, żeby się podrapać - i znów przeszła na wylot, trafiając w żebra, nie wiem który już raz. Zdjęcie Ilse z jej chłopakiem także było włożone w plastikową okładkę. Wyciągnąłem je, zerkając przez ramię na wpółotwarte drzwi pokoju, gdzie spała (nerwy jak u włamywacza na pierwszej robocie) i odwróciłem w palcach na drugą stronę.

Kocham Cię, Pysiu!

„Śmieszek”

Czy mogłem zaufać kandydatowi na zięcia, który do mojej córki mówi „Pysiu”, a sam podpisuje się „Śmieszek”? Nie mogłem. Może to niesprawiedliwe, ale nie umiałem sobie tego wyperswadować. Tak czy inaczej znalazłem to, czego szukałem. Ich oboje, razem. Odwróciłem zdjęcie z powrotem, zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że wyciągam prawą rękę, dotykając pary utrwalonej na papierze fotograficznym. Z tymże wcale nie czułem się tak, jakbym to sobie wyobrażał; chyba nie muszę wam już tego mówić.

Upłynęło trochę czasu - nie wiem dokładnie ile - i zdjęcie wróciło do plastikowej okładki. Portfel wsunąłem z powrotem do torebki Ilse, pomiędzy chusteczki a kosmetyki, uważając, żeby znalazł się mniej więcej na tej samej głębokości co poprzednio. Potem

odłożyłem torebkę na stolik, a sam poszedłem do swojej sypialni, żeby wziąć stamtąd Rebę, moją instruktorkę ds. zarządzania złością. Pokuśtykałem po schodach na piętro, niosąc ją pod prawą pachą, przyciśniętą kikutem do boku. Mam wrażenie, że kładąc lalkę pod oknem, powiedziałem „Zrobię z ciebie Monice Seles”, ale równie dobrze mogłem powiedzieć „Monice Goldstein”. Karty z przeszłości każdy tasuje, jak mu pasuje (słowa ewangelii według Wiremana).

Większość wydarzeń, do których doszło na Dumie, pamiętam aż nazbyt wyraźnie, ale tamto jedno popołudnie jest dla mnie mgliste i niejasne. Wiem, że wpadłem w szal gorączkowego rysowania, a gdy pracowałem, nieznośne swędzenie prawej, nieistniejącej ręki uciło zupełnie; nie jestem też do końca pewien, ale wydaje mi się, że czerwona mgła, która w tamtych dniach zawsze kłębiła się gdzieś na obrzeżach mojego pola widzenia (gęstniejąc, kiedy byłem zmęczony), zniknęła na jakiś czas.

Nie wiem, jak długo pozostawałem w takim stanie. Chyba trochę to trwało. Bo kiedy już skończyłem, poczułem jednocześnie skrajne wyczerpanie i potworny głód.

Zszedłem do kuchni i pochłonałem porcję wędliny. Za całe oświetlenie służyła mi mroźna jasność wylewająca się z otwartej lodówki. Nie chciałem robić żadnych kanapek, bo wtedy wydałoby się, że jadłem, czyli wcale nie było mi aż tak niedobrze. A Ilse powinna dalej wierzyć, że sprawcą naszej niemiłej przygody był stary majonez. Dzięki temu nie musieliśmy szukać innych wyjaśnień.

Bo z wyjaśnień, które przychodziły mi do głowy, żadne nie było racjonalne.

Zjadłem pół paczki salami w plasterkach, wlewając do tego w siebie jakieś pół litra słodkiej herbaty, a potem poszedłem do sypialni i rzuciłem się na łóżko, gdzie ogarnął mnie wilgotny opar snu.

XV

Zachody słońca.

Czasami wydaje mi się, że z tego, co przeżyłem na Duma Key, najlepiej pamiętam płomiennopomarańczowe wieczorne niebo, niebo, które dołem rozplywa się niczym plama krwi, a ku górze przelewa z zieleni prosto w czerń. Kiedy obudziłem się tamtego wieczoru, kolejny dzień dogasał właśnie w pełni swojej chwały. Łomocząc kulą, wytoczyłem się z sypialni, skrzywiony i sztywny (pierwsze dziesięć minut po przebudzeniu zawsze było dla mnie najgorsze). Drzwi do małej sypialni zastałem szeroko otwarte, a łóżko puste.

- Ilse? - zawołałem.

Przez chwilę nie odpowiadała, aż wreszcie z piętra dobiegł mnie jej głos:

- Kurczę, tato, to ty narysowałeś? Kiedy?

W jednej chwili przestałem myśleć o tym, że coś mnie boli. Na jednej nodze pomknąłem po schodach do „Koralika”, próbując przypomnieć sobie, co rysowałem. Zresztą cokolwiek to było, to i tak nie pomyślałem o tym, żeby zabrać blok i gdzieś go schować. A jeśli to naprawdę jakieś obrzydlistwo? Mogło mi na przykład strzelić do mądrej głowy, żeby zrobić parodię ukrzyżowania, z naszym Skowronkiem Dobrej Nowiny przybitym w roli głównej.

Przed moją sztalugą stała Ilse i nie mogłem zobaczyć, co jest na tym rysunku, bo wszystko mi zasłaniała. Zresztą nawet gdyby odsunęła się na bok, to i tak jedynym źródłem światła w pokoju było to cholerne zachodzące słońce; zamiast bloku dojrzałbym najwyżej czarny prostokąt obrysowany rażącym, płomiennym blaskiem.

Włączyłem światło, pełen obaw, że sprawiłem wielką przykrość córce, która przeleciała setki kilometrów tylko po to, żeby sprawdzić, czy u mnie wszystko w porządku. Tych kilka słów, które przed chwilą usłyszałem, nie powiedziało mi nic konkretnego.

- Ilse?

Odwróciła się do mnie. Minę miała raczej speszoną niż złą.

- Kiedy to narysowałeś?

- Hmm... - zająknąłem się. - Odsuń się trochę, dobrze?

- Znów pamięć płata ci figle? Tak?

- Nie - zaprzeczyłem szybko. - No dobrze, tak. - Na rysunku była plaża widoczna przez okno; tyle wiedziałem. I nic poza tym. - Ale jak tylko rzucę okiem na ten rysunek, to od razu... Odsuń się, kotku, nie jesteś przezroczysta.

- Przezrobrudna? - zachichotała. Bardzo niewiele razy w życiu czyjś śmiech sprawił mi aż taką ulgę. Cokolwiek znalazła tam, na tej sztaludze, nie sprawiło jej to przykrości; poczułem, jak mój żołądek zsuwa się z powrotem na swoje miejsce. Jeśli nie była na mnie zła, tym samym malało ryzyko, że ja też wpadnę w niepohamowaną złość i zepsuję atmosferę tej, ogólnie rzecz biorąc, bardzo udanej wizyty córki u ojca.

Ilse odstąpiła na lewo i wreszcie mogłem zobaczyć owoc swojego półsennego twórczego szaleństwa. Pod względem wykonania był to prawdopodobnie najlepszy rysunek, jaki wyszedł spod mojej ręki od czasu tamtych pierwszych, niepewnych szkiców piórkiem nad jeziorem Phalen, ale spojrzawszy na niego, przestałem się dziwić, że Ilse nie wiedziała, o co chodzi. Ja też nie wiedziałem.

Na rysunku widniał fragment plaży, który widać było z okna „Koralika”, tego

ogromnego okna sięgającego niemalże od ściany do ściany. Świetlisty zygzak biegnący po falach, pociągnięty kolorem, któremu firma Venus, producent moich kredek, nadała firmową nazwę „chrom”, określał porę dnia: poranek. Na samym środku plaży stała dziewczynka w krótkiej tenisowej sukience. Była odwrócona plecami do patrzącego, ale zdradzały ją rude włosy: Reba, moja małeńka ukochana, towarzysza z poprzedniego życia. Właściwie był to tylko zarys jej sylwetki, ale w jakiś sposób wiedziało się, że właśnie o to chodzi, że to wcale nie jest prawdziwa dziewczynka, ale wyśniona postać w wyśnionym krajobrazie.

U jej stóp, wszędzie dookoła, leżały jaskrawozielone piłki tenisowe.

Łagodnie fale niosły w stronę brzegu jeszcze więcej takich samych piłek.

- Kiedy to narysowałeś? - spytała Ilse. A właściwie się zaśmiała, bo wciąż miała na twarzy szeroki uśmiech. - I co to w ogóle ma być?

- Podoba ci się? - odpowiedziałem pytaniem. Jeśli chodzi o mnie, to wcale mi się ten rysunek nie podobał. I to nie dlatego, że piłki były w złym kolorze, bo nie miałem odpowiedniego odcienia zieleni; nie mogłem na niego patrzeć, bo czułem, że jest w nim coś złego. Czułem się tak, jakby pękło mi serce.

- Strasznie mi się podoba! - zawołała Ilse i tym razem naprawdę się roześmiała. - No powiedz, kiedy to narysowałeś? Zdradź sekret artysty.

- Kiedy spałaś. Położyłem się, ale znowu złapały mnie mdłości, więc wolałem się spionizować na jakiś czas. Pomyślałem, że jak sobie trochę porysuję, to może przejdzie. I dopiero tutaj, na górze, dotarło do mnie, że trzymam ją w dłoni. - Pokazałem palcem Rebę siedzącą pod oknem z wyciągniętymi nogami. Krótkimi, wypchanymi nóżkami lalki.

- To jest ta laleczka, na którą masz krzyczeć, jak czegoś zapomnisz, tak?

- Coś w tym rodzaju. No więc, zabrałem się do pracy. Zajęło mi to może z godzinkę, a kiedy rysunek był gotowy, czułem się już o wiele lepiej. - Łgałem jak najęty; z tego, jak powstawał rysunek, pamiętałem niewiele, ale wystarczająco dużo, by wiedzieć, że kłamię. - Potem zszedłem na dół, położyłem się spać. I tyle.

- Mogę go dostać?

Ogarnął mnie nagły niepokój, ale jak mogłem odmówić, nie sprawiając Ilse przykrości? Jak miałem jej to wytłumaczyć, żeby moje wyjaśnienia nie zabrzmiały jak bredzenie szaleńca?

- Jeśli naprawdę chcesz... - bąknąłem. - Z tym że to nie jest nic wielkiego. Nie wolałabyś któregoś ze słynnych zachodów słońca Edgara Freemantle'a? Albo tę skrzynkę na listy z koniem na biegunach! Mogę...

- Chcę ten rysunek - przerwała mi. - Jest słodki, śmieszny i nawet jakby trochę...

złowieszczy. Patrzysz na nią raz i myślisz: „Lalka”. Potem patrzysz znowu i myślisz: „Nie, to dziewczynka, przecież sama stoi”. Niesamowite, do jakiej wprawy doszedłeś z tymi kredkami. - Skinęła głową z przekonaniem. - Chcę mieć ten rysunek. Tylko musisz dać mu tytuł. Artyści muszą tytułować swoje dzieła.

- Zgadza się, ale nie mam żadnego pomysłu...

- No już, nie wykręcaj się. Pierwsza rzecz, jaka przyjdzie ci do głowy.

- W porządku - powiedziałem. - „Gra skończona”.

Ilse klasnęła w dłonie.

- Super! Idealnie! Podpisz mi go jeszcze. Ale się rządę, co?

- Zawsze taka byłaś - odparłem. - Jaśnie oświecona infantka. Widzę, że już ci lepiej.

- Zgadza się. A tobie?

- Też - zapewnilem ją, ale bynajmniej tak się nie czułem. Ni stąd, ni zowąd opadła mnie depresja, wredna czerwona depresja, o jakiej mówiła Holly Gollightly w „Śniadaniu u Tiffany'ego”. Firma Venus nie ma w palecie takiego koloru, ale na półeczce przy sztalugach leżała czarna kredka, nieużywana, pięknie zaostrzona. Wziąłem ją w palce i złożyłem podpis na rysunku, tuż obok różowej nóżki lalki stojącej na plaży. Patrząc dalej, w perspektywie, można było dostrzec, jak łagodna fala unosi tuzin piłek tenisowych w niewłaściwym odcieniu jasnej zieleni. Nie miałem pojęcia, co mogą oznaczać te piłki, ale nie podobały mi się ani trochę. Tak samo nie podobał mi się pomysł z podpisywaniem rysunku swoim nazwiskiem, ale skoro już to zrobiłem, machnąłem jeszcze z boku tytuł: „Gra skończona”. Wtedy przypomniałem sobie pewne powiedzonko, idealnie pasujące do tego, jak się czułem. Pam nauczyła nasze córki, kiedy były jeszcze malutkie, by używały go po wykonaniu jakiejś szczególnie nieprzyjemnej pracy w domu.

Zrobione, skończone, załatwione.

XVI

Ilse została u mnie jeszcze dwa dni i to były dobre dwa dni. Kiedy odwoziliśmy ją z Jackiem na lotnisko, widać było wyraźnie, że przez ten krótki czas zdążyła złapać trochę opalenizny na twarzy i ramionach. Cała jej postać, zdawało się, jaśniała własnym, łagodnym blaskiem: blaskiem młodości, zdrowia i dobrego samopoczucia.

Jack wynalazł dla niej specjalną tubę, żeby miała w czym przewieźć swój nowy obrazek.

- Tatusiu, obiecaj, że będziesz na siebie uważał i zadzwonisz, gdybyś mnie

potrzebował.

- Rozkaz - zameldowałem z uśmiechem.

- I przyrzeknij, że pokażesz komuś swoje rysunki. Komuś, kto się na tym zna i będzie umiał je ocenić.

- Hm...

Illy pochyliła głowę i spojrzała na mnie spod zmarszczonych brwi. A ja znów miałem wrażenie, że widzę Pam, taką jak wtedy, gdy ją poznałem.

- Lepiej mi przyrzeknij, bo jak nie.

A ponieważ mówiła to całkiem poważnie - wystarczyło spojrzeć na pionową kreskę, która pojawiła się jej pomiędzy brwiami - przyrzekłem.

Kreska zniknęła.

- Więc postanowione. Świetnie. Bo wiesz, zasłużyłeś sobie na uśmiech szczęścia. Czasem już nie wiem, czy sam w to wierzysz.

- Oczywiście, że tak - zapewniłem ją.

Ilse jakby w ogóle nie usłyszała.

- Bo to, co się stało - mówiła dalej - to nie była twoja wina.

W oczach zakręciły się jej łzy. Cóż, o tym chyba sam wiedziałem, ale miło było usłyszeć potwierdzenie od kogoś innego. To znaczy - kogoś innego niż Kamen, dla którego wykrobywanie starego, zeskorupiałego brudu z dna nigdy niemytych garów zapomnianych w zlewie podświadomości to po prostu praca.

Ilse spojrzała na mnie, skinęła stanowczo głową.

- I zobaczysz, że znajdziesz to szczęście. Zarządzam to jako jaśnie oświecona infantka.

W głośniku zabrzmiał sygnał i komunikat: linie Delta, lot numer 559, do Cincinnati i Cleveland. To była dla Ilse pierwsza przesiadka w drodze do domu.

- Idź, kotku. Muszą cię zbadać czarodziejską różdżką i zajrzeć do butów.

- Chcę ci jeszcze coś powiedzieć.

Wyrzuciłem do góry jedyną rękę, jaka mi pozostała.

- Co znowu, dziecko moje kochane?

Illy uśmiechnęła się, słysząc to; tak zawsze mówiłem do niej i do jej siostry, kiedy zaczynało mi w końcu brakować cierpliwości.

- Dziękuję, że nie powiedziałeś mi, że jesteśmy z Carsonem jeszcze za młodzi na zaręczyny.

- A co by to dało?

- Nic.

- No właśnie. Poza tym coś mi się zdaje, że usłyszysz to jeszcze od mamy. Za nas oboje.

Ilse zacisnęła boleśnie wargi, ale potem parsknęła śmiechem.

- Od Linnie też... ale tylko dlatego, że raz w życiu byłam w czymś pierwsza.

Uściskała mnie mocno. Wciągnąłem w nozdrza zapach jej włosów - przyjemną, słodką woń szamponu i młodej, zdrowej kobiety. Cofnęła się i spojrzała na mojego człowieka do wszystkiego, stojącego taktownie w pewnej odległości.

- Dbaj o niego, Jack. Ten pan to skarb.

Nie zakochali się w sobie - tutaj nam się nie trafiło, *muchacho* - ale mimo to Jack uśmiechnął się do niej ciepło.

- Postaram się.

- Obiecał mi zanieść swoje rysunki do kogoś, kto się zna. Jesteś świadkiem.

Jack uśmiechnął się znów i skinął głową.

- Dobrze. - Ilse pocałowała mnie jeszcze raz, w czubek nosa. - Bądźcie grzeczni, ojcze. Wracajcie do zdrowia. - Chociaż była obwieszona torbami, ruszyła w stronę drzwi szybkim, sprężystym krokiem. Zanim się za nią zamknęły, obejrzała się jeszcze raz. - I kup sobie farby!

- Kupię! - zawołałem, ale nie wiem, czy usłyszała. Na Florydzie automatyczne drzwi zamykają się błyskawicznie, żeby oszczędzać klimatyzację. Nagle świat zamazał mi się jakoś, a wszystko wokół pojaśniało; skronie zapulsowały głucho, a w nosie coś zakłuło wilgotnym ciepłem. Pochyliłem głowę, przecierając szybko oczy palcami, a Jack znów musiał udawać, że dostrzega na czystym niebie coś wyjątkowo interesującego. Po głowie tłukło mi się jakieś słowo, którego nie mogłem pochwycić. Płótno, pomyślałem, a potem: skutkom.

Poczekaj, spokojnie, nie denerwuj się, powiedz, że dasz sobie radę, i zobaczysz, że to słowo wróci. Słowa prawie zawsze wracają. Czasami wcale się ich nie chce, a i tak wracają. To słowo brzmiało: smutno.

Usłyszałem głos Jacka:

- Poczekaj pan, aż podjadę, czy...

- Nie, mogę iść z tobą. - Zacisnąłem palce na uchwycie kuli. - Tylko uważaj na samochody. Nie chcę, żeby mnie ktoś rozjechał. To mam już przerobione.

XVII

Wracając, wstąpiliśmy do sklepu z akcesoriami dla artystów w Sarasocie. Przy tej

okazji zagadnąłem Jacka, czy wie może coś na temat galerii sztuki w tym mieście.

- Jest ich całkiem sporo, szefie - odpowiedział. - Moja mama pracowała kiedyś w galerii Scoto na Palm Avenue.

- Czy to powinno mi coś mówić?

- Scoto znajduje się w artystycznej dzielnicy tego miasta. Mają tam zawsze sam gorący towar - wyjaśnił i umilkł na chwilę. Po przemyśleniu dodał: - Chciałem, żeby to zabrzmiało pozytywnie. Właściciele też są w porządku... Przynajmniej zawsze byli w porządku dla mamy, tylko... Wie pan...

- To jest galeria z gorącym towarem.

- Właśnie.

- Wysokie ceny?

- Tam spotyka się elita - oznajmił uroczystym, poważnym tonem, ale kiedy parsknąłem śmiechem, zawtórował mi od razu. Tego dnia - tak mi się w każdym razie wydaje - Jack Cantori przestał być moim chłopcem na posyłki dwa razy w tygodniu, a stał się przyjacielem.

- Pasuje - powiedziałem - bo ja zdecydowanie piszę się do elity. Przybij piątkę, synu. Uniosłem rękę, a Jack klepnął mnie w dłoń.

XVIII

Po powrocie pomógł mi wnieść do domu moje zdobycze - pięć toreb i dwa pudła przyborów, a do tego dziewięć płócien na ramach. Zapłaciłem za ten towar prawie tysiąc dolarów. Zostawiliśmy wszystko na dole; postanowiłem, że wniesienie rzeczy na górę może poczekać do następnego dnia, kiedy Jack znów do mnie przyjedzie. Malowanie było ostatnią rzeczą, na jaką tamtego wieczoru miałem ochotę.

Pokuśtykałem do kuchni, zamyślając o przegryzieniu kanapki, ale po drodze rzuciła mi się w oczy migająca lampka automatycznej sekretarki. Pomyślałem, że to na pewno wiadomość od Ilse. Dzwoniła, bo odwołali lot ze względu na pogodę albo kłopoty ze sprzętem.

To nie była ona. Nagrany głos brzmiał przyjemnie, ale był suchy od starości. Od razu zgadłem, kto mówi. Niemalże widziałem te ogromne niebieskie trampki oparte na połyskujących chromem podnóżkach wózka inwalidzkiego.

- Dzień dobry, panie Freemantle. Witamy na wyspie Duma Key. Miło było nam pana zobaczyć, nawet przez tak krótką chwilę. Domyślamy się, sądząc z podobieństwa, że był pan

w towarzystwie córki. Czy odwiózł ją pan już na lotnisko? Jest to nader wskazane.

Nastąpiła chwila ciszy. Słyszałem oddech staruszki, głośny, zdradzający rozedmę płuc i najprawdopodobniej długoletni nałóg nikotynowy. Wreszcie odezwała się ponownie:

- Ogólnie rzecz biorąc, Duma Key nigdy nie była szczęśliwym miejscem dla córek.

Pomyślałem nagle o lalce imieniem Reba, ubranej w przedziwną, jak dla niej, sukienkę do tenisa, stojącej na plaży zasypanej małymi mechatymi piłkami, których przybywa z każdą kolejną falą.

- Byłoby miło, gdybyśmy się kiedyś poznali osobiście. Do widzenia, panie Freemantle.

Rozległo się szcęknięcie i zostałem sam na sam z chrzęszczącym głosem muszli mrowiących się pod podłogą domu.

Zaczynał się przypływ.

JAK POWSTAJE OBRAZ (III)

Bądź zawsze nienasycony. To pomogło Michałowi Aniolowi, Picassowi i nadal pomaga całej rzeszy artystów, którzy tworzą nie z miłości (choć może ona odgrywać w tym pewną rolę), ale po to, żeby mieć co włożyć do garnka. Jeśli chcesz tłumaczyć świat językiem sztuki, musisz zaprząć do tego swoje apetyty. Czy to cię dziwi? Nie powinno. Nie ma nic bardziej ludzkiego niż głód. Bez talentu nie powstanie żadne dzieło, zgoda, ale talent jest tani. Zawsze do wzięcia. Motorem sztuki jest głód. Pamiętasz tę dziewczynkę, o której opowiadałem? Ona odnalazła go w sobie i zrobiła z niego użytek.

Dziewczynka myśli: „Już nie leżę cały dzień w łóżku. Chodzę do pokoju tatusia, do gabinetu tatusia. Czasami mówię »gabinet«, a czasami »gapinek«. Jest tam ładne duże okno. Sadzają mnie na krzesło. Widzę daleko do góry. Ptaki, ładnie. Za bardzo ładnie, więc mi smutnie. Jedne chmury mają skrzydła. Inne mają niebieskie oczy. Co dzień, gdy zachodzi słońce, to płaczę, bo mi smutnie. Przykro widzieć. Boli w środku i bije. Nigdy nie umiem powiedzieć, co widzę, i dlatego mi smutnie”.

Dziewczynka myśli: „Smutno. Mówi się »smutno«. »Ładnie«, ale »smutno«. »Smutno«, tak jak »przykro«. Tak się mówi”.

A potem: „Gdybym mogła tak zrobić, żeby nie było przykro... Gdybym mogła to z siebie wyrzucić, tak jak siusiu. Płaczę i proszę, tak bardzo chcę powiedzieć, co myślę. Niania mi nie pomrze. Mówię: »Kolorowa!«, a ona dotyka swojej buzi i uśmiecha się:» Tak to się mówi«. Starsze siostry też mi nie pomogą. Taka zła na nie jestem, dlaczego mnie nie słuchacie, WY PASKUDY! Jednego dnia przychodzą do mnie bliźniaczki, Tessie i Lo - Lo. Ze sobą mówią w swoim specjalnym języku, mnie też słuchają specjalnie. Z początku nic nie rozumieją, ale potem... Tessie przynosi mi kartkę. Lo - Lo ołówek. Mówię: »U - wek!«, a one piją prawo”.

Dziewczynka myśli: „PRAWIE MI WYSZŁO, JAK SIĘ MÓWI OŁÓWEK!”.

Myśli: „Mogę zrobić cały świat na papierze. Narysuję to, co znaczą słowa. Widzę drzewo, robię drzewo. Widzę ptaka, robię ptaka. Jakie to dobre, zupełnie jak woda ze szklanki”.

Tak myśli mała dziewczynka w różowej podomce, z bandażem na głowie, siedząca na krześle przy oknie w gabinecie swojego ojca. Obok, na podłodze, leży jej lalka, Noveen. Dziewczynka ma deseczkę, na której leży kartka. Właśnie udało jej się narysować duży pazur, przypominający uschniętą sosnę taeda, stojącą tuż za oknem.

Dziewczynka myśli: „Poproszę więcej kartek”.

I wreszcie: „Jestem ELIZABETH”.

Jak się wtedy czuła? Zapewne jak człowiek, który odzyskał mowę w chwili, gdy wydawało mu się już, że umilkł na zawsze. Ale nie tylko. To było jeszcze lepsze. Otrzymała dar, dar własnego ja, dar ELIZABETH. Już na jej pierwszych, niewiarygodnie odważnych rysunkach widać, że rozumiała, co się dzieje. I chciała dostać jeszcze więcej.

Jej dar był nienasycony. Najlepsze dary - i najgorsze - zawsze takie są.

POŻYTEK Z PRZYJACIÓŁ

I

W Nowy Rok uciąłem sobie krótką, ale pokrzepiającą drzemkę. Obudziłem się po południu, mając przed oczami muszlę pewnego konkretnego rodzaju - pomarańczową w białe plamki. Może mi się przyśniła, nie wiem; chciałem mieć taką muszlę. Czułem się gotowy do rozpoczęcia eksperymentów z farbami, a wydawało mi się, że będzie to idealny dodatek do zachodu słońca nad Zatoką Meksykańską.

Ruszyłem plażą w kierunku południowym, za całe towarzystwo mając tylko własny cień i dwa albo trzy tuziny maleńkich ptaszków, które bez przerwy uwijają się nad samym brzegiem w poszukiwaniu pożywienia. Ilse mówiła na nie „ćwierki”. Dalej, nad falami, krążyły pelikany; co rusz któryś z nich związał skrzydła i spadał jak kamień do wody. Nie myślałem tego dnia o ćwiczeniach, nie czuwałem nad bolącym biodrem i nie liczyłem kroków. Właściwie to nie myślałem o niczym; moje myśli bujały swobodnie, jak te pelikany, zanim dojrzą swój obiad pluskający się beztrząsco w *caldo largo**. Skutek tego był taki, że kiedy wreszcie znalazłem muszlę, o którą mi chodziło, i obejrzałem się, byłem w szoku, widząc, jak bardzo Wielki Koral zmałał w oddali.

Stałem tak, podrzucając tę muszlę w dłoni, i nagle, zupełnie znienacka, biodro odezwało się znajomym bólem - tłuczone szkło w mięśniach i stawach - który spływał pulsującą falą wzdłuż uda aż do kostki. Ale mimo to prawie żaden ze śladów biegnących od strony domu nie był zatarty ani niewyraźny. Przyszło mi wtedy do głowy, że cały ten czas cackałem się ze sobą - może tylko trochę, a może bardzo. Ta moja głupia gra w cyferki... Dziś nie sprawdzałem nerwowo co pięć minut, czy aby nic mi nie dolega. Zapomniałem o tym. Po prostu... poszedłem sobie na spacer. Jak każdy normalny człowiek.

Tak więc stanąłem przed wyborem. Mogłem dalej się cackać i w drodze powrotnej do domu przystawać co parę metrów, żeby się rozciągnąć, tak jak uczyła mnie Kathi Green; nie

* *Caldo largo* (hiszp.) - nazwa meksykańskiej zupy rybnej (przyp. tłum.).

dawało to w sumie żadnych efektów, oprócz tego, że bolało jak diabli. Mogłem też po prostu pójść. Jak normalny, zdrowy facet.

Zdecydowałem się na to drugie. Zanim jednak ruszyłem z miejsca, obejrzałem się jeszcze przez ramię na południe. Na plaży, w pewnej odległości ode mnie, stał fotel leżakowy obciążony pasiastym materiałem, a obok niego - stolik z parasolem w takie same pasy. Na fotelu siedział mężczyzna. Kiedy patrzyłem na południe, stojąc na plaży pod Wielkim Koralem, był dla mnie tylko ciemną plamką; teraz stał się wysokim facetem o masywnej posturze, ubranym w dżinsy i białą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Jego długie włosy powiewały na wietrze. Nie mogłem dostrzec twarzy; był jeszcze za daleko. Dostrzegł mnie, zorientował się, że patrzę w jego stronę, i pomachał mi ręką. Uniosłem dłoń w odpowiedzi, a potem odwróciłem się, rozpoczynając mozolny marsz po własnych śladach. Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Wiremanem.

II

Zanim usnąłem tego wieczoru, zdążyłem jeszcze pomyśleć, że drugi dzień nowego roku upłynie mi prawdopodobnie pod znakiem powłóczenia obolałymi, praktycznie niesprawnymi nogami. Tymczasem rano stwierdziłem z największym zadowoleniem, że tak nie jest; gorąca kąpiel momentalnie ożywiła lekko tylko zesztyniałe mięśnie.

Tak więc, naturalnie, po południu znów wybrałem się na przechadzkę. Bez wyznaczania sobie celów, bez postanowień noworocznych i bez gry w cyferki. Po prostu facet spacerujący po plaży, to dalej, to bliżej łagodnie rozkołysanych fal; czasem tak blisko, że znad wody zrywała się roztrzepotana czereda spłoszonych ćwierków. Niekiedy podnosiłem jakąś muszlę, chowając ją do kieszeni (za tydzień będę chodził z reklamówką, żeby pomieścić te wszystkie skarby, myślałem). A kiedy już dotarłem na tyle daleko, że tamten rosły facet ukazał mi się w niejaki sposób - tego dnia miał na sobie niebieską koszulę, płócienne spodnie i prawie na pewno był bez butów - zawróciłem do domu, tak jak poprzedniego dnia. Najpierw jednak mu pomachałem, na co on odpowiedział tym samym.

To był właściwy początek moich Wielkich Wędrówek Brzegiem Morza. Każdego dnia dochodziłem kawałek dalej, a zarys rosłego mężczyzny w pasiastym fotelu stawał się odrobinę wyraźniejszy. Byłem prawie całkiem pewien, że on, tak samo jak ja, ma ustalony porządek dnia; rano przywozi na plażę starszą panią z hacjendy, prowadząc jej wózek po niskim drewnianym podeście, którego nie mogłem dostrzec spod Wielkiego Korala, po południu natomiast przychodzi tam sam. Nigdy nie zdejmował koszuli, ale ramiona i twarz

miał ciemne jak stare meble w reprezentacyjnie urządzonym domu. Pod ręką, na stoliku, stawał sobie wysoką szklankę i dzbanek; może była w nim woda z lodem, może napój cytrynowy, a może dzin z tonikiem. Zawsze pozdrawiał mnie uniesioną dłonią, a ja zawsze odpowiadałem.

Pewnego dnia, pod koniec stycznia, kiedy dotarłem już na odległość nie większą niż trzysta metrów, na plaży stanął jeszcze jeden pasiasty fotel leżakowy, a na stoliku - druga szklanka, pusta, ale wysoka i straszliwie kusząca. Kiedy uniosłem dłoń, rosły facet najpierw mnie pozdrowił, a potem wskazał puste siedzenie.

- Dzięki, ale jeszcze nie dziś! - zawołałem.

- Nie przejmuj się, chodź! - odkrzyknął. - Odwiozę cię wózkiem golfowym!

Uśmiechnąłem się, słysząc tę propozycję. Ilse bardzo mnie namawiała na taki wózek, żebym mógł śmigać sobie po plaży i płoszyć ćwierki.

- Mam inny plan - wyjaśniłem głośno - ale dotrę, na pewno w swoim czasie! Trzymaj dla mnie pełny dzbanek, cokolwiek tam w nim masz! I żeby było zimne!

- Jak sobie życzysz, *muchacho!* - Zasalutował mi lekko. - A na razie: żyj dniem i bierz, co przyniesie!

Do dziś pamiętam przeróżne powiedzonka Wiremana, ale to jedno kojarzy mi się z nim chyba najbardziej ze wszystkich, być może dlatego, że usłyszałem je, jeszcze zanim poznałem jego nazwisko i pierwszy raz podałem mu rękę: żyj dniem i bierz, co przyniesie.

III

Spacery nie były dla pana Freemantle'a jedynym hasłem tamtej zimy. Tamtej zimy pan Freemantle rozpoczął swój powrót do życia. I było mu z tym klawo jak cholera. Natomiast jednej wietrznej nocy, kiedy fale biły mocno o brzeg, a muszle, zamiast spokojnie rozmawiać, sprzeczały się i przekrzykiwały, podjąłem pewną decyzję: kiedy nabiorę przekonania, że ten nowy stan utrwalił się już na dobre, zaniosę Rebę, moją szefową działu zasobów złości, na plażę, obleję ją płynem do rozpalania w grillu i podpalę. Moje poprzednie życie będzie miało pogrzeb godny wikinga. A czemu nie, do cholery?

Tymczasem - malowałem. Ciągnęło mnie do tego tak samo, jak pelikany i ćwierki do wody. Już po tygodniu zacząłem żałować, że tyle czasu opieprzałem się z głupimi kredkami. Napisałem do Ilse e - maila z podziękowaniem za to, że zmusiła mnie do kupna farb i pędzli, na co ona odpowiedziała, że dla niej to było od początku oczywiste. Dowiedziałem się również, że Skowronki dały koncert w dużym kościele w Pawtucket, stan Rhode Island (miała

to być rozgrzewka przed tournée). Podobno zgromadzeni parafianie wpadli w dziki szal; oklaskom i gromkim okrzykiem „Alleluja!” nie było końca. „Wyszli z ławek i kołysali się na stojąco”, pisała moja córka. „To u baptystów oznacza taniec”.

Tej zimy, stukając jedną ręką w klawiaturę laptopa, dorobiłem się także dwóch nowych znajomości: jedną z nich był Internet, a drugą Google. Na temat wyspy Duma Key nie znalazłem prawie nic oprócz mapy. Mogłem szukać głębiej i bardziej dociekliwie, ale coś mi mówiło, że na razie lepiej będzie dać sobie z tym spokój. Najbardziej interesowały mnie informacje o dziwnych przypadkach ludzi po amputacji kończyn - i tutaj natrafiłem na żyłę złota.

Muszę was uprzedzić: pomimo że podchodziłem z rezerwą do owych historii wyszukiwanych przez Google, to jednak nawet tych najbardziej fantastycznych nie lekceważyłem całkowicie, ponieważ ani przez chwilę nie wątpiłem, że moje własne dziwne doświadczenia miały związek z obrażeniami, które odniosłem - uszkodzeniem pola Broca, utratą ręki, a ewentualnie jednym i drugim naraz. Za każdym razem, gdy oglądałem własnoręczny szkic Carsona Jonesa w koszulce z numerem Torii Huntera, byłem absolutnie pewien, że pierścionek zaręczynowy, który dostała Ilse, był kupiony u Zalesa. Mniej konkretnych, aczkolwiek dla mnie tak samo przekonujących dowodów dostarczały moje coraz bardziej surrealistyczne rysunki. Bazgranina na marginesach, którą uskuteczniałem w poprzednim życiu, w niczym nie zapowiadała niepokojących zachodów słońca, w jakich celowałem obecnie.

Nie byłem jedynym człowiekiem, który stracił jakąś część swojego ciała i zyskał w zamian coś innego. Pewien drwal z miejscowości Fredonia w stanie Nowy Jork odciął sobie dłoń podczas pracy w lesie. Żeby się nie wykrwawić na śmierć, musiał przypalić ogniem tryskający krwią kikut. Odciętą dłoń zabrał do domu, włożył do słoja, zalał alkoholem i schował w piwnicy. Trzy lata później ni stąd, ni zowąd, choć jego ręka kończyła się na wysokości nadgarstka, to ta nieobecna część ciała zaczęła mu przeraźliwie marznąć. Zszedł do piwnicy i odkrył, że szyba w oknie pękła, a lodowaty zimowy wiatr wieje prosto na stół, w którym pływa jego zakonserwowana dłoń. Były drwal przestawił go w pobliże pieca - i przestał odczuwać zimno.

Pewien rosyjski chłop z zapadłej syberyjskiej wsi o nazwie Tura obciął sobie lewą rękę aż do łokcia w maszynie rolniczej. Po tym wypadku został radiestetą. Kiedy znajdował się w miejscu, gdzie pod ziemią była woda, zaczynał odczuwać chłód w lewej dłoni i przedramieniu, chociaż ich już nie miał - a do tego wilgoć na pokrywającej tę część ciała skórze. Według artykułów opisujących ten przypadek (było ich trzy) podobno ani razu się nie

pomylił.

Jeden facet z Nebraski dzięki nagniotkom na amputowanej stopie potrafił przewidzieć nadchodzące tornado. Beznogi angielski marynarz służył swojej załodze jako żywy wykrywacz ryb. Japończyk bez rąk został znanym i szanowanym poetą - niezły wyczyn, wzięwszy pod uwagę, że do czasu, gdy stracił je w katastrofie pociągu, nie umiał ani pisać, ani czytać.

Jednak najbardziej niesamowita ze wszystkich była chyba historia Kearneya Jaffordsa z New Jersey, który, w odróżnieniu od tamtych osób, poszkodowanych w nieszczęśliwych wypadkach, urodził się bez obu rąk. Niedługo po trzynastych urodzinach Kearney, choć był dobrze przystosowany do warunków swojego kalectwa, ni stąd, ni zowąd wpadł w dziwną histerię i zaczął się skarżyć rodzicom na ból rąk, które miały być „zakopane w ziemi, na farmie”. Twierdził, że może im pokazać to miejsce. Wsiadli do samochodu i jechali przez dwa dni, aby zatrzymać się wreszcie na wiejskiej drodze w Iowa, tam gdzie zawracają już fale radiowe. Chłopiec zaciągnął rodziców na pole kukurydzy i przyjrząwszy się pobliskiej stodole (na dachu budynku widniał napis reklamowy: E - MAIL POUCH*), kazał im kopać. Posłuchali go - nie wierzyli, że naprawdę coś tam znajdują, ale mieli nadzieję, że dzięki temu ich syn odzyska spokój, a jego dolegliwość ustąpi. Niecały metr pod ziemią natrafili na dwa ludzkie szkielety. Jeden należał do dziewczynki, która w chwili śmierci miała dwanaście do czternastu lat, drugi do mężczyzny w wieku nieokreślonym. Koroner z biura w hrabstwie Adair orzekł, że odnalezione szczątki leżały w ziemi około dwunastu lat - niemniej jednak mogło ich być oczywiście trzynaście, czyli tyle, ile miał Kearney Jaffords. Żadnego z ciał nie udało się zidentyfikować. Ze szkieletu dziewczynki usunięto ręce. Brakujące kości leżały zmieszane z kośćmi anonimowego mężczyzny.

Była to fascynująca historia, ale znalazłem jeszcze dwie, które zaintrygowały mnie daleko bardziej, zwłaszcza kiedy przypomniało mi się, jak grzebałem w torebce mojej córki.

Natrafiłem na nie w artykule pod tytułem „Widzą tym, czego nie mają”, opublikowanym w czasopiśmie parapsychologicznym „The North American Journal of Parapsychology”. Artykuł opisywał przypadki dwóch jasnowidzów: Amerykanki z Phoenix i Argentyńczyka z Rio Gallegos. Kobieta nie miała prawej dłoni, mężczyzna całej prawej ręki. Oboje pomagali policji odnajdywać zaginione osoby. Każde z nich miało na swoim koncie

* West Virginia Mail Pouch Company - producent tytoniu do żucia, reklamujący się przez ponad stulecie (1890 - 1992) na obszarze całych Stanów Zjednoczonych za pomocą sloganów malowanych na ścianach i dachach prywatnych stodół. Pomimo niskich stawek (jeden do dwóch dolarów rocznie, czyli ok. 20 - 40 dzisiejszych USD), właściciele chętnie zgadzali się udostępnić swoje ściany, ponieważ oznaczało to darmowe malowanie całej ich powierzchni (przyp. tłum.).

kilka sukcesów (porażki prawdopodobnie też im się zdarzały, ale o tym akurat nie napisano).

Zgodnie z tym, co przeczytałem, zarówno Amerykanka, jak i Argentyńczyk stosowali taką samą technikę. Dostarczano im sztukę odzieży należącą do zaginionej osoby albo na przykład próbkę jej odręcznego pisma, a oni zamykali oczy i wyobrażali sobie, że dotykają tego przedmiotu palcami amputowanej kończyny (w tym miejscu znajdował się mętny przypis na temat tak zwanej Dłoni Chwały alias Zakłętej Dłoni). Kobieta z Phoenix widziała wtedy „obraz”, który opisywała ludziom proszącym ją o pomoc, natomiast mężczyzna z Rio Gallegos przekazywał treść swoich wizji w inny sposób: chwycił pióro i seriami sztywnych, automatycznych ruchów zaczynał jak szalony wypisywać krótkie, lakoniczne zdania. Był to dla mnie odpowiednik tego, co działo się ze mną, kiedy rysowałem.

Powtórzę jeszcze raz: nie wierzyłem ślepo we wszystkie historie znajdowane w Internecie. Kilka tych najbardziej kolorowych było nie do przyjęcia. Jednak ani przez chwilę nie wątpiłem, że coś się ze mną dzieje. I chyba wierzyłem w to, nawet gdyby portret Carsona Jonesa nigdy nie powstał. Główną rolę odegrała w tym cisza: poza Jackiem i Wiremanem (z każdym dniem bliższym), który na mój widok machał i wołał „*Buenos dias, muchacho!*”, nie widywałem się i nie rozmawiałem z nikim. Poziom bodźców zewnętrznych spadł niemal do zera; w takiej sytuacji człowiek zaczyna słyszeć samego siebie o wiele wyraźniej. A niezakłócona komunikacja pomiędzy jaźniami - tą powierzchowną i tą głęboką - jest wrogiem zwątpienia w siebie. Likwiduje mętlik w głowie.

Żeby jednak mieć pewność, postanowiłem przeprowadzić pewien eksperyment. Tak to sobie tłumaczyłem: eksperyment.

IV

Od: EFree19 do: Pamorama667 9:15

24 stycznia

Pam: Mam do ciebie nietypową groźbę. Maluję teraz obrazy, są na nich różne dziwne rzeczy, ale wychodzi całkiem fajnie (przynajmniej ja tak uważam). Łatwiej mi to pokazać, niż opisać, więc wysyłam w załączniku do tego e - maila kilka jpegów. Przypomniały mi się też te twoje stare rękawiczki ogrodnicze, pamiętasz, te co na jednej było napisane ręce, a na drugiej precz. Bardzo bym chciał je wkomponować w zachód słońca. Nie pytaj

dlatego, pomysły same przychodzą mi do głowy. Masz je jeszcze?
Możesz przysłać? Jeśli będziesz chciała, to chętnie odeślę ci je z powrotem.

Wolałbym też, żebyś nie pokazywała moich obrazków nikomu ze „starej wiary”. Szczególnie Bozi - gdyby je zobaczył, obśmiałyby się pewnie jak nerka.

Eddie

PS: Jeśli nie masz ochoty wysyłać mi tych rękawiczek to w porządku. To tylko taki mój korpus.

E.

Odpowiedź przyszła tego samego dnia, wieczorem. Pam wróciła już z Palm Desert do St. Paul.

Od: Pamorama667 do: EFree19

17:00

24 stycznia

Hej Edgar: Ilse już mi powiedziała o twoich obrazkach. Faktycznie są oryginalne. Mam nadzieję, że to nowe hobby przetrwa dłużej niż twoja pasja remontowania starych samochodów. Żeby nie eBay, to ten zdezelowany mustang stałby pewnie za domem do dziś. Masz rację, że twoja prośba jest nietypowa, ale po obejrzeniu fotek rozumiem mniej więcej, o co w tym chodzi (zestawić razem różne rzeczy, żeby ludzie spojrzeli na nie innym okiem, tak?), a poza tym i tak miałam kupić sobie nowe rękawiczki do ogrodu, więc „płoszę baldzo”. Wyślę ci je UPSem, tylko chciałabym zobaczyć „przetwór” 😊 po ukończeniu, o ile uda ci się go skończyć.

Ilse mówi, że było świetnie. Mam nadzieję, że wysłała ci kartkę z podziękowaniami, a nie tylko e - maila, ale przecież ją znam.

Chcę ci jeszcze coś powiedzieć, Eddie, tylko, że nie wiem, czy ci się to spodoba. Przesłałam kopię twojego e - maila razem z jpegami do dra Zandera Kamena - na pewno go pamiętasz. Pomyślałam, że chętnie rzuciłby okiem na twoje obrazki, ale przede wszystkim chciałam, żeby przeczytał, co napisałeś, i stwierdził, czy jest powód do zmartwienia. Bo robisz w piśmie takie same błędy jak wcześniej w mowie: „groźbę” zamiast „prośbę”, „obśmiać się jak nerka” zamiast „jak norka”, a na samym końcu napisałeś: „to tylko taki korpus”. Nie wiem, co to miało znaczyć, ale dr Kamen mówi, że może „kaprys”.

Robię to, bo myślę o tobie.

Pam

PS: Ojciec czuje się już trochę lepiej, operacja poszła całkiem nieźle (lekarze mówią, że być może „udało się usunąć wszystko do końca”, ale oni pewnie zawsze tak mówią). Chemioterapię znosi dobrze i wypisali go do domu. Zaczyna już sam chodzić.

Dzięki za troskę.

To postscriptum stanowiło wzorcową próbkę brzydkiej strony charakteru mojej ekszony. Jej taktyka była prosta: przycziąć się... wyczekać stosownej chwili... a potem „płoszę baldzo”: ukąsić i w nogi. A jednak, mimo wszystko - miała rację. Na pewno często dzwoni do ojca, więc trzeba było mu przekazać za jej pośrednictwem życzenia powrotu do zdrowia od starego komukraty. Nowotwór w dupie to straszna rzecz.

Cały jej e - mail był jedną wielką symfonią pretensji: od wypominania mi tego starego mustanga, którego nigdy nie miałem czasu skończyć, do zatroskanych uwag na temat moich

przejęzyczeń. I kto to mówi: kobieta, dla której „Xander” pisze się przez „Z”.

Tak więc kiedy już wyrzuciłem z siebie wszystko, co leżało mi na wątrobie (a wyrzucałem całkiem głośno, do wszystkich ścian mojego pustego domu), przejrzałem jeszcze raz e - maila, którego jej wysłałem, i faktycznie się zaniepokoiłem. W każdym razie trochę.

Z drugiej strony, może to tylko mój korpus?

V

Drugi pasiasty fotel zagościł już na dobre przy stoliku rosłego faceta. W miarę jak się zbliżałem, zaczęliśmy ucinać sobie krótkie pogawędki, złożone z pokrzykiwań. Dziwny to sposób nawiązywania znajomości, niemniej całkiem przyjemny. Następnego dnia po tym, jak dostałem od Pam e - maila z podtekstem przesznurowanym pod przykrywką troski o mnie („Mógłbyś być tak samo chory jak mój ojciec, Eddie, a może nawet bardziej”), osobnik spod parasola zawołał do mnie:

- Długo jeszcze będziesz tutaj szedł, jak myślisz?
- Cztery dni! - odkrzyknąłem. - Może trzy!
- Aż tak bardzo ci zależy, żeby obrócić samemu w obie strony?
- Aż tak! - potwierdziłem. - Jak się nazywasz?

Zauważyłem, że jego opalona na ciemny brąz twarz, choć już nieco zaokrąglona, była wciąż przystojna. Kiedy uśmiechnął się szeroko, błysnęły w niej białe zęby, a lekko obwisłe policzki zjędrniały natychmiast.

- Przedstawię ci się, jak już tu dotrzesz! A ty?
- Moje nazwisko jest na skrzynce na listy! - zawołałem.
- Prędzej zacznę dzwonić do radia, żeby usłyszeć swój głos, niż zniżę się do czytania nazwisk na skrzynkach!

Kiwnąłem mu ręką, a on odpowiedział tym samym, zawołał „*Hasta mañana!*” i zapatrzył się na fale i krążące ponad nimi ptaki - tak jak co dzień.

Po powrocie do domu zauważyłem małą flagę na ikonie mojej skrzynki pocztowej. Włączyłem program i odebrałem następującego e - maila:

Od: KamenDoc do: EFree19

14:49

25 stycznia

Edgar: Dostałem od Pam kopię twojego e - maila i twoich obrazów. Przede wszystkim muszę ci powiedzieć, że JESTEM W SZOKU, widząc, w jakim tempie wyrastasz na prawdziwego artystę. Już widzę, jak się zrymasz na określenie „artysta”, znam tę twoją marsową minę. Ale nie znajduję innego słowa. NIE WOLNO CI TERAZ PRZESTAĆ. A propos tego, co tak niepokoiło Pam: nie sądzę, żeby było czym się martwić, ale przydałoby się zrobić rezonans. Masz tam na miejscu jakiegoś lekarza? Już pora się przebadać od A do Z, przyjacielu.

Kamen

Od: EFreel9 do: KamenDoc

15:58

25 stycznia

Kamen, miło, że napisałeś. Skoro tak się uparłeś nazywać mnie artystą (w sumie mógłbym być nawet artystą „tragicznym”), to czy mogę się nie zgodzić z kimś takim jak ty? Na Florydzie nie znam żadnych łapiduchów. Możesz mnie do kogoś skierować, czy mam to załatwić z Toddem Jamiesonem, ostatnim lekarzem, który grzebał mi w mózgu?

Edgar

Spodziewałem się, że kogoś mi poleci. Gdyby to zrobił, mógłbym nawet nie przegapić umówionej wizyty, ale trzeba powiedzieć, że w tamtym okresie kilka połkniętych wyrazów czy innych językowych dziwolągów nie było dla mnie najważniejsze. Na szczycie mojej listy priorytetów plasowało się to, żebym zaczął normalnie chodzić. Dotarcie do pasiastego fotela, ustawionego specjalnie dla mnie, też znajdowało się wysoko, ale koniec stycznia był to przede wszystkim czas buszowania w Internecie i malowania. Niedawno, bo poprzedniego wieczoru, powstał „Zachód słońca z muszlą” nr 16.

Dwudziestego siódmego stycznia, po powrocie z wędrowki po plaży (zawróciłem już tylko jakieś sto pięćdziesiąt metrów od czekającego na mnie fotela), znalazłem pod drzwiami

przesyłkę ze znakiem firmy UPS. W paczce znajdowała się para rękawiczek ogrodniczych: na jednej widniało wypisane spłowiała czerwienią słowo RĘCE, a na drugiej, identycznym kolorem i czcionką - PRECZ. Chociaż wysłużone i sfatygowane po wielu sezonach używania, były czyste. Pam wyprała je, tak jak się spodziewałem. Prawdę mówiąc, liczyłem na to. Bo nie interesowała mnie teraz kobieta, która nosiła te rękawiczki, gdy była jeszcze moją żoną, ani ta, która wkładała je do pracy w ogrodzie przy domu w Mendo ta Heights jesienią zeszłego roku, kiedy ja mieszkalem nad jeziorem Phalen. Tamta Pam nie była żadną niewiadomą. Natomiast... „Opowiem ci jeszcze o czymś”, mówi moja Nimfa, nie zdając sobie sprawy, jak niesamowicie w tej chwili przypomina matkę. „Zaczęła się strasznie często widywać z jednym facetem, który mieszka na tej samej ulicy”.

Interesowała mnie teraz właśnie ta kobieta - ta, która tak często widuje się z facetem, co mieszka na tej samej ulicy. Z tym Maksem. To właśnie ta Pam własnymi rękami wyprała rękawiczki ogrodnicze z czerwonym napisem, a potem włożyła je do białego pudełka, które firma UPS dostarczyła do mojego domu.

I to ona była eksperymentem, który postanowiłem przeprowadzić... Tak przynajmniej to sobie tłumaczyłem, ale człowiek przecież oszukuje siebie tak często, że gdyby mu za to płacili, mógłby się spokojnie utrzymać. Tak mówi Wireman, a on często ma rację. Możliwe, że zbyt często. I to do tej pory, nawet teraz.

VI

Nie czekałem na zachód słońca, bo przynajmniej w tym względzie nie próbowałem się oszukać: me chodziło mi o to, żeby namalować obraz, ale o to, żeby ten obraz zawierał informacje. Zabrałem nierealnie czyste rękawiczki ogrodnicze mojej żony (musiała je chyba ukusić w tym wybielaczu) na górę i zasiadłem przed sztalugą. Czekają już na mnie czyste płótno. Po lewej miałem dwa stoły. Na jednym leżały wydruki moich zdjęć i różne okazy, które znalazłem podczas spacerów. Drugi stał na niedużym kawałku zielonej plandeki. Poustawiałem na nim dwadzieścia parę miseczek z farbami, kilka słoików do połowy napełnionych terpentyną, a do tego zgrzewkę wody mineralnej do płukania pędzli. Wyglądało to całkiem jak zwykły, pozostawiany, nieuporządkowany warsztat pracy malarza.

Położyłem rękawiczki na kolanach, zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że dotykam ich prawą ręką. Nic. Nic nie zabolęło, nic nie zaswędziało, nie odniosłem wrażenia, że pod fantomowymi palcami mam szorstką, poprzecieraną tkaninę. Siedziałem na krześle, przywołując w skupieniu... coś. Nie wiem co, ale bardzo się starałem. I nic, ciągle nic. Z

równym powodzeniem mógłbym się zmuszać do srania, kiedy nie ma czym. Po pięciu długich minutach otworzyłem z powrotem oczy i zerknąłem w dół, na rękawiczki: RĘCE... PRECZ.

Beznadzieja. Pieprzone beznadziejne szmaty.

Człowieku, nie irytuj się, upomniałem się w myślach. Nie załamuj rąk. Ale potem pomyślałem: Za późno. Już się wściekłem. Na te rękawiczki i na kobietę, która je nosiła. A jeśli chodzi o załamywanie rąk...

- Na to też już za późno - powiedziałem na głos, spoglądając na swój kikut. - Skończyły mi się ręce. A miało być tak wdzięcznie.

Nie to słowo. Nigdy nie trafię na właściwe słowo, do końca życia będę pieprzył jak potłuczony. Nagle zachciało mi się wziąć cały ten szajs leżący na tych dwóch głupich stołach i cisnąć nim o podłogę.

- Pięknie - wycedziłem, jak najciszej i przesadnie powoli. - Miało być tak pięknie. A nie będzie. Zabrakło mi ręki.

To było mało zabawne (i w ogóle lekko bez sensu), ale mimo wszystko gniew zaczął ze mnie spływać. Pomogło mi to, że znalazłem właściwe słowo i usłyszałem, jak sam je wypowiadam. Sprawdzony patent.

Zmusiłem się, żeby przestać myśleć o kikucie i skoncentrować się na rękawiczkach mojej żony. RĘCE PRECZ. Dobrze powiedziane.

Westchnąłem - być może z ulgą, nie pamiętam dokładnie, ale jest to całkiem możliwe - i odłożyłem je na stół, gdzie leżały moje modele. Następnie ze słoika z terpentyną wyjąłem pędzel, przetarłem go szmatką, wypłukałem i w końcu zmierzyłem wzrokiem czyste, puste płótno. Czy ja naprawdę chciałem namalować te rękawiczki? Po jaką cholere? Po co?

I nagle cały ten pomysł z moim malowaniem wydał mi się nedorzeczny. Daleko bardziej przekonująco zabrzmiało, kiedy pomyślałem: nie umiem. Jeśli teraz zanurzę ten pędzel w czarnej farbie i dotknę nim tej złowrogiej bieli, to może mi najwyżej wyjść drużyna kreskowych ludzików: *Dziesięciu Indianków na obiad iść chciało, jeden utonął, dziewięciu zostało. Dziewięciu Indianków nie chciało iść spać...*

Przebiegł mnie dreszcz. Wstałem - zerwałem się - z krzesła, czując, że nagle wszystko mi obrzydło - Wielki Koral, „Koralik”, Duma Key i w ogóle cała ta moja jałowa vegetacja kuśtykającego inwalidy na emeryturze. Kogo znów chciałem udawać? Artystę? Śmieszne. Niech sobie Kamen wypisuje wielkimi wołami JESTEM W SZOKU i NIE WOLNO CI TERAZ PRZESTAĆ. Kamen to specjalista od wciskania kitu ofiarom tragicznych wypadków. Wie, jak im wmówić, że ta mdła, blada i bezbarwna podróbka życia, którą muszą się cieszyć, dorównuje pod każdym względem oryginałowi. Kamen i Kathi Green, treserka

inwalidów, to para czempionatów pozytywnego dopingu. Są w tym ZAJEBIŚCI, a rzesze wdzięcznych pacjentów wychwalają ich pod niebiosa, wołając: NIE WOLNO WAM TERAZ PRZESTAC! A może chciałem udawać medium? Wmówić sobie, że jestem opętany przez widmową prawą rękę, która widzi nieznanne? To już nie było nawet śmieszne, tylko żalodne i chore. Umysłowo.

Przypomniało mi się, że w Nokomis jest sklep sieci 7 - Eleven. Postanowiłem zrobić sobie egzamin z prowadzenia samochodu, pojechać tam, kupić sobie kilka piw i zalać się w trupa. Może jutro świat bardziej mi się spodoba, kiedy kac rozmaże mi go przed oczami. Nie umiałem sobie nawet wyobrazić, że mógłby wyglądać jeszcze gorzej niż teraz. Sięgnąłem po kulę, chcąc wstać, ale zaczepiłem nogą o krzesło. Lewą, tą zdrową! Straciłem równowagę, a prawa noga była za słaba i nie mogła utrzymać ciężaru ciała, więc rymnąłem na podłogę, wyciągając przed siebie prawą rękę, żeby zamortyzować upadek.

Rzecz jasna, to był odruch. Sęk w tym, że... pomogło. Udało się. Nie widziałem tego - oczy miałem zamknięte z całej siły, tak jak się robi, kiedy trzeba przyjąć cios - ale gdybym się nie oparł na tę rękę, to jestem prawie pewien, że konsekwencje byłyby naprawdę poważne, chociaż na podłodze leżał dywan. Walnąłbym się w głowę, być może nawet na tyle mocno, żeby skrzyknąć sobie kark.

Przez chwilę leżałem bez ruchu, próbując się upewnić, że jeszcze żyję. Potem dźwignąłem się na kolana; biodro rwało wściekłym bólem. Uniosłem pulsującą prawą rękę do oczu. Nie widziałem jej. Nie było żadnej ręki. Ustawiłem przewrócone krzesło, oparłem się na nim lewą dłonią... i nagle wyrzuciłem głowę do przodu, zatapiając zęby w prawym przedramieniu.

Poczułem, jak wchodzi w miękkie ciało, tuż pod łokciem. Nerwy przekazały ból.

Ból - i coś jeszcze. Ucisk na wargach, które zetknęły się z ręką. W następnej chwili poderwałem głowę, dysząc ciężko.

- Jezu! - sapnąłem. - Jezu! Co się dzieje? Co to jest?

Już prawie myślałem, że moja amputowana kończyna nagle wróci na swoje miejsce, ale tak się nie stało. Czułem natomiast, że mogę nią władać. Sięgnąłem ponad oparciem krzesła, chcąc podnieść jeden z pędzli. Palce prawej dłoni dotknęły go, zacisnęły się, ale przedmiot ani drgnął. Zrozumiałem, co to znaczy być duchem.

Wgramoliłem się na krzesło. Biodro wciąż powarkiwowało na mnie ostrzegawczo, ale ten ból był jakiś odległy, nieaktualny. Wyciągnąłem lewą dłoń po czysty pędzel, zatknąłem go sobie za lewe ucho. Umyłem następny, odkładając go na półeczkę przy sztaludze. Sięgnąłem po trzeci i zrobiłem z nim to samo co z poprzednim. Chciałem umyć jeszcze jeden,

ale postanowiłem nie tracić więcej czasu. Wróciła znajoma gorączka, powrócił głód, zniecka, gwałtownie, tak jak moje napady wściekłości. Gdyby w tej chwili na parterze rozdzwonił się alarm instalacji przeciwpożarowej, to w ogóle nie zwróciłbym na niego uwagi. Chwyciłem nowy, nieużywany pędzel, zerwałem z niego folię i zanurzony w czarnej farbie, zacząłem malować.

Podobnie jak to było z rysunkiem nazwanym przeze mnie „Gra skończona”, nie pamiętam dokładnie, jak powstawał obraz pod tytułem „Pożytek z przyjaciół”. Wiem tylko, że narodził się w potężnym wybuchu, niemającym nic wspólnego z zachodem słońca. Dominowały na nim czerń i granat, kolor sińców. Kiedy był gotowy, lewa dłoń bolała mnie od wysiłku i była poplamiona farbą aż po przegub.

Skończony obraz kojarzył mi się trochę z okładkami starych czarnych kryminałów, które pamiętałem z dzieciństwa; zawsze widniała na nich seksowna babka podążająca ścieżką wiodącą ku potępieniu. Z tą różnicą, że na książkowych okładkach widywałem raczej blondynki w wieku plus minus dwudziestu dwóch lat. Na swoim obrazie zobaczyłem brunetkę, która czterdzieste urodziny wyprawiła już jakiś czas temu. Ta babka - to była moja ekszona.

Siedziała na nieposłanym łóżku, wśród rozrzuconej pościeli. Miała na sobie tylko parę niebieskich fig. Cienka nitka identycznie niebieskiego koloru - ramiączko stanika - przemykała w poprzek uda. Głowa lekko pochylona, ale twarz rozpoznawalna na pierwszy rzut oka; uchwyciłem ją IDEALNIE, i to tylko kilkoma ostrymi czarnymi kreskami, tak że końcowy efekt przywodził na myśl chińskie pismo. Poniżej, na krągłości jej piersi, znajdował się jedyny naprawdę jasny element całego obrazu: tatuaż w kształcie róży. Bardzo mnie zaciekało, kiedy go sobie zrobiła i dlaczego. Pani z tatuażem było to zjawisko równie mało prawdopodobne co Pam startująca w wyścigu motorów terenowych w Mission Hill, niemniej jednak nawet przez chwilę nie wątpiłem, że obraz mówi prawdę; owa róża była faktem, tak samo jak koszulka z numerem Torii Huntera, którą nosił Carson Jones.

Oprócz Pam byli tam jeszcze dwaj mężczyźni, obaj nadzy. Jeden stał przy oknie, na wpół odwrócony/Miał ciało typowe dla białego pięćdziesięciolatka z klasy średniej. Na takich facetów można się napatrzeć do woli w szatni każdej siłowni z sieci Gold's Gym: obwisły brzuch, mały płaski tyłek praktycznie bez pośladków, średniej wielkości męskie cycki. Twarz inteligentna, o kulturalnym wyrazie, naznaczona cieniem melancholii. Spojrzenie mówiące: „Za chwilę ją stracę”. I jeszcze: „To nieuniknione”. To był Max z Palm Desert. Mógłby równie dobrze mieć na szyi tabliczkę z imieniem. Max, który sam stracił ojca w zeszłym roku, Max, który najpierw tylko zapraszał Pam na kawę, a potem zaproponował bliższą

znajomość. A ona chodziła z nim na kawę, zgodziła się też na kolejną propozycję, ale nie chciała przyjąć wszystkiego, co Max był skłonny jej dać. Mówiła o tym jego twarz. Chociaż widoczna tylko częściowo, i tak sprawiała wrażenie o wiele bardziej obnażonej niż jego tyłek.

Drugi mężczyzna stał w drzwiach, oparty o framugę. Nogi miał skrzyżowane, przez co ściśnięte uda wypychały jego słusznej wielkości klejnoty do przodu. Był o jakieś dziesięć lat starszy od faceta przy oknie, ale trzymał o wiele lepszą formę. Zero brzucha. Żadnych boczaków. Mocno zarysowane mięśnie na udach. Ręce miał skrzyżowane na brzuchu i patrzył na Pam, a na jego ustach igrał uśmiezek. Znałem ten uśmiezek bardzo dobrze, ponieważ Tom Riley był moim księgowym - i przyjacielem - przez trzydzieści pięć lat. Gdyby w mojej rodzinie nie było tradycji, że na drużbę zawsze prosi się ojca, poprosiłbym właśnie jego.

Przyglądałem się Tomowi, który stał nagi w drzwiach i patrzył na moją żonę siedzącą na łóżku. Przypomniało mi się nagle, jak pomagał mi przewozić rzeczy nad jezioro Phalen. Jak mi doradzał: „Nie wolno w takiej sytuacji oddawać domu. To tak, jakby w meczu o wszystko drużyna zrezygnowała z przewagi własnego boiska”.

A potem przyłapałem go, jak połykał łzy. „Nie mogę się pogodzić, że ucięli ci rękę, szefie”.

Czy już wtedy ją posuwał? Chyba raczej nie. Ale...

„Przedstawię ci propozycję, którą przekażesz Pam w moim imieniu”, powiedziałem. I przekazał. Z tym że może dorzucił jeszcze coś od siebie.

Pokuśtykałem do okna. O własnych siłach, bez kuli. Do zachodu pozostało jeszcze dobrych kilka godzin, ale słońce ciążyło już mocno ku horyzontowi. Na wodzie mrowiły się refleksy odbitego światła. Zmusiłem się do spoglądania prosto w tę jasną, rozmigotaną smugę, raz po raz ocierając oczy.

Próbowałem wmówić sobie, że mój obraz może być tylko urojeniem, wytworem umysłu, który wciąż jeszcze próbuje dojść do siebie. Nie podziałało. Wszystkie części mojej jaźni nagle nawiązały ścisłą, niezakłóconą łączność; wiedziałem, że wiem. Pam puściła się z Maksem podczas pobytu w Palm Desert, ale kiedy zaproponował jej bliższy, poważniejszy związek, odmówiła. Ta sama Pam spała z moim najdawniejszym przyjacielem i współnikiem; mogło to trwać nawet do dziś/Jedyne pytanie, na które nie znałem odpowiedzi, brzmiało: który z nich dwóch namówił ją, żeby dała sobie wydziargać różę na cycku?

- Muszę przestać o tym myśleć - oznajmiłem głośno, opierając pulsujące czoło o szybę. Przedemną na falach Zatoki Meksykańskiej płonęło słońce. - Naprawdę muszę przestać o tym myśleć.

Pstryknij palcami i masz załatwione, powiedziałem sobie.

Złożyłem prawą dłoń, strzeliłem palcami, słysząc wyraźnie krótki, cichy trzask.

- No i już, zrobione, skończone, załatwione! - zawołałem wesoło, ale po chwili, zamknąwszy oczy, znów zobaczyłem Pam na łóżku - nieznanym mi łóżku - w samych majtkach, z ramiączkiem od stanika leżącym w poprzek uda niczym zdechły wąż.

Pożytek z przyjaciół.

Kurwa, prześlicznie.

VII

Tego wieczoru nie oglądałem zachodu słońca z okna w „Koraliku”, ale zostawiwszy kulę pod ścianą domu, pokuśtykałem na plażę i wszedłem po kolana do wody. Była zimna, jak to zwykle bywa kilka miesięcy po sezonie huraganów, ale prawie tego nie zauważyłem. Smuga światła na wodzie zrobiła się już wściekle pomarańczowa i na nią właśnie patrzyłem.

- Eksperyment, jak cholera - powiedziałem i w tym momencie uderzyła we mnie fala. Zachwiałem się, wyciągając rękę w bok dla zachowania równowagi. - Jak jasna cholera.

Po ciemniejącym niebie przemknęła czapla, bezgłośny pocisk z długim dziobem.

- Zabawiałem się w szpiega. I zapłaciłem za to.

Racja. Jeśli teraz znów miałem ochotę udusić swoją żonę, sam sobie byłem winien. „Nieszczęśliwi, którzy podglądają, albowiem strapieni będą”, jak dawno temu mawiała moja kochana stara matka. Podejrzałem, doznałem strapienia i koniec pieśni. Pam miała teraz własne życie i mogła robić, co chciała. Ja natomiast miałem interes w tym, żeby odpuścić, dać sobie spokój. Pozostawało tylko pytanie: czy dam radę, czy nie. Sprawa wydawała się trudniejsza niż pstryknięcie palcami, nawet palcami nieistniejącej dłoni.

Uderzyła we mnie kolejna fala, tym razem tak duża, że zwała mnie z nóg. Na chwilę zanurzyłem się z głową, łykając haustami wodę. Wypłynąłem, charcząc głośno i czując, że wycofująca się fala próbuje porwać mnie ze sobą, tak jak piasek i muszle. Zacząłem wymachiwać zdrową nogą, a nawet tą drugą, chorą, z tym że słabiej. Udało mi się sięgnąć dna i odepchnąć w kierunku brzegu. Pewne rzeczy mi się mylą, ale tego, że nie chcę utonąć w Zatoce Meksykańskiej, byłem akurat pewien. O pomyłce nie mogło być mowy. Wyczołgałem się na brzeg, plując i kaszląc. Mokre włosy wpadły mi do oczu, a prawą nogę ciągnąłem za sobą jak zmoczoną, nasiąkniętą wodą walizę.

Dotarłszy wreszcie na suchy piasek, odwróciłem się na plecy i wbiłem wzrok w niebo. Po ciemniejącym, miękkim aksamicie rozpiętym nad dachem Wielkiego Korala sunął tłusty półksiężyc. Obraz ciszy i spokoju. Tymczasem tutaj, na dole, leżał facet targany uczuciem do-

kładnie przeciwnym: roztrzęsiony, ponury i zły. Odwróciłem głowę, żeby spojrzeć na kikut swojej ręki, a potem znów odszukałem wzrokiem księżyc.

- Koniec z podglądaniem - oznajmiłem. - Od dziś ogłaszam nowy ład. Koniec z podglądaniem i koniec z eksperymentami.

Mówiłem to całkiem poważnie, ale, jak już wspominałem (a Wireman odkrył to jeszcze wcześniej niż ja), oszukujemy siebie tak często, że gdyby nam za to płacili, moglibyśmy się spokojnie utrzymać.

5 WIREMAN

I

Podczas naszego pierwszego prawdziwego spotkania Wireman dostał takiego ataku śmiechu, że rozwalił fotel, na którym siedział, a ja rechotałem tak głośno i tak długo, że prawie zemdlałem - a ściśle rzecz biorąc, doprowadziłem się już do stanu, który można nazwać zamroczeniem. Absolutnie nie spodziewałem się czegoś takiego w dzień po odkryciu, że Tom Riley ma romans z moją byłą żoną (choć i tak żaden sąd nie uznałby dowodów, jakimi dysponowałem), ale dziś dostrzegam w tym wróżbę wydarzeń, które miały nadejść. Z Wiremanem śmiałyśmy się często. Zrobił dla mnie wiele różnych rzeczy - między innymi był też, całkiem na poważnie, moim przeznaczeniem - ale przede wszystkim liczyła się nasza przyjaźń.

II

- A więc - przemówił, kiedy stanąłem wreszcie pod pasiastym parasolem, który ocieniał stół i dwa fotele: jeden dla niego, a drugi pusty - tak oto nadszedł chromy nieznajomy, torbę z muszlami niosący. Spocznijże, chromy nieznajomy. Zwilż spieczone wargi swoje. Ta oto szklanica czeka na ciebie już od wielu dni.

Położyłem swoją reklamówkę na stole i wyciągnąłem do niego rękę.

- Edgar Freemantle.

Dłoń miał niedużą, palce krótkie, uścisk mocny.

- Jerome Wireman. Ale mów mi Wireman.

Spojrzałem na fotel leżakowy przyniesiony tu specjalnie dla mnie: wysokie oparcie, a siedzenie nisko, jak w anatomicznych fotelach montowanych w porsche.

- Nie pasuje, *muchacho*? - zapytał Wireman, unosząc brew. Brwi miał do tego wprost stworzone: krzaczaste i szpakowate.

- Pasuje - odparłem - tylko żebyś się nie śmiał, kiedy będę próbował wstać.

Uśmiechnął się szeroko.

- Żyj tak, jak musisz żyć, kochanie. Tak śpiewał Chuck Berry w sześćdziesiątym dziewiątym.

Ustawiłem się obok pustego fotela i odmówiwszy w myślach krótką modlitwę, klapnąłem na siedzenie. Miałem, jak zawsze, przechył na lewo, żeby oszczędzać chore biodro. Nie trafiłem prosto w cel, ale chwyciwszy za poręczę, odepchnąłem się zdrową nogą, tak że fotel tylko się zachwiał. Miesiąc temu wychrzaniłbym się razem z nim, ale teraz byłem już silniejszy. Wyobraziłem sobie, jak Kathi Green bije mi brawo.

- Nieźle, Edgarze - pochwalił Wireman. - Czy może Eddie?

- Jak chcesz, tak zwij. Reaguję i na to, i na to. Można wiedzieć, co masz w tym dzbanku?

- Zieloną herbatę z lodem - obwieścił. - Bardzo orzeźwiająca. Skosztujesz?

- Z rozkoszą.

Wireman napełnił moją szklankę i dolał sobie do pełna. Herbata miała kolor bladozielony. O wiele zieleńsze były jego oczy, zaplątane w delikatną sieć zmarszczek. Włosy - czarne, srebrzące się na skroniach i całkiem długie. Kiedy rozwiały je wiatr, dostrzegłem bliznę na jego prawej skroni, tuż pod linią włosów. Miała kształt monety, ale była mniejsza niż moneta. Wireman był tego dnia w kąpielówkach; zauważyłem, że nogi ma tak samo opalone jak ręce. Wyglądał na człowieka, który dba o kondycję, ale wydało mi się jednocześnie, że jest jakby zmęczony.

- Twoje zdrowie, *muchacho*. Udało ci się wreszcie.

- Niech będzie - zgodziłem się. - Moje zdrowie.

Stuknęliśmy się szklankami i wypiliśmy. Smak zielonej herbaty znałem i lubiłem, ale to był wprost niebiański napój - jakbym pił chłodny jedwab, z najdelikatniejszą nutką słodczy.

- Czujesz miód? - zapytał Wireman i uśmiechnął się, kiedy przytaknąłem. - Nie wszyscy potrafią go wyczuć. Dodaję tylko jedną łyżkę stołową na cały dzbanek. Podkreśla naturalną słodycz zielonej herbaty. Nauczyłem się tego, kiedy pływałem jako kuk na trampie po chińskich morzach. - Uniósł szklankę i spojrzał przez nią, mrużąc oczy. - Walczyliśmy z piratami i pod niebem tropików braliśmy obce, śniade kobiety.

- Wyczuwam nutkę ścierny, panie Wireman.

Zaśmiał się serdecznie.

- Bo tak naprawdę przeczytałem o tym miodzie w jednej z książek kucharskich panny Eastlake.

- To ta starsza pani, którą przywozisz tutaj rano na wózku?

- We własnej osobie.

Wtedy, nie zastanawiając się nawet zbytnio, co mówię - bo myślałem raczej o czym innym, a mianowicie o jej wielkich niebieskich trampkach opartych na chromowanych podnózkach - powiedziałem głośno:

- Narzeczona Ojca Chrzestnego.

Wireman wytrzeszczył oczy tak szeroko, że już chciałem go przeprosić za to *faux pas*. I zrobiłbym to, gdyby nie zaczął się śmiać. Wręcz ryczeć. To się rzadko słyszy; tak śmieją się ludzie, kiedy coś przebije wszystkie ich warstwy ochronne i połaskocze w najbardziej wrażliwym miejscu. Facet dosłownie pękał ze śmiechu, a kiedy zorientował się, że nie mam zielonego pojęcia, co go tak rozbawiło, zaczął rzeć jeszcze głośniej. Miał całkiem słuszny brzuszek, który trząsał się cały i dygotał. Chciał odstawić szklankę, ale nie trafił w stolik i upuścił ją; wbiła się w piasek - poważnie! - idealnie prosto i tak została, stercząc jak niedopałek w takiej wysokiej popielniczce z piaskiem, które kiedyś widywało się w hotelach, obok drzwi do windy. To mu się najwidoczniej wydało jeszcze zabawniejsze, bo pokazał szklankę palcem.

- W życiu by mi taki numer nie wyszedł na zawołanie! - wykrztusił i z powrotem zaniósł się szaleńczym rykiem: wdech - śmiech, wdech - śmiech i tak w kółko. Dygotał razem ze swoim fotelem, jedną ręką trzymając się za brzuch, a drugą za pierś. Przypomniał mi się wtedy urywek wiersza czytanego jeszcze w szkole średniej, z górą trzydzieści lat wcześniej. „Nie symuluje się Konwulsji / Ataku Bólu - nie odgrywa”, tych kilka słów powróciło do mnie z niesamowitą dokładnością.

Patrzyłem na niego, uśmiechając się i chichocząc, bo taka rozbuchana wesołość jest zaraźliwa, nawet dla kogoś, kto nie wie, na czym polega dowcip. Ale szklanka, która spadła tak prosto, że nie wylała się nawet jedna kropla herbaty... to już naprawdę było śmieszne. Przypomniały mi się gagi w kreskówkach ze Strusiem Pędziwiatrem. Ale mimo wszystko to nie szklanka - akrobatka tak rozbawiła Wiremana.

- Nie chwytam - odezwałem się w końcu. - Przepraszam, jeśli...

- Prawie zgadłeś! - zawył Wireman, rechocząc jak opętany, tak że z trudem go w ogóle zrozumiałem. - O to właśnie chodzi, że prawie zgadłeś! Tylko że to nie narzeczona, ale córka, córka Ojca...

W tym momencie biedny fotel, który chodził razem z nim w górę, w dół i na boki - i to nie była żadna symulacja, ale autentyczne konwulsje - oddał wreszcie ducha z głośnym trzaskiem, najpierw zginając swojego użytkownika wpół (jego zbaraniała mina była

przekomiczna), a potem wypluwając go na piasek. Wireman upadł, młóćąc rękami jak wiatrak, i oczywiście zaczepił o drążek od parasola, przewracając cały stolik. Podmuchał wiatru wydał parasol niczym żagiel i zaczął ciągnąć stolik po plaży. Wybuchnąłem śmiechem, ale co mnie tak rozbawiło? Na pewno nie widok Wiremana z oczami jak spodki, zdębiałego z zaskoczenia, że rozpadający się fotel kłapie na niego pasiastą paszczką. Nie to, że poturlał się po piasku, i nawet nie to, że stolik z parasolem próbują dać nogę. Nie. Rozśmieszyła mnie szklanka Wiremana: on tarzał się po ziemi, a ona stała sobie spokojnie na baczność, chociaż miał ją prawie pod pachą.

Jak na kreskówce, pomyślałem, wciąż mając w głowie tę starą serię „Struś Pędziwiatr”. *Bip - bip!* I oczywiście natychmiast przypomniałem sobie pewien dźwig, który miał spieprzony alarm. Ten alarm powinien był zrobić *bip - bip*, a nie zrobił. Nagle w jednej chwili zobaczyłem siebie w skórze Kojota z tamtych kreskówek; Kojot siedział w kabine mojej miażdżonej furgonetki, oczy miał na wierzchu, wytrzeszczone w bezgranicznym zdumieniu, a uszy sterczały mu na dwie strony, przywęglone i jeszcze lekko dymiące na samych koniuszkach.

I to mnie załatwiło. Ryknąłem śmiechem i zleciałem ze swojego fotela, lądując na piasku obok Wiremana... z tym że mnie też udało się nie przewrócić jego szklanki, która dalej stała sobie grzecznie, prościutko jak pet w popielniczce z piaskiem. Myślałem, że nie mogę już śmiać się głośniejsze, ale wyszło na to, że się myliłem. Po policzkach pociekły mi strumienie łez, a przed oczami zrobiło się ciemno - tak mój mózg reagował na niedotlenienie.

Wireman, wciąż wyjąc jak pomyłony, puścił się na czworakach za uciekającym stolikiem. Próbował złapać go za nogę, ale ten, jakby wyczuł, co się święci, wysmyknął się zwinnie, a Wireman zarył nosem w piasku. Podniósł się, kichając i wciąż nie przestając się śmiać. Przewróciłem się na plecy, z trudem łapiąc oddech. Czułem, że jeszcze chwila i zemdleję, ale tak jak on, śmiałem się dalej.

W ten sposób poznałem Wiremana.

III

Dwadzieścia minut później stolik wrócił już w przybliżeniu na swoje dawne miejsce. Cień to rzecz przyjemna, ale na parasol żaden z nas nie mógł nawet spojrzeć, żeby nie zacząć chichotać. Był rozerwany w jednym miejscu i stał krzywo; ogólnie przypominał pijaka, który próbuje udawać, że jest zupełnie trzeźwy. Wireman przestawił ocalały fotel w pobliże drewnianego podestu prowadzącego w stronę domu. Udało mi się go namówić, żeby sam na

nim usiadł. Ja przycupnąłem na skraju podestu; nie miał oparcia, ale łatwiej było mi z niego wstać (nie wspominając o zachowaniu godności przy tym wciąż jeszcze niełatwym dla mnie zadaniu). Wireman chciał przynieść nowy dzbanek herbaty (bo rozlaliśmy wszystko). Podziękowałem, zgodziłem się natomiast, żebyśmy wypili na spółkę to, co uchowało się w jego cudem uratowanej od pogromu szklance.

- I tak zawarliśmy braterstwo wody - oznajmił, gdy zniknęły ostatnie krople napoju.

- To jakiś indiański rytuał? - zapytałem.

- Nie, to z „Obcego w obcym kraju” Roberta Heinleina. Cześć jego pamięci.

Przypomniało mi się wtedy, że nigdy nie widziałem go na plaży z książką, ale nie wspominałem o tym ani słowem. Wielu ludzi nie lubi czytać na słońcu; białe kartki mocno odbijają światło i może od tego rozboleć głowa. A ja współczułem wszystkim nieszczęśnikom cierpiącym na ból głowy.

Wireman znów zaczął się śmiać. Zakrył usta obiema dłońmi, jak mały chłopczyk, ale nie mógł stłumić chichotu.

- Dość - zasapał. - O Jezu, już dosyć. Ponadrywałem sobie chyba wszystkie mięśnie w brzuchu.

- Ja też - przytaknąłem.

Przez chwilę milczeliśmy obaj. Wiatr wiejący tego dnia znad zatoki był chłodny i świeży, czuć w nim też było smętny posmak soli. Łopotał rozdarty parasol. Ciemna plama herbaty rozlanej na piasku była już niemalże całkowicie sucha.

Wireman parsknął zniechęcony.

- Widziałeś, jak stolik chciał uciec? Widziałeś, jak mi spieprzał?

W odpowiedzi również parsknąłem. Biodro mnie bolało i rwały nadwerężone mięśnie brzucha, ale ogólnie czułem się całkiem nieźle jak na faceta, który przed chwilą prawie stracił przytomność ze śmiechu.

- Ucieczka z Alabamy - powiedziałem. - *Alabama Getaway*.

- Grateful Dead. - Skinął głową, ocierając twarz z piasku, który długo nie dawał się strząsnąć do końca. - Rok siedemdziesiąty dziewiąty. Albo jakoś tak. - Zachichotała chichot przerodził się w rechot, a potem był już tylko kolejny wybuch śmiechu na cały regulator. Wireman z bolesnym jękiem chwycił się za brzuch.

- Już nie mogę, muszę przestać się śmiać, ale... No nie! Narzeczona Ojca Chrzestnego! Je - zuu! - I znów zaczął ryczeć.

- Żebyś jej tylko kiedyś nie wygadał, że tak ją nazwałem - ostrzegłem.

Przestał się śmiać, ale jego uśmiech nie zniknął.

- Nie jestem aż tak niedyskretny, *muchacho*. Ale powiedz mi... To przez ten kapelusz, prawda? Ona nosi taki wielki słomiany kapelusz. Zupełnie jak Marlon Brando w ogrodzie, z tym małym chłopczykiem.

Prawdę mówiąc, tak samo istotne były trampki, ale mimo to skinąłem głową i pośmialiśmy się jeszcze trochę.

- Gdyby się tak zdarzyło, że pękniemy, kiedy będę cię przedstawiał pannie Eastlake - powiedział (i od razu sam pękł, prawdopodobnie dlatego, że wyobraził sobie tę scenę; tak to jest, gdy ma się głupawkę, jak my wtedy) - to powiemy, że przypomniało nam się, jak rozwaliłem fotel, dobra?

- Dobra - zgodziłem się. - Ale co to miało znaczyć, że prawie zgadłem?

- Naprawdę nie wiesz?

- Pojęcia nie mam.

Wireman skinął dłonią w kierunku Wielkiego Korala, który wydawał się bardzo mały i bardzo odległy. A droga powrotna - bardzo długa.

- Jak sądzisz, kto jest właścicielem twojego domu, *amigo*? Zgoda, za wynajem płacisz pewnie agencji nieruchomości albo jakiejś innej firmie typu „urlop twoich marzeń”, ale dokąd trafi saldo z sumy, którą wypisałeś na czeku?

- Domyślam się, że na konto panny Eastlake.

- Zgadza się. Na konto panny Elizabeth Eastlake. W jej wieku - osiemdziesiąt pięć lat - można już chyba ją nazywać „starą panną”. - Znow parsknął, ale opanował się i potrząsnął głową. - Muszę z tym skończyć. Chociaż szczerze mówiąc, już bardzo dawno się nie śmiałem. Nie było z czego.

- Znam to.

Spojrzał na mnie, przesuwając wzrokiem po pustym rękawie i włosach odrastających na jednej skroni w nierównych, plackowatych kępkach, po czym skinął głową. Na chwilę zapadła cisza; obaj zapatrzyliśmy się na rozległy widnokrąg i fale zatoki. Wiem, że starzy albo chorzy ludzie chętnie przyjeżdżają na Florydę, bo tutaj praktycznie przez cały rok jest ciepło, ale moim zdaniem Zatoka Meksykańska też ma w tym sporą zasługę. Wystarczy spojrzeć na tę niezmaconą, rozległą gładź, którą pieści słońce, żeby od razu poczuć przypływ sił. „Zatoka” to całkiem szeroki termin, nie sądzicie? Pojemny. Zmieści się w nim naprawdę bardzo dużo. Gdzie tam zmieści; przepadnie.

Wreszcie odezwał się Wireman:

- A kto, jak sądzisz, jest właścicielem wszystkich domów pomiędzy twoim a tym dużym? - Wskazał kciukiem przez ramię. Za nim widać było białe ściany i pomarańczowe

dachówki hacjendy. - Który, a propos, figuruje na mapach hrabstwa pod nazwą Czaple Siedlisko, a który ja nazywam *El Palacio de Asesinos*?

- Czyżby także panna Eastlake?

- Druga poprawna odpowiedź.

- Dlaczego mówisz na niego „Pałac Zabójców”?

- Kiedy myślę po angielsku, zmieniam nazwę na „Kryjówka Złoczyńców” - odparł, uśmiechając się przeprasząco - bo przypomina mi dom, w którym mieszkał główny bandzior w jakimś westernie Sama Peckinpaha. W każdym razie masz tutaj sześć ładnych posesji, nie licząc oczywiście Czaplego Siedliska, które jest pierwsze w szeregu, i Przylądka Łososi, który jest ostatni...

- A który ja nazywam Wielki Koral - przerwałem mu - kiedy myślę po angielsku.

Wireman skinął głową.

- *El Coral Grande*. Dobra nazwa. Podoba mi się. Przyjechałeś tutaj... na jak długo?

- Dom wynająłem na rok, ale szczerze mówiąc, nie wiem, ile tu pomieszkam. Upałów się nie boję - podobno tutejsi mówią na nie „pieski sezon” - ale nie można zapominać o huraganach.

- Fakt. Wszyscy o nich pamiętamy, zwłaszcza po tym, jak odwiedzili nas Charley z Katriną. Ale w tych sześciu domach pomiędzy Czaplim Siedliskiem a Przylądkiem Łososi już na długo przed sezonem huraganów nie będzie żywej duszy. Zresztą wyludni się cała Duma Key. Którą, na dobrą sprawę, można by nazywać wyspą Eastlake.

- Chcesz powiedzieć, że cała należy do tej starszej pani?

- *Status quo* jest niejasne, nawet dla kogoś takiego jak ja, czyli faceta, który w poprzednim życiu był prawnikiem - powiedział Wireman. - Dawnym właścicielem całej wyspy był ojciec starszej pani, który oprócz tego miał jeszcze porządny kawał ziemi na samym półwyspie. W latach trzydziestych sprzedał wszystko oprócz Dumy. Panna Eastlake posiada północną część wyspy, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. - Machnął ręką, zakreślając obszar, o którym była mowa, północny kraniec wyspy, „goły jak piczka striptizerki”, jak się raczył wyrazić przy jakiejś późniejszej okazji. - Ma akt własności ziemi i stojących na niej domów, od Czaplego Siedliska, najbardziej luksusowego, do twojego Wielkiego Korala, który ma najciekawszą historię. Czerpie z nich dochód, którego tak naprawdę wcale nie potrzebuje, bo ojciec, oprócz nieruchomości, zostawił swoim dzieciom *mucho dinero*.

- A ona ma jeszcze jakichś braci albo siostry?

- Już nie - odpowiedział Wireman. - Córka Ojca Chrzestnego jest ostatnia z rodu. -

Prychnął i potrząsnął głową. - Muszę przestać ją tak nazywać - mruknął, bardziej chyba do siebie niż do mnie.

- Jak uważasz. Ale mnie interesuje co innego. Dlaczego nikt nie zagospodarował reszty tej wyspy? Przecież Floryda przeżywa nieustający boom mieszkaniowy i budowlany. Mieć taką nieruchomość i nie korzystać - trochę bez sensu. Uderzyło mnie to od razu, zaraz po zjeździe z mostu.

- Mówisz, jakbyś znał się na rzeczy. Kim byłeś w poprzednim życiu, Edgarze Freemantle?

- Właścicielem firmy budowlanej.

- Ale te dni już minęły?

Mogłem się wykręcić, odpowiedzieć wymijająco - w końcu nie znałem go na tyle, żeby tak się wystawiać - ale postąpiłem inaczej. Jestem pewien, że miał z tym wiele wspólnego nasz wspólny atak histerycznej wesołości.

- Minęły. - Skinąłem głową.

- A w obecnym życiu kim jesteś?

Westchnąłem, odwracając wzrok w stronę zatoki. Zatoki, która mogła pomieścić i skryć bez śladu wszystkie dawne zgryzoty.

- Nie jestem pewien - odparłem. - Trochę maluję. - Spojrzałem na niego, czekając, aż zacznie się śmiać.

Nie zaczął.

- Nie jesteś pierwszym malarzem, którego gościł Przylądek... Wielki Koral. Mieszkało tam już wielu artystów.

- Żartujesz. - W całym domu nie było ani jednego przedmiotu, który mógłby na to wskazywać.

- Ani trochę - zaprzeczył. - Alexander Calder tam mieszkał. Keith Haring. Marcel Duchamp. Oczywiście było to, jeszcze zanim erozja brzegu zagroziła domowi spadnięciem do wody. - Umilkł na chwilę. - Salvador Dali.

- Bez jaj! - krzyknąłem. Wireman przekrzywił głowę, spojrzał na mnie z ukosa. Obląłem się rumieńcem. Na jedną chwilę mój dawny gniew powrócił z całą siłą, chwycił za gardło, zamącił w głowie. Dam sobie radę, pomyślałem. - Przepraszam. Miałem niedawno wypadek i... - Urwałem.

- Tego akurat nietrudno się domyślić - powiedział Wireman. - Może jeszcze nie zauważyłeś, ale brakuje ci czegoś z prawej strony, *muchacho*.

- Tak. I czasami dostaję... jak to powiedzieć... zaburzeń mowy.

- Jasne. Ja w każdym razie nie kłamię z tym Dalim. Mieszkał w twoim domu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, przez trzy tygodnie. - I dodał, niemalże na jednym wydechu: - Wiem, przez co teraz przechodzisz.

- Szczerze wątpię. - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało szorstko, ale tak właśnie wyszło. Tak też się zresztą czułem.

Wireman milczał przez chwilę. Rozerwany parasol łopotał. Miałem akurat dość czasu, żeby pomyśleć: „No cóż, tak wygląda zmarnowana szansa na ciekawą znajomość”, ale kiedy odezwał się ponownie, jego głos był spokojny i przyjacielski. Jakby ta nasza mała dygresja w ogóle nie nastąpiła.

- Jedną z przeszkód przy zagospodarowywaniu Dumy jest sama roślinność. Uniola może tutaj rosnąć, ale cała reszta tego szajsu nie ma prawa przeżyć bez nawadniania. Moim zdaniem ktoś powinien to zbadać.

- Pojechałem niedawno z córką na rekonesans. Na południe stąd zaczyna się już prawdziwa dżungla.

Wireman spojrzał na mnie z nagłym niepokojem.

- To nie jest miejsce na wycieczki dla faceta w twoim stanie. Duma Key Road, nasza jedyna, powiedzmy, szosa, to ruina.

- Coś o tym wiem. A możesz mi wyjaśnić, dlaczego to nie jest czteropasmówka ze ścieżkami dla rowerów na obu poboczach i osiedlami co osiemset metrów?

- Bo nikt nie wie, do kogo właściwie należy ta ziemia? Wystarczy na początek?

- Powaga?

- Jak najbardziej. Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku panna Eastlake jest właścicielką części wyspy od jej północnego krańca do wysokości Czaplego Siedliska. Co do tego nie ma absolutnie żadnych wątpliwości. Tak mówią wszystkie testamenty.

- Testamenty? W liczbie mnogiej?

- Istnieją trzy. Wszystkie odręczne i wszystkie oryginalne. Każdy poświadczony przez innych świadków i każdy inaczej rozporządza wyspą o nazwie Duma Key. Jednakowoż każdy zawiera też zapis o bezwarunkowym przeniesieniu własności północnej części wyspy z Johna Eastlake'a na jego córkę Elizabeth. Reszta Dumy od czasu ogłoszenia testamentów stanowi przedmiot sporów sądowych. Żrą się o nią już sześćdziesiąt lat. „Samotnia” Dickensa to przy tym czytanka dla pierwszaków.

- Mówiłeś, że panna Eastlake nie ma rodzeństwa.

- Bo nie ma, ale żyją jeszcze jej siostrzenice, siostrzeńcy, no i cała ich progenitura. Są wszędzie, jak McDonald's. To oni się żrą po sądach, ale nie z nią, tylko między sobą. Jej

nazwisko pojawia się w mnogich testamentach ojca wyłącznie w odniesieniu do tej części wyspy, na której się znajdujemy. A granica tej części została starannie wyznaczona przez dwie firmy geodezyjne, raz przed samą drugą wojną i kolejny raz tuż po niej. Wszystko jest w państwowych archiwach notarialnych. I wiesz co, *amigo*?

Potrząsnąłem głową.

- Panna Eastlake uważa, że tego właśnie chciał jej ojciec. A ja, rzuciwszy okiem prawnika na kopie tych testamentów, jestem skłonny przyznać jej rację.

- Kto płaci podatki?

Spojrzał, zdziwiony, a potem się roześmiał.

- Podobasz mi się, *vato*. Coraz bardziej.

- Poprzednie życie - przypomniałem mu. Podpasowałem mi ten patent.

- Jasne. Więc będziesz umiał docenić to, o czym ci teraz opowiem. Wszystko jest bardzo sprytnie urządzone. Każdy z trzech testamentów Johna Eastlake'a zawierał identycznie sformułowaną klauzulę, nakazującą utworzenie funduszu powierniczego, z którego miały być płacone podatki. Spółka inwestycyjna pierwotnie zarządzająca tym funduszem została wkrótce wchłonięta przez inną spółkę, która zresztą później podzieliła ten sam los...

- Tak się robi biznes w Ameryce - wzruszyłem ramionami.

- W rzeczy samej. Tak czy inaczej, funduszowi nigdy nie groziła plajta, a podatki spływają co roku jak w zegarku.

- Forsa wszystko wprawia w ruch.

- To prawda. - Wireman wstał, przeciągnął się mocno. - Chciałbyś wejść do nas i poznać szefową? Za chwilę obudzi się z popołudniowej drzemki. To starsza pani i jako taka ma swoje problemy, ale jest urocza nawet z ósmym krzyżykiem na karku.

To nie był odpowiedni moment, żeby wyjaśnić mu, że już ją poznałem - choć, trzeba przyznać, dosyć pobieżnie - za pośrednictwem automatycznej sekretarki.

- Przy innej okazji - odparłem. - Kiedy już nam przejdzie ten humor.

Skinął głową, zgadzając się ze mną.

- Wpadnij jutro po południu, jeśli będziesz miał ochotę.

- Niewykluczone. To było mocne przeżycie. - Wyciągnąłem do niego rękę, tak jak poprzednim razem, a on, tak jak wtedy, uściśnął mi dłoń. Spojrzał przy tym na mój kikut.

- Nie nosisz protezy? Czy może zakładasz ją tylko, kiedy obracasz się wśród plebsu?

Miałem gotową odpowiedź na takie pytanie - nerwoból w miejscu amputacji - ale to była nieprawda, a Wiremana nie chciałem oszukiwać. Częściowo dlatego, że miał nos wyczulony na smrodek kłamstwa, ale przede wszystkim po prostu nie chciałem tego robić.

- Zdjęli mi miarę do protezy, jak każdemu, kiedy jeszcze leżałem w szpitalu, a potem wszyscy suszyli mi głowę, żebym zaczął ją nosić, zwłaszcza moja rehabilitantka i znajomy psycholog. Mówili, że im szybciej się z nią otrząskam, tym wcześniej będę mógł zacząć życie na nowo...

- Co było, to było, a ty śpiewaj i tańcz...

- Właśnie.

- Z tym że czasami nie tak łatwo zapomnieć o tym, co było.

- Zgadza się.

- A czasami nawet wydaje się to jakieś niewłaściwe.

- Nie do końca, ale to już będzie... - Urwałem, wykonując dłonią gest oznaczający „mniej więcej”.

- Dziewięć punktów na dziesięć?

- Tak - zgodziłem się. - Dzięki za herbatę.

- Zajrzyj jeszcze kiedyś, dostaniesz więcej. Przychodzę się poopalać między drugą i trzecią po południu, bo godzina słońca dziennie w zupełności mi wystarczy. Panna Eastlake wtedy śpi albo ustawia swoje figurki z porcelany, no i oczywiście nigdy nie przegapi Opry Winfrey, więc mam czas. Prawdę mówiąc, mam go tyle, że aż nie wiem, co z nim robić. Kto wie, może znajdziemy sobie jakieś wspólne tematy do rozmowy?

- W porządku - zgodziłem się. - Brzmi zachęcająco.

Wireman uśmiechnął się szeroko. Kiedy się uśmiechał, wyglądał na bardzo przystojnego. Wyciągnął do mnie dłoń, a ja znów ją uściśniłem.

- Powiedzieć ci, co myślę? - zapytał jeszcze. - Znajomość, która rozpoczęła się wspólnym śmiechem, musi być udana.

- Może kiedyś zaczniesz zawodowo pisać wróżby do chińskich ciasteczek? - zasugerowałem.

- To wcale nie jest zła robota, *muchacho*. Bywają gorsze. O wiele gorsze.

IV

W drodze powrotnej myślałem o panie Eastlake, wiekowej damie w monstualnych trampkach i ogromnym słomkowym kapeluszu, która przypadkiem okazała się właścicielką jednej z wysp archipelagu Florida Keys. Przy okazji dowiedziałem się też, że nie jest Narzeczoną Ojca Chrzestnego, ale raczej Córką Magnata Ziemskiego, jak również Patronką Sztuk Pięknych. Pamięć, swoim zwyczajem, znów spletała mi figła: nie mogłem przypomnieć

sobie, jak miał na imię jej ojciec (coś prostego, tylko jedna sylaba), ale pamiętałem dobrze ogólny zarys sytuacji, tak jak przedstawił mi go Wireman. Pierwszy raz w życiu słyszałem podobną historię, a kiedy pracuje się w budownictwie, wciąż spotyka się ludzi, którzy mają jakieś odjechane pomysły w związku ze swoimi nieruchomościami. To rozwiązanie było naprawdę sprytne - o ile oczywiście właściciel celowo zamierzał zachować swoje małe królestwo w stanie szlachetnie dziewiczym. Pytanie: dlaczego?

Większą część drogi powrotnej miałem już za sobą, kiedy nagle dotarło do mnie, że noga boli mnie jak jasna cholera. Dokuśtykałem jakoś do domu, napiłem się wody prosto z kranu i ruszyłem do sypialni, nie zatrzymując się po drodze. Przechodząc przez salon, zauważyłem migającą lampkę na automatycznej sekretarce, ale chwilowo nie miałem najmniejszej ochoty na kontakt ze światem zewnętrznym. Marzyłem tylko o jednym: ulżyć obolałym nogom.

Położyłem się, goniąc wzrokiem skrzydła wentylatora, wirujące ospale pod sufitem. To wyjaśnianie, dlaczego nie używam protezy ręki... Nie wyszło mi za dobrze. Ciekawe, czy Wireman poradziłby sobie lepiej, gdybym go zapytał: „Dlaczego prawnik pracuje jako gosposia bogatej starej panny? Co się za tym kryje, jakie poprzednie życie?”.

Nie przestając nad tym rozmyślać, zapadłem w bardzo, bardzo przyjemny sen bez snów.

V

Po obudzeniu wziąłem gorący prysznic, a potem poszedłem do salonu, żeby odsłuchać wiadomości na sekretarce. Spodziewałem się bólu i zeszywniałych mięśni - w końcu zrobiłem na piechotę ponad trzy kilometry - ale nie było wcale najgorzej. Wysilek mógł się na mnie zemścić następnego dnia, ale na razie wszystko wskazywało na to, że do wieczora będę miał spokój.

Wiadomość była jedna, od Jacka. Powiedział, że dzięki swojej mamie skontaktował się z facetem o nazwisku Dario Nannuzzi, który to facet chętnie obejrzy moje obrazy w najbliższy piątek między szesnastą a siedemnastą. Czy mógłbym zatem zajrzeć do galerii Scoto i przywieźć ze sobą do dziesięciu najlepszych swoich prac? Jeden warunek: mam nie pokazywać żadnych szkiców. Pana Nannuzziego interesują wyłącznie skończone obrazy.

Wysłuchawszy tego, poczułem lekkie ukłucie niepokoju...

Chociaż nie, to było coś zupełnie innego.

Mój żołądek ścisnął się w twardą kulę i mógłbym przysiąc, że bebechy opadły mi o

dobrze dziesięć centymetrów. Ale nie to było najgorsze. Cały prawy bok oraz rękę, której nie było, ogarnęło nagle to znajome mrowienie na poły zmieszane z bólem. Próbowałem się opanować, powtarzając sobie, że takie emocje - czyli w zasadzie normalna trema, tyle że z trzydniowym wyprzedzeniem - to czysta głupota. Zbudowałem kiedyś stadion za dziesięć milionów dolarów na zamówienie rady miejskiej St. Paul, a zasiadał w niej wtedy facet, który później został gubernatorem Minnesoty. Przeprowadziłem dwie córki przez pierwsze szkolne występy taneczne, eliminacje do zespołu cheerleaderek, naukę jazdy oraz piekło dojrzewania. Czy spotkanie z jakimś facetem z galerii sztuki i pokazanie mu moich obrazów można w ogóle z tym porównywać?

Niemniej jednak wlokłem się po schodach do „Koralika” tak wolno, jakbym miał nogi z ołowiu.

Zachodziło słońce, zalewając przestronny pokój zachwycającym światłem o zupełnie nieprawdopodobnej, mandarynkowej barwie. Ja jednak nie czułem przymusu, żeby sięść do sztalug i spróbować uchwycić ten odcień na płótnie. To nie był wieczór na takie rzeczy. Mimo to mandarynkowy blask przemawiał do mnie niczym zdjęcie ukochanej z dawnych czasów, znalezione przypadkiem w starym pudle z pamiątkami. A oprócz tego zaczął się przyływ. Nawet na piętrze wyraźnie słyszałem grzechoczące głosy muszli. Usiadłem przy stole i zacząłem przerzucać rupiecie leżące w nieładzie na blacie: było tam i ptasie pióro, i kamień wygładzony przez wodę, i jednorazowa zapalniczka otarta palcami ze wszystkich kolorów, aż do anonimowej szarości plastiku. Znów coś mi się przypomniało, ale tym razem to nie był wiersz Emily Dickinson, ale stara tradycyjna piosenka: „Jak pięknie świeci dzisiaj słońce przez korony drzew”. Oczywiście w oknie nie miałem żadnych drzew, ale mogłem przecież, gdybym tylko zechciał, namalować sobie jedno na horyzoncie, żeby zachodzące słońce sypało czerwonymi promieniami przez jego koronę. Hello, Dali.

Nie bałem się usłyszeć, że jestem totalnym beztalenciem. Obawiałem się czego innego: że *signor* Nannuzzi powie mi, zaciągając z włoska, że mam „szczyptę talentu”, demonstrując przy tym kciukiem i palcem wskazującym, jak duża w jego mniemaniu jest owa szczypta. A potem wyśle mnie na doroczny uliczny festiwal sztuki do miasta Venice, na południe od Sarasoty, i poradzi, żebym zarezerwował tam sobie kawałek chodnika; na pewno czeka mnie sukces i uznanie rzeszy turystów oczarowanych moimi przepięknymi podróbkami Dalego.

A jeśli naprawdę tak robi, jeśli zobaczę, jak pokazuje mi tę szczyptę, i usłyszę, że mam właśnie tyle „talentu” - to co wtedy? Czy werdykt jakiegoś kompletnie obcego faceta może zniszczyć moją nowo odnanioną pewność siebie, odebrać mi tę nieznaną wcześniej,

wyjątkową radość?

- Niewykluczone - odpowiedziałem sobie głośno.

Tak. Bo malowanie obrazów to nie jest budowanie centrów handlowych.

Najprostszym rozwiązaniem byłoby odwołanie tego spotkania... z tym że obiecałem coś Ilse, a nie mam w zwyczaju łamać obietnic złożonych moim dzieciom.

Prawa ręka wciąż mnie swędziała, mocno, na granicy bólu, ale prawie nie zwracałem na to uwagi. Pod ścianą po mojej lewej stało szeregiem osiem albo dziewięć płócien. Odwróciłem głowę w tamtą stronę, podejmując decyzję, że spróbuję się zastanowić, które są najlepsze, ale zdążyłem jedynie prześlizgnąć się po nich wzrokiem.

U szczytu schodów stał Tom Riley. Miał na sobie tylko bladoniebieskie spodnie od pizamy; w kroku i po wewnętrznej stronie jednej nogawki materiał był ciemny od moczu. Prawe oko Toma zniknęło. W jego miejscu ziała głęboka dziura zapchana czerwono - czarną grudą ociekającej posoką miazgi. W poprzek skroni, podobne barwom wojennym, biegły poziome krechy pociągnięte zaschłą już krwią, znikając wśród siwiejących włosów nad uchem. Drugie oko, nietknięte, było utkwione nieruchomym spojrzeniem w wodach Zatoki Meksykańskiej. Na szczupłej, bladej twarzy grały karnawałowe iluminacje zachodzącego słońca.

Wrzasnąłem z przerażenia i totalnego zaskoczenia, odruchowo rzucając się w tył. Zleciałem z krzesła, upadając prosto na chore biodro, więc znowu wrzasnąłem, tym razem z bólu. Szarpnąłem się na podłodze, wywracając nogą krzesło. Kiedy znów spojrzałem w stronę schodów, Toma już tam nie było.

VI

Dziesięć minut później byłem już na dole i wystukiwałem na klawiaturze telefonu jego domowy numer. Po schodach nie zszedłem, tylko zjechałem na dupie, stopień po stopniu. Nie, nie uszkodziłem sobie biodra, spadając z krzesła; po prostu kolana trzęsły mi się tak mocno, że nie ufałem własnym nogom. Bałem się, że nawet jeśli będę schodził tyłem, trzymając się poręczy lewą ręką, to polecę na łeb na szyję. Gorzej: bałem się, cholera jasna, że po prostu zemdleję.

Cały czas miałem przed oczami Toma w moim domu nad jeziorem Phalen, kiedy zauważyłem, jak dziwnie błyszczą mu oczy, jak stara się opanować i nie rozplakać, żeby nie narobić mi wstydu. „Nie mogę się pogodzić, że ucięli ci rękę, szefie... Strasznie mi ciebie żal”.

W słuchawce rozległ się sygnał telefonu, który na drugim końcu linii zaczął dzwonić w Apple Valley, w domu Toma. Tego samego Toma, który dwa razy się żenił i dwa razy rozwodził, który odradzał mi wyprowadzkę z Mendota Heights - to tak, jakby w meczu o wszystko drużyna zrezygnowała z przewagi własnego boiska, powiedział. Który zabawił się potem trochę na moim boisku, jeśli wierzyć obrazowi pod tytułem „Pożytek z przyjaciół”... tak jak ja wierzyłem.

Wierzyłem też, że to, co widziałem w pokoju na piętrze, to była prawda.

Jeden sygnał... Drugi... Trzeci.

- Dawaj - mruknąłem. - Odbierz, kurwa.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć, gdyby odebrał, ale nie obchodziło mnie to ani trochę. W tamtym momencie chciałem tylko usłyszeć jego głos.

I usłyszałem, ale z taśmy.

- Witaj, dodzwoniłeś się do Toma Riley'a - poinformował Tom. - Jak co roku wyjechałem z mamą i bratem George'em na wakacje. Tym razem zaniósł nas do Nassau. A co na to mamusia?

- Jestem mama z Wysp Bahama! - obwieścił przepalony papierosami, aczkolwiek niewątpliwie rozradowany głos.

- Właśnie! - podjął Tom. - Wracamy ósmego lutego, a tymczasem zostaw wiadomość... kiedy, George?

- Po *zignale!* - rozległ się drugi głos, tym razem męski.

- Zgadza się! - przytaknął Tom. - Po *zignale*. Możesz też zadzwonić do mojego biura.

Podał numer służbowy, a potem cała trójka zgodnie wyskandowała: „*BON VOYAGE!*”.

Odłożyłem słuchawkę, nie mówiąc ani słowa. To nie brzmiało jak wakacyjne pożegnanie faceta planującego samobójstwo, lecz oczywiście należało brać pod uwagę, że był wtedy w towarzystwie najbliższych (czyli tych, którzy po fakcie pierwsi powiedzą: „Przecież wszystko z nim było w porządku”), więc...

- A kto powiedział, że to będzie samobójstwo? - zapytałem głośno, tocząc wzrokiem po pustym pokoju... a po chwili rozejrzałem się trwożnie jeszcze raz, sprawdzając, czy naprawdę jest pusty. - Kto powiedział, że to nie będzie wypadek? Albo nawet morderstwo? Zakładając, że „będzie”, a nie „było”? Może już po wszystkim?

Ale w takim razie ktoś chyba powinien do mnie zadzwonić. Na przykład Bozia, ale stawałem raczej na Pam. No i do tego...

- Samobójstwo - oznajmiłem czterem ścianom pustego pokoju. - To będzie samobójstwo. - Na razie jeszcze do niczego nie doszło. To było ostrzeżenie.

Wstałem i chwyciwszy kulę, ruszyłem do sypialni. Ostatnio coraz częściej obywałem się bez kuli, ale tamtego wieczoru była mi niezbędna.

Moja najmilsza towarzysza siedziała na łóżku, oparta o poduszkę. To łóżko należałoby do prawdziwej kobiety, gdybym ją jeszcze miał. Przysiadłem na posłaniu, wziąłem laleczkę w dłoń i zajrzałem w te ogromne bławatkowe gały. Odbijało się w nich bezbrzeżne kreskówkowe zdumienie: „Ouuu, ty niedobry!”. Moja Reba, taka podobna do Lucy Ricardo z „Kocham Lucy”.

- To było jak w „Opowieści wigilijnej”, kiedy Ebenezera Scrooge'a nawiedził duch przyszyłych świąt Bożego Narodzenia - powiedziałem jej. - Zobaczyłem coś, co może się wydarzyć.

Nie doczekałem się komentarza z jej strony.

- Ale co mam zrobić? To było coś innego niż te obrazy! Zupełnie coś innego!

Wiedziałem jednak, że tak naprawdę to było jedno i to samo. Obrazy i wizje rodzą się w głowie, a ja miałem tam trochę poprzestawiane. Nagle doszedłem do wniosku, że ta zmiana w moim mózgu nastąpiła w wyniku serii obrażeń, które nie wiedzieć czemu ułożyły się we właściwej kolejności. Albo w niewłaściwej. Sekwencja była następująca: obrażenia z przeciwwagi, uszkodzenie pola Broca. I Duma Key. Wyspa też była ogniwem tego łańcucha, ogniwem, które... Które co?

- Wzmocniło efekt - powiedziałem do Reby. - Mam rację?

Bez komentarza.

- Jest tutaj coś, co na mnie działa. Czy to możliwe, że zostałem celowo wezwany na tę wyspę?

Na tę myśl momentalnie dostałem gęsiej skórki. Pod moimi stopami grzmiał gruchot muszli toczonych i ciskanych przez fale. Jakże łatwo było sobie wyobrazić, że to nie muszle, lecz czaszki, tysiące czaszek zgrzytających zębami w upiornym wielogłosie, kiedy nadchodzi przyływ.

Czy to nie Jack opowiadał mi, że gdzieś tam w tej zapadłej dżungli stoi jeszcze jeden dom, podobno totalna ruina? Chyba to on. Kiedy pojechaliśmy w tamtym kierunku z Ilse, droga błyskawicznie zrobiła się praktycznie nieprzejezdna. A moja córka dostała bardzo nieprzyjemnych sensacji żołądkowych. Ja nie pochorowałem się tak jak ona, ale z trudem znosiłem smród tej ogromnej masy roślin, a amputowana ręka swędziała mnie jak nigdy przedtem. Wireman, kiedy powiedziałem mu, że wybraliśmy się w tamtą okolicę, wyglądał na zaniepokojonego. To nie jest miejsce na wycieczki dla faceta w twoim stanie, powiedział. Co to miało znaczyć? W jakim ja właściwie byłem stanie? Od Reby w dalszym ciągu nie mogłem

się doczekać najmniejszej reakcji.

- Nie chcę, żeby to się działo - powiedziałem cicho.

Spojrzała na mnie bez słowa. Byłem niedobry - takie miała o mnie zdanie i to byłby pewnie jej jedyny komentarz.

- Co z ciebie za pożytek? - warknąłem, odrzucając ją na bok. Upadła twarzą w dół na poduszkę, z rozłożonymi nogami i wypiętym siedzeniem. Wyglądała jak rasowa zdzira. Ouuu, ja niedobry.

Zwiesiłem głowę, wbijając wzrok w dywan. Pomasowałem sobie kark. Mięśnie miałem stężałe i twarde. Jak z żelaza. Już od jakiegoś czasu nie przyplątał mi się porządny ból głowy, ale czułem, że jeśli te skurcze szybko nie puszczą, to jeszcze dzisiaj mnie dopadnie i nie będzie lekko. Pomyślałem, że na początek warto by coś zjeść. Na przykład totalną bombę kaloryczną, czyli sztukę mięsa w sosie. Z mrożonki. Niezły pomysł. Wystarczy rozciąć folię, wrzucić do mikrofalówki, nastawić na maksymalną temperaturę, potrzymać z siedem minut i już można wpieprzać.

Ale jeszcze przez chwilę nie wstawałem z łóżka. Bardzo wiele pytań kłębiło się w mojej głowie, a na większość z nich prawdopodobnie nigdy nie miałem znaleźć odpowiedzi. Zdawałem sobie z tego sprawę i pogodziłem się z tym faktem. Od dnia mojej scysji z dźwigiem nauczyłem się godzić z wieloma różnymi rzeczami. Uznałem jednak, że muszę poszukać przynajmniej jednej odpowiedzi, bo inaczej nie zdołam nic przełknąć, chociaż byłem bardzo głodny. Telefon na stoliku nocnym był tutejszy: uroczo przestarzały model „Princess”, taki z okrągłą tarczą. Stał na książce telefonicznej, w której były prawie same żółte strony. Otworzyłem ją tam, gdzie zaczynała się chudziutka biała część. Nie spodziewałem się wcale, że znajdę w niej nazwisko Elizabeth Eastlake, ale okazało się, że byłem w błędzie. Wykręciłem numer. Po dwóch sygnałach odebrał Wireman.

- Halo, tu rezydencja panny Eastlake.

W jego nienagannie modulowanym głosie nie było prawie nic, co mogłaby wskazywać, że ten sam człowiek potrafi śmiać się tak głośno, żeby rozwalić fotel, na którym siedzi. Nagle nabrałem przekonania, że dzwonienie do niego nie ma sensu, ale po prostu nie widziałem innego wyjścia.

- Wireman? Mówi Edgar Freemantle. Potrzebuję pomocy.

PANI NA WŁOŚCIACH

I

Następnego dnia po południu znów zasiadłem przy stoliku na końcu drewnianego podestu wiodącego do *El Palacio de Asesinos*. Pasiasty parasol, chociaż rozdarty, nadawał się jeszcze do użytku. Znad wody ciągnął chłodny wiatr, więc musieliśmy włożyć bluzy. Na blacie stołu tańczyły maleńkie plamki światła, jakby w rytm moich słów. Bo mówiłem, tak jest, gadałem jak najęty i to prawie całą godzinę, zwilżając gardło zieloną herbatą. Wireman dbał o to, żebym cały czas miał pełną szklankę. Kiedy wreszcie umilkłem na chwilę, zapadła cisza, przerywana jedynie łagodnym szeptem fal załamujących się o brzeg.

Poprzedniego wieczoru musiałem mieć naprawdę przerażony głos, bo Wireman tak się zaniepokoił, że już chciał wsiadać do wózka golfowego i przyjeżdżać do mnie natychmiast. Twierdził, że panna Eastlake w razie potrzeby może ściągnąć go przez walkie - talkie. Powiedziałem mu, że nie trzeba aż tak się spieszyć; sprawa jest ważna, ale nie pilna, a w każdym razie nie na tyle, żeby musiał do mnie przyjeżdżać jak pogotowie, policja czy straż pożarna. I to była szczerza prawda. Gdyby Tom chciał popełnić samobójstwo na wakacjach z rodziną, niewiele mogłem zrobić, żeby temu zapobiec, jednakże nie wydawało mi się, żeby był zdolny targnąć się na własne życie, mając przy sobie matkę i brata.

Do tego, że grzebałem w torebce mojej córki, podczas gdy ona spała, nie zamierzałem się przyznawać; mimo wszystko za bardzo się wstydziłem. Ale kiedy już zacząłem swoją opowieść (na początek poszedł **LINK - BELT**), okazało się, że nie mogę przestać. Powiedziałem Wiremanowi prawie o wszystkim, kończąc opisem Toma Rileya, bladego trupa bez oka, którego zobaczyłem u szczytu schodów. Gadałem tak długo bez przerwy dlatego (przynajmniej częściowo), że zdawałem sobie sprawę z jednej prostej rzeczy: Wireman nie miał nade mną żadnej władzy prawnej i choćby bardzo chciał, nie może zamknąć mnie w najbliższym zakładzie psychiatrycznym. Innym powodem było zaś to, że ten człowiek, chociaż podobała mi się jego życzliwość, wesołość i lekko sarkastyczne poczucie humoru, wciąż był

dla mnie kimś obcym. Czasem - a właściwie chyba najczęściej - bywa tak, że o rzeczach wstydlivych czy wręcz niedorzecznych łatwiej opowiedzieć obcemu, Ale mój słowotok najbardziej napędzała czysta, szczerza ulga: czułem się tak, jakbym wyciskał jad z rany po ukąszeniu węża.

Wireman dolał sobie herbaty. Ręka, zauważyłem, drżała mu lekko. Zaciekawilo mnie to i zaniepokoiło. Potem odstawił dzbanek i spojrzal na zegarek, który nosił jak pielęgniarka, tarczą po wewnętrznej stronie nadgarstka.

- Za jakies pół godziny muszę wrócić do domu i sprawdzić, co porabia starsza pani - powiedział. - Na pewno wszystko jest w porządku, ale...

- A gdyby nie było? - zapytałem. - Gdyby na przykład upadła?

Wireman wyciągnął walkie - talkie z kieszeni swoich bawełnianych spodni. Krótkofalówka była mała i płaska jak telefon komórkowy.

- Pilnuję, żeby zawsze miała to przy sobie - wyjaśnił. - W całym domu jest też multum guzików alarmowych, ale prawdziwy system szybkiego reagowania - dźgnął się kciukiem w pierś - to ja. Jedyne, jakiemu mogę zaufać.

Potoczył wzrokiem po falach zatoki, westchnął.

- Ona ma alzheimera. Na razie nie jest najgorzej, ale doktor Hadlock mówi, że kiedy już wystąpiły objawy, to postęp najprawdopodobniej będzie szybki. Za rok... - Wzruszył ramionami, robiąc niemalże obrażoną minę. - Codziennie o czwartej po południu pijemy herbatę. I oglądamy Oprę Winfrey. Chodź dziś do nas. Poznasz panią na włościach. Dorzucę ci do tego kawałek ciasta z limetką.

- Zgoda - powiedziałem. - Umowa stoi. Naprawdę uważasz, że to ona zostawiła mi tamtą wiadomość na sekretarce? Że niby Duma Key nie jest szczęśliwym miejscem dla córek?

- Jasne. Ale jeśli oczekujesz, że ci to wyjaśni, albo że w ogóle będzie o tym pamiętać, to życzę szczęścia. Natomiast ja być może będę mógł ci trochę pomóc. Pytałeś wczoraj o jej braci i siostry, a mnie jakoś nie przyszło do głowy, żeby cię poprawić. Bo prawda jest taka, że Elizabeth miała tylko siostry. W rodzinie były same dziewczynki. Najstarsza urodziła się w tysiąc dziewięćset ósmym czy coś koło tego. Elizabeth dołączyła do obsady w dwudziestym trzecim. Pani Eastlake zmarła dwa miesiące po jej urodzeniu. Wdało się jakieś zakażenie. A może zrobił jej się zakrzep... Kto to może wiedzieć, po tylu latach? Umarła tutaj, na Dumie.

- Ojciec ożenił się ponownie? - W dalszym ciągu nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia.

Wireman pomógł mojej pamięci.

- John? Nie.

- Nie powiesz mi, że mieszkał tutaj i sam wychowywał sześć córek. To już jest powieść gotycka.

- Próbował. Pomagała mu niania. Ale potem najstarsza córka uciekła z chłopakiem. Panna Eastlake miała wypadek, niewiele brakowało, żeby się zabiła. A bliźniaczki... - Potrząsnął głową. - Były dwa lata starsze od niej. W dwudziestym siódmym roku zniknęły. Potem tłumaczono to tak, że chciały się wykąpać, porwał je prąd powrotny i utonęły w tym *caldo gran de*.

Przez chwilę obaj spoglądaliśmy w milczeniu na brzeg zatoki. Jedna po drugiej, niczym rozhasane małe psiaki, wbiegały na niego te zdradliwie łagodne fale. Potem zapytałem Wiremana, czy to sama Elizabeth opowiedziała mu o tym.

- Częściowo, Nie o wszystkim. Sama nie bardzo jest pewna, czy dobrze to pamięta. W Internecie, na stronie poświęconej historii wybrzeża Zatoki Meksykańskiej, natrafiłem na wzmiankę o identycznym wypadku. Nie było mowy o pomyłce. Nawiązałem e - mailową znajomość - Wireman uniósł dłonie i powywił palcami, udając, że stuka w klawiaturę - z koleśkiem, który pracuje w miejskiej bibliotece w Tarrapie. Dostałem od niego kopię numeru lokalnego dziennika. Tessie i Laura Eastlake. Dziewiętnasty kwietnia dwudziestego siódmego roku. Nagłówek na pierwszej stronie: surowy, ponury, mrozący krew w żyłach. Tylko jedno słowo, ODESZŁY.

- Jezu... - westchnąłem.

- Miały sześć lat. Elizabeth skończyła już cztery, więc była na tyle duża, żeby zrozumieć, co się stało. Może nawet znała już trochę abecadło i dała radę przeczytać taki krótki nagłówek: ODESZŁY. Bliźniaczki zginęły w morzu, Adriana uciekła z kierownikiem fabryki... Nic dziwnego, że John miał na jakiś czas dość tej wyspy. Zabrał pozostałą trójkę i przeprowadził się do Miami. Wrócił po latach, żeby tutaj umrzeć, a panna Eastlake opiekowała się nim. - Wireman wzruszył ramionami. - Tak jak teraz ja opiekuję się nią. No! Rozumiesz już, dlaczego starsza pani z początkami alzheimera może uważać Dumę za złe miejsce dla córek?

- Chyba tak. A skąd starsza pani z początkami alzheimera miała telefon do nowego lokatora?

Wireman posłał mi przebiegłe spojrzenie.

- Nowy lokator, stary telefon. Domowy aparat - wskazał kciukiem za siebie - ma wszystkie numery w automatycznej książce telefonicznej. Jeszcze jakieś pytania?

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

- Ona ma mój numer w automatycznej książce telefonicznej?

- Nie patrz tak na mnie. Ja jestem czysty. Występuję w tym serialu dopiero od niedawna. Domyślałam się, że to agent nieruchomości, który zajmuje się sprawami panny Eastlake, zapisał w telefonie numery domów do wynajęcia. A może to nie on, tylko jej administrator. Mieszka w St. Petersburgu i zagląda tutaj co sześć tygodni, żeby sprawdzić ją, czy nie umarła, i mnie, czy nie ukradłem porcelany. Jest tu bardzo ładny serwis Spode'a. Zapytam go o ten telefon następnym razem, kiedy wpadnie.

- Więc panna Eastlake może, wciskając jeden klawisz, połączyć się z każdym domem w tej części wyspy?

- No... tak. W końcu to są jej domy. - Wireman poklepał mnie po dłoni. - Ale wiesz co, *muchacho*? Twój klawisz chyba dziś dostanie lekkiego rozstroju nerwowego.

- Nie - powiedziałem natychmiast, bez zastanowienia. - Nie rób tego.

- Aha - mruknął takim tonem, jakby rozumiał, o co mi chodzi. I kto go wie, może faktycznie rozumiał. - W każdym razie to wyjaśnia tajemnicę zagadkowego nagrania na twojej sekretarce. Ale muszę ci coś powiedzieć: Duma to takie miejsce, gdzie jest sporo zagadkowych rzeczy. Czego przykładem może być choćby twoja opowieść.

- Co to ma znaczyć? Czy ty też coś... przeżyłeś?

Spojrzał mi prosto w oczy. Jego szeroka, zbrązowiała od słońca twarz była nieprzenikniona. Chłodny styczniowy wiatr obsypał nasze stopy piaskiem i rozburzył włosy Wiremana, odsłaniając po raz kolejny tę bliznę w kształcie monety na jego prawej skroni. Może wdał się w bójkę w jakimś barze, ktoś go uderzył butelką, a to jest ślad po jej szyjce, pomyślałem, próbując sobie wyobrazić, w jaki sposób ten facet mógłby kogokolwiek zdenerwować. To było trudne zadanie.

- Owszem, można powiedzieć, że coś... przeżyłem - odparł wreszcie, unosząc ręce i robiąc czterema palcami znak cudzysłowu w powietrzu. - Dzięki takim przeżyciom chłopiec staje się... mężczyzną. A wykładowca ma czym bajerować pierwszorocznych studentów na wykładach z... literatury. - Po każdej pauzie wykonywał taki sam gest.

W porządku, zrozumiałem, że nie chce o tym rozmawiać, przynajmniej nie w tej chwili. Zapytałem go więc, na ile wierzy w to, co mu opowiedziałem.

Przewrócił oczami, odchylając się na oparcie swojego fotela.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości, *vato*. Mogłeś się pomylić względem paru rzeczy, ale nie jesteś stuknięty. Ja mieszkam w tamtym domu z jedną panią. To najmilsza staruszka pod słońcem i kocham ją szczerze, ale czasami wydaje jej się, że jestem jej tatusiem, mieszka ze mną w Miami, a rok mamy mniej więcej trzydziesty czwarty. Innym razem bierze którąś ze

swoich porcelanowych figurek, chowa do blaszanki po ciastkach i topi w sadzawce z karpiami *koi*. Jest tutaj taka sadzawka, za kortem. Kiedy ucina sobie drzemkę, muszę je stamtąd wyciągać, bo inaczej zaczyna szaleć. Nie wiem, czemu to robi. Poza tym coś mi mówi, że zanim zacznie się lato, trzeba będzie zakładać jej pieluchę, i to na cały dzień.

- Podsumowując?

- Podsumowanie przedstawia się następująco: wiem, jak to wygląda, kiedy ktoś jest *loco*, znam Dumę i zaczynam poznawać ciebie. Jestem jak najbardziej skłonny uwierzyć, że miałaś wizję, w której twój przyjaciel był trupem.

- Powaga?

- Powaga. *Verdad*. Pytanie brzmi: co teraz zrobisz, zakładając, że nie życzysz mu śmierci za to, że... Mogę być wulgarny? Że obrócił towarem, który kiedyś należał do ciebie.

- Nie życzę mu śmierci. Przyznaję, że naszło mnie przelotnie takie... Nie wiem, jak to opisać...

- Chcesz powiedzieć, że najchętniej obciąłbyś mu fiuta, a potem wydłubał oczy gorącym widelcem do grzanek? Takie coś cię naszło przelotnie, *muchacho*? - Wireman złożył pistolet z dwóch palców, wycelował we mnie. - Moja żona była Meksykanką, wiem, czym jest zazdrość. To normalna rzecz, tak samo jak to, że podskakujesz, kiedy ktoś cię przestraszy.

- A ciebie żona kiedyś... - Urwałem. Nagle znów mi się przypomniało, że znam faceta dopiero od wczoraj. Miałem trudności, żeby o tym pamiętać. Wireman był osobowością intensywną. Absorbującą.

- Nie, *amigo* - odpowiedział. - O ile wiem, to nie. Moja żona tylko mi umarła. - Na jego twarzy nie dostrzegłem śladu emocji. - Nie drażmy tematu, dobrze?

- Dobrze.

- Co do zazdrości, to trzeba wiedzieć jedno: przychodzi i odchodzi. Jak tutejsze popołudniowe ulewy, kiedy zaczyna się pieski sezon. Powiadasz, że masz to gdzieś. I słusznie, bo już nie jesteś jej *campesino*. W tej chwili liczy się to, co postanowisz zrobić z tą drugą sprawą. W jaki sposób przeszkodzisz znajomemu popełnić samobójstwo? Bo wiesz, co się stanie po jego powrocie z rodzinnych wczasów?

Przez chwilę milczałem, tłumacząc, czy też próbując przetłumaczyć sobie to ostatnie hiszpańskie słówko. Rolnik? A może dosadniej: chłop? Jeśli tak, to była w tym swojego rodzaju gorzka prawda.

- *Muchacho*? Twój ruch. Co zrobisz?

- Nie wiem - odparłem. - Tom ma e - maila, ale co mam mu napisać? „Cześć, Tom, obawiam się, że myślisz o samobójstwie, odpowiedz jak najszybciej”? Zresztą na wakacjach i

tak nie sprawdza poczty. Ma dwie byłe żony, jednej z nich cały czas płaci alimenty, ale z żadną nie jest zbyt blisko. Miał kiedyś synka, ale on nie żyje. Umarł w dzieciństwie, chyba na rozszczep kręgosłupa, a... Co? No co?

Wireman nie patrzył na mnie; wyciągnął nogi i oglądał sobie kołujące nad wodą pelikany, które jeden po drugim rzucały się w fale. Dla nich najwidoczniej też była pora podwieczorku. W mowie ciała pozycja, którą przyjął, miała wyrażać głębokie obrzydzenie.

Odwrócił się wreszcie.

- Dość już tych wykrętów. Bardzo dobrze wiesz, kto ma z nim kontakt. A przynajmniej wydaje ci się, że wiesz.

- Pam? O nią ci chodzi?

Nie odpowiedział, patrzył tylko na mnie.

- Odpowiesz mi, Wireman, czy będziesz tak siedział?

- Muszę sprawdzić, co u mojej pani. Już pewnie wstała i ma ochotę na małe co nieco.

- Pam pomyśli, że zwariowałem! Do diabła, ona wciąż ma mnie za wariata!

- Przekonaj ją - powiedział, łagodniejąc odrobinę. - Posłuchaj mnie, Edgar. Jeśli oni faktycznie są ze sobą tak blisko, jak uważasz, to Pam na pewno coś zauważyła. A ty musisz spróbować. To wszystko, co możesz zrobić. *Entiendes?*

- Nie wiem, co to znaczy *entiendes*.

- To znaczy: „Zadzwoń do żony”.

- Byłej żony.

- Nie. Dopóki nie zaczniesz o niej myśleć inaczej, rozwód to tylko sądowa fikcja. To dlatego nie masz gdzieś, co ona myśli o twoim zdrowiu psychicznym. Ale jeśli ten facet też nie jest ci obojętny, to do niej zadzwonisz i powiesz tak: „Mam powody przypuszczać, że Tom chce ze sobą skończyć”.

Dźwignął się z fotela i wyciągnął do mnie dłoń.

- Dostyc tego bicia piany. Chodź, poznasz szefową. Nie pożałujesz. Jak na szefową, jest całkiem w porządku.

Podąłem mu rękę, pozwalając, żeby pomógł mi wstać z fotela, który, jak należało przypuszczać, zastąpił tamten połamany. Jerome Wireman miał silny chwyt. To jest kolejna jego cecha, której nie zapomnę nigdy: facet miał silny chwyt. Podest prowadzący do tylnej bramy w murze otaczającym hacjendę był wąski i musieliśmy iść gęsiego, pokuśtykałem więc dzielnie za nim. Kiedy stanęliśmy przed bramą (która była pomniejszoną kopią tamtej głównej i prezentowała czysty styl hiszpański, idealnie odpowiadający kolokwialnym wtrętom mojego nowego znajomego), Wireman odwrócił się do mnie z lekkim uśmiechem.

- We wtorki i czwartki przychodzi Josie, sprzątaczką. Jeśli ją poproszę, zgodzi się mieć oko na pannę Eastlake podczas jej popołudniowej drzemki, co oznacza, że jutro, około drugiej, mogę wpaść do ciebie i obejrzyć twoje obrazy. Pasuje ci taki układ?

- Skąd wiedziałeś, że chcę cię o to poprosić? Cały czas nie mogłem się zebrać na odwagę.

Wzruszył ramionami.

- To oczywiste, że chciałbyś je komuś pokazać, zanim pojedziesz do tego gościa z galerii. To znaczy komuś poza córką i twoim chłopakiem do pomocy.

- Jestem umówiony na piątek. Zdycham ze strachu.

Wireman machnął tylko ręką i uśmiechnął się szeroko.

- Spokojna głowa - powiedział i zamilkł na chwilę. - Jeśli uznam, że twoje obrazy są do dupy, na pewno ci powiem - dokończył.

- Pasuje.

Skinął głową.

- Chciałem tylko, żeby to było jasne.

Otworzył bramę i wprowadził mnie na dziedziniec domu, który nazywał się Czaple Siedlisko, ale znany był również jako *El Palacio de Asesinos*.

II

Widziałem już kiedyś to miejsce - w dniu, kiedy wykręcałem samochodem w głównej bramie. To był jednak tylko jeden rzut okiem, a teraz mogłem przyjrzeć się porządnie. Wtedy myślałem tylko o tym, żeby moja córka, siedząca obok, złana potem i z twarzą koloru popiołu, wróciła do domu, więc zauważyłem na przykład kort do tenisa i płytki w chłodnym, niebieskim kolorze, ale sadzawka z karpiami *koi* umknęła już mojej uwagi. Kort był pozamiatany i gotowy do gry; nawierzchnię również wykonano z płytek, o dwa tony ciemniejszych niż te na dziedzińcu. Jeden obrót chromowanej korbki napinał siatkę. Obok linii stał kosz na drucianych nogach, pełen piłek; zobaczywszy go, przypomniałem sobie szkic, który Ilse zabrała ze sobą do Providence: „Gra skończona”.

- Kiedyś się spróbujemy, *muchacho* - zakomunikował mi Wireman, kiedy mijaliśmy kort, zwalniając, żebym mógł go dogonić. - Ty i ja, jeden na jednego. Dostaniesz taryfę ulgową, tylko serw i odbicie, ale mówię ci, naprawdę marzę o tym, żeby pomachać sobie rakietą.

- Takie jest twoje wynagrodzenie za recenzję obrazów?

Uśmiechnął się.

- Mam swoją Cenę, ale nie zgadłeś. Powiem ci później. Chodź do środka.

III

Wireman wprowadził mnie tylnymi drzwiami, przez mroczną kuchnię, gdzie majaczyły białe blaty i szafki oraz ogromnych rozmiarów kuchenka firmy Westinghouse. Dalej zaczynała się mieszkalna część domu, pełna szeptów, lśniąca ciemnym, polerowanym drewnem: rozpoznałem dąb, orzech, teczynę, sekwoję, cyprys. To był prawdziwy pałac, *Palacio*, zbudowany w starym stylu, z którego niegdyś słynęła Floryda. Po drodze przeszliśmy przez pokój pełen książek, gdzie rzuciła mi się w oczy prawdziwa, kompletna zbroja czuwająca na baczność w kącie. Do biblioteki przylegał gabinet, którego ściany obwieszane były obrazami; nie były to jednak nudziarskie olejne portrety, lecz jaskrawe abstrakcje, a nawet kilka zaskakujących opartowskich dziwaczności.

W głównym holu załało nas światło niczym biały deszcz. Przechodząc tędy (ściśle rzecz biorąc, szedł tylko Wireman; ja kuśtykałem), zrozumiałem nagle, że ta część niewątpliwie wspaniałej rezydencji jest niczym więcej jak zamkniętym i zadaszonym łącznikiem, elementem budowlanym typowym dla Florydy. Kiedyś było tutaj otwarte przejście, oddzielające od siebie starsze, znacznie skromniejsze zabudowania. Styl ten, w którym podstawowym budulcem, zamiast kamienia, jest drewno (czasem nawet byle jakie deski i drewniane szczątki), ma zresztą własną nazwę: „Florida Cracker”.

Ów łącznik, rzęsiście oświetlony dzięki przeszklonemu sufitowi, był zastawiony żardynierami. Doszliśmy do końca, a Wireman skręcił w prawo. Przed nami otworzył się olbrzymi, chłodny salon. Biegące długim rzędem okna wychodziły na boczny dziedziniec, pełen kwiatów - moje córki umiałyby nazwać połowę rosnących tam gatunków, Pam wszystkie, ja natomiast rozpoznałem tylko astry, jednodniowe komeliny, dziki bez i naparstnice. Aha, i jeszcze rododendrony. Sporo ich tam rosło. Po biegnącej za klombami ścieżce, wyłożonej niebieskimi płytkami i prawdopodobnie łączącej się z głównym dziedzińcem, przechadzała się bystrooka czapla. Sprawiała wrażenie jednocześnie zadumanej i zachmurzonej, ale prawdą też jest, że wszystkie czaple, które miałem okazję oglądać na ziemi, a nie w locie, wyglądały jak purytańscy ojcowie duchowi, rozmyślający nad selekcją kolejnej czarownicy do spalenia.

Na środku salonu stała kobieta, którą widzieliśmy z Ilse w dniu naszej przejażdżki w poszukiwaniu końca Duma Key Road. Wtedy siedziała na wózku i miała na nogach

niebieskie trampki. Dziś było inaczej: stała boso, zaciskając dłonie na poręczy balkonika inwalidzkiego. Jej stopy były duże i bardzo blade. Strój starszej pani składał się z wysokich w stanie spodni w kolorze beżowym oraz bluzki z ciemnobrązowego jedwabiu, która miała długie rękawy i zabawnie szerokie ramiona; zupełnie, pomyślałem, jak Katharine Hepburn w starych filmach, które czasami puszczają na Turner Classic Movies. Na przykład „Żebro Adama” albo „Kobieta roku”. Z tym że nie mogłem sobie przypomnieć, żeby Katharine Hepburn kiedykolwiek wyglądała na aż tak wiekową, nawet kiedy była już naprawdę stara.

Największym meblem w salonie był długi, niski stół, bardzo podobny do tego, jaki stał w piwnicy u moich rodziców; ojciec urządził na nim tor swojej kolejki elektrycznej. Ten stół nie był jednak pokryty sztuczną trawą, lecz miał blat z jakiegoś lekkiego drewna, chyba z bambusa. Całą powierzchnię zajmowały makiety różnych budynków, wśród których stał istny tłum figurek z porcelany: mężczyźni, kobiety, dzieci, zwierzęta hodowlane, zwierzęta z zoo, stwory mityczne. Zauważyłem też kilku osobników w kabaretowym murzyńskim makijażu; do NAACP* na pewno by ich nie przyjęli.

Elizabeth Eastlake przywitała Wiremana cudownym, pełnym czystego zachwytu uśmiechem. Pomyślałem, że byłoby wspaniale, gdybym mógł narysować ten uśmiech, ale po chwili zreflektowałem się, że najprawdopodobniej nikt nie wzięby tego rysunku na poważnie. Ludzie nigdy nie potrafią uwierzyć w najprostsze uczucia, kiedy ukazują je sztuka, chociaż widzą je dookoła siebie, każdego dnia, na każdym kroku.

- Wireman! - zawołała starsza pani. - Spałam dziś krócej. Wstałam i bawiłam się moją porcelanową trzódką. Było pysznie! - Miała akcent dziewczyny z dalekiego Południa. - Spójrz, rodzinka już w domu!

Na jednym końcu stołu znajdowała się miniaturowa rezydencja. Taka z kolumnami. Przypomnijcie sobie Tarę z „Przeminęło z wiatrem” i będzie dobrze. Albo „pysznie”, jeśli macie życzenie wyrażać się tak jak Elizabeth. Dom otaczała, szerokim kręgiem, gromadka licząca prawie tuzin figurek. Wszystkie były starannie ustawione w dziwnym, uroczystym porządku.

- Faktycznie - zgodził się Wireman.

- A szkoła! Zobacz, jak poustawiałam dzieci pod szkołą! Chodź, obejrzyj!

- Już idę, ale wie pani, że nie lubię, kiedy wstaje pani sama - odpowiedział.

- Nie chciało mi się dzwonić przez tę starą krótkofalówkę. Czuję się bardzo dobrze,

* NAACP (The National Association for the Advancement of Colored People, Krajowe Stowarzyszenie na rzecz Postępu Ludzi Kolorowych) - powstała w 1909 r. organizacja walcząca o zniesienie segregacji rasowej i przyznanie czarnoskórym równych praw, jedna z najbardziej wpływowych organizacji tego typu w USA (przyp. tłum.).

naprawdę. Chodź, zobacz. I twój nowy znajomy też niech obejrzy. Ach, wiem, kim pan jest. - Uśmiechnęła się, kiwając na mnie palcem, żebym podszedł bliżej. - Wireman mi opowiadał. Pan to ten nowy lokator z Przylądka Łososi.

- On mówi na niego Wielki Koral - poinformował ją Wireman.

Elizabeth Eastlake roześmiała się głośno. Był to chropawy śmiech nałogowej palaczki, z gatunku takich, które muszą zakończyć się kaszlem. Wireman podszedł szybko, żeby podtrzymać swoją pracodawczynię. Panna Eastlake sprawiała wrażenie, że ani kaszel, ani pomoc Wiremana w najmniejszym stopniu jej nie przeszkadzają.

- Świetne! - zawołała, odzyskawszy wreszcie mowę. - Och, mój kochany, naprawdę świetne! A teraz proszę obejrzeć, jak zmieniałam wszystko dookoła szkoły, panie... Na pewno słyszałam już, jak się pan nazywa, ale wyleciało mi z głowy, często mi się to teraz zdarza, a więc panie...?

- Freemantle - powiedziałem. - Nazywam się Edgar Freemantle.

Podszedłem do stołu, na którym stały zabawki pani domu. Podała mi dłoń, która była wiotka, ale spora, podobnie jak jej stopy. Z zadowoleniem stwierdziłem, że staruszka nie zapomniała szlachtetnej sztuki witania się z ludźmi; uściśnęła moją rękę najmocniej, jak tylko mogła. Ściskając, taksowała mnie wesołym, zaciekawionym spojrzeniem. Polubiłem ją z miejsca za to, że otwarcie przyznała się do kłopotów z pamięcią. I nawet jeśli faktycznie miała alzheimera, to na razie nie było tego ani specjalnie widać, ani słychać. Ja, na przykład, zaczynałem się o wiele częściej - w mowie i w myśli też.

- Miło cię poznać, Edgarze. Widziałam cię już kiedyś, ale nie pamiętam kiedy. Jeszcze sobie przypomnę. Wielki Koral! Elegancko!

- Bardzo mi się tam podoba, proszę pani.

- To dobrze. Cieszę się, że jesteś z niego zadowolony. Gzy wiesz, że to dom artystów? Jesteś artystą, Edgarze?

Jej spojrzenie było otwarte i prostolinijne.

- Tak - odpowiedziałem, ponieważ tak było najprościej, najszybciej, a być może też najbliższej prawdy. - Chyba jestem.

- Oczywiście, że jesteś, mój kochany, wiedziałam to od razu. Będę chciała kupić od ciebie obraz. Cenę ustalicie z Wiremanem. To prawnik i doskonały kucharz, wspominał ci może o tym?

- Tak... Nie... To znaczy... - Pogubiłem się zupełnie. Potok wymowy starszej pani nagle popłynął w zbyt wielu kierunkach naraz. Wireman, psi syn, trząsł się cały od tłumionego śmiechu. Oczywiście, mnie też momentalnie zachciało się śmiać.

- Kiedy w Wielkim Koralu, jak go nazywasz, mieszkają malarze, zawsze próbuję zdobyć od nich obrazy. Mam jednego Haringa, który powstał właśnie tam. No i szkic Dalego.

Od razu odeszła mi ochota do śmiechu.

- Naprawdę? - zapytałem.

- Tak! Pokażę ci go za chwilę, na pewno cię to nie ominie. Wisi w pokoju telewizyjnym, a my zawsze oglądamy Oprę. Prawda, Wireman?

- Tak - potwierdził, zerkając na swój odwrotnie założony zegarek.

- Ale nie musimy włączać telewizora punktualnie, bo mamy taki cudowny aparacik, który nazywa się... - Urwała, marszcząc brwi i przykładając palec do dołeczka w pulchnym policzku. - Vito? Dobrze mówię, Wireman? Vito?

- TiVo, panno Eastlake - poprawił z uśmiechem.

Staruszka roześmiała się głośno.

- TiVo, jakie zabawne słowo, prawda? Równie zabawne, jak te nasze oficjalności. Ja zwracam się do niego per „Wireman”, on do mnie „panno Eastlake”. No, chyba że mi smutno - na przykład, kiedy czegoś zapomnę. Jesteśmy jak *dramatis personae* w jakiejś wesołej sztuce teatralnej, gdzie z góry wiadomo, że zaraz zagra orkiestra i wszyscy aktorzy zaczną śpiewać! - Roześmiała się na znak, że uważa to za uroczy żart, ale w tym śmiechu zabrzmiało coś na kształt lekkiego rozgorączkowania. Jej akcent i wymowa nagle przestały się kojarzyć z Margaret Mitchell; przyszły mi na myśl dramaty Tennessee Williamsa.

Usłyszałem łagodny - bardzo łagodny - głos Wiremana:

- Może chodźmy już obejrzyć Oprę. Powinna pani usiąść. Przed telewizorem będzie pani mogła sobie zapalić, a przecież bardzo to pani lubi, prawda?

- Jeszcze chwilę, Wireman. Jedną chwilę. Tak rzadko mamy tutaj towarzystwo - powiedziała, kładąc nacisk na ostatnie słowo, i znów zwróciła się do mnie: - Jaką dziedzinę sztuki uprawiasz, Edgarze? I czy wierzysz w zasadę „sztuka dla sztuki”?

- Zdecydowanie tak, proszę pani. Sztukę tworzy się dla sztuki.

- Miło mi to słyszeć. Takich ludzi Przylądek Łososi lubi najbardziej. Co ty wymyśliłeś?

- Chodzi pani o obrazy?

- Nie, kochany - o Przylądek Łososi.

- Wielki Koral, proszę pani.

- I tak będę go nazywać. A ty będziesz mi mówić Elizabeth.

Uśmiechnąłem się. Musiałem, bo w tych słowach była powaga, a nie kokieteria.

- Tak będę mówić - skinąłem głową.

- Doskonale. Już za momencik pójdziemy na telewizję, ale najpierw... - Odwróciła wzrok w stronę stołu. - Co powiesz, Wireman? A ty, Edgarze? Widzicie, jak poustawiałam dzieci?

Wszystkie dzieci stały pod lewym skrzydłem szkoły, twarzą do budynku. Było ich około dwunastu; widocznie jakiś mało liczny rocznik.

- Co wam to mówi? - zapytała starsza pani. - Wireman? Edwardzie? Żaden nie zgadnie?

- Wyszły na przerwę? - strzelił Wireman i wzruszył ramionami.

- Skądże znowu - ofuknęła go. - Gdyby to była przerwa, toby się bawiły, a nie stały wszystkie razem i gapiły nie wiadomo na co.

- Pożar - powiedziałem. - Albo ćwiczenia przeciwpożarowe.

Starsza pani wychyliła się zza swojego balkonika (czujny Wireman chwycił ją za ramię, żeby go nie wyróciła) i cmoknęła mnie w policzek. Zdziwiłem się jak cholera, ale w pozytywny sposób.

- Świetnie, Edwardzie! - zawołała. - To teraz powiedz: ćwiczenia czy prawdziwy pożar?

Namyśliłem się szybko. Pytanie było proste, jeśli podeszło się do niego poważnie.

- Ćwiczenia - odpowiedziałem.

- Tak! - Jej niebieskie oczy zapłonęły radością. - Powiedz Wiringowi dlaczego.

- Gdyby wybuchł prawdziwy pożar, dzieci uciekałyby na oślep, we wszystkich kierunkach. A one tylko...

- Stoją i czekają, aż będą mogły wrócić do szkoły. Tak. - Odwróciła się do Wiremana i nagle zobaczyłem inną kobietę, smutną i wystraszoną. - Znowu przekreśliłam twoje nazwisko.

- Nic się nie stało, panno Eastlake - pocieszył ją, całując w skroń z czułością, która bardzo mnie ujęła.

Staruszka uśmiechnęła się, patrząc mi w oczy. Ten uśmiech był jak słońce wyglądające zza chmury.

- Dopóki on mówi nam po nazwisku, wiemy, że... - Odniosłem wrażenie, że się pogubiła. Jej uśmiech zaczął blednąć. - Wiemy, że...

- Że już czas na Oprę - dokończył Wireman, biorąc ją pod ramię. Wspólnymi siłami odwrócili balkonik od stołu, a panna Eastlake ruszyła z zaskakującą prędkością w kierunku drzwi po drugiej stronie pokoju. Wireman szedł tuż za nią, pilnując jej na każdym kroku.

Głównym sprzętem w „pokoju telewizyjnym” był duży, płaskoekranowy odbiornik Samsunga. Na wprost niego, pod przeciwległą ścianą, znajdował się zestaw drogich

głośników. Ale ja po wejściu nie zwróciłem praktycznie uwagi ani na telewizor, ani na nagłośnienie. Patrzyłem na oprawiony w ramki szkic, który wisiał nad półkami pełnymi płyt kompaktowych. Na kilka sekund zapomniałem o oddychaniu.

Szkic był narysowany samym ołówkiem, a jedyny kolorowy akcent stanowiły dwie szkarłatne kreski, dodane zwykłym czerwonym piórem, takim szkolnym, nauczycielskim, do sprawdzania klasówek. Te z pozoru tylko lekkomyślne maźnięcia biegły wzdłuż horyzontu zatoki, symbolizując zachód słońca. I były w sam raz. Geniusz w skali mikro. To był mój horyzont, mój, ten sam, który tyle razy oglądałem przez szerokie okno w „Koraliku”. Wiedziałem o tym od razu, tak samo jak byłem pewien, że autor tego rysunku, przekładając siłą umysłu to, co widziały jego oczy, na pustą białą kartkę, słuchał miarowego chrzęstu muszli dobiegającego spod podłogi domu. Na horyzoncie widniała sylwetka statku. Był to prawdopodobnie tankowiec. Możliwe nawet, że ten sam, który ja narysowałem pierwszego wieczoru spędzonego pod numerem trzynastym przy Duma Key Road. Styl nie przypominał mojego w najmniejszym stopniu, ale wybór tematu był niemalże identyczny.

A pod spodem - podpis, tak niedbały, że prawie nieczytelny: *Salv Dali*.

IV

Przed telewizorem panna Eastlake - Elizabeth - zapaliła sobie papierosa, przysłuchując się, jak Oprah Winfrey przepytuje Kirstie Alley ze znajomości nieustannie fascynującego tematu, jakim jest zrzucanie zbędnych kilogramów. Wireman zrobił kanapki z sałatką jajeczną - niebo w gębie. Przez cały czas oczy uciekały mi w kierunku szkicu. Hello, Dali, myślałem przy tym (jakżeby inaczej). Kiedy na ekranie pojawił się doktor Phil i zaczął krzyczeć na parę otyłych kobiet z widowni, które najwidoczniej zgłosiły się na ochotnika, aby otrzymać od niego reprimendę, powiedziałem Wiremanowi i Elizabeth, że naprawdę muszę już wracać do siebie.

Elizabeth uciszyła doktora za pomocą pilota, po czym wyciągnęła do mnie książkę, na której ów pilot leżał. W jej spojrzeniu dostrzegłem prośbę i jednocześnie nadzieję.

- Wireman powiedział, że będziesz czasem przychodził do mnie, żeby mi poczytać. Czy to prawda, Edmundzie?

Czasami człowiek bywa zmuszony podjąć jakąś decyzję w ułamku sekundy. Tak właśnie było wtedy ze mną. Postanowiłem, że nie spojrzę na Wirerhana, który siedział po lewej ręce Elizabeth. Bystrość umysłu, którą starsza pani popisała się przy stole z porcelanowymi figurkami, zaczęła już słabnąć, nawet ja to zauważyłem, ale wciąż jeszcze

sporo jej zostało. Jedno spojrzenie do Wiremana i wydałoby się, że pierwszy raz słyszę o czymś takim, a wtedy naraziłbym Elizabeth na wstyd. Nie chciałem, żeby musiała się wstydzić, po pierwsze dlatego, że ją polubiłem, a po drugie, bo coś mi mówiło, że następny rok albo dwa przyniosą jej niejeden powód do wstydu. Wkrótce zaczniesz zapominać o wiele więcej niż tylko same nazwiska.

- Rozmawialiśmy o tym - przyznałem.

- Może zgodziłbyś się przeczytać mi coś już dziś? - zapytała. - Sam wybierz sobie wiersz. Bardzo mi ich brakuje. Bez Opry jeszcze mogłabym się obejść, ale życie pozbawione książek jest puste, a życie bez poezji to już... - Roześmiała się. Było w tym śmiechu tyle konsternacji, że aż zabolowało mnie serce. - To jak życie bez obrazów, nie sądzisz? Czy sądzisz? Jak sądzisz?

W pokoju było bardzo cicho. Gdzieś tam tykał zegar, ale poza tym - żadnego dźwięku. Wydawało mi się, że Wireman chce coś powiedzieć, ale milczał; Elizabeth na chwilę odebrała mu mowę, co było nie lada wyczynem przy tym *hijo de madre*.

- Możesz wybrać, co chcesz, Edwardzie - powtórzyła. - Ale jeśli naprawdę musisz już wracać...

- Nie - powiedziałem. - W porządku. To żaden problem.

Książka była zatytułowana po prostu „Dobre wiersze”. Autorem wyboru był niejaki Garrison Keillor; w tej części świata, z której przybyłem, facet z takim nazwiskiem mógłby zapewne wystartować w wyborach na gubernatora i wygrać. Otworzyłem tomik na chybił trafił. Trafiłem na wiersz poety nazwiskiem Frank O'Hara. Utwór był krótki, więc od razu wydał mi się dobry. Zabrałem się do dzieła.

*Czy nie pamiętasz już, jacy byliśmy
gdy wciąż byliśmy jeszcze prima sort
a każdy dzień wstawał tłusty i miał jabłko w pysku*

*nie ma sensu martwić się upływem Czasu
a jednak mieliśmy w zanadrzu kilka trików
by z różnych opalów wyjść obronną ręką*

*całe pastwisko było jakby dla nas
prędkościomierze - zupełnie zbyteczne
koktajl - starczyła woda z kostką lodu...*

W tym momencie stało się ze mną coś niespodziewanego. Głos uwiązał mi w gardle, a wydrukowane litery podwoiły mi się w oczach, jakby ta woda, która przed chwilą pojawiła się w wierszu, ożywiła moje kanaliki łzowe. Oderwałem wzrok od kartki i schrypniętym nagle głosem mruknąłem „Przepraszam”. Wireman był zaniepokojony, ale Elizabeth Eastlake uśmiechała się do mnie, a jej wzrok mówił, że rozumie doskonale, co się ze mną dzieje.

- Nic się nie stało, Edgarze - powiedziała. - Na mnie poezja też tak czasem działa. Szczere uczucie to żaden powód do wstydu. Nie symuluje się konwulsji.

- Ataku bólu - nie odgrywa - dokończyłem głosem, którego sam nie mogłem rozpoznać, jakby to mówił ktoś inny.

Elizabeth uśmiechnęła się promiennie.

- On zna Emily Dickinson, Wireman!

- Na to wygląda - zgodził się Wireman, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

- Dokończysz, Edwardzie?

- Tak, proszę pani.

nie chciałbym być ani szybszy niż jestem

ani świeższy, gdybym miał cię przy sobie, o, przy tobie

przeżyłem najlepsze dni życia.

Zamknąłem tomik.

- Koniec.

Elizabeth skinęła głową.

- Kiedy przeżyłeś najlepsze dni swojego życia, Edgarze?

- Może przeżywam je teraz - odparłem. - Mam taką nadzieję.

Przytaknęła ponownie.

- W takim razie ja też będę ją mieć. Nadziei nie można zabronić nikomu i nigdy. I wiesz co, Edgarze?

- Słucham, proszę pani.

- Mów mi Elizabeth. Nie mam życzenia być proszę panią na sam koniec życia. Nie zniosę tego. Czy się rozumiemy?

Skinąłem głową.

- Myślę, że tak, Elizabeth.

Uśmiechnęła się do mnie, a łzy, które też wezbrały jej pod powiekami, potoczyły się

po policzkach, przeoranych zmarszczkami policzkach starej kobiety. Ale jej oczy, oczy, które na mnie patrzyły, były młode. Młode.

V

Dziesięć minut później dotarliśmy na koniec podestu prowadzącego z *El Palacio* na plażę. Pani domu została sama, ale Wireman dał jej kawałek ciasta z limetki, szklankę herbaty i pilota. Ja miałem ze sobą torebkę, a w niej dwie jego kanapki z sałatką jajeczną. Powiedział, że jeśli ich nie zabiorę, to się zepsują; nie musiał mnie zresztą długo namawiać. Poprosiłem go też o kilka aspiryn na drogę.

- Posłuchaj... - zaczął. - Przepraszam za tę niespodziankę. Chciałem cię najpierw zapytać, naprawdę.

- Spokojnie, nic się nie stało.

Wireman skinął głową, ale nie patrzył na mnie. Błądził wzrokiem po zatoce.

- Chcę tylko jasno powiedzieć, że niczego jej nie obiecałem. Ale ona jest teraz taka... dziecinna. I po dziecinnemu zakłada, że będzie tak, jak sama by chciała, nie licząc się z tym, jak jest faktycznie.

- A chciałaby, żeby ktoś czytał jej poezję.

- Tak.

- Płyta z nagrany mi wierszami nie załatwi sprawy?

- Nie. Mówi, że pomiędzy wierszem z płyty a wierszem na żywo jest taka sama różnica jak między grzybami z puszki a świeżymi. - Wireman uśmiechnął się, ale w dalszym ciągu na mnie nie patrzył.

- A dlaczego ty jej niczego nie czytasz?

Wciąż błądząc wzrokiem po falach, odpowiedział:

- Bo już nie mogę.

- Już nie możesz? Dlaczego?

Zastanowił się przez chwilę, potem potrząsnął głową.

- O tym kiedy indziej. Dziś Wireman jest zmęczony, *muchacho*, a starsza pani w nocy na pewno wstanie. Rześka i kłótniwa, rozżalona i kompletnie skołowana, gotowa uwierzyć, że jesteśmy w Londynie albo w St. Tropez. Widziałem teraz wszystkie objawy.

- Wyjaśnisz mi to kiedyś?

- Tak. - Odetchnął głęboko przez nos. - Jeśli ty mogłeś się odsłonić, to ja chyba też mogę, chociaż wielkiej przyjemności mi to nie sprawi. Na pewno dasz radę wrócić sam na

piechotę?

- Spokojna głowa - powiedziałem zdecydowanym tonem, chociaż biodro dygotało mi jak spory silnik.

- Podrzuciłbym cię wózkiem golfowym, naprawdę, ale kiedy ona jest w takim stanie... Doktor Wireman wymyślił dla niego specjalny fachowy termin: „inteligentne skretynienie”... To może jej na przykład przyjść do głowy, że trzeba umyć okna... Albo poodkurzać półki... Albo wybrać się na spacer bez balkonika. - Na tę ostatnią myśl aż się wzdrygnął. To wszystko brzmiało jak parodia, która nagle staje się rzeczywistością.

- Wszyscy wciąż usiłują mnie wsadzić na wózek golfowy - powiedziałem.

- Zadzwonisz do żony?

- Nie widzę innego wyjścia.

Skinął głową.

- Grzeczny chłopak. Kiedy wpadnę obejrzeć twoje obrazy, opowiesz mi, jak poszło. O której mam przyjść? Mogę o dowolnej porze. Jeśli wolisz rano, to znam jedną pielęgniarkę na telefon. Nazywa się Annmarie Whistler. Mogę ją wezwać.

- W porządku. Dziękuję. I dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

- A ja dziękuję, że przeczytałeś szefowej ten wiersz. *Buena suerte, amigo*.

Ruszyłem przed siebie brzegiem plaży, ale po około pięćdziesięciu metrach coś jeszcze przyszło mi do głowy. Spojrzałem za siebie, nie spodziewając się już zobaczyć Wiremana, ale nie - stał tam, gdzie go zostawiłem, z rękami wbitymi w kieszenie, a wiatr znad zatoki - coraz chłodniejszy - rozwiewał jego długie, siwiejące włosy.

- Wireman! - zawołałem.

- Co?

- Czy Elizabeth była kiedyś artystką?

Wireman milczał przez długą chwilę; słychać było tylko głos fal, które tamtego wieczoru szumiały mocniej, popychane wiatrem. Wreszcie odezwał się:

- Ciekawe pytanie, Edgarze. Gdybyś ją o to zapytał, czego nie radzę robić, odpowiedziałyby, że nie. Ale ja uważam, że to nieprawda.

- Dlaczego?

Ale on powiedział tylko:

- Zbieraj się już lepiej, *muchacho*, zanim ci ta noga do reszty zeszywnieje.

Pomachał mi krótko na pożegnanie i odwrócił się, wchodząc na podest. Potem ruszył w ślad za swoim wydłużającym się cieniem i zanim się spostrzegłem, zniknął mi z oczu.

Przez chwilę albo dwie tkwiłem w miejscu, aby wreszcie skierować się prosto na

północ, biorąc kurs na Wielki Koral. Droga była długa i kiedy dotarłem wreszcie do domu, mój nedorzecznie długi cień zdążył już wpaść pomiędzy kępy unioli i zgubić się tam. W końcu jednak stanąłem u celu. Fale wciąż przybierały na sile, a dobiegające spod podłogi szemranie muszli znów zrobiło się swarliwe.

JAK POWSTAJE OBRAZ (IV)

Zaczynij od tego, co znasz, a potem wymyśl to na nowo. Sztuka to magia, bez dwóch zdań, ale źródłem wszystkich dzieł sztuki, nawet tych najbardziej dziwacznych, jest szara codzienność. Nie dziw się, gdy zobaczysz, że niesamowite kwiaty rosną na zwykłej ziemi. Elizabeth wiedziała o tym dobrze. Nikt jej tego nie uczył; odkryła to sama.

Im więcej rysowała, tym więcej widziała. A im więcej widziała, tym bardziej chciała rysować. Tak to już jest. Dostrzegając rzeczy dookoła siebie, stopniowo odzyskiwała znajomość swojego języka: najpierw przypomniawszy sobie te czterysta albo pięćset słów, które zdążyła poznać, zanim wypadła z dwukółki, uderzając się w głowę, a potem zaczęły do nich dołączać kolejne. Było ich bardzo dużo.

Tatusz nie posiadał się ze zdumienia, jak szybko jej rysunki nabierają finezji. Podobnie siostry: obie paskudy i obie bliźniaczki (Adie nie, bo Adie wyjechała do Europy z trzema znajomymi i dwoma zaufanymi przyzwóitkami - Emery Paulson, młody mężczyzna, którego potem miała poślubić, na razie nie pojawił się jeszcze na scenie). Natomiast niania i gosposia w jednym rozplywała się z zachwytu nad obrazkami Elizabeth i mówiła na nią „la petite obeah fille”.*

Pan doktor, który czuwał nad jej zdrowiem po wypadku, ostrzegał, że dziewczynce nie wolno się przemęczać ani zbyt emocjonować, bo może dostać gorączki, ale kiedy zaczął się styczeń tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku, mała Elizabeth znała już całą południową część wyspy jak własną kieszeń i biegała wszędzie ze swoim blokiem rysunkowym, grubo ubrana w „kruteczkę i paczeczkę”, rysując wszystko, co wpadło jej w oko.

Tej zimy zauważyła też, że rodzinę zaczynają nudzić jej rysunki. Najpierw zaobserwowała oznaki znudzenia u paskud, Marii i Hannah, potem u Tessie i Lo - Lo, potem u tatusia, a wreszcie nawet u niani Meldy. Czy rozumiała, że nawet czysty geniusz może się sprzykrzyć, kiedy serwuje się go komuś w ogromnych dawkach? Być może tak; mógł jej to

* Obeah (czyt. obi) - nazwa religijnych praktyk magicznych czarnoskórej ludności Małych i Wielkich Antyli. La petite obeah fille - dziewczynka obeah, czarodziejska dziewczynka (przyp. tłum.).

podszepnąć dziecięcy instynkt.

I co wtedy zrobiła, czując, że ich nudzi? Powzięła mocne postanowienie: sprawić, żeby zrozumieli, jak cudowne jest to, co ona widzi. Żeby tak się stało, zaczęła wymyślać świat na nowo.

W jej twórczości rozpoczął się okres surrealizmu: najpierw ptaki zaczęły latać do góry nogami, potem zwierzęta chodziły po wodzie, a wreszcie pojawiły się Uśmiechnięte Konie, dzięki którym doczekała się odrobiny uznania. I wtedy coś się zmieniło. Mała Libbit stała się furtką, przez którą zakradła się ciemność.

Dziewczynka zaczęła rysować swoją lalkę, a kiedy rysunek był gotowy, lalka przemówiła.

Jej lalka. Noveen.

Adriana wróciła już wtedy do domu z tego Paryżewa, a Noveen z początku mówiła jej głosem, wysokim, wesołym, melodyjnym; pytała Elizabeth, czy umie „parle - wu - fran - se” i kazała jej: „fer - me ta busz”. A czasami śpiewała jej kołysanki i dziewczynka usypiała pod koldrą zarzuconą portretami lalki. Na wszystkich widniała jej duża, okrągła buzia, cała brązowa, nie licząc czerwonych warg.*

Noveen śpiewa: „Frè - re Jac - ques, frè - re Jac - ques, ra - no wstań! Pa - nie Ja - nie, niech pan wsta - nie! Dor - me - wu? Dor - me - wu?”.

Czasami Noveen opowiadała jej też historyjki - pomieszane jak groch z kapustą, ale i tak cudowne - w których Kopciuszek chodził w czerwonych pantofelkach z Krainy Oz, a bliźnięta Bobbseyów zgubiły się w Czarodziejskim Lesie i znalazły tam chatkę z piernika, która miała dach z miętowych dropsów.

Ale później Noveen zaczęła mówić innym głosem. Już nie brzmiało to jak Adie. Elizabeth nie знаła nikogo, kto miał taki głos. Słyszała go wciąż, cały czas, nawet kiedy kazała Noveen: „fer - me ta busz”. Z początku głos może nawet był miły. Z początku było chyba całkiem przyjemnie. Dziwnie, ale przyjemnie.

A później wszystko się zmieniło, prawda? Bo sztuka to magia, a magia nie zawsze jest biała.

Nawet dla małych dziewczynek.

* *Ferme ta bouche.* (fr.) - zamknij buzię (przyp. tłum.).

I

W salonie stał barek, a w barku - butelka whiskey single malt. Chciałem walnąć sobie kielicha, ale nie wałęnałem. Chciałem trochę odczekać, może przekąsić kanapkę z sałatką jajeczną i ułożyć sobie, co mam powiedzieć byleż żonie, ale nie odczekałem, nie przekąsiłem i nie ułożyłem. Czasami trzeba po prostu zrobić to, co trzeba - inaczej nie da rady. Wziąłem bezprzewodową słuchawkę i wyszedłem z nią na werandę, do pokoju „Floryda”. Było chłodno nawet przy zamkniętych oknach, ale na swój sposób odpowiadało mi to. Zimne powietrze hartuje, a ja musiałem być ostry. Liczyłem też na to, że widok słońca, które opadało ku horyzontowi, ciągnąc za sobą swój złoty ogon wymalowany na wodzie, trochę mnie uspokoi. Bo spokojny bynajmniej nie byłem. Serce waliło mi o wiele za mocno, policzki płonęły, biodro bolało jak jasna cholera, a do tego nagle uprzytomniłem sobie z autentyczną zgrozą, że nie pamiętam imienia swojej żony. Próbowałem je wyszperać z zakamarków pamięci, ale za każdym razem znajdowałem tam tylko słowo *peligro*, co po hiszpańsku znaczy „niebezpieczeństwo”.

Uznałem, że jest jednak coś, co nieodwołalnie muszę zrobić, zanim zadzwonię do Minnesoty.

Zostawiwszy telefon na miękkiej, wyściełanej kanapie, pokuśtykałem do sypialni (o kuli, rzecz jasna; nie zamierzałem się z nią rozstawać aż do momentu, gdy położę się do łóżka) i zabrałem stamtąd Rebę. Jedno spojrzenie w jej bławatkowe oczy przypomniało mi od razu, jak nazywa się Pam. Galopujący puls też zwolnił. Wróciłem do pokoju „Floryda”, niosąc moją najmilszą towarzyszkę pod pachą, przyciskając ją kikutem do boku; różowe nogi bez kości majtały się w rytm kroków. Usiadłem z powrotem na kanapie, a Reba spadła mi na kolana. Zrzuciłem ją na bok. Upadła twarzą do zachodzącego słońca.

- Nie patrz na to za długo, bo oślepniesz - ostrzegłem ją. - Wiem, wiem, w tym cała frajda. Tak śpiewał Bruce Springsteen, w siedemdziesiątym trzecim albo coś około tego.

Wiesz, *muchacha*?

Reba nie odpowiedziała ani słowem.

- Powinienem siedzieć teraz na górze i malować ten zachód - poinformowałem ją. - Tworzyć, kurwa, sztukę dla sztuki.

I znów nie doczekałem się odpowiedzi. W szeroko otwartych oczach Reby dało się wyczytać tylko milczącą skargę: dlaczego ja muszę tu tkwić z tym niedobrym, najgorszym draniem w całej Ameryce?

Wziąłem w palce słuchawkę i pomachałem nią przed samym nosem lalki.

- Dam sobie radę - oznajmiłem.

Komentarza nie było, ale dostrzegłem na jej twarzy jakby cień powątpiewania. Spod podłogi dobiegały głosy przekrzykujących się muszli, podburzanych przez wiatr do nieustającej sprzeczki: To ty! A właśnie, że nie! A właśnie, że tak!

Miałem wielką ochotę dalej omawiać tę sprawę z moją laleczką ds. zarządzania złością, ale zamiast tego wystukałem na klawiaturze numer, który był kiedyś moim prywatnym numerem domowym. I nie miałem żadnego problemu, żeby go sobie przypomnieć. Szalona nadzieja, że włączy się sekretarka, okazała się płonna: odebrała pani domu osobiście, zziębnięta, z trudem łapiąc oddech.

- Hej, Joanie, dzięki Bogu, że oddzwoniłaś. Nie wyrobię się na piętnaście po trzeciej, mam nadzieję, że możemy...

- To nie Joanie - przerwałem jej, bezwiednie sięgając po Rebę i kładąc ją sobie na kolanach. - Mówi Edgar. Chyba trzeba będzie odwołać, co tam masz piętnaście po trzeciej. Musimy obgadać jedną ważną rzecz.

- Co się stało?

- Ze mną? Nic. Wszystko w porządku.

- Edgar, porozmawiamy później, dobrze? Jestem umówiona z fryzjerką i zaraz się spóźnię. O szóstej będę z powrotem.

- Chodzi o Toma Rileya.

W tej części świata, gdzie mieszkała Pam, zapadła nagle cisza. Trwało to może z dziesięć sekund. Przez te dziesięć sekund złoty szlak na falach zatoki zdążył już odrobinę przygasnąć. Elizabeth Eastlake znała Emily Dickinson; ciekawe, pomyślałem, czy Vachel Lindsay też nie jest jej obcy.

- Co z Tomem? - zapytała wreszcie Pam. Ostrożnie, bardzo ostrożnie. Byłem zupełnie przekonany, że nie pamięta już o wizycie u fryzjerki.

- Mam powody przypuszczać, że Tom myśli o samobójstwie. - Przycisnąłem

słuchawkę ramieniem do ucha i zacząłem gładzić Rebę po głowie. - Wiesz może coś o tym?

- A co... A co ja niby... - Zachłysnęła się, jakby dostała pięścią w żołądek. - A co, na litość boską, ja mogę o tym... - Słysząc było, jak powoli bierze się w garść, zbiera siły, żeby wybuchnąć oburzeniem. To bardzo praktyczne w takiej sytuacji, pomyślałem. - Dzwonisz bez uprzedzenia, wyskakujesz mi z czymś zupełnie od czapy i ja mam ci opowiadać o zdrowiu psychicznym Toma Riley'a? Wydawało mi się, że wracasz tam do zdrowia, ale widzę, że przesadziłam z optymizmem...

- Spałaś z nim, więc powinnaś coś wiedzieć. - Wplotłem palce w pomarańczowe włosy Reby i zacisnąłem pięść, jakbym chciał wyrwać je wszystkie z korzeniami. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Ty jesteś chory psychicznie! - To już był prawie krzyk. - Potrzebujesz pomocy! Zadzwoń do doktora Kamena albo idź do kogoś tam na miejscu, tylko szybko!

Cały mój gniew - i towarzysząca mu pewność, że kiedy stracę panowanie nad sobą, zacznę zapominać słów - nagle gdzieś się ulotnił. Wpuściłem z palców włosy mojej laleczki.

- Uspokój się, Pam. Nie chodzi o ciebie. I o mnie też nie, tylko o Toma. Zauważyłaś u niego objawy depresji? Musiałaś.

Nie odpowiedziała. Ale też nie rzuciła słuchawką. Wciąż słyszałem jej oddech.

W końcu przemówiła:

- No dobrze. W porządku. Wiem, kto ci o tym nagadał. Ilse. Mała Królowna Histeryczka, zgadza się? I pewnie powiedziała ci jeszcze o Maksie Santonie z Palm Desert. Czy ty jej w ogóle nie znasz, Edgar? Nie wiesz, jaka ona jest?

Na te słowa znów odezwał się we mnie gniew, grożąc nawrotem. Złapałem Rebę w tali, ścisnąłem jej miękki brzuch, myśląc: Dam sobie radę. Ta sprawa Ilse też nie dotyczy. A Pam? Pam po prostu się boi, bo ją totalnie zaskoczyłem. Boi się i jest zła, ale dam sobie radę. Muszę.

I nieważne, że przez chwilę albo dwie miałem ochotę ją zabić. I gdybym tylko mógł jej dosięgnąć, to niewykluczone, że bym spróbował.

- Ilse nic mi o tym nie mówiła.

- Dość tej paranoi. Rozłączam się...

- Nie wiem tylko jednego: który z nich namówił cię na tatuaż na piersi. Na tę różyczkę.

Załkała. Tylko jeden raz i cicho, ale wystarczyło. Znów na chwilę zapadła cisza. Była gruba jak pilśń, czarna i ciężko pulsowała. Potem Pam wybuchła:

- A to suka! Zobaczyła go i od razu ci doniosła! Nie mogłeś się o tym dowiedzieć w

inny sposób! Ale to i tak nic nie znaczy! Niczego mi nie udowodnisz!

- Nie jesteśmy w sądzie, Pam - przypomniałem jej.

Nie odpowiedziała, ale słyszałem, jak oddycha.

- Ilse faktycznie podejrzewała, że coś się dzieje między tobą a tym Maksem, ale o Tomie nie ma pojęcia. Jeśli się dowie o tym od ciebie, pęknie jej serce. - Zawiesiłem głos na chwilę. - I mnie też, jeśli jej to zrobisz.

Rozpląkała się nagle.

- Mam w dupie twoje serce. I ciebie całego. Chciałabym cię zobaczyć w grobie, wiesz? Ty oszuście, ty szpiclu! Żałuję, że nie zdechłeś!

Przynajmniej ja nie myślałem już tak samo o niej. Przeszło mi. Dzięki Bogu.

Świetlna smuga na wodzie pociemniała jeszcze bardziej, przybierając kolor wypolerowanej miedzianej blachy. Czekałem na kolor pomarańczowy, który lada chwila miał ożyć.

- Co wiesz o stanie psychicznym Toma?

- Nic. A dla twojej informacji: nie mam z nim romansu. Jeśli w ogóle można mówić, że miałam, trwało to wszystkiego trzy tygodnie. Skończyło się. Dałam mu to jasno do zrozumienia po powrocie z Palm Desert. Było wiele powodów, ale głównie chodziło o to, że miał za dużo... - Urwała, w jednej chwili chwytając się z powrotem poprzedniej myśli przewodniej: - Na pewno wiesz o tym od Ilse. Melinda nie pisnęłaby słówkiem, nawet gdyby o wszystkim wiedziała. - A potem wybuchła z bezsensowną mściwością: - Bo ona rozumie, co ja z tobą miałam!

Byłem szczerze zaskoczony tym, jak mało mnie obchodzą jej wynurzenia w tej kwestii. Interesowało mnie coś innego.

- Czego miał za dużo? - zapytałem.

- Kto czego miał za dużo? - zawyła. - Jezu, nie wytrzymam! Nie zniosę tego przesłuchania!

Tak jakby mnie to sprawiało jakąś wyjątkową radość.

- Pytam o Toma - wyjaśniłem. - Powiedziałaś „miał za dużo” i przerwałaś.

- Za dużo zmiennych nastrojów. Ten facet to emocjonalny kalejdoskop. Jednego dnia zadowolony, drugiego zdołowany, trzeciego wesoły, ale załamany... Zwłaszcza kiedy nie bierze... - Umilkła nagle.

- Kiedy nie bierze leków - dokończyłem za nią.

- Co mnie to obchodzi, nie jestem jego psychiatrą - warknęła, a w jej głosie usłyszałem już nie brzęknięcie pospolitej irytacji; to była hartowana, stalowa pasja. Jezu,

jęknąłem w myśli. Kobieta, która kiedyś była moją żoną, umiała być twarda w razie potrzeby, ale ta bezlitosna, stalowa wściekłość - to było dla mnie coś nowego. Tak na Pam odbił się mój wypadek. Taką dostała po nim pamiątkę, jak ja chore biodro.

- Mam już dość tego zasranego wywiadu psychiatrycznego, Edgar - usłyszałem po chwili. - Chciałabym raz w życiu spotkać prawdziwego faceta, a nie wraka, co jedzie na prochach, a kiedy coś od niego chcesz, to umie tylko powtarzać jak katarynka: „Później, jak przejdzie mi chandra”.

Smarknęła mi prosto w ucho przez słuchawkę; wiedziałem, - że to jeszcze nie wszystko i czekałem na jakiś mocny akcent na dobiecie. I doczekałem się. Rozpłakana Pam zachowywała się tak samo jak zawsze; pewne rzeczy widać nigdy się nie zmieniają.

- Idź do diabła, Edgar. Idź do diabła za to, że spieprzyłeś mi w sumie całkiem miły dzień.

- Nie obchodzi mnie, z kim sypiasz - powiedziałem. - Rozwiedliśmy się. Chcę tylko uratować Tomowi życie.

Tym razem wrzasnęła, tak głośno, że musiałem odsunąć słuchawkę od ucha:

- Nie jestem odpowiedzialna za jego życie!! Skończyłam z nim!! Nie słuchałeś, co mówię?!! - Po chwili dodała, już trochę ciszej (ale niezbyt): - Zresztą nie ma go teraz w St. Paul. Wyjechał z mamą i tym swoim pedałowatym braciszkiem.

Nagle zrozumiałem - tak przynajmniej mi się wydawało. Miałem wrażenie, że oglądam tę scenę z góry, z lotu ptaka. Może stało się tak dlatego, że ja też myślałem o samobójstwie, powtarzając sobie co chwilę: wszystko ma wyglądać jak wypadek? Nie chodziło mi zresztą wcale o wypłatę ubezpieczenia, ale o to, żeby moje córki nie musiały żyć z tym piętnem, na oczach ludzi, którzy o wszystkim wiedzą...

Czyżby więc to miało być rozwiązanie?

- Powiedz mu, że o wszystkim wiesz - poinstruowałem Pam. - Kiedy wróci z wyjazdu, powiedz mu: wiem, że chcesz się zabić.

- A on mi uwierzy? Niby dlaczego?

- Bo naprawdę chce się zabić. Bo go znasz. Bo jest chory umysłowo i prawdopodobnie uważa, że ma wypisane na czole wielkimi literami: **MYŚLĘ O SAMOBÓJSTWIE**. Powiedz mu: wiem, że odstawiłeś antydepresanty. Bo naprawdę wiesz, że je odstawił? Jesteś tego pewna?

- Tak. Ale nigdy jeszcze nie udało mi się go namówić, żeby zaczął brać je z powrotem, kiedy nagle przestawał.

- Czy groziłaś mu kiedyś, że jeśli nie zacznie brać leków, to oplotkujesz go przed

wszystkimi?

- Nie i na pewno nie zrobię tego teraz! - Pam była zbulwersowana. - Uważasz, że chciałabym, żeby całe St. Paul wiedziało, że spałam z Tomem Rileyem? Że coś nas łączy... coś intymnego?

- A gdyby zamiast tego całe St. Paul dowiedziało się, że po prostu nie jest ci obojętne, co się z nim stanie? Czy to by było aż takie straszne?

Cisza.

- Chcę tylko, żebyś szczerze z nim pogadała, kiedy wróci...

- Ty chcesz! Jasne! Zawsze wszystko kręci się wokół tego, co ty chcesz! Coś ci powiem, Eddie: skoro to dla ciebie aż tak straszliwie ważne, to sam z nim sobie szczerze pogadaj! - W jej głosie znów przenikliwie zadźwięczała tamta surowa złość, ale tym razem krył się za nią strach.

Odpowiedziałem:

- Jeśli to ty z nim zerwałaś, nie odwrotnie, to prawdopodobnie wciąż jeszcze masz nad nim władzę. Być może nawet twoja władza jest na tyle silna, że możesz go zmusić, żeby nie odbierał sobie życia. Wiem, że to brzmi strasznie, ale nic na to nie poradzisz.

- Poradzę, nie bój się. Odkładam słuchawkę.

- Jeśli Tom się zabije, to sumienie na pewno w końcu da ci spokój, nie będzie cię dręczyć do końca życia... Ale myślę, że przez rok będzie ci ciężko. Albo dwa.

- Mylisz się. Będę spała jak niemowlak.

- Wybacz mi, Pando, ale ci nie wierzę.

To było pieścizotliwe przezwisko z zamierzchłej przeszłości, nie mówiłem tak do niej już od lat - ale to jedno słowo w końcu ją złamało. Znów się rozplakała. I tym razem nie ze złości.

- Dlaczego musisz być taką świnią? - załkała. - Dlaczego nie dasz mi wreszcie spokoju?

Miałem już dość. Marzyłem o kilku tabletkach przeciwbólowych. A potem - wyciągnąć się na łóżku i, dlaczego nie, może też sobie porządnie popłakać? Nie byłem pewny.

- Powiedz mu, że o wszystkim wiesz. Powiedz, że musi zobaczyć się ze swoim psychiatrą i z powrotem zacząć brać środki przeciwdepresyjne. I jeszcze najważniejsze: postrasż go, że jeśli się zabije, powiesz wszystkim prawdę, począwszy od jego matki i brata. Że może stawać na głowie, żeby zachować pozory, ale i tak wszyscy się dowiedzą, że to było samobójstwo.

- Nie mogę tego zrobić! Nie mogę! - W jej głosie była bezradność.

Zastanowiłem się przez chwilę, a potem podjąłem decyzję; postanowiłem złożyć życie Toma Riley'a w jej ręce, absolutnie i całkowicie - po prostu przesłać je kablem telefonicznym mojej byłej żonie. Dawny Edgar Freemantle nie miał w zwyczaju zrzucić w ten sposób odpowiedzialności na innych, ale, rzecz jasna, tamtemu Edgarowi Freemantle'owi nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby malować zachody słońca. Albo bawić się lalkami.

- Sama zadecyduj, Pando. Może się okazać, że nic nie wskórasz, bo jeśli przestało mu na tobie zależeć...

- O, na pewno nie. - Jęknęła jeszcze bardziej bezradnie niż poprzednio.

- W takim razie powiedz mu, że musi znów zacząć żyć, czy mu się to podoba czy nie.

- Kochany stary Edgar, wciąż trzyma rękę na pulsie - powiedziała słabym głosem. - Musi czuwać nad wszystkim nawet z daleka, ze swojego królestwa na wyspie. Kochany stary Edgar. Edgar - potwór.

- To nie było przyjemne - zwróciłem jej uwagę.

- Cieszę się - odparła i odłożyła słuchawkę. Siedziałem na kanapie jeszcze przez chwilę, przyglądając się, jak zachód słońca nabiera jaskrawych barw. Robiło się coraz chłodniej. Ludzie, którzy mówią, że na Florydzie nie ma zimy, mylą się, i to bardzo. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku w Sarasocie spadło dwa i pół centymetra śniegu. Chyba nie ma takiego miejsca, gdzie nigdy nie jest zimno. Założę się, że śnieg pada nawet w piekle, chociaż wątpię, żeby długo leżał.

II

Następnego dnia, parę minut po dwunastej w południe, zadzwonił do mnie Wireman, pytając, czy wciąż chcę mu jeszcze pokazać swoje obrazy i czy zaproszenie jest nadal aktualne. Prawdę mówiąc, miałem pewne obawy, pamiętając, że obiecał (albo inaczej: groził) powiedzieć prosto z mostu, co o nich myśli, ale mimo to zapewniłem go, że może wpaść.

Ustawiłem pod ścianą szesnaście prac, które moim zdaniem były najlepsze, chociaż w jasnym, chłodnym świetle styczniowego popołudnia wszystkie wydawały mi się jednakowo beznadziejne. Szkic przedstawiający Carsona Jonesa wciąż leżał schowany w szafie. Wyjąłem go, przypiąłem do kawałka płyty pilśniowej i dostawiłem na samym końcu. W porównaniu z olejnymi farbami kredki wyglądały niechlujnie i zwyczajnie, a do tego, rzecz jasna, ten rysunek był najmniejszy, ale i tak wydawało mi się, że jest w nim coś, czego brakuje wszystkim innym obrazom.

Zastanawiałem się jeszcze nad włączeniem do ekspozycji postaci w czerwonej szacie, ale ostatecznie tego nie zrobiłem. Nie wiem czemu. Może po prostu dlatego, że przechodziły mnie ciarki, kiedy na nią patrzyłem. Zamiast niego postawiłem pod ścianą „Dzień dobry” - tamten pierwszy szkic tankowca.

Wireman przyjechał jasnoniebieskim wózkiem golfowym w eleganckie prążki koloru żółtego; brzęczenie silnika słychać było z daleka. Nie musiał dzwonić do drzwi, bo wyszedłem po niego.

- Coś mizernie dziś wyglądasz, *muchacho* - zauważył na progu. - Wyluzuj się. Nie przyjechał do ciebie lekarz ani ty nie jesteś w przychodni.

- Nie mogę się opanować. Gdybyś był inspektorem budowlanym, to nie czułbym się tak, ale...

- Ale to, o czym mówisz, było w twoim poprzednim życiu - przerwał mi. - A teraz zaczynasz nowe. Nie zdążyłeś nawet jeszcze zedrzeć pierwszej pary butów na tej nowej drodze.

- Tak to mniej więcej wygląda.

- No i właśnie. A propos twojej dawniejszej egzystencji: dzwoniłeś do żony w tej drobnej sprawie, którą wspólnie omawialiśmy?

- Dzwoniłem. Mam ci streścić starcie runda po rundzie?

- Nie trzeba. Chcę tylko usłyszeć, że jesteś zadowolony z jego wyniku.

- Od momentu, gdy ocknąłem się w szpitalu, nie odbyłem z Pam ani jednej rozmowy, z której byłbym zadowolony. Ale jestem prawie pewny, że pogada z Tomem.

- No i dobrze. Wystarczy, świnko, jak powiedział farmer do Babe, świnki z klasą. A rok był tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty. - Wireman wszedł dalej, rozglądając się ciekawie. - Ładnie tutaj poodnawiałeś. Podoba mi się.

Parsknąłem głośno. Nie zdjąłem nawet z telewizora kartki z prośbą o niepalenie.

- Jack przywiózł mi mechaniczną bieżnię i ustawił ją na piętrze. To jedyna nowa rzecz w całym domu. Rozumiem, że byłeś już tutaj?

Uśmiechnął się enigmatycznie.

- Wszyscy już tutaj byliśmy, *amigo*, ten świat jest większy niż zawodowa liga futbolowa, jak pisał Peter Straub w osiemdziesiątym piątym. Albo coś około tego.

- Chyba nie nadążam.

- Pracuję u panny Eastlake od mniej więcej szesnastu miesięcy. Cały ten czas spędziłem na Dumie, z jedną krótką i nieprzyjemną przerwą, kiedy zbliżał się huragan Frank i wszystkich mieszkańców archipelagu ewakuowano do St. Petersburga. Wracając do tematu,

ostatni ludzie, którzy wynajęli Przylądek Łososi, przepraszam, Wielki Koral, mieszkali tutaj tylko dwa tygodnie i pożegnali się z nami, chociaż zapłacili za pełne osiem. Nie spodobał im się dom... albo oni jemu. - Wireman pokazał ducha: rozłożył ręce i zaczął stawiać długie, chwiejne kroki, tłumione przez jasnoniebieski dywan leżący na podłodze w salonie. Efekt zepsuła mu w dużej mierze barwna koszula w tropikalne ptaki i kwiaty. - I tak oto mieszkańcy Wielkiego Korala... zostali sami!

- Shirley Jackson - wypaliłem. - Rok któryś tam. Albo coś około tego.

- Zgadza się. Ale chwileczkę. Wireman chciał coś powiedzieć. A przynajmniej próbował. Otóż: Wielki Koral PRZEDTEM! - Rozłożył ręce, jakby chciał ogarnąć nimi cały świat. - Urządzony w popularnym na Florydzie stylu znanym pod nazwą „Dom dwudziestego pierwszego wieku - do wynajęcia”. Wielki Koral TERAZ! Urządzony dokładnie w tym samym stylu plus: bieżnia mechaniczna firmy Cybex w pokoju na piętrze oraz... Czyżbym dostrzegł laleczkę kubek w kubek podobną do Lucille Bali, siedzącą na kanapie w pokoju „Floryda”?

- To jest Reba - przedstawiłem. - Pracuje u mnie jako dyrektor pionu ds. zarządzania złością. Dostałem ją od doktora Kramera, znajomego psychologa.

Coś mi zgrzytnęło w tym ostatnim zdaniu. Amputowana ręka zaswędziała mnie wściekle. Po raz tysięczny sięgnąłem do niej, chcąc się podrapać - i przejechałem tylko po wciąż jeszcze gojących się żebrach.

- Zaczekaj - powiedziałem, utkwivszy wzrok w Rebie, która wyglądała sobie przez okno, podziwiając panoramę zatoki. Dam sobie radę, pomyślałem. To coś takiego jak miejsce, gdzie ukrywa się pieniądze, żeby nie dzielić się nimi z rządem.

Wireman czekał cierpliwie.

Ręka dalej swędziała. Ta, której nie miałem. Ta, która czasami sama z siebie chciała rysować. Czuję, że teraz też chce. Chce narysować Wiremana. Wireman z misą owoców. Wireman z pistoletem.

Dość tych popieprzonych bredni, rozkazałem sobie w myślach.

Dam sobie radę, dodałem szybko.

Żeby nie dzielić się pieniędzmi z rządem, najlepiej ukryć je na koncie w jakimś rajku podatkowym, pomyślałem. W Nassau. Na Bahamach. Na Wielkim Kajmanie. Bingo. Już wiedziałem, o co chodzi.

- Kamen - odezwałem się głośno. - Xander Kamen. Tak się nazywa mój znajomy. Dostałem Rebę od niego.

- Skoro tę rzecz mamy już ustaloną - powiedział Wireman - to może rzućmy okiem na dzieła sztuki.

- O ile zasługują na to szlachetne miano - mruknąłem, prowadząc go na górę i postukując kulą o stopnie schodów. W połowie drogi coś nagle mnie tknęło i przystanąłem. - Wireman - zapytałem, nie oglądając się - skąd wiedziałeś, że mam bieżnię Cybekska?

Milczał przez chwilę.

- Nie znam innej firmy z tej branży - odpowiedział wreszcie. - Ruszysz się sam czy mam ci dać kopa na rozpęd?

Wiarygodne, ale słyhać fałsz, pomyślałem, ruszając do góry po schodach. Coś mi mówi, że chciałeś mnie oszukać i wiesz co? Chyba już rozumiesz, że ci się nie udało.

III

Moje obrazy stały rzędem pod północną ścianą „Koralika”; popołudniowe słońce zapewniało im pod dostatkiem naturalnego oświetlenia. Szedłem za Wiremanem, który oglądał je powoli, i co rusz przystawał, a czasem nawet się cofał, żeby jeszcze raz rzucić okiem na jedno czy drugie płótno. Łypiąc zza jego pleców, miałem nieodparte wrażenie, że jest zbyt jasno, że te moje prace żadną miarą nie zasługują na tyle światła. Ilse bardzo mnie chwaliła, Jack też, ale ona była moją córką, a jemu płaciłem za pracę.

Kiedy dotarliśmy do ostatniego rysunku, tego z tankowcem, Wireman przykucnął i wpatrywał się w niego z bliska przez około pół minuty, mając łokcie oparte na udach, a dłonie zwieszane bezwładnie pomiędzy kolanami.

- Co...? - zacząłem.

- Cicho - syknął i musiałem wytrzymać jeszcze pół minuty zupełnej ciszy. Wreszcie wyprostował się, a coś strzeliło mu głośno w kolanach. Kiedy odwrócił się z powrotem w moją stronę, oczy miał wielkie jak spodki; lewe było czerwone, nabiegłe krwią, a z kącika ciekła kropla jakiegoś płynu. Nie była to łza. Wireman sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów po chusteczkę i wytarł oko automatycznym gestem, jakby robił to sto razy dziennie.

- Boże jedyny... - westchnął. Podszedł do okna, chowając po drodze chusteczkę.

- Co Boże jedyny? - nie wytrzymałem. - No, co?

Wireman wyjrzał przez okno.

- Ty nie zdajesz sobie sprawy, jak dobrze malujesz, prawda? W ogóle nie masz pojęcia.

- A maluję dobrze? - zapytałem. Nigdy w życiu nie czułem się do tego stopnia pozbawiony pewności siebie. - Mówisz poważnie?

- Ustawiłeś te obrazy w kolejności chronologicznej? - odpowiedział pytaniem, nie

odwracając się od okna. Wesoły, dowcipny Wireman chwilowo wziął sobie wolne i poszedł na spacer. Przyszło mi do głowy, że rozmawiam teraz z Wiremanem, którego słyszeli ławnicy na sali sądowej... oczywiście zakładając, że tak właśnie wyglądała jego prawnicza praca. - Dobrze się domyślam? Wszystkie stoją chronologicznie, oprócz ostatnich dwóch. Te są wcześniejsze od reszty, to widać na pierwszy rzut oka.

Nie pasowało mi zbytnio określenie „wcześniejsze”, biorąc pod uwagę, że zajmowałem się tym zaledwie od kilku miesięcy, ale kiedy przebiegłem wzrokiem po szeregu obrazów pod ścianą, zauważyłem, że Wireman ma rację. Nie zamierzałem ustawiać ich w takim porządku, ale jakoś mimo woli tak mi właśnie wyszło.

- Dobrze zauważyłeś - potwierdziłem. - Stoją od najstarszych do najnowszych.

Wireman wskazał ostatnie cztery obrazy, które nazwałem w myślach „kompozycjami z zachodem słońca”. Na pierwszym z nich do widoku z okna dodałem muszlę łodzika, na drugim płytę kompaktową z napisem **Memorex** biegnącym ukośnie przez środek (blask zachodzącego słońca wylewał się czerwienią przez otwór w środku), a na trzecim martwą mewę, którą znalazłem na plaży, z tym że powiększoną do rozmiarów pterodaktyla. Na ostatnim natomiast widać było stertę muszli pod moim domem. Skopiowałem ją z cyfrowej fotografii i nie wiedzieć czemu, poczułem potrzebę, aby domalować tam róże. Róże, co prawda, nie rosły nigdzie w pobliżu, ale tu przyszedł mi z pomocą mój nowy kumpel Google.

- Czy te ostatnie obrazy ktoś już widział? - zapytał Wireman. - Może twoja córka?

- Nie. Namalowałem je już po jej wyjeździe.

- A ten chłopak, który pracuje dla ciebie?

- Nie.

- A córce oczywiście nie pokazałeś tego rysunku, na którym jest jej chło...

- Boże święty, nie! Żartujesz?

- Jasne, nie muszę pytać. Ten szkic ma moc, chociaż widać, że powstał w wielkim pośpiechu. Natomiast co do reszty twoich obrazów... - Zaśmiał się krótko, urywanie, a ja nagle zrozumiałem, że jest bardzo przejęty, i natychmiast mi się to udzieliło. Starłem się jednak zachowywać ostrożność. Pamiętaj, że ten facet był prawnikiem, powiedziałem sobie. Żaden z niego krytyk sztuki.

- Co do reszty tych twoich cholernych obrazów... - Znów się zaśmiał w taki sam sposób i ruszył dookoła pokoju. Zamiast obejść moją bieżnię, wszedł na nią i zeskoczył z bezwiedną łatwością, której natychmiast zawzięcie mu pozazdrościłem. Wsunął palce w swoje siwiejące włosy i pociągnął się za nie, jakby dla gimnastyki mózgu.

Wreszcie wrócił. Stał przed mną. Wyglądał niemalże jak człowiek, który szykuje

się do starcia.

- Posłuchaj mnie - zaczął. - Miałeś ciężki rok. Dostałeś od losu solidnego kopa. Po czymś takim jedziesz przez życie w poluzowanych pasach bezpieczeństwa i masz mocno zaciemniony obraz własnej osoby. Ale nie mów mi, że przynajmniej się nie domyślasz, że świetnie malujesz.

Przypomniało mi się nagle, jak dochodziliśmy do siebie po naszym wspólnym napadzie śmiechu; słońce przeświecało przez podarty parasol, zasypując blat stolika roztańczonymi świetlnymi plamkami. Wireman powiedział: „Wiem, co teraz przechodzisz”, na co ja odparłem: „Szczerze wątpię”. Ale teraz już nie wątpię. On naprawdę wiedział. To wspomnienie z poprzedniego dnia na nowo obudziło we mnie ochotę - nie było to gorące pragnienie, raczej lekkie ukłucie - żeby go sportretować. Portret z martwą naturą: „Prawnik, owoce i pistolet”.

Wireman poklepał mnie po policzku tą swoją dłonią z krótkimi palcami.

- Ziemia do Edgara. Edgar, zgłoś się.

- Houston, zgłaszam się - usłyszałem własny głos. - Tu Edgar.

- No, to co powiesz, *muchacho*? Mam rację czy stawiam kolację? Domyślałeś się, że dobrze ci wychodzi, kiedy to malowałeś, czy nie?

- Tak - przyznałem się. - Czułem się jak młody bóg.

Skinął głową.

- To jest podstawowa prawda dotycząca sztuki: dobre dzieło prawie zawsze cieszy artystę. Natomiast odbiorca, odbiorca zaangażowany, taki, który naprawdę umie patrzeć...

- Czyli ty, jak się domyślam - wpadłem mu w słowo. - Nie spieszyło ci się z tym oglądaniem.

Wcale go to nie rozbawiło.

- Kiedy dzieło jest dobre, a odbiorca otworzy się na nie, następuje eksplozja emocji. Ja ją poczułem, Edgar.

- To dobrze.

- Żebyś wiedział. I wydaje mi się, że ten facet ze Scoto poczuje to samo, kiedy zobaczy twoje obrazy. A nawet jestem tego pewny.

- To nie są żadne arcydzieła. Jeśli się dobrze zastanowić, to właściwie nic więcej jak odgrzewany Dali.

Wireman objął mnie ramieniem i poprowadził w kierunku schodów.

- Nie zamierzam leczyć cię z kompleksów. Teraz porozmawiamy sobie o tym, jak narysowałeś portret chłopaka swojej córki za pośrednictwem amputowanej kończyny i jakiejś

dzikiej fantomowej telepatii. Bardzo żałuję, że nie mogę zobaczyć tego rysunku z piłkami do tenisa, ale skoro go nie ma, to go nie ma.

- I dobrze, że go nie ma - dodałem.

- Ale ostrzegam cię, Edgar: musisz być bardzo ostrożny. Duma Key to miejsce o wielkiej mocy dla... niektórych ludzi. Są ludzie, którzy na tej wyspie... potężnieją. Tacy jak ty.

- I jak ty? - zapytałem. Zwlekał z odpowiedzią, więc wskazałem palcem jego twarz: - Znów coś ci cieknie z oka.

Wyjął chusteczkę, otarł strużkę płynu.

- Może mi opowiesz, co ci się stało? - zaproponowałem. - Dlaczego nie możesz czytać? Dlaczego nie możesz za długo nawet oglądać obrazów?

Nie odzywał się przez długą chwilę. Muszle pod podłogą Wielkiego Korala miały tymczasem wiele do powiedzenia. Poruszone jedną falą, mówiły: „owoce”. Porwane kolejną: „pistolet”. I tak w kółko: owoce, pistolet, pistolet, owoce.

- Nie - odezwał się wreszcie Wireman. - Jeszcze nie teraz. A jeśli chcesz mnie narysować, proszę bardzo. Jeśli ma ci to sprawić przyjemność...

- Potrafisz odczytać wszystkie moje myśli?

- Nie - przyznał szczerze. - Tu mnie trafiłeś, *muchacho*.

- A potrafiłbyś w ogóle, gdybyśmy nie byli na Dumie? Gdybyśmy na przykład wybrali się na kawę do Tamy?

- Coś by mnie pewnie tknęło - uśmiechnął się. - Zwłaszcza że siedzę tutaj od ponad roku i nasiąkam... No wiesz, wibracjami.

- Pojedziesz ze mną do tej galerii? Do Scoto?

- *Amigo*, za Chiny Ludowe nie przegapiłbym takiej okazji.

IV

Tej nocy znad zatoki podniósł się szkwał. Przez dwie godziny lało jak z cebra. Trzeszczały błyskawice, a fale łomotały o pale, na których opierał się mój dom. Wielki Koral skrzypiał i jęczał, ale trzymał się mocno. Zauważyłem ciekawą rzecz: kiedy zatoka zaczyna trochę wariować, a fala robi się naprawdę porządna, muszle milkną. Wysoki przybój odurza je, odbiera im mowę.

Poszedłem na piętro - przedstawienie „światło i dźwięk” wkroczyło akurat w fazę kulminacyjną - i czując się trochę jak doktor Frankenstein ożywiający swojego potwora w

laboratorium na szczycie zamkowej wieży, narysowałem Wiremana, zwykłą czarną kredką ze starego kompletu. Trochę koloru dodałem dopiero na samym końcu: misa z owocami, czerwień i oranż. W tle umieściłem drzwi, a w nich stanęła Reba, obserwując. Pomyślałem sobie, że Kamen uznałby ją pewnie za moją osobistą przedstawicielkę w świecie tego obrazu. Może *si*, może *no*. Ostatnim detalem były jej głupie bławatkowe oczy, które narysowałem kredką noszącą firmową nazwę *Niebo*. I już. Narodziło się kolejne arcydzieło Edgara Freemantle'a.

Cichnące w oddali grzmoty wtórowały ostatnim pożegnalnym błyskawicom przemykającym nad wodami zatoki, a ja siedziałem, wpatrując się w rysunek. Był na nim Wireman. Siedział przy stole. Wiedziałem z całkowitą pewnością, że jego poprzednie życie dobiega właśnie końca. Na stole znajdowały się dwa przedmioty: misa z owocami i pistolet. Strzelał z niego na strzelnicy (wzrok miał wtedy jeszcze w porządku) albo trzymał w domu dla obrony. Albo i to, i to. Rozmazałem lekko kontury broni, co nadało jej złowieszczy, jakby nieco zamglony wygląd. Dom na rysunku był opustoszały. Skądś dobiegało tykanie zegara. Gdzieś szemrała lodówka. W powietrzu wisiała ciężka woń kwiatów. Była wstrętna. Dźwięki były jeszcze gorsze. Marszowe tik - tak zegara. Nieustające zawrodozenie szemrzącej lodówki, która po staremu robiła swój lód, chociaż na świecie zabrakło żony, zabrakło dziecka. Jeszcze chwila i mężczyzna siedzący przy stole zamknie oczy, wyciągnie rękę i na oślep wyjmie z misy jeden owoc. Jeśli to będzie pomarańcza, położy się spać. Jeśli jabłko, weźmie pistolet, przyłoży lufę do prawej skroni, pociągnie za cyngiel i przewietrzy swój udręczony umysł. Jabłko.

V

Następnego dnia zjawił się u mnie Jack. Przyjechał wypożyczoną furgonetką i przywiózł dużo miękkiego materiału, w który owinęliśmy moje płótna. Poinformowałem go, że pojedzie z nami jeszcze jedna osoba, facet z dużego domu w głębi wyspy, którego niedawno poznałem.

- Nie ma sprawy - wesołym głosem odparł Jack ze schodów, po których wciągał ręczny wózek na obrazy. - Miejsca wystarczy dla... Oo! - Urwał, zatrzymując się przed drzwiami „Koralika”.

- Co: „Oo”? - zapytałem.

- To nowe? Na pewno nowe.

- Tak.

Nannuzzi z galerii Scoto mówił, że chce obejrzeć sześć do dziesięciu prac, więc podzieliłem różnicę na dwa, dodałem do minimum i wybrałem dla niego osiem, w tym tę czwórkę, która poprzedniego dnia zrobiła tak duże wrażenie na Wiremanie.

- I co sądzisz? - zagadnąłem Jacka.

- Stary, niesamowite!

Trudno było wątpić w jego szczerość; nigdy dotąd nie powiedział do mnie „stary”. Pokonałem jeszcze kilka stopni i trąciłem go kulą w pośladek opięty niebieskimi džinsami.

- Posuń się trochę - zażądałem.

Jack odstepił na bok, ciągnąc za sobą wózek, żebym mógł wejść do środka. Nie odrywał wzroku od moich obrazów.

- Jack, czy ten facet ze Scoto na pewno jest w porządku? Wiesz coś o nim?

- Mama dobrze o nim mówi. Jak dla mnie więcej nie potrzeba. - Czyli, domyśliłem się, mnie też to powinno wystarczyć. I w sumie nie miałem innego wyjścia, jak przyjąć to na wiarę. - Prowadzi galerię razem ze współnikami. Chyba jest ich dwójka. O nich mama nic nie mówiła, ale pan Nannuzzi podobno jest w porządku.

Zadzwoił do niej specjalnie, bo prosiłem, żeby się czegoś dowiedział. Ujęło mnie to.

- A jeśli nie spodobają mu się pana obrazy - oznajmił Jack - to znaczy, że jest kiepski i się nie zna.

- Tak uważasz?

Skinął głową.

Z dołu dobiegło nas radosne nawoływanie Wiremana:

- Puk, puk! Jestem! Jedziemy na tę wycieczkę czy nie? Kto ma dla mnie jakąś plakietkę? A miałem zabrać drugie śniadanie?

VI

Wyobrażałem sobie łysego chudeusza w typie profesora, z rozgorączkowanymi ciemnobrązowymi oczami - coś jak Ben Kingsley, tylko Włoch - ale Dario Nannuzzi okazał się być tęgawym czterdziestolatkiem z kompletnym owłosieniem. Szczególną uwagę zwracały jego oczy. To były oczy z rodzaju tych, którym nic nigdy nie umyka. A ja zauważyłem, że otworzyły się szerzej - odrobinę, ale z całą pewnością nie przywidziało mi się - kiedy Wireman ostrożnie odwinął mój ostatni obraz: „Na muszlach rosną róże”. Osiem moich prac stanęło rzędem pod tylną ścianą galerii, w której prym wiodły wtedy akurat fotografie Stephanie Shachat i oleje Wiliama Berry'ego, prezentujące poziom dla mnie

niedostępny, choćbym uczył się sto lat.

Z drugiej strony widziałem przecież wyraźnie te otwarte szerzej oczy.

Nannuzzi przeszedł się raz wzdłuż rzędu moich obrazów, potem zawrócił i przeszedł jeszcze raz. Nie miałem pojęcia, czy to dobrze, czy źle. Prawda bowiem była paskudna: tego dnia po raz pierwszy w życiu oglądałem galerię sztuki od środka. Spojrzałem na Wiremana, chcąc się dowiedzieć, co myśli, ale on cofnął się kilka kroków i rozmawiał cicho z Jackiem. Obaj wodzili wzrokiem za Dariem Nannuzzim oglądającym moje obrazy.

Nagle dotarło do mnie, że nie tylko oni go obserwują. Koniec stycznia to pracowity okres dla ekskluzywnych sklepów na zachodnim wybrzeżu Florydy. Po przestronnej galerii Scoto krążyło kilkunastu gapiów obojga płci (później Dario Nannuzzi wyraził się o tych osobach w szlachetniejszy sposób: potencjalni mecenas sztuki), których zwabiły do środka dalej Stephanie Shachat, europejskie krajobrazy Williama Berry'ego (zachwycające, choć ewidentnie malowane pod gusta turystów), a także kilka zaskakujących, pogodnie opętańczych rzeźb, które umknęły mojej uwagi, ponieważ byłem zbyt zaaferowany rozpakowywaniem własnych prac. Autorem tychże był niejaki David Gerstein.

Początkowo wydawało mi się, że to właśnie owe rzeźby - muzycy jazzowi, obłąkani pływacy, pulsujące sceny z miejskiej ulicy - są głównym obiektem zainteresowania przypadkowej popołudniowej klienteli. I faktycznie, kilka osób od czasu do czasu rzucało okiem w tamtą stronę, ale większość nie poświęciła im nawet jednego spojrzenia. Bo patrzyli na moje obrazy.

Jakiś facet, odznaczający się kolorem skóry, jaki mieszkańcy Florydy nazywają „opalenizną z Michigan” (może to być równie dobrze trupia bladość, jak i karmin homara), w pewnym momencie klepnął mnie w ramię wolną ręką. Za drugą trzymała go żona.

- Wie pan może, kto to malował? - zapytał.

- Ja - wymamrotałem, czując, że się rumienię. Zupełnie jakbym przyznał się publicznie, że przez cały tydzień ściągałem z sieci zdjęcia Lindsay Lohan.

- Gratulacje! - odezwała się ciepłym głosem jego żona. - Wystawia pan tutaj?

Nagle wszyscy zaczęli patrzeć na mnie takim wzrokiem, jakim ogląda się nowy gatunek najeżki, która akurat tego dnia ma szansę zagościć w karcie dań jako *sushi du jour*. Tak przynajmniej się czułem pod ostrzałem tych spojrzeń.

- Nie wiem, czy zaproponują mi wyprawę. Wystawę - poprawiłem się szybko, czerwieniąc się coraz mocniej. To był rumieniec wstydu (niedobrze), ale też gniewu (czyli jeszcze gorzej). Gdybym teraz wybuchnął, to tylko ze złości na samego siebie, ale ci ludzie nie mogli przecież mieć o tym pojęcia.

Otworzyłem usta, aby coś powiedzieć, ale zamknąłem je z powrotem bez słowa. Powoli, upomniałem się w myślach, żałując, że nie mam przy sobie Reby. Dla takich ludzi artysta paradujący z lalą to pewnie normalka. W końcu przeżyli już Andy'ego Warhola.

Powoli. Dam sobie radę.

- Chciałem powiedzieć - wyjaśniłem - że zajmuję się malarstwem dopiero od niedawna i nie wiem jeszcze, jak się załatwia takie sprawy.

Nie oszukuj się, stary. Wiesz, co ich interesuje. Nie patrzą na obrazy, tylko na twój pusty rękaw. Jesteś dla nich Jednorękim Artystą. Szkoda czasu na pierdoły. Pogoń ich i tyle. Niech się od ciebie odpieprzą.

To było głupie i śmieszne, ale...

Ale już cała galeria zaczęła się gromadzić dookoła mnie. Wszyscy klienci, cholera by to wzięła. Ci, którzy oglądali kwiaty Stephanie Shachat, wystawione bliżej drzwi, weszli głębiej, z czystej ciekawości. Widziałem takie zgromadzenia już nieraz: każdy płot na każdej budowie jest oblepiony od zewnątrz ludźmi, zaglądającymi przez wszystkie możliwe dziurki.

- Ja panu powiem, jak się załatwia takie sprawy - odezwał się inny facet, ale tak samo opalony w stylu michiganskim. Miał duży, obwisły brzuch, na nosie nieduże stadko pajęczków naczyniowych, a kolorowa koszula w tropikalne wzory zwieszała mu się prawie do samych kolan. Białe buty pasowały idealnie do nienagannie uczesanych siwych włosów. - Procedura jest prosta jak drut. Najpierw pan mi mówi, ile chce za to. - Pokazał palcem mój „Zachód słońca z mewą”. - Potem ja wypisuję czek.

Zgromadzony tłumek parsknął zgodnym śmiechem. Dario Nannuzzi się nie śmiał. Skinął na mnie.

- Pan wybaczy - przeprosiłem, odchodząc.

- Stawka właśnie poszła w górę, przyjacielu - powiedział ktoś do Pajączka i znów rozległy się śmiechy. Pajączek przyłączył się do ogólnej wesołości, ale nie wyglądał na szczerze ubawionego.

To wszystko docierało do mnie jak przez sen.

Nannuzzi uśmiechnął się do mnie, a potem przemówił do klientów, którzy wciąż oglądali moje obrazy:

- Panie i panowie, pan Freemantle nie sprzedaje dziś niczego, ponieważ przybył tu tylko po fachową opinię na temat swoich obrazów. Proszę o uszanowanie jego prywatności oraz mojego profesjonalizmu. - Cokolwiek by to miało znaczyć, pomyślałem zdeprimowany. - Zapraszam do obejrzenia wystawionych prac, a pana, panie Freemantle, proszę na zaplecze. Panowie Aucoin, Brooks i Castellano są do państwa dyspozycji i chętnie odpowiedzą na

wszelkie pytania.

- Moja fachowa opinia jest taka, że powinieneś podpisać kontrakt z tym człowiekiem, Dario - odezwała się kobieta o surowym wyglądzie i siwiejących Włosach upiętych w kok. Jej twarz, niegdyś piękna, wciąż jeszcze zachowała ślady dawnej świetności. Tu i ówdzie rozległy się brawa. Miałem coraz silniejsze wrażenie, że śnię.

Zza naszych pleców wysunął się młody człowiek o eterycznej powierzchowności. Jeśli wezwał go Nannuzzi, to za cholerę nie miałem pojęcia jak i kiedy. Wymienili kilka zdań, a potem W dłoni eterycznego młodzieńca pojawił się sporych rozmiarów rulon z naklejkami. Były owalne, a na każdej z nich widniał wytłoczony srebrnymi literami napis: NIE NA SPRZEDAŻ. Nannuzzi zdjął jedną z arkusza, pochylił się nad pierwszym z moich obrazów, ale zawahał się i spojrzał na mnie z wyrzutem:

- Niezawerniksowane.

- Chyba... chyba nie - zająknąłem się. I znów ten rumieniec. - Nie bardzo... wiem, jak to się robi.

- Dario, oto jest prawdziwy amerykański prymitywista - oznajmiła tamta kobieta o surowym wyglądzie. - Jeśli się okaże, że maluje dłużej niż od trzech lat, stawiam ci obiad w Zorii i butelkę wina do tegoż obiadu. - Odwróciła w moją stronę tę zniszczoną, ale wciąż niemalże zachwycającą twarz.

- Jeśli się okaże, że masz o czym napisać, Mary - zareplikował Nannuzzi - to sam do ciebie zadzwonię.

- Trzymam cię za słowo - odparła. - I nawet go nie zapytam o nazwisko. Widzisz, jaka jestem grzeczna? - Skinęła mi dłonią i odeszła, lawirując pomiędzy ludźmi.

- Po co pytać - mruknął Jack i oczywiście miał rację. Wszystkie obrazy były podpisane, w lewym dolnym rogu, tak samo starannie jak każda faktura, zamówienie i kontrakt, które przeszły przez moje ręce w poprzednim życiu: *Edgar Freemantle*.

VII

Do przyklejenia znaczków NIE NA SPRZEDAŻ Dario Nannuzzi wybrał sobie prawy górny róg moich płócien. Wyglądały tam jak etykiety na teczkach z dokumentami. Kiedy skończył, zaprowadził mnie i Wiremana do swojego gabinetu. Jack także został zaproszony, ale wolał zostać przy obrazach.

W gabinecie Nannuzzi zaproponował nam kawę i wodę mineralną. Za kawę podziękowaliśmy, wybierając wodę, a ja dodatkowo poprosiłem o kilka tabletek

przeciwbólowych.

- Kto to był, ta kobieta? - zainteresował się Wireman.

- Mary Ire - odpowiedział Nannuzzi. - Znana postać na scenie artystycznej Słonecznego Wybrzeża*. Prowadzi darmowe czasopismo kulturalne pod tytułem „Boulevard”, które w ciągu roku wychodzi raz w miesiącu, a podczas sezonu turystycznego - co dwa tygodnie. Mieszka w Tampie. Na cmentarzu, jak dodają niektórzy dowcipnisie z branży. Nowi artyści to jej konik.

- Sprawia wrażenie piekielnie inteligentnej - powiedział Wireman.

Nannuzzi wzruszył ramionami.

- Mary jest w porządku. Pomogła wielu artystom i jest tutaj od zawsze. To jej zapewnia ważną pozycję w mieście, które w dużej mierze żyje z przyjezdnych.

- Rozumiem - mruknął Wireman. Byłem zadowolony, że przynajmniej on tu coś rozumie. - Taka miejscowa filantropka.

- To za mało powiedziane. - Nannuzzi nie zgodził się z nim. - Mary jest raczej kimś w rodzaju lokalnego przewodnika. A my staramy się ją dopieszczać. O ile tylko jest to w naszej mocy.

Wireman skinął głową.

- Tutaj, na zachodnim wybrzeżu Florydy, artystów i galerie sztuki łączy przyjemny, obopólnie korzystny układ. Pani Ire rozumie, na czym on polega, i wie, jak o niego dbać. Gdyby się zatem okazało, że jakaś wesoła galeria za rogiem chce sprzedawać po dziesięć tysięcy dolarów sztuka portrety Elvisa z makaronu na aksamicie, to nasza Mary...

- Spuściłaby ich po brzytwie - wpadł mu w słowo Nannuzzi. - Wbrew temu, co sądzi o nas środowisko artystycznych snobów, których rozpoznaje się zazwyczaj po czarnych strojach i miniaturowych komórkach, nie jesteśmy przekupni.

- Wyrzucił pan to z siebie, widzę. Lżej na sercu? - zapytał Wireman, uśmiechając się, ale tylko lekko.

- Nie do końca - odparł zagadkowo Nannuzzi. - Chcę tylko powiedzieć, że Mary Ire rozumie naszą sytuację. Większość z nas sprzedaje dobrą sztukę, czasami nawet wybitną. Staramy się wyszukiwać nowe talenty i pomagać im w rozwoju, ale zdarzają się klienci, którzy mają stanowczo zbyt dużo pieniędzy i absolutnie im to nie służy. Na przykład pan Costenza, który wymachiwał przed chwilą książeczką czekową, ale również różne panie prowadzące ze sobą pieski ufarbowane pod kolor swoich najnowszych kreacji. - Nannuzzi

* Suncoast (Słoneczne Wybrzeże) - potoczna nazwa, którą określa się zachodnią i południowo - zachodnią część półwyspu Floryda, od Tarpon Springs na północy do Naples na południu (przyp. tłum.).

błysnął zębami. Mógłbym się założyć, że jego bogatsi klienci bardzo rzadko widują ten uśmiech.

Słuchałem zafascynowany. To był dla mnie zupełnie nowy świat.

- Mary opisuje każdą nową wystawę, jaką uda jej się zobaczyć, a niewiele z nich opuszcza, i proszę mi wierzyć, nie wszystkie jej recenzje są entuzjastyczne.

- Nie wszystkie, ale większość? - wtrącił Wireman.

- Oczywiście, że tak, ponieważ większość tych wystaw jest na poziomie. Bardzo rzadko można od niej usłyszeć, że widziała coś naprawdę świetnego, bo w końcu region żyjący z turystyki to nie jest kolebka sztuki, ale na poziomie? Jak najbardziej. To są obrazy, które każdy może sobie powiesić na ścianie, a potem pokazać palcem i bez najmniejszego wstydu powiedzieć „Ja to kupiłem”.

Moim zdaniem to brzmiało jak idealna definicja miernoty - widziałem jej zastosowanie w praktyce na setkach rysunków architektonicznych - ale znów nie odezwałem się ani słowem.

- Mary, tak jak i my, interesuje się nowymi, nieznanymi artystami - ciągnął dalej Nannuzzi. - Może nadejść taka chwila, panie Freemantle, że korzystnie dla pana będzie usiąść i porozmawiać z nią. Powiedzmy, przed otwarciem wystawy pańskich prac.

- Jesteś zainteresowany wystawieniem swoich prac w Scoto? - zapytał mnie Wireman.

Poczułem nagle, że mam suche wargi. Spróbowałem zwilżyć je językiem, ale język też był suchy. Sięgnąłem więc po szklanę, wypilem łyk wody i dopiero wtedy odpowiedziałem:

- Nie zabiegajmy przez odejście.

Umilkłem. Odczekałem chwilę. Wypilem jeszcze jeden łyk.

- Przepraszam - poprawiłem się - nie wybiegajmy przed orkiestrę. Jestem tutaj, żeby poznać pańskie zdanie, *signor* Nannuzzi. To pan jest ekspertem.

Dario Nannuzzi wyjął dłoń zza poły kamizelki i pochylił się w przód. Wydawało mi się, że jego krzesło skrzypnęło przy tym straszliwie głośno. Ale uśmiechał się do mnie, a ten uśmiech był ciepły. Dodawał jego oczom blasku, czynił je fascynującymi. Zacząłem rozumieć, dlaczego osiągnął taki sukces jako sprzedawca dzieł sztuki, ale on w tej chwili nie mówił do mnie jak facet, który chce coś wcisnąć drugiemu facetowi. Sięgnął przez blat biurka i chwycił moją dłoń - tę, którą malowałem, moją jedyną.

- Panie Freemantle, robi mi pan wielki zaszczyt, ale w naszej rodzinie tytuł „signor” przysługuje tylko i wyłącznie mojemu ojcu, Augustino. Dla mnie wystarczy zwykłe „pan”. Co zaś się tyczy pańskich obrazów, to owszem, są dobre. Biorąc pod uwagę, kiedy zaczął pan

malować, nawet bardzo dobre. A może nawet więcej niż dobre.

- Ale dlaczego? - dopytywałem się. - Co sprawia, że są dobre?

- Prawda - odparł krótko. - Widać ją w każdym pociągnięciu pędzla.

- Przecież to są tylko zachody słońca! Te wszystkie dodatki... - Uniosłem rękę, opuściłem ją z powrotem. - To tylko tani chwyt.

Nannuzzi wybuchnął śmiechem.

- Widzę, że umie pan prawić złośliwości! Gdzie się pan tego nauczył? Z recenzji sztuki w „New York Timesie”? Z programów Billa O'Reilly'ego? A może i stąd, i stąd? - Wskazał palcem sufit. - Żarówka? To tani chwyt! - Dotknął własnej piersi. - Rozrusznik serca? Tani chwyt! - Zatrzepotał rękami. Szczęściarz, miał dwie, to mógł sobie trzepotać. - Proszę zapomnieć o takich złośliwych słowach, panie Freemantle. Sztuka powinna nieść nadzieję, a nie siać zwątpienie. Pan ma wątpliwości ze względu na swój brak doświadczenia, który przecież w żaden sposób nie przynosi panu ujmy. Proszę mnie wysłuchać. Wysłucha mnie pan?

- Jasne - przytaknąłem. - Po to tutaj przyszedłem.

- Kiedy mówię „prawda”, myślę „piękno”.

- John Keats - wtrącił się Wireman. - „Oda o urnie greckiej”. „Oto wszystko, co wiesz, co ci potrzeba wiedzieć”. Stary kawałek, ale wciąż jary.

Nannuzzi puścił jego dygresję mimo uszu. Siedział pochylony nad blatem biurka i patrzył mi w oczy.

- W moim przekonaniu, panie Freemantle...

- Proszę mi mówić po imieniu.

- A więc, Edgarze, w moim przekonaniu to stwierdzenie zawiera w sobie cały sens istnienia sztuki. Jest ono również jedynym kryterium, według którego sztukę można oceniać.

Uśmiechnął się - ten uśmiech wydał mi się jakby nieco asekurancki.

- Widzisz, ja nie mam ochoty zastanawiać się nad sztuką więcej niż potrzeba. Nie chcę być jej krytykiem. Nie chcę jeździć po różnych sympozjach, wysłuchiwać referatów ani dysputować o sztuce na bankietach - chociaż z racji swojego zawodu bywam czasami zmuszony do takich rzeczy. Kiedy widzę dzieło sztuki, chcę tylko jednego: chwycić się za serce i paść z wrażenia.

Wireman wybuchnął śmiechem i wznosił ręce ku górze.

- O tak, Panie! - zawołał natchnionym głosem. - Nie widziałem, żeby ten facet przed chwilą padł albo chwycił się za serce, ale z wrażenia już chwycił za książeczkę czekową.

- W głębi duszy - odparł Nannuzzi - na pewno padł z wrażenia. I sądzę, że reszta tak

samo.

- Prawdę mówiąc, ja też tak sędzę - powiedział Wireman, poważniejąc w jednej chwili.

Nannuzzi mówił dalej, nie odrywając ode mnie wzroku:

- Ani słowa o tanich chwytach. Na prawie wszystkich twoich obrazach widać gołym okiem, do czego dążyłeś: poszukujesz nowego sposobu przedstawienia najbardziej znanego i oklepanego motywu na całej Florydzie, czyli tropikalnego zachodu słońca. Próbujesz ominąć banał i odnaleźć własną drogę.

- To by się zgadzało. W tym celu małpuję Dalego...

Nannuzzi machnął niecierpliwie ręką.

- Twoje obrazy nie mają nic z Dalego. Nie będę z tobą rozmawiał o szkołach malarstwa i nie zniżę się do używania słów kończących się na - izm. Ciebie nie można umieścić w żadnej szkole, bo żadnej nie znasz.

- Znam się na budownictwie - wtrąciłem.

- Więc dlaczego nie malujesz budynków?

Potrząsnąłem głową. Mógłbym odpowiedzieć, że nigdy nie przyszło mi to do głowy, ale znacznie bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że nigdy nie przeszło mi to przez amputowaną rękę.

- Mary miała rację - ciągnął Nannuzzi. - Jesteś amerykańskim prymitywistą. I nie ma w tym nic złego. Grandma Moses była prymitywistką. Jackson Pollock był prymitywistą. Rzecz w tym, Edgarze, że masz talent.

Otworzyłem usta. Zamknąłem. Nie wiedziałem, co mam na to odpowiedzieć. Dopiero Wireman mi pomógł.

- Podziękuj panu, Edgarze - podsunął.

- Dziękuję.

- Proszę uprzejmie. A gdybyś zdecydował się wystawić swoje prace, to przyjdź najpierw do nas, do Scoto. W żadnej galerii na całej Palm Avenue nie dostaniesz lepszych warunków niż tutaj. Obiecuję ci to.

- Bez żartów! To chyba jasne, że najpierw przyjdę do was.

- Tak samo jasne jak to, że ja przeczytam umowę - zaznaczył Wireman, uśmiechając się niczym chłopczyk z kościelnego chóru.

Nannuzzi odpowiedział uśmiechem.

- To zrozumiałe i nie mam nic przeciwko. Z tym że nie napracuje się pan zbyt. Standardowy kontrakt, który proponujemy artystom debiutującym u nas, ma półtorej strony.

- Panie Nannuzzi - powiedziałem - naprawdę nie wiem, jak panu dziękować.

- Podziękowanie wyprzedziło przysługę - odparł. - Chwyciłem się za serce, czy też za to, co mi z niego zostało, i padłem z wrażenia. Ale zanim się pożegnamy - jeszcze jedna rzecz.

Wziął z biurka notes, napisał w nim coś, a potem wyrwał całą stronę i podał mi ją gestem lekarza wręczającego pacjentowi receptę. Wypisane dużymi, pochyłymi literami słowo, które tam zobaczyłem, nawet było podobne do nazw, jakie widuje się na receptach:

DAMAR.

- Co to jest damar? - zapytałem.

- Werniks. Proponuję nałożyć go na ukończony obraz za pomocą papierowego ręcznika. Cienką warstwą. Dać mu przeschnąć przez dwadzieścia cztery godziny i nałożyć drugą warstwę. Dzięki temu twoje zachody słońca zachowają świeżość i żywość barw przez setki lat. - Spojrzał na mnie wzrokiem tak poważnym, że żołądek podskoczył mi lekko. - Nie wiem, czy zasługują na aż taką długowieczność, ale być może tak. Kto wie? Być może tak.

VIII

Poszliśmy na obiad do Zorii, restauracji, o której wspomniała Mary Ire. Przed posiłkiem Wireman zaproponował mi bourbona. Zgodziłem się. Od czasu wypadku nie miałem w ustach mocnego alkoholu, więc szybko uderzył mi do głowy, a efekt był dość zabawny. Całe otoczenie zaczęło nabierać nasycenia i ostrości, aż wreszcie stało się jednym wielkim zlepkiem światła i koloru. Wszystkie kanty, jakie miałem w zasięgu wzroku - te w drzwiach, oknach, nawet sztywno zgiętych łokciach przechodzących kelnerów - wydawały mi się tak ostre, że nie zdziwiłbym się, gdyby zaczęły robić w powietrzu dziury, z których polałyby się ciężkimi kroplami jakiś ciemniejszy fluid, gęsty niczym syrop. Do jedzenia zamówiłem sobie pysznego miecznika z zielonym groszkiem, który wspaniale pękał między zębami, a na deser - *crème brûlée*, tak straszliwie kaloryczny, że ciężko było dojeść go do końca, ale zostawić choćby jedną łyżkę wydawało się grzechem. Rozmawialiśmy sobie wesoło, wszyscy trzej raz po raz wybuchając śmiechem, ale mimo wszystko chciałem już wracać. Wciąż bolała mnie głowa, z tym że ognisko bólu przesunęło się w kierunku potylicy (opadając jak obciążona huśtawka), a do tego rozpraszały mnie pełznące żółtym tempem samochody na Main Street. Każdy rozdrażniony klakson wibrował groźnie. Chciałem znaleźć się z powrotem na Dumie. Marzyłem o czarnym bezkresie zatoki i o cichych głosach muszli rozmawiających pod podłogą domu. Mógłbym się w nie wsłuchiwać, wyciągnięty na łóżku, z

Rebą leżącą na sąsiedniej poduszce.

Tak więc kiedy kelner przyszedł zapytać, czy chcemy jeszcze kawy, Jack rozmawiał już praktycznie sam ze sobą. W moim stanie hiperprzytomności zauważyłem bez trudu, że nie tylko mnie potrzebna jest zmiana otoczenia. Wireman pobladł, i to mocno. Ze względu na stonowane oświetlenie w restauracji oraz jego mahoniową opalenizną trudno było dokładnie określić, jak bardzo, ale wydawało mi się, że całkiem sporo. I znów zaczęło mu łzawić lewe oko.

- Prosimy o rachunek - powiedział do kelnera, a do nas uśmiechnął się z wysiłkiem. - Przepraszam, że psuję uroczystość, ale chciałbym już wracać do mojej pani. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko.

- Ja na pewno nie - oznajmił Jack. - Dostałem obiad za frajer, a do tego zdążę jeszcze wrócić do domu, zanim zacznie się „SportsCenter”. Złoty interes.

Wyszliśmy. Jack skoczył po wynajętą furgonetkę, a my czekaliśmy na niego przy wejściu na podziemny parking. Tutaj było już jaśniej, ale to, co zobaczyłem, nie natchnęło mnie optymizmem; w świetle bijącym z otwartej bramy parkingu twarz mojego nowego przyjaciela była niemalże żółta. Zagadnąłem, czy dobrze się czuje.

- Wireman jest zdrów jak ryba - odparł - ale panna Eastlake zaliczyła ostatnio kilka bezsennych, spieprzonych nocy. Wołała swoje siostry, swojego ojczulka, wszystkich po kolei, jak z listy obecności. Coś jest na rzeczy z tą pełnią księżyca. To urąga wszelkiej logice, ale cóż... Bogini Diana nadaje na falach, które łapie tylko zachwiany umysł. Teraz mamy już ostatnią kwadrę, więc starsza pani zacznie się wysypiać. A to oznacza, że ja też będę chodził wyspany. Mam nadzieję.

- To dobrze.

- Jeśli chodzi o galerię i wystawę, to na twoim miejscu przespałbym się z tym, i to dłużej niż jedną noc. No i nie przestawaj malować. Zasuwasz jak mały parowozik, ale wątpię, czy masz już tyle obrazów, żeby starczyło na...

Urwał nagle, bo zatoczył się do tyłu, prosto na obłożony płytkami dekoracyjnymi filar, który miał za plecami. Gdyby nie ten filar, to jestem pewny, że by upadł. Wypity bourbon powoli przestawał już działać, ale wciąż byłem na tyle pobudzony, żeby dostrzec, co się zrobiło z oczami Wiremana, kiedy stracił równowagę. Prawe opadło, jakby właściciel chciał obejrzeć swoje buty, natomiast lewe, przekrwione i zażawione, uciekło w tył głowy, aż błysnęło białko, a tęczęwka stała się cienkim łukiem przyklepionym pod górną powieką. Trwało to na tyle długo, żebym zdążył pomyśleć, że coś takiego jest niemożliwe; człowiek nie może patrzeć w dwóch kierunkach jednocześnie. I faktycznie, zdrowi ludzie

prawdopodobnie tego nie potrafią. W tym momencie Wireman zaczął osuwać się na ziemię.

Chwyciłem go za rękę.

- Wireman? Wireman!

Potrząsnął głową, spojrzał na mnie. Wzrok skupiony, uwaga skoncentrowana. Tylko lewe oko, nabiegłe krwią, lśniło trochę. Wyjął z kieszeni chustkę i otarł nią policzek.

- Podobno można uśpić człowieka nudnym gadaniem - zaśmiał się - ale samemu usnąć od własnej paplaniny? Śmieszne.

- Ty nie zasnęłaś, tylko... - Szukałem właściwego słowa. - Nie wiem, co to było.

- Nie bądź niemądry, głuptasie - skarcił mnie żartobliwie protekcyjnym tonem.

- Naprawdę. Coś ci się stało z oczami.

- To mi się stało, że zasnąłem na stojąco, *muchacho*. - Posłał mi swój firmowy uśmiech, przekrzywiając głowę, unosząc brwi i pokazując dołki w policzkach. Mimo to coś mi mówiło, że bardzo dokładnie wie, o co mi chodzi.

- Muszę niedługo iść do lekarza na kontrolę - powiedziałem. - Zrobić rezonans. Obiecałem Kamenowi, to ten mój kumpel psycholog. Może wybierzemy się razem?

Wireman odepchnął się od filara, o który cały czas się opierał.

- O, Jack już do nas jedzie - rzucił. - Szybko się uwinął. Żywo, Edgarze! Odjeżdża ostatni autobus na Dumę.

IX

W drodze powrotnej, na Casey Key Road, znów wydarzyło się coś podobnego, tylko że tym razem było jeszcze gorzej. Jack niczego nie zauważył, bo był skupiony na drodze, a sam Wireman - jestem prawie pewny - nie zorientował się w ogóle, co się z nim dzieje. Poprosiłem Jacka, żeby ominął Tamiami Trail, ten ujmująco tandetny główny szlak zachodniego wybrzeża Florydy, wracaliśmy więc węższą i bardziej krętą drogą. Wyjaśniłem, że chcę popatrzeć na księżyc odbijający się w wodzie.

- Zaczynasz mieć ekscentryczne zachcianki jak prawdziwy artysta, *muchacho* - parsknął Wireman z tylnego siedzenia, gdzie leżał wyciągnięty, z nogami w górze, demonstrując, że pasy bezpieczeństwa nie są obsesją jego życia. - Ani się obejrzysz, jak zaczniesz nosić beret. - Wymówił to z gardłowym, francuskim „r”.

- Pieprz się, Wireman - odburknąłem.

- Pieprzyła mnie swatka, pieprzyła sąsiadka - wyrecytował rzewnie sentymentalnym tonem - ale wiadomo, że nie ma jak matka. - I umilkł.

Spojrzałem w prawo, gdzie za oknem księżyc płynął po czarnej wodzie. Ten widok hipnotyzował. Zacząłem się zastanawiać, czy można namalować księżyc w ruchu, tak jak go widziałem z samochodu: srebrną kulę mknącą tuż pod powierzchnią morza.

Rozmyślając sobie o tym, zacząłem już chyba zapadać w drzemkę, kiedy nagle złowiłem okiem jakiś widmowy ruch odbity w szybie, nałożony na księżyc i czarne fale. To był Wireman. Przez chwilę pomyślałem głupio, że chyba trzępie tam z tyłu kapucyna, bo na przemian składał i rozkładał uda, a do tego poruszał biodrami w górę i w dół. Zerknąłem na Jacka, ale ponieważ Casey Key Road to istna symfonia wiraży, Jack nie widział nic poza drogą. Poza tym Wireman był prawie całkiem schowany za oparciem siedzenia kierowcy i Jack nie mógłby go dojrzeć nawet we wstecznym lusterku.

Obejrzałem się przez ramię. Wireman nie onanizował się i nie rzucał się we śnie. Wireman miał atak padaczki. Prawdopodobnie *petit mal*, więc nie duży i nie gwałtowny, był to jednak z całą pewnością atak. Przez pierwsze dziesięć lat działalności Freemantle Company pracował u mnie kreślarz chory na epilepsję, więc wiem, jak to wygląda. Wireman kurczył i rozkurczał pośladki, a jego korpus skakał przy tym o dziesięć - piętnaście centymetrów w górę. Złożone na brzuchu ręce dygotały. Bez przerwy cmokał wargami, jakby miał w ustach coś wyjątkowo smacznego, a z jego oczami działo się dokładnie to samo co niedawno pod filarem. W blasku gwiazd to rozbieżne spojrzenie - jedno oko w górę, drugie w dół - stanowiło widok tak niesamowity, że nie potrafiłbym go opisać słowami. Z lewego kącika ust sączyła mu się struzka śliny; z lśniącego szkliszcie lewego oka ciekła łza, tocząc się w stronę kosmatych baczków.

Trwało to około dwudziestu sekund, a potem ustało. Wireman zamrugnął i jego oczy wróciły na swoje miejsce. Leżał bez słowa przez jakąś minutę. Może dwie. Odezwał się, dopiero kiedy zauważył, że mu się przyglądam:

- Chlapnąłbym sobie jeszcze kielicha albo wsunął jakąś czekoladkę, ale o alkoholu już chyba nie może być mowy, co?

- Jeśli chcesz się obudzić, kiedy twoja pani będzie cię wzywać w nocy, to raczej nie - odpowiedziałem, siląc się na swobodny ton.

- Przed nami most na Dumę - zameldował Jack. - Już prawie jesteście w domu.

Wireman usiadł, przeciągnął się.

- Dzień nam się udał jak nigdy, ale wiecie co, chłopaki? Ucieszę się na widok własnego łóżka. Chyba się starzeję, nie uważacie?

X

Pomimo zeszywniałej od jazdy nogi wysiadłem z samochodu i podszedłem do Wiremana, kiedy otwierał małą żelazną skrzynkę wiszącą przy bramie. W środku znajdowała się klawiatura supernowoczesnego systemu alarmowego.

- Dzięki, że ze mną pojechałeś - odezwałem się.

- Nie ma sprawy - odparł. - Ale jak mi jeszcze raz podziękujesz, to zarobisz w zęby. Wybacz. Tak musi być.

- Dobrze wiedzieć - uśmiechnąłem się. - Dzięki za ostrzeżenie.

Wireman roześmiał się i klepnął mnie w ramię.

- Lubię cię, Edgar. Masz styl i masz klasę, zostań moim przydupasem.

- Prześliczne. Chyba się popłaczę. Wireman, posłuchaj...

Mogłem mu powiedzieć, co przed chwilą się z nim działo. Właściwie byłem już tego bliski, ale ostatecznie postanowiłem nic nie mówić. Nie miałem pojęcia, czy to dobra czy zła decyzja, ale miał przecież teraz przed sobą długą noc czuwania przy Elizabeth Eastlake. A mnie wciąż bolała głowa; tępe pulsowanie ciążyło gdzieś z tyłu czaszki. Ponowiłem więc tylko poprzednią propozycję: żeby wybrał się razem ze mną na badanie, które obiecałem Kamenowi.

- Zastanowię się - obiecał - i dam ci znać.

- Tylko nie zastanawiaj się za długo, bo...

Uniósł dłoń, przerywając mi. Tym razem już się nie uśmiechał.

- Wystarczy, Edgar. Jak na jeden wieczór wystarczy w zupełności. W porządku?

- W porządku. - Odprowadziłem go wzrokiem do domu, a potem wróciłem do furgonetki.

Jack słuchał sobie głośno muzyki. Poznałem tę piosenkę: „Renegade”.

- Nie trzeba - powstrzymałem go, kiedy sięgnął do pokrętła, chcąc ściszyć. - Niech leci na full.

- Poważnie? - Wykręcił i ruszyliśmy z powrotem. - Świetna kapela. Zna ją pan?

- Jack - powiedziałem - to jest Styx. Dennis DeYoung. Tommy Shaw. Słyszałeś kiedyś te nazwiska? Nie? To gdzie ty się wychowałeś? W jaskini?

Jack uśmiechnął się ze wstydem.

- Ja słucham country, a najchętniej starych standardów - przyznał się. - Prawdę mówiąc, najbardziej lubię The Rat Pack.

Wyobraziwszy sobie Jacka Cantoriego zasłuchanego w piosenki Sinatry i Dina,

zaczęłam się zastanawiać - zresztą nie po raz pierwszy tego dnia - czy to wszystko dzieje się naprawdę. Dziwiło mnie również, jakim sposobem pamiętam, że w Styksie grali Dennis DeYoung i Tommy Shaw (a nawet to, że piosenkę, która w tej chwili trzęsie kabiną wynajętej furgonetki, napisał właśnie Shaw), a jednocześnie czasami nie potrafię sobie przypomnieć imienia własnej byłej żony.

XI

Na automatycznej sekretarce stojącej w salonie tuż obok telefonu paliły się obie lampki: pierwsza to był sygnał, że czekają na mnie wiadomości, druga - że skończyła się taśma do ich nagrywania. Tymczasem w okienku podpisanym NAGRANE WIADOMOŚCI widniała jedynka. Targnęło mną złe przecucie, a ból ciążący z tyłu czaszki przesunął się nieco do przodu. Oprócz Pam i Ilse nie przychodziła mi do głowy żadna osoba, która mogłaby zużyć całą kasetę w sekretarce na jedno nagranie. Niezależnie od tego, która z nich do mnie dzwoniła, naciśnięcie klawisza ODTWÓRZ nie wróżyło nic dobrego. Kasetę ma pięć minut; nie potrzeba aż tyle, żeby powiedzieć do słuchawki: „U mnie wszystko w porządku, jak będziesz mógł, to zadzwoń”.

Zostaw to na jutro, pomyślałem, a tchórzliwy głosik, którego nie znałem i nie wiedziałem nawet, że posiadam go w repertuarze (może był to nowy nabytek), zaczął mnie namawiać, żebym posunął się o krok dalej i po prostu skasował taśmę bez odsłuchiwania.

- Jasne - prychnąłem. - A następnym razem, jak jedna albo druga zadzwoni, to jej powiem, że automatyczną sekretarkę pies mi zżarł.

Wcisnąłem klawisz ODTWÓRZ. I tak jak to często bywa, kiedy wydaje nam się, że wiemy, czego się spodziewać, wyciągnąłem dzokera. To nie była ani Pam, ani Ilse. Chrapliwy, lekko zdławiony głos na nagraniu należał do Elizabeth Eastlake.

- Witaj, Edgarze - powiedziała.. - Mamy nadzieję, że dzień minął ci owocnie, a w towarzystwie Wiremana bawiłeś się równie dobrze, co ja w towarzystwie panny... No cóż, zapomniałam nazwiska, ale w każdym razie to szalenie miła osoba. Mamy także nadzieję, że zauważyłeś, jak się z tobą przywitałam. Udało mi się nie zapomnieć twojego imienia. Mam teraz lepszy czas, a pamięć mi dopisuje. Uwielbiam te chwile przeblysków i bardzo je sobie cenię, ale to dla mnie jednocześnie radość i smutek. Czuję się tak, jakbym leciała szybowcem w nisko wiszącej mgłę i nagle, porwana podmuchem wiatru, wzniosła się ponad nią. Przez jedną krótką chwilę wszystko widać tak wyraźnie... ale przy tym wciąż ma się tę świadomość, że wiatr w końcu ustanie, a szybowiec z powrotem zanurzy się we mgłę. Rozumiesz?

Rozumiałem. Teraz już było ze mną lepiej, ale świat wciąż był taki, jakim go zobaczyłem po odzyskaniu przytomności w szpitalu: słowa brzmiały jak bezsensowny hałas, a wspomnienia przypominały podwórko po przejściu wichury. W tym świecie do porozumiewania się z ludźmi używałem pięści, a jedyne uczucia, jakie naprawdę potrafiłem z siebie wykrzesać, były to strach i gniew. Potrafimy (jak powiedziałyby Elizabeth) wyrwać się z tego stanu, ale nawet kiedy już to nastąpi, nigdy nie udaje nam się pozbyć wrażenia, że rzeczywistość to ułuda, ulotna jak - babie lato. Co się kryje po drugiej stronie tej sieci? Chaos. Oblęd. A może prawdziwa prawda. Prawdziwa prawda ma czerwoną barwę.

- Ale dość już o mnie, Edgarze. Dzwonię, żeby cię o coś zapytać. Chciałabym wiedzieć, czy tworzysz dla pieniędzy, czy może wierzysz w sztukę dla sztuki? Coś mi mówi, że pytałam cię już o to przy naszym pierwszym spotkaniu - jestem wręcz prawie pewna - ale nie mogę sobie przypomnieć twojej odpowiedzi. Wydaje mi się, że skłaniałeś się raczej w kierunku sztuki dla sztuki. Duma nie wezwałaby cię, gdyby było inaczej. Ale jeśli zamierzasz zostać tutaj na długo...

W jej głosie zabrzmiał czysty niepokój.

- Edgarze, jesteśmy pewni, że będziesz bardzo miłym sąsiadem. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości, musisz jednak zachować ostrożność. Masz, jak mi się zdaje, córkę. Odwiedziła cię tutaj, prawda? Pamiętam chyba, jak do mnie machała. Taka ładniutka blondyneczka. Możliwe, że mylę ją z moją siostrą Hannah - to mi się zdarza, wiem - ale tym razem wydaje mi się, że mam rację. Jeśli chcesz tutaj zostać, Edgarze, nie wolno ci jej zapraszać do siebie. Pod żadnym pozorem. Duma Key to nie jest bezpieczne miejsce dla córek.

Stałem bez ruchu, wpatrzony w automatyczną sekretarkę. Niebezpieczne miejsce. Poprzednim razem mówiła, że nie jest szczęśliwe, tak przynajmniej ja to zapamiętałem. Czy te dwa słowa mogły znaczyć to samo czy nie?

- A teraz w kwestii twojej twórczości. Bo jest tutaj pewna kwestia. - Głos Elizabeth zabrzmiał przeprasząco, dała się też w nim słyszeć lekka zadyszka. - Nie lubimy mówić artystom, co mają robić, zresztą artysta nikomu nie da sobą sterować, ale jednak... och, jej... - Rozkasłała się, przewlekłym, grzechoczącym kaszlem zdradzającym wieloletni nałóg nikotynowy. - Nie lubimy mówić o takich rzeczach wprost... a nawet nie bardzo umiemy o nich tak mówić... ale, Edgarze, czy mogę udzielić ci pewnej rady? Niech to będzie rada tej, która umie docenić i tylko docenić, dla tego, który tworzy. Czy pozwolisz mi na to?

Czekałem. Sekretarka ucichła. Pomyślałem, że być może skończyła się taśma. Spod podłogi dobiegały ciche pomruki muszli, powierzających sobie nawzajem tajemnice. Pistolet,

owoce. Owoce, pistolet.

Wreszcie Elizabeth podjęła na nowo:

- Jeśli właściciele galerii Scoto albo Avenida zaproponują ci wystawę, stanowczo radzę się zgodzić. Chciałabym, oczywiście, żeby inni ludzie mieli radość z twojej sztuki, ale głównie chodzi mi o to, żeby możliwie jak najwięcej twoich obrazów opuściło Dumę, i to jak najszybciej.

Wzięła głęboki oddech, jak tuż przed zakończeniem jakiejś trudnej, mozolnej pracy. Jej głos był w tym momencie głosem osoby całkowicie przytomnej, obecnej oraz kompletnie zdrowej na umyśle.

- Nie gromadź obrazów - powiedziała z mocnym naciskiem. - To jest moja rada, udzielona w dobrej wierze i bez żadnych... żadnych... ukrytych zamysłów? Tak, chyba o to mi chodziło. Gromadzenie dzieł sztuki jest jak ładowanie baterii. Jeśli baterię ładuje się za długo, to może wybuchnąć.

Nie miałem pojęcia, czy to prawda, ale zrozumiałem, co Elizabeth chce mi przekazać.

- Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale to fakt - powiedziała, a mnie nagle tknęło, że w tym momencie skłamała. - A jeśli jako artysta wierzysz w sztukę dla sztuki, to najważniejszy dla ciebie jest sam proces tworzenia, prawda? - Ton jej głosu stał się niemalże przymilny. - Nawet jeśli nie musisz sprzedawać obrazów, żeby się utrzymać, to dzielenie się swoją twórczością... dawanie jej światu... Przecież artystom zależy na tym, o ile się nie myłę? Artyści dzielą się z innymi?

A skąd ja miałem wiedzieć, na czym zależy artystom? Dopiero kilka godzin wcześniej dowiedziałem się, czego mam używać do konserwacji swoich obrazów. Byłem... jak oni mnie nazwali, Nannuzzi i Mary Ire? Amerykańskim prymitywistą.

Kolejna chwila ciszy, a potem:

- Na tym chyba już skończę. Powiedziałam, co miałam do powiedzenia. Proszę tylko, żebyś pamiętał, co mówiłam, jeśli zamierzasz zostać tutaj na dłużej, Edwardzie. Cieszę się też, że zgodziłeś się mi czytać. Mam nadzieję, że to będzie wiele wierszy. I prawdziwa przyjemność. Pożegnaj się już. Dziękuję, że wysłuchałeś starej kobiety.

Znów cisza. I wreszcie:

- Stołowa przecieka. Wiem, że tak jest. Bardzo mi przykro.

Odczekałem dwadzieścia sekund. Trzydzieści. A kiedy już uznałem, że Elizabeth zapomniała odłożyć słuchawkę, i wyciągałem rękę, żeby nacisnąć klawisz STOP, odezwała się jeszcze raz. To były tylko cztery słowa, mające równie mało sensu jak te o „cieknącej stołowej”, ale wystarczyło: poczułem, jak ramiona obsypują mi się gęsią skórą, a włosy na

karku jeżą się niby naelektryzowane.

- Mój ojciec był pletwonurkiem - powiedziała Elizabeth Eastlake, wymawiając starannie słowo po Słowie. Potem rozległ się czytelny trzask odkładanej słuchawki.

- Nie masz więcej wiadomości - poinformował mnie robot w telefonie. - Kasetka jest pełna.

Stałem, wpatrując się w automatyczną sekretarkę. Po namyśle postanowiłem nie kasować nagrania i puścić je Wiremanowi. Rozebrałem się, wyszczotkowałem zęby i poszedłem do łóżka. Leżałem w ciemności, głowa pobołęwała mnie z lekka, a pod podłogą muszle szeptały raz po raz ostatnie słowa, jakie wypowiedziała stara kobieta: *Mój ojciec był pletwonurkiem.*

PORTRET RODZINNY

I

Bieg spraw nagle nieco zwolnił. Czasami to się zdarza. Woda zaczyna wrzeć, ale zanim zdąży wykipieć, czyjaś dłoń - Boga, losu, a może po prostu czysty przypadek - przykręca palnik. Wspomniałem o tym raz Wiremanowi, a on odparł, że życie jest jak piątkowy odcinek telenoweli, który daje człowiekowi złudzenie, że fabuła dobiega już końca, a tymczasem w poniedziałek wszystko zaczyna się od nowa - po staremu.

Myślałem, że Wireman wybierze się ze mną do lekarza i dowiemy się, co mu dolega. Miałem nadzieję, że opowie mi, dlaczego strzelił sobie w głowę i w jaki sposób można przeżyć coś takiego. Jedyna odpowiedź, jaką usłyszałem, brzmiała mniej więcej tak: „Można, ale potem trzeba żyć z padaczką i bardzo trudno się czyta małe literki”. Oczekiwałem nawet, że dowiem się, czemu jego chlebodawczyni ma taką fiksację na punkcie tego, że moja córka Ilse nie może postawić nogi na wyspie. No i wreszcie gwóźdź programu: miałem podjąć decyzję, jak będzie wyglądać dalsze życie Edgara Freemantle'a, Wielkiego Amerykańskiego Prymitywisty.

Nie doczekałem się żadnej z tych rzeczy, w każdym razie nie od razu. Życie jest motorem zmian, a końcowy rezultat potrafi być wybuchowy, ale zarówno w operach mydlanych, jak i w prawdziwym życiu największe bomby często mają opóźniony zapłon.

Wireman zgodził się pojechać ze mną do lekarza i, jak to powiedział, „dać obejrzeć sobie głowę”, ale nie wcześniej niż w marcu. Luty, tłumaczył, to strasznie ruchliwy miesiąc. Już w najbliższy weekend do wszystkich domów panny Eastlake mieli zacząć się zjeżdżać zimowi goście (Wireman mówił na nich „miesiączkowi”, jakby mieli więcej wspólnego z menstruacją niż z wynajmowaniem domów na Florydzie). Pierwsze sezonowe ptaszki, które zapowiedziały swój przylot, była to rodzinka darzona przez Wiremana najmniejszą sympatią: Godfreyawie z Rhode Island. Nazywał ich, a za nim także ja, Joe i Rita Złe Psy. Każdej zimy przyjeżdżali na dziesięć tygodni, zajmując dom najbliższej rezydencji panny Eastlake. Tablice

ostrzegające przed ich pitbullem i rottweilerami wystawiono w widocznych miejscach; oglądałem je razem z Ilse. Wireman poinformował mnie, że Joe Zły Pies służył kiedyś w Zielonych Beretach, a powiedział to takim tonem, jakby uważał, że ten fakt wszystko tłumaczy.

- Pan Dirisko nie wysiada nawet z samochodu, kiedy musi im coś doręczyć - dodał, mając na myśli grubego, jowialnego pracownika urzędu pocztowego, który obsługiwał południowy kraniec Casey Key i całą Dumę. Siedzieliśmy sobie właśnie na kozłach zagradzających wjazd do Domu Złych Psów; za dwa albo trzy dni Wireman spodziewał się rodzinki Godfreyów. Podjazd, wysypany pokruszonymi muszlami, połyskiwał wilgotnym różowym kolorem, wilgotnym dlatego, ponieważ Wireman włączył zraszacze. - Rzuca, co tam dla nich ma, pod skrzynkę na listy, trąbi i zmyka dalej, w stronę *El Palacio*. Czy mnie to oburza? *Non, non, Nannette*.

- Wireman, a co z tym badaniem...?

- W marcu, *muchacho*, ale jeszcze przed idami. Obiecuję.

- Grasz na zwłokę - oznajmiłem.

- Nieprawda. Mam po prostu ruch w interesie i już. W zeszłym roku dałem się trochę zaskoczyć, ale w tym - nie ma takiej opcji. Nie może być takiej opcji, bo w tym roku panna Eastlake już nie da rady mi pomóc. Złe Psy to przynajmniej starzy klienci. Wiadomo, czego się po nich spodziewać. Tak samo Baumgartenowie. Tych dla odmiany lubię. Mają dwójkę dzieci.

- Dziewczynki? A może chłopca i dziewczynkę? - zapytałem, myśląc o uprzedzeniach, jakie żywiła Elizabeth w stosunku do córek na Dumie.

- Nie, dwóch chłopaków. Obaj powinni chodzić z wymalowanym na czole wielkim napisem: TO NIE NASZA WINA, ŻE MAMY BOGATYCH RODZICÓW. Reszta ludzi, ci, którzy sprowadzą się do pozostałych czterech domów, to nowi. Mam nadzieję, że nie trafią się żadni pochlastani notoryczni imprezowicze, ale jakie są na to szanse?

- Nieduże - przyznałem - ale nie porzucaj nadziei, że przynajmniej płyty Slipknota zostawili w domu.

- Kto to jest Slipknot? A może: co to jest?

- Nie chcesz wiedzieć. Zwłaszcza teraz, kiedy robisz wszystko, żeby stała ci się krzywda.

- Nieprawda. Wireman tłumaczy ci tylko, *muchacho*, jak wygląda luty na wyspie Duma Key. Wszystko będzie na mojej głowie, łącznie z obsługą linii alarmowej: co robić, kiedy któryś z młodych Baumgartenów oparzy się meduzą, albo gdzie Rita Zły Pies ma kupić wentylator dla swojej babci, którą pewnie znów przywłoką ze sobą i zadekują na tydzień w

pokoju na tyłach domu. Uważasz, że panna Eastlake wygląda na swoje lata? W Guadalajarze na Święto Zmarłych obwozi się po ulicach meksykańskie mumie, które są na oko w lepszym stanie niż babunia Zły Pies. Ona potrafi mówić już tylko w dwóch trybach. Jest tryb pytający: „Przyniosłeś mi ciastko?” i rozkazujący: „Rita, skocz no po ręcznik - puściłam bączka z wkładką”.

Wybuchnąłem śmiechem.

Wireman szurnął trampkiem po muszlach na podjeździe, rysując uśmiechniętą buzię. Nasze cienie kładły się na nawierzchni Duma Key Road, równej, utwardzonej i gładkiej. Taka przynajmniej była w tym miejscu. Dalej, na południe, sytuacja wyglądała zgoła inaczej.

- Odpowiedź na pytanie o wentylator brzmi: „Klima w Mieście”. To nazwa sklepu, który prowadzi niejaki Dan. Świetna, co nie? I coś ci powiem: lubię pomagać ludziom z takimi problemami. Zażegnwać ich małe kryzysy. Tutaj, na Dumie, potrafię sprawić, że są szczęśliwi, co na sali sądowej nigdy nie udało mi się aż tak dobrze.

Jednak wciąż jeszcze potrafisz odciągnąć człowieka od tematu, na który nie masz ochoty rozmawiać, pomyślałem.

- Wireman, to całe badanie zajmie najwyżej pół godziny. Lekarz zajrzy ci w oczy, opuka czachę...

- I tu się mylisz, *muchacho* - powiedział z cierpliwością w głosie. - O tej porze roku, żeby dostać się z głupią anginą do lekarza w byle przydrożnej przychodni, trzeba czekać minimum dwie godziny. Dodaj do tego godzinę na przejazd, a nawet więcej, bo już się zlatują zimowe ptaszki, które nie mają zielonego pojęcia, dokąd jadą - i masz trzy bite godziny, których najnormalniej na świecie nie mogę poświęcić, kiedy jestem umówiony z facetem od klimatyzacji pod siedemnastym, z facetem od liczników pod dwudziestym siódmym i tutaj z gościem od kablówki, o ile w ogóle się go doczekamy. Tamten dom - pokazał palcem następną posesję, pod numerem trzydzieści dziewięć - wynajęły jakieś łepki z Toledo, do piętnastego marca. Płacą siedem stów ekstra, bo zażyczyły sobie mieć coś, co się nazywa Wi - Fi. Nie wiem nawet co to.

- Powiew przyszłości. Ja też to mam. Jack mi założył. Powiew przyszłości, w której syn gwałci ojca i dźga nożem matkę.

- Niezłe! Tak jak śpiewał Ario Guthrie w „Alice's Restaurant”. A rok był tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy.

- Film wyszedł chyba w sześćdziesiątym dziewiątym - powiedziałem.

- Nieważne kiedy, niech żyje powiew przyszłości, w której syn gwałci matkę i kroi nożem żaby. Co nie zmienia faktu, że muszę się uwijać jak kuternoga na turnieju kopania w

dupę, albo nawet lepiej... A w ogóle to przecież sam dobrze wiesz, że to nie będzie krótkie badanko: puk w łepkę i latarką po oczach. To będzie dopiero początek.

- Ale jeśli tego ci potrzeba...
- Na razie czuję się w porządku.
- Jasne. Dlatego codziennie ja czytam twojej szefowej wiersze.
- Trochę kultury ci nie zaszkodzi, ty pieprzony troglodyto.
- Wiem, a ty wiesz, że wcale nie o tym mówię.

W tym momencie przyszło mi do głowy - zresztą nie po raz pierwszy - że w dorosłym życiu zdarzyło mi się poznać niewielu ludzi, którzy umieli tak odmawiać, żeby mnie przy tym nie wkurzyć. Wireman był jednym z nich. „Nie” w jego wykonaniu stanowiło mistrzostwo świata. Czasem wydawało mi się, że w grę wchodzi wyłącznie jego talent, a innym razem - że to we mnie coś się zmieniło po wypadku. A niekiedy miałem wrażenie, że i jedno, i drugie ma tutaj wpływ.

- Daję sobie radę z czytaniem - uciał Wireman. - Po linijce, po dwie. Wystarczy, żeby funkcjonować. Czytam nalepki na lekarstwach, numery telefonów, takie tam. I dam się przebadać, więc pohamuj się z tym naprawianiem całego świata, bo to już zaczyna przypominać nerwicę natręctw. Jezu, co ta twoja żona z tobą miała... - Urwał i zerknął na mnie z ukosa. - Oho! Nadepnąłem ci na odcisk?

- Możemy już pogadać o tym okrągłym znaku, który nosisz na skroni? *Muchacho?*

Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- *Touché, touché.* Przepraszam za wszystko, *all apologies.*

- Kurt Cobain - wypaliłem. - A rok był tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci.

Albo coś koło tego.

Wireman zamrugał oczami.

- Naprawdę? Myślałem, że dziewięćdziesiąty piąty, ale z rockiem jestem do tyłu. Wireman się zestarzał, smutne to, lecz prawdziwe, *sad but true**. A jeśli chodzi o ten atak, który jakoby widziałeś... To wybacz, ale w to nie wierzę.

A jednak wierzył. Poznałem to po jego oczach. Tak czy inaczej, zanim zdążyłem coś powiedzieć, Wireman zsunął się na ziemię i wyciągnął rękę, wskazując na północ.

- Patrz! Oto biała furgonetka! Nadciga imperium telewizji kablowej!

* „*All Apologies*” - tytuł piosenki zespołu Nirvana z albumu „MTV Unplugged in New York” (1994). „*Sad But True*” - tytuł piosenki zespołu Metallica z albumu „Metallica” (1991) (przyp. tłum.).

II

Puściłem Wiremanowi nagranie z automatycznej sekretarki, które zostawiła dla mnie Elizabeth Eastlake - i uwierzyłem mu, kiedy powiedział, że nie ma zielonego pojęcia, o co mogło chodzić jego „szefowej”. W dalszym ciągu był przekonany, że jej niepokój o moją córkę bierze się ze smutnych wspomnień o własnych dawno zmarłych siostrach. Kompletnego klina zabiła mu natomiast prośba, żebym nie gromadził obrazów na wyspie. Przyznał się szczerze, że nie potrafi tego rozgryźć.

Przyjechali Joe i Rita Zły Pies razem ze swoją menażerią; Duma Key zaczęła rozbrzmiewać niemilkącym ujadaniem ich pupilów. Wprowadzili się również Baumgartenowie. Często widywałem ich synów bawiących się frisbee na plaży. Opis Wiremana zgadzał się w stu procentach: obaj byli mocnej budowy, ładni i dobrze wychowani. Młodszy miał około jedenastu lat, starszy może trzynaście. Wszystko wskazywało na to, że z takim wyglądem już wkrótce awansują na obiekt rozchichotanego zainteresowania wszystkich cheerleaderek w szkole - a może nawet mieli ten awans już w kieszeni? Kiedy ich mijałem, kuśtykając sobie dziarsko brzegiem plaży, zawsze zapraszali mnie do gry. Rzucaliśmy sobie frisbee parę razy, a starszy, Jeff, zazwyczaj wygłaszał jakiś motywujący tekst w stylu: „Joł, panie Freemantle, ale pan wymiata!”.

Do domu sąsiadującego z Wielkim Koralem wprowadziła się parka ze sportowym samochodem; późnym popołudniem dobiegały mnie z tamtej strony urywki smętnego country w wykonaniu Toby'ego Keitha. Koniec końców wolałbym chyba Slipknota. Czwórka łepków z Toledo sprawiła sobie wózek golfowy, którym bez przerwy śmigali w tę i z powrotem po plaży, kiedy tylko nie grali w siatkówkę albo nie wyjeżdżali na ryby.

Wireman był zajęty. Gorzej - załatany. Całe szczęście, że miał na kogo liczyć. Kiedyś Jack pomógł mu przetkać zraszacze u Złych Psów. Dzień czy dwa później ja ratowałem razem z nim wózek golfowy kwartetu z Toledo, który zakopał się w wydmię; główni zainteresowani zostawili go i poszli kupić sobie piwo, a tymczasem zaczął się przypyływ i pojazdowi groziło zmycie do morza. Moje biodro i noga wciąż jeszcze wymagały rehabilitacji, za to ocalała ręka była całkiem sprawna.

Bez względu na chore biodro i kulawą nogę kontynuowałem Wielkie Wędrówki Brzegiem Morza. Zdarzały się takie dni, że musiałem łykać środki przeciwbólowe; najczęściej wtedy, gdy po południu znad wody podnosiła się mgła, otulając najpierw zatokę, a potem także i domy zimnym oparem niepamięci. Na ogół jednak obywałem się bez pigułek. Wireman w ciągu tego miesiąca rzadko przesiadywał na swoim plażowym fotelu z dzbankiem

zielonej herbaty pod ręką, ale Elizabeth Eastlake codziennie zastawałem w jej salonie w Czaplím Siedlisku. Kiedy do niej przychodziłem, rozpoznawała mnie prawie za każdym razem i zazwyczaj miała na podorędziu jakiś tomik poezji. Nie zawsze były to „Dobre wiersze” Keillora, ale ten wybór Elizabeth faktycznie lubiła najbardziej. Ja też go polubiłem. W.S. Merwin, Anne Sexton i Robert Frost. Niech mnie.

Luty, a potem marzec w ogóle upłynęły mi pod znakiem czytania. Od lat nie przeczytałem tyle, co wtedy: pochłaniałem powieści, opowiadania, zapoznałem się nawet z trzema długimi, faktograficznymi książkami, które traktowały o tym, w jaki sposób wpakowaliśmy się w ten iracki pasztet (najkrótsza odpowiedź na to pytanie, zdaniem autorów, miała drugie imię na W. i palanta jako zastępcę. Ale przede wszystkim - malowałem. Każdego popołudnia i każdego wieczoru. Malowałem, dopóki mogłem unieść swą coraz silniejszą rękę. Plażę, morze, martwe natury i zachody słońca, dziesiątki zachodów słońca.

Ale bomba, choć miała opóźniony zapłon, wciąż była uzbrojona. Palnik pod gotującą się wodą nie został zakręcony całkowicie. Candy Brown - to nie było zaskoczenie, tylko pierwszy tak oczywisty objaw. I to jak późno, dopiero w walentynki. Co za wstrętne ironia, kiedy się nad tym zastanowić.

Ohydna.

III

Od: nIMFa88 do: EFree19

10:19

3 lutego

Kochany Tato,

To wspaniała nowina, że twoje obrazy zyskały „szacunek” u eksperta. Hurra! Jeśli faktycznie zaproponują ci wystawę, to wskakuję w „małą czarną” i lecę do ciebie pierwszym samolotem (nie chcesz, to nie wierz, ale mam taką sukienkę). Ale na razie muszę siedzieć na tyłku i zakuwać, ile wlezie, bo powiem ci w tajemnicy, że chcę zrobić Carsonowi niespodziankę w kwietniu, kiedy zaczną się ferie.

Skowronki jadą wtedy w trasę do Tennessee i Arkansas

(C. mówi, że zapowiada się to fantastycznie). Jeśli półroczna sesja dobrze mi pójdzie, to mogę ich złapać w Memphis albo w Little Rock. Co o tym sądzisz?

Ilse

Wciąż miałem swoje wątpliwości co do Skowronka od Baptistów, więc na pytanie „co sądzisz”? mogłem odpowiedzieć tylko: „sama się o to prosisz”. Z drugiej strony, jeśli Ilse myliła się co do tego człowieka, to chyba lepiej, żeby wszystko wyszło na jaw jak najszybciej. Tak więc, z duszą na ramieniu i rozpaczliwą nadzieją, że to też nie okaże się pomyłką, odpisałem, że to całkiem ciekawy plan - o ile tylko nie koliduje z nauką. Jakoś nie mogłem się przemóc i powiedzieć mojej ukochanej córce, że tydzień w towarzystwie jej chłopaka (nawet jeśli miałoby go pilnować stado przyzwoitek pod postacią zatwardziałych baptystów) to dobry pomysł. Wspomniałem również, że informowanie mamy o powziętym zamiśle może przynieść opłakany skutek. Odpowiedź Ilse przyszła natychmiast.

Od: nIMFa88 do: EFree19

12:02

3 lutego

Tatusiu Najukochańszy,

Uważasz, że kompletnie mi ODBIŁO???

Illy

Nie, tak nie pomyślałem... Wiedziałem natomiast, że jeśli moja Nimfa po przyjeździe do Little Rock przyłapie swojego tenora na dueciku z którąś chórzystką z obsady altów, to będzie bardzo nieszczęśliwą nimfą. A wtedy, byłem tego absolutnie pewien, jej matka dowie się o wszystkim (począwszy od zaręczyn) i będzie miała mnóstwo do powiedzenia na temat mojej poczytalności. Sam już zadałem sobie kilka pytań w tej kwestii i uznałem, że ogólnie rzecz biorąc, kwalifikuję się na normalnego. Wychowując dzieci, trzeba czasami podejmować dziwne decyzje i po prostu mieć nadzieję, że okażą się słuszne, a dzieci wyjdą na ludzi. Wychowanie młodego człowieka to wielka improwizacja, największa na świecie.

Postanowiłem też napisać do Sandy Smith z agencji nieruchomości. Na nagraniu z automatycznej sekretarki Elizabeth Eastlake mówiła, że muszę jako artysta wierzyć w sztukę

dla sztuki, bo inaczej Duma by mnie nie wezwała. Chciałem otrzymać od Sandy potwierdzenie, że wezwała mnie na tę wyspę tylko i wyłącznie błyszcząca broszurka, która krąży po całych Stanach, szukając potencjalnych klientów o odpowiednio głębokiej kieszeni. A może nie tylko po Stanach; może po całym świecie.

Odpowiedź, którą otrzymałem, nie brzmiała tak, jak na to liczyłem, ale skłamałbym, mówiąc, że zaskoczyła mnie całkowicie. Ostatecznie, był to dla mnie rok kłopotów z pamięcią, a poza tym wszyscy przecież chcemy wierzyć, że minione wydarzenia naprawdę wyglądały tak, jak je pamiętamy. Karty z przeszłości każdy tasuje, jak mu pasuje.

Od: SmithRealty9505 do: EFree19

14:17

8 lutego

Panie Edgarze: Bardzo się cieszę, że podoba się Panu na nowym miejscu. Co się tyczy Pańskiego pytania, to oprócz folderu promocyjnego Przylądka Łososi wysiałam Panu także osiem innych broszur reklamujących domy do wynajęcia na Florydzie i Jamajce. O ile sobie dobrze przypominam, był Pan od początku zainteresowany wyłącznie Przylądkiem Łososi. Pamiętam nawet Pańskie słowa: „Bez targów, biorę to i już”. Mam nadzieję, że przydadzą się Panu te informacje.

Sandy

Przeczytałem ten list dwa razy, a potem mruknąłem:

- Żyj dla klienta i bierz, co ci przyniesie, *muchacha*.

Pozostałych broszurek nie mogłem sobie za nic przypomnieć, ale folder z Przylądkiem Łososi pamiętałem nawet teraz. Dom ukazał mi się na okładce w odcieniach jasnego różu. Dużo różu, można by powiedzieć: jeden wielki koral. Moją uwagę przyciągnęła nie nazwa Przylądek Łososi, lecz słowa widniejące poniżej, wybite złotymi, wypukłymi literami: ZACISZE NAD ZATOKĄ. A więc być może faktycznie to wyspa mnie wezwała.

Być może to jednak była prawda.

IV

Od: KamenDoc do: EFree19

13:46

10 lutego

Edgar: Kopę lat żem cię nie słyszał, jak powiedział głuchy Indianin do syna marnotrawnego (wybacz mi, proszę, kiepskie żarty; nie znam żadnych innych). Jak idzie tworzenie sztuki? W kwestii rezonansu proponuję zadzwonić do Centrum Badań Neurologicznych w szpitalu Sarasota Memorial. Numer: 941 - 555 - 5554.

Kamen

Od: EFree19 do: KamenDoc

14:19

10 lutego

Kamen: Dzięki za skierowanie. Centrum Badań Neurologicznych - to brzmi poważnie jak cholera! Ale zadzwonię tam jak najszybciej i umówię się na rezonans.

Edgar

Od: KamenDoc do: EFree19

14:55

10 lutego

Wystarczy szybko. Dopóki nie masz ataków padaczkowych, jest dobrze.

Kamen

Żeby zaakcentować „dopóki nie masz ataków padaczkowych”, posłużył się praktycznym wynalazkiem korespondencji elektronicznej: emotikonem. Tym razem była to roześmiana zębata paszcza. Mnie jednak nie było wcale do śmiechu, kiedy przypomniałem sobie Wiremana tańczącego pogo na tylnym siedzeniu i wywracającego oczami w dwie różne strony. Miałem jednak pełną świadomość, że bez łańcuchów i traktora nie zaciągnę Wiremana na badanie przed piętnastym marca - chyba że zwali go naprawdę silny atak. Kamenowi nie mogłem zwracać tym głowy, bo Wireman to nie był jego problem. Ja w sumie zresztą też już nie, ściśle rzecz biorąc; było mi bardzo miło, że wciąż go obchodzi, co się ze mną dzieje. Tknięty nagłym impulsem, kliknąłem klawisz ODPOWIEDZ i wystukałem:

Od: EFree19 do: KamenDoc

17:05

10 lutego

Kamen: Ataków nie miewam. Czuję się dobrze.

Maluję jak najęty. Pokazałem parę swoich obrazów właścicielowi galerii sztuki w Sarasocie. Chyba zaproponują mi wystawę. Jeśli faktycznie to zrobią, no i jeśli ja się zgodzę - to może chciałbyś przyjechać? Fajnie by było zobaczyć znajomą twarz z krainy śniegu.

Edgar

Po wysłaniu tego e - maila chciałem wyłączyć komputer i zrobić sobie kanapkę, ale nie zdążyłem, bo prawie natychmiast odezwał się sygnał „masz wiadomość”.

Od: KamenDoc do: EFree19

17:09

10 lutego

Napisz tylko, kiedy to będzie, i lecę.

Wyłączyłem komputer z uśmiechem na twarzy. I lekko wilgotnymi oczami.

V

Następnego dnia pojechałem z Wiremanem do Nokomis po nowy syfon do zlewu dla lokatorów spod numeru siedemnastego (sportowy wóz, gówniane country) i plastikowe ogrodzenie dla Złych Psów. Wireman bynajmniej nie potrzebował mojej pomocy (byłem dla niego tylko kuśtykającym zawalidrogą), ale dzień wstał paskudny i deszczowy, a ja bardzo chciałem wyrwać się z wyspy. Poszliśmy na lunch do restauracji Ophelia's i przy jedzeniu dyskutowaliśmy zawzięcie o rocku, dzięki czemu atmosfera wycieczki zrobiła się pogodna i wesoła. Po powrocie zauważyłem migającą lampkę na automatycznej sekretarce. Wiadomość była od Pam. Trzy słowa: „Zadzwoń do mnie”. I trzask odłożonej słuchawki.

Zadzwoń, ale najpierw - to zabrzmiało jak wyznanie, do tego wstydlive, ale tak właśnie było - wszedłem do Internetu, aby zajrzeć na stronę „StarTribune”, dziennika z Minneapolis. Do działu z nekrologami. Szybko przejrzałem nazwiska, szukając Thomasa Rileya. Nie było go, ale wiedziałem, że to żaden dowód; mógł się załatwić już po porannej aktualizacji.

Czasami Pam po południu wyłączała dzwonek w telefonie, żeby uciąć sobie małą drzemkę, miałem więc niejaką szansę na odroczenie wyroku, czyli rozmowę z automatem. Nadzieja jednak zawiodła. Usłyszałem chłodny, choć miękki głos mojej żony:

- Halo.

- To ja. Oddzwaniem.

- Pewnie leżałeś sobie na słońku - powiedziała zgryźliwie. - U nas pada śnieg. Pada i jest zimno jak w psiarni u Eskimosów.

Uspokoilem się nieco. Zrozumiałem, że Tom żyje. Gdyby się zabił, nie częstowałaby mnie improwizowanymi zjadliwościami.

- Jeśli mam być szczery, to tutaj też jest chłodno i pada deszcz - powiedziałem.

- To dobrze. Życzę ci zapalenia oskrzeli. Rano był u mnie Tom Riley. Nazwał mnie wścibską cipą, zbił wazon i wypadł wściekły. Powinam pewnie się cieszyć, że nie rzucił tym wazonem we mnie. - Nagle Pam się rozpląkała. Smarknęła głośno, a potem, ku swojemu wielkiemu zdziwieniu, usłyszałem jej śmiech: gorzki, ale nieoczekiwanie wesoły. - Możesz mi powiedzieć - zapytała - kiedy przestaniesz wreszcie doprowadzać mnie do łez?

- Opowiedz mi, co się stało, Pando.

- Nie mów tak do mnie. Jak jeszcze raz to usłyszę, rzucam słuchawkę i sam sobie dzwoń do Toma, niech ci opowie, co się stało. W zasadzie to od razu powinam tak zrobić. Miałbyś za swoje.

Uniosłem dłoń do czoła i zacząłem masować sobie skronie: lewą kciukiem, prawą dwoma palcami. To niesamowite, ile marzeń i cierpienia można nakryć jedną dłonią. Nie wspominając już, że pod tą dłonią zmieści się także wielka fabryka świństw, tak prostych, jak i wymyślnych.

- Opowiedz, Pam. Wysłucham cię i nie będę się wściekał.

- Uczymy się panować nad sobą? Poczekaj sekundę.

Rozległ się stukot słuchawki odkładanej prawdopodobnie na kuchenny blat. Przez chwilę słyszałem w tle daleki bełkot telewizora, który nagle ucichł, a po chwili odezwała się Pam:

- W porządku, teraz słyszę własne myśli.

Znowu smarknęła potężnie. Wydmuchała nos. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, była już opanowana. Po głosie nikt by się nie domyślił, że przed chwilą płakała.

- Poprosiłam Myrę, żeby dała mi znać, kiedy Tom wróci z wyjazdu. Myrę Devorkian, jego sąsiadkę z naprzeciwka. Powiedziałam wprost, że martwię się o jego zdrowie psychiczne. Nie było sensu tego ukrywać, prawda?

- Nie było.

- No i proszę! Okazało się, że Myra też się tym martwi. Nawet jej Ben się niepokoił. Podobno Tom ostatnio za dużo pije i czasami wychodzi nieogolony do pracy. Z drugiej strony Myra mówiła, że kiedy wyjeżdżał na wakacje, to zadawał szyku, jak się patrzy. Zadziwiająco, ile sąsiedzi o nas wiedzą, nawet ci, z którymi się specjalnie nie przyjaźnimy. Ben i Myra oczywiście nie podejrzewają, że pomiędzy mną a Tomem... coś było, ale orientują się bardzo dobrze, że Tom wpadł w depresję.

Wydaje ci się, że niczego nie podejrzewają; zachowałem tę myśl dla siebie.

- W każdym razie - żeby się streszczać - zaprosiłam go tutaj. Przyszedł i patrzył na mnie takim wzrokiem... Miał w oczach coś takiego... Jakby mu się wydawało, że chcę... No, wiesz...

- Zacząć wszystko od nowa - odpowiedziałem.

- Słuchasz czy gadasz?

- Przepraszam.

- Cóż, masz rację. Jak zwykle masz rację. Zamierzałam zaprosić go do kuchni na kawę, ale koniec końców nie wyszliśmy nawet z przedpokoju. Chciał mnie pocałować - oznajmiła wyzywająco dumnym tonem. - Pozwoliłam mu... Raz... Ale kiedy stało się jasne, że on chce więcej, odepchnęłam go, mówiąc, że mam mu coś do powiedzenia. Odparł, że wystarczy na mnie spojrzeć, żeby wiedzieć, że to będzie coś niedobrego, ale i tak nie uda mi

się zranić go bardziej niż wtedy, gdy z nim zerwałam. Tacy są mężczyźni, gdybyś miał wątpliwości. A mówią, że to my jesteśmy najlepsze w wywoływaniu poczucia winy. Odpowiedziałam, że koniec naszego związku w sensie intymnym nie oznacza wcale, że przestało mnie obchodzić, co się z nim dzieje. I dodałam, że wiem od różnych ludzi o jego dziwnym zachowaniu. Że podobno ostatnio jest jakiś nieswój, jak nie on. Że połączyłam to z odstawieniem antydepresantów i zaczęłam się martwić. Powiedziałam mu wprost: podejrzewam, że myślisz o samobójstwie.

Zawiesiła głos, a po chwili podjęła:

- Dopóki nie przyszedł, nie miałam zamiaru walić tak prosto z mostu. Ale dziwna rzecz: gdy tylko stanął w drzwiach, zaczęłam się domyślać, a kiedy mnie pocałował, byłam już całkiem pewna. Miał zimne usta. Zimne i suche. Jakbym całowała trupa.

- Wierzę ci - powiedziałem, próbując podrapać się w prawą rękę.

- Kiedy to usłyszał, twarz mu się ściągnęła. Dosłownie. Wygładziły się wszystkie zmarszczki, a usta prawie całkiem zniknęły. Zapytał, kto mi nagadał takich rzeczy, a potem, zanim zdążyłam odpowiedzieć, oznajmił, że temu komuś coś się chyba popierdoliło. Dokładnie tak powiedział, a on przecież nie używa takich słów.

To była święta racja. Tom, którego znałem za dawnych czasów, nie użyłby takiego słowa, nawet gdyby usłyszał najgłupszą i najbardziej obraźliwą rzecz na świecie.

- Nie podałam mu żadnych nazwisk. O tobie w żadnym wypadku nie mogłam wspomnieć, bo wziąłby mnie za wariatkę. O Illy też nie, bo nie miałam pojęcia, co by jej powiedział, gdyby...

- Mówiłem ci już, że Illy nie miała z tym nic...

- Cicho bądź. Już kończę. Poinformowałam go tylko, że ci ludzie, którzy zauważyli jego dziwne zachowanie, nie mają pojęcia, że po drugim rozwodzie zaczął brać leki, ani o tym, że odstawił je w maju. Wiesz, jak on na nie mówi? „Głupi Jaś”. Powiedziałam mu, żeby się nie lądził, że dobrze się kryje ze swoim pogarszającym się stanem. A potem usłyszał ode mnie, że jeśli coś sobie zrobi, powiem jego mamie i bratu, że to było samobójstwo. I na pewno pękną im serca. To był twój pomysł, Edgar. Poskutkowało. Możesz być z siebie dumny. A wtedy Tom zbił mój wazon i wyzwał mnie od wścibskich cip. Był blady jak ściana. Jestem pewna, że... - Przełknęła ślinę. Usłyszałem to pomimo setek kilometrów, które nas dzieliły. - Jestem pewna, że miał już wszystko szczegółowo zaplanowane.

- Nie wątpię - przytaknąłem. - Jak myślisz, zrobi to teraz?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Może lepiej do niego zadzwonię.

- Może lepiej nie. Jeśli się dowie, że rozmawiałeś ze mną o tym, to może go popchnąć do czynu. - I dodała, nie bez złośliwości: - A wtedy to ty nie będziesz mógł spać po nocach.

Takiej możliwości nie brałem pod uwagę, ale faktycznie Pam miała rację. Toma łączyła z Wiremanem jedna rzecz: obaj potrzebowali pomocy, a ja nie mogłem pomóc im na siłę. Przypomniało mi się wtedy stare powiedzonko, nie wiem, a propos czy nie: „Nic na siłę, wszystko młotkiem”.

- No więc, skąd wiedziałeś, że Tom chce się zabić? - zapytała Pam. - Masz mi powiedzieć i zapewniam cię, że to zrobisz, zanim odłożę słuchawkę. Zrobiłam swoje, więc masz mi powiedzieć.

I tak padło pytanie, którego wcześniej mi nie zadała, za bardzo poruszona tym, że w ogóle skądś wiem o jej romansie z Tomem. Cóż, nie tylko Wireman lubi celne powiedzonka; mój ojciec też miał ich w repertuarze kilka. Oto jedno z nich: kiedy kłamstwo to za mało, musi wystarczyć prawda.

- Po wypadku zacząłem malować - zrobiłem pierwszy krok. - Wiesz o tym.

- No i co z tego?

Opowiedziałem jej o rysunku, na którym była ona, Max z Palm Desert i Tom Riley. O moich internetowych łowach na niecodzienne zjawiska związane z fantomowymi kończynami. I o tym, jak zobaczyłem Toma Rileya u szczytu schodów prowadzących do mojej, jak chyba powinienem ją nazywać, pracowni: w samych spodniach od piżamy, z nagim torsem i dziurą zatkaną krwawym skrzepem w miejscu oka.

Kiedy skończyłem, w słuchawce zapadła długa cisza. Nie próbowałem jej przerwać. Wreszcie Pam odezwała się ostrożnym głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszałem:

- Edgar, czy ty naprawdę w to wierzysz...? Chociaż trochę?

- Wireman, ten mój sąsiad... - Ugryzłem się w język, wściekły, mimo że nie chciałem się denerwować. Nie, nie chodziło o to, że znów zabrakło mi słów. W każdym razie nie tylko o to. Co ja zamierzałem jej powiedzieć? Że mój sąsiad mi wierzy, ponieważ sam miewa sporadyczne napady telepatii?

- Co z tym twoim sąsiadem, Edgar? - Jej głos był spokojny i cichy. Poznałem ten ton. Tak samo mówiła do mnie przez pierwszy miesiąc, czy coś około tego, po wypadku: bacność, Edgar dostał fioła.

- Nic - uciałem. - Nieważne.

- Musisz zadzwonić do doktora Kamena i powiedzieć mu o tym swoim nowym pomysle - oznajmiła. - Że niby zostałeś jasnowidzem. Nie pisz do niego e - maila, zadzwoń osobiście. Proszę cię.

- W porządku, Pam.

Poczułem się bardzo zmęczony. Nie wspominając już o frustracji i irytacji.

- Co w porządku?

- W porządku, słyszę cię. Głośno i wyraźnie. Usłyszałem i zrozumiałem. Niech Bóg nas broni przed nieporozumieniem. Chciałem tylko uratować Toma.

Na to nie miała odpowiedzi. Tego, skąd wiedziałem o nim takie rzeczy, też nie potrafiła racjonalnie wyjaśnić, więc na tym zakończyliśmy rozmowę. Gdy odkładałem słuchawkę, dręczyła mnie jedna myśl - powiedzenie: każdy dobry uczynek zasługuje na karę.

Być może Pam myślała wtedy o tym samym.

VI

Byłem zły i czułem się kompletnie zdezorientowany. Ponury, deszczowy dzień nie przynosił otuchy. Próbowałem coś namalować, ale mi nie szło. Zszedłem na dół po blok rysunkowy i zacząłem pokrywać kartkę bazgrołami podobnymi do tych, które robiłem w poprzednim życiu, rozmawiając przez telefon; wychodziły mi wielkouche potworki z kresekówek. Tak mnie to zbrzydziło, że już chciałem cisnąć w diabły cały ten blok, ale nagle zadzwonił telefon. Wireman.

- Przyjdiesz dziś do nas? - zapytał.

- Jasne - odpowiedziałem.

- Myślałem, że może ten deszcz...

- Podjadę samochodem. Na pewno nie będę tutaj koczował.

- To dobrze. Ale na wieczorek poetycki raczej nie licz. Starsza pani odpłynęła.

- Mocno?

- Porządnie. Zero kontaktu. Pomieszanie z poplątaniem. - Westchnął głęboko, co zabrzmiało tak, jakby w słuchawkę uderzył porywisty wiatr. - Edgar, posłuchaj, głupio mi o to prosić, ale czy mógłbyś trochę z nią posiedzieć? Trzy kwadransy, nie dłużej. U Baumgartenow schrzanił się grzejnik w saunie, a facet z naprawy powiedział, że muszę mu pokazać, gdzie jest wyłącznik, czy coś tam. No i podpisać zlecenie wykonania usługi, oczywiście.

- Nie ma problemu.

- Jesteś skarbem. Dałbym ci buziaka, ale masz suche, wymiętolone wargi.

- Zawsze możesz mnie pocałować w dupę.

- No właśnie, to jest moje przekleństwo: wszyscy mnie kochają.

- Dzwoniła Pam. Rozmawiała z moim kumplem Tomem. - Dziwnie zabrzmiało to słowo „kumpel” po tym, co zaszło pomiędzy nimi dwojgiem, ale co tam, pomyślałem. - Chyba udało jej się wybić mu samobójstwo z głowy.

- To dobrze. Czemu więc słyszę mróz w twoim głosie?

- Zainteresowała się, skąd o wszystkim wiedziałem.

- I mniej ją pewnie obchodziło zdemaskowanie przygody porozwodowej, a bardziej...

- W jaki sposób z odległości dwóch i pół tysiąca kilometrów zauważyłem u niego objawy depresji samobójczej.

- Aha! I co jej powiedziałaś?

- Nie mając pod ręką dobrego adwokata, musiałem wyznać prawdę.

- A ona pomyślała, że jesteś *un poco loco*.

- Nie, Wireman. Raczej, że jestem *muy loco**.

- Czy to ważne?

- Nie. Ale zacznij się teraz nad tym zastanawiać, a uwierz mi, że w przemyśleniach ona nie ma sobie równych na całym świecie. Boję się, że mój dobry uczynek skrupi się na Ilse.

- Zakładając, że twoja żona w ogóle szuka winnych.

- Można bezpiecznie przyjąć takie założenie. Znam ją.

- Niedobrze by się stało.

- Dla Ilse to byłby wstrząs, na jaki absolutnie nie zasłużyła. Tom zawsze był dla niej i Melindy jak wujek.

- Więc musisz przekonać żonę, że naprawdę widziałeś to, co widziałeś, a twoja córka nie miała z tym nic wspólnego.

- Niby jak?

- A gdybyś jej powiedział coś, co dotyczy niej samej, coś, czego nie możesz się dowiedzieć w żaden sposób, od nikogo?

- Oszalałeś! Mam sam to wywołać? Nie potrafię!

- Skąd wiesz? Muszę kończyć, *amigo*. Wnosząc z odgłosów, lunch panny Eastlake właśnie wylądował na podłodze. Do zobaczenia?

- Mhm - mruknąłem, chcąc jeszcze dodać „Na razie”, ale on już się rozłączył. Odłożyłem słuchawkę, próbując sobie przypomnieć, gdzie podziąłem rękawiczki ogrodnicze, które przysłała mi Pam, te z napisem RĘCE PRECZ. Gdybym je miał, pomysł Wiremana mógłby

* *Un poco loco* (hiszp.) - odrobinę szalony; *muy loco* (hiszp.) - bardzo szalony (przyp. tłum.).

się okazać wcale nie aż tak szalony.

Przeszukałem cały dom, ale nic to nie dało. Być może wyrzuciłem je po ukończeniu „Pożytku z przyjaciół”, ale jakoś nie mogłem sobie przypomnieć, żebym to robił. Teraz, kiedy o tym myślę, też sobie tego nie przypominam. Wiem tylko tyle, że nie widziałem ich już nigdy więcej.

VII

Salon (który Wireman i Elizabeth nazywali Porcelanową Komnatą) był tego popołudnia zalany smutnym blaskiem podzwrotnikowej zimy. Deszcz rozpadał się na dobre, smagając falami ściany i okna, do tego zerwał się wiatr, od którego rozszumiały się palmy rosnące dookoła *El Palacio*, a po ścianach zaczęły tańczyć cienie. Po raz pierwszy nie potrafiłem dostrzec żadnego sensu w ustawieniu figurek z porcelany na długim stole. Tego dnia nie było tam żywych obrazów, tylko bezładne skupisko ludzi, zwierząt i budynków. Obok przewróconej szkoły leżeli jednoróżec i jeden z gości w kabaretowym murzyńskim makijażu. Jeśli ta scena w ogóle miała coś przedstawiać, to mógł to być wyłącznie film katastroficzny. W pobliżu rezydencji w stylu Tary z „Przeminęło z wiatrem” stało blaszane pudełko po ciasteczkach firmy Sweet Owen. Wireman wyjaśnił mi, co trzeba zrobić, kiedy Elizabeth o nie poprosi.

Starsza pani siedziała na wózku, odrobinę przechylona w bok, błędząc nieobecnym spojrzeniem po stole ze swoimi zabawkami, zazwyczaj będącym wzorem porządku, a dziś ogarniętym totalnym chaosem. Miała na sobie niebieską sukienkę w niemalże tym samym odcieniu co olbrzymie conversy z autografem Chucka Taylora na jej stopach. Ponieważ siedziała krzywo, sukienka obsunęła się trochę, a w łódkowatym wycięciu dekoltu widać było ramiączko halki. Zastanowiłem się przelotnie, czy rano ubrała się sama, czy Wireman musiał jej pomóc.

Z początku zachowywała się całkiem przytomnie, pamiętała, jak mam na imię, i pytała o zdrowie. Kiedy Wireman wychodził do Baumgartenów, pożegnała się z nim, zalecając, żeby koniecznie wziął parasol i włożył coś na głowę. Było zupełnie dobrze. Ale już piętnaście minut później, kiedy przyniosłem jej z kuchni podwieczorek, zauważyłem zmianę. Elizabeth patrzyła w kąt salonu i mruzczała pod nosem: „Wracaj, wracaj, Tessie, nie tutaj twoje miejsce. I przegoń stąd dużego chłopaka”.

Tessie. Skądś znałem to imię. Musiałem uciec się do mojej techniki myślenia „pobocznego”, poszukać skojarzeń. I znalazłem. Nagłówki w gazecie, jedno słowo: ODESZŁY.

Tessie była jedną z sióstr Elizabeth, bliźniaczek. Wireman mi o tym opowiadał. Usłyszałem w myślach, jak mówi: „Potem tłumaczono to tak, że porwała je fala powrotna i utonęły”. Przeszył mnie chłód, jak lodowaty nóż wbity pod żebra.

- Daj mi to - odezwała się Elizabeth, wskazując na blaszane pudełko. Posłuchałem, a ona wyciągnęła z kieszeni porcelanową figurkę zawiniętą w chusteczkę do nosa, zdjęła pokrywkę, po czym rzuciła mi spojrzenie jednocześnie przebiegłe i kompletnie zagubione (niesamowicie przykry widok), a wreszcie wsadziła figurkę do środka. Rozległo się głucho brzęknięcie. Elizabeth zamknęła pudełko z powrotem; biedziła się z tym trochę, ale kiedy chciałem jej pomóc, odepchnęła moją rękę. W końcu wręczyła mi zamkniętą puszkę.

- Wiesz, co z tym zrobić? - zapytała. - Powiedział ci...? Powiedział ci...?

Widziałem, jak się męczy z nazwiskiem, które miała na końcu języka, a które wciąż jej umykało, jakby drwiąc sobie z wysiłków. Mogłem je podsunąć, ale bardzo dobrze pamiętałem, jak mnie samego drażniły takie podpowiedzi, więc czekałem.

- Czy tamten powiedział ci, co z tym trzeba zrobić? - wyrzuciła z siebie wreszcie.

- Tak.

- To na co czekasz? Zabieraj tę sukę.

Zaniosłem pudełko do sadzawki za kortem tenisowym. Ryby burzyły lustro wody, ciesząc się deszczem o wiele bardziej ode mnie. Obok ławki, zgodnie z tym, co mówił Wireman, znajdował się nieduży stos kamieni. Wrzuciłem jeden z nich do wody („Może ci się wydawać, że ona niczego nie usłyszy, ale uwierz mi, że słuch ma jak lis”, powiedział Wireman), uważając, żeby nie trafić w któregoś karpia. Potem wróciłem do domu, zabierając ze sobą pudełko z figurką w środku. Nie zaniósłem go jednak do Porcelanowej Komnaty. Poszedłem do kuchni i zdjąłem wieczko, wyciągając figurkę zawiniętą w chustkę. Tego instrukcje Wiremana nie obejmowały. Powodowała mną ciekawość.

To była kobieta. Kobieta z odłupaną twarzą. Z przodu jej głowy widniał tylko szorstki owal o nierównej powierzchni.

- Kto tam? - krzyknęła piskliwie Elizabeth, a ja aż podskoczyłem, o mało nie upuszczając tego straszdyła na podłogę. Gdyby tak się stało, lalka nie miałaby szans: roztrzaskałaby się o kafelki.

- To tylko ja, Elizabeth - odkrzyknąłem, kładąc figurkę na kuchennym stole.

- Edmund? Edgar? Czy jak tam masz na imię?

- Tak. - Wróciłem do salonu.

- Zrobiłeś to, o co cię prosiłam?

- Tak jest.

- A jadłam już podwieczorek?

- Tak.

- No dobrze... - westchnęła.

- Może chcesz zjeść coś jeszcze? Mogę przynieść...

- Nie, dziękuję, kochany. Pociąg już niedługo przyjedzie. Wiesz, że nie lubię podróżować po jedzeniu. Zawsze tak wychodzi, że siedzę tyłem do kierunku jazdy, a z pełnym żołądkiem na pewno bym dostała choroby lokomocyjnej. Widziałeś gdzieś moje pudełko, te po ciasteczkach Sweet Owen?

- Chyba jest w kuchni. Mam je przynieść?

- W taki mokry dzień nie trzeba - odparła. - Chciałam, żebyś wrzucił ją do sadzawki, sadzawka by wystarczyła, ale zmieniłam zdanie. Kiedy pada taki deszcz, nie trzeba tego robić. Sam wiesz, że do miłosierdzia nie można przymusić; ono opada jak ciepły deszcz.

- Z nieba - odpowiedziałem.

- Tak, tak. - Machnęła ręką, jakby ta końcówka była już nieważna*.

- A może chcesz poustawiać swoje figurki, Elizabeth? Stoją dziś zupełnie bez ładu i składu.

Rzuciła okiem w stronę stołu, a potem odwróciła wzrok do okna, akurat w momencie, kiedy wyjątkowo silny podmuch wiatru chlasnął deszczem o szybę.

- Kurwa - mruknęła. - Wszystko mi się pierdoli. - I dodała po chwili, głosem tak złośliwym, że nigdy bym jej o to nie posądział: - Wszyscy umarli i teraz sama muszę z tym żyć.

Kogo jak kogo, ale mnie ten nieoczekiwany stek wulgaryzmów na pewno nie oburzył; zbyt dobrze rozumiałem, co czuje człowiek w takiej sytuacji. Być może to prawda, że do miłosierdzia nie można przymusić, miliony ludzi żyją według tych słów i umierają, nie przestając w nie wierzyć, ale... niektórych czeka los Elizabeth Eastlake. Tak.

Elizabeth mówiła dalej:

- Nie powinien tego w ogóle dotykać, ale on przecież nie wiedział.

- Tego? - powtórzyłem, zdziwiony.

- Tego - przytaknęła skinieniem głowy. - Niech ten pociąg już przyjedzie. Chcę stąd uciec, zanim zjawi się duży chłopak.

Po tym już nic nie mówiliśmy. Elizabeth zamknęła oczy i zapadła w drzemkę.

Żeby nie siedzieć beczynn timer, wstałem z fotela, który pasowałby idealnie do klubu dla

* „Do miłosierdzia nie można przymusić; ono opada jak ciepły deszcz z nieba (...)” - William Shakespeare, „Kupiec wenecki”, akt IV, scena i (przyp. tłum.).

dzentelmenów, i podszedłem do stołu. Zauważyłem porcelanową dziewczynkę i porcelanowego chłopca; wziąłem ich do ręki, obejrzałem i odłożyłem. Drapiąc się machinalnie w rękę, której nie było, zlustrowałem pobojowisko na gładkim blacie z polerowanego drewna. Tych figurek musiała być co najmniej setka. A może dwie. Wśród nich dostrzegłem porcelanową kobietę w staromodnym nakryciu głowy - to był chyba czepeczek dojarki - ale tak jak z tamtą dziewczynką i chłopcem, nie o nią mi chodziło. Ten czepeczek w ogóle nie pasował, a poza tym była za młoda. Znalazłem inną kobietę, z długimi malowanymi włosami, i ona wydała mi się już lepsza. Włosy mogłaby mieć odrobinę krótsze i jaśniejsze, ale...

Wcale nie. Były w sam raz, bo przecież Pam odwiedziła niedawno salon fryzjerski, nazywany też czasami Fontanną Młodości Wieku Średniego.

Podniosłem figurkę ze stołu, żalując, że nie mam domu dla lalek, w którym mógłbym ją posadzić, i książki, żeby dać jej do czytania.

Przełożyłem porcelanową kobietę z lewej ręki do prawej, co było najzupełniej naturalne, przecież ją miałem, czułem, że ją mam. Figurka upadła z trzaskiem na stół. Nie stłukła się, ale Elizabeth otworzyła nagle oczy.

- Dick! To pociąg? Gwizdał już?

- Jeszcze nie - odpowiedziałem. - Może zdrzemniesz się trochę?

- Tak, tak, znajdziesz je na pierwszym piętrze - odpowiedziała, zupełnie jakbym pytał ją o coś innego, i zamknęła oczy z powrotem. - Zawołaj mnie, kiedy przyjedzie pociąg. Mam już powyżej uszu tego dworca. I uważaj na dużego chłopaka, ten pizdoliz może być wszędzie.

- Będę uważał - zapewniłem ją. Prawa ręka swędziała mnie jak diabli. Sięgnąłem do tylnej kieszeni w nadziei, że znajdę tam notatnik. Nie znalazłem. Został w domu, na stole w kuchni. Ale to mi podsunęło inny pomysł: kuchnia tutaj, w *El Palacio*. Na stole, gdzie zostawiłem puszkę, leżał bloczek do zapisywania informacji. Podskoczyłem z powrotem do kuchni, zgarnąłem go szybko i złapałem w zęby, a potem niemalże biegiem wróciłem do Porcelanowej Komnaty, już po drodze wyciągając pióro kulkowe z kieszeni koszuli. Usiadłszy na fotelu, zacząłem pospiesznie szkicować tamtą kobietę z porcelany. Wiatr trząsał oknami, a Elizabeth drzemała na swoim wózku, po drugiej stronie stołu. Usta miała lekko rozchylone. Po ścianach, niczym wielkie nietoperze, uganiały się cienie palmowych liści łopoczących na zewnątrz.

Rysunek powstawał szybko, a podczas pracy zauważyłem pewną rzecz: wszystkie nieprzyjemne sensacje, które odczuwałem w prawej ręce, przelewały się przez pióro wprost na kartkę. Portretowałem tamtą porcelanową figurkę, ale to jednocześnie była Pam. To była

na pewno ona - ale również tamta figurka. Włosy miała dłuższe niż ostatnim razem, gdy ją widziałem, rozpuszczone na ramionach. Siedziała...

...w trumnie... w urnie...

...na fotelu. Jakim fotelu? Na biegunach. Nie mieliśmy w domu takiego mebla, kiedy ja tam mieszkałem, ale teraz już był. Obok stał stolik, na którym coś leżało. Z początku nie wiedziałem, co to jest, ale po chwili ten przedmiot spłynął na papier i stał się pudełkiem z napisem na wieczku. Sweet Owen? O to chodziło? Nie, nazwa brzmiała Grandma's. Pióro dodało jeszcze jeden przedmiot, tuż obok pudełka. Owsiane ciasteczko. To były ulubione ciastka mojej żony. Zacząłem mu się przyglądać, a tymczasem pióro narysowało książkę w dłoniach Pam. Nie mogłem odczytać tytułu, bo patrzyłem pod złym kątem. Koniuszek pióra rzucił szybko kilka ukośnych kresek na podłogę pomiędzy jej stopami a oknem. Pam mówiła, że pada śnieg, ale teraz już przestał. Te kreski miały oznaczać promienie słońca.

Wydawało mi się już, że rysunek jest skończony, ale okazało się, że są jeszcze potrzebne dwa dodatkowe detale. Koniuszek pióra uciekł ku lewemu brzegowi kartki i w mgnieniu oka pojawił się tam telewizor. Nowy telewizor, płaski jak ten u Elizabeth. A pod nim...

Pióro skończyło pracę. Opadło. Swędzenie ustało. Palce miałem sztywne, jak z drewna. Elizabeth, drzemiąca po drugiej stronie stołu, zapadła już w prawdziwy, głęboki sen. Kiedyś ta kobieta była zapewne piękna i młoda. Mogła być ukochaną jakiegoś młodzieńca. Teraz pochrapywała na wózku inwalidzkim, siedząc z odrzuconą w tył głową i otwartymi ustami, ukazującymi niemalże całkiem bezzębne dziąsła. Jeśli Bóg istnieje, to powinien chyba postarać się trochę bardziej.

VIII

Przechodząc przez bibliotekę, zauważyłem tam telefon. W kuchni też był aparat, ale biblioteka znajdowała się bliżej Porcelanowej Komnaty. Uznałem, że ani Wireman ani Elizabeth nie miałiby nic przeciwko, gdybym zapytał, czy mogę skorzystać z tego aparatu i zadzwonić do Minnesoty. Podniosłem słuchawkę, ale nagle znieruchomiałem, przyciskając ją do piersi. Na ścianie, pod którą stała zbroja, wisiała kolekcja zabytkowej broni palnej, zmyślnie oświetlona kilkoma punktowymi lampkami. Była tam i długolufowa strzelba ładowana od przodu, z wyglądu pamiętająca czasy Wojny o Niepodległość, i pistolet skałkowy, i miniaturowy derringer, bardziej pasujący do cholewy zawodowego karciarza z kasyna na parostatku niż do biblioteki, i karabin systemu winchester. A tuż nad winchesterem

wisiał gadżet, który Elizabeth trzymała na kolanach tego dnia, kiedy przejeżdżałem razem z Ilse pod jej bramą. Z lewej i prawej strony urządzenia, ułożone w kształt litery V, znajdowały się po cztery pociski do niego. Były za krótkie, żeby można nazwać je strzałami; wyglądały raczej na miniaturowe harpuny. Każdą sztukę zaopatrzone w lśniący grot, sprawiający wrażenie bardzo ostrego.

Czyms takim można komuś zrobić dużą krzywdę, pomyślałem, a zaraz potem przypomniało mi się: *Mój ojciec był pletwonurkiem.*

Odepchnąłem od siebie te myśli i wybrałem numer telefonu, który znajdował się w moim dawnym domu.

IX

- Cześć, Pam, to jeszcze raz ja.

- Nie chcę już z tobą rozmawiać, Edgar. Powiedzieliśmy sobie wszystko.

- Nie do końca. Ale to będzie krótka rozmowa. Opiekuję się w tej chwili pewną starszą panią. Niedawno zasnęła, ale nie chcę zostawiać jej na długo.

- Jaką starszą panią? - zapytała, zaciekawiona mimo woli.

- Nazywa się Elizabeth Eastlake. Ma osiemdziesiąt kilka lat i początki alzheimera. Człowiek, który się nią zajmuje, musiał wyjść, bo gdzieś tam u lokatorów wysiadł grzejnik w saunie, więc mu pomagam.

- I dzwonisz się pochwalić, że zbierasz punkty na sprawność „opiekun starszych”?

- Nie, dzwonię, żeby cię przekonać, że nie zwariowałem. - Przycisnąłem słuchawkę ramieniem do ucha, żeby sięgnąć po rysunek, który przyniosłem ze sobą do biblioteki.

- Obchodzi cię to w ogóle? Czemu?

- Bo ty uważasz, że za tym wszystkim stoi Ilse, a to nieprawda.

- Boże, nie do wiary! Gdyby zadzwoniła do ciebie z Santa Fe i powiedziała, że zerwała jej się sznurówka, to osobiście przywiózłbyś jej nową!

- Nie podoba mi się też co innego. Myślisz, że ja wariuję na tej wyspie, a wcale tak nie jest. No więc...? Słuchasz mnie?

Odpowiedziała mi cisza, ale to wystarczyło. Słuchała.

- Dziesięć albo może piętnaście minut temu wyszłaś spod prysznica. Domyśliłem się tego, bo jesteś w szlafroku i masz rozpuszczone włosy. Pewnie dalej nie lubisz używać suszarki.

- Skąd...?

- Nie wiem skąd. Kiedy zadzwoniłem, siedziałaś na fotelu na biegunach. Musiałaś go kupić już po rozwodzie. Czytałaś książkę i jadłaś ciastko. Owsiane, firmy Grandma's. Wyszło słońce, świeci przez okno. Masz nowy telewizor, taki z płaskim ekranem. - Zawiesiłem na chwilę głos. - I kota. Kupiłaś sobie kota. Śpi teraz pod tym telewizorem.

W słuchawce - martwa cisza. Po mojej stronie wiał wiatr i deszcz bębnił o szyby. Już miałem zapytać, czy jeszcze tam jest, ale uprzedziła mnie. Odezwała się sama, a jej głos brzmiał głucho i kompletnie obco. Wydawało mi się do tej pory, że Pam nie może mnie już niczym dotknąć, niczym zranić. Myliłem się.

- Przestań mnie szpiegować - powiedziała. - Jeśli kiedykolwiek mnie kochałeś, przestań.

- Więc ty przestań mieć do mnie pretensje - odparłem schrypniętym, łamiącym się głosem. I nagle przed oczami stanęła mi Ilse, na lotnisku, gotowa do powrotu na uczelnię, stojąca w promieniach upalnego tropikalnego słońca przed drzwiami do terminalu Delta. Spojrzała mi w oczy i powiedziała: „Zasłużyłeś sobie na uśmiech szczęścia. Czasem już nie wiem, czy sam w to wierzysz”.

- Nie ponoszę winy za to, co mnie spotkało - zachrypiałem. - Ani za wypadek, ani za to, co dzieje się teraz. Nie prosiłem się o to.

- A myślisz, że ja się prosiłam?!! - wrzasnęła.

Zamknąłem oczy, zbierając wszystkie siły, całą wolę, żeby nie wybuchnąć, nie odpowiedzieć gniewem na gniew.

- Nie - zgodziłem się. - Oczywiście, że nie.

- Więc daj mi z tym spokój!! Przestań do mnie dzwonić!! Przestań mnie straszyć!!!

Rozłączyła się gwałtownie. Nie poruszyłem się, stałem dalej, przyciskając słuchawkę do ucha. Chwila ciszy, potem głośny trzask, a następnie ten charakterystyczny, świergoczący szum, tak typowy dla połączeń telefonicznych na Duma Key. Tego dnia brzmiał nieco inaczej, jakby dobiegał spod wody. Może to przez ten deszcz. Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na zbroję stojącą w kącie.

- Coś mi mówi, sir Lancelocie, że nie bardzo się udało - mruknąłem.

Nie odpowiedział. W pełni sobie na to zasłużyłem.

X

Porcelanowa Komnata leżała vis - à - vis biblioteki, po drugiej stronie głównego korytarza, tego z żardynierami. Zajrzałem przez drzwi; Elizabeth spała dalej, w takiej samej

pozycji jak przedtem, z głową odrzuconą w tył. Chrapała; te odgłosy przedtem budziły moje politowanie, tak bardzo poruszała mnie obnażona zgrzybiałość słyszalna w każdym chrapnięciu. Teraz jednak nieoczekiwanie okazały się pomocne, ponieważ bez nich pewnie od razu wyobraziłbym sobie, że starsza pani nie żyje, a w wózku są tylko jej zwłoki z przetrąconą szyją. Zastanowiłem się, czy nie trzeba by jej obudzić, ale uznałem, że nie. Po mojej prawej stronie znajdowały się szerokie główne schody; przypomniałem sobie jej słowa: „Tak, tak, znajdziesz je na pierwszym piętrze”.

Co znajdę?

Najprawdopodobniej to były znowu jakieś jej urojenia, ale ponieważ nie miałem chwilowo nic do roboty, ruszyłem w tamtym kierunku. W mniej okazałym domu taki korytarz byłby pewnie zwykłym łącznikiem. Po szklanym dachu bębniły krople deszczu. Wszedłem na szerokie schody. Pięć stopni od szczytu przystanąłem, wytrzeszczając oczy, a potem powoli zrobiłem tych ostatnich kilka kroków. A jednak faktycznie coś tutaj było. Tym czymś okazała się olbrzymia czarno - biała fotografia oprawiona w wąską ramę intarsjowaną złotem. Pytałem potem Wiremana, jak to możliwe, że czarno - białe zdjęcie z lat dwudziestych dało się powiększyć aż do takich rozmiarów - musiało mieć co najmniej metr dwadzieścia szerokości na metr pięćdziesiąt wysokości - zachowując przy tym tak znakomitą ostrość. Dowiedziałem się, że prawdopodobnie wykonano je hasselbladem, najdoskonalszym niecyfrowym aparatem, jaki kiedykolwiek powstał.

Fotografia przedstawiała grupkę ośmiu osób stojących na białej plaży; w tle roztaczał się szeroki krąg Zatoki Meksykańskiej. Jedyne widoczne na zdjęciu mężczyzna był wysoki i przystojny. Na oko mógł mieć czterdzieści kilka lat. Był ubrany w czarny kostium kąpielowy składający się z koszulki na ramiączkach i krótkich spodenek, podobnych do sportowej bielizny, jaką dzisiaj noszą koszykarze. Dookoła niego stało pięć dziewczynek: najstarsza z nich była już wyrosniętą nastolatką, dwie najmłodsze - identycznymi blondyneczkami, które natychmiast skojarzyły mi się z córkami państwa Bobbseyów, bohaterkami moich pierwszych czytanek. Bliźniaczki miały na sobie takie same sukienki kąpielowe z falbankami i trzymały się za ręce, a w drugiej, wolnej dłoni każda z nich ścisnęła szmacianą lalkę w fartuszku, spod którego wystawały dyndające nóżki. Od razu przypomniała mi się Reba... a włosy z ciemnej przędzy, okalające rozpromienione nieobecnymi uśmiechami twarzyczki tych lalek, z całą pewnością były czerwone. Mężczyzna w czarnym kostiumie - nie miałem żadnych wątpliwości, że to był John Eastlake - trzymał na ręku dziewczynkę numer sześć, niemowlę, które z biegiem czasu miało się zmienić w staruszkę pochrapującą w tej chwili na wózku inwalidzkim w salonie na parterze. Z tyłu, za białą rodziną, stała młoda czarnoskóra kobieta

lat około dwudziestu dwóch. Na głowie miała zawiązaną chustę, a w rękach trzymała kosz piknikowy. Sądząc po naprężonych mięśniach (wcale nie najmniejszych), kosz był ciężki. Na jednym przedramieniu pobłyskiwały trzy koliste srebrne bransolety.

Elizabeth, roześmiana od ucha do ucha, wyciągała pulchne rączki do osoby, która stanęła za aparatem, żeby zrobić ten portret rodzinny. Poza nią nie uśmiechał się nikt, chociaż niewykluczone, że cień podobnego grymasu igrał w kąciku ust mężczyzny w czarnym kostiumie kąpielowym. Trudno było mieć pewność, bo mężczyzna nosił wąsy. Młoda ciemnoskóra niania minę miała jednoznacznie ponurą.

W wolnej ręce, tej, którą nie trzymał swojej najmłodszej córki, John Eastlake miał dwa przedmioty. Jedną z nich była maska pletwonurka. Drugą - pistolet na harpuny, który widziałem przed chwilą na ścianie w bibliotece. Pytanie, które nasunęło mi się na myśl, brzmiało następująco: czy Elizabeth była świadoma, kiedy wysłała mnie tutaj, czy nie?

Zanim zdążyłem się nad tym porządnie zastanowić, poniżej miejsca, gdzie stałem, rozległ się odgłos otwieranych drzwi.

- Wróciłem! - zawołał Wireman. - Misja wykonana! Kto się napije?

JAK POWSTAJE OBRAZ (V)

Nie bój się eksperymentów; znajdź swoją muzę i pozwól jej się prowadzić. W miarę jak rósł talent Elizabeth, jej muza przybrała postać Noveen, cudownej mówiącej lalki. Tak w każdym razie wydawało się dziewczynce. Kiedy zrozumiała swoją pomyłkę - a stało się to, kiedy Noveen zaczęła mówić innym głosem - było już za późno. Ale na początku musiało być wspaniale. Zawsze tak jest, gdy człowiek odnajdzie swoją muzę.

Weźmy na przykład to zajście z tortem.

„Zrzuć go na podłogę”, mówi Noveen. „Zrzuć go na podłogę, Libbit!”.

A Libbit słucha lalki, ponieważ to proste i nikt jej nie przeszkodzi. Ściąga tort niani Meldy na podłogę. Bryzga na wszystkie strony! Ha! A niania Melda staje nad nim i bierze się pod boki. Na twarzy ma wypisaną odrazę.

Czy Elizabeth wstydziła się, kiedy już to zrobiła? A może też odrobinę się przestraszyła? Myślę, że tak.

A nawet jestem pewien. Dla dzieci złośliwe figle są zabawne najczęściej tylko wtedy, gdy nie wykraczają poza sferę wyobraźni.

Były też jednak inne zabawy. Inne eksperymenty. Aż wreszcie nadszedł rok tysiąc dziewięćset dwudziesty siódmy...

Na Florydzie wszystkie huragany występujące poza sezonem otrzymują imię Alice. To taki żart. Ale ten, który nadciągnął z nad zatoki w marcu roku dwudziestego siódmego, powinien się nazywać Elizabeth.

Lalka przemówiła do dziewczynki szeptem, który musiał brzmieć jak szum nocnego wiatru w liściach wysokich palm. Albo głos muszli pod podłogą Wielkiego Korala, przesypanych ustępującą falą. Szept zabrzmiał w uszach Libbit, gdy stała już na progu snu, wahając się, czy go przekroczyć. I podsunął jej myśl: cóż to by była za zabawa, namalować wielką burzę. Burzę i nie tylko...

Noveen mówi: „Znam różne tajemnice. Wiem, gdzie leżą zakopane skarby, które wielki sztorm może odsłonić. Tatuś na pewno chciałby znaleźć coś takiego, obejrzeć sobie”.

To przesądziło sprawę. Elizabeth nie miała wielkiej ochoty malować burzy, ale

sprawić radość swojemu tatusiowi? To była pokusa nie do odparcia.

Bo tatuś w tym roku bardzo dużo się gniewał. Na Adie, która nie chciała wrócić do szkoły po powrocie z Europy, nie chciała spotykać się z tymi ludźmi co trzeba ani bywać na balach, na których młodej damie bywać wypada. Adie straciła głowę dla tego swojego Emery'ego... A Emery, w opinii tatusia, to nie był „odpowiedni sort”.

Tatuś mówi: „Ten człowiek nie jest z naszej klasy, to Celuloidowy Kołnierzyk”, a Adie odpowiada: „Może nie z naszej klasy, ale w moim typie, a jego kołnierzyk mam w nosie”. Tatuś szaleje z wściekłości.

Kłótnia gonila kłótnię. Tatuś gniewał się na Adie i wice - werce. Hannah i Maria też gniewały się na Adie, za to, że ma przystojnego chłopca; zazdrościły jej, że jest starszy, oburzone jednocześnie jego niskim pochodzeniem. Bliźniaczki chodziły wystraszone ciągłymi awanturami. Libbit też. A niania Melda co rusz słyszała, że gdyby nie Tessie i Lo - Lo, to już dawno by wróciła do swoich, do Jacksonville.

Elizabeth narysowała to wszystko, więc mogłem zobaczyć, co się wtedy działo.

Nabrmiewający wrzód w końcu musiał pęknąć. Adie uciekła ze swoim Źle Urodzonym Młodzieńcem do Atlanty, gdzie Emery miał obiecaną posadę w biurze. U konkurencji. Tatuś wpadł w furję. Pewnego razu paskudy, Maria i Hannah, które przyjechały akurat na weekend z Braden School, usłyszały, jak rozmawiał z kimś przez telefon i odgrażał się, że sprowadzi tutaj tego Emery'ego Paulsona siłą i każe go chłostać do ostatniego tchu. I ją czeka to samo; oboje ich każe wychłostać!

A potem powiedział: „Nie, na Boga, nie. Niech się dzieje, co chce. Nawarzyła piwa, więc musi je teraz wypić”.

A potem przyszła burza. Huragan Alice.

Libbit czuła, że nadchodzi. Czuła, jak ze zwyczajnych kresek rysowanych węglem na papierze, czarnych jak czarna jest śmierć, rodzi się wiatr. Kiedy burza już przyszła i objawiła się w całej okazałości - potoki wścieklej ulewy, wichura rycząca niczym rozpędzona lokomotywa - dziewczynka bała się, i to bardzo. Czuła się tak, jakby wołała psa, a zamiast niego przybiegł wilk.

Ale potem wiatr ucichł i wyszło słońce, a nikomu nic się nie stało. Wszystko było w porządku, a nawet lepiej, bo huragan Alice sprawił, że na jakiś czas zapomniano o Adie i jej Źle Urodzonym Młodzieńcu. Pewnego dnia Elizabeth usłyszała nawet, jak tatuś podśpiewuje pod nosem. Sprzątał wtedy dziedziniec razem z panem Shanningtonem: on prowadził ich mały czerwony traktor, a pan Shannington wrzucał połamane gałęzie i zerwane przez wiatr palmowe liście na toczącą się z tyłu przyczepkę.

Zabrział szept lalki - i muza rozpoczęła swoją opowieść.

Jeszcze tego samego dnia do wtóru jej słów Elizabeth narysowała morze w pobliżu Skąły Wiedźmy, miejsce, gdzie na dnie leżał zakopany skarb, odsłonięty teraz przez sztorm.

Libbit prosi tatusia, żeby tam poszedł, obejrzał. Prosi i błaga, błaga i prosi. Tatuś nie chce, tatuś jest zmęczony, nie czuje już rąk od tej roboty na podwórzu.

Niania Melda mówi: „Kąpiel w morzu rozluźni zeszywniałe mięśnie, panie Eastlake”.

Proponuje: „Zróbmy sobie piknik. Przyniosę jedzenie i przyprowadzę dziewczynki”.

A potem jeszcze dodaje: „Wie pan, co z nią teraz jest. Jak mówi, że coś tam leży na dnie, to może..!”.

I tak poszli na plażę, pod Skąły Wiedźmy: tatuś w swoim kostiumie kąpielowym, który dawno już przestał dobrze leżeć, a razem z nim Elizabeth, bliźniaczki i niania Melda. Hannah i Maria były wtedy w szkole, a Adie... ale o niej lepiej nie mówmy. Adie PODPADŁA. Niania Melda zabrała czerwony kosz piknikowy, a w nim jedzenie, kapelusze od słońca dla dziewczynek, przybory do rysowania dla Elizabeth, miotacz tatusia i kilka harpunów do niego.

Tatuś zakłada płetwy i wchodzi po kolana do wody, do tego caldo. „Zimna!”, mówi. „Niech to nie trwa za długo, Libbit. Pokaż, gdzie leży ten twój bajeczny skarb”.

Libbit mówi: „Pokażę ci, ale obiecujesz, że dostanę tę lalkę z porcelany?”.

Tatuś mówi: „Jeśli tylko będzie tam jakaś lalka, jest twoja. Należy ci się znaleźć”.

Tak zobaczyła to muza, tak namalowała to dziewczynka. I tak zapisała się ich przyszłość.

CANDY BROWN

I

Dwie noce później po raz pierwszy namalowałem statek.

Na początku nazwałem ten obraz „Dziewczynka i statek”, potem „Dziewczynka i statek nr 1”, ale ani pierwszy, ani drugi tytuł nie był tym właściwym. Jego prawdziwy tytuł brzmiał „Ilse i statek nr 1”. To właśnie seria „Statków” - może nawet bardziej niż Candy Brown - pomogła mi podjąć decyzję w kwestii wystawy moich prac. Postanowiłem się zgodzić, jeśli Dario Nannuzzi złoży mi taką propozycję. Moim celem nie było przy tym to, co Szekspir określał mianem „mydlanej bańki sławy” (wiem to od Wiremana). Po prostu zrozumiałem, że Elizabeth miała rację: na Duma Key lepiej nie gromadzić obrazów.

Seria ze statkiem była naprawdę dobra. Może nawet świetna. W każdym razie na pewno czułem się wspaniale, patrząc na te obrazy po ukończeniu. Ale każdy z nich miał w sobie zły, potężny urok. Chyba wiedziałem o tym od samego początku, od momentu, kiedy ukończyłem tamten pierwszy obraz: bladym świtem dnia św. Walentego. Pierwszy „Statek” powstał ostatniej nocy w życiu Tiny Garibaldi.

II

Właściwie to nie był koszmar, ale jak na sen wydawał się rzeczywisty, tak bardzo, że nie potrafię tego opisać słowami, chociaż udało mi się przenieść część tego wrażenia na płótno. Tylko część, ale być może więcej nie trzeba. W tym śnie zachodziło słońce; zresztą później, kiedy się powtarzał, też była w nim zawsze ta sama pora. Zachodnia część nieba stała zalana czerwonym światłem, po brzegi, aż po wrota raj, gdzie blask przygasał, najpierw przybierając odcień oranżu, a dalej niesamowitej zieleni. Wody zatoki były spokojne, niemalże śmiertelnie stężałe; marszczyły je tylko drobnutkie, szkliste fale, jakby wzbudzone najłżejszym oddechem. Odbijając płomień zachodu słońca, zamknięta widnokretem zatoka wyglądała jak monstrualny oczodół zalany krwią.

Na tle tej pożogi malowała się sylweta trójmasztowego wraku. Butwiejące żagle zwieszały się z rej, a z licznych dziur i rozdarć ciekła gorejąca czerwień. Na pokładzie nie było żywej duszy. Żeby to wiedzieć, wystarczyło rzucić okiem. Złowrogi wrak był całkiem opustoszały, jakby zaraza wybiła całą załogę, pozostawiając go samego - gnijącego trupa złożonego z drewna, lin i płótna. Pamiętam, co pomyślałem, przyglądając mu się: gdyby nad tym statkiem przeleciał jakiś ptak, na przykład mewa albo pelikan, to na pewno spadłby na pokład w kłębach palonego pierza.

Tuż obok wraku, nie dalej niż czterdzieści metrów, kołysała się na falach nieduża wiosłowa łódka. Siedziała w niej dziewczynka, odwrócona do mnie plecami. Włosy miała czerwone, ale były to włosy sztuczne - żadna dziewczynka nie ma na głowie takiego kołtuna z przędzy. Tego, kim była, domyśliłem się po stroju. Miała na sobie sukienkę z materiału w kratkę przypominającą miniaturowe pola do gry w kółko i krzyżyk. Pomiedzy tymi kratkowanymi kwadratami przewijały się napisy: WYGRAM JA - WYGRASZ TY, cały czas te same cztery słowa. Ilse chodziła w takiej sukience, kiedy miała cztery albo pięć lat... czyli mniej więcej tyle, co bliźniaczki na rodzinnym portrecie, który znalazłem na drugim piętrze *El Palacio de Asesinos*.

Chciałem krzyknąć, ostrzec ją, żeby nie zbliżała się do wraku. Nie mogłem. Byłem kompletnie bezradny. Zresztą to i tak nie zrobiłoby chyba wielkiej różnicy. Dziewczynka siedziała nieruchomo w łódeczce kołysanej łagodnymi czerwonymi falami. Siedziała i patrzyła, ubrana w sukienkę w kratkę, sukienkę mojej córki Illy.

Obudził mnie ból; spadłem z łóżka, lądując na chorym boku. Wrzasnąłem i obróciłem się na plecy, zamierając w bezruchu, nasłuchując szumu fal i cichego chrzęstu muszli pod podłogą domu. Te głosy mówiły mi, gdzie jestem, ale nie znajdowałem w nich pocieszenia. Wygram ja, mówiły. Wygram ja, wygrasz ty. Wygrasz ty, wygram ja. Pistolet - wygram ja. Owoce - wygrasz ty. Wygram ja - wygrasz ty.

Moja amputowana prawa ręka płonęła żywym ogniem. Musiałem go ugasić, bałem się, że w przeciwnym razie zwariuję. Ale na to był tylko jeden sposób. Poszedłem do pokoju na piętrze i przez trzy godziny malowałem jak szalony, bez modeli, bez widoków za oknem. Nie były mi potrzebne. Wszystko miałem w głowie. A w trakcie tej pracy uświadomiłem sobie pewną rzecz: wszystkie dotychczasowe obrazy były mozolnie stawianymi krokami na drodze ku temu, co powstawało w tej chwili. Nie chodziło o dziewczynkę w łódce, ona prawdopodobnie stanowiła tylko ozdobę, pomost do rzeczywistości. Tym, do czego przez cały czas dążyłem, był statek. Statek i zachód słońca. Sięgnąwszy pamięcią wstecz, zauważyłem dziwną ironię: „Dzień dobry”, pierwszy rysunek kredkami, wykonany w dniu

przyjazdu, był najbliższy temu, o co naprawdę chodziło.

III

Położyłem się około wpół do czwartej i spałem do dziewiątej. Po przebudzeniu czułem się wypoczęty, oczyszczony, słowem - jak nowy. Dzień był pogodny: bezchmurny i cieplejszy niż cały poprzedni tydzień. Baumgartenowie wracali już do domu, ale zanim wyjechali, zdążyłem jeszcze rozegrać na plaży zacięty mecz frisbee z ich synami. Rozsadzała mnie energia, a ból ucichł. Przyjemnie było znów poczuć się jak zwykły, normalny człowiek, choćby nawet przez godzinę.

Ogólne przejaśnienie dotknęło także Elizabeth Eastlake. Poszedłem do *El Palacio* i czytałem jej wiersze, a ona ustawiała swoje figurki. Towarzyszył nam Wireman, w dobrym humorze, bo akurat nie goniły go żadne obowiązki. To był bardzo miły dzień. Dopiero później przyszło mi do głowy, że w momencie, kiedy George „Candy” Brown porwał dwunastoletnią Tinę Garibaldi, ja mogłem właśnie czytać Elizabeth wiersz Richarda Wilbura, ten z suszącym się praniem, czyli „Miłość nas wzywa do spraw tego świata”. Dlaczego go wybrałem? Podobno ten wiersz był czymś w rodzaju walentynkowego przeboju; tak pisali w artykule, który przeczytałem tego samego dnia w porannej gazecie. Tak się złożyło, że porwanie Tyny Garibaldi zarejestrowała kamera przemysłowa. Zegar urządzenia pokazywał godzinę 15:16. Mniej więcej właśnie wtedy skończyłem czytać poprzedni wiersz, zwilżyłem gardło zieloną herbatą Wiremana i sięgnąłem po kartkę z utworem Wilbura, wydrukowanym z Internetu.

Na tyłach centrum handlowego Crossroads Mail, tam, gdzie są rampy przeładunkowe, były zainstalowane kamery. Domyślam się, że dla ochrony przed drobnymi złodziejaskami. Tym razem zarejestrowały wielką kradzież: porwano dziecko, żeby pozbawić je życia. Mała Tina, szczupła dziewczynka w dżinsach i z plecakiem na ramieniu, pojawia się w kadrze z prawej strony i przechodzi na lewą. Prawdopodobnie chciała przed powrotem do domu poszwendać się jeszcze trochę po sklepach. Na nagraniu, które wszystkie stacje telewizyjne powtarzały na okrągło, widać, jak porywacz schodzi z rampy i bierze ją za rękę. Dziewczynka ogląda się na niego, pyta o coś, a on kiwa potakująco głową i zaczyna ją dokądś prowadzić. Z początku dziecko wcale się nie opiera, ale w ostatnich sekundach tego krótkiego filmu, na chwilę przed tym, jak para znika za dużym śmietnikiem, widać, że próbuje się wyrwać. Widać jednak też, że jej się nie udaje; więcej kamera już nie uchwyciła. Zgodnie z raportem lekarza sądowego Tina została zamordowana niecałe sześć godzin później, ale makabryczne

obrażenia na jej ciele świadczyły ponad wszelką wątpliwość, że były to bardzo długie godziny. Dla tej dziewczynki, która nigdy nikogo nie skrzywdziła, musiała to być cała wieczność.

„A za otwartym oknem / Powietrze poranka spływa aniołami”, pisze Richard Wilbur w wierszu „Miłość nas wzywa do spraw tego świata”. Nie, Richardzie. Mylisz się.

To były tylko prześcieradła.

IV

Baumgartenowie wyjechali. Psy Godfreyów obszczeły ich na pożegnanie. Do domu, który wynajmowali, wezwano ekipę sprzątającą. Psy Godfreyów obszczeły ją na powitanie (i na pożegnanie też). Zwłoki Tiny Garibaldi znaleziono w rowie za boiskiem małej ligi z Wilk Park, obnażone od pasa w dół, wyrzucone jak worek ze śmieciami. Kanał 6 pokazał jej matkę: zropaczona kobieta odchodziła od zmysłów i darła policzki paznokciami. Do domu po Baumgartenach przyjechali Kintnerowie. Lepki z Toledo wyprowadziły się spod numeru trzydzieści dziewięć, a na ich miejsce zawitały trzy miłe starsze panie z Michigan. Wszystkie często się śmiały, a mnie i Wiremana witały zalotnym „Ju - hu!”. Nie mam pojęcia, czy korzystały ze świeżo podłączonego Wi - Fi, ale kiedy po raz pierwszy siadłem z nimi do scrabble'a, dostałem niezły wycisk. Po południu spacerowały po wyspie, niestrudzenie obszczeływane przez psy Godfreyów. Na policję zadzwonił pracownik myjni samochodowej E - Z JetWash w Sarasocie i powiedział, że porywacz na nagraniu z kamery przemysłowej bardzo przypomina jego znajomego z pracy, niejakiego George'a Browna, na którego wszyscy mówią Candy. Według zeznań tego człowieka, w walentynki Candy Brown wyszedł z pracy około czternastej trzydzieści i wrócił dopiero następnego dnia rano, wyjaśniając, że źle się poczuł. Myjnia znajduje się zaledwie przecznicę od centrum Crossroads Mail. Dwa dni po walentynkach przyszedłem do *Palacio* i znalazłem Wiremana na krześle w kuchni; głowę miał odrzuconą do tyłu i dygotał na całym ciele. Kiedy drgawki ustały, oznajmił mi, że czuje się dobrze. Na moją uwagę, że bynajmniej dobrze nie wygląda, odpowiedział kompletnie nieswoim, szorstkim tonem, żebym zachował swoje zdanie dla siebie. Pokazałem mu trzy palce i zapytałem, ile widzi. Widział trzy. Pokazałem mu dwa i widział dwa. Postanowiłem zatem, choć nie bez obaw, dać mu spokój. Kolejny raz. Koniec końców, nie byłem stróżem Wiremana mego. Namalowałem „Dziewczynkę i statek” numer dwa i trzy. Na drugim obrazie z serii mała pasażerka łodzi miała na sobie sukienkę w grochy, należącą do Reby, ale mimo to i tak byłem prawie pewien, że to Ilse. Numer trzeci nie stwarzał już żadnych wątpliwości.

Włosy dziewczynki przybrały kolor, który pamiętałem z dzieciństwa mojej młodszej córki: kolor wąsów kukurydzy. Była ubrana w marynarską bluzę z kołnierzykiem obszytym wstążką w esy - floresy. Tę bluzę również dobrze pamiętałem, i nie bez powodu: to w niej Ilse spadła pewnej niedzieli z jabłonki rosnącej za domem i złamała sobie rękę. Na obrazie numer trzy statek skręcił lekko, dzięki czemu dało się odczytać pierwsze litery jego nazwy, wymalowane na dziobie łuszczącą się farbą: PER. CO mogło być dalej - nie miałem pojęcia. Na tym obrazie po raz pierwszy pojawił się też miotacz harpunów Johna Eastlake'a. Leżał na ławeczce w łodzi, gotowy do strzału. Osiemnastego lutego przyjechał znajomy Jacka Cantoriego, polecony do wykonania napraw w kilku domach. Psy Godfreyów przywitały się z nim po koleżeńsku, zapraszając serdecznie, żeby wpadł, kiedy tylko będzie chciał stracić kawałek tyłka, a zarobić dziurę w siedzeniu swoich worowatych hiphopowych dżinsów. Policja przesłuchała żonę Candy'ego Browna (która też mówiła na niego Candy, czyli Słodziak, wszyscy tak na niego mówili, pewnie nawet przedstawił się tą ksywką Tinie Garibaldi, zanim zabrał się do tortur), chcąc ustalić, gdzie był po południu w dzień Św. Walentego. Odpowiedziała, że jeśli poczuł się źle, to na pewno nie przyjechał chorować do domu. Wrócił z pracy dopiero około ósmej wieczorem. Podobno przywiózł jej pudełko czekoladek. Miał być jakoby romantycznym typem, który lubi dawać swojej kobiecie słodkie upominki. Dwudziestego pierwszego lutego miłośnicy country wsiedli do sportowego bolidu i ruszyli z kopyta na północ, w swe rodzinne strony. Ich dom pozostał niezajęty. Zdaniem Wiremana był to pierwszy sygnał, że migracja zimowych ptaszków dobiega końca; ptaszki ponoć zawsze zbierają się najwcześniej właśnie z Dumy, bo tutaj nie ma restauracji ani żadnych atrakcji turystycznych (nawet głupiej hodowli aligatorów!). Psy Godfreyów czekały niezmordowanie, niczym heroldowie obwieszczający koniec sezonu zimowych wczasowiczów, ale tak naprawdę nadal nie było go widać. Tego samego dnia, kiedy wyjechali entuzjaści country, policja zjawiała się w domu Candy'ego Browna z nakazem rewizji. Kanał 6 podał, że po rewizji zabrali ze sobą kilka rzeczy. Dzień później po raz kolejny dostałem wycisk w scrabble'a od wesołych staruszek spod trzydziestki dziewiątki; potrójnej premii słownej nie powąchałem choćby z daleka, dowiedziałem się za to, że w języku angielskim istnieje słowo *qiviut**. Po powrocie do domu włączyłem telewizor: na Kanale 6 („Słoneczne Wybrzeże przez okrągłą dobę”) widniała wyświetlona plansza „Z ostatniej chwili”. Candy Brown aresztowany. Jak podały „źródła bliskie prowadzonego śledztwa”, w trakcie rewizji domu Brownów zabezpieczono dwie sztuki bielizny - a jedna z

* Qiviut - spodnia warstwa sierści wołu piżmowego, używana do wyrobu przędzy. Słowo pochodzi z narzecza Inuitów (Eskimosów) (przyp. tłum.).

nich była poplamiona krwią. Kolejnym etapem dochodzenia musiała być analiza DNA. Candy Brown postanowił nie czekać. Następnego dnia w gazetach pojawiło się wyznanie, którego udzielił podczas przesłuchania: „Byłem na haju i zrobiłem coś strasznego”. Czytałem ten artykuł, pijąc poranną szklankę soku. Tekst ilustrowało zdjęcie - a raczej Zdjęcie - które znałem już równie dobrze jak fotografię postrzelonego w Dallas Kennedy'ego: Candy Brown zaciska dłoń na nadgarstku Tiny Garibaldi, a dziewczynka unosi głowę, patrząc na niego pytającym wzrokiem. I wtedy zadzwonił telefon. Mając uwagę zaprzątniętą artykułem, podniosłem słuchawkę, nie patrząc, i powiedziałem „halo”. Dzwonił Wireman. Spytał, czy mógłbym zajrzeć do niego na chwilę. Odpowiedziałem, że jasne, oczywiście, i już miałem się pożegnać, kiedy dotarło do mnie, że coś jest nie tak, bardzo nie tak. Było to słyhać - nie w jego głosie, ale jakby gdzieś w tle. Spytałem więc, co się stało.

- Chyba oślepiłem na lewe oko, *muchacho*.

Powiedział to i zaśmiał się cicho, dziwnym, zagubionym głosem.

- Wiedziałem, że wcześniej czy później to mnie czeka, ale i tak dałem się zaskoczyć. Chyba każdy przeżywa coś takiego: kiedy budzi się pewnego ranka i stwierdza, że nie ży... - Urwał, odetchnął głęboko. Oddech rwał mu się w gardle. - Możesz przyjechać? Próbowałem złapać Annmarie, tę prywatną pielęgniarkę z Bay Area, ale pojechała do pacjenta i... Możesz przyjechać? Proszę cię, Edgar.

- Zaraz u was będę. Trzymaj się, Wireman. Zostań tam, gdzie jesteś, i trzymaj się.

V

Od tygodni nie doświadczyłem problemów z oczami. Wypadek spowodował ograniczenie pola widzenia i żeby sięgnąć po coś, co było z prawej strony, musiałem teraz specjalnie odwracać głowę w prawo, ale poza tym wzrok miałem całkiem niezły. Wychodząc z domu i kierując się w stronę anonimowego chevroleta z wypożyczalni, próbowałem sobie wyobrazić, jak bym się czuł, gdyby świat dookoła mnie znów zaczął się zalewać tamtą przeklętą czerwienią. Albo gdybym obudził się któregoś pięknego ranka z czarną dziurą po prawej stronie głowy. Przy takich myślach trudno mi było zrozumieć, w jaki sposób Wireman mógł zdobyć się na śmiech. Nawet taki słaby.

Już kładłem dłoń na klamce malibu, kiedy nagle przypomniała mi się Annmarie Whistler, pielęgniarka, która zawsze zostawała z Elizabeth, kiedy Wireman musiał dokądś pojechać; teraz też chciał ją wezwać, ale pojechała do innego pacjenta. Wróciłem pędem do domu. Chwyciłem za telefon, wybierając numer komórki Jacka Cantoriego i modląc się przy

tym w myślach, żeby odebrał i zgodził się przyjechać. Odebrał i zgodził się bez problemu. Punkt dla drużyny gospodarzy.

VI

Tego ranka po raz pierwszy opuściłem wyspę samodzielnie, to znaczy za kierownicą. Mój pierwszy raz wypadł znakomicie: zjechałem na Tamiami Trail, dołączając do orszaku samochodów pełnących ślimaczym tempem na północ. Wiozłem Wiremana do szpitala Sarasota Memoriał, bo tak polecił nam lekarz, który opiekował się Elizabeth; zadzwoniłem do niego, lekceważąc słabe protesty ze strony chorego. A teraz to on pytał mnie co chwilę, czy dobrze się czuję, czy na pewno dam sobie radę i czy nie lepiej byłoby, gdyby to Jack z nim pojechał, zamiast zostać z panną Eastlake.

- Wszystko gra - zapewniłem go.

- A ja widzę, że się denerwujesz jak jasna cholera. Przynajmniej tyle jestem w stanie dostrzec. - Skierował na mnie prawe oko. Lewe próbowało za nim podążyć, ale bez większego powodzenia. Było przekrwione, lekko wywrócone do góry i rozrzutnie wylewało łzy. - Będziesz mi świrował, *muchacho*?

- Nie. Poza tym słyszałeś, co powiedziała Elizabeth. Gdybyś się stawiał, to chwyciłaby za miotłę i sama pogoniła do lekarza.

Wireman nie chciał mówić „pannie Eastlake”, co się z nim stało, ale tak się złożyło, że kiedy rozmawialiśmy przez telefon, weszła do kuchni, opierając się na swoim balkoniku, i wszystko usłyszała. Poza tym ona miała ten sam dar co Wireman, chociaż u niej był on dużo mniej rozwinięty. Nie rozmawialiśmy o tym nigdy, ale wiedziałem, że tak jest.

- Jeśli będą chcieli zatrzymać cię w szpitalu... - zacząłem.

- Wiem, że będą chcieli, przecież to u nich jest jakiś, w mordę, odruch bezwarunkowy, od razu kłaść człowieka do łóżka, ale tak to nie będzie. Gdyby umieli mi pomóc - to co innego. Jadę tam tylko po to, żeby Hadlock powiedział mi, czy spieprzyłem się na amen, czy może tylko lampy mi się przegrzały. - Uśmiechnął się blado.

- Wireman, co z tobą jest, do diabła?

- Wszystko w swoim czasie, *muchacho*. Co teraz malujesz?

- Nieważne.

- Oho! - zachichotał. - Chyba nie tylko ja mam dosyć przesłuchania. A wiesz, że w sezonie zimowym statystycznie co czterdziesty kierowca regularnie jeżdzący Tamiami Trail ma wypadek? To prawda. A w wiadomościach słyszałem niedawno, że prawdopodobieństwo

uderzenia w Ziemię meteorytu rozmiarów astrodromu w Houston jest większe niż...

- A może włączę jakąś muzykę? - Sięgnąłem do radia.

- Dobry pomysł - zgodził się. - Tylko żeby to nie było żadne zasrane country.

Przez chwilę nie rozumiałem jego niechęci, ale zaraz sobie przypomniałem swoich niedawnych miłośników kowbojskiej ballady. Przeleciałem się szybko po kanałach i znalazłem najgłośniejszą i najdurniejszą rockową stację w okolicy, o srogiej nazwie The Bone, czyli „kość”, a tam właśnie Dan McCafferty z Nazareth zdzierał sobie gardło w kawałku „Hair of the Dog”.

- Ach, korzenny, rzygotliwy rock and roli - westchnął Wireman. - To rozumiem, *mi hijo*.

VII

To był długi dzień. Kiedy człowiek daje się porwać taśmociągowi, jakim jest współczesna służba zdrowia (zwłaszcza w mieście pełnym zimowych turystów w starszym wieku, często niedomagających), musi się nastawić na długi dzień. Siedzieliśmy w szpitalu do szóstej wieczorem. I faktycznie, lekarze chcieli zatrzymać Wiremana. Nie zgodził się.

Jeśli chodzi o mnie, to większość czasu spędziłem w upiornych poczekalniach, gdzie czasopisma są stare, krzesła twarde, a telewizor zawsze wisi wysoko, w rogu pod samym sufitem. Siedziałem, przysłuchiwałem się pełnym troski rozmowom pomieszanym z trajkotem telewizyjnego programu, a co jakiś czas szedłem do strefy, gdzie wolno było używać komórek, i z aparatu Wiremana dzwoniłem do Jacka. Czy starsza pani jest grzeczna? Jak aniołek. Gramy sobie w chińczyka. Potem: przebudowujemy Porcelanowe Miasteczko. Za trzecim razem usłyszałem, że jedzą kanapki i oglądają Oprę. Kiedy zadzwoniłem czwarty raz, Elizabeth spała.

- Przekaż mu - powiedział mi Jack - że z toaletą nie ma problemów. Na razie.

Przekazałem. Wireman ucieszył się na tę wiadomość, a taśmociąg powoli ciągnął dalej.

Poczekalni zaliczyliśmy w sumie trzy: jedną na izbie przyjęć, gdzie Wireman nie chciał nawet wziąć formularza do wypełnienia, być może dlatego, że nie mógł go przeczytać (ja wypełniałem rubryki za niego), drugą na neurologii, gdzie za jednym zamachem poznałem Gene'a Hadlocka, lekarza Elizabeth, oraz bladego osobnika z kocią bródką, nazwiskiem Herbert Principe, Doktor Hadlock przedstawił go jako najlepszego neurologa w Sarasocie, natomiast Principe ani mu nie zaprzeczył, ani się nie spieszył. Ostatnia poczekalnia, do której

nas skierowano, znajdowała się na pierwszym piętrze, czyli na Kondygnacji Wypasionego Sprzętu. Tutaj Wiremana zawieszono nie na rezonans magnetyczny (badanie, które znałem bardzo dobrze), ale do pracowni rentgenowskiej na końcu korytarza. Wyobrażałem sobie, że w dobie nowoczesnych badań taka pracownia musi świecić pustkami i obrastać kurzem. Wireman zostawił mi do przechowania swój medalik z Matką Boską. Czekałem, zachodząc w głowę, czemu najlepszy neurolog w Sarasocie postanowił uciec się do tak archaicznych metod. Ale nikomu nie chciało się mnie oświecać.

We wszystkich trzech poczekalniach telewizory odbierały Kanał 6, więc bez przerwy miałem przed oczami Zdjęcie: Candy Brown zaciska palce na nadgarstku Tiny Garibaldi, dziewczynka unosi głowę, patrzy na niego. Dlaczego wyraz jej twarzy był tak przerażający? Ponieważ każdy, kto wychował się w mniej więcej przyzwoitym domu, rozumie w głębi serca, co oznacza takie spojrzenie u dziecka. Powtarza im się tysiąc razy: trzeba zawsze uważać, bardzo uważać, obcy ludzie mogą być źli - a one być może nawet w to wierzą. Kłopot w tym, że dzieci z dobrych domów wyrastają dodatkowo w przekonaniu, że zawsze są bezpieczne, bo to im się po prostu należy. I dlatego oczy Tiny mówiły: *Dobrze, proszę pana, będę się pana słuchać*. Dlatego powiedziały: *Pan jest dorosły, a ja jestem dzieckiem, niech mi pan powie, czego pan ode mnie chce*. Dlatego było w nich zapewnienie: *Wiem, że mam szanować starszych*. A najbardziej makabryczne było to, że w tych oczach stało wypisane: *Jeszcze nigdy nikt mnie nie skrzywdził*.

Nie sądzę, żeby ciągle międlenie tego tematu w mediach i niemalże bezustanne wyświetlanie Zdjęcia w telewizorze mogły mieć decydujący wpływ na to, co się stało, ale czy przyczyniły się do tego chociaż trochę? Tak.

Jasne, że tak.

VIII

Było już ciemno, kiedy ruszyliśmy wreszcie spod szpitala w drogę powrotną na Dumę. Z początku prawie nie zwracałem uwagi na Wiremana; koncentrowałem się całkowicie na prowadzeniu samochodu, ponieważ coś mi mówiło, że tym razem zabraknie szczęścia i będziemy mieli wypadek. Za zjazdami na Siesta Key na drodze zrobiło się luźniej i mogłem już się trochę odprężyć. A kiedy dojechaliśmy do Crossroads Mail, Wireman powiedział:

- Skręć tutaj i zatrzymaj się.

- Chcesz iść na zakupy? Może do Gapa? Potrzebne ci bokserki? T - shirty z kieszonką?

- Nie wymądrzaj się, tylko stań tutaj. Zaparkuj gdzieś, gdzie jest światło.

Zatrzymałem wóz pod jakąś latarnią i wyłączyłem silnik. Czuję się w tym miejscu trochę nieswojo, chociaż parking był w połowie wypełniony samochodami, a do tego wiedziałem dobrze, że Candy Brown porwał Tinę Garibaldi po drugiej stronie centrum handlowego, tam, gdzie przeładowuje się towary.

- Uznałem, że raz chyba mogę komuś o tym opowiedzieć - zaczął Wireman. - A ty zasłużyłeś, żeby to usłyszeć. Bo byłeś dla mnie dobry. Kiedy ja nie byłem.

- I nawzajem.

Siedział z dłońmi złożonymi na cienkiej szarej teczce, którą dostał w szpitalu. Było na niej jego nazwisko. Uniósł jeden palec, dając znak, żebym nic nie mówił. Nie patrzył na mnie - patrzył wprost przed siebie, w okna domu towarowego Beallsa, stojącego na skraju tego skrzydła centrum handlowego.

- Chcę załatwić wszystko za jednym posiedzeniem. Pasuje ci to?

- Jasne.

- Bo ze mną to było tak.... - Odwrócił się w moją stronę z niespodziewanym ożywieniem. Jego lewe oko wciąż było czerwone i łzawiło, ale przynajmniej patrzyło w tym samym kierunku co drugie, czyli na mnie. - *Muchacho*, widziałeś kiedyś w telewizji takiego szczęściarza, który wygrał na loterii, dajmy na to: w Powerball, dwieście albo trzysta milionów dolców?

- A kto nie widział?

- Wpychają go na scenę, dają do łapy wielki fałszywy czek z kartonu, a on coś mówi. Tego, co mówi, z reguły nie da się zrozumieć, ale to dobrze, bo właśnie o to chodzi. Nie można zrozumieć gościa, który trafnie wybrał tyle numerów. To jest skandal. Absurd. W takiej sytuacji można co najwyżej palnąć: „Pojadę do Disneylandu i będzie zajebiście”. Nadążasz na razie?

- Na razie tak.

Wireman odwrócił wzrok i znów zaczął przypatrywać się ludziom wchodzącym i wychodzącym z Beallsa, domu towarowego, za którym Tina Garibaldi miała nieszczęście spotkać Candy'ego Browna.

- W moim życiu też rozegrała się *la loteria*. I wygrałem, tylko że źle wygrałem. A nawet gorzej niż źle. Wygrałem w najgorszy możliwy sposób. W poprzednim życiu byłem adwokatem w Omaha. Pracowałem w kancelarii Fineham, Dooling i Allen. Ludzie obdarzeni poczuciem humoru, do których zaliczałem także siebie, mówili o niej czasem: Fajans, Dureń i Antytalent, ale tak naprawdę to była świetna firma, uczciwa z kośćmi. Interes szedł jak

złoto, a ja nieźle się tam ustawiłem. W wieku trzydziestu siedmiu lat zdążyłem się już pogodzić ze swoim kawalerskim losem - bo wciąż byłem kawalerem. I wtedy do miasta zjechał cyrk. Mówię poważnie: prawdziwy cyrk, taki z lwami, tygrysami i akrobatami. Większość wykonawców, jak to często się zdarza, to byli obcokrajowcy. Trupa akrobatów pochodziła z Meksyku, ich rodziny tak samo. A jedna z księgowych, nazwiskiem Julia Taveres, też była Meksykanką. Prowadziła cyrkowe rachunki i pracowała jako tłumacz dla linoskoczków.

Jej imię wymówił po hiszpańsku: *Hulia*.

- Nigdy nie byłem w tym cyrku. Wireman czasem wybierze się na rockowy spęd, ale cyrk to nie jego bajka. Z tym że tutaj już zaczyna się loteria. Bo ludzie z cyrkowego biura co kilka dni ciągnęli losy, kto jedzie po zakupy: chipsy, dropsy, kawa, napoje. I pewnego dnia, właśnie w Omaha, Julia wyciągnęła oznaczoną kartkę. Pojechała do sklepu, a na parking, kiedy już wracała z zakupami do samochodu, ciężarówka wioząca produkty rolne potrąciła rząd wózków sklepowych. Wiesz, jak się ustawia takie wózki, nie?

- Wiem.

- Dobra. Bum! Wózki lecą dziesięć metrów i łamią Julii nogę. Szła tak, że niczego nie widziała, i nie miała szans, żeby uciec. Akurat tak się złożyło, że w pobliżu parkował radiowóz. Policjant usłyszał krzyk. Zadzwoił po karetkę. I zbadał kierowcę ciężarówki alkomatem. Koleś wydmuchał 1,7.

- To dużo?

- Dużo, *muchacho*. W Nebrasce 1,7 to już nie są dwie stowy grzywny. To jest jazda po pijaku. Julia posłuchała rady lekarza, który przyjął ją na ostrym dyżurze, i zgłosiła się do nas. U Fajansa, Durnia i Antytalenta pracowało trzydziestu pięciu adwokatów, a wnioskiem Julii Taveres o odszkodowanie za odniesione obrażenia mogło się zająć piętnastu specjalistów. Trafilo na mnie. Widzisz już, jak numery zaczynają się dobierać?

- Widzę.

- Zostałem jej adwokatem, a potem mężem. Wygrała proces i dostała kupę kasy. Cyrk, jak to cyrk, wyjechał, ale z personelem uszczuplonym o jedną księgową. Muszę ci mówić, że bardzo się kochaliśmy?

- Nie - odpowiedziałem. - Słyszę to za każdym razem, kiedy wymawiasz jej imię.

- Dziękuję, Edgar. Dzięki. - Wireman pochylił głowę, zacisnął dłonie na teczce. Po chwili wyciągnął z tylnej kieszeni pękaty, sfatygowany portfel; jak mógł usiedzieć na takim klocku - nie mam pojęcia. Przerzucił plastikowe koszulki na zdjęcia i ważne dokumenty. Wyciągnął jedną fotografię. Była na niej ciemnowłosa, ciemnooka kobieta w białej bluzce

bez rękawów. Na oko mogła mieć około trzydziestki. Jej uroda zapierała dech w piersiach.

- *Mi Julia* - powiedział Wireman. Chciałem mu oddać zdjęcie, ale potrząsnął głową. Dalej przerzucał koszulki, szukając kolejnego. Bałem się je zobaczyć, lecz kiedy mi je podał, wziąłem.

To była młodsza wersja Julii Wireman: te same ciemne włosy, okalające bladą, idealnie piękną twarz. Te same ciemne, poważne oczy.

- Esmeralda - szepnął Wireman. - Druga połowa mojego serca.

- Esmeralda - powtórzyłem. Oczy spoglądające na mnie z tej fotografii wydały mi się bliźniaczo podobne do tych, które patrzyły na Candy'ego Browna. Ale może wszystkie dzieci są do siebie podobne. Poczułem swędzenie. Ręka. Ta, która spłonęła w szpitalnej spalarni. Chciałem się w nią podrapać i trafiłem w żebra. Czyli wszystko po staremu.

Wireman wziął ode mnie oba zdjęcia, każde ucałował ze skąpą, suchą żarliwością - to był przerażający widok - po czym wsunął je do przezroczystych koszulek w portfelu. Potrwało to chwilę, bo ręce nagle zaczęły mu się trząść. No i chyba ze wzrokiem nie było u niego najlepiej.

- Nie musiałem nawet oglądać tych numerów, *amigo*. Wystarczy, że zamknę oczy i słyszę, jak każdy wskakuje na swoje miejsce: klik - klik - klik. Niektórzy faceci po prostu mają szczęście. Strzał i... jest! - Młasnął głośno. W ciasnym sedanie ten dźwięk zahuczał niczym grzmot.

- Kiedy Ez skończyła trzy latka, Julia znalazła sobie posadę na pół etatu w biurze pośrednictwa pracy dla imigrantów. Firma nazywała się Praca na Biało i miała siedzibę w centrum Omaha. Julia pomagała hiszpańskojęzycznym klientom znaleźć zajęcie, niezależnie od tego, czy mieli zieloną kartę czy nie, a oprócz tego kierowała na właściwą drogę nielegalnych imigrantów chcących ubiegać się o obywatelstwo. To była nieduża, skromna agencja, parę biur, jedno okno, ale to, co robili, przynosiło więcej pożytku niż wszystkie marsze i wymachiwanie transparentami. Moim skromnym zdaniem.

Przycisnął dłonie do oczu i westchnął. Oddech rwał mu się spazmatycznie. Po chwili opuścił ręce, które bezwładnie, z głuchym łomotem, opadły na teczkę leżącą na jego kolanach.

- Tamtego dnia byłem w Kansas City. Wyjazd służbowy. Julia od poniedziałku do czwartku pracowała do południa. Ez chodziła do żłobka. Mogłem potem pozwać ten żłobek i doprowadzić do zamknięcia interesu, mogłem puścić z torbami te baby, które go prowadziły, ale tego nie zrobiłem. Czemu? Bo nawet na czarnym dniu rozpachy wciąż miałem tę świadomość, że każde dziecko mógł spotkać ten sam los. To wszystko jest *la loteria*,

entiendes? Moja kancelaria pozwała kiedyś producenta żaluzji - nie pracowałem przy tym osobiście - po tym, jak niemowlak leżący w łódeczku pod oknem złapał za linkę, połknął ją i udławił się na śmierć. Rodzice wygrali, pieniądze wypłacono, ale dziecko nie wróciło dzięki temu do domu. I to wcale nie musiała być linka. To mogło być coś innego. Samochodzik na resorach. Identyfikator z psiej obroży. Szklana kulka. - Wireman wzruszył ramionami. - Ez wylosowała kulkę. Włożyła ją dla zabawy do buzi, połknęła i udławiła się na śmierć.

- Jezu, Wireman, to straszne!

- Kiedy dowieźli ją do szpitala, jeszcze żyła. Wychowawczyni ze złości zadzwoniła do biura Julii i do mojej kancelarii. Bełkotała jak wariatka. Julia wypadła z pracy, wskoczyła do samochodu, popędziła przed siebie. Trzy przecznice od szpitala zderzyła się czołowo z ciężarówką służby drogowej. Zginęła na miejscu. Nasza córka nie żyła już wtedy od mniej więcej dwudziestu minut. Ten medalik z Matką Boską, który dałem ci na przechowanie... Nosiła go Julia.

Umilkł i milczał długo, aż cisza zaczęła się przeciągać. Nie odzywałem się. Wreszcie Wireman podjął opowieść:

- To też był taki Powerball. Pięć liczb plus ta decydująca, premiovana. Klik - klik - klik - klik - klik. A potem jeszcze: klak. Na dokładkę. Czy spodziewałem się, że to właśnie mnie może przydarzyć się coś takiego? Nie, *muchacho*, w najśmielszych marzeniach nie przyszło mi to do głowy, a Bóg karze nas za to, czego nie umiemy sobie wyobrazić. Matka i ojciec błagali mnie, żebym zaczął chodzić do psychiatry, i przez jakiś czas - osiem miesięcy po pogrzebach - faktycznie chodziłem. Miałem już dość patrzenia na świat z balonu uwiązanego metr nad moją głową.

- Znam to - powiedziałem.

- Wiem, że znasz. Ty też byłeś w piekle, chociaż na innym turnusie niż ja. I też udało ci się wrócić, ale jeśli chodzi o mnie, to wciąż jeszcze zalatuję siarką. A ty?

- Też.

- Tamten psychiatra... To był miły facet, ale jakoś nie mogłem z nim gadać. Brakowało mi słów w jego obecności. Tylko się uśmiechałem. Cały czas wydawało mi się, że za chwilę wejdzie laseczka w kostiumie kąpielowym i wręczy mi mój wielki kartonowy czek, a widownia zacznie klaskać. I faktycznie, doczekałem się czeku. Po ślubie wykupiłem dla nas wspólną polisę na życie. A kiedy urodziła się Ez, dołożyłem jeszcze jedną. Tak więc rzeczywiście wygrałem *la loteria*. Zwłaszcza jeśli dodać do tego odszkodowanie, które Julia dostała za wypadek na tamtym parkingu przy supermarkecie. I tak oto dotarliśmy do tego.

Uniósł w dłoni cieką szarą teczkę.

- Myśli samobójcze chodziły mi po głowie coraz częściej. Najbardziej kusiło mnie to, że Julia i Esmeralda mogą być gdzieś blisko, może czekają, żebym je dogonił... ale na pewno nie będą czekać w nieskończoność. Nie jestem religijny w tradycyjnym sensie, ale wydaje mi się, że istnieje przynajmniej cień szansy na to, że po śmierci człowiek pozostaje, no wiesz... sobą. Ale, rzecz jasna... - skrzywił usta w lodowatym uśmiechu - ...głównie chodziło o to, że nie radziłem sobie z depresją. W sejfie miałem pistolet, dwudziestkę dwójkę, kupioną dla obrony po urodzinach Esmeraldy. Którejś nocy usiadłem w jadalni, położyłem go na stole i... I Coś mi mówi, że ta część historii nie jest ci obca, *muchacho*.

Uniosłem dłoń i pokiwałem nią w geście, który miał oznaczać: może *si*, może *no*.

- Usiadłem przy stole w jadalni, w moim pustym domu. Stała na nim misa z owocami. Zatrudniałem panią do robienia zakupów, inaczej nie byłoby żadnych owoców. Położyłem pistolet na stole i zamknąłem oczy. Obróciłem misę ze dwa albo trzy razy. Postanowiłem zrobić tak: jeśli wyciągnę jabłko, strzelę sobie w łeb i zakończę swoje życie. Ale jeśli wyciągnę pomarańczę... To podejmę moją wygraną z loterii i pojedę do Disneylandu.

- Słyszałeś lodówkę - wtrąciłem.

- Zgadza się - przytaknął bez zdziwienia. - Słyszałem, jak pracuje silnik i grzechocze maszyna do lodu. Sięgnąłem do miski i wyciągnąłem jabłko.

- Oszukiwałeś?

Wireman uśmiechnął się lekko.

- Trafne pytanie. Jeśli chcesz wiedzieć, czy podglądałem, to odpowiedź brzmi: nie. Ale czy próbowałem zapamiętać ułożenie owoców... - Wzruszył ramionami. - *Quién sabe?* Tak czy inaczej, wyciągnąłem jabłko: grzech Adamowy na nasze spadł głowy. Nie musiałem go wachać ani gryźć, poznałem po dotyku, co trzymam w dłoni. Nie otwierając oczu, żeby nie dać sobie czasu na zastanowienie, wziąłem pistolet ze stołu i przyłożyłem do skroni. - Zademonstrował to dłonią, której ja już nie miałem: zgiął kciuk, a wyprostowanym palcem wskazującym dotknął okrągłej blizny, zazwyczaj ukrytej pod długimi, siwiejącymi włosami. - Pamiętam swoją ostatnią myśl: „Przynajmniej przestanę słyszeć tę lodówkę i nie będę już musiał jeść z niej żadnych specjalów, na przykład baraniej pieczeni w sosie”. Nie przypominam sobie natomiast żadnego huku. Ale z hukiem czy bez, nagle wszystko zrobiło się oślepiająco białe i tak poprzednie życie Wiremana dobiegło końca. Mam mówić dalej, o halucynacjach i innym gównie?

- Tak, poproszę.

- Chcesz sprawdzić, czy przeszedłem przez coś podobnego co ty?

- Tak. - W tym momencie przyszło mi do głowy pewne pytanie, które mogło okazać

się istotne. - Wireman, powiedz mi: czy te telepatyczne przebłyski, dziwne rozszerzenia percepcji czy jak tam chcesz to nazwać, zdarzały ci się, zanim przyjechałeś na Dumę? - Myślałem o Gandalfie, psie Moniki Goldstein, którego, jak mi się wydawało, udusiłem amputowaną ręką.

- Owszem - odparł. - Dwa albo trzy razy. Może kiedyś ci o tym opowiem, ale w tej chwili nie chcę, żeby Jack siedział zbyt długo sam z panną Eastlake. Pomijam już wszystko inne, ale ona po prostu będzie się o mnie martwić. To jest kochane stworzenie.

Mogłem zauważyć, że sam Jack, który na swój sposób również jest kochanym stworzeniem, będzie się martwił tak samo jak Elizabeth, ale zamiast tego poprosiłem go tylko, żeby mówił dalej.

- Od ciebie, *muchacho*, często odbieram kolor czerwony - poinformował mnie Wireman. - To raczej nie jest aura ani myśl... chyba że akurat jest. Trzy albo cztery razy odebrałem to od ciebie jednocześnie jako słowo i kolor. I faktycznie, raz to nie było na Dumie, tylko w Sarasocie. W galerii Scoto.

- Kiedy zaciąłem się na jednym słowie.

- Jakim słowie? Nie pamiętam nic takiego.

- Ja też nie, ale to musiało być to. Czerwony kolor to mój klucz do pamięci. Impuls mnemotechniczny. Żeby było śmieszniej, wziąłem go z piosenki Reby McEntire. Wpadłem na to prawie przypadkiem. Ale to chyba nie wszystko. Kiedy nie mogę sobie czegoś przypomnieć, zaczynam... no, wiesz...

- Trochę się wkurzać?

Stało mi przed oczami, jak chwytam Pam za gardło. Jak próbuję ją udusić.

- Mhm - przytaknąłem. - Można tak powiedzieć.

- Aha.

- W każdym razie podejrzewam, że ta czerwień w jakiś sposób... wyciekła i splamiła mój mentalny wizerunek? Tak to wygląda?

- Mniej więcej. A za każdym razem, kiedy wyczuwam to od ciebie - w tobie - przypomina mi się tamten moment, kiedy ocknąłem się po pociągnięciu za cyngiel. Zobaczyłem wtedy, że cały świat nagle przybrał ciemnoczerwoną barwę, i pomyślałem, że jestem w piekle, że tak właśnie musi wyglądać piekło: wieczność w kolorze szkarłatu. - Zawiesił głos. - A potem dotarło do mnie, że to tylko jabłko. Leżało przed samym moim nosem, może ze dwa centymetry od oczu. Na podłodze, bo ja też leżałem na podłodze.

- Nie do wiary... - westchnąłem.

- To samo ja pomyślałem, ale wiara nie miała z tym nic wspólnego. To było tylko

zwykle jabłko. Powiedziałem na głos: „Grzech Adamowy na nasze spadł głowy”. A potem: „Misa z owocami”. Następne dziewięćdziesiąt sześć godzin pamiętam z idealną dokładnością. I ze wszystkimi szczegółami: co się wydarzyło i co kto powiedział. - Zaśmiał się krótko. - Wiem, oczywiście, że niektóre z tych wspomnień są nieprawdziwe, ale i tak pamiętam je doskonale. Nawet dziś nie zająknąłbym się na żadnym przesłuchaniu, choćby mnie pytali, czy naprawdę widziałem, jak z ust, oczu i nozdrzy starego Jacka Finehama wylażą oblepione ropą karaluchy.

Łeb mnie bolał jak cholera, ale kiedy już otrząsnąłem się z wrażenia, jakie zrobiło na mnie tamto jabłko w zbliżeniu, poczułem się ogólnie w porządku. Dochodziła czwarta nad ranem. Upłynęło sześć godzin. Leżałem na podłodze, w kałuży skrzepniętej krwi. Prawy policzek też miałem uwalany krwią, cały w zastygłych farfoclach podobnych do stężałej galarety. Pamiętam, że usiadłem i powiedziałem: „Jestem elegant w auszpiku”, a potem usiłowałem sobie przypomnieć, czy auszpik to nie jest przypadkiem coś w rodzaju galarety. Dodałem jeszcze: „W misie na owoce nie ma galarety” - i wydało mi się to takie rozsądne, że test zdrowia psychicznego uznałem od tej chwili za zaliczony. Przestałem wierzyć, że naprawdę strzeliłem sobie w łeb. Bardziej prawdopodobne wydawało mi się, że usnąłem przy stole w jadalni, rozmyślając tylko o samobójstwie. Spadłem z krzesła i rozbiłem sobie głowę - stąd krew. Prawdę mówiąc, byłem tego prawie całkowicie pewien, wzięwszy pod uwagę fakt, że mogłem chodzić i mówić. Spróbowałem powiedzieć coś jeszcze: imię mojej matki. Zamiast tego wyrecytowałem: „Skoszę pole, sprzedam zboże, każdy orze tak, jak może”.

Przytaknąłem entuzjastycznie. Ja też przeżyłem coś podobnego, i to nie raz; mnóstwo razy. Po wybudzeniu się ze śpiączki. Usiądź na cherlaka, na chuchro.

- Byłeś zły? - zapytałem.

- Nie, łagodny i pogodny! Ulżyło mi! Mętlik w głowie po upadku z krzesła był dla mnie jak najbardziej do przyjęcia. I dopiero wtedy zauważyłem na podłodze pistolet. Podniosłem go, powąchałem lufę. Zapachu broni, z której niedawno strzelano, nie można z niczym pomylić. Jest ostry, agresywny, ma ten pazur. Mimo to w dalszym ciągu trzymałem się teorii o upadku z krzesła i rozbiciu głowy - dopóki nie poszedłem do łazienki. Bo tam w lustrze zobaczyłem, że mam w skroni dziurę. Małą, okrągłą dziurkę obwiedzioną szlaczkiem oparzeliny.

Zaśmiał się znowu, jakby przypomniał sobie jakąś głupią gafę z przeszłości, na przykład próbę wjechania tyłem do zamkniętego garażu.

- I wtedy, Edgar, usłyszałem, jak w okienku wyskakuje ostatnia, premiovana liczba. Wygrałem! Jednak pojedę do tego Disneylandu!

- I faktycznie blisko cię zaniósł - zauważyłem. - Jezu Chryste, Wireman...

- Próbowałem umyć osmaloną skórę, ale wycieranie ręcznikiem bolało. Jakbym przygryzał chory ząb.

A ja nagle zrozumiałem, dlaczego go prześwietlali, zamiast zrobić rezonans. On cały czas nosił tę kulę w głowie.

- Wireman, mogę o coś zapytać?

- Jasne.

- Czy nerwy wzrokowe są... jak by to powiedzieć... na opak?

- W rzeczy samej.

- Więc to dlatego lewe oko ci wysiadło. To coś takiego jak... - Zabrakło mi słowa. Przez chwilę mocowałem się z pamięcią, zaciskając zęby, i już wiedziałem, o co mi chodzi. - Jak obrażenia z przeciwwagi.

- Chyba masz rację. Strzeliłem sobie w ten głupi łeb z prawej strony, ale wzrok mi wysiada w lewym oku. Dziurkę zakleiliśmy plasterkiem. I łyknąłem kilka aspiryn.

Parsknąłem śmiechem, nie mogąc się powstrzymać. Wireman uśmiechnął się, skinął głową.

- Potem położyłem się do łóżka i spróbowałem zasnąć. Równie dobrze można spać w sali prób orkiestry dętej. Przez cztery dni nie zmrużyłem oka i miałem wrażenie, że już nigdy w życiu nie usnę. Mózg pracował mi na takich obrotach, że kokaina to przy tym miętusy. Nie mogłem nawet uleżeć dłuższą chwilę. Po dwudziestu minutach wyskoczyłem z łóżka i włączyłem płytę z kapelą *mariacki*. Była piąta trzydzieści. Wsiadłem na pół godzinki na rower treningowy - pierwszy raz od śmierci Julii i Esmeraldy - wykapałem się i poszedłem do pracy.

- Przez trzy dni popierdziałem jak parowóz, jak rakieta, jak orzeł palestry. Koledzy najpierw się martwili, potem zaczęli się o mnie bać, aż w końcu zaczęli bać się o siebie. Dlaczego? Coraz częściej wtrącałem jakieś zdania zupełnie od czapy, a do tego w pół słowa przechodziłem na hiszpański albo gorzej, pseudofrancuski, jak ten skunks z kreskówek Warner Bros, Pepe Le Swąd. Trzeba jednak powiedzieć, że przez te trzy dni przerzuciłem tonę papierów, z czego bardzo niewielki procent wrócił potem do firmy. Sprawdziłem. Zarówno szefostwo, jak i koledzy prawnicy byli jednomyślni: Wiremana dopadło załamanie nerwowe. I w pewnym sensie mieli rację. To było załamanie nerwowe, tylko że w organicznej postaci. Kilkoro ludzi namawiało mnie, żebym poszedł do domu, ale nie, nic z tego. Dion Knightly, mój dobry kumpel, błagał mnie prawie, żebym pojechał z nim do lekarza. Wiesz, co mu odpowiedziałem?

Potrząsnąłem głową.

- „Pola obsiane, zbiory już sprzedane”. Pamiętam jak dziś! A potem odwróciłem się i poszedłem. A właściwie pobiegłem w podskokach. Chodzić - to dla Wiremana było za wolno. Przesiedziałem w robocie dwie nocki z rzędu. Trzeciej nocy wyprowadził mnie ochroniarz, nie zważając na moje protesty. Powiadomiłem go zatem, że penis we wzwodzie zamiast skrupuła ma kapilary, i to bardzo dużo, bo coś około miliona. Nazwałem go też elegantem w auszpiku i rzuciłem mu w twarz, że nienawidził go własny ojciec. - Wireman spuścił głowę, przez chwilę przyglądał się teczce na swoich kolanach. - To ostatnie chyba trafiło w czuły punkt. Nawet na pewno. - Postukał się w skroń, tuż obok blizny. - Dziwna ta radiostacja, *amigo*. Bardzo dziwna.

Następnego dnia zostałem wezwany do Jacka Finehama, radcy naszego królestwa. Polecono mi wziąć urlop. To nie była prośba, tylko właśnie polecenie służbowe. Jack wyraził opinię, że wróciłem do pracy zbyt wcześnie po moich „niepowodzeniach rodzinnych”. Ja mu na to: bzdura, nie miałem w rodzinie żadnych niepowodzeń. „Rzeknij normalnie, że moja żona i córka jeżą zgniłe jabłka”, powiedziałem, „rzeknij to ino, białogłowy pryncypale, bo tak się przedstawia robaczywa autentyczność”. I wtedy z nosa i oczu zaczęły mu wyłazić karaluchy. Parę wypęzło też spod języka, wlokąc za sobą nitki białych mętów. Całą brodę miał tym umazaną.

Zacząłem krzyczeć i rzuciłem się na niego. Żeby nie guzik alarmowy na biurku - nawet nie wiedziałem, że tchórzliwy dziadyga miał coś takiego - tobym go chyba zabił. Okazało się też, że ma niezłą parę w nogach. Spieprzał przede mną po całym gabinecie. No, jak się tyle lat grało w tenisa i w golfa... - Zamyślił się nad tym na chwilę. - W każdym razie ja miałem przewagę młodości i furii. Zanim przybyła odsiecz, zdążyłem go dopaść. Z sześciu adwokatów mnie odciągało, a marynarkę, markową, od Paula Stuarta, rozerwałem mu na pół, prosto przez plecy. - Potrząsnął powoli głową. - Żałuj, że nie słyszałeś, jak się wydzierał, ten *hijo de puta*. A jak ja się darłem... Totalnie mi odwaliło, wrzeszczałem na całe gardło jakieś kalumnie, że niby mój szef lubi nosić damską bieliznę. Tylko że to mogła być prawda, tak samo jak z tym ochroniarzem z nocnej zmiany. Zabawne, nie? I to był już koniec mojej kariery u Fajansa, Durnia i Antytalenta. Nikt nie oglądał się na to, czy jestem wariatem, czy cenionym fachowcem.

- Przykro mi - powiedziałem.

- *De nada*, wszystko dobrze się skończyło - oznajmił rzeczowym tonem. - Kiedy koledzy adwokaci wyciągali mnie od szefa, któremu zdemolowałem gabinet, trafiła mnie apopleksja. *Grand mal*, ojciec wszystkich napadów padaczkowych. Gdyby jeden z doradców

prawnych nie znalazł się na pierwszej pomocy, mógłbym wyciągnąć kopyta na miejscu. Ale i tak przeleżałem martwym bykiem trzy dni. I co się okazało? Że jednak potrzebuję snu. Tak więc teraz.

Wireman otworzył teczkę i wręczył mi trzy zdjęcia rentgenowskie. Nie dorównywały jakością przekrojom wykonanym metodą rezonansu magnetycznego, ale chociaż byłem laikiem, wiedziałem, na co patrzę, a to dzięki własnym doświadczeniom w tej dziedzinie.

- Oto masz przed sobą, Edgarze, obiekt, w którego istnienie wielu ludzi po prostu nie wierzy: mózg prawnika. Tobie też robili takie obrazki?

- Ujmę to tak: mógłbym złożyć z nich album.

Wireman wyszczerzył zęby.

- Tylko kto by chciał go oglądać - dokończył. - Widzisz kulę?

- Widzę. Musiałeś trzymać broń jakoś tak... - Przyłożyłem dłoń do skroni, kierując palec wskazujący w dół pod ostrym kątem.

- Tak to mniej więcej wyglądało. Nabój najwidoczniej częściowo nie wypalił, bo pocisk miał tylko tyle siły, żeby przebić czaszkę i zagrzebać się w mózgu. Ale kość odchyliła jego tor, tak że wszedł pod jeszcze ostrzejszym kątem. I zatrzymał się, ale zanim to się stało, wywołał... Jak to nazwać...?

- Fałę?

- Właśnie! - Oczy mu błysnęły. - Tyle że konsystencja mózgu bardziej przypomina cielecą wątrobę niż wodę.

- Euuuu. Śliczne.

- Wiem. Wireman potrafi błysnąć aforyzmem. Kula pchnęła ku dołowi fałę, która spowodowała obrzęk i ucisk skrzyżowania nerwów wzrokowych. To jest miejsce, gdzie lewe oko zamienia się stronami z prawym. Rozumiesz już, jak to się wszystko pięknie złożyło? Strzeliłem sobie w łeb i przeżyłem, ale jakby tego było mało, to jeszcze kula ugrzęzła mi pod sufitem - stuknął się palcem tuż nad prawym uchem - i psuje moją aparaturę. A teraz zaczyna mi się pogarszać, bo ta kula się przemieszcza. Jest już co najmniej pół centymetra głębiej niż dwa lata temu. Prawdopodobnie nawet więcej. Wiem o tym bez Hadlocka i Principe'a. Sam to widzę na tych rentgenach.

- Więc pozwól się zoperować, Wireman. Niech ci to wyjmą. Jack i ja zaopiekujemy się Elizabeth, dopóki nie staniesz na... - Urwałem, widząc, że kręci głową. - Nie? Dlaczego nie?

- Ta kula jest za głęboko, żeby ją usunąć chirurgicznie, *amigo*. To dlatego nie pozwoliłem się zatrzymać w szpitalu. Myślałeś, że nie chcę się kłaść do łóżka, bo pragnę

umrzeć na swobodzie? Gdzie tam. Ja już nie chcę umierać. Wciąż tęsknię za żoną i córką, ale teraz mam pod opieką pannę Eastlake i pokochałem naszą wyspę. No i jesteś jeszcze ty, Edgar. Chcę zobaczyć, jak potoczy się twoja historia. Czy żałuję tego, co zrobiłem? Czasem *si*, czasem *no*. Kiedy zaczynam się skłaniać ku temu pierwszemu, mówię sobie, że byłem wtedy zupełnie kim innym niż teraz i że muszę dać temu dawnemu sobie trochę luzu. Tamten człowiek szalał z bólu i był tak zagubiony, że naprawdę nie może za to odpowiadać. To było moje poprzednie życie i staram się patrzeć na tamte problemy jak na... hmm... wady wrodzone.

- Wireman, to jest jakiś bełkot.

- Tak? A pomyśl o sobie.

Pomyślałem. Byłem facetem, który próbował udusić własną żonę, a potem o tym zapomniał. I który teraz sypiał z lalką u boku. Postanowiłem trzymać język za zębami i zachować swoje zdanie dla siebie.

- Doktor Principe tylko dlatego chce mnie przyjąć do szpitala, ponieważ jestem ciekawy jako przypadek - oznajmił Wireman.

- Tego nie wiesz.

- Właśnie, że wiem! - sprzeciwił się, tłumiąc wzburzenie. - Od czasu, kiedy sobie to zrobiłem, spotkałem już co najmniej czterech takich doktorów Principe, a jeden jak klon drugiego: błyskotliwy, ale zawsze na dystans, niezdolny do empatii. Wiesz, ile dzieli takich ludzi od socjopatów. o których pisał John D. MacDonald? Jeden, góra dwa kroki. Principe wie, że w moim przypadku operacja jest tak samo niemożliwa jak u pacjenta, który ma w tym samym miejscu złośliwego guza. Tyle że guza można przynajmniej próbować naświetlać, a kawałek ołowiu na to nie zareaguje. Principe o tym wie, ale mimo wszystko to go fascynuje. I nie widzi nic złego w dawaniu mi fałszywej nadziei, która pozwoli mu położyć mnie do szpitala, robić ze mną, co zechce, i pytać, czy boli. A potem, jak już się przekręcę, to pewnie napisze artykuł i tylko na tym skorzysta. Pojedzie sobie na Cancún i będzie popijał drinki na plaży.

- Surowo go osądzasz.

- Zajrzyj mu w oczy, to zobaczysz, co to znaczy „surowy”. Mnie wystarczyło raz spojrzeć. Od razu chciałem uciekać, gdzie pieprz rośnie, dopóki jeszcze mogę. Co zresztą zrobiłem.

Potrząsnąłem głową, myśląc, że trzeba dać już sobie spokój.

- Więc na czym stoimy?

- A możemy już jechać? Dziwnie się czuję w tym miejscu, aż mnie ciarki przechodzą.

Właśnie sobie uświadomiłem, że to tutaj tamten wariat porwał dziewczynkę.

- Mogłem ci to powiedzieć, kiedy tu zajechaliśmy.

- Ale nie powiedziałeś i dobrze - ziewnął. - Boże, ależ jestem zmęczony.

- To stres. - Rozejrzałem się w obie strony i wcisnąłem gaz, wyjeżdżając z powrotem na Tamiami Trail. Wciąż jeszcze nie mogłem uwierzyć, że samodzielnie prowadzę samochód, ale zaczynało mi się to podobać.

- A więc - podjął Wireman - stoimy na tym, że nie jest dobrze. Cały czas biorę leki przeciwpadaczkowe, doxepin i zonegran, i to w takich dawkach, że konia zwałoby z nóg. Działają jak należy, ale wtedy, po obiedzie w Zorii, faktycznie nie było ze mną najlepiej. Wiem o tym, chociaż próbowałem zaprzeczać, ale, jak to mówią: faraon też nie chciał wierzyć i utopii się w morzu, a Mojżesz wyprowadził dzieci Izraela z niewoli.

- Hmm... To chyba było Morze Czerwone. Są jakieś inne leki? Silniejsze?

- Principe już mi machał przed nosem bloczkiem z receptami, ale chciał, żebym zaczął brać neurontin, a ja w życiu się na to nie zgodzę.

- Bo masz pracę i obowiązki.

- Zgadza się.

- Wireman, jeśli oślepniesz, Elizabeth nie będzie miała z ciebie żadnego pożytku.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Opustoszała droga wybiegała nam naprzeciw w świetle reflektorów. Wreszcie odezwał się:

- Niedługo będę miał o wiele gorsze problemy niż ślepotą.

Zerknąłem na niego z ukosa.

- Chcesz powiedzieć, że to cię zabije?

- Tak. - To jedno krótkie słowo było bardzo przekonujące, bo absolutnie pozbawione wszelkiego dramatyzmu. - I wiesz co, Edgar?

- Słucham.

- Zanim to się tak skończy, dopóki jeszcze widzę chociaż na jedno oko, chciałbym zobaczyć twoje nowe obrazy. Panna Eastlake też jest ciekawa. Chce, żebyś jej je pokazał, i prosiła mnie, żebym cię zapytał, czy się zgodzisz. Mógłbyś przyjechać z nimi do *El Palacio*. Świetnie już sobie radzisz za kółkiem.

Dostrzegłem przed nami zjazd na Dumę. Włączyłem kierunkowskaz.

- Czasem coś mnie nachodzi - powiedział Wireman - i myślę sobie, że to moje cudowne szczęście kiedyś musi się wreszcie ode mnie odwrócić. Statystycznie nie ma żadnego powodu, żeby tak się stało, ale przynajmniej mam się czego trzymać. Rozumiesz?

- Rozumiem - przytaknąłem. - I wiesz co, Wireman?

- Słucham cię, *muchacho*.

- Mówiłeś, że kochasz Dumę. Ale wydaje ci się też, że coś jest z nią nie tak. Co konkretnie?

- Nie wiem, ale coś na pewno. Ty tego nie zauważyłeś?

- Oczywiście, że zauważyłem. Przecież wiesz. Kiedy wybraliśmy się z Ilse na południe wyspy, oboje dostaliśmy dziwnych sensacji. Ja zniosłem to lepiej, ona gorzej.

- Nie tylko ona przeżyła tutaj coś takiego. Słyszałem różne historie.

- To o Dumie krążą historie?

- O, jasne. Na plaży jest jeszcze w porządku, ale w głębi wyspy... - Potrząsnął głową. - Ja sądzę, że to kwestia skażenia wód gruntowych. Z tego samego powodu wszystko rośnie tam jak czort, chociaż jesteśmy w klimacie, gdzie głupi trawnik trzeba regularnie podlewać, żeby nie zdechł. Nie wiem na pewno, ale najlepiej trzymać się od tego z daleka. I wydaje mi się, że tę radę szczególnie powinny wziąć sobie do serca młode damy, które kiedyś chciałyby urodzić dzieci. Zdrowe dzieci, bez wad wrodzonych.

Coś takiego nie przyszło mi do głowy, ale faktycznie, ta myśl była paskudna. Nie odezwałem się już ani słowem.

IX

To jest opowieść o wspomnieniach, a tak się składa, że mam niewiele wspomnień z zimy spędzonej na wyspie Duma Key, które mogłyby dorównać wyrazistością owemu lutowemu wieczorowi, kiedy wróciłem z Wiremanem do *El Palacio de Asesinos*. Żelazna brama stała otworem, a w bramie, na samym środku, tak samo jak w dniu mojej nieudanej wyprawy z Ilse na południe wyspy, siedziała na swoim wózku Elizabeth Eastlake. Nie zabrała ze sobą miotacza harpunów, ale była ubrana tak samo jak wtedy, w dwuczęściowy dres (tym razem dodatkowo na wierzch miała zarzucone coś, co wyglądało jak stara szkolna marynarka) i wielkie trampki, które w świetle reflektorów mojego malibu nie były już niebieskie, tylko czarne. Koło wózka z chromowanymi podnózkami stał balkonik starszej pani, a obok balkonika - Jack Cantori z latarką w dłoni.

Kiedy Elizabeth dostrzegła samochód, zaczęła wstawać. Jack chciał ją powstrzymać, ale w końcu zrozumiał, że to nie są żarty, położył latarkę na ziemi i pomógł. Zanim zdążyłem zaparkować pod bramą, Wireman już otwierał drzwi. W świetle samochodowych reflektorów starsza pani i jej młody opiekun wyglądali jak para aktorów na scenie.

- Panno Eastlake, nie! - zawołał Wireman. - Proszę nie wstawać! Już panią zabieram

do domu!

Jakby go nie słyszała. Jack pomógł jej dotrzeć do balkonika, albo inaczej: zaciągnęła Jacka do swojego balkonika i chwyciwszy za rączki, ruszyła ze stukotem w kierunku samochodu. Ja gramoliłem się tymczasem zza kierownicy, jak zwykle walcząc z chorą prawą nogą, która próbowała uciekać. Kiedy wreszcie udało mi się wysiąść, stanąłem za maską malibu i patrzyłem, jak Elizabeth odstawia balkonik na bok i wyciąga ręce do Wiremana. Zwiotczała skóra na przedramionach wisiała martwo, kredowobiała w świetle samochodowych lamp, ale stopy, rozstawione szeroko, trzymały się mocno i pewnie. Wiatr pełen nocnych aromatów rozwiął włosy panny Eastlake; bez najmniejszego zdziwienia zauważyłem bliznę - bardzo starą bliznę - na jej prawej skroni. Sam nosiłem niemalże identyczną.

Wireman wyszedł zza otwartych drzwi i stanął jak wryty. Przez sekundę albo dwie zastanawiał się chyba, czy jest jeszcze zdolny przyjąć pocieszenie i sam go udzielić. Potem zbliżył się do Elizabeth ociężałym, niedźwiedzim krokiem, ze zgiętym karkiem i długimi włosami opadłymi aż na policzki. A ona objęła go, przyciągając jego głowę do swojej rozłożystej piersi. W pierwszej chwili zachwiała się, a ja drgnąłem, bojąc się, że sytuacji nie uratuje nawet jej pewna, na oko niewzruszona postawa, szybko jednak odzyskała równowagę i zobaczyłem, jak gładzi Wiremana po plecach swoimi powykręcany przez artretyzm rękami, a jego ramiona nagle zaczynają dygotać.

Zbliżyłem się do nich nieco niepewnym krokiem. Staruszka uniosła na mnie wzrok; Jej spojrzenia nie mąciło absolutnie nic. Nie miałem przed sobą kobiety, która pytała mnie niedawno, o której przyjedzie pociąg, i narzekała, że wszystko jej się pierdoli. Widać było wyraźnie, że przekaźniki w jej mózgu są w komplecie, włączone i sprawne. Przynajmniej chwilowo.

- Poradzimy sobie - powiedziała. - Możesz już wracać do domu, Edgarze.

- Ale...

- Poradzimy sobie. - Z nieopisaną czułością pogładziła Wiremana po plecach zgrubiałą, sękatą dłonią. - Wireman zabierze mnie do domu. Za chwilę. Prawda, Wireman?

Odpowiedział bez słowa, bez najmniejszego dźwięku: skinął tylko głową, nie odrywając twarzy od piersi panny Eastlake.

Przemyślałem sprawę i postanowiłem zrobić to, czego chciała.

- W porządku - mruknąłem. - Dobranoc, Elizabeth. Dobranoc, Wireman. Chodź, Jack.

Balkonik miał niedużą półeczkę. Jack położył na niej latarkę, zerknął na Wiremana, który wciąż stał zgarbiony, z twarzą ukrytą na piersi staruszki, a potem podszedł do mojego

samochoду.

- Dobranoc pani - powiedział, stając we wciąż otwartych drzwiach ze strony pasażera.

- Dobranoc, młody człowieku. Gra w chińczyka wymaga cierpliwości, na której ci nie zbywa, ale zapowiadasz się całkiem obiecująco. Edgarze, jeszcze jedno - spojrzała na mnie spokojnym wzrokiem sponad pochylonej głowy Wiremana, sponad jego drżących pleców. - Nurt przyspieszył. Wkrótce dotrze do bystrzyny. Czujesz to?

- Tak. - Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi, a jednak rozumiałem, co to ma znaczyć.

- Zostań. Proszę, zostań na wyspie, cokolwiek będzie się działo. Potrzebujemy cię. Ja i Duma Key. Nie zapomnij, że to powiedziałam, kiedy znów zacznę błądzić we mgle.

- Nie zapomnę.

- Znajdź kosz piknikowy niani Meldy. Szukaj go na strychu, jestem prawie pewna, że tam będzie. Ma czerwony kolor. Znajdziesz go bez trudu. Wszystkie są w środku.

- „Wszystkie”, czyli co konkretnie, Elizabeth?

- Tak. - Skinęła głową. - Dobranoc, Edwardzie.

I to mi wystarczyło, żeby zrozumieć: znów ogarnęła ją mgła. Ale był już tutaj Wireman. Wireman zawiezie ją do domu, zaopiekuje się nią. A dopóki nie powrócą mu siły - ona da radę zadbać o niego i o siebie samą. Zostawiłem ich na podjeździe, pod łukiem żelaznej bramy, stojących pomiędzy balkonikiem a wózkiem inwalidzkim - ona obejmowała go ramionami, on tulił głowę do jej piersi. Ten obraz pamiętam dobrze.

Jak dziś.

X

Czułem się wykończony; miała w tym udział zarówno samodzielna jazda samochodem, jak, zdaje się, dzień spędzony wśród ludzi po tak długim okresie samotności. Bynajmniej nie chciałem jednak się kłaść, a tym bardziej spać. Sprawdziłem pocztę i okazało się, że mam wiadomości od obu córek. Melinda dostała w Paryżu zapalenia gardła i jak zwykle przeżywała chorobę bardzo osobiście. Ilse przysłała mi link do strony „Citizen - Timesa”, lokalnej gazety z miasta Asheville w Północnej Karolinie. Link prowadził do entuzjastycznej recenzji koncertu Skowronków, którzy wystąpili w miejscowym Pierwszym Kościele Baptistycznym, porywając wiernych i wywołując burzę żarliwych okrzyków „Alleluja!”. Było tam również zdjęcie Carsona Jonesa w parze z bardzo atrakcyjną blondynką. Stali przed chórem, oboje mieli usta otwarte do śpiewu i patrzyli sobie w oczy. **Carson Jones i Bridget Andreisson wykonali w duecie „Jak wspaniały jesteś Ty”, głosił**

podpis pod zdjęciem. Hmmm. „Wcale nie jestem zazdrosna”, napisała moja Nimfa. Hmmm po raz drugi.

Zrobiłem sobie kanapkę z kielbasą i serem (trzy miesiące na Dumie, a kielbasa wciąż była), po czym poszedłem na górę. Obejrzałem serię obrazów „Dziewczynka i statek”, która tak naprawdę nosiła tytuł „Ilse i statek”. Przypomniałem sobie, że Wireman pytał, co ostatnio maluję. Potem z kolei przypomniałem sobie długą wiadomość, którą Elizabeth nagrała mi na automatycznej sekretarce. I niepokój w jej głosie. „Musisz zachować ostrożność”, tak powiedziała.

Nagle zrozumiałem, co chcę zrobić. Zszedłem na parter, najszybciej, jak tylko mogłem, nie ryzykując, że się przewrócę.

XI

W odróżnieniu od Wiremana, nie taszcze ze sobą starego, wypchanego portfela. Zazwyczaj wystarczy mi jedna karta kredytowa, prawo jazdy i mały zwitek banknotów; wkładam to wszystko do kieszeni koszuli i jest dobrze. Portfel był zamknięty na klucz w szufladzie biurka stojącego w salonie. Wyjąłem go i przerzuciłem wizytówki, szukając tej z napisem **GALERIA SCOTO**, wytłoczonym dużymi, wypukłymi literami. Było już po godzinach, więc tak jak się spodziewałem, włączyła się automatyczna sekretarka. Kiedy Dario Nannuzzi skończył swoją gadkę i w słuchawce rozległ się sygnał, powiedziałem tak:

- Witam, panie Nannuzzi. Mówi Edgar Freemantle z wyspy Duma Key... - Urwałem na chwilę, bo zamierzałem powiedzieć „facet od zachodów słońca”, ale tknęło mnie, że Nannuzzi tak o mnie nie myśli, dokończyłem więc inaczej: - ... malarz od zachodów słońca z muszlami, roślinami i tak dalej. Wspominał pan o możliwości zorganizowania wystawy moich prac. Jeśli to nadal aktualne, proszę o telefon. - Podyktowałem numer i odłożyłem słuchawkę. Humor poprawił mi się odrobinę. Miałem poczucie, że przynajmniej coś zostało zrobione.

Wziąłem sobie piwo z lodówki i włączyłem telewizor w nadziei, że może znajdę na HBO jakiś film wart obejrzenia przed położeniem się spać. Muszle pod podłogą szeptały przyjemnymi, usypiającymi głosami; tego dnia ich rozmowa była dla odmiany kulturalna i cicha.

Zagłuszył ją mężczyzna przemawiający z ekranu telewizora. Stał przed baterią mikrofonów. Był to obrońca z urzędu przydzielony do sprawy Candy'ego Browna; akurat wypowiadał się na Kanale 6. Jego wystąpienie szło z taśmy, a zatem musiało zostać nagrane

mniej więcej w tym samym czasie, kiedy lekarze badali głowę Wiremana. Prawnik miał około pięćdziesiątki, długie włosy zebrane w charakterystyczny adwokacki kucyk, nie sprawiał jednak wrażenia znudzonego rutyniarza. Przemawiał jak człowiek z misją. Na wstępie oznajmił dziennikarzom, że jego klient nie przyzna się do winy i wystąpi o uznanie niepoczytalności.

Wyjaśnił, że pan Brown jest schizofrenikiem uzależnionym od narkotyków, pornografii i seksu. Ani słowa o zgubnej namiętności do lodów i składanek z najpopularniejszymi piosenkami świata, ale, rzecz jasna, ławy przysięgłych jak dotąd jeszcze nie powołano. W gąszczu mikrofonów jeżących się przed nim dostrzegłem, oprócz znaku Kanału 6, kostki NBC, CBS, ABC, Fox i CNN. Na taki rozgłos Tina Garibaldi nie miałyby szans, gdyby wygrała konkurs ortograficzny albo turniej młodych naukowców, ani nawet gdyby uratowała ukochanego pieska, który wpadł do rwącej rzeki. Ale gwałt i morderstwo? Od razu cały kraj o tobie słyszał. I wszyscy wiedzą, że morderca schował twoje majtki w komodzie.

- Pan Brown szczerze przyznał się do uzależnień - powiedział adwokat. - Jego matka była narkomanką, podobnie obaj ojczymowie. W dzieciństwie przeszedł przez piekło, był systematycznie maltretowany i wykorzystywany seksualnie. Leczył się w zakładach dla umysłowo chorych. Jego żona to osoba o dobrym sercu, ale ona także zmaga się z podobną chorobą. Trzeba to wyraźnie powiedzieć: George Brown nigdy nie powinien swobodnie chodzić po ulicach tego miasta.

Spojrzał prosto w obiektywy kamer.

- Winę za to przestępstwo ponosi nie George Brown, ale cała Sarasota. Szczerym sercem współczuję państwu Garibaldi, płacząc nad ich tragedią - łypnął suchymi oczami w stronę kamerzystów, jakby mając nadzieję, że będzie to widać - ale skazanie George'a Browna na śmierć i stracenie go w Starke Prison nie przywróci życia małej Tinie, jak również nie naprawi wadliwego systemu, który dał temu emocjonalnemu kalece pełną swobodę, nie wziął go pod kontrolę. Takie jest moje oświadczenie, dziękuję państwu za uwagę, a teraz przepraszam.

Odwrócił się i odszedł, lekceważąc wykrzykiwane pytania. I wszystko by jeszcze dobrze się skończyło - a w każdym razie inaczej - gdybym w tym momencie wyłączył telewizor albo zmienił program. Ale nie. Oglądałem dalej Kanał 6, na którym po materiale z puszki pojawiła się gadająca głowa w studio i wygłosiła komentarz:

- Royal Bonnier, adwokat - bojownik, mający na koncie sześć wygranych spraw z urzędu, powszechnie uznawanych za beznadziejne, oświadczył, że zrobi wszystko, aby

wykluczyć z materiału dowodowego nagranie z kamery monitoringowej zainstalowanej na tyłach domu towarowego Bealls. Prezentujemy niniejsze nagranie.

I znów ten sam cholerny spektakl. Dziewczynka z plecakiem na ramieniu przechodzi z prawej strony kadru na lewą. Brown schodzi z rampy i łapie ją za nadgarstek, a ona unosi głowę i porusza ustami, jakby go o coś pytała. A mnie w tym momencie zaczęła swędzieć amputowana ręka, tak straszliwie, jakby obsiadł ją rój pszczoł.

Krzyknąłem - z zaskoczenia i z bólu - i przewróciłem się na podłogę, zrzucając ze stołu pilota i talerz z kanapką. Sięgnąłem drugą ręką, drapiąc się w tę, której nie było. Albo może była, ale nie mogłem jej dosięgnąć. Słyszałem, jak wołam „Dość! Proszę, przestań!”, ale powstrzymać to można było, oczywiście, tylko w jeden sposób. Uniosłem się na kolana i popęzłem w stronę schodów. Nagle do moich uszu dotarł trzask; rozgniotłem kolanem pilota, ale niszczone urządzenie zdążyło jeszcze przełączyć program. Na CMT, czyli Country Music Television, gdzie Alan Jackson śpiewał właśnie o morderstwie prawdziwej muzyki na Music Row. Idąc po schodach, dwa razy chwyciłem się kurczowo poręczy - prawą ręką. Naprawdę czułem, jak spocona dłoń przez chwilę sunie z piskiem po gładkim drewnie, zanim przeszła przez nie na wylot.

Jakimś sposobem udało mi się dotrzeć na górę. Nogi miałem jak z waty. Powłączałem łokciem wszystkie światła i zataczając się, podyrdałem do sztalug. Stał tam nieukończony obraz z serii „Dziewczynka i statek”. Zdjąłem go, nie patrząc, i wstawiłem na jego miejsce nowe, puste płótno. Gorączkowy oddech rwał mi się w gardle krótkimi, spazmatycznymi jękami. Spod włosów ciekły strużki potu. Chwyciłem ściereczkę, przerzucając ją przez ramię, tak samo jak kiedyś, gdy brałem moje maleńkie córki na ręce po jedzeniu. Włożyłem pędzel w zęby, drugi zatknąłem za ucho i już wyciągałem rękę po trzeci, ale zamiast niego wzięłem ołówek. Gdy tylko zacząłem szkicować, potworne swędzenie odczuwalnie osłabło. O północy obraz był skończony, a swędzenie ustało zupełnie. Tylko że tym razem to nie był obraz, ale Obraz, bo przedstawiał Zdjęcie. I był dobry, jeśli mogę tak powiedzieć. A mówię. Naprawdę miałem talent. Namalowałem Candy'ego Browna zaciskającego palce na nadgarstku Tiny Garibaldi, która patrzyła na niego ciemnymi oczami, przerażającymi w swojej niewinności. Uchwyciłem ją tak idealnie, że gdyby jej rodzice zobaczyli mój obraz, to chyba zapragnęliby skończyć ze sobą. Ale rodzice Tiny nigdy nie mieli go zobaczyć.

Nie, ten obraz nie był dla nich.

Skopiowałem wiernie, ze wszystkimi szczegółami, zdjęcie, które od piętnastego lutego ukazało się wielokrotnie we wszystkich gazetach na Florydzie i prawdopodobnie także w większości czasopism w całych Stanach. Była tam tylko jedna, bardzo istotna różnica. Dario

Nannuzzi uznalby ją na pewno za wizytówkę twórcy: oto Edgar Freemantle, amerykański prymitywista, przełamuje okowy banału, stwarza na nowo przeklętą parę Tina Garibaldi - Candy Brown. Ale Nannuzzi także nigdy nie miał zobaczyć tego obrazu.

Wrzuciłem pędzle do słoików po majonezie. Byłem usmarowany farbą po sam łokieć (lewą stronę twarzy też miałem brudną), ale nawet nie pomyślałem o tym, żeby się umyć.

Skręcało mnie z głodu.

W lodówce znalazłem hamburgera, ale zamrożonego. W podobnym stanie była pieczeń wieprzowa, którą Jack kupił w Morton's w zeszłym tygodniu. A resztkę kielbasy skroiłem na kolację. Natrafiłem jednakowoż na jeszcze nienapoczęte pudełko płatków Kellog's Special K z owocami i jogurtem. Zacząłem je sypać do miseczki śniadaniowej, ale byłem tak opętańczo głodny, że wydała mi się mniejsza od naparstka. Odepchnąłem ją na bok z całej siły, aż walnęła w pojemnik na chleb, i sięgnąłem do szafki nad kuchnią po miskę do mieszania sałatek. Wsypałem do niej całe pudełko płatków i zalałem je litrem mleka, dosypując siedem lub osiem czubatych stołowych łyżek cukru, po czym zacząłem wrzucać to w siebie. Przerwałem tylko raz - żeby dolać mleka. Kiedy miska była już pusta, potoczyłem się w kierunku sypialni, uciszając po drodze miejskiego kowboja zawodzącego w telewizorze; musiałem się pochylić i wyłączyć go ręcznie. Nie ściągając narzuty, walnąłem się w poprzek łóżka, oko w oko z Rebą. Pod podłogą Wielkiego Korala szemrały muszle.

„I co żeś narobił?“, zapytała Reba. „Co żeś znowu nawyprawiał, ty niedobry?“.

Nic, chciałem odpowiedzieć, ale zasnąłem, zanim zdążyłem wydobyć z siebie choćby to jedno słowo. A zresztą - wiedziałem, że to wcale nie było nic.

XII

Obudził mnie telefon. Za drugim podejściem udało mi się wcisnąć właściwy klawisz i wymamrotać do słuchawki coś, co z grubsza brzmiało jak „halo“.

- Wstawaj, *muchacho*, i wpadaj na śniadanie! - zawołał Wireman. - Befszytk i jaja! Taki dzień trzeba uczcić! - Urwał i zamilkł na chwilę. - Niestety, będę świętował sam. Panna Eastlake znów straciła kontakt z rzeczywistością.

- A co świętujemy? - zapytałem, ale w tej samej chwili olśniło mnie, że powód może być przecież tylko jeden. Zerwałem się, siadając na łóżku i strącając Rebę na podłogę. - Odzyskałeś wzrok?

- Obawiam się, że aż tak dobrze to nie ma, ale i tak jest nieźle. Cała Sarasota ma się z czego cieszyć. Candy Brown, *amigo*. Podczas porannego obchodu strażnicy znaleźli go

martwego w celi.

Przez jedną krótką chwilę znów zaswędziało mnie prawe ramię. To swędzenie było czerwone.

- Co o tym mówili? - zapytałem. - Samobójstwo?

- Nie wiem, ale nawet jeśli to był zupełnie naturalny zgon, to władze stanowe zaoszczędziły na tym kupę forsy, a rodzice dziewczynki nie będą musieli męczyć się na procesie. Wpadnij, poświęćmy razem, co?

- Daj mi się ubrać - powiedziałem. - I umyć. - Spojrzałem na lewą rękę. Była poplamiona farbami w kolorach tęczy. - Późno się dziś położyłem.

- Malowałeś?

- Nie, posuwałem Pamelę Anderson.

- Ze smutkiem stwierdzam, że twoje fantazje są ubogie, Edgarze. Ja tej nocy bzykałem Wenus z Milo - i nie brakowało jej ani jednej ręki! Nie każ mi czekać. Jak mam ci zrobić *huevos*?

- Hm... Niech będzie jajecznica. Przyjdę za pół godziny.

- Świetnie. Ale powiem szczerze, że spodziewałem się po tobie większego entuzjazmu.

- Jeszcze się nie obudziłem. Ale powiem szczerze, że ogólnie rzecz biorąc, cieszę się, że ten typ nie żyje.

- To jesteś drugi na liście - powiedział i odłożył słuchawkę.

XIII

Pilot był zepsuty, więc musiałem ustawić telewizor ręcznie; była to staroświecka umiejętność, ale okazało się, że jeszcze nie zapomniałem, jak się to robi. Kanał 6 miał już nowy gwóźdź programu: zamiast Tiny Garibaldi - Candy Brown solo. Przygłośniłem do oporu, aż ściany zaczęły chodzić, żeby móc słyszeć w łazience, zmywając farbę.

George „Candy” Brown, jak podawano, umarł najprawdopodobniej we śnie. Jeden ze strażników powiedział dziennikarzom:

- Jeszcze nie mieliśmy tutaj nikogo, kto by chrapał tak głośno jak ten facet. Żartowaliśmy sobie nawet, że gdyby siedział we wspólnej celi, to za samo chrapanie dostałby czapę od współwięźniów.

Więzienny lekarz uznał to za objawy zespołu bezdechu śródśennego i orzekł, że przyczyną zgonu mogły być powikłania w następstwie tego właśnie schorzenia. Jak się

wyraził, wśród dorosłych takie zgony są rzadkie, ale się zdarzają.

Zespół bezdechu śródsennego - to był dla mnie strzał w dobrym kierunku, ale bardziej przekonujące wydawały mi się owe powikłania. Zmywszy z siebie większość farby, poszedłem na górę, do „Koralika”, aby przyjrzeć się swojej wersji Zdjęcia w młodym świetle poranka. Byłem przekonany, że obraz okaże się gorszy, niż wydawało mi się wczoraj, kiedy po jego ukończeniu musiałem pochłonąć całe pudełko płatków zbożowych. Niemożliwe, żeby był aż tak dobry, biorąc pod uwagę tempo, w jakim powstawał.

Mylłem się. Obraz był aż tak dobry. Zobaczyłem na nim Tinę Garibaldi, w dzinsach i czystej różowej koszulce, z plecakiem na ramieniu. Obok niej - Candy Brown, też w dzinsach, z palcami zaciśniętymi na jej nadgarstku. Jej oczy wpatrzone w niego, jej usta lekko otwarte, jakby chciały o coś zapytać. Co to mogło być za pytanie? Najprawdopodobniej „O co chodzi, proszę pana?”. Jego oczy wpatrzone w nią, pociemniałe, zdradzają złe zamiary, ale reszta twarzy nie zdradza absolutnie niczego - bo jej nie ma. Nie namalowałem mu ani ust, ani nosa.

Poniżej oczu twarz Candy'ego Browna w mojej wersji była białą plamą.

MYDLANA BAŃKA SŁAWY

I

Do samolotu, który przywiózł mnie na Florydę, wsiałem ubrany w grubą budrysówkę. Miałem ją też na sobie tamtego poranka, kuśtykając brzegiem plaży w kierunku *El Palacio*. Było zimno, znad zatoki wiał silny wiatr, a przykryta pustym niebem wodna przestrzeń miała kolor przełamanej stalowej sztaby. Gdybym wiedział, że to jest ostatni chłodny dzień, który przeżyję na wyspie Duma Key, to być może bym się nim delectował, aczkolwiek wątpię. Straciłem umiejętność tolerowania chłodu - bez wielkiego żalu.

Tak czy owak szedłem, nie bardzo wiedząc, gdzie jestem. Z ramienia zwisała mi płócienna torba na okazy, ale zabrałem ją wyłącznie z przyzwyczajenia; po prostu na plaży zawsze miałem ją przy sobie. Tamtego dnia nie trafiła do niej nawet najmniejsza muszelka, ani jeden morski śmieć. Brnąłem przed siebie, właściwie nie czując, jak przestawiam chorą nogę, wsłuchany w gwizdzący wiatr, którego właściwie w ogóle nie słyszałem, obserwując uganiające się ponad falami ćwierki, których właściwie wcale nie widziałem.

A w głowie wciąż dzwoniła mi jedna myśl: Zabiłem go, tak jak psa Moniki Goldstein. Wiem, że to brzmi jak brednie, tylko że...

Tylko że to wcale tak nie brzmiało. To nie były brednie.

To ja zatrzymałem oddech tego człowieka.

II

Od południa *El Palacio* miał przeszkloną werandę. Z jednej strony w jej okna zaglądał gąszcz tropikalnych zarośli, z drugiej - stalowoniebieskie wody zatoki. Tam właśnie Wireman przywiózł Elizabeth na śniadanie; do poręczy wózka była przymocowana taca z naczyniami. Po raz pierwszy, odkąd ją poznałem, staruszka była przypięta do siedzenia. Taca, pobojowisko zawalone drobinkami jajecznicy i okruchami tostów, wyglądała tak, jakby jadło tutaj niemowlę. Efektu dopełniała dziecięca butelka, z której Wireman poił pannę Eastlake. W

kącie stał nieduży telewizor, nastawiony na Kanał 6, gdzie nieprzerwanie trwała solówka Candy'ego Browna. Aresztant umarł, a nad jego ciałem Kanał 6 urządził sobie orgię onanistów. Bez wątpienia facet nie zasłużył na lepszy los, ale wrażenie było obrzydliwe.

- Starsza pani ma już chyba dość - powiedział Wireman. - Możesz posiedzieć z nią chwilę? Usmażę ci parę jajek i przypiekę tosty.

- Dzięki, ale nie rób sobie kłopotu. Pracowałem do późna i przegryzłem co nieco w nocy.

Co nieco. Jasne. Wychodząc z domu, widziałem w zlewie tę pustą miskę do sałatek.

- Żaden kłopot. Jak tam noga?

- Całkiem niezłe. - To była prawda. - A ty, Brutusie?

- W porządku, dziękuję. - Wyglądał jednak na zmęczonego; lewe oko wciąż miał zaczerwienione i łzawiące. - Idę. To mi zajmie pięć minut.

Elizabeth nie kontaktowała niemal zupełnie. Kiedy podsunąłem jej butelkę, wypła łyceczek, a potem odwróciła głowę. W bezlitosnym blasku zimowego słońca na jej twarzy odbijało się brzemię lat i totalna dezorientacja. Niezłe z nas trio, pomyślałem: zdziecinniała starowina, eksadwokat z kulą w mózgu i były przedsiębiorca budowlany bez jednej ręki. I do tego każde z nas nosi na prawej skroni bliznę, pamiątkę stoczony bitwy. Z telewizora rozległ się głos obrońcy Candy'ego Browna - teraz pewnie już byłego obrońcy - który domagał się publicznie szczegółowego dochodzenia w sprawie śmierci swojego niedoszłego klienta. Elizabeth skomentowała jego roszczenia, miałem wrażenie, w imieniu ogółu mieszkańców hrabstwa Sarasota: zamknęła oczy, osuwając się na siedzeniu tak, że pas, którym była przypięta, wypchnął jej obfity biust w górę - i usnęła.

Wireman przyniósł tyle jajecznicy, że starczyło dla nas obu. Jadłem z niespodziewanym apetytem. Elizabeth zaczęła pochrapywać. Jedno było pewne: jeśli nawet cierpiała na zespół bezdechu śródseennego, nie mogła umrzeć młodo.

- Masz jeszcze trochę na uchu, *muchacho* - powiedział Wireman, postukując się widelcem we własną małżowinę.

- Proszę?

- Zostało ci jeszcze trochę farby na narządzie słuchu.

- No tak - westchnąłem. - Będę się z tego czyścił przez kilka dni. Mocno się usmarowałem.

- A cóż takiego malowałeś w środku nocy?

- Nie chcę o tym teraz rozmawiać.

Skinął głową, wzruszając jednocześnie ramionami.

- Widzę, że zaczynasz mieć humory jak prawdziwy artysta. Nabierasz nawyczków.

- Nie zaczynaj.

- Sprawy przybrały smutny obrót, kiedy zwracam się do ciebie z pełnym szacunkiem, a ty słyszysz tylko sarkazm.

- Przepraszam.

Machnął ręką.

- Jedz swoje *huevos*. Urośniesz duży i silny jak Wireman.

Zjadłem swoje *huevos*. Elizabeth pochrapywała. Telewizor trajkotał. Na ekranie pojawiła się ciotka Tiny Garibaldi. „Ciotką” okazała się dziewczyna na oko niewiele starsza od mojej Melindy, która oświadczyła, co następuje: to sam Bóg, nie mogąc znieść opieszałości władz stanu Floryda, postanowił osobiście wymierzyć karę „temu potworowi”. Dobrze kombinujesz, *muchacha*, pomyślałem. Tylko że to nie był Bóg.

- Wyłącz ten szajs - poprosiłem.

Wireman zgasił telewizor i spojrzał na mnie z uwagą.

- Może miałaś rację, że zaczynam czuć się artystą - przyznałem. - Postanowiłem wystawić moje obrazy w Scoto, jeśli ten cały Nannuzzi jeszcze się nie rozmyślił.

Uśmiechnął się i klasnął w dłonie, delikatnie, żeby nie obudzić Elizabeth.

- Świetnie! Edgar goni za mydlaną bańką sławy! A dlaczegoż by nie? Powiedz, cholera: czemu nie?

- Nie gonię za żadną bańką - zaprotestowałem, zastanawiając się jednocześnie, czy na pewno protestuję szczerze. - Ale jeśli dostanę umowę do podpisania, wrócisz na chwilę z emerytury, żeby rzucić na nią okiem?

Jego uśmiech przygasł.

- Jeśli tylko będę w pobliżu, to jasne, że tak. Ale nie wiem, jak długo jeszcze tutaj zostanę. - Zauważył moją minę i uniosł rękę wyjaśniającym gestem. - Do Abrahama na piwo na razie się nie wybieram, ale sam powiedz, *mi amigo*: czy w moim stanie powinienem dalej opiekować się panną Eastlake?

A ponieważ ten temat był puszką Pandory, której nie miałem życzenia otwierać, zagadnąłem go o co innego:

- Jak w ogóle znalazłeś tę pracę?

- Czy to ważne?

- Być może tak - odparłem, myśląc o tym, jak sam przybyłem na Dumę, święcie przekonany, że to ja wybrałem sobie tę wyspę, a tymczasem już na miejscu wydarzyło się kilka rzeczy, dzięki którym zacząłem zadawać sobie pytanie, czy w istocie nie było

odwrotnie. Czasami - zazwyczaj w nocy, leżąc w łóżku, wsłuchany w szepty muszli przesypanych falami - zastanawiałem się nawet, czy mój wypadek był przypadkiem. Wiedziałem, oczywiście, że musiał nim być, ale mimo to łatwo było dostrzec podobieństwa pomiędzy tym, co spotkało mnie, a tym, co stało się z Julią Wireman. Ja miałem dźwig, ona - ciężarówkę służby drogowej. Z drugiej strony spotyka się ludzi - normalnie funkcjonujące jednostki - którzy twierdzą, że widzieli twarz Chrystusa na naleśniku.

- Cóż - odchrząknął Wireman - jeśli nastawiłeś się na kolejną długą pogaduchę, to muszę cię rozczarować. Ja z reguły nigdy nie męczę się gadaniem, ale teraz obawiam się, że chwilowo mam dosyć. - Spojrzał na Elizabeth smutnym i jakby nieco zazdrosnym wzrokiem.
- Nie spałem dziś zbyt dobrze.

- Skoro tak, to poproszę o krótkie streszczenie.

Wzruszył ramionami. Gorączkowy entuzjazm, który towarzyszył mu od rana, zniknął jak piana z kufła piwa. Zgarbił się, zwieszając swoje szerokie ramiona, przez co jego pierś jakby się zapadła.

- Kiedy Jack Fineham wysłał mnie „na urlop”, powiedziałem sobie tak: Tampa to już w sumie blisko Disneylandu na Florydzie. Tylko że nudziłem się tam jak stary, wyliniały mops.

- Wiadomo - przytaknąłem.

- Czułem też, że wypadałoby odprawić jakąś pokutę. Nie chciało mi się jechać do Darfuru ani nawet do Nowego Orleanu i pracować tam społecznie w jakiejś małej agencji pożytku publicznego, chociaż przyszło mi to do głowy, przyznaję. Zaczęło mi się wydawać, że może gdzieś tam jeszcze kręci się bęben maszyny losującej, a kule wciąż podskakują. Że czeka na mnie jeszcze jedna. Ostatnia.

- Tak - mruknąłem, czując, jak lodowaty palec dotyka mojego karku. Lekko, ledwie muska skórę. - Jeszcze jeden numer. Znam to uczucie.

- *Si, señor*, wiem, że to znasz. Czekałem na szansę zrobienia czegoś dobrego, miałem nadzieję, że uda mi się wyrównać bilans. Bo czułem, że trzeba go wyrównać. I wreszcie któregoś dnia znalazłem w „Tribune”, gazecie z Tamy, ogłoszenie następującej treści: „Praca na wyspie u wybrzeży Florydy: opieka nad damą w starszym wieku oraz nadzór nad kilkoma ekskluzywnymi posiadłościami do wynajęcia. Wymagany życiorys oraz rekomendacje. Wysokie wynagrodzenie z dodatkami. Jest to zajęcie wymagające, które właściwej osobie z pewnością przyniesie satysfakcję. Ubezpieczenie obowiązkowe”. Ja byłem ubezpieczony i spodobała mi się ta oferta. Przyjechałem na rozmowę do prawnika panny Eastlake. Dowiedziałem się od niego, że poprzednio pracowała tutaj pewna para z Nowej

Anglii, która jednak musiała wrócić do domu, ponieważ ktoś z rodziny, ojciec albo matka jednego z nich, uległ bardzo poważnemu wypadkowi.

- Więc dostałeś tę pracę. A to...? - Machnąłem dłonią w ogólnym kierunku jego skroni.

- O tym mu nie wspomniałem. Miał już i tak dość wątpliwości. Na przykład zastanawiał się pewnie, dlaczego taki orzeł Temidy z Omaha marzy o tym, żeby przez dwanaście miesięcy kłaść starszą panią do łóżka i wietrzyć domy, które większą część roku stoją puste. Ale panna Eastlake... - Poglądził staruszkę po sękatej dłoni. - Od razu znaleźliśmy wspólny język, prawda, kochana?

Jedyną odpowiedzią, jakiej się doczekał, było ciche pochrapywanie. A ja, widząc wyraz jego twarzy, znów poczułem, jak tamten lodowaty palec dotyka mojego karku - tym razem odrobinę bardziej stanowczo. I już wiedziałem: wszyscy troje znaleźliśmy się na tej wyspie, ponieważ coś chciało mieć nas tutaj. Ta pewność nie opierała się na logice, tej logice, na której się wychowałem i na której zbudowałem firmę. To mi jednak wcale nie przeszkadzało. Tutaj, na Dumie, byłem innym człowiekiem i zamiast logiki wystarczyły mi czułe zakończenia nerwowe.

- Bardzo ją szanuję, wiesz o tym - powiedział Wireman, biorąc w palce serwetkę i wzdychając, jakby było mu ciężko ją podnieść. Otarł nią oczy. - Kiedy tutaj przyjechałem, przestałem wariować. Skończyły się te chore myśli, o których ci opowiadałem. Po odwianiu plew na tej wyspie zanurzonej w morzu i słońcu został posiwiwały facet, który gazety musi czytać po akapicie, żeby nie oszaleć z bólu głowy. Trzymałem się jednej podstawowej idei: mam dług do spłacenia. Zadanie do wykonania. Co potem - nieważne. Panna Eastlake nie wynajęła mnie tak po prostu do pracy; ona przyjęła mnie pod swój dach. Kiedy tu zamieszkałem, nie była jeszcze taka jak teraz, Edgar. Była inteligentna, tryskała dowcipem, umiała patrzeć na człowieka z góry, kokietować, kaprysić, stawiać na swoim... Potrafiła i pogonić mnie do galopu, i rozweselić, kiedy dopadła mnie chandra - wystarczyło, że chciała, a chciała często.

- Fantastycznie.

- Ona była fantastyczna. Inna kobieta na jej miejscu już dawno przestałaby w ogóle wstawać z wózka. Ale nie ona. Waży przeszło osiemdziesiąt kilo, a cały czas pcha się wszędzie na balkoniku; biega po całym tym klimatyzowanym muzeum, wychodzi na dwór... Kiedyś nawet zabawiała się strzelaniem do celu. Czasem waliła ze starych pistoletów po ojcu, ale najczęściej z tego miotacza harpunów, bo nie ma takiego kopa. Poza tym mówi, że lubi dźwięk, który on wydaje. Z tą pukawką naprawdę wygląda jak narzeczona Ojca Chrzestnego.

- Właśnie tak ją zobaczyłem po raz pierwszy.

- Z miejsca ją polubiłem, a potem pokochałem. Wiesz, jak mówiła na mnie Julia? *Mi compañero*. Kiedy zajmuję się panną Eastlake, często mi się to przypomina. To jest *mi compañera*, *mi amiga*. Dzięki niej odnalazłem swoje serce, w chwili gdy już myślałem, że straciłem je na zawsze.

- Moim zdaniem miałeś sporo szczęścia.

- Może *si*, może *no*. Ale powiem ci, że ciężko mi będzie się z nią rozstać. Co ona zrobi z nowym opiekunem? Skąd ten ktoś ma wiedzieć, że rano lubi pić kawę na plaży... Jak ma się domyślić, że tę cholerną puszkę po ciastkach trzeba na niby topić w sadzawce? Starsza pani nie będzie umiała tego wytłumaczyć, bo zaczyna już na dobre tracić kontakt z rzeczywistością.

Odwrócił do mnie zmizerowaną twarz. W oczach miał lekko szaleńczy błysk... może nawet wcale nie tak lekko.

- Zapiszę to wszystko - oznajmił. - Tak zrobię. Cały nasz porządek dnia. Od rana do wieczora. A ty dopilnujesz, żeby nowy opiekun go przestrzegał. Dobrze? Bo przecież też ją lubisz, prawda? Nie chciałbyś, żeby stała jej się krzywda. I jest jeszcze Jack! Może on zgodziłby się trochę pomóc. Wiem, że to nie w porządku prosić go o coś takiego, ale...

Nagle uderzyła go jakaś nowa myśl. Zerwał się na równe nogi i wlepił wzrok w wody zatoki. Zauważyłem, że mocno schudł. Skórę na kościach policzkowych miał tak napiętą, że aż błyszcząca. Założone za uszy włosy wisiały w brudnych strąkach; należało je umyć, i to jak najszybciej.

- Jeśli umrę, a jest to całkiem możliwe - w jednej chwili mogę wyciągnąć kopyta, tak jak *señor* Brown - wówczas ty musisz wszystkiego tutaj dopilnować, dopóki pełnomocnik panny Eastlake nie znajdzie dla niej stałego opiekuna. To dla ciebie żaden kłopot, możesz malować na miejscu. Niezłe światło tu jest, co? Niesamowite!

Powoli zaczynałem się go bać.

- Wireman... - zacząłem.

Odwrócił się na pięcie. Teraz w jego oczach płonął już ogień - lewe wyglądało jak pożar oglądany przez szybę zalaną krwią.

- Obiecaj mi to, Edgar! Musimy mieć jakiś plan! Jeśli niczego nie ustalimy, wywiozą ją stąd, zamkną w domu starców i za miesiąc będzie po niej! Co ja mówię - za tydzień! Wiem, że tak będzie! Musisz mi obiecać!

Trafił mi do przekonania; mógł mieć rację. Poza tym bałem się, że jeśli szybko nie pomogę mu się chociaż trochę uspokoić, to zaraz dostanie kolejnego ataku, na moich oczach.

Więc obiecałem mu to, o co prosił, dodając od razu:

- Możesz jeszcze pożyczyć dłużej, niż ci się wydaje, Wireman.
- Jasne. Ale i tak wszystko zapiszę. Na wszelki wypadek.

III

Po raz kolejny zaproponował, że odwiezie mnie do domu wózkiem golfowym. Podziękowałem, mówiąc, że chętnie się przejdę, ale nie obraziłbym się, gdyby na drogę zechciał mnie poczęstować szklanką soku pomarańczowego.

Po dziś dzień lubię sok ze świeżych pomarańczy, taki jak pija się na Florydzie, ale muszę się przyznać, że tamtego poranka miałem ukryty motyw. Wireman zostawił mnie w niedużym gabinecie z widokiem na plażę, tuż obok centralnego korytarza *El Palacio*, tego ze szklanym dachem. Urządził tutaj domowy sekretariat, chociaż dla mnie było niepojęte, w jaki sposób człowiek, który może czytać najwyżej przez pięć minut bez przerwy, radzi sobie z korespondencją. Domyśliłem się - i to mnie mocno ujęło - że pomagała mu Elizabeth, i to całkiem sporo, dopóki jeszcze zdrowie jej na to pozwalało.

Mijając wcześniej ten pokój w drodze na werandę, gdzie jedliśmy śniadanie, zauważyłem pewną szarą teczkę; leżała na zamkniętym laptopie, z którego Wireman ostatnimi czasy nie mógł mieć wielkiego pożytku. Wyjąłem z niej jedno z trzech zdjęć rentgenowskich.

- Duża szklanka czy mała? - zawołał z kuchni gospodarz. Wystraszył mnie tak, że o mały włos nie upuściłem zdjęcia na podłogę.

- Może być średnia! - odkrzyknąłem, chowając kliszę do swojej płóciennej torby i zamykając teczkę z powrotem. Pięć minut później wlokłem się już skrajem plaży w kierunku domu.

IV

Nie byłem zadowolony, że ukradłem coś przyjacielowi - nawet jeśli to było jedno zdjęcie rentgenowskie. Nie podobało mi się również, że przemilczałem swój udział (byłem tego pewien) w śmierci Candy'ego Browna. Wiremanowi mogłem o wszystkim powiedzieć; po tamtym zajściu z Tomem Rileyem uwierzyłby mi na pewno. Nawet gdyby nie miał tych swoich przeblysków jasnowidzenia, uwierzyłby mi. I w tym właśnie leżał cały problem. Wireman nie był głupi. Skoro potrafiłem za pomocą pędzla posłać Candy'ego Browna do kostnicy, to być może udałoby mi się zrobić dla pewnego eksprawnika z kulą w mózgu to, co

lekarze uważali za niewykonalne. A jeśli nie? Lepiej nie dawać mu płonnej nadziei. Wystarczy, że sam się nią karmiłem, i to aż do obrzydzenia.

Zanim dotarłem do domu, moje chore biodro zaczęło już błagać o zmiłowanie. Odwiesiłem kurtkę do szafy i połknąłem kilka oxycontinów. Automatyczna sekretarka sygnalizowała lampką, że mam nagraną wiadomość.

Dzwonił Dario Nannuzzi. Był zachwycony, że się odezwałem i w rzeczy samej, jeśli pozostałe prace dorównują tym, które miał już okazję obejrzeć, to oczywiście galeria Scoto z wielką przyjemnością i dumą urządzi dla mnie wystawę, i to jeszcze przed Wielkanocą, zanim zimowi turyści rozjadą się do domów. Czy byłoby możliwe, aby on sam, w towarzystwie swojego współnika bądź współników, odwiedził mnie w mojej pracowni i zapoznał się z innymi ukończonymi dziełami? A przy okazji otrzymałbym wzór kontraktu do przejrzenia.

Wiadomość była dobra - ekscytująca - niemniej jednak miałem dziwne wrażenie, że dotyczy innego Edgara Freemantle'a, mieszkającego na jakiejś innej planecie. Zachowałem nagranie Nannuzziego i ruszyłem na górę, zabierając ukradziony rentgen. Nagle zatrzymałem się w pół kroku. Zrozumiałem, że nie mogę tam iść, bo do tego, co chciałem zrobić, nie mogłem użyć sztalug. Płótna i olejnych farb też nie. Nie do tego.

Pokuśtykałem z powrotem do dużego salonu. Na niskim stoliku leżały bloki i kilka pudełek kredek, ale one też mi nie pasowały. W amputowanej ręce odezwało się słabe, przytłumione śwędzenie; wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że naprawdę może mi się udać... o ile tylko znajdę właściwy środek przekazu dla tej wiadomości.

Skojarzyło mi się w tym momencie, że człowiek, którego nazywamy medium, także jest środkiem przekazu - dla wiadomości z tej drugiej strony. Zaśmiałem się. Odrobinę nerwowo, przyznając.

Wszedłem do sypialni, z początku nie mając pojęcia, czego właściwie tutaj szukam. A potem spojrzałem na drzwi szafy - i już wiedziałem. Przed tygodniem na moją prośbę wybraliśmy się z Jackiem do Sarasoty na zakupy, ale zamiast do Crossroads Mail pojechaliśmy na St. Armand's Circle, ulicę, która jest rajem dla zakupowiczów. Tam zaszedłem do sklepu z męską odzieżą i sprawiłem sobie sześć koszul. Kiedy Ilse była mała, mówiła na nie „koszule na dużych ludzi”. Wszystkie były jeszcze w opakowaniach. Rozerwałem folię, powyciągałem szpilki, a koszule cisnąłem do szafy, na kupę, nie składając. To nie one były mi potrzebne. Chodziło o wkładki.

O te olśniewająco białe prostokąty ze sztywnego kartonu.

W kieszonce pokrowca na laptopa znalazłem flamaster. W poprzednim życiu nie znosiłem takich wynalazków - za zapach tuszu i za to, że się mazały. Teraz natomiast

pokochołem ten pisak za grubą, wyrazistą kreskę, krzyzącą o swojej absolutnej autentyczności. Zabrałem kartonowe wkładki, flamaster i rentgen głowy Wiremana do pokoju „Floryda”, zalanego jasnym, intensywnym światłem.

Swędzenie amputowanej ręki przybrało na sile. Zdążyłem się już z nim niemalże zaprzyjaźnić.

Nie miałem w domu podświetlacza, na którym lekarze wieszają zdjęcia rentgenowskie i przekroje rezonansu magnetycznego, kiedy chcą je obejrzeć, ale okazało się, że szklana ściana wychodząca na zatokę całkiem znośnie zastępuje profesjonalny sprzęt. Niepotrzebna była nawet taśma samoprzylepna; wetknąłem rentgen pomiędzy szybę a chromowaną ramę. I proszę, oto miałem przed sobą obiekt, w którego istnienie wielu ludzi po prostu nie wierzy: mózg prawnika. Płynął na tle zatoki. Przyglądałem się mu przez chwilę, sam nie wiem, jak długą: dwie minuty? Cztery? Fascynowała mnie woda widziana przez te szare stalaktyty, te fałdy i zagięcia, które zmieniały ją w mgłę.

Pocisk miał postać czarnej drzazgi, lekko pękniętej. Przypominał nieco mały statek. Łódkę wiosłową rzuconą na wody *caldo*.

Postawiłem pierwsze kreski. Początkowo zamierzałem narysować tylko mózg Wiremana bez kuli, w pierwotnym, nienaruszonym stanie - ale na tym się nie skończyło. Dodałem mianowicie wodę, ponieważ obraz się tego domagał. On albo moja amputowana ręka. A może obraz i ręka były jednym i tym samym? Owa woda - to była zatoka, zarysowana subtelnie, ledwie wypowiedziana. Mimo to widać ją było akurat na tyle, aby cel został osiągnięty; naprawdę byłem utalentowanym sukinsynem. Praca zajęła mi dwadzieścia minut, a kiedy skończyłem, okazało się, że narysowałem ludzki mózg dryfujący na falach Zatoki Meksykańskiej. Na swój sposób - niezły odjazd.

Ten obraz miał też w sobie coś przerażającego. Niechętnie używam tego słowa w odniesieniu do moich prac, ale nie sposób go uniknąć. Kiedy zaś zdjąłem zdjęcie rentgenowskie z okna, żeby porównać je z bliska z tym, co namalowałem - przyłożyć wytwór nauki, pokazujący kulę w ludzkim mózgu, do dzieła sztuki, na którym jej nie było - uświadomiłem sobie coś, co być może powinienem był dostrzec o wiele wcześniej. A z całą pewnością po rozpoczęciu serii „Dziewczynka i statek”. Moje obrazy nie były tak udane tylko dlatego, że ich widok pobudzał zakończenia nerwowe; działały na ludzi, ponieważ odbiorca domyślał się - na jakimś poziomie świadomości naprawdę wiedział - że to, na co patrzy, zrodziło się tam, gdzie talent nie sięga. Obrazy, które powstały na Dumie, były przesycone grozą, grozą, nad którą z najwyższym trudem dawało się zapanować. I ta groza była coraz bliżej. Nadciągała, niesiona zbutwiałymi żaglami.

V

Znów chwycił mnie głód. Zrobiłem sobie kanapkę i zasiadłem z nią przed komputerem, żeby sprawdzić, co aktualnie porabia chór Skowronków - stało się to moją małą obsesją. Nagle zadzwonił telefon. Wireman.

- Nie boli mnie głowa - powiedział krótko.

- Zawsze się witasz w taki sposób? - prychnąłem. - Może następnym razem usłyszę na dzień dobry: „Przed chwilą się wypróżniłem”?

- Nie śmieję się z tego. Odkąd strzeliłem w nią sobie z pistoletu, a potem ocknąłem się na podłodze w jadalni, boli mnie bez przerwy. Czasem tylko szumi, innym razem napieprza jak dzwon na diabelskiej dzwonnicy, ale boli cały czas. A teraz nagle przestała. Jakies pół godziny temu. Akurat parzyłem sobie kawę. Nie chciało mi się w to wierzyć. Z początku myślałem, że umarłem. Chodziłem na paluszkach, czekając tylko, aż pierdzielnie mnie z powrotem jak Maxwell Edison swoim srebrnym młotkiem. A tu nic.

- Lennon - McCartney - rozpoznałem cytat. - Rok sześćdziesiąty ósmy. Tylko mi nie mów, że nie.

Nie powiedział nic. Przez długi czas nie odezwał się ani słowem, ale słyszałem, jak oddycha. Aż w końcu zapytał:

- To twoja sprawka, Edgar? Zrobiłeś coś? Powiedz Wiremanowi. Powiedz tacie.

Z początku chciałem zaprzeczyć, ale zobaczyłem oczyma duszy, jak zagląda do teczki z rentgenami i odkrywa, że jednego brakuje. Potem spojrzałem na swoją kanapkę, nadgryzioną, ale wciąż jeszcze niepożartą.

- A twój wzrok? - zapytałem. - Jakies zmiany?

- Nie. Lewy kanał dalej nie odbiera. A Principe powiedział, że to już się nie poprawi. Nie w tym życiu.

Cholera, zakląłem w myślach. A jednak... miałem świadomość, że to jeszcze nie koniec. Leniwe poranne igraszki flamastrem na kartonie były niczym w porównaniu z potężnym orgazmem, który przeżyłem w nocy. Byłem zmęczony. Tego dnia nie chciało mi się już nic robić, tylko siedzieć i patrzeć na zatokę. Przyglądać się, jak słońce tonie w *caldo largo*, i nic już nie malować, nie brać nawet cholernego pędzla do ręki. Tylko że tutaj chodziło o Wiremana. O Wiremana, cholera jasna.

- Jesteś tam jeszcze, *muchacho*?

- Jestem - odpowiedziałem. - Zadzwonisz do Annmarie Whistler, żeby przyjechała dziś na kilka godzin?

- Po co? Dlaczego?

- Żebyś mógł mi zapoznać do portretu - wyjaśniłem. - Skoro wciąż nie widzisz na lewe oko, to chyba będę musiał namalować cię z natury.

- A więc to jednak twoja sprawka - powiedział cichym głosem. - Namalowałeś mój portret? Z pamięci?

- Zjrzyj do teczki z rentgenami - poradziłem mu. - Przyjdź do mnie około czwartej. Muszę się zdrzemnąć. I przynieś coś do jedzenia. Kiedy maluję, robię się głodny.

Chciałem dodać, że robię się głodny tylko przy pewnych konkretnych obrazach, ale ostatecznie to przemilczałem, uznając, że dość już się ode mnie dowiedział.

VI

Wydawało mi się, że nie będę mógł zasnąć, ale dałem radę. Budzik zadzwonił o trzeciej po południu. Poszedłem na górę, do „Koralika”, żeby wybrać płótno na portret Wiremana. Zdecydowałem się na największą ramę, jaką dysponowałem: półtora metra na dziewięćdziesiąt centymetrów. Rozsunąłem sztalugę najszerzej, jak tylko się dało, i zamocowałem na niej płótno. Patrząc na ten pusty prostokąt, podobny do ustawionej pionowo białej trumny, poczułem dreszcz ekscytacji, który ścisnął mi żołądek i spłynął mrowiącą falą po prawym ramieniu, na sam dół, aż do dłoni. Poruszyłem nią. Nie mogłem jej dostrzec, ale czułem, jak palce zaciskają się w pięść, a potem rozprostowują. Czułem, jak paznokcie wbijają się w skórę. Były długie. Rosły od dnia mojego wypadku i nie można było ich obciąć.

VII

Myjąc pędzle, zauważyłem na plaży Wiremana. Szedł swoim ciężkim, niedźwiedzim krokiem, płosząc ćwierki. Był ubrany tylko w dzinsy i sweter, bez kurtki. Zaczęło już robić się ciepłej.

Od progu krzyknął „cześć!”, a ja odkrzyknąłem, żeby wszedł prosto na górę. Wielkie płótno na sztaludze rzuciło mu się w oczy już w połowie schodów.

- Cholerka, *amigo*, mówiłeś, że to będzie portret, ale myślałem, że raczej skoncentrujemy się na twarzy.

- I tak to sobie wyobrażam - odparłem - z tym że nie licz na daleko idący realizm. Trochę już przygotowałem. Popatrz.

Na półeczce przy sztaludze stał podkradziony negatyw rentgenowski, a obok niego - szkic flamastrem. Podałem je Wiremanowi, po czym zasiadłem przed płótnem, które nie było

już nieskalanie puste i białe; w trzech czwartych jego wysokości widniał teraz słabo widoczny prostokąt. Odrysowałem go ołówkiem od kartonowej wkładki do koszuli.

Wireman przez prawie dwie minuty stał bez słowa, wodząc wzrokiem od zdjęcia swojej głowy do rysunku, który powstał na jego podstawie. Potem zapytał, tak cicho, że prawie niedosłyszalnie:

- Co to ma znaczyć, *muchacho*? Co to jest?

- Nic - odparłem. - Na razie. Podaj mi ten karton z koszuli.

- To jest karton z koszuli?

- Tak. Ostrożnie. Jest mi potrzebny. Tobie też. Rentgen już nie.

Podał mi rysunek. Zauważyłem, że ręka mu drży.

- A teraz - poleciłem - idź tam, pod ścianę, gdzie stoją ukończone obrazy i przyjrzyj się temu na samym końcu, po lewej. Temu w kącie.

Podszedł, spojrział i odsunął się gwałtownie.

- Jasna cholera! Kiedy to namalowałeś?

- Dziś w nocy.

Wireman podniósł płótno, obracając je do światła bijącego z dużego okna. Przyjrzał się Tinie spoglądającej w twarz Gandy'ego Browna, pozbawioną nosa i ust.

- Bez tlenu nie ma życia - skomentował głosem nie głośniejszym od szeptu. - Jezu, obym nigdy nie nadepnął ci na odcisk. - Odstawił obraz z powrotem pod ścianę i cofnął się, ostrożnie, jakby bał się, że potrząśnięty wybuchnie. - Co cię napadło? Co cię opętało?

- Cholernie dobre pytanie - powiedziałem. - Nie chciałem ci tego pokazywać, ale... Skoro mamy to zrobić.

- A co właściwie mamy zrobić?

- Wireman, wiesz dobrze co.

Zatoczył się lekko, jakby to on miał chorą nogę. I oblał się potem. Cała twarz zaczęła mu lśnić od wilgoci. Lewe oko w dalszym ciągu migotało czerwienią, ale może już trochę mniej? A może to był tylko kolejny numer z listy moich pobożnych życzeń.

- Potrafisz to zrobić? - zapytał.

- Mogę spróbować - odparłem. - Jeśli chcesz.

Skinął głową. Ściągnął sweter z grzbietu.

- Dawaj.

- Ustaw się blisko okna. Kiedy słońce zacznie zachodzić, chcę, żebyś był ślicznie oświetlony. Możesz sobie przynieść stółek z kuchni. Na którą umówiłeś się z Annmarie?

- Powiedziała, że może zostać do ósmej. Poda obiad pannie Eastlake. Dla nas

przyniosłem lasagne. O wpół do szóstej wstawiam naczynie do piekarnika.

- Dobrze - zgodziłem się, myśląc, że zanim jedzenie będzie gotowe, słońce i tak zdąży już zająć. Wymyśliłem, że zrobię Wiremanowi kilka cyfrowych zdjęć i przypnę je do sztalugi, żeby mieć wzór. Praca szła mi szybko, ale tym razem zanosilo się na dłuższą operację; wiedziałem, że potrwa to co najmniej kilka dni.

Wireman poszedł po stołek, a kiedy wrócił, stanął jak wryty.

- Co ty wyprawiasz?

- A jak to wygląda?

- Jakbyś popsuł ładny kawałek płótna i zrobił w nim dziurę.

- Stań z przodu. - Odłożyłem wycięty prostokąt na bok, biorąc do ręki kartonową wkładkę, na której pływał narysowany mózg. Przeszedłem za sztalugę. - Pomóż mi to wkleić.

- Kiedy to sobie wymyśliłeś, *vato*?

- Nic sobie nie wymyślałem.

- Jak to? - Spojrzał na mnie przez otwór w napiętym płótnie, podobny w tym momencie do setek podglądaczy zaglądających na budowy mojego poprzedniego życia przez setki dziur w setkach płotów.

- Tak to. Coś jakby mi podpowiada, co mam robić. Przejdź tutaj, do mnie.

Z pomocą Wiremana dokończenie przygotowań zajęło raptem kilka minut. On przytrzymał karton, a ja przymocowałem go za pomocą wyciągniętej z kieszeni koszuli tubki kleju. Następnie wyszedłem zza sztalugi, aby obejrzeć swoje dzieło. Wyglądało idealnie. Przynajmniej w moich oczach.

- Tu jest twój mózg. - Wycelowałem palcem w głowę Wiremana, a potem wskazałem sztalugę. - A tam jest twój mózg na ścianie.

Nie doczekałem się reakcji.

- To był żart, Wireman.

- Nie zrozumiałem - odpowiedział.

VIII

Podczas kolacji - godnej zawodowych futbolistów - zapytałem Wiremana, Czy zauważył może jakąś zmianę. Potrząsnął głową ze smutkiem.

- Lewą stroną wciąż widzę ciemność, Edgar. Chciałbym móc powiedzieć, że jest inaczej, ale nie mogę.

Puściłem mu wiadomość od Nannuzziego, a on zaśmiał się i zacisnął pięść w

triumfalnym geście. Ta jego niemalże zapalczywa radość była szczerze wzruszająca.

- To twój pierwszy krok, *muchacho*. Naprawdę zacząłeś nowe życie. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę twoje zdjęcie na okładce „Time'a”. - Uniósł dłonie do twarzy, biorąc ją w ramki.

- Jedno tylko mnie martwi w całej tej sytuacji... - mruknąłem i musiałem się roześmiać, bo tak Bogiem a prawdą w całej tej sytuacji martwiło mnie niejedno, łącznie z faktem, że nie miałem najmniejszego pojęcia, w co właściwie się pakuję. - Moja córka będzie chciała przyjechać na tę wystawę. Ta, która już raz tutaj u mnie była.

- I co z tego? Większość dorosłych facetów byłaby zachwycona, mogąc pokazać córce, jak wchodzi do ligi zawodowców. Będziesz jadł tę ostatnią porcję lasagne?

Podzieliliśmy ją na dwie części. Porwany artystycznym temperamentem, większy kawałek wziąłem dla siebie.

- Bardzo bym chciał, żeby Ilse przyjechała - wyjaśniłem - ale twoja szefowa twierdzi, że Duma Key to złe miejsce dla córek, a ja jej wierzę.

- Moja szefowa ma alzheimera, który właśnie zaczął ją poważnie gnębić. Minus tej choroby jest taki, że starsza pani już nie wie, gdzie ma łokieć, a gdzie tyłek, do plusów natomiast można zaliczyć to, że codziennie spotyka nowych ludzi. Ze mną na czele.

- To o córkach powtórzyła mi dwukrotnie i za każdym razem była całkiem przytomna.

- Więc to może być prawda - odparł - albo po prostu jej mania, oparta na fackie, że w wieku lat czterech straciła na tej wyspie dwie siostry.

- Ilse dostała torsji i wymiotowała przez okno samochodu. Nawet po powrocie do domu była tak osłabiona, że ledwie mogła iść.

- Prawdopodobnie coś zjadła, a dodatkowo zaszкодziło jej słońce. Posłuchaj mnie. Rozumiem, że nie chcesz ryzykować. Szanuję to. Dlatego powiem ci, co zrobisz. Wynajmiesz córkom pokoje w dobrym hotelu, gdzie mają dwudziestoczerogodzinną obsługę, a szef tej obsługi był prymusem w szkole wazeliniarstwa. Proponuję Ritza - Carltona.

- Jak to: córkom? Melinda nie będzie mogła...

Wireman przełknął ostatni kęs swojej porcji lasagne.

- Widzę, że jeszcze nie rozumiesz, jak to ma wyglądać, ale Wireman, z czystej wdzięczności...

- Na którą jak dotąd niczym nie zasłużyłem...

- ...zaraz cię oświeci. Wiesz dlaczego? Bo nie mogę patrzeć, jak się niepotrzebnie gryziesz i psujesz sobie całą radość. A masz się z czego cieszyć, jak Boga noga! Wiesz, ilu jest ludzi na Florydzie, którzy oddaliby wszystko za jedną wystawę na Palm Avenue?

- Wireman, czy ja dobrze słyszałem, że powiedziałaś „jak Boga noga”?

- Nie zmieniaj tematu.

- Na razie nikt nie zaproponował mi wystawy.

- Ale zaproponuje. Nie przywożą ci tutaj, na to zadupie, wzoru kontraktu, bo skończył ci się papier w kiblu. Słuchaj mnie teraz uważnie. Słuchasz?

- Jasne.

- Kiedy już ustalicie termin twojej wystawy - bo zapewniam cię, że ona się odbędzie - zrobisz dokładnie to, co ma zrobić każdy nowy artysta, który dopiero co pojawił się na scenie. Czyli zatroszczysz się o reklamę. To oznacza wywiady: najpierw Mary Ire, a potem gazety i Kanał 6. Jeśli będą chcieli wałkować historię twojego wypadku i kalectwa, to tym lepiej dla ciebie. - Znow uniósł ręce i zrobił dłońmi ramkę dookoła twarzy. - Już widzę te tytuły: „Edgar Freemantle szturmuje scenę artystyczną Słonecznego Wybrzeża niczym feniks, który powstał z popiołów tragedii”!

- Pokazać ci feniksa? - zapytałem, chwytając się za krocze. A jednak nie mogłem się nie uśmiechnąć.

Wireman zlekceważył tę prostacką odzywkę. Zdażył się już rozkręcić.

- Twoja amputowana *brazo* to będzie kura znosząca złote jajka.

- Wireman, jesteś cyniczną kreaturą.

Najwidoczniej uznał to za komplement - i nie bez racji - bo skinął głową z wielkoduszną miną.

- Ja wystąpię jako twój prawnik. Ty wybierzesz obrazy i skonsultujesz swój wybór z Nannuzzim. A potem Nannuzzi ustali ostateczne warunki umowy i skonsultuje je z tobą. Zgadza się?

- Mniej więcej. Tak to chyba ma wyglądać.

- I tak to będzie wyglądać. A teraz jeszcze jedna rzecz, Edgarze, ostatnia, ale bardzo ważna: obdzwonisz wszystkich ludzi, na których ci zależy, i zaprosisz ich na otwarcie swojej wystawy.

- Ale...

- Nie inaczej. - Pokiwał głową. - Wszystkich. Twojego psychologa, twoją eks, obie córki, tego kolesia, Toma Rileya, babkę od rehabilitacji...

- Kathi Green - odpowiedziałem, speszony. - Wireman, Tom nie przyjedzie. Nie ma takiego numeru. Pam też nie. A Lin jest we Francji. I ma zapalenie gardła.

Wireman zlekceważył moje obiekcje.

- Mówiłeś kiedyś o jakimś prawniku...

- William Bozeman Trzeci. Bozia.

- Zaprosz go też. No i oczywiście mamusię z tatusiem. I rodzeństwo.

- Rodzice nie żyją, byłem jedynakiem. Ale Bozia,.. - Zamyśliłem się. - Bozia mógłby przyjechać. Ale nie nazywaj go tak, Wireman. Żebyś mi przypadkiem tak do niego nie powiedział.

- Bozia? Prawnik do prawnika? Masz mnie za idiotę? - Umilkł, zastanawiając się nad ostatnim pytaniem. - Z drugiej strony, nie udało mi się popełnić samobójstwa, chociaż strzeliłem sobie prosto w łeb. Możesz nie odpowiadać.

Nie słuchałem go, pochłonięty własnymi myślami. Po raz pierwszy dotarło do mnie, że mogę urządzić uroczystą inaugurację mojego nowego życia... a ludzie na nią przyjdą. Ta myśl była jednocześnie fascynująca i zniechęcająca.

- Całkiem możliwe, że przyjadą wszyscy - dodał Wireman. - Była żona, córka wędrowna, księgowy - samobójca. Pomyśl tylko: jedna wielka banda z Michigan.

- Z Minnesoty.

Wzruszył ramionami i wyrzucił ręce w górę, co miało pewnie oznaczać, że dla niego to wszystko jedno. Cwaniaczek z Nebraski.

- Mógłbym wynająć samolot - zacząłem snuć plany. - Gulfstreama. Zarezerwować piętro w Ritzu - Carltonie. Szastać forszą na całego. Czemu, kurwa, nie?

- Otóż to - zarzął Wireman. - Pokaż im, jaki to z ciebie przymierający głodem artysta.

- Mhm - mruknąłem. - A w oknie wywieszę sobie kartkę: „Malarz do wynajęcia, pracuje za trufle”.

Obaj parsknęliśmy śmiechem.

IX

Wstawiliśmy naczynia do zmywarki, a potem zaprowadziłem Wiremana z powrotem na górę, ale tylko po to, żeby pstryknąć mu kilka fotek cyfrówką. Były to wielkie, szkaradne zbliżenia. Zdarzyło mi się w życiu zrobić kilka dobrych zdjęć, ale zawsze przypadkiem. Nie znoszę aparatów, a one o tym wiedzą, zdaje mi się. Kiedy już miałem wszystko, co było mi potrzebne, powiedziałem mu, że może wracać do domu i zwolnić Annmarie. Ponieważ zrobiło się już ciemno, zaproponowałem, żeby pojechał moim malibu.

- Przejdę się - podziękował. - Świeże powietrze dobrze mi robi. Mogę rzucić okiem?

- Wskazał na płótno.

- Prawdę mówiąc, wolałbym nie.

Myślałem, że będzie wiercił mi o to dziurę w brzuchu, ale on tylko pokiwał głową i zszedł zadziwiająco szybkim krokiem po schodach. Poruszał się sprężysto, zupełnie jak nie on; z całą pewnością nie było to przywidzenie. Stanąwszy w drzwiach, powiedział jeszcze:

- Jutro z samego rana zadzwoń do Nannuzziego. Kuj żelazo, póki gorące.

- W porządku. A ty odezwij się, gdyby coś... - Uniosłem poplamioną farbą dłoń i machnąłem nią w kierunku jego głowy.

Uśmiechnął się szeroko.

- Będziesz pierwszym, który się o tym dowie. Na razie jestem zadowolony, że przestało boleć. - Uśmiech zniknął. - Jesteś pewny, że nie zaczniesz z powrotem?

- Niczego nie jestem pewny.

- Jasne - westchnął. - Taki już los człowieka, co? Ale dziękuję ci, że chciałeś spróbować.

I zanim zdążyłem się zorientować, co chce zrobić, chwycił mnie za rękę i ucałował w dłoń. Pocałunek był bardzo delikatny, pomimo kłującego zarostu na górnej wardze. Potem pożegnał się swoim *adiós* i wyszedł, znikając w ciemności. Nastąpiła cisza, w której słychać było tylko westchnienia zatoki i szepty muszli pod podłogą domu. Nagle tę ciszę przerwał inny dźwięk. Dzwonek telefonu.

X

Dzwoniła Ilse. Chciała pogadać. Tak, w szkole wszystko dobrze, tak, czuję się nieźle - w zasadzie to świetnie - tak, co tydzień dzwonię do mamy, a do Lin piszę e - maile. Jej zdaniem to osławione zapalenie gardła było kolejną głupią fantazją Melindy na temat własnego słabego zdrowia. Zaszokowała mnie wylewność jej siostrzanych uczuć; roześmiała się, kiedy jej to powiedziałem.

Natomiast gdy tylko bąknąłem, że być może jedna galeria w Sarasocie wystawi moje prace, wrzasnęła tak, że musiałem odsunąć słuchawkę od ucha.

- Tatusiu, to wspaniale!! Kiedy? Mogę przyjechać?

- Jasne, jeśli tylko chcesz - odparłem. - Zaproszę wszystkich. - Nie namyśliłem się jeszcze nad tym do końca, ale kiedy usłyszałem, jak mówię jej o tym, decyzja zapadła. - Otwarcie wystawy będzie gdzieś w połowie kwietnia.

- Cholera! Chciałam wtedy złapać Skowronki na trasie... - Urwała, żeby się zastanowić. Wreszcie: - Wyrobię się i do nich, i do ciebie. Też zrobię sobie taką małą trasę.

- Na pewno dasz radę?

- Jasne. Podaj mi tylko datę i przyjeżdżam.

Łzy zakłuły mnie pod powiekami. Nie wiem, jak to jest mieć synów, ale jestem pewien, że nie może się to równać z satysfakcją - jak też ze zwyczajną przyjemnością - którą daje posiadanie córek.

- To dla mnie naprawdę dużo znaczy, kochanie. Jak myślisz... Czy twoja siostra zechce się pojawić?

- A wiesz, coś mi mówi, że tak - odpowiedziała Ilse. - Stanie na głowie, żeby zobaczyć na własne oczy, co w twoich obrazach widzą koneserzy. Będą o tobie pisali w gazetach?

- Mój kumpel Wireman twierdzi, że będą. Jednoręki artysta i tak dalej.

- Ale przecież ty po prostu masz talent, tatusiu!

Podziękowałem i zmieniłem temat. Zapytałem, co słyhać u Carsona Jonesa.

- W porządku - odpowiedziała.

- Naprawdę?

- Jasne. Dlaczego tak pytasz?

- Nie wiem. Wydawało mi się, że jakby spochmurniałaś.

Zaśmiała się smutno.

- Za dobrze mnie znasz. Wygląda to tak, że Skowronki każdy koncert grają teraz do pełnej sali. Wszystkie bilety wyprzedane. Zyskali spory rozgłos. Koniec trasy był planowany na piętnastego maja, bo czworo wokalistów miało inne terminy, ale agentowi udało się znaleźć trzech na zastępstwo. A Bridget Andreisson, która awansowała na gwiazdę, przełożyła sobie na późniejszy termin rozpoczęcie posługi w swoim zborze w Arizonie. Mieli szczęście. - Te ostatnie słowa zabrzmiały głucho, jak głos jakiejś dorosłej kobiety, której nie znałem. - Tak więc zamiast połowy maja, trasa potrwa do końca czerwca. Mają już ustawione koncerty w różnych miastach na środkowym zachodzie i wielki finał w San Francisco, w Cow Palace. Niezły numer, co?

To było moje dawne powiedzenie; tak mówiłem, kiedy Illy i Lin były małe i wystawiały w garażu swoje „baletowe superprodukcje”. Jednak w moim wykonaniu nigdy nie zabrzmiało to z takim przekąsem i z takim smutkiem.

- Martwisz się o swojego faceta, kiedy jest tam ta Bridget? - zapytałem.

- Nie! - natychmiast zaprzeczyła i od razu się roześmiała. - Carson mówi, że ona ma świetny głos i że to wielkie szczęście, że może z nią śpiewać, ale podobno jako osoba jest płytka i nadęta. Poza tym, jak mi się zwierzył, ma nadzieję, że ona w końcu zacznie łykać tik - taki przed wyjściem na scenę, żeby nie cierpiał, kiedy, wiesz,.. Będzie musiał dzielić się z nią mikrofonem.

Czekałem w milczeniu.

- No dobrze - powiedziała wreszcie Ilse.

- Co dobrze?

- Martwię się. - Chwila przerwy. - Troszeczkę, bo on codziennie jedzie z nią autokarem i co wieczór wychodzi z nią na scenę, a ja muszę siedzieć tutaj. - Znowu chwila przerwy, tym razem dłuższa. - A kiedy dzwoniemy do siebie, rozmawia ze mną jakoś inaczej. Tylko trochę... ale mimo wszystko inaczej.

- To może być twoja wyobraźnia.

- Wiem. W każdym razie, jeśli coś się dzieje... Chociaż jestem pewna, że nic... Ale gdyby jednak, to lepiej teraz niż... No wiesz, lepiej teraz niż po...

- Tak - powiedziałem. Zabolały mnie jej słowa; były takie dorosłe. Przypomniałem sobie, jak znalazłem ich wspólne zdjęcie na tle przydrożnego straganu, jak dotknąłem go prawą dłonią, której nie miałem. I jak potem pognałem na górę, do „Koralika”, z Rebą zatkniętą pomiędzy kikut a prawy bok. Miałem wrażenie, że to było bardzo dawno temu. „Kocham Cię, Pysiu!”, na odwrocie zdjęcia napisał „Śmieszek”, ale rysunek, który wykonałem tamtego dnia kredkami firmy Venus (one też wydawały mi się już częścią zamierzchłej prehistorii) był na swój sposób karykaturą wiernej miłości: dziewczynka w krótkiej tenisowej sukience, zapatrzona w rozległą, niezmierną zatokę. Dookoła jej stóp - piłki tenisowe, których przybywa z każdą kolejną falą.

Ta dziewczynka - to była Reba, ale także Ilse i... kto jeszcze? Elizabeth Eastiake?

Nie wiem, skąd przyszło mi to do głowy, ale pomyślałem, że to może być prawda.

„Nurt przyspieszył”, powiedziała Elizabeth. „Wkrótce dotrze do bystrzyny. Czujesz to?”.

Czułem.

- Tato, jesteś tam?

- Tak. - powtórzyłem jeszcze raz to jedno słowo. - Kotku, zrób coś dla mnie: bądź dla siebie dobra. I nie nakręcaj się. Jak mawia mój tutejszy przyjaciel, każde zmartwienie w końcu się zużywa. Ja w to wierzę.

- Zawsze umiesz mnie pocieszyć - westchnęła. - Dlatego do ciebie zadzwoniłam. Kocham cię, tatusiu.

- Ja ciebie też kocham.

- A ile dasz mi kwiatków?

Kiedy ostatni raz tak do mnie powiedziała? Dwanaście lat temu? Czternaście? To było akurat nieistotne, bo właściwą odpowiedź pamiętałem z całą dokładnością:

- Milion i jeden pod poduszkę.

Pożegnałem się z Ilse i odłożyłem słuchawkę, obiecując w duchu Carsonowi Jonesowi, że jeśli skrzywdzi moją córkę, to go zabiję. Uśmiechnąłem się lekko na tę myśl; ciekawe, ilu ojców składało po cichu tę samą obietnicę? Ja jednak, w odróżnieniu od nich wszystkich, byłem najprawdopodobniej jedynym ojcem na świecie, który potrafiłby załatwić aroganckiego krzywdziciela swojej córki kilkoma pociągnięciami pędzla.

XI

Dario Nannuzzi i jeden z jego wspólników, Jimmy Yoshida, przyjechali do mnie już następnego dnia. Yoshida był to z pochodzenia Japończyk, a z aparycji - istny Dorian Gray. Kiedy wysiadł z jaguara Nannuzziego, ubrany w sprane džinsy z prostymi nogawkami i jeszcze bardziej spraną koszulkę z okładką singla Rihanny „Pon De Replay”, a wiatr znad zatoki rozwał jego długie czarne włosy, pomyślałem, że to osiemnastołatek. Zanim pokonał długość ścieżki wiodącej do domu, wyglądał już na lat dwadzieścia osiem. Podając mu rękę, z bliska, oko w oko, dostrzegłem zmarszczki dookoła jego ust i oczu i oceniłem, że musi mieć pod pięćdziesiątkę.

- Bardzo mi miło - przywitał się. - W naszej galerii wciąż jeszcze się mówi o pańskiej wizycie. Mary Ire już trzy razy do nas zaglądała, żeby zapytać, kiedy podpisujemy kontrakt.

- Proszę do środka - powiedziałem. - Wireman, nasz wspólny znajomy, dzwonił już dwa razy. Chce mieć pewność, że bez niego niczego nie podpiszę.

Nannuzzi uśmiechnął się.

- Nie mamy w zwyczaju oszukiwać artystów, panie Freemantle.

- Edgar. Przeszliśmy już na ty. Może kawy?

- Najpierw obraz - oznajmił Jimmy Yoshida. - Kawa potem.

Odetchnąłem głęboko.

- W porządku. Zapraszam na piętro.

XII

Zakryłem portret Wiremana (który na razie składał się dopiero z zarysu sylwetki i mózgu pływającego mniej więcej w trzech czwartych wysokości płótna), a obraz z Tiną Garibaldi i Candym Brownem powędrował do szafy na dole, razem z „Pożytkiem z przyjaciół” oraz rysunkiem postaci w czerwonej szacie. Resztę swoich prac poustawiałem pod ścianami. Uzbierało się ich już tyle, że zajęły dwie i kawałek trzeciej: czterdzieści jeden

plócien, w tym pięć wersji „Dziewczynki i statku”.

Kiedy ich przeciągające się milczenie stało się dla mnie nie do zniesienia, odezwałem się:

- Dzięki za radę z tym damarem. Świetna rzecz. „Zarąbista”, jak by powiedziały moje córki.

Nannuzzi sprawiał wrażenie, że w ogóle mnie nie usłyszał. Obchodził obrazy z jednej strony pokoju, Yoshida z drugiej. Żaden z nich nie zapytał ani słowem o wielkie, zakryte płótno stojące na sztalugach; domyśliłem się, że w ich świecie takie pytanie jest zapewne poczytywane za nietakt. Pod podłogą szemrały muszle. Gdzieś w dalekim tle pobekiwał silnik skutera wodnego. Moja prawa ręka dawała o sobie znać swędzeniem, ale słabym i dochodzącym jakby z głębi: komunikowała mi tylko, że chce malować, ale może poczekać, bo wie, że na pewno przyjdzie na to czas. Tuż przed zachodem słońca. Stanę przed sztalugą i z początku będę malował z fotografii, a potem porwie mnie coś innego, a w miarę jak chrobotliwe głosy muszli przybiorą na sile, stalowe wody zatoki zmienią kolor, najpierw na brzoskwinowy, później na różowy i oranżowy, aby wreszcie przybrać barwę czerwoną i będzie dobrze, będzie dobrze, wszystko będzie dobrze.

Nannuzzi i Yoshida zeszli się z powrotem w pobliżu schodów i po krótkiej naradzie stanęli przede mną. Yoshida wyciągnął z tylnej kieszeni dżinsów kopertę formatu kancelaryjnego. Widniała na niej garść zgrabnych maszynowych znaków: **WZÓR KONTRAKTU/GALERIA SCOTO**

- Proszę. - Podał mi ją. - Możesz przekazać panu Wiremanowi, że zależy nam, aby twoje prace zostały wystawione u nas, i jesteśmy skłonni do wszelkich ustępstw, oczywiście w granicach rozsądku.

- Naprawdę? - zapytałem. - Jesteście pewni?

Yoshida odpowiedział poważnie, bez cienia uśmiechu:

- Tak, Edgarze. Jesteśmy pewni.

- Dziękuję - powiedziałem. - Wam obu. - Spojrzałem na Nannuzziego, który w przeciwieństwie do kolegi uśmiechał się szeroko. - Naprawdę jestem wam wdzięczny, Dario.

Dario zerknął przez ramię na moje obrazy, zaśmiał się cicho i wyrzucił ręce w powietrze.

- To raczej my powinniśmy dziękować tobie, Edgarze.

- Zadziwia mnie klarowność twoich plócien - dodał Yoshida. - I jeszcze coś innego... Nie wiem, jak to nazwać... Może... świetlistość? A poza tym masz niesłychane tempo pracy. Odkorkowałeś się.

- Nie znam tego określenia.

- Tak się czasem mówi o artystach, którzy późno zaczynają - wyjaśnił Nannuzzi. - Pracują nadzwyczaj szybko, jakby chcieli nadrobić stracony czas. Ale mimo to... czterdzieści obrazów w kilka miesięcy... a właściwie tygodni...

A nie widziałeś jeszcze tego, który posłał mordercę dziecka do grobu, pomyślałem.

Dario roześmiał się bez humoru.

- Postaraj się unikać pożarów, dobrze?

- Jasna sprawa. To byłby duży pech. Czy będę mógł oddać wam trochę tych widoczków na przechowanie do galerii, jeżeli podpiszemy umowę?

- Oczywiście - powiedział Nannuzzi.

- Świetnie - westchnąłem, myśląc, że muszę podpisać kontrakt jak najszybciej, bez względu na zawodową opinię Wiremana. Byle tylko wywieźć obrazy z wyspy. I to wcale nie ze strachu przed pożarem. Być może późno zaczynający artyści faktycznie często się „odkorkowują”, ale te czterdzieści jeden płócien na Dumie to było co najmniej o trzy tuziny za dużo. Czulem ich żywą obecność w tym pomieszczeniu, wyczuwalną niczym energia elektryczna pod szklanym kloszem.

Dario i Jimmy, rzecz jasna, też ją czuli. Dlatego między innymi te cholerne obrazki miały taką siłę. Były jak zaraźliwe.

XIII

Następnego dnia rano spotkałem się z Wiremanem i Elizabeth na kawie. Zastałem ich na plaży, tuż przy końcu drewnianego podestu prowadzącego do *El Palacio*. Na drogę wzięłem już tylko aspirynę; moje Wielkie Wędrówki Brzegiem Morza przestały być wyzwaniem, a stały się przyjemnością. Zwłaszcza że się wypogodziło i ociepliło.

Elizabeth siedziała na swoim wózku, mając przed sobą tacę zasypaną resztkami ciastka, które najwidoczniej jadła na śniadanie. Wypiła do tego, jak zauważyłem, trochę soku i mniej więcej pół filiżanki kawy. Kiedy się zbliżyłem, nie robiła już nic, mierzyła tylko zatokę srogim, pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Wyglądała tego dnia bardziej jak kapitan Bligh z HMS „Bounty” niż córka mafijnego dona.

- *Buenos dias, mi amigo* - powitał mnie Wireman, a do Elizabeth powiedział: - Przyszedł Edgar, panno Eastlake. Zaprosiłem go na partyjkę kart. Przywita się pani z nim?

- Gówno, dupa i kamieni kupa - oznajmiła Elizabeth. Chyba. Zresztą, cokolwiek to było, padło pod adresem zatoki, od rana ciemnoniebieskiej i wciąż jeszcze zaspanej.

- Widzę, że nadal z nią nie bardzo - mruknąłem.

- Dobrze widzisz. Miewała już zaćmienia, które w końcu przechodziły, ale jeszcze nigdy nie odpłynęła tak konkretnie.

- A ja nie przywiozłem jej żadnych obrazów do obejrzenia.

- W tej chwili to i tak nie ma sensu. - Wireman wręczył mi filiżankę czarnej kawy. - Trzymaj. Siorbniij sobie.

Podąłem mu kopertę z kontraktem, a kiedy zabrał się do otwierania, zagadnąłem Elizabeth:

- Chcesz, żebym poczytał ci dzisiaj wiersze?

Nic. Kamienna twarz, zmarszczone brwi i spojrzenie utkwione w wodach zatoki: kapitan Bligh zaraz każe przywiązać kogoś do masztu i oćwiczyć do krwi batogiem.

Zupełnie nie wiedząc, dlaczego to robię, zadałem jej kolejne pytanie:

- Czy twój ojciec był płetwonurkiem, Elizabeth?

Na te słowa odwróciła lekko głowę, a jej stare oczy błysnęły w moim kierunku. Górna warga wywinęła się w psim uśmiechu. Przez jedną chwilę - mgnienie oka, które jednak wydawało mi się niezmiernie długie - czułem, że patrzy na mnie jakaś inna osoba. A może to wcale nie była osoba? Może w tym momencie spojrzała na mnie istota, dla której stare, pulchne i zwiotczałe ciało Elizabeth Eastlake było jak sztuka ubrania, jak znoszona skarpeta? Moja prawa dłoń zwinęła się w pięść; znów poczułem, jak nieistniejące, zapuszczone paznokcie wbijają się w skórę, której nie ma. A potem Elizabeth z powrotem odwróciła wzrok w stronę zatoki, jednocześnie szperając dłonią po tacy, aż natrafiła palcami na kawałek swojego śniadaniowego ciastka. A ja stałem jak idiota, wyrzucając sobie, że po raz kolejny dałem się ponieść nerwom. Muszę się opanować, pomyślałem. Bez dwóch zdań tutaj działają jakieś dziwne siły, ale nie można widzieć ducha w każdej szafie.

- Zgadza się. - Wireman odpowiedział na moje pytanie machinalnie, rozkładając kartkę z kontraktem, - John Eastlake to był prawdziwy Ricou Browning - wiesz, ten facet, który grał Potwora z Czarnej Laguny w latach pięćdziesiątych.

- Wireman, jesteś istną skarbnicą niepotrzebnej wiedzy.

- Niezła ze mnie kosa, co nie? A tego pistoletu na harpuny tatuś naszej staruszki nie kupił bynajmniej w sklepie, tylko podobno specjalnie zamówił. Prawdopodobnie powinno się go oddać do muzeum.

Ale mnie - w tym momencie - przestała obchodzić zabytkowa broń Johna Eastlake'a.

- Co ty robisz z tym kontraktem? Czytasz go?

Wireman rzucił kartkę na tacę ze śniadaniem i spojrzał na mnie, speszony.

- Próbowałem.

- A co z twoim lewym okiem?

- Nic. Ale nie bądź rozczarowany. Lekarz powiedział.

- Zrób to dla mnie i zasłoń lewe oczko.

Posłuchał.

- Co widzisz?

- Ciebie. Oto Edgar, *un hombre muy feo**.

- Dobra, dobra. Zasłoń prawe. Zasłonił.

- A teraz widzę tylko ciemność. Chociaż... - Urwał. - Może trochę jaśniejszą? -

Opuścił rękę. - Nie jestem pewny. Ostatnio mam problem z odróżnianiem faktów od pobożnych życzeń. - Potrząsnął mocno głową, aż załopotwały jego długie włosy, i palnął się nasadą dłoni w czoło.

- Spokojnie - powiedziałem.

- Łatwo ci mówić.

Przez chwilę siedział, milcząc, aż wreszcie sięgnął po kawałek ciastka, który Elizabeth trzymała w palcach, i podał jej go do ust. Kiedy kęs zniknął w tej bezpiecznej kryjówce, Wireman odwrócił się do mnie.

- Popilnujesz jej przez chwilę? - poprosił. - Muszę coś przynieść.

- Z przyjemnością.

Wskoczył na podest i potruchtał w stronę domu, zostawiając mnie sam na sam z Elizabeth. Próbowałem ją nakarmić jeszcze jednym kawałkiem ciastka; zjadła mi z ręki, przywołując ulotne wspomnienie królika, którego miałem w dzieciństwie, w wieku siedmiu, może ośmiu lat. Nazywał się Mr. Hitchens, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego nosił takie nazwisko - pamięć to dziwna rzecz, prawda? Bezzębne usta Elizabeth były miękkie; ich dotyk nie sprawiał mi przykrości. Poglądziłem ją po skroni, zauważając, że siwe włosy - sztywne i szorstkie - ma zaczesane do tyłu i upięte w kok. Zrozumiałem, że to Wireman czesze ją każdego dnia rano. Że to on ubrał ją dziś przed śniadaniem, uprzednio założywszy pieluchę, bo z całą pewnością w tym stanie umysłu człowiek nie panuje nad fizjologią. Zastanowiło mnie, czy myślał o Esmeraldzie, kiedy zapinał i zawiązywał kolejne części garderoby na ciele starej kobiety. Czy myślał o Julii, czesząc siwe włosy i upinając je w kok.

Podniosłem z tacy następny okruch ciastka. Elizabeth posłusznie otworzyła usta... ale

* *Un hombre muy feo* (hiszp.) - straszny brzydal (przyp. tłum.).

ja wstrzymałem rękę.

- Co jest w czerwonym koszu piknikowym, Elizabeth? - zapytałem. - Tym, który stoi na strychu?

Miałem wrażenie, że się zamyśliła. Głęboko. Wreszcie odpowiedziała:

- Stare groty. - Zamilkła z wahaniem. Wzruszyła ramionami. - Stare groty dla Adie. Cel... pal!

I zaniósła się gdaczącym śmiechem, okropnym śmiechem czarownicy. Pozbierałem z tacy wszystkie pozostałe kawałki ciasta i po kolei podałem je jej do ust. Odeszła mnie ochota do zadawania pytań.

XIV

Wireman wrócił z dyktafonem w dłoni. Wręczył mi go ze słowami:

- Nie chciałem cię o to prosić, ale musisz mi nagrać ten kontrakt. Tyle dobrego, że ma tylko dwie strony. Możesz mi go przynieść dziś po południu?

- Mogę. A jeżeli faktycznie ktoś kupi moje obrazy, dostaniesz prowizję, kolego. Piętnaście procent. Za usługi prawne i reprezentowanie artysty.

Wireman parsknął i opadł na swój fotel, a jego śmiech przerodził się w zboląły jęk.

- *Por Dios!* Już myślałem, że niżej w życiu nie upadnę i proszę, zostałem, kurwa jego mać, agentem gwiazdy! Za przeproszeniem, panno Eastlake.

Elizabeth nie zwróciła na niego uwagi. Mierzyła surowym spojrzeniem zatokę, gdzie w najodleglejszej, najbliżkitniejszej oddali majaczyła sylwetka tankowca sunącego na północ, w kierunku Tampy. Patrzyłem, zafascynowany od pierwszego spojrzenia. Statki na wodach zatoki zawsze tak na mnie działały.

Siłą woli oderwałem wzrok od tego widoku, żeby móc odpowiedzieć Wiremanowi:

- Ty jesteś odpowiedzialny za to wszystko, więc...

- Pierdzielisz!

- ...więc musisz być gotowy na to, co cię czeka. Spodziewam się, że przyjmiesz swoją dolę jak mężczyzna.

- Zgodzę się na dziesięć procent, a to i tak pewnie za dużo. Bierz, co daję, *muchacho*, bo zaczniemy negocjować dwa procenty niżej.

- W porządku. Dziesięć procent: stoi. - Wyciągnąłem rękę i uścisnęliśmy sobie dłonie ponad zaśmieconą okruciami śniadaniową tacą. Dyktafon wsunąłem do kieszeni. - I daj mi znać, gdyby coś się zmieniło... - Wskazałem palcem jego czerwone oko. Które naprawdę było

już mniej czerwone niż przedtem.

- Oczywiście. - Wireman podniósł kontrakt z tacy i podał mi go, strzepnąwszy najpierw okruszki ciastka, które jadła Elizabeth. Potem zgiął się wpół na fotelu, wsuwając złożone dłonie między kolana. Spojrzał na mnie, wyglądając zza monumentalnej piersi swojej podopiecznej. - A gdybym poszedł dziś na prześwietlenie, to co by wyszło na zdjęciu? Że kula jest mniejsza? Że w ogóle jej nie ma?

- Nie wiem.

- Pracujesz dalej nad moim portretem? - Tak.

- Nie przestawaj, *muchacho*. Proszę cię.

- Nie zamierzam. Ale nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, dobrze?

- Dobrze. - I w tej chwili przyszła mu do głowy inna myśl, zdumiewająco podobna do niepokojów Daria Nannuzziego. - A co by się stało, twoim zdaniem, gdyby w Wielki Koral strzelił piorun i spalił dom do gołej ziemi, razem z tym obrazem? Co by się stało ze mną?

Potrząsnąłem tylko głową. Nie chciałem o tym myśleć. Zamierzałem natomiast zapytać Wiremana, czy mogę zajrzeć na strych *El Palacio*, żeby poszukać pewnego kosza piknikowego (wiedziałem, że jest czerwony), ale po namyśle zrezygnowałem. Byłem pewien, że go tam znajdę, ale czy chcę się dowiedzieć, co jest w środku - tutaj już nie miałem takiej pewności. Wyspa Duma Key kryła różne dziwne tajemnice, ja zaś miałem powód przypuszczać, że nie wszystkie z owych tajemnic są niewinne i nieszkodliwe. Nie miałem zbytnej ochoty w nie wnikać, żywiąc nadzieję, że jeśli nie stanę się zbyt dociekliwy, to być może będę mógł liczyć na brak zainteresowania moją osobą. Aby zaś nie burzyć spokoju, postanowiłem wyprawić z wyspy większość swoich obrazów; byłem też jak najbardziej skłonny je sprzedać, jeśli tylko znajdą się nabywcy. Pożegnałbym się z nimi bez najmniejszego żalu. Tworzyłem je, palony namiętnością do swojego dzieła, ale po ukończeniu znaczyły dla mnie tyle samo co odciski na wielkich palcach u stóp, półokręgi stwardniałego naskórka, które ścierałem pumeksem, żeby nie uwierały mnie ciężkie robocze buty, kiedy trzeba było całymi dniami biegać po budowie w upalnym sierpniowym słońcu.

Zdecydowałem, że zostawię sobie serię „Dziewczynka i statek”, nie ze względu na jakiś szczególny sentyment, ale po prostu dlatego, że jeszcze jej nie ukończyłem; te obrazy to wciąż była żywa tkanka. Być może kiedyś zechcę wystawić i sprzedać całą serię, ale na razie miała ona pozostać tam, gdzie do tej pory; na piętrze, w „Koraliku”.

XV

Kiedy dotarłem z powrotem do domu, z horyzontu zniknęły już wszelkie jednostki pływające, a wściekła chęć malowania chwilowo mi przeszła. Zamiast machać pędzlem, spełniłem prośbę Wiremana i nagrałem mu na dyktafon wzór kontraktu z galerii Scoto. Nie jestem prawnikiem, ale widziałem (i podpisałem) w poprzednim życiu dość dokumentów prawnych, aby szybko się zorientować, że czytam zupełnie prostą umowę.

Wieczorem wróciłem do *El Palacio*, zabierając ze sobą i dyktafon, i kopertę z kontraktem. Wireman robił kolację, a Elizabeth siedziała w Porcelanowej Komnacie. Za oknem stała bystrooka czapla, nieoficjalne zwierzę domowe, zaglądając do środka z ponurą, pełną dezaprobaty miną. Późne słońce zalewało pokój strugami światła. Ale to nie światło tworzyło atmosferę tego wieczoru. Porcelanowe Miasteczko wyglądało jak po huraganie: figurki ludzi i zwierząt wały się po całym stole, a budynki rozsunięto we wszystkie cztery jego rogi. Plantatorska rezydencja z kolumnami leżała wywrócona, dachem do dołu. Tuż obok niej siedziała Elizabeth na swoim wózku; jej mina a la kapitan Bligh mówiła: „Tylko spróbuj to poustawiać!”.

Wireman wystraszył mnie, podchodząc od tyłu i odzywając się zniecierliwie:

- Jak próbuję to jakoś uporządkować, ona zaraz rozrzuca wszystko z powrotem. Kilka sztuk spadło na podłogę i stłukło się.

- Były cenne?

- Niektóre tak, ale nie w tym rzecz. Kiedy panna Eastlake jest sobą, potrafi poznać każdą z nich. Zna je i kocha. Jeśli odzyska świadomość i zapyta, gdzie jest pastereczka... albo węglarz... To będę musiał powiedzieć, że sama je zniszczyła, i zepsuć jej humor na cały dzień.

- Jeśli w ogóle odzyska świadomość.

- Zgadza się. No cóż... - westchnął.

- Wrócę już chyba do domu, Wireman.

- Będziesz malować?

- Taki jest plan. - Spojrzałem na stół ogarnięty porcelanowym chaosem. - Wireman?

- Jestem, *vato*.

- Dlaczego ona tak to wszystko rozrzuca, kiedy jest w takim stanie?

- Wydaje mi się... że nie może znieść widoku tego, co przypomina jej o życiu, do którego nie ma wstępu.

Chciałem odwrócić się do niego, ale położył mi dłoń na ramieniu.

- Wolałbym, żebyś teraz na mnie nie patrzył - wyjaśnił, z ledwością panując nad głosem. - Nie jestem w tej chwili sobą. Jeśli chcesz wracać plażą, to wyjdź, proszę, od frontu i obejdź dom przez dziedziniec. Możesz tak zrobić?

Mogłem i zrobiłem. A po powrocie do domu zabrałem się do pracy nad jego portretem. Był w porządku. Chcę przez to chyba powiedzieć, że był dobry. Dostrzegłem na nim twarz Wiremana. Wyrwała się ku powierzchni. Próbowano się wydobyć. Nic specjalnego, ale całkiem przyzwoite. Nic specjalnego zawsze okazuje się najlepsze. Pamiętam, że byłem wtedy szczęśliwy. Ogarnięty spokojem. Muszle mamrotały coś do siebie. Moja prawa ręka swędziała, ale słabo i jakby z głębi. Okno wychodzące na zatokę było prostokątem atramentowej czerni. Raz zszedłem na dół, żeby zjeść kanapkę. Włączyłem radio i znalazłem stację The Bone, a tam J. Geils śpiewał „Hold Your Lovin’”. J. Geils też nie był nikim specjalnym, a brzmiał genialnie - dar od bogów rock and roilla. Malowałem, a twarz Wiremana wystąpiła na płótnie nieco wyraźniej. Stała się duchem. Duchem, który nawiedził malarskie płótno. Był to jednak niegroźny duch. Gdybym odwrócił się od sztalug, nie zobaczyłbym Wiremana u szczytu schodów, tam, gdzie stał Tom Riley. Lewą część świata, który widział Wireman w *El Palacio de Asesinos*, wciąż krył mrok. Po prostu to wiedziałem. Malowałem dalej. Radio wciąż grało. Przesłonięte muzyką, poszeptywanie muszli nie cichło ani na chwilę.

W pewnym momencie przerwałem pracę, wziąłem prysznic, a potem położyłem się do łóżka. Nie przyszedł do mnie żaden sen.

Gdy wspominam czas, który spędziłem na wyspie o nazwie Duma Key, tamte dni na przełomie lutego i marca, kiedy pracowałem nad portretem Wiremana, wydają mi się najlepsze ze wszystkich.

XVI

Następnego dnia rano, o dziesiątej, zadzwonił Wireman. Stałem już przed sztalugami.

- Przeszkadzam? - zapytał.

- Nie, w porządku - uspokoiłem go. - Przyda mi się chwila przerwy.

To było kłamstwo.

- Rozglądaliśmy się za tobą dziś rano. - Pauza. - To znaczy, wiesz: ja się rozglądałem.

Moja pani...

- Jasne - westchnąłem.

- Twój kontrakt to bułka z masłem. Nie ma się do czego przypieprzyć. Proponują,

żeby dzielić się zyskami równo po połowie, ale tutaj zgłoszę poprawkę. Możecie się umawiać na fifty - fifty tylko do momentu, kiedy wpływy brutto nie przekroczą ćwierć miliona. Dalej ma być sześćdziesiąt do czterdziestu. Sześćdziesiąt dla ciebie.

- Wireman, moje obrazy w życiu nie zarobią ćwierć miliona dolarów!

- I mam nadzieję, że ludzie z twojej galerii mają o tobie dokładnie takie właśnie zdanie, bo zamierzam też zaproponować, żeby zysk powyżej pięciuset tysięcy dzielić siedemdziesiąt do trzydziestu.

- Plus branzłowanko rączętami Miss Florydy - jęknąłem słabo. - Dopisz do kontraktu.

- Zanotowałem. Kolejna sprawa to klauzula określająca czas obowiązywania umowy na sto osiemdziesiąt dni. Powinno być dziewięćdziesiąt. Nie przewiduję tutaj problemów, ale to ciekawe. Widocznie się boją, że zwałą się tutaj agenci z jakiejś dużej nowojorskiej galerii i cię wywiozą.

- Powinienem wiedzieć coś jeszcze na temat tej umowy?

- Nie. Wyczuwam, że chcesz już wracać do pracy. Odezwę się do pana Yoshidy i przedstawię mu propozycje poprawek.

- Co z twoim wzrokiem? Jakaś zmiana?

- Nie, *amigo*. Chciałbym odpowiedzieć inaczej. Ale nie przestawaj malować.

Odjąłem już słuchawkę od ucha, kiedy dobiegł mnie jeszcze jego głos:

- Oglądałeś może dziś rano wiadomości?

- Nie, nie włączałem telewizora. A co?

- Według oświadczenia koronera przyczyną śmierci Candy'ego Browna był zastoinowy atak serca. Pomyślałem sobie, że chciałbyś o tym wiedzieć.

XVII

Malowałem. Postęp był - choć niezbyt szybki. Wireman wyłaniał się z płótna opinającego okno, w którym widniał jego mózg zanurzony w falach zatoki. Był młodszy niż na zdjęciach, które przypiąłem sobie do sztalug, ale to nie miało znaczenia, bo i tak coraz mniej z nich korzystałem, a już trzeciego dnia zdjąłem w ogóle. Przestały być mi potrzebne. Mimo wszystko pracowałem chyba podobnie jak większość artystów: malowanie traktowałem jak pracę, nie jak napad narkotycznego obłądu, który przychodzi i odchodzi. Słuchałem sobie przy tym radia, zawsze jednej i tej samej stacji: The Bone.

Czwartego dnia Wireman przyniósł mi kontrakt z uwzględnionymi poprawkami i powiedział, że mogę go podpisać. Przekazał mi też, że Nannuzzi pyta, czy może

sfotografować moje obrazy i zrobić slajdy. Mają one posłużyć jako ilustracja odczytu, który odbędzie się w bibliotece Selby w Sarasocie, na miesiąc przed otwarciem mojej wystawy, czyli w połowie marca. Na ten odczyt, poinformował mnie Wireman, ma przyjść sześćdziesięciu albo i siedemdziesięciu mecenasów sztuki z Tamy, Sarasoty i okolic. Zgodziłem się i podpisałem umowę.

Dario przyjechał do mnie tego samego dnia, po południu. Od początku jego wizyty czekałem niecierpliwie, aż skończy pstrykać i sobie pójdzie, żebym mógł wrócić do pracy. Z uprzejmości, żeby nie stać jak koleś, zagadnąłem go, kto wygłosi odczyt w bibliotece Selby.

Spojrzał na mnie, unosząc brew, jakby to miał być żart.

- Jedyne w tej chwili znawca twojej twórczości na całym świecie - odpowiedział. - Ty. Rozdziawiłem usta i wytrzeszczyłem na niego oczy.

- Odczyt? Wykluczone! Ja nie mam pojęcia o sztuce!

Nannuzzi ogarnął szerokim gestem moje obrazy, które już w następnym tygodniu miały powędrować do Sarasoty, załadowane w skrzynie przez Jacka i dwóch wynajętych pomocników z galerii. Te skrzynie trafią zapewne do jakiegoś składziku na zapleczu i zostaną otwarte dopiero w przeddzień wystawy.

- Te płótna - poinformował mnie - świadczą o czymś innym.

- Dario, tam będą ludzie, którzy się znają! Uczyli się o tym! Założę się, że większość z nich jest po jakiejś akademii sztuk pięknych, na litość! Co ja mam według ciebie zrobić, wyjść i powiedzieć: „Jak jest, każdy widzi?”?

- Tyle właśnie Jackson Pollock potrafił powiedzieć o swoich pracach. I często bywał pijany, kiedy to mówił. A zarobił na tym krocie. - Dario podszedł do mnie i ujął mnie za kikut prawej ręki. Zaimponował mi tym. Mamo kto odważy się dotknąć kikut amputowanej kończyny; ludziom chyba się wydaje, podświadomie, że brak kończyn jest zaraźliwy. - Posłuchaj mnie, przyjacielu. To wszystko są ważne osobistości. Nie tylko dlatego, że mają pieniądze, ale też dlatego, że szukają nowych artystów, a każdy zna trzech następnych, którzy podzielają jego poglądy. Po tym odczycie - twoim odczycie, podkreślam - zrobi się szum. I to taki szum, który sprawi, że zadziałają czary, a ty staniesz się tym, o kim „się mówi”.

Zawiesił głos i uśmiechnął się lekko, skubiąc pasek aparatu.

- Wystarczy, że opowiesz o swoich początkach i o rozwoju swojej twórczości...

- Dario, ja nie wiem, w jaki sposób rozwijała się moja twórczość!

- Możesz tak powiedzieć. Powiedz cokolwiek! Jesteś artystą czy nie jesteś?

Nie drażyłem tematu. Złowieszczy odczyt wydawał mi się bardzo odległy, a chciałem, żeby Nannuzzi już sobie poszedł. Myślałem tylko o tym, żeby włączyć radio nastawione na

The Bone, odsłonić płótno stojące na sztalugach i wrócić do pracy nad portretem, który nazwałem „Wireman spogląda na zachód”. Chcecie usłyszeć brudną, świńską prawdę? Ten obraz nie powstawał już dlatego, że miałem nadzieję dokonać za jego pomocą jakiejś czarodziejskiej sztuczki. Teraz on sam stał się dla mnie magiczny. Zacząłem traktować go bardzo egoistycznie, a wszystko, co mogło mnie spotkać w przyszłości - obiecany wywiad z Mary Ire, odczyt, sama wystawa - było jakby nie przede mną, ale gdzieś wysoko ponad. W podobny sposób ryba pływająca w zatoce musi patrzeć na deszcz bijący o fale.

Ten pierwszy tydzień marca upłynął mi pod znakiem dziennego światła. Nie pożogi zachodzącego słońca, ale właśnie dziennego światła, które wypełniało pokój na piętrze, niejako porywając go ze sobą. Kolejnym znakiem tamtych dni była muzyka z radia: The Allman Brothers Band, Molly Hatchet, Foghat. Albo J.J. Cale, zapowiadający „Cali Me the Breeze” słowami: „A teraz wasz kolejny ukochany, stary rockandrollowy szlagier. Przerzucamy się na Broadway”. Słuchałem tej muzyki, a po wyłączeniu radia, kiedy myłem pędzle, spod podłogi dobiegały mnie głosy muszli. Ostatnim znakiem tego pierwszego marcowego tygodnia była widmowa twarz, którą codziennie oglądałem na swoim płótnie, twarz mężczyzny młodszego niż obecnie, który nie wiedział jeszcze, co widać z wyspy Duma Key. Jest taka piosenka - śpiewa ją chyba Paul Simon - gdzie w pewnym momencie padają słowa: „Gdybym nie poznał miłości, nigdy nie zaznałbym łez”. To była właśnie taka twarz. Nie wyglądała do końca na rzeczywistą, ale dzięki mnie stawała się realna. Wyrastała dookoła mózgu pływającego w wodach zatoki. Jakiegokolwiek zdjęcia przestały już być mi potrzebne, bo to była twarz, którą znałem. Ze wspomnień.

XVIII

Czwarty marca był upalny od rana do wieczora, ale nie chciało mi się włączać klimatyzacji. Malując, miałem na sobie tylko spodenki gimnastyczne, a pot spływał mi po twarzy i bokach/Telefon zadzwonił tego dnia dwa razy. Za pierwszym razem to był Wireman.

- Dawno nie gościłeś w naszych stronach, Edgarze. Wpadniesz na kolację?

- Dzięki, ale chyba się nie skuszę.

- Malujesz czy zbrzydło ci już może towarzystwo mieszkańców *El Palacio*?

- Tylko to pierwsze. Już prawie skończyłem. Dostrzegasz jakąś odmianę w swoim zmyśle wzroku?

- Lewa gałka w dalszym ciągu nie działa, ale kupiłem sobie przepaskę na oko i kiedy ją zakładam, mogę czytać prawą stronę nawet do piętnastu minut bez przerwy. To wielki krok

naprzód i chyba mam tutaj coś do zawdzięczenia właśnie tobie.

- Wcale nie jestem tego pewien - powiedziałem. - Czuję się zupełnie inaczej, niż kiedy malowałem Candy'ego Browna i Tinę Garibaldi. Albo moją żonę i jej... niech będzie, że znajomych. Teraz nie ma tego „bum”. Rozumiesz, o co mi chodzi, kiedy mówię „bum”?

- Rozumiem, *muchacho*.

- Ale jeśli coś ma się wydarzyć, to chyba już niedługo. Natomiast jeśli nic się nie stanie, to przynajmniej będziesz miał portret siebie w wieku dwudziestu pięciu lat. To znaczy, tak chyba mogłeś wyglądać, kiedy tyle miałeś.

- To ma być żart, *amigo*?

- Nie.

- Sam nie pamiętam, jak wyglądałem w tym wieku.

- Co z Elizabeth? Jakież zmiany?

Wireman westchnął.

- Wczoraj rano jakby jej się trochę polepszyło, więc zawiozłem ją do salonu na tyłach domu. Jest tam mniejszy stół z figurkami, mówię na niego Porcelanowe Przedmieście. Posadziłem ją przy nim, a ona zrzuciła na podłogę komplet ośmiu baletniczek z porcelany Wallendorfa. Wszystkie poszły w drobny mak. Oczywiście, są nie do odzyskania.

- Bardzo mi przykro.

- Jeszcze zeszłej jesieni nigdy bym nie pomyślał, że może jej się aż tak pogorszyć. A Bóg karze nas za to, czego nie umiemy sobie wyobrazić.

Piętnaście minut później telefon zadzwonił ponownie. Rozzłoszczony, rzuciłem pędzel na stół. To był Jimmy Yoshida. Moja złość nie wytrzymała starcia z jego radosnym, wręcz żywiołowym entuzjazmem. Właśnie obejrzał slajdy i obwieścił mi, że na ich widok wszyscy „padną na dupę”.

- Cudownie - parsknąłem. - W takim razie mój odczyt będzie wyglądał tak: powiem „Podnieście te dupy z podłogi”... i wyjdę.

Zaczął się śmiać tak, jakby nigdy w życiu nie usłyszał niczego zabawniejszego.

- Dzwonię głównie po to - powiedział, kiedy przestał - żeby zapytać, czy są jakieś obrazy, które chcesz oznaczyć „nie na sprzedaż”.

Za oknem rozległ się dudniący pomruk, który brzmiał tak, jakby ogromna, wyładowana po brzegi ciężarówka przetoczyła się po drewnianym moście. Spojrzałem na zatokę - gdzie drewnianych mostów nie było - i zrozumiałem, że to był grzmot. Daleko na zachodzie.

- Edgar, jesteś tam jeszcze?

- Jestem, jestem - uspokoiłem go. - Zakładając, że w ogóle ktoś będzie chciał coś kupić, możecie sprzedać wszystko oprócz serii „Dziewczynka i statek”.

- Aha.

- Słyszę rozczarowanie w tym „aha”.

- Miałem nadzieję, że uda się kupić jeden z nich do galerii. Wpadł mi w oko numer dwa.

A zgodnie z kontraktem, który podpisaliśmy, przysługiwał mu rabat - pięćdziesiąt procent. Dobrze, dobrze, panie bohrze, jak by powiedział mój ojciec.

- Jeszcze nie skończyłem tej serii. Może kiedy już powstaną wszystkie obrazy...

- A ile ma ich być?

Będę malował, dopóki nie odcyfruję nazwy tego pieprzonego statku - widma, którą widać na rufie, pomyślałem.

I mało brakowało, żebym powiedział to na głos do słuchawki, ale w tej chwili z zachodu dobiegło dudnienie kolejnego grzmotu.

- Chyba sam będę wiedział, kiedy namaluję ostatni. A teraz wybacz, ale...

- Pracujesz. Przepraszam. Już nie przeszkadzam. Wyłączyłem bezprzewodowy telefon i zacząłem się zastanawiać, czy chce mi się wracać do pracy czy nie. Ale... byłem już blisko. Gdybym się mocno przyłożył, miałem szansę skończyć jeszcze tego samego dnia. Poza tym wydawało mi się, że fajnie będzie malować podczas burzy, którą wiatr gnał, zachłyśniętą piorunami, znad zatoki.

Mój Boże, widziałem w tym wtedy jakąś poetyczność.

Tak więc włączyłem radio, które uciszyłem, odbierając telefon, a tam powitał mnie Axl Rose, zdzierający sobie gardło w kawałku „Welcome to the Jungle”. Wziąłem pędzel i zatknąłem go sobie za ucho. Wziąłem drugi i zacząłem malować.

XIX

Burzowe chmury napłynęły całą gromadą, ogromne płaskodenne łodzie, czarne od spodu, w środku sinofioletowe. Co chwila gdzieś trzaskała błyskawica, a w jej świetle te opasłe kłęby wyglądały jak mózgi pełne złych myśli. Zatoka straciła kolor, zmartwiała. Zachód słońca był tego dnia cienkim żółtym paskiem, który strzelił słabą pomarańczową iskrą i zgasi. Mrok zalał pokój na piętrze. Radio zaczęło ryczeć od zakłóceń za każdym błysnięciem. Przerwałem na chwilę pracę, żeby je zgasić, ale światła nie włączyłem.

Nie pamiętam dokładnie, w którym momencie coś innego, już nie ja, zaczęło malować

ten obraz... i po dziś dzień nie jestem pewien, czy coś takiego w ogóle nastąpiło. Może *si*, może *no*. Wiem tylko tyle, że w pewnej chwili spojrzałem w dół i w ostatnich promieniach odchodzącego dnia, punktowanych jąkaniną błyskawic, zobaczyłem swoją prawą rękę. Kikut był opalony, reszta trupio blada. Zwiotczałe mięśnie wisały flakowato. Na skórze nie było najmniejszej blizny, żadnej linii złączenia oprócz tej opalenizny, ale tam, gdzie się ona kończyła, kłuło mnie suche, parzące swędzenie. Po chwili znów błysnęło i nie miałem już ręki - w każdym razie nie na tej wyspie - ale swędzenie pozostało, tak silne, że chciało mi się wbić w coś zęby i szarpać.

Odwróciłem się z powrotem do płótna i momentalnie moja udręka trysnęła w tym kierunku jak woda z przedziurawionej torebki. Wtedy opadła mnie ta gorączka. Burza rzuciła się na wyspę razem ze zmierzchem, a mnie przypomniał się znany cyrkowy numer, w którym facet zawiązuje sobie oczy i na oślepciska nożami w ślicznotkę rozkrzyżowaną na obracającej się drewnianej tarczy. Chyba się wtedy zaśmiałem, bo przecież sam malowałem na oślepciska, albo prawie na oślepciska. Co chwila błyskało, a z płótna wyskakiwał na mnie Wireman, dwudziestopięcioletni Wireman, który nie znał Julii, nie miał Esmeraldy, nie wiedział, co to *la loteria*.

Wygram ja, wygrasz ty.

Potężna błyskawica zapłonęła w oknie sinobiałym ogniem, ciskając znad zatoki podmuchem wyjącego wichru. Nawałnica wyrznęła o szybę ze wściekłym impetem, a ja pomyślałem (tą częścią mózgu, która była jeszcze zdolna do procesów myślowych), że szkło nie może wytrzymać takiego uderzenia. Tuż nad moją głową eksplodował cały arsenał materiałów wybuchowych. Pod stopami szemranie muszli zmieniło się w gwar kościanych głosów nieżyjących istot, powierzających sobie nawzajem wielkie tajemnice. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie słyszałem? Głosy zmarłych, właśnie tak! Przypłynął tu kiedyś statek, statek umarłych pod zbutwiałymi żaglami, i wyrzucił na brzeg gromadę trupów. Leżały pod wybrzeżem, na którym stał dom, a sztorm wyrwał je z martwoty. Widziałem oczyma wyobraźni, jak powstają z dna morza, przekopując się przez kurhany usypane z muszli, blade, galaretowate poczwary z zielonymi włosami i oczami mew, jak roją się w ciemności, pełzając jedno po drugim. I mówią, mówią, bez przerwy mówią. Tak! Przecież mają tyle rzeczy do obgadania, tyle zaległości, a kto wie, kiedy znów przyjdzie taki sztorm, który obudzi je do życia?

Ogarniała mnie ciemność i przytłaczała groza, lecz mimo wszystko nie przestawałem malować. Dłoń trzymająca pędzel chodziła w górę i w dół - przez chwilę wydawało mi się, że dyryguję tą burzą. Nie mógłbym przestać, nawet gdybym chciał. I nagle, w pewnym

momencie, obraz „Wireman spogląda na zachód” był gotowy. Powiedziała mi o tym moja prawa ręka. Rzuciłem podpis na płótno, kilka ostrych kresek - *EF* - w lewym dolnym rogu, a potem chwyciłem pędzel obiema rękami i zламаłem. Przełamane części wylądowały na podłodze. Cofnąłem się na miękkich nogach, byle dalej od sztalug, wykrzykując w myślach prośbę: cokolwiek się dzieje, niech już się skończy. Musiało się teraz skończyć, na pewno; obraz był przecież gotowy, więc musiało się skończyć.

Stanąłem u szczytu schodów i spojrzałem w dół. Na dole, tuż przy pierwszym stopniu, tkwiły dwie małe, ociekające wodą postacie. Jabłko, pomarańcza, pomyślałem, a potem: wygram ja - wygrasz ty. Za oknami zamigotała błyskawica i w jej świetle zobaczyłem dwie dziewczynki, mniej więcej sześciolatki, z całą pewnością bliźniaczki, z całą pewnością siostry Elizabeth Eastlake, te, które utonęły. Mokre sukienki oblepiały ich ciała, mokre włosy kleiły się do policzków. Ich twarze były to dwie blade makabryczne maski.

Wiedziałem, skąd się tu wzięły. Wypelzły spod muszli.

Dziewczynki ruszyły schodami do góry, trzymając się za ręce. Gdzieś wysoko, może z kilometr nad ziemią, przetoczył się łoskoczący grzmot. Chciałem wrzasnąć, nie mogłem. To przywidzenie, pomyślałem, a potem: to wcale nie przywidzenie.

- Dam sobie radę - powiedziała pierwsza dziewczynka głosem muszli.

- Czerwona - powiedziała druga dziewczynka głosem muszli.

Już były w połowie schodów. Widziałem ich główki, a właściwie czaszki, czaszki oplecione kołtunem mokrych, zwisających po bokach włosów.

- Usiądź w trumnie - wyskandowały unisono, jak wierszyk do skakania na skakance... ale mówiły głosem muszli. - Usiądź w urnie.

Wyciągnęły ręce do góry, sięgając po mnie dłońmi z upiornymi palcami, białymi jak rybi brzuch.

Zemdlałem i osunąłem się na podłogę u szczytu schodów.

XX

Nagle usłyszałem, że dzwoni telefon. To była dla mnie zima telekomunikacji.

Rozchyliłem powieki, sięgając do lampki na nocnym stoliku. Chciałem natychmiast zapalić światło, bo właśnie przyśnił mi się najgorszy koszmar w całym życiu. Ale zamiast namacać włącznik, uderzyłem palcami w ścianę i w tym samym momencie dotarło do mnie, że z jakiegoś powodu opieram się skronią o tę ścianę, a szyja mnie boli, bo trzymam głowę pod dziwnym kątem. Usłyszałem grzmot, ale stłumiony i posępnie brzmiący, głos oddalającej

się burzy - i to wystarczyło, żebym w jednej chwili przypomniał sobie wszystko w najdrobniejszych i najstraszniejszych szczegółach. Nie byłem wcale w łóżku. Leżałem na podłodze w „Koraliku”. Zemdląłem, bo...

Otworzyłem oczy na całą szerokość. Leżałem u szczytu schodów, z tyłkiem na podeście i nogami na stopniach. Pamięć podsunęła mi wizerunek dwóch małych topielic. Nie, to nie było zwykłe wspomnienie, ale dokładny i szczegółowy obraz. Kiedy stanął mi przed oczami, poderwałem się z podłogi jak pchnięty sprężyną, w najmniejszym stopniu nie czując chorego biodra. Miałem w głowie tylko jedno: trzy włączniki światła na ścianie obok schodów. Lecz gdy je już znalazłem, przemknęło mi przez głowę: Nie zapali się, burza wywaliła korki.

Tymczasem światło działało. Przepędziło ciemność z mojej pracowni i ze schodów. Przeżyłem jedną nieprzyjemną chwilę, kiedy na dole, tuż przy pierwszym stopniu, dostrzegłem ślady piasku i wody, ale było na tyle jasno, żebym mógł zauważyć stojące otworem drzwi wejściowe. Musiał je otworzyć podmuch wiatru.

To na pewno był tylko wiatr.

Telefon w salonie przestał dzwonić i włączyła się automatyczna sekretarka: mój nagrany głos poprosił dzwoniącego o pozostawienie wiadomości po sygnale. Dzwoniącym był Wireman.

- Edgar, gdzie jesteś? - zapytał, a ja byłem tak zdezorientowany, że nie umiałem rozpoznać, czy w jego głosie słyszę podniecenie, niepokój czy przerażenie. - Musisz do mnie zadzwonić, natychmiast! - I trzask odkładanej słuchawki.

Z ociąganiem zszedłem na dół, po jednym stopniu, jakbym miał z osiemdziesiąt lat, i przede wszystkim pozapalałem wszędzie światła: w salonie, kuchni, obu sypialniach, pokoju „Floryda”. Nawet w łazienkach włączyłem oświetlenie, sięgając w ciemność wiszącą za progiem, cały spięty ze strachu, że coś zimnego, mokrego i oblepionego wodorostami złapie mnie za rękę. Nic z tych rzeczy. Kiedy już wszędzie było jasno, rozluźniłem się na tyle, żeby móc uzmysłwić sobie, że znów jestem głodny. Wręcz umieram z głodu. Dotychczas w trakcie pracy nad portretem Wiremana ani razu nie zrobiłem się głodny - ale faktem jest, że ta ostatnia sesja była najcięższa, prawdziwa orka.

Pochyliłem się, żeby obejrzeć to, co wiatr nawiał przez otwarte drzwi. Nic, tylko piach i woda, przezroczyście koraliki lśniące na cyprysowych deskach, wywoskowanych do połysku przez moją gospodynię. Wykładzina na najniższych stopniach schodów też była nieco wilgotna, ale poza wilgocią nie odkryłem tam niczego.

Nawet przed sobą samym nie przyznałbym się, że szukam śladów stóp.

Poszedłem do kuchni, zrobiłem sobie kanapkę z kurczakiem i wciągnąłem ją na stojąco, oparty o blat roboczy. Do popicia wyjąłem piwo z lodówki. Rozprawiając się z kanapką, pochłonałem resztki wczorajszej sałatki, pływające (można powiedzieć) w śmietanowym sosie. Następnie poszedłem do salonu, aby zadzwonić do *El Palacio*. Wireman odebrał natychmiast, po pierwszym sygnale. Chciałem się wytłumaczyć, że byłem na dworze i sprawdzałem, czy burza nie uszkodziła domu, ale to, gdzie się podziewałem, kiedy dzwonił, było ostatnią rzeczą, jaka w tej chwili go obchodziła. Wireman płakał w słuchawkę i śmiał się jednocześnie.

- Widzę! Widzę normalnie! Lewym okiem też, jasno i wyraźnie. Nie mogę w to uwierzyć, ale...

- Zwolnij, Wireman. Ledwie cię rozumiem.

Nie zwolnił. Może nie mógł.

- Kiedy burza najbardziej szalała, poczułem ból w lewym oku... Nie wyobrażasz sobie nawet jaki... Jakby ktoś mi wbił tam rozpalony drut... I pomyślałem, Bóg mi świadkiem, że w dom strzelił piorun... Ściągnąłem opaskę... a tu nagle: wszystko widzę! Rozumiesz, co do ciebie mówię? Widzę!

- Tak - odparłem. - Rozumiem. Wspaniała wiadomość.

- To twoja zasługa. Prawda?

- Być może - przyznałem. - Prawdopodobnie tak. Mam dla ciebie obraz. Dostaniesz go jutro. - Urwałem, zawahawszy się na chwilę. - Na twoim miejscu pilnowałbym go jak oka w głowie. Nie wydaje mi się, żeby to było naprawdę konieczne, skoro i tak już powstał, ale z drugiej strony należę do tych, którzy myśleli, że Kerry wygra z Bushem.

Wireman zaśmiał się dziko.

- Prawda, słyszałem o tym. Ciężko było?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, strzeliła mi do głowy pewna myśl.

- Czy Elizabeth źle zniosła tę burzę?

- Okropnie, stary, mówię ci. Ona w ogóle boi się burzy, ale dziś... Była przerażona. Wołała swoje siostry, Tessie i Lo - Lo, te które utonęły w latach dwudziestych. Aż się na nią wkurzyłem... ale już po wszystkim. A co u ciebie? W porządku? Ciężko było?

Zerknąłem na piach rozsypany na podłodze, od progu aż do schodów. Z całą pewnością nie było tam żadnych śladów stóp. Jeśli widziałem coś więcej niż piach, to tylko i wyłącznie za sprawą mojej pieprzonej „malarskiej wyobraźni”.

- Trochę ciężko - odpowiedziałem Wiremanowi. - Ale już po wszystkim.

I miałem szczerą nadzieję, że to prawda.

XXI

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakieś pięć minut, a właściwie mówił tylko Wireman. „Paplał” byłoby zresztą trafniejszym określeniem. Na sam koniec powiedział, że boi się położyć spać. Miał stracha, że obudzi się w środku nocy i znów nie będzie widział na lewe oko. Odparłem, że moim zdaniem nie musi się tym martwić, i na tym zakończyłem rozmowę, życząc mu dobrych snów. Sam też miałem stracha. Bałem się obudzić w środku nocy i zobaczyć z jednej strony mojego łóżka Tessie, a z drugiej Laurę czy też Lo - Lo, jak na nią mówiła Elizabeth.

A jedna z nich trzymałaby pewnie Rebę na kolanach oblepionych mokrą sukienką.

Wyjąłem z lodówki następne piwo i wróciłem na górę. Zbliżyłem się do sztalug ze zgiętym karkiem i wzrokiem wbitym w podłogę, po czym nagle szybkim ruchem poderwałem głowę, jakbym chciał przyłapać portret Wiremana na gorącym uczynku. Część mojego umysłu - ta mieszcząca rozsądek - spodziewała się zobaczyć bohomaz wysmarowany farbą od ściany do ściany, zarysy twarzy i sylwetkę postaci zachlapane kleksami ciskanymi na płótno podczas burzy, kiedy to właściwie jedyne konkretne światło, jakie miałem do malowania, pochodziło od błyskawic. Reszta mojej świadomości wiedziała, czego się spodziewać. Wiedziała, że malowałem przy zupełnie innym świetle (tak samo jak miotacz noży z opaską na oczach posługuje się nie wzrokiem, ale całkiem innym zmysłem). Ta reszta wiedziała, że portret pod tytułem „Wireman spogląda na zachód” udał się idealnie - i miała rację.

W pewien sposób był to najlepszy obraz, jaki namalowałem na wyspie Duma Key, ponieważ był najbardziej racjonalny - należy bowiem pamiętać, że „Wireman spogląda na zachód” powstawał, oprócz tej ostatniej sesji, wyłącznie przy świetle dziennym. A człowiek, który trzymał pędzel, był przy zdrowych zmysłach. Duch nawiedzający moje płótno przybrał postać człowieka o młodej, ujmującej, spokojnej i wrażliwej twarzy. Jego lśniące włosy były kruczoczarne. W kącikach ust i w zielonych oczach igrał uśmiezek. Brwi miał grube, o harmonijnym kroju. Czoło wysklepione ponad nimi - szerokie, podobne do otwartego okna, przez które myśli tego człowieka biegły ku Zatoce Meksykańskiej. W odsłoniętym, widocznym jak na dłoni mózgu nie było żadnej kuli. W ten sam sposób, z równą łatwością, mógłbym usunąć tętniaka albo złośliwy guz. Cena ukończenia obrazu była wysoka, ale rachunek został uregulowany.

Burza ucichła już prawie zupełnie, jeszcze tylko od strony półwyspu Florydy, tej wielkiej klamki wbitej w morze, dobiegały nieliczne, słabe pomruki. Pomyślałem sobie, że dobrze byłoby się teraz przespać, choćby przy włączonym świetle, gdybym tylko zechciał;

Reba na pewno nikomu by nie powiedziała, że bałem się je zgasić. Mógłbym nawet zasnąć, przytulając ją kikutem do boku. Już tak robiłem. A potem pomyślałem: Wireman odzyskał wzrok. Wtedy ten fakt wydawał mi się jednak nieistotny. Bo najważniejsze było to, że wreszcie namalowałem coś wielkiego.

I całkiem mojego.

Pomyślałem, że dobrze byłoby przespać się z tym.

JAK POWSTAJE OBRAZ (VI)

Nie rozpraszaj się. Co odróżnia dobry obraz od zwykłego obrazka, śmiecia, chały, jakiej świat jest pełen? Właśnie koncentracja.

Elizabeth Eastlake była demonem koncentracji; pamiętajcie, że po wypadku sama narysowała sobie drogę powrotną do świata, i to dosłownie. A kiedy od głosu przemawiającego przez jej lalkę, Noveen, dowiedziała się o skarbie, skupiła na nim wszystkie myśli i zaczęła rysować kosztowności zaścielające piaszczyste dno zatoki. Odslonięte przez fale wzbudzone huraganem, klejnoty leżały teraz tak płytko, że w południe z pewnością odbijało się w nich słońce - a jego odbite promienie było widać aż na powierzchni.

Libbit chciała sprawić przyjemność tatusiowi. Dla siebie prosiła tylko o lalkę z porcelany.

Tatus mówi: „Jeśli tylko będzie tam jakaś lalka, jest twoja. Należy ci się znaleźne”. I niech Bóg ma go za to w swojej opiece.

Weszła razem z nim do wody, aż po swoje okrągłe, pulchne kolanka, i pokazała palcem: „Tam. Płyń w tamtym kierunku i nie przestawaj, dopóki nie powiem”.

Zostawił ją w wodzie przy brzegu, a sam wszedł dalej. Kiedy już rzucił się w fale caldo, powierzając im swoje ciało, płetwy, które miał na nogach, były w oczach Libbit tak wielkie jak łódki na wiosła. Później zresztą tak właśnie je narysowała. Najpierw jednak jej ojciec splunął w maskę, wypłukał ją i założył. Chwycił w zęby ustnik rurki do nurkowania. I dał nura w słoneczny błękit, zagarniając go płetwami i zanurzając twarz w wodzie, a kontur jego ciała zlał się w jedno z ruchliwymi, rozmigotanymi refleksami słonecznych promieni, które barwiły złotem przezroczyste fale.

Wiem, jak to wszystko wyglądało. Część narysowała Elizabeth, a część ja sam.

Wygram ja, wygrasz ty.

Stała po kolana w wodzie, trzymając Noveen pod pachą, i patrzyła, aż wreszcie niania Melda, bojąc się, że porwie ją prąd powrotny, zawołała i trzeba było wracać na Cienistą Plażę, jak nazywało się ją w domu. Tam stały wszystkie razem. Elizabeth krzyknęła do taty, żeby nie płynął już dalej; jego płetwy śmignęły w powietrzu, kiedy zanurkował po raz

pierwszy. Był na dole około czterdziestu sekund, po czym wynurzył się w bryzgach wody, wypływając ustnik rurki.

Tatusź mówi: „A niech mnie! Tam naprawdę coś jest!”.

A kiedy wrócił do malej Libbit, przytulił ją i tulił, i tulił.

Wiem, jak to wyglądało. Tak jak na moim rysunku: czerwony kosz piknikowy stał na kocu rozłożonym nieopodal, a na jego wieku leżał miotacz harpunów.

John Eastlake znów zszedł pod wodę, a kiedy się wynurzył, miał ręce pełne starych precjozów. Przyciskał je niezgrabnie do piersi. Później zarekwirował niani Meldzie kosz, z którym jeździła na targ; wkładał do niego ołowiany ciężarek, żeby łatwiej było go zanurzyć. Jeszcze później w prasie pojawiło się zdjęcie, na którym widać sporą część tego grochu z kapustą, wyciągniętego z morza - owego „skarbu”, rozłożonego u stóp uśmiechniętego Johna Eastlake a i jego utalentowanej, wściekle skoncentrowanej córki. Na tym zdjęciu nie ma jednak lalki z porcelany.

Ta lalka była wyjątkowa. Należała do Libbit, jako jej znaleźne.

Czy to ta istota, która była lalką, uśmierciła Tessie i Lo - Lo? Czy to ona stworzyła dużego chłopaka? Jaki udział miała w tym sama Elizabeth? Kto był rysownikiem, a kto pustą płaszczyzną?

Są pytania, na które nigdy nie znalazłem zadowalającej odpowiedzi, ale ponieważ sam rysowałem i malowałem, wiem, że jeśli chodzi o sztukę, to jak najbardziej na miejscu jest następująca parafraza Nietzschego: kiedy starasz się opanować koncentrację, to prędzej czy później ona opanuje ciebie. Możliwe, że na zawsze.

I

Następnego dnia, wczesnie rano, wszedłem razem z Wiremanem do wody po same łydki. Była zimna, że aż rwało w nogach. Wireman wlaź pierwszy, a ja za nim. Nie pytając o nic. Bez słowa. Każdy z nas trzymał w dłoni filiżankę kawy. On miał na sobie szorty; ja zatrzymałem się na jedną chwilę, żeby podwinąć spodnie do kolan. Za naszymi plecami, tam, gdzie kończył się drewniany podest, stał wózek, na którym siedziała Elizabeth, zgarbiona, wodząc ponurym wzrokiem po linii horyzontu. Leżało przed nią śniadanie, większa jego część. Trochę zjadła, resztę rozrzuciła. Jej rozpuszczone włosy targał ciepły południowy wiatr.

Fale mijaly nas, obmywając brzeg. Kiedy już się przyzwyczailem, aksamitny dotyk płynącej wody zaczął być bardzo przyjemny: najpierw przyplływ zdawał się mnie unosić, jakbym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stracił na wadze dobrych pięć kilo, a potem cofająca się fala wymywała mi piasek spomiędzy palców stóp, wokół których tworzyły się miniaturowe, łaskoczące wiry. Dalej w morze, około siedemdziesięciu albo osiemdziesięciu metrów od nas, po porannym niebie krążyły dwa tłuste pelikany. Na naszych oczach nagle oba złożyły skrzydła i runęły w dół jak kamienie. Pierwszy nic nie złapał, ale drugi wypłynął ze śniadaniem w dziobie; kiedy podrywał się w powietrze, mała rybka zdążyła już zniknąć w jego gardzieli. Przypominało to jakiś odwieczny balet, lecz oglądało się bardzo przyjemnie. Z zielonego gąszczy porastającego południowy kraniec wyspy dobiegało nas wołanie kolejnego ptaka: „O - o! O - o!”, raz za razem.

Wireman odwrócił się do mnie. W żaden sposób nie można go było wziąć za dwudziestopięciolatka, ale odkąd się poznaliśmy, z całą pewnością nie wyglądał jeszcze tak młodo. Jego lewe oko przestało być czerwone i straciło swoje zdekoncentrowane spojrzenie, mówiące: „Patrzę, gdzie mi pasuje”. Nie miałem żadnych wątpliwości, że to oko mnie widzi, i to bardzo dobrze.

- Jeśli będę kiedyś mógł coś dla ciebie zrobić... - powiedział właściciel tego oka. - Co zechcesz. I kiedy zechcesz. Przyjadę, kiedy zadzwonisz. Zrobię, co powiesz. Dostałeś ode mnie czek *in blanco*. Masz jasność w tym temacie?

- Mam - przytaknąłem. Oprócz tego miałem też jasność w innej kwestii: kiedy dostajesz od kogoś czek *in blanco*, to nigdy, przenigdy nie wolno ci się zgłosić po wypłatę. To nie był wynik moich przemyśleń: czasami zrozumienie płynie prosto z serca, omijając mózg.

- No to w porządku - oznajmił Wireman. - To wszystko, co mam do powiedzenia.

Obejrzałem się, słysząc pochrapywanie: siedząca na swoim wózku Elizabeth miała głowę zwieszoną na piersi, dłoń zaciśniętą w pięść, a w niej kawałek tostu. Wiatr rozrzucał jej włosy.

- Wygląda na szczuplejszą - zauważyłem.

- Od Nowego Roku schudła dziewięć kilo. Raz dziennie próbuję jej dawać napój mleczny, ale nie zawsze chce go pić. A z tobą co? To przez nadmiar pracy tak wyglądasz?

- Jak?

- Jakby pies Baskerville'ów odgryzł ci lewy póldepek. Jeśli to z przepracowania, to może powinieneś trochę odpuścić i poleniuchować. - Wzruszył ramionami. - Jak to mówią na Kanale 6: „Taki jest nasz punkt widzenia, czekamy na opinie od państwa”.

Stałem, nie ruszając się z miejsca, poddając się falowaniu wody, i myślałem, co mogę mu powiedzieć. I ile. Odpowiedź na to pytanie wydawała się oczywista: wszystko albo nic.

- Chyba powinienem zdać ci pełną relację z dzisiejszej nocy - zdecydowałem. - Obiecay mi tylko, że nie zadzwonisz po panów w białych wdziankach.

- Dobra.

Opowiedziałem mu więc, jak kończyłem jego portret prawie po ciemku. Jak na własne oczy widziałem swoją prawą rękę i dłoń. Jak zobaczyłem dwie martwe dziewczynki u stóp schodów i jak zemdlałem. Kończyłem już na suchym lądzie: wyszliśmy z wody, przysiadając się obok wózka chrapiącej Elizabeth. Wireman zaczął sprzątać tacę, zmiatając odpadki do woreczka, który wyjął z torby zawieszanej na poręczy.

- To już wszystko? - zapytał.

- Nie wystarczy?

- Tylko pytam.

- To wszystko. Spałem jak dzidzius aż do szóstej, a potem wstałem, wsadziłem cię do samochodu - to znaczy twój portret - i przyjechałem tutaj. A propos, jeśli chcesz go już obejrzeć...

- W swoim czasie. Pomyśl sobie liczbę od jednego do dziesięciu. - Co?

- Proszę, *muchacho*. Mam taki kaprys.

Pomyślałem.

- Już.

Przez chwilę milczał, zapatrzony w zatokę. Potem wypalił:

- Dziewięć?

- Pudło. Siedem.

Skinął głową.

- Siedem. - Zabębnił palcami w pierś, potem położył dłoń na kolanach. - Jeszcze wczoraj bym zgadł. Dziś już nie umiem. Moja telepatia - ta mała iskierka - to już przeszłość. Ale to uczciwa zamiana, nawet więcej niż uczciwa. Wireman jest dokładnie taki, jaki był. I dziękuje ci za to.

- Do czego zmierzasz? Masz w ogóle jakieś wnioski?

- Mam. Chcę powiedzieć, że nie jesteś wariatem, jeśli to tego się obawiałeś. Na Dumie ludzie chorzy - w ten czy inny sposób - nabierają wyjątkowych zdolności. Tracą je, kiedy wyzdrowieją. Ja zostałem wyleczony. Ty wciąż jesteś chory, więc nadal to masz.

- Chyba nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- Bo niepotrzebnie komplikujesz zupełnie prostą sprawę. Spójrz przed siebie, *muchacho*, co widzisz?

- Zatokę. Ty mówisz na nią *caldo largo*.

- A co najczęściej malujesz?

- Zatokę. Zachód słońca nad zatoką.

- A co to znaczy malować?

- Malować to widzieć. Chyba.

- W tej kwestii nie ma „chyba”. A co się widzi na Dumie?

Odpowiedziałem mu, czując się jak dzieciak recytujący lekcję, który nie wie, czy mówi dobrze czy źle:

- Wyjątkowe rzeczy?

- Właśnie. Jak więc uważasz, Edgar: czy te nieżywe dziewczynki naprawdę były u ciebie dziś w nocy?

Między łopatkami przebiegł mi zimny dreszcz.

- Prawdopodobnie tak.

- Też tak sędzę. Moim zdaniem zobaczyłeś duchy sióstr starszej pani.

- Boję się ich - powiedziałem cicho.

- Edgar... Duch nie może zrobić krzywdy człowiekowi. Ja tak uważam.

- Może masz rację, ale tylko jeśli chodzi o zwykłych ludzi w zwykłym miejscu - odparłem.

Skinął głową, ale z ociąganiem.

- Niech będzie. Co w takim razie zamierzasz?

- Wiem, czego nie zamierzam. Wyjechać stąd. Jeszcze nie skończyłem tego, co mam tutaj do zrobienia.

I nie myślałem wcale o wystawie - tej mydlanej bańce sławy. To bynajmniej nie było wszystko. Nie wiedziałem tylko, co jeszcze na mnie czeka. Ale miałem się dowiedzieć. Gdybym chciał to ująć w słowa, zabrzmiałoby głupio, jak wróżba z chińskiego ciasteczka. I na pewno byłoby tam gdzieś słowo „los”.

- Chcesz przeprowadzić się do *El Palacio*? - zapytał Wireman. - Zamieszkać z nami?

- Nie. - Miałem wrażenie, że to tylko pogorszy sytuację. W taki czy inny sposób. Poza tym Wielki Koral był moim miejscem na Ziemi. Zdążyłem go pokochać. - Ale wiesz co, Wireman? Spróbuj się dowiedzieć jak najwięcej o rodzinie Eastlake, a szczególnie o tych dwóch siostrach, dobrze? Skoro możesz już czytać, to gdybyś powęszył w Internecie...

Złapał mnie za ramię.

- Będę węszył jak wściekły pies, ale może i ty dasz radę się czegoś dowiedzieć na ten temat. Jesteś umówiony na wywiad z Mary Ire, zgadza się?

- Tak. Zaplanowali mi go na tydzień po tym tak zwanym odczycie.

- Zapytaj ją o Eastlake'ów. Możesz trafić w dziesiątkę. Panna Eastlake w swoim czasie była wielką opiekunką artystów.

- Dobrze.

Wireman chwycił rączki wózka, na którym spała starsza pani, i odwrócił go z powrotem w stronę rezydencji z pomarańczowym dachem.

- Chodźmy więc obejrzeć mój portret. Chcę zobaczyć, jak wyglądałem w czasach, kiedy wydawało mi się jeszcze, że Jerry Garcia może zbawić świat.

II

Zaparkowałem na dziedzińcu, obok srebrnego mercedesa - benza Elizabeth Eastlake, pamiętającego jeszcze erę wojny wietnamskiej. Z tylnego siedzenia wyjąłem portret i ustawiłem go pionowo, żeby Wireman mógł się przyjrzeć. I kiedy tak patrzył w milczeniu, przyszło mi do głowy osobliwe porównanie: czułem się jak krawiec stojący obok klienta

przed lustrem w swojej pracowni. Jeszcze chwila i usłyszy od niego, że garnitur pasuje i podoba się - albo zobaczy smutne spojrzenie i potrząśnięcie głową, co będzie znaczyło, że jego robota nie jest zadowalająca.

Daleko na południu, od strony zielonego gąszczu, który nazywałem już w myślach Dżunglą Dumy, po raz kolejny dobiegł mnie ostrzegawczy krzyk niewidocznego ptaka: „O - o!”.

W końcu nadszedł moment, kiedy nie mogłem już dłużej wytrzymać.

- Powiedz coś, Wireman. Cokolwiek.

- Nie mogę. Brak mi słów.

- Tobie? Niemożliwe.

Ale kiedy oderwał wzrok od portretu, zrozumiałem, że mówi prawdę. Wyglądał, jakby oberwał młotkiem w głowę. Miałem świadomość, że moje obrazy działają na ludzi, ale jeszcze nikt nie zareagował tak, jak Wireman tamtego marcowego poranka.

Ocknął się dopiero wtedy, gdy ni stąd, ni zowąd rozległo się głośnie stukanie. To Elizabeth obudziła się i zaczęła łomotać dłonią w tacę, którą miała przed sobą.

- Palić! - krzyczała. - Palić! Pa - lić!

Jak się okazało, są takie potrzeby, których nie zagłuszy nawet zaćma alzheimera. Ta część mózgu Elizabeth, w której mieszkał głód nikotynowy, nie była zbutwiała tak jak reszta. Ta kobieta zamierzała palić aż do samej śmierci.

Wireman wyjął z kieszeni szortów paczkę american spirit, potrząsnął nią, wyciągnął jednego papierosa i wsunawszy go do ust, zapalił, po czym podsunął Elizabeth przed oczy.

- Czy jeśli pozwolę pani palić samodzielnie, to spali pani sobie ubranie, panno Eastlake?

- Palić!

- To mnie nie przekonuje, moja droga.

Ostatecznie jednak dał jej tego papierosa, a ona, niezależnie od swojej choroby, wypaliła go fachowo, zaciągając się głęboko i wypuszczając dym nosem. Skończywszy, rozsiadła się w wózku; przez chwilę wyglądała nie jak kapitan Bligh wyglądający z rufówki, ale raczej jak prezydent Roosevelt dokonujący przeglądu wojsk. Starczyłoby cygarniczki w zębach, żeby złudzenie było całkowite. No i, oczywiście, przynajmniej kilka zębów.

Wireman ponownie skierował wzrok na swój portret.

- Poważnie chcesz tak ot, wypuścić to z rąk? Nie możesz tego zrobić. Ten obraz jest niesamowity.

- Jest twój - oznajmiłem. - Bez dyskusji.

- Musisz go pokazać na swojej wystawie.

- Nie wiem, czy to taki dobry pomysł...

- Sam powiedziałaś, że po ukończeniu obrazu jego działanie najprawdopodobniej ustaje...

- No właśnie. Najprawdopodobniej.

- Jak dla mnie - wystarczy. A Scoto to i tak bezpieczniejsze miejsce dla mojego portretu niż ten dom. Edgar, ten obraz zasługuje na wystawienie. Do diabła, ludzie muszą go zobaczyć.

- Wireman, to ty? - Byłem szczerze zaciekawiony.

- Tak. Nie. - Znów odwrócił wzrok na obraz, a po chwili spojrzął na mnie. - Taki chciałem być. Być może nawet taki byłem, przez kilka dni. Kilka najlepszych dni najlepszego roku mojego życia. - I dodał, niemalże niechętnie: - Najbardziej idealistycznego.

Zamilkł na moment. Stał i patrzył na swój portret, a w tle Elizabeth posapywała niczym ciuchcia. Stara, wiekowa ciuchcia.

Wreszcie Wireman przerwał ciszę.

- Wiele rzeczy mnie zastanawia, Edgar. Odkąd przybyłem na Dumę, zadaję sobie więcej pytań niż czteroletnie dziecko ojcu, który próbuje je uspić. Ale jedno mnie nie dziwi: to, że chcesz tutaj zostać. Gdybym ja miał taki talent jak ty, chciałbym zostać tu na zawsze.

- Dwanaście miesięcy temu cała moja twórczość to było gryzmolenie na marginesach podczas gadania przez telefon.

- Wiem, mówiłeś mi o tym. Ale mam pytanie, *muchacho*. Kiedy patrzysz na ten obraz... I na wszystkie inne, które namalowałeś, odkąd zacząłeś się tym zajmować... To czy chciałbyś, żeby tamten wypadek się nie wydarzył? Czy zmieniłbyś to, gdybyś tylko mógł?

Przypomniałem sobie swoje malarskie sesje w „Koraliku” i potężną dawkę rockowego czadu z rozgłośni The Bone. Moje spacerzy, Wielkie Wędrówki Brzegiem Morza. Pomyślałem nawet o starszym synu Baumgartenów, jak wołał do mnie: „Joł, panie Freemantle, ale pan wymiata!”, kiedy odrzucałem mu frisbee. A potem przypomniałem sobie swoje przebudzenie w szpitalnym łóżku, jak straszliwie było mi gorąco, jak nie mogłem zebrać myśli, jak czasem nie mogłem przypomnieć sobie nawet własnego imienia. I ten gniew. I budzącą się powoli świadomość (obudziła się na dobre, kiedy oglądałem program Jerry'ego Springera), że pewna część mojego ciała uciekła z posterunku, zdezerterowała. Pamiętam, że rozplakałem się wtedy i za nic nie mogłem przestać.

- Zmieniłbym to - odpowiedziałem Wiremanowi. - Bez namysłu.

- Aha - mruknął. - Tak tylko pytałem, z ciekawości. - I odwrócił się ode mnie, żeby

zabrać Elizabeth papierosa.

Staruszka błyskawicznie wyciągnęła do niego ręce, jak dziecko, któremu zabrano ulubioną zabawkę.

- Palić! Palić! PA - LIC!

Ale kiedy Wireman zgasił niedopałek na podeszwie swojego sandała, uciszyła się momentalnie. Dokarmiła swój nałóg; można było zapomnieć o papierosie.

- Możesz z nią zostać na chwilę? - zapytał Wireman. - Wstawię obraz do holu.

- Nie ma sprawy - odparłem. - Wiesz, ja tylko chciałem powiedzieć...

- Wiem. Ręka. Ból. Żona. To było głupie pytanie. Wiadomo. Poczekaj chwilę, schowam tylko obraz do domu. A jak przyjedzie do ciebie Jack, przyślij mi go tutaj. Zapakujemy to płótno i niech je zawiezie do Scoto. Tylko że zanim pojedzie, wielkimi wołami z każdej strony wypiszę na opakowaniu: NIE NA SPRZEDAŻ. Jeśli chcesz mi dać ten portret, to znaczy, że jest mój. Żeby nikomu się nic nie popieprzyło.

Dżungla na południe od nas znów odezwała się zmartwionym ptasim wołaniem: „O - o! O - o! O - o!”.

Chciałem mu coś jeszcze powiedzieć, wyjaśnić, ale bardzo się spieszył. Zresztą, to było jego pytanie. Jego głupie pytanie.

III

Jack Cantori zabrał „Wiremana” do Scoto już następnego dnia, a Dario zadzwonił do mnie, kiedy tylko rozpakował obraz z kartonów. Oznajmił, że nigdy w życiu nie widział niczego podobnego, i poinformował mnie, że chce, aby ten portret oraz seria „Dziewczynka i statek” były centralnym punktem wystawy. Jego zdaniem (oraz Jimmy'ego Yoshidy) sam fakt, że te obrazy nie są na sprzedaż, rozbudzi ciekawość odbiorców. Zgodziłem się bez oporów. Zapytał, czy przygotowuję się do odczytu, na co odpowiedziałem, że się zastanawiam. Ucieszył się, ponieważ, jak się wyraził, odczyt wzbudza „wyjątkowe zainteresowanie”, pomimo że nie rozesłano jeszcze nawet ulotek reklamowych.

- Oczywiście prześlemy także zdjęcia w formacie JPEG naszym korespondentom elektronicznym - dodał.

- Świetnie - odparłem, choć bynajmniej się tak nie czułem. Tamten czas, pierwsze dziesięć dni marca, upłynął mi pod znakiem zagadkowego znużenia. Nie dotyczyło ono pracy: namalowałem kolejny zachód słońca i jeszcze jeden obraz do serii „Dziewczynka i statek”. Każdego ranka wychodziłem na plażę, biorąc ze sobą torbę na okazy. Rozglądałem

się za muszlami i innym ciekawym morskim śmieciem. Co znajdowałem? Bardzo często - puszki po piwie i innych napojach (w większości były wyczyszczone z lakieru do ostatniej plamki i białe jak amnezja), czasami prezerwatywy, raz dziecięcy karabin laserowy i raz majtki od bikini. Piłek tenisowych - zero. Oprócz malowania i spacerów były jeszcze spotkania z Wiremanem pod pasiastym parasolem i popijanie zielonej herbaty. Kilka razy namówiłem Elizabeth do zjedzenia sałatek z tuńczyka i makaronu, z dużą ilością majonezu; goniłem ją do picia napojów mlecznych, które ciągnęła przez słomkę. A jednego dnia przysiadłem na drewnianym podeście obok jej wózka i usunąłem pumeksem z jej olbrzymich stóp tajemnicze pierścienie poźółkłej, stwardniałej skóry.

Nie mogłem się natomiast zebrać do robienia notatek, które miały mi posłużyć do wygłoszenia mojego „odczytu o sztuce”, a kiedy zadzwonił do mnie Dario z wiadomością, że został on przeniesiony do auli z dwoma setkami miejsc siedzących, udało mi się odpowiedzieć mu coś na poczekaniu i nie zdradzić się, że padł na mnie bładny strach; jestem z tego bardzo dumny.

Dwieście osób - to znaczy dwieście par oczu skierowanych prosto na mnie.

Nie zdobyłem się też na wysłanie zaproszeń, zrobienie rezerwacji w Ritzu - Carltonie na piętnastego i szesnastego kwietnia ani też na wynajęcie pasażerskiego gulfstreama dla całego stada moich krewnych i znajomych z Minnesoty.

Przypuszczenie, że zainteresują ich moje bohomyzy, zaczęło mi się wydawać głupie.

Natomiast wizja Edgara Freemantle'a, faceta, który rok wcześniej wyklócał się z Miejską Komisją Urbanistyki w St. Paul o próbne odwierty podłoża skalnego, wygłaszającego odczyt na temat sztuki przed gronem złożonym z prawdziwych mecenasów, zakrawała już na kompletny obłąd.

Mimo to moje obrazy wydawały się jak najbardziej prawdziwe, a samo malowanie... Boże, ta praca to było coś wspaniałego. Stojąc w blasku zachodzącego słońca przed sztalugami, rozebrany do szortów, słuchając muzyki serwowanej przez The Bone i patrząc, jak na moich oczach „Dziewczynka i statek nr 7” z niesamowitą prędkością wyłania się z białej pustki niczym z gęstej mgły - czułem pełnią zmysłów, żyłem pełnią życia, wiedziałem, że znalazłem swoje miejsce i swój czas, byłem jak oko idealnie dopasowane do tkanek i do czaszki. Statek - widmo na obrazie odwrócił się jeszcze odrobinę. Widać już było chyba całą jego nazwę: „Perse”. Z czystej ciekawości wstukałem ją do Google'a i ustanowiłem prawdopodobnie światowy rekord znalezionych stron - jedna. Tak nazywała się prywatna szkoła w Anglii, założona w siedemnastym wieku przez niejakiego doktora Stephena Perse'a. Nie znalazłem jednak żadnej wzmianki o szkolnym żaglowcu, tym bardziej trójmasztowym.

W najświeższej odsłonie swojego portretu dziewczynka była ubrana w zieloną sukienkę na ramiączkach, które krzyżowały się na jej nagich plecach, a wszędzie dookoła łódki, na ponurych falach, unosiły się róże. Efekt był niepokojący.

Spacery po plaży, jedzenie, piwo, samotność albo towarzystwo Wiremana - wszystko to dawało mi szczęście. Malowanie obrazów też dawało mi szczęście. A nawet coś więcej. Z pędzlem w dłoni i płótnem na sztalugach byłem spełniony, całkowicie i absolutnie, w pewien elementarny sposób, którego przed przybyciem na Dumę w ogóle nie byłem w stanie pojąć. Kiedy jednak zaczynałem krążyć myślami wokół wystawy w galerii Scoto i całą pracą, którą należało wykonać, aby prezentacja nowego artysty przyniosła sukces, mój umysł ulegał nagłemu zawieszeniu. To było coś więcej niż zwykła trema; to była panika w czystej postaci.

Zacząłem zapominać o różnych rzeczach, na przykład o tym, że kiedy przychodzi e-mail od Daria, Jimmy'ego albo Alice Aucoin, również pracującej w galerii, to trzeba go otworzyć. Kiedy Jack zapytał mnie, czy już się nie mogę doczekać, żeby „pokazać się” w auli im. Jacka E. Geldbarta, czyli głównej sali konferencyjnej biblioteki Selby, bąknąłem w odpowiedzi „Jasne”, po czym poleciłem mu zatankować mojego chevroleta w Osprey i zapomniałem, o co mnie pytał. Kiedy Wireman zagadnął, czy ustaliłem już z Alice Aucoin, jak mają wisieć poszczególne obrazy, zaproponowałem mu partyjkę tenisa, dodając chyba, że Elizabeth lubi się przyglądać, jak gramy.

Wreszcie, mniej więcej na tydzień przed datą mojego odczytu, Wireman powiedział, że chce mi pokazać coś, co sam zrobił. Skromne rękodzieło, jak się wyraził.

- Zależy mi na twojej opinii jako artysty - wyjaśnił.

Na stoliku pod pasiastym parasolem (Jack skleił rozdarcie taśmą izolacyjną) leżała czarna teczka. Otworzyłem ją; w środku była broszurka wydrukowana na błyszczącym papierze. Na okładce widniał jeden z moich wczesnych rysunków: „Zachód słońca z szupinem”. Zaskoczył mnie jego profesjonalny wygląd. Pod reprodukcją znajdował się następujący tekst:

***Kochana Linnie! Tym się właśnie zajmuję na tej Florydzie
i chociaż wiem, że jesteś straszliwie zabiegana...***

Zdanie urywało się na słowach „straszliwie zabiegana”, a poniżej widniała strzałka. Spojrzałem na Wiremana, który przyglądał mi się z obojętną, pozbawioną wyrazu twarzą. Nie potrafiłem się zdecydować, czy jego tupet mnie drażni, czy cieszy. Prawdę mówiąc, czułem i złość, i ulgę. Ale nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy mu powiedziałem, że czasem mówię

na moją starszą córkę „Linnie”.

- Możesz to wydrukować dowolną czcionką - odezwał się. - Ta tutaj jak na mój gust jest trochę zbyt dziewczynska, ale mojej kolaborantce się podoba. No i, oczywiście, możesz wstawić do tego tekstu dowolne nazwisko. Wedle życzenia. To właśnie jest piękne, kiedy robi się takie rzeczy na komputerze.

Zamiast coś powiedzieć, otworzyłem broszurkę. W środku, na pierwszej stronie, widniał „Zachód słońca z perzem”, a na drugiej - ”Dziewczynka i statek nr 1”. Pod ilustracjami biegł dalszy ciąg tekstu z okładki:

...to mam nadzieję, że Będziesz mogła przyjechać na otwarcie wystawy moich prac, które odbędzie się 15 kwietnia w galerii Scoto w Sarasocie. Zaczyna się o 19.00, a kończy o 22.00. Pozwoliłem sobie zarezerwować dla Ciebie bilet na fot nr 22 linii Air France z Paryża do Nowego Jorku. Samolot startuje 15 kwietnia o 8.25 i ląduje o 10.15. Masz następnie rezerwację tego samego dnia na lot nr 496 linii Delta do Sarasoty. Start z lotniska Kennedyego o 13.20, lądowanie o 16.30. Na lotnisku będzie czekała limuzyna, która zabierze Cię do hotelu Ritz - Carlton, gdzie zamówiłem dla Ciebie pokój na dwie noce, dołączając moje najserdeczniejsze pozdrowienia.

Pod tym długim tekstem widniała kolejna strzałka. Spojrzałem na Wiremana, zdeorientowany. Siedział z kamienną twarzą, ale zauważyłem, że na prawej skroni pulsuje mu jakaś żyłka. Później przyznał mi się: „Wiedziałem, że wystawiam naszą przyjaźń na próbę, ale trzeba było coś zrobić, a stało się jasne, że ty się do tego nie zabierzesz”.

Odwrociłem stronę. Dalej były kolejne niesamowicie dobrze się prezentujące reprodukcje: „Zachód słońca z konchą” po lewej, a po prawej szkic mojej skrzynki na listy - bez tytułu. To był bardzo wczesny rysunek, zrobiony jeszcze kredkami, ale podobał mi się na nim kwiatek rosnący obok drewnianego słupka podpierającego skrzynkę: margerytka w kolorach jaskrawej żółci i czerni. I nawet ten szkic świetnie się prezentował w reprodukcji, jakby jego autor znał się na swojej robocie. Albo właśnie się na niej poznawał.

Na tych stronach tekst był krótki:

***Jeśli nie będziesz mogła przyjechać, na pewno zrozumiam
- w końcu Paryż nie jest o rzut beretem! - ale mam nadzieję,***

że uda ci się wyrwać.

Złościło mnie to wszystko, ale nie byłem przecież głupi. Ktoś musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Najwidoczniej Wireman uznał, że tym kimś ma być on.

Ilse, pomyślałem. To na pewno Ilse mu pomogła.

Na ostatniej stronie spodziewałem się znów zobaczyć swój rysunek i jakiś tekst, ale tym razem było inaczej. To, co tam znalazłem, zaskoczyło mnie zupełnie i ukłuło prosto w serce, które nagle wezbrało wielką falą dotkliwej ojcowskiej miłości. Melinda była zawsze moją bojową, twardą córką, moją inwestycją, ale myliłby się ten, kto by pomyślał, że z tego powodu mniej ją kochałem. Na zdjęciu, które miałem przed sobą, czarno - białym, złamanym w połowie i z dwoma zagiętymi rogami, widać było jak na dłoni, co do niej czułem. Jego podniszczony wygląd był jak najbardziej zrozumiały, ponieważ Melinda miała na nim najwyżej cztery lata. A zatem ono samo musiało mieć ich co najmniej osiemnaście. Lin stała obok mnie przed obiektywem, ubrana w dżinsy, kowbojskie buty i koszulę oraz słomiany kapelusz. Czy to było po powrocie z Pleasant Hill Farms, gdzie jeździła na kucyku szetlandzkim imieniem Landrynek? Możliwe. W każdym razie zdjęcie zrobiono na chodniku przed naszym pierwszym domem, małym domkiem jednorodzinny w Brooklyn Park. Ja miałem na sobie spłowiałe dżinsy i biały T - shirt z podwiniętymi odrobinę rękawami; czesałem się wtedy w kaczy kuper. Stałem uśmiechnięty, ściskając w dłoni puszkę piwa, a Linnie trzymała się jedną rączką kieszeni moich spodni. Na jej uniesionej buzi malowała się miłość tak ogromna, że na ten widok coś ścisnęło mnie za gardło. Mój uśmiech był natomiast uśmiechem człowieka, który za chwilę nie wytrzyma i zacznie płakać. Tekst pod zdjęciem informował krótko:

*Gdybyś chciała się dowiedzieć, kto jeszcze ma przyjechać,
możesz zadzwonić do mnie (941 - 555 - 6166) albo do Jerome'a Wiremana
(941 - 555 - 8191), ewentualnie do mamy, która, à propos,
przyleci razem z resztą towarzystwa z Minnesoty i zatrzyma się
w tym samym hotelu co Ty.*

*W nadziei, że się jednak zobaczymy - zresztą nawet jeśli nie,
to i tak Cię kocham, moja mała kowbojko -
Tata*

Złożyłem ten list, który był jednocześnie broszurą reklamową i zaproszeniem. Przez kilka chwil siedziałem bez słowa, wpatrując się w niego nieruchomym wzrokiem. Nie chciałem się odzywać - ze strachu, że nie zapanuję nad głosem.

- Nie muszę ci mówić, że to na razie tylko projekt - zaczął niepewnym głosem Wireman. Niepewnym, czyli kompletnie nie swoim. - Jeśli ci się nie podoba, to go wyrzucę i zrobię coś innego. Nie będę płakał i się nie obrażę.

- To nie Ilse dała ci to zdjęcie - odezwałem się wreszcie.

- Nie, *muchacho*. Pam znalazła je w jakimś starym albumie.

I nagle wszystko ułożyło się w sensowną całość.

- Ile razy z nią rozmawiałeś? - zapytałem. - Jerome?

Skrzywił się, słysząc, jak go nazwałem.

- To nie było miłe, ale niech będzie, że miałeś prawo tak zareagować. Około sześciu razy. Na początku powiedziałem jej, że jeszcze trochę i narobisz sobie tutaj niezłego bigosu, a do tego jeszcze całej kupie innych ludzi...

- Co ty pieprzysz! - wykrzyknąłem, dotknięty do żywego.

- Ludzi, którzy zainwestowali w ciebie mnóstwo zaufania i nadziei, nie wspominając już o pieniądzach...

- W każdej chwili mogę zwrócić co do centa wszystkie koszty, które poniosła galeria...

- Zamknij się - uciał. Jeszcze nigdy nie słyszałem takiego chłodu w jego głosie, a jego oczy nigdy nie były tak lodowate jak wtedy. - Nie jesteś debilem, *muchacho*, więc nie zachowuj się jak debil. Jak chcesz zwrócić zawiedzione zaufanie? Prestiż, który stracą, kiedy nowy, wielki artysta, którego obiecali swoim klientom, nie pokaże się na odczycie albo na wystawie?

- Wireman, z wystawą sobie poradzę, to tylko ten odczyt...

- Oni o tym nie wiedzą! - ryknął. A potrafił porządnie ryknąć; miał głos prawdziwego sądowego krzykacza. Elizabeth nie zwróciła na to najmniejszej uwagi, ale z linii przyboju poderwała się wataha spłoszonych ćwierków, pierzasty brązowy kłęb. - Oni, wyobraź to sobie, już zaczynają podejrzewać, że piętnastego kwietnia możesz się w ogóle nie pokazać na otwarciu własnej wystawy, albo że zabierzesz obrazy i zostawisz im puste ściany w samym środku tłustego sezonu, kiedy zbijają na turystach jedną trzecią swoich rocznych obrotów.

- Nie mają powodu, żeby tak myśleć - sprzeciwiłem się, ale twarz miałem gorącym niczym świeżo wypalona cegła.

- Nie? A co sam sądziłeś o takim zachowaniu w poprzednim życiu, *amigo*? Co myślałeś sobie o dostawcy, który miał zwieźć cement i w ostatniej chwili się nie zjawił? Albo

o właścicielu firmy hydraulicznej, który nie przysłał ci ekipy do nowego banku w umówionym terminie? Czujesz, że możesz, nie wiem, polegać na takich ludziach? Wierzyłeś im, kiedy próbowali się przed tobą usprawiedliwić?

Milczałem.

- Dario pisze do ciebie e - maile. Nie odpowiadasz. Dzwoni do ciebie, wszyscy do ciebie dzwonią, i słyszą jakieś ogólniki w stylu „Zastanowię się”. Nawet gdybyś był kimś takim jak Jamie Wyeth albo Dale Chihuly, to mogliby zacząć się denerwować. A nie jesteś. Ty tak naprawdę jesteś gościem prosto z ulicy. Co więc oni robią? Dzwonią do mnie, a ja staram się, jak mogę - w końcu występuję tutaj, kurna, jako twój agent - ale przecież nie jestem artystą. Oni zresztą też raczej nie. Jesteśmy jak taksówkarze, którzy próbują odebrać poród.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Nie jestem pewien - westchnął ciężko. - Mówisz mi, że to tylko trema przed tym odczytem, a z wystawą poradzisz sobie śpiewająco. I na pewno z jednej strony naprawdę w to wierzysz, ale z drugiej, *amigo*, moim zdaniem nie masz absolutnie żadnego zamiaru pokazać się piętnastego kwietnia w Scoto.

- Wireman, teraz to już gadasz...

- Bzdury? Tak uważasz? Dzwonię do Ritza - Carltona i pytam, czy niejaki pan Freemantle robił rezerwacje na połowę kwietnia. *Non, non, Nannette*. Co więc dalej czynię? Biorę głęboki wdech i kręcę do twojej eks. Numeru nie ma już w książce telefonicznej, ale zdobywam go dzięki uprzejmości agentki, która znalazła ci tę wyspę. Zgodziła się, kiedy jej powiedziałem, że sytuacja jest wyjątkowa. Dzwonię zatem do Pam i z miejsca się orientuję, że jej cały czas leży na sercu, co się z tobą dzieje. Sama chciała zadzwonić i powiedzieć ci o tym, ale się bała, że pošlesz ją do wszystkich diabłów.

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

- Przebrnąwszy przez wzajemne prezentacje, ustaliliśmy po pierwsze, że Pam Freemantle nie ma zielonego pojęcia o tym, że jej były mąż za pięć tygodni otwiera wielką wystawę swoich obrazów. Po drugie - to już ustaliła ona sama, dzwoniąc do paru osób, gdy tymczasem Wireman czekał grzecznie na drugiej linii i rozwiązywał sobie krzyżóweczkę, ciesząc się niedawno odzyskanym wzrokiem - dowiedzieliśmy się, że rzeczony eksmaż nie zrobił dosłownie nic, zero, nul, w kwestii czarteru samolotu. Przynajmniej jej znajomi o tym nie wiedzą. To zaś z kolei nasunęło nam proste pytanie, które brzmiało: czy Edgar Freemantle postanowił, kiedy nadejdzie „ten dzień”, wykręcić numer, na który w języku mojej zmarnowanej młodości mówiło się „rzucić wszystko w czorty i wypiąć się dupą”?

- Nie. Nic nie rozumiecie - powiedziałem, ale zabrzmiało to bezdźwięcznie i ospale, zupełnie nieprzekonująco. - Chodzi tylko o to, że cała ta robota organizacyjna doprowadza mnie do szału i wiesz... odkładałem to, ile tylko mogłem.

Ale Wireman był nieustępliwy. Gdybym był przesłuchiwanym przez niego świadkiem, to do tej pory prawdopodobnie zdążyłbym się już totalnie rozkleić i rozsypać. Sędzia zarządziłby przerwę i kazałby woźnemu poskładać mnie do kupy - albo zamieść z podłogi.

- Pam mówi, że gdyby z St. Paul zniknęły wszystkie budynki, które postawiła Freemantle Company, to zrobiłoby się jak w Des Moines w siedemdziesiątym drugim.

- Przesada.

Jakby tego nie usłyszał.

- Mam uwierzyć, że facet, który nadzorował tyle przedsięwzięć, tyle pracy, nie da sobie rady z rezerwacją paru biletów lotniczych i hotelu dla dwudziestu kilku osób? Zwłaszcza że może liczyć na pomoc całego biura swojej firmy, gdzie wszyscy byliby zachwyceni, gdyby się do nich wreszcie odezwał?

- Oni nie... Ja wcale... Przecież nie mogą tak po prostu...

- Zaczynasz się wkurzać?

- Nie. - To była nieprawda. Stary gniew powrócił, już domagał się głosu, chciał wrzasnąć jak Axl Rose na fali The Bone. Uniosłem dłoń do czoła, kładąc palec tuż nad prawym okiem, gdzie czułem narastający ból głowy. Wiedziałem, że na dziś z malowania nici - a wszystko przez Wiremana. To była jego wina. Przez jedną chwilę życzyłem mu, żeby oślepl. Ale nie tak pół na pół; żeby oślepl na amen. I kiedy uświadomiłem sobie, że mogę go namalować jako ociemniałego kalekę, mój gniew osłabł i opadł.

Wireman, widząc, jak manewruję dłonią przy skroni, odpuścił mi trochę.

- Posłuchaj. Większość ludzi, z którymi Pam nieoficjalnie się już kontaktowała, jest jak najbardziej chętna tutaj przyjechać. Twój dawny brygadzysta Angel Slobotnik powiedział jej, że przywiezie ci słoik pikli. Podobno był strasznie przejęty.

- Piklowanych jajek - uściśliłem, widząc przez chwilę oczyma duszy szeroką, płaską, uśmiechniętą twarz Dużego Ainge, tak rzeczywistą, że niemalże namacalną. Angel pracował u mojego boku przez dwadzieścia lat; odpadł z gry po poważnym zawale. Zawsze, kiedy chciałem, żeby coś zrobił, nieważne, czy to było wykonalne czy nie, mówił krótko: „Się zrobi, szefie”. Bardzo rzadko słyszałem coś innego.

- Razem z Pam załatwiliśmy rezerwacje na samoloty - ciągnął dalej Wireman. - Nie tylko dla ludzi z Minneapolis - St. Paul, dla reszty też. - Stuknął palcem w broszurkę. - Air

France i Delta naprawdę mają takie połączenia, a twoja Melinda naprawdę ma na nie rezerwację. I wie, co się dzieje, tak samo Ilse. Obie czekają tylko na oficjalne zaproszenie. Ilse chciała do ciebie zadzwonić, ale Pam kazała jej czekać. Powiedziała, że sam musisz pociągnąć za cyngiel. I moim zdaniem mogła się mylić w wielu różnych kwestiach, kiedy jeszcze byliście małżeństwem, ale tutaj akurat ma całkowitą rację.

- W porządku - powiedziałem. - Przyjąłem to do wiadomości.

- Dobrze. Przejdźmy do sprawy twojego odczytu.

Jęknąłem.

- Jeśli teraz dasz dyla, to potem będzie ci dwa razy trudniej zjawić się na otwarciu wystawy...

Wytrzeszczyłem oczy.

- No co? - zapytał Wireman. - Uważasz, że może być inaczej?

- Jeśli dam dyla? - powtórzyłem z niedowierzaniem. - Dyla? Co to, kurwa, znaczy?

- Dać nogę - wyjaśnił, jakby nieco zbity z tropu. - Dać drapak. Uciec. Kiedyś się tak mówiło. Nigdy nie słyszałeś?

- Zaraz ty usłyszysz, jak ja kiedyś mówiłem - zaproponowałem mu. - A potem, jak dziś mówię.

Pokazał mi środkowy palec i w jednej chwili wszystko wróciło mniej więcej do normy.

- To ty wysłałeś Pam moje rysunki, prawda? Te JPEG - i?

- Tak.

- I co ona na to?

- Padła z wrażenia, *muchacho*.

Milczałem, usiłując wyobrazić sobie Pam, jak pada z wrażenia. Udało mi się, ale twarz, na której ujrzałem zaskoczone osłupienie, to była młodsza twarz. Już dobrych kilka lat minęło, odkąd po raz ostatni udało mi się wywołać u niej taką reakcję.

Elizabeth przysypiała na wózku, ale wiatr targał jej włosy, wciskając je w oczy. Próbowwała je odgarniać, co wyglądało tak, jakby opędzała się od owadów. Wstałem z fotela, wyjąłem gumkę do włosów z woreczka zawieszzonego na poręczy - zawsze było ich tam sporo, w różnych jasnych kolorach - i zebrałem jej rozwiane kosmyki w koński ogon, przypominając sobie jednocześnie, jak kiedyś czesałem Melindę i Ilse dokładnie w ten sam sposób. To było cudowne, a zarazem przerażające wspomnienie.

- Dziękuję, Edgar - powiedział Wireman. - Dziękuję, *mi amigo*.

- No więc słucham. Jak mam to zrobić? - zapytałem, kładąc dłonie na skroniach

staruszki, czując pod palcami jej włosy, gładkie jak włosy moich córek świeżo po umyciu szamponem. Wspomnienie tej gładkości spłynęło na mnie razem ze zrozumieniem pewnej prawdy: kiedy człowiek ulega sile własnej pamięci, jego ciało zamienia się w widmo dawnych przeżyć, które straszy samo siebie, powtarzając gesty i zachowania swoich młodszych wcieleń. - Jak mam opowiedzieć komuś o pracy, która przynajmniej częściowo odbywa się w sferze nadprzyrodzonej?

No właśnie. Wyrzuciłem to z siebie. Takie było sedno całej sprawy.

Ale Wireman patrzył na mnie z niezmaconym spokojem.

- Edgar! - zawołał.

- Co: Edgar?

Zaśmiał się, sukinsyn.

- Jeśli powiesz im coś takiego... to ci uwierzą!

Już otwierałem usta, żeby mu udowodnić, że się myli. A potem przypomniałem sobie obrazy Dalego. I ten cudowny pejzaż van Gogha: „Gwiaździsta noc”. I kilka płócien Andrew Wyetha - nie „Świat Christiny”, ale wnętrza: gościnne pokoje, gdzie światło jest jednocześnie naturalne i niezwykle, jakby padało z dwóch stron naraz. I znów zamknąłem usta, nie mówiąc nic.

- Nie wymyślę za ciebie, co masz powiedzieć - kontynuował Wireman - ale mogę dać ci coś takiego jak to. - Podniósł ze stolika broszurkę - zaproszenie. - Coś w rodzaju szablonu.

- To by mi się przydało.

- Tak? To słuchaj.

Nastawiłem uszu.

IV

- Halo?

Ze słuchawką w dłoni usiadłem na kanapie w pokoju „Floryda”. Serce ciężko biło mi w piersi. Każdy odbył w życiu kilka takich rozmów jak ja w tamtej chwili: kiedy jednocześnie ma się nadzieję, że osoba, do której się dzwoni, odbierze od razu, żeby można było mieć to jak najszybciej za sobą, ale z drugiej strony chciałoby się, żeby nie było jej w domu - trudna i najprawdopodobniej przykra rozmowa odwlekałaby się wtedy jeszcze o jakiś czas.

Mnie trafiła się opcja numer jeden: Pam odebrała po pierwszym dzwonku. Pozostała mi więc tylko nadzieja, że ta rozmowa wyjdzie nam lepiej niż poprzednia. Niż kilka poprzednich.

- Pam, mówi Edgar.

- Witaj - odpowiedziała ostrożnie. - Jak się miewasz?

- Jak się miewam...? W porządku. Całkiem dobrze. Jestem po rozmowie z moim kumplem Wiremanem. Pokazał mi to zaproszenie, które razem przygotowaliście. - Razem przygotowaliście. To zabrzmiało nieprzyjaźnie. Podejrzliwie. Ale jak inaczej miałem to powiedzieć?

- Tak? - Z jej tonu nie dało się nic wyczytać.

Wzięłem głęboki oddech i rzuciłem się na głęboką wodę. Bóg nie znosi tchórzów, jak mawia Wireman. Między innymi.

- Dzwonię, żeby ci podziękować. Zachowywałem się jak świnia. Wtrąciłaś się w bardzo dobrym momencie. Tego właśnie potrzebowałem.

Cisza, która zapadła, trwała na tyle długo, żebym zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem w którymś momencie nie odłożyła po cichu słuchawki. Wreszcie usłyszałem jej głos:

- Jestem, Eddie. Zbieram się z podłogi. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz mnie za coś przeprosiłeś.

Czy to miały być przeprosiny? Hm... Nieważne. Pewnie można było i tak to zrozumieć.

- W takim razie przepraszam cię też za to - powiedziałem.

- Sama jestem ci winna przeprosiny - odparła - więc z nami kwita.

- Ty? Za co?

- Dzwonił do mnie Tom Riley. Niedawno, dwa dni temu. Z powrotem zaczął brać leki. Postanowił też, cytuję, „rozejrzeć się za czymś”. Rozumiem, że chodzi o terapię. A dzwonił, żeby mi podziękować za uratowanie życia. Rozmawiałeś kiedyś z kimś w taki sposób?

- Nie. - Ale ostatnio ktoś dziękował mi przez telefon za przywrócenie wzroku, więc orientowałem się mniej więcej, o co chodzi.

- Mocne przeżycie - podsumowała krótko - usłyszeć: „Gdyby nie ty, już bym nie żył”. Tak dokładnie powiedział. A ja nie mogłam mu wyjaśnić, że w zasadzie powinien podziękować tobie, bo to by zabrzmiało jak jakiś idiotyzm.

Poczułem, jakby nagle ktoś rozciął twarde pas, który ciasno mnie opinał. Czasami jednak wszystko dobrze się kończy. Czasami naprawdę tak jest.

- Cieszę się, Pam - powiedziałem.

- Rozmawiałam z Ilse o tej twojej wystawie.

- Wiem, i właśnie...

- Z Lin też wszystko obgadałam, ale dzwoniąc do Ilse, umyślnie zaczęłam mówić o Tomie i od razu stało się jasne, że ona nie ma pojęcia, co zaszło pomiędzy nim a mną. Znow nie miałam racji. A upierając się przy swoim, popisałam się bardzo nieładną cechą charakteru.

Z nagłym niepokojem uświadomiłam sobie, że Pam płacze.

- Posłuchaj... - zacząłem.

- Odkąd mnie zostawiłeś, popisałam się kilkoma nieprzyjemnymi cechami charakteru, przed różnymi ludźmi.

To nie ja cię zostawiłem! Mało brakowało, a wrzasnąłbym to prosto do słuchawki. Naprawdę mało brakowało; poczułem, jak na czoło występują mi krople potu. *To nie ja odszedłem, to ty zażądałaś rozwodu, ty pługa cioto!*

Ale powiedziałem tylko:

- Pam, wystarczy już tego.

- Ale naprawdę trudno mi było w to wszystko uwierzyć, nawet po tym, jak zadzwoniłeś i nie wiadomo skąd wiedziałeś o tamtych różnych rzeczach. Pamiętasz: że mam nowy telewizor. I Puszka.

Już chciałem zapytać, kto to jest Puszek, ale w tej samej chwili przypomniałem sobie kota.

- Ale teraz już jest lepiej. Zaczęłam znów chodzić do kościoła, wyobrażasz sobie? I znalazłam psycholożkę. Spotykam się z nią raz w tygodniu. - Umilkła na chwilę, a potem szybko podjęła: - Jest bardzo dobra. Powiedziała mi, że nie można zamknąć za sobą drzwi do przeszłości, można tylko wynagrodzić krzywdy, które się komuś wyrządziło i iść dalej. I ja to rozumiem, ale nie wiem, jak mam wynagrodzić ci te krzywdy, Eddie.

- Pam, nic mi nie musisz...

- Moja psycholożka mówi, że w tej kwestii twoje zdanie nie ma znaczenia. Liczy się to, co ja myślę.

- Rozumiem. - To było bardzo podobne do dawnej Pam, więc pomyślałem, że być może faktycznie znalazła sobie właściwą terapeutkę.

- A potem zadzwonił do mnie twój przyjaciel Wireman. Powiedział, że potrzebujesz pomocy... i wysłał mi te zdjęcia obrazów. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę je na własne oczy. Wiedziałam, że masz trochę talentu, przecież kiedyś, gdy Lin tak bardzo chorowała, rysowałaś jej książeczki...

- Książeczki? - Pamiętałem bardzo dobrze tamten fatalny dla Melindy rok: infekcja gonila infekcję, aż skończyło się potężną biegunką, wywołaną prawdopodobnie przedawkowaniem antybiotyków. Lin wylądowała w szpitalu na cały tydzień. Tej wiosny

straciła na wadze cztery i pół kilograma. Miała głowę nie od parady, ale żeby nadrobić stracony czas, uczyła się potem przez całe wakacje. Gdyby nie intelekt i ciężka praca, musiałaby powtarzać drugą klasę. Niemniej jednak nie mogłem sobie przypomnieć, żebym rysował jej jakieś książeczki.

- Rybka Ferdynand? - podsunęła moja była żona. - Karolcia Krabówna? Nieśmiały jelonek Donald?

Nieśmiały jelonek z czymś mi się słabo kojarzył, ale...

- Nie - pokręciłem głową.

- Nie pamiętasz, jak Angel nawet mówił, żebyś spróbował wydać te książeczki? Ale twoje obrazy... Boże. Wiedziałaś, że umiesz tak malować?

- Nie. Dopiero po przeprowadzce nad jezioro Phalen zacząłem podejrzewać, że coś może z tego być, ale ostatecznie rezultat i tak przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. - Przypomniałem sobie portret Wiremana spoglądającego na zachód, a potem Candy'ego Browna bez ust ani nosa i uznałem powyższą wypowiedź za półprawdę stulecia.

- Eddie, pozwól mi wypisać resztę zaproszeń, tak jak zrobiłam to pierwsze próbne. Każde będzie inne, wszędzie napiszę coś miłego.

- Pa... - Powstrzymałem się w porę, żeby nie powiedzieć do niej „Panda”. - Pam, nie mogę cię prosić o coś takiego.

- Ale ja chcę.

- Tak? No dobrze, niech będzie.

- Napiszę teksty i wyślę je do pana Wiremana. Będziesz mógł wszystko sprawdzić, zanim on odda je do drukarni. To prawdziwy skarb, taki pan Wireman.

- Wiem - przytaknąłem. - Zmówiliście się na mnie we dwójkę.

- Prawda? - Zaśmiała się, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona. - Potrzebowałeś tego. Ale musisz coś dla mnie zrobić.

- Mianowicie?

- Zadzwoń do dziewczyn, bo one już tam wariują, zwłaszcza Ilse. Zrobisz to?

- Zrobię. Pam...

- Co, kotku? - Jestem pewny, że powiedziała to machinalnie, nie domyślając się, jak bardzo mnie to zaboli. No cóż... Prawdopodobnie czuła się tak samo, słysząc w słuchawce tę „Pandę”, dawniej czułe słówko, teraz okruch lodu ciśnięty po drutach z Florydy aż do Minnesoty, im dalej na północ, tym zimniejszy.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy.

Kiedy się pożegnaliśmy, była dopiero za piętnaście jedenasta. Tamtej zimy czas biegł najszybciej wieczorami, kiedy malowałem na piętrze, w „Koraliku” - stojąc przed sztalugami, nie mogłem się nadziwić, że kolory nieba na zachodzie mogą blednąć aż tak szybko - a najwolniej właśnie tamtego przedpołudnia, kiedy wziąłem się do załatwiania odkładanych spraw, połykając je jak tabletki, jedną po drugiej.

Spojrzałem na bezprzewodową słuchawkę leżącą na moich kolanach.

- Mam cię w dupie - poinformowałem ją, wystukując kolejny numer.

V

- Galeria Scoto, Alice przy telefonie.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni osłuchałem się dobrze z tym wesołym głosem.

- Witaj, Alice, mówi Edgar Freemantle.

- Edgar? Słucham. - W głosie zabrzmiała rezerwa. Czy słyszałem już tę nutę? A może puściłem ją mimo uszu?

- Jeśli masz chwilę - zaproponowałem - to chciałbym omówić kolejność slajdów w trakcie mojego odczytu.

- Oczywiście, że mam chwilę - przytaknęła bez namysłu, a jej głos nasycił się wyczuwalną ulgą. Poczulem się jak bohater, a jednocześnie - co zrozumiałe - jak ostatnia szuja.

- Masz pod ręką coś do pisania?

- Jak nie, jak tak!

- W porządku. Z grubsza rzecz biorąc, chciałbym zachować porządek chronologiczny...

- Ale ja nie znam twojej chronologii. Próbowałam ci o tym powie...

- Wiem i zaraz ci ją podam, ale posłuchaj mnie, Alice. Pierwszy slajd będzie poza chronologią: „Na muszlach rosną róże”. Zapisłaś?

- „Na muszlach rosną róże”. Zapisalam. - Mieliliśmy już za sobą dobrych kilka rozmów, ale dopiero po raz drugi słyszałem w jej głosie autentyczne zadowolenie z faktu, że kontaktuje się ze mną.

- Dobrze. Teraz rysunki kredkami. Rozmawialiśmy przez bite pół godziny.

VI

- *Oui, allô?*

Przez chwilę nie mogłem wykrztusić ani słowa. Obcy język zbił mnie nieco z tropu, a fakt, że głos należał do młodego Francuza, wstrząsnął mną jeszcze bardziej.

- *Allô, allô?* - Pierwsze nutki zniecierpliwienia. - *Qui est à l'appareil?*

- Hmm... Możliwe, że pomyliłem numer - powiedziałem i od razu zrobiło mi się głupio. Tępy imbecyl, gorzej: tępy Amerykanin, który nie zna żadnego języka oprócz angielskiego. - Chciałbym rozmawiać z Melindą Freemantle.

- *D'accord*, to jest dobry numer - usłyszałem, a po chwili, nieco ciszej, z odległości: - Melinda! *C'est ton papa, je crois, chérie.*

Stuknęła odkładana na jakiś blat słuchawka, a mnie w głowie błysnął pewien obraz - bardzo wyraźny i bardzo niepoprawny politycznie, a przywołany najprawdopodobniej przez niedawną wzmiankę o książeczkach z obrazkami, które rysowałem dla mojej chorej córki. Zobaczyłem mianowicie dużego, gadającego skunksa w berecie na głowie. Był to Monsieur Pepe Le Swąd, przechadzający się dumnym krokiem po *pension* mojej córki (o ile tak się mówi w Paryżu na wynajętą kawalerkę). Za zwierzęciem ciągnął się rozfalowany aromatyczny obłok, bijący z białą - czarnej sierści na jego grzbiecie.

Chwilę później usłyszałem w słuchawce głos Melindy, wyjątkowo, jak na nią, podenerwowanej:

- Tata? Tatusiu, to ty? Coś się stało?

- Nie, wszystko w porządku. Kto odebrał telefon? Twój współlokator? - To miał być żart, ale nagle, zupełnie niepodobna do mojej starszej córki cisza, która zapadła w słuchawce, powiedziała mi, że zupełnie przypadkowo trafiłem w dziesiątkę. - Nic się nie stało, Linnie. Tak tylko...

- ...się ze mną drażnisz, rozumiem. - Nie mogłem określić, czy ją to bawi, czy złości. Połączenie było niezłe, ale nie na tyle. - Ale jeśli chcesz wiedzieć, to zgadłeś. - Ukryty komunikat był wyraźny: Będziesz robił z tego problem?

Nie miałem najmniejszego zamiaru robić problemów.

- Cóż, cieszę się, że masz tam przyjaciół. A powiedz, czy on chodzi w berecie?

Ku mojej niebotycznej uldze, Melinda roześmiała się głośno. Z nią nigdy nie było wiadomo, czy coś ją rozśmieszy czy nie, ponieważ jej poczucie humoru było równie kapryśne jak pogoda w kwietniu.

- Ric! - zawołała. - *Mon papa...* - fragment mi umknął - *...si tu portes un béret!*

Dobiegł mnie stłumiony męski śmiech. Ach, Edgarze, ty *père fou*, pomyślałem. Ten twój internacjonalny, interkontynentalny dowcip.

- Tatusiu, jak się czujesz? Dobrze?

- Tak. Co z twoim gardłem?

- Już lepiej, dziękuję.

- Przed chwilą rozmawiałem z mamą. Dostaniesz oficjalne zaproszenie na tę moją wystawę, ale właśnie się dowiedziałem, że będziesz mogła przyjechać. Bardzo się cieszę.

- Ty się cieszysz? Mama przysłała mi kilka zdjęć i już nie mogę się doczekać. Kiedy się nauczyłeś robić takie rzeczy?

To było najwidoczniej pytanie dnia.

- Po przyjeździe tutaj.

- Te obrazy są niesamowite. Reszta też taka dobra?

- Musisz przylecieć i sama ocenić.

- A Ric może przyjechać ze mną?

- A Ric ma paszport?

- Tak...

- A obieca, że nie będzie się naśmiewał z twojego papy?

- Jest nauczony szanować starszych.

- W takim razie, jeśli tylko będą jeszcze miejsca w samolocie i jeśli nie przeszkadza ci, że będziecie spać we dwójkę w jednym pokoju, a zakładam, że to dla ciebie nie problem, to oczywiście, Ric może zabrać się z tobą.

Pisnęła tak głośno, że aż zakłuło mnie w ucho, ale nie odsunąłem słuchawki. Już bardzo dawno Linnie Freemantle nie piszczalała tak dzięki mnie.

- Wspaniale! Dziękuję, tatusiu!

- Chętnie go poznam. Może nawet podkradnę mu ten beret. Bo wiesz, w końcu jestem teraz artystą.

- Powtórzę mu to - powiedziała i nagle głos jej się zmienił. - Dzwoniłeś już do Ilse?

- Nie, czemu pytasz?

- Kiedy będziesz z nią rozmawiał, nie wspominaj, że Ric ze mną przyjedzie, dobrze? Sama jej to powiem.

- Nie zamierzałem jej nic mówić.

- Bo ona i Carson... Słyszałam, że już o nim wiesz.

- Wiem.

- No więc jestem prawie pewna, że coś jest między nimi nie tak. Illy mówi, że musi sobie wszystko przemyśleć. To cytat, słowo w słowo. Ric twierdzi, że wcale go to nie dziwi i że nie można ufać komuś, kto modli się publicznie. A ja mogę tylko powiedzieć, że kiedy z nią rozmawiam, mam wrażenie, że to nie moja mała siostra, tylko jakaś dorosła osoba.

Czuję się tak samo, kiedy rozmawiam z tobą, Lin, pomyślałem, i na jedną chwilę moja starsza córka stanęła mi przed oczami jako chora siedmiolatka, tak bardzo chora, że oboje z Pam obawialiśmy się już najgorszego: że umrze nam na rękach. Ale żadne z nas nigdy nie powiedziało tego na głos. Patrząc wtedy na Melinę, widziało się tylko wielkie ciemne oczy, blade policzki i długie, cienkie włosy. Pamiętam, że raz pomyślałem o niej: „wygląda jak śmierć na chorągwi” i wyrzucałem sobie to potem przez długi czas. Ale jeszcze bardziej przeklinałem się za coś innego: za skrytą w głębi serca świadomość, że jeśli już naprawdę któraś z moich córek musiała aż tak ciężko zachorować... to cieszę się, że była to ona, Melinda. Zawsze wmawiałem sobie, że kocham każdą z nich tak samo mocno, tak samo gorąco, ale to nie była prawda. Może są tacy rodzice - chyba Pam to potrafiła - ale ja nigdy się do nich nie zaliczałem. Czy Melinda o tym wiedziała?

Oczywiście, że wiedziała.

- Uważasz tam na siebie? - zapytałem.

- Uważam, tatku. - Byłem na sto procent pewien, że w tym momencie przewróciła oczami.

- Tak trzymaj. I przyjedź tutaj cała i zdrowa.

- Tatusiu? - Chwila ciszy. - Kocham cię.

Uśmiechnąłem się.

- A ile dasz mi kwiatków? - zapytałem.

- Milion i jeden pod poduszkę - odpowiedziała, jakby mówiła do dziecka, które koniecznie chce to usłyszeć. Nie przeszkadzało mi to. Oczekałem chwilę, wodząc oczami po rozległej wodnej przestrzeni i machinalnie przecierając powieki, aż wreszcie, z nadzieją, że to będzie już ostatni telefon tego dnia, zebrałem się, żeby wystukać jeszcze jeden numer.

VII

Wybiło już południe i szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że zastanę ją w domu o tej porze; wydawało mi się, że wyskoczyła na lunch ze znajomymi. A jednak Ilse odebrała po pierwszym dzwonku, tak samo jak Pam. Jej „Halo?” zabrzmiało wyjątkowo ostrożnie, a ja, tknięty nagłym, bardzo silnym przecuciem, zrozumiałem dlaczego: myślała, że dzwoni Carson Jones. Że chce ją błagać, żeby do niego wróciła i dała mu jeszcze jedną szansę albo żeby przynajmniej pozwoliła mu się wytłumaczyć. Kolejny raz. Nigdy nie potwierdziłem tego, co podpowiedziało mi tamto przecucie, ale z drugiej strony nie było takiej potrzeby. Czasami po prostu się wie, że nie ma mowy o pomyłce.

- Hej, mała Nimfo, co porabiasz?

Pojaśniała w jednej chwili.

- Tata!

- Co słyszeć, kotku?

- W porządku. Ale u ciebie słyszeć lepiej, co? Mówiłam ci, że dobrze malujesz? No, powiedz: mówiłam czy nie?

- Mówiłaś - potwierdziłem, mimo woli uśmiechając się od ucha do ucha. Melindzie mogło się wydawać przez telefon, że rozmawia ze starszą osobą, ale dla mnie, nie licząc tego pierwszego, niepewnego „Halo?”, to była ta sama Illy co zawsze, tryskająca spienionym, rozbuchanym entuzjazmem.

- Mama powiedziała, że obijasz się, jak tylko możesz, ale połączyła siły z jakimś twoim znajomym stamtąd, i razem dadzą ci kopa do pracy. Wiesz, to było aż nie do wiary! Rozmawiała ze mną zupełnie jak za dawnych czasów! - Przerwała, żeby odetchnąć, a kiedy odezwała się ponownie, mówiła już w mniejszym uniesieniu. - To znaczy... niezupełnie. Prawie. Ale dobre i to.

- Rozumiem, fasolko.

- Tatusiu, jesteś niesamowity. To już nawet nie jest sukces, to tryumf!

- Ile będzie mnie kosztować to kadzenie? - Dużo. Miliony - roześmiała się radośnie.

- Wybierasz się na tournée do Skowronków? - zagadnąłem, starając się nie zdradzić po sobie, jak bardzo mnie to interesuje. Jak bardzo mnie obchodzi życie uczuciowe mojej prawie już dwudziestoletniej córki.

- Nie - odparła krótko - to już chyba nieaktualne. - Tylko pięć słów, prostych słów, ale w tych słowach usłyszałem inną, starszą Illy, która już całkiem niedługo może być za pan brat z żakietem i spódnicą, z rajstopami i praktycznymi czółenkami, przez cały dzień nosić związane włosy, a do samolotu wsiadać z walizką w dłoni zamiast plecaka na ramieniu. Już nie Nimfa; ten dziecięcy przydomek trzeba będzie obciąć na początku i przy końcu, zostawiając tylko poważne I.M.F. - jej inicjały.

- Wszystko już nieaktualne? - zapytałem. - Czy może tylko...

- To się jeszcze zobaczy.

- Nie chcę być wścibski, kotku, ale troskliwi ojcowie już tak mają...

- ...że chcą wiedzieć. Świetnie to rozumiem, ale tym razem naprawdę nie mogę ci pomóc. Wiem tylko tyle, że cały czas go kocham, w każdym razie tak mi się wydaje. I tęsknię za nim, ale będzie musiał wybrać.

W tym momencie jej matka zapytałaby: „Między tobą i tą dziewczyną, która z nim

śpiewa, tak?”. Ja chciałem wiedzieć coś innego.

- Odżywasz się normalnie?

Ilse wybuchnęła radosnym, perlistym śmiechem.

- Odpowiedz, Illy.

- Opycham się jak tuczny prosiak!

- To dlaczego siedzisz w domu, a nie jesteś na obiedzie?

- Dlatego, że umówiłam się z kumplami na piknik w parku. Jedzenie, notatki z antropologii i frisbee. Mam przynieść ser i bagietki. Powinnam już dawno wyjść.

- W porządku. Jeśli tylko się nie głodzisz i nie siedzisz w czterech ścianach z nosem na kwintę, to może być.

- Nie głodzę się, a w zgryzocie zachowuję umiar. - Jej głos znów się zmienił, przesunął w stronę dorosłości. Te raptowne przeskoki były denerwujące. - Czasami trudno mi zasnąć. Wtedy myślę o tobie. Masz problemy ze snem?

- Czasami. Teraz już trochę mniej.

- Tato, uważasz, że popełniłeś błąd, żeniąc się z mamą? Albo że ona popełniła błąd, wychodząc za ciebie? A może to było małżeństwo z przypadku?

- Nasze małżeństwo to nie był ani przypadek, ani żaden błąd. Dwadzieścia cztery dobre lata, dwie udane córki, a my cały czas jeszcze odzywamy się do siebie. To nie był błąd, Illy.

- Nie zamieniłbyś tego na coś innego?

Znów to samo pytanie. Wszyscy mi je zadają.

- Nie - odpowiedziałem.

- A gdybyś mógł... wróciłbyś do mamy?

Milczałem, ale krótko. Bywają takie chwile, kiedy nie ma czasu, żeby namyślać się nad najlepszą odpowiedzią. Kiedy trzeba powiedzieć prawdę.

- Nie, kotku.

- W porządku. Ale tęsknię za tobą.

- Ja za tobą też.

- I czasami tęsknię za dawnymi czasami. Wszystko było wtedy prostsze. - Umilkła, a ja, choć mogłem, a nawet chciałem, nie przerywałem ciszy. Bywają takie chwile, kiedy najlepiej milczeć. Wreszcie Illy zapytała:

- Tato, czy warto dać człowiekowi drugą szansę?

Pomyślałem o sobie. Ja ją dostałem. Przeżyłem wypadek, którego nie miałem prawa przeżyć. I zamiast siedzieć i gnuśnieć, znalazłem sobie zajęcie. Zalała mnie fala

wdzięczności.

- Zawsze - odparłem.
- Dzięki, tatusiu. Już się nie mogę doczekać, kiedy cię zobaczę.
- I nawzajem. Niedługo dostaniesz oficjalne zaproszenie.
- Dobra. Muszę już lecieć, naprawdę. Kocham cię.
- Ja ciebie też.

Rozłączyła się, a ja siedziałem jeszcze przez chwilę ze słuchawką przyciśniętą do ucha, zaszuchany w pustkę.

- Żyj dniem i bierz, co przyniesie - powiedziałem wreszcie, a kiedy rozległ się sygnał telefoniczny, uznałem, że muszę jednak odbyć jeszcze jedną rozmowę.

VIII

Tym razem w głosie Alice Aucoin było o wiele więcej energii i o wiele mniej rezerwy. Uznałem, że to bardzo miła odmiana.

- Alice, nie rozmawialiśmy jeszcze o tytule dla mojej wystawy - zacząłem.
- Odniosłam wrażenie, że chcesz ją nazwać „Na muszlach rosną róże” - odparła, - To dobry tytuł. Bardzo sugestywny.

- Masz rację. - Spojrzałem w stronę pokoju „Floryda”. Za oknem rozpościerała się płaska tafla zatoki. Woda mieniła się olśniewającym melanżem bieli i błękitu, tak jasnym, że musiałem zmrużyć oczy. - Ale to nie do końca pasuje.

- Rozumiem, że wymyśliłeś coś lepszego?
- Chyba tak. Chcę nazwać wystawę „Co widać z wyspy Duma Key”. Jak uważasz?

Odpowiedziała bez namysłu.

- Czarujący tytuł.

Też tak uważałem.

IX

Pomimo że klimatyzacja w Wielkim Korale działała sprawnie, byłem cały mokry; moja koszulka (z nadrukiem PIERWSZY RAZ NA WYSPACH DZIEWICZYCH) pociemniała od potu. Czulem się bardziej zmęczony, niż gdybym poszedł szybkim krokiem do *El Palacio* i z powrotem. Ucho miałem czerwone i pulsujące od przyciskania słuchawki. Rozmowa z Ilse zmartwiła mnie - rodzice zawsze się martwią problemami swoich dzieci, szczególnie gdy dzieci wyrastają z wieku, kiedy o zmierzchu woła je się do domu i napuszcza wodę do wanny

- ale jednocześnie miałem poczucie dobrze wykonanej pracy, jak niegdyś po udanym dniu na jakiejś wymagającej budowie.

Nie byłem specjalnie głodny, ale wrzuciłem w siebie kilka łyżek sałatki z tuńczyka, przegryzłem liściem sałaty i popiłem szklanką mleka. Pełnotłuste - osłabia serce, wzmacnia kości. Pam powiedziałaaby na to: remis. Włączyłem telewizor w kuchni i dowiedziałem się, że żona Gandy'ego Browna podała władze miasta Sarasota do sądu pod zarzutem zaniedbania obowiązków, które w konsekwencji doprowadziło do śmierci jej męża. Pomyślałem tylko: „Powodzenia, maleńka”. Synoptyk z lokalnej stacji meteorologicznej zapowiedział, że huragany mogą w tym roku zacząć się wcześniej niż zwykle. A Devil Rays, cieniasy, dostali w dupę od Red Sox w meczu towarzyskim - tak się gra w baseball, chłopcy.

Pomyślałem o deserze (w lodówce był Jell - O Pudding, pudding z galaretką znany też czasem pod nazwą „ostatniej deski ratunku dla samotnego mężczyzny”), ale skończyło się na tym, że po prostu wstawiłem talerz do zlewu i pokuśtykałem do sypialni. Zrobiło mi się sennie. Pomyślałem o nastawieniu budzika, ale uznałem, że nie ma po co, bo chcę się tylko zdrzemnąć, a gdybym nawet naprawdę zasnął, to najdalej za godzinę obudzi mnie słońce - kiedy stoczy się na zachodnią stronę nieboskłonu i zajrzy ukośnymi promieniami przez okno sypialni.

Tak sobie rozmyślając, ułożyłem się na łóżku. Spałem do szóstej wieczorem.

X

Kolacja nie wchodziła w grę; nawet o niej nie pomyślałem. Maluj, maluj, szeptały muszle pod podłogą.

Ubrany tylko w białe szorty, krokiem lunatyka poszedłem na górę. Włączyłem radio nastawione na The Bone, odstawiłem „Dziewczynkę i statek nr 7” pod ścianę i zamontowałem na sztalugach nowe płótno, raczej z tych większych, chociaż mniejsze od tego, na którym namalowałem Wiremana spoglądającego na zachód. Amputowana ręka swędziała, ale to swędzenie nie dokuczało mi już tak jak na początku; prawdę mówiąc, stało się dla mnie czymś, czego oczekiwałem niemalże z niecierpliwością.

W radiu poleciał kawałek „Dig” kapeli Shafk Puppy. Świetna piosenka ze świetnym tekstem. „Miłość i rozkosz - życie to więcej”.

Pamiętam dokładnie, jak cały świat, wydawało się, zastygł w oczekiwaniu, aż zacznę malować - aż tak wielką czułem w sobie moc. Przepływała przeze mnie rwącym potokiem do wtóru gitarowego zgiełku i poszeptywań muszli.

„Szukam skarbu, po to jestem”.

Skarb, tak. Łupy.

Malowałem. Zgasło słońce, a księżycowy blask zasypał wodę, aż pokryła się zaciętą błądą. Potem księżyc także zgasł, a ja wciąż malowałem.

Następnej nocy - to samo.

I następnej.

I następnej.

„Dziewczynka i statek nr 8”.

„Zapłać, żeby wejść do gry”.

Odkorkowałem się.

XI

Dario Nannuzzi w garniturze i pod krawatem, z bujną czupryną doprowadzoną do porządku, szesaną gładko z czoła, speszył mnie nawet bardziej niż poszeptująca publiczność wypełniająca aulę im. Geldbarta, gdzie światła właśnie przygasły o połowę... wszystkie oprócz reflektora punktowego wycelowanego w podium z pulpitem. Kiedy natomiast zauważyłem, że Dario też się denerwuje - wchodząc na podium, prawie upuścił notatki - moja trema jeszcze się spotęgowała.

- Dobry wieczór państwu, nazywam się Dario Nannuzzi - zaczął pierwszy prelegent. - Jestem współwłaścicielem galerii Scoto, mieszczącej się na Palm Avenue, oraz głównym nabywcą dzieł sztuki dla tej galerii. Bardziej istotne wydaje mi się jednakowoż, że jako mieszkaniec miasta Sarasota już od lat trzydziestu należę do tutejszego kręgu miłośników sztuki i mam nadzieję, że wybaczą mi państwo kilka słów w stylu, który ktoś mógłby uznać za wazeliniański, kiedy powiem, że znakomitszego środowiska koneserów nie ma w całej Ameryce.

Rozległy się huczne oklaski; tak biła brawo publiczność, która - jak określił ją później Wireman - być może wie, czym różni się Monet od Maneta, ale w swoim przekonaniu o własnej wyższości nie odróżni szczerego komplementu od zwykłej wazeliny. Cała ta wrzawa ledwie docierała do mojej świadomości; stałem za kulisami, cierpiąc katusze, które poznał tylko struchlały ze strachu główny prelegent wieczoru, czekający, aż jego poprzednik zakończy swój spicz, powolny niczym ruchy robaczkowe.

Dario przełożył pierwszą kartkę na spód, jeszcze raz o mały włos nie upuścił całego pliku, opanował ten zamęt i znów spojrzął na zgromadzoną publiczność.

- W zasadzie nie wiem, od czego mam zacząć, ale na całe szczęście nie muszę mówić zbyt wiele, bo jak się okazuje, prawdziwy talent pojawia się znikąd i sam jest swoją najlepszą wizytówką.

Po tych słowach przeszedł do prezentacji artysty, czyli mnie, i gadał przez bite dziesięć minut, podczas gdy ja stałem za kulisami, ściskając w jedynej dłoni moje własne notatki - jedną nędzną stroniczkę. A tu nazwisko goni nazwisko, jak ruchome platformy na ulicznej paradzie. Niektóre znałem, na przykład Edward Hopper czy Salvador Dali, inne, jak Yves Tanguy i Kay Sage, słyszałem pierwszy raz w życiu. Z każdym nieznanym nazwiskiem czułem się coraz bardziej szarlatanem. Mój strach, który przed chwilą był sprawą czysto umysłową, przeniósł się teraz do kiszek, w których zaległ cuchnącym ciężarem. Czułem się jak facet, który musi puścić baka, ale boi się, że popuści w spodnie. Ale to jeszcze wcale nie było najgorsze. Wszystko, co sobie przygotowałem na ten występ, wyparowało mi z głowy, każde słowo, oprócz pierwszego zdania, obrzydliwie wręcz adekwatnego: „Nazywam się Edgar Freemantle i nie mam zielonego pojęcia, jak się tutaj znalazłem”. To miało być do śmiechu. Wiedziałem już, że nikogo tym nie rozbawię, ale przynajmniej powiem prawdę.

Dario głądził dalej: Joan Miró to, a Andre Breton i jego „Manifest Surrealizmu” tamto, kiedy tymczasem ja, przerażony eksbudowlaniec, międlilem w palcach jedną żalospną kartkę z notatkami. Język stanął mi kołkiem, a ściśnięte gardło było zdolne co najwyżej do ochryplego rechotu, nie do artykułowanej mowy, nie do wygłoszenia referatu przed widownią, na której zasiadało dwustu speców od sztuki. Niejeden był po specjalistycznych studiach, a gdyby zapytać, to jakiś profesor pewnie też by się znalazł, kurwa jego mać. Ale najgorsze było to, że zamiast mózgu miałem w tym momencie pustą, suchą skorupę, idealną do zalania czczym, ślepym gniewem; słów mogło mi brakować, ale furia była zawsze pod ręką, w każdej ilości.

- Wystarczy! - zawołał Dario radosnym głosem. Ten okrzyk jeszcze mocniej ścisnął mi serce grozą, która szybko spłynęła do niższych partii ciała, tak że na górze szalała trwoga, a dołem zwieracze ledwie trzymały. Cóż za zniewalająca kombinacja. - Już od piętnastu lat nasza galeria nie zaprezentowała nowego twórcy w tak bogatym w wydarzenia artystyczne sezonie, jakim jest początek wiosny, a śmiem powiedzieć, że żaden z debiutujących u nas artystów nie wzbudzał większych emocji niż bohater dzisiejszego wieczoru. Jestem przekonany, że slajdy, jakie za moment państwo ujrzycie, poparte prelekcją, zdołają wyjaśnić, dlaczego prace tego autora tak nas zaintrygowały.

Tu wstawił dramatyczną pauzę, a mnie w tym momencie na czoło wystąpiły krople gęstego jak trucizna potu. Otarłem go dłonią, która musiała ważyć chyba ze dwadzieścia kilo.

- Szanowni państwo, przedstawiam pana Edgara Freemantle'a, niegdyś zamieszkałego w Minneapolis - St. Paul, dziś osiadłego na wyspie Duma Key.

Widownia zaczęła bić brawo. Brzmiało to jak salwa artyleryjska. Wydałem sobie rozkaz: uciekać! Potem drugi: zasłabnąć! Żadnego nie wykonałem. Wyszedłem na scenę jak we śnie - z tym że to nie był dobry sen. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Zauważyłem, że widownia jest zajęta do ostatniego miejsca, a mimo to siedzenia są wolne, bo trwa wielka owacja na stojąco. Wysoko ponad moją głowę, na sklepionym suficie, zeglowały skrzydlate anioły, demonstrujące nonszalanckie lekceważenie dla ziemskich spraw rozgrywających się poniżej. Oddałbym wszystko, żeby do nich dołączyć. Dario czekał obok podium, wyciągając do mnie rękę, ale nie tę, którą trzeba; był tak zdenerwowany, że podał mi prawą, więc powitanie wyszło niezgrabnie i na opak. Moja kartka z notatkami znalazła się pomiędzy naszymi dłońmi i najpierw się zgmiotła, a potem rozdarła. Patrz, co narobiłeś, debilu, pomyślałem - i zastygłem z przerażenia, bo wydało mi się, że powiedziałem to na głos, a mikrofon wszystko złapał i cała sala usłyszała. Kiedy Dario zostawił mnie, jak samotnego wartownika na wieży obserwacyjnej, dostrzegłem nagle, że reflektor punktowy jest mocny, bardzo mocny. Zauważyłem, że chromowany statyw mikrofonu jest giętki, co skojarzyło mi się z kobrą wychylającą łeb z koszyka zaklinacza węży. W oczy zakłuły mnie refleksy światła odbitego od lśniącego chromu, od stojącej obok szklanki i towarzyszącej jej butelki wody mineralnej. Oklaski powoli ucichły; ludzie zaczęli siadać z powrotem. Jeszcze tylko kilka chwil, a owacja przeistoczy się w pełną wyczekiwania ciszę. Wszyscy będą czekali, aż zacznę mówić. Z tym że ja nie miałem nic do powiedzenia. Nawet tamto pierwsze zdanie uleciało mi z głowy. A oni będą czekać, cisza zacznie się przeciągać, aż wreszcie tu i ówdzie ktoś kaszlnie nerwowo i rozszumią się szeptami. Dlaczego? Bo cała ta publika to zgraja palantów. Zwyczajnych gapiów, co potrafią tylko się gapić. Jeśli nawet uda mi się coś z siebie wydusić, może to być najwyżej wściekły słowotok, jak u chorego na zespół Tourette'a.

Postanowiłem bez wstępów poprosić o pierwszy slajd. Tyle chyba dam radę zrobić, a może potem obrazy jakoś same mnie poprowadzą. W tym była moja jedyna nadzieja. Tylko że kiedy zerknąłem na kartkę, którą miałem w dłoni, zobaczyłem, że rozdarła się dokładnie przez środek, a na domiar złego litery rozmyły się od potu i były już ledwo czytelne. Ten przykry widok - a może stres - wywołał zwarcie między moimi oczami a mózgiem. Jaki to slajd daliśmy na początek? Skrzynkę na listy? „Zachód słońca z szupinem”? Byłem prawie pewien, że ani jeden, ani drugi.

Wszyscy zdążyli już usiąść. Owacja dobiegła końca. Nadszedł czas, aby Amerykański Prymitywista otworzył gębę i rozpoczął swoje pienia. W trzecim rzędzie, przy samym

przejściu, siedziała ta wścibska ciapa Mary Ire z otwartym notatnikiem na kolanach. Rozejrzałem się za Wiremanem. To on mnie w to wpakował, ale nie miałem do niego żalu. Chciałem go tylko przeprosić - oczami - za to, co się za chwilę musiało stać.

Usiądę w pierwszym rzędzie, obiecał mi. Na samym środku.

I faktycznie, tam go znalazłem. Po jego lewej ręce siedział Jack, dalej Juanita, moja gospodyni, Jimmy Yoshida i Alice Aucoin. A po prawej, tuż obok przejścia...

Człowiek, który zajął tamto siedzenie, nie mógł być niczym innym jak tylko halucynacją. Mrugnąłem oczami, ale nie chciał zniknąć. Dalej widziałem tę rozległą twarz, ciemną i tchnącą spokojem. Kolosalna sylwetka tkwiła w obitym pluszem fotelu, wbita pomiędzy poręcze tak ciasno, że bez łomu, zdawało się, nie będzie można jej wyswobodzić. Był to nie kto inny, jak Xander Kamen; patrzył na mnie przez te swoje olbrzymie okulary w rogowych oprawkach i bardziej niż kiedykolwiek przedtem przypominał półboga. Otyłość uniemożliwiła mu trzymanie czegokolwiek na kolanach, ale na jego brzuchu jak pagór spoczywało przewiązane wstążką pudło długości około metra. Zauważył, jak bardzo mnie zaskoczyła - jak mną wstrząsnęła - jego obecność, i wykonał pewien gest. Nie, nie skinął mi ręką, raczej w osobliwy sposób zaszalutował: najpierw dotknął końcami palców brwi, masywnej niczym gzyms, potem musnął nimi usta. a na koniec wyciągnął rozcapierzoną dłoń w moim kierunku, tak że wyraźnie zobaczyłem jej bladawe wnętrze. I uśmiechnął się do mnie, tak jakby to, że siedzi sobie na widowni w auli im. Geldbarta, w pierwszym rzędzie, tuż obok mojego przyjaciela Wiremana, było najzwyczajszą rzeczą pod słońcem. Jego potężne wargi poruszyły się, składając, jedno po drugim, trzy słowa: Dasz sobie radę.

I faktycznie, mógł mieć rację. Jeśli tylko uda mi się uciec myślami od tego, co się dzieje. Skierować je na boczny tor.

Przywołałem przed oczy Wiremana - a ściśle rzecz biorąc, Wiremana spoglądającego na zachód - i nagle moje pierwsze zdanie pojawiło się z powrotem w pamięci.

Skinąłem głową Kamenowi. Odpowiedział takim samym gestem, a ja rozejrzałem się po widowni i zobaczyłem zwykłych ludzi. Wszystkie anioły latały wysoko nad naszymi głowami, w ciemności, jaka tam zapadła. Jeśli zaś chodzi o demony - te w większości kryły się prawdopodobnie w mojej głowie.

- Witam państwa - powiedziałem do mikrofonu i wzdrygnąłem się, spłoszony hukiem, jaki poszedł z głośników. Przez salę przeleciał śmiech, ale zachowałem spokój, chociaż jeszcze przed minutą wściekłbym się za coś takiego. To był tylko śmiech, pogodny i życzliwy.

Dam sobie radę.

- Witam państwa - powtórzyłem. - Nazywam się Edgar Freemantle i raczej nie jestem najlepszym mówcą. W poprzednim życiu pracowałem w branży budowlanej. I byłem w tym dobry. Wiedziałem, że tak jest, ponieważ dostawałem kontrakty. W obecnym życiu maluję obrazy, ale nikt mnie nie uprzedził, że będę musiał przemawiać publicznie.

Tym razem śmiech na widowni był swobodniejszy i bardziej wielogłosowy niż poprzednio.

- Zamierzałem na początek powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia, jak się tutaj znalazłem, ale prawda jest inna: wiem, jak do tego doszło. Cieszy mnie to, ponieważ nic więcej nie mogę państwu powiedzieć. Nie znam się ani na historii, ani na teorii sztuki, nie mam nawet wyrobienia w tej dziedzinie. Przypuszczam, że nie jest państwu obce nazwisko Mary Ire...

Rozległy się stłumione chichoty, jakbym zamiast tego powiedział: „Nazwisko Andy Warhol, jak sądzę, obilo się państwu o uszy”. Wymieniona dama usiadła prosto jak świeca i powiodła wzrokiem dookoła, pusząc się nieco.

- Kiedy po raz pierwszy przywiozłem swoje obrazy do galerii Scoto, pani Ire, obejrzawszy je, była uprzejma nazwać mnie amerykańskim prymitywistą. Przyznam, że trochę mnie to uraziło, ponieważ codziennie zmieniam bieliznę i myję zęby...

Ponownie gremialny śmiech. Poczulem, że nogi mam znów z krwi i kości, już nie z cementu, jak przed chwilą, i mogę stąd uciec. Ale skoro już mogłem, ucieczka przestała mnie pociągać. Nie było takiej potrzeby. Całkiem możliwe, że wyśmieją moje prace - ale to nie szkodzi, bo mnie się one podobają. Niech się pośmieją, pomruczą i poszepczą, niech się krzywią z niesmakiem albo niech ziewają z nudów, jeśli mają takie życzenie; jak już skończą, wrócę do domu i będę malował dalej.

A co zrobię, kiedy moje obrazy się im spodobają? To samo.

- Natomiast jeśli pani Ire chciała przez to powiedzieć, że zajmuję się czymś, czego nie rozumiem, czego nie potrafię opisać, ponieważ nikt nie nauczył mnie odpowiednich słów - to miała całkowitą rację.

Kamen kiwnął głową z zadowoloną miną. Podobny wyraz twarzy, jak Boga kocham, miała Mary Ire.

- Mogę więc opowiedzieć tylko i wyłącznie o tym, jak się tutaj znalazłem. Opisać most, który przeprowadził mnie z poprzedniego życia do obecnego.

Kamen złożył swoje dłonie jak bochny i zaklaskał bezgłośnie. Podniósł mnie tym na duchu. Sama jego obecność tak na mnie działała. Nie potrafię określić dokładnie, jak by to było, gdyby go nie było, ale podejrzewam, że wyglądałoby to, cytując Wiremana, *muy feo* -

bardzo brzydko.

- Ten opis musi jednak być zwięzły, ponieważ mój przyjaciel Wireman mawia, że karty z przeszłości każdy tasuje, jak mu pasuje, a ja się z tym zgadzam. Kiedy opowieść zaczyna się przeciągać, można nagle złapać się na tym, że, hmm... jak to ująć... zamiast faktów wylicza się wszystkie niespełnione życzenia?

Opuściłem wzrok na Wiremana. Kiwnął potakująco głową.

- No właśnie, chyba tak to chciałem powiedzieć: niespełnione życzenia. Zatem krótko: miałem wypadek na budowie. Tragiczny wypadek. Otóż był dźwig, i ten dźwig zmiażdżył moją furgonetkę. Ze mną w środku. Straciłem prawą rękę i mało brakowało, a straciłbym też życie. Niedługo potem rozstałem się z żoną. Powoli odchodziłem od zmysłów. Teraz widzę to wyraźniej; wtedy uświadamiałem sobie tylko tyle, jest mi bardzo, bardzo źle. Ale miałem jeszcze jednego przyjaciela. Nazywa się Xander Kamen. Ten człowiek zapytał mnie któregoś dnia, czy jest coś, co sprawia mi radość. I była jedna taka rzecz...

Przerwałem. Kamen, siedzący w pierwszym rzędzie, podniósł wzrok znad podłużnego pudła, które podtrzymywał w miejscu, gdzie inni mają kolana. Przypomniałem sobie tamto nasze spotkanie w domu nad jeziorem Phalen - jego sfatygowany nesoser i zimny blask jesiennego słońca, kładący się ukosem na podłodze w salonie, aby po chwili zniknąć i znów się pojawić. Przypomniałem sobie moje samobójcze myśli, krążące nad tysiącem ścieżek wiodących w ciemną otchłań: można tam dojechać i płatną autostradą, i drogą dojazdową, i zapomnianą szosą gdzieś na uboczu.

Cisza przeciągała się, ale przestała już budzić strach. A moja widownia chyba nie miała mi tego za złe. Nie widzieli niczego dziwnego w tym, że błędę gdzieś myślami. Byłem przecież artystą.

- O radości, przynajmniej w odniesieniu do własnej osoby, nie myślałem już od dawna - powiedziałem. - Koncentrowałem się na tym, że muszę utrzymać rodzinę, a po założeniu własnej firmy - na tym, żeby nie zawieść zaufania swoich pracowników. Skupiłem się też na sukcesie i ciężko na niego pracowałem, głównie dlatego, że bardzo wielu ludzi wróżyło mi porażkę. A potem miałem wypadek. I wszystko się zmieniło. Zrozumiałem, że nie mam na czym się...

Uczepiłem się tego słowa obiema rękami, chociaż oni widzieli tylko jedną. Mogli też zauważyć drgnięcia starego kikuta wewnątrz podwiniętego, spiętego agrafką rękawa.

- Nie miałem niczego, na czym mógłbym się oprzeć. A w kwestii radości... - Wzruszyłem ramionami. - Powiedziałem mojemu przyjacielowi Kamenowi, że kiedyś lubiłem rysować, ale zarzuciłem to już dawno temu. Podsunął mi, żebym powrócił do rysowania, a

kiedy zapytałem dlaczego, odpowiedział, że potrzebne mi są żywopłoty, za którymi schronię się przed mrokiem nocy. Nie rozumiałem wtedy, o co mu chodziło, bo byłem zagubiony, zdezorientowany i skręcałem się z bólu. Teraz pojmuję to lepiej. Mówi się, że noc zapada, ale tutaj ona wstaje. Wstaje znad zatoki, gdy kończy się zachód słońca. Kiedy to zobaczyłem po raz pierwszy, byłem do głębi zdumiony.

Moją własną niespodziewaną elokwencją również byłem zdumiony i również do głębi. Prawa ręka ani razu nie dała o sobie znać. Była zwykłym kikutem zapiętym na agrafkę w podwiniętym rękawie.

- Czy mogę prosić o przygaszenie świateł? Łącznie z moim reflektorem? Dziękuję.

Nad tym czuwała osobiście Alice. Nie straciła ani chwili. Oświetlający mnie reflektor punktowy nagle osłabł i już tylko lekko ćmił. Gęsty mrok pochłonął aulę.

- Przechodząc mostem wiodącym z życia do życia - podjąłem - odkryłem pewną rzecz: piękno czasami rozkwita wbrew wszelkim oczekiwaniom. Z tym że to raczej niezbyt oryginalna koncepcja, prawda? To banał, frazes... porównywalny z zachodem słońca na Florydzie. Niemniej jednak jest to szczerą prawdą, a prawdę należy mówić głośno,.. pod warunkiem że umie się ją wypowiedzieć w zupełnie nowy sposób. Ja Spróbowałem ją namalować. Alice, mogę prosić pierwszy slajd?

Rysunek rozbłysnął na dużym ekranie po prawej stronie podium, wysoki na dwa metry i szeroki prawie na trzy: gigantyczne, wybujałe róże, jedna, druga, trzecia, wyrastające jak na klombie pomiędzy ciemnoróżowych muszli. Muszle miały tak ciemny kolor, ponieważ zalegały pod podłogą domu, w jego cieniu. Widownia wstrzymała oddech; brzmiało to jak momentalny, ale głośny powiew wiatru. Usłyszawszy ten dźwięk, wiedziałem już, że ludzie, którzy rozumieją, to nie tylko Wireman i moi nowi znajomi ze Scoto. Że inni też umieją patrzeć. W tym zbiorowym, gwałtownym wdechu słychać było totalne, kompletne zaskoczenie.

A potem rozległy się oklaski. Nie milkły przez prawie całą minutę. Stałem oszołomiony, wsłuchany w ten aplauz, trzymając się kurczowo lewej krawędzi pulpitu.

Prezentacja zajęła mi jeszcze dwadzieścia pięć minut, ale niewiele z niej pamiętam. Jakby mi się śniło, że prowadzę pokaz slajdów. Przez cały czas miałem wrażenie, że za chwilę obudzę się w szpitalu, porażony gorączką zmieszaną z wściekłym bólem, i zacznę krzyczeć o kolejną dawkę morfiny.

XII

To odrealnione wrażenie towarzyszyło mi również po odczycie, podczas przyjęcia w galerii Scoto. Ledwie zdążyłem skończyć pierwszy kieliszek szampana (większy od naparstka, ale tylko odrobinę), a już ktoś wcisnął mi do ręki następny. Ludzie, których widziałem pierwszy raz w życiu, wznosili toasty na moją cześć. W powietrzu krzyżowały się okrzyki „Racja! Święta racja!”, raz ktoś zawołał też „Mistrzu!”. Rozglądałem się za moimi znajomymi, ale nigdzie nie mogłem ich znaleźć.

Nie było zresztą zbyt wiele czasu na rozglądanie się. Wciąż ktoś nowy podchodził z gratulacjami, komplementom na temat tego, co powiedziałem, i tego, co namalowałem, nie było końca. Cóż, przynajmniej nie musiałem znosić krytycznych komentarzy na temat mojej techniki malarskiej, ponieważ oryginały wszystkich obrazów przekazanych do Scoto (plus kilka rysunków kredkami na dokładkę) leżakowały sobie bezpiecznie pod kluczem, zachomikowane w dwóch dużych pomieszczeniach magazynowych na zapleczu. Odkryłem również, jak się nie uwalić na przyjęciu na własną cześć; kiedy ma się tylko jedną rękę, cały sekret polega na tym, żeby nie wypuszczać z niej krewetki zawiniętej w plasterek bekonu.

Mary Ire zagadnęła mnie, czy nasz wywiad dalej jest aktualny.

- Jasne - potwierdziłem - chociaż naprawdę nie wiem, jakie nowe fakty mógłbym pani zdradzić. Wszystko już dziś powiedziałem.

- Och, na pewno coś wymyślimy - uśmiechnęła się, odstawiając flet do szampana na tacę przechodzącego kelnera i niech mnie szlag, jeśli nie mrugnęła zza tych swoich kocich okularów, kubek w kubek takich, jakie nosiło się w latach pięćdziesiątych. - W takim razie pojutrze. *À bientôt, monsieur.*

- Oczywiście - odparłem, odpędzając pokusę powiedzenia jej, że jeśli chce rozmawiać po francusku, to musi poczekać, aż zacznę chodzić w berecie a la Manet. Tymczasem Mary Ire odpłynęła z gracją, w przelocie całując Daria Nannuzziego w policzek. Po chwili zniknęła za drzwiami, w przesyconej zapachami ciemności marcowej nocy.

Podszedł do mnie Jack, chwytając po drodze dwa kieliszki z szampanem. Towarzyszyła mu Juanita, moja gospodyni, elegancka i szykowna w swoim różowym kostiumie. Poczęstowała się nadzianą na szpikulec krewetką, ale wymówiła się od szampana. Jack natomiast wyciągnął do mnie rękę z kieliszkiem i poczekał, aż przełknę ostatni kęs przystawki. Stuknęliśmy szkłem o szkło.

- Gratulacje, szefie. Daliście czadu.

- Dzięki, Jack. Taką opinię przynajmniej kumam. - Przełknąłem pierwszy łyk

szampana (i ostatni, bo więcej nie mieściło się w tych kieliszkach). - Wyglądasz absolutnie wspaniale - uśmiechnąłem się do Juanity.

- *Gracias, mister Edgar* - powiedziała, rozglądając się dookoła. - Mają tu ładne obrazy, ale pańskie są lepsze.

- Dziękuję.

Jack podał jej nową krewetkę.

- Możemy cię na chwilę przeprosić? - powiedział.

- Oczywiście.

Stanęliśmy obok spektakularnej rzeźby dłuta Gersteina.

- Pan Kamen i Wireman po odczycie zostali na chwilę w bibliotece. Pan Kamen prosił o to.

- Tak? - Poczułem ukłucie niepokoju. - Dlaczego?

- Leciał tutaj ponad pół dnia, a mówi, że on i toaleta w samolocie to nie jest dopasowana para. - Jack uśmiechnął się szeroko. - Powiedział Wiremanowi tak: „Cały dzień siedzę na czymś twardym i potrzebuję chwili spokoju, żeby w końcu z tego zejść”.

Wybuchnąłem śmiechem, ale poczułem się też trochę wzruszony. Dla człowieka o gabarytach Kamena podróż środkami masowego transportu nie mogła być lekka, łatwa i przyjemna. Kiedy zastanowiłem się nad tym przez chwilę, stało się jasne, że ktoś taki w żadnym razie nie dałby rady usiąść w mikroskopijnej samolotowej toalecie. Stanąć i trafić do muszli? Być może. Usiąść - nie. Po prostu by się nie zmieścił.

- Tak czy inaczej, Wireman uznał, że panu Kamenowi należy się przerwa techniczna. Powiedział: „Edgar zrozumie”.

- Rozumiem - przytaknąłem, gestem zapraszając Juanitę z powrotem do nas. Wyglądała bardzo samotnie w tym swoim prawdopodobnie najlepszym wyjściowym stroju, otoczona rozfalowanym tłumem bywalców imprez kulturalnych. Uścisnąłem ją serdecznie, a ona uśmiechnęła się do mnie. I kiedy już byłem bliski przekonania jej, żeby wzięła kieliszek szampana (argumentując, że jest *pegueño*, czyli mały, co przyprawiało ją o chichot; prawdopodobnie nie było to najwłaściwsze słowo), do galerii weszli Wireman i Kamen. Kamen wciąż trzymał w dłoniach tamto pudło przewiązane wstążką, a na mój widok rozpromienił się, co podziałało na mnie lepiej niż kilka owacji z rzędu, nawet z jedną na stojąco.

Od przechodzącego kelnera wziąłem wysoki kieliszek z szampanem i precyzyjnie się przez tłum, wręczyłem mu go, po czym sięgnąłem ręką za jego plecy, najdalej jak się dało, i uściskałem go porządnie. Odwzajemnił uścisk z taką siłą, że moje wciąż jeszcze tkliwe

żebra zawyły z bólu.

- Świetnie wyglądasz, Edgar. Bardzo się cieszę. Bóg jest dobry, przyjacielu. Bóg jest dobry.

- Ty też jesteś dobry - odparłem. - Co cię przywiało do Sarasoty? Może to sprawa Wiremana? - Odwróciłem się do mojego *compadre* spod pasiastego parasola. - Mam rację, prawda? Zadzwoiłeś do niego z prośbą, czy nie zechciałby pokazać się na moim odczycie w charakterze tajemniczego przybysza.

Wireman potrząsnął głową.

- Nie zadzwoniłem do niego, tylko do Pam. Wpadłem w panikę, *muchacho*, bo widziałem, że już zaczynasz świrować przed tym odczytem. Dowiedziałem się od niej, że po wypadku doktor Kamen był jedyną osobą, której się słuchałeś. Więc w końcu faktycznie przekręciłem do niego. Nie spodziewałem się, że przyleci tak z dnia na dzień... a jednak.

- Przyleciałem i jeszcze przywiozłem ci prezent od córek - oznajmił Kamen, wręczając mi pudło. - Chociaż przyznam się bez bicia, że nie było już czasu wyskoczyć do sklepu, więc musiałem wybierać z tego, co akurat miałem pod ręką. Obawiam się, że możesz być rozczarowany.

A ja ni stąd, ni zowąd wiedziałem, co to jest. Zaszło mi w ustach, ale wziąłem od niego paczkę i przytrzymując ją kikutem, zerwałem wstążkę i papier. Juanita chyba wzięła je ode mnie; nie zarejestrowałem tego. Spod opakowania wyłoniło się podłużne kartonowe pudełko, wyglądające jak trumna dla dziecka. Oczywiście, a jak miałoby wyglądać? Na przykrywce widniała pieczętka następującej treści: **WYPRODUKOWANO W REPUBLICIE DOMINIKANY.**

- Ładne cacko, doktorku - powiedział Wireman.

- Nie miałem, niestety, czasu, żeby skombinować ładniejsze - odparł Kamen.

Ich głosy dochodziły do mnie jak gdyby z daleka. Juanita otworzyła pudełko. Przykrywkę chyba wziął Jack. A spod przykrywki wyrzała Reba. Tym razem miała na sobie czerwoną sukienkę, a nie niebieską, ale w identyczne grochy. Takie same były też jej czarne dziewczęce pantofelki, zwiędłe rude loczki i bławatkowe oczy, mówiące: „Ouuu, ty niedobry! Ile mam tutaj siedzieć?”.

Gdzieś w oddali rozległ się głos Kamena:

- To Ilse do mnie zadzwoniła i podpowiedziała, jaki prezent mam ci dać. Wymyśliły tę lalkę razem z siostrą.

Oczywiście, to musiała być Ilse, pomyślałem. Uszy miałem pełne monotonnego gwaru rozmów, tak bardzo podobnego do głosów muszli pod podłogą Wielkiego Korala. Na twarzy

wisiał mi uradowany uśmiech pod tytułem „Ojej, jak miło”, ale gdyby znienacka ktoś trącił mnie od tyłu, to chyba bym wrzasnął jak opętany. To Ilse była na Dumie, uświadomiłem sobie. To Ilse jechała drogą prowadzącą w głąb wyspy, dalej niż *El Palacio*.

Kamen, choć bystry facet, nie zauważył chyba, że coś jest nie tak - trzeba jednak pamiętać, że miał za sobą cały dzień podróży i nie był w najlepszej formie. Za to Wireman definitywnie coś zwęszył, bo przyglądał mi się ze zmarszczoną brwią, przekrzywiwszy lekko głowę. Zresztą on znał mnie o wiele lepiej niż mój doktor - psycholog.

- Ilse wiedziała, że masz już jedną lalkę - dobiegł mnie głos Kamena - ale pomyślała, że dwie będą przypominać ci o obu twoich córkach, a Melinda zgodziła się z tym. Ale ja miałem w domu tylko taką Lucy...

- Lucy? - powtórzył Wireman, biorąc ją do ręki. Zadyndały różowe nóżki wypchane gałgankami. Błysnęły wytrzeszczone cielejące oczy.

- Nie uważasz, że jest podobna do Lucille Bali? Mam ich trochę, czasami daję je pacjentom. Oczywiście, oni nazywają je, jak chcą. A twoja, Edgar? Jak ją nazwałeś?

Na jedną chwilę moją pamięć ściał mróz, tak jak kiedyś. Pomyślałem: Rhonda Robin Rachel, usiądź na zdechlaka, na truchło, sadzaj, kurwa, na tą trumnę. A potem: czerwona.

- Reba - odpowiedziałem Kamenowi. - Jak Reba McEntire, ta piosenkarka country.

- Masz ją jeszcze? - chciał wiedzieć. - Ilse mówiła, że tak.

- O, jasne - przytaknąłem i nagle przypomniało mi się to, co Wireman mówił o loterii, o Powerballu: zamykam oczy i słyszę, jak numery wyskakują w okienkach. Klik - i klik - i klik. Mnie też wydało się, że to słyszę. Tej nocy, kiedy skończyłem portret „Wireman spogląda na zachód”, miałem u siebie gości. Dwie dziewczynki szukały schronienia, uciekały przed burzą. Zmarłe siostry Elizabeth Eastlake, Tessie i Laura. A teraz proszę, znów miałem gościć w Wielkim Koralu dwie bliźniaczki. Dlaczego?

Dlatego, że coś sobie tego życzyło. Coś dotknęło umysłu mojej córki i podsunęło jej ten pomysł. Koło fortuny szczęknęło w biegu, piłeczka z numerem wyskoczyła z pojemnika.

- Edgar - odezwał się Wireman. - Dobrze się czujesz, *muchacho*?

- Tak - odpowiedziałem z uśmiechem. W kręgu widzenia znów pojawił się świat, po dawnemu jasny i pełen kolorów. Zmusiłem się, żeby wyjąć lalkę z rąk skonsternowanej Juanity. To było trudne zadanie, ale udało się. - Dziękuję, panie doktorze. Xander - poprawiłem się szybko.

Kamen wzruszył ramionami, rozkładając ręce.

- Podziękuj swoim dziewczynom. Zwłaszcza Ilse.

- Podziękuję. Komu jeszcze kieliszek szampana?

Wszyscy byli chętni. Odłożyłem moją nową lalkę do pudełka i obiecałem sobie dwie rzeczy. Po pierwsze: moje córki nigdy się nie dowiedzą, jak bardzo mnie wystraszyła ta cholerna kukła. Po drugie: znam dwie siostry, które nie umarły. Nie dopuszczę, żeby kiedykolwiek postawiły nogę na wyspie Duma Key. Ani razem, ani osobno, ani w ogóle. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Tej jednej obietnicy udało mi się dotrzymać.

I

- W porządku, Edgarze. Chyba już prawie skończyliśmy.

Możliwe, że zrobiłem jakąś minę, bo Mary roześmiała się głośno.

- Było aż tak strasznie?

- Nie - odpowiedziałem, zresztą zgodnie z prawdą. Nie było źle, chociaż pytania o technikę malarską dostarczyły mi trochę nieprzyjemnych wrażeń. Moja technika polegała w zasadzie na tym, że najpierw na coś patrzę, a potem chlapię farbą na płótno. I tyle. A co mnie inspiruje? Światło. Ono skupia moją uwagę, zarówno w tych obrazach, które z przyjemnością oglądam, jak i w tych, które z przyjemnością maluję. Światło odmienia powierzchnię przedmiotów i podpowiada, co kryje się w głębi, szukając drogi na zewnątrz. Z tym że to wcale nie brzmiało fachowo; w moich uszach to był dumny bełkot.

- No dobrze - powiedziała Mary - ostatni temat: ile obrazów namalowałeś?

Przyjęła mnie w swoim apartamencie, mieszczącym się w penthousie jednego z budynków na Davis Islands, wyspiarskiej enklawie zamożności położonej tuż u wybrzeży miasta Tampa. W moich oczach była to światowa stolica stylu *art déco*. Salon, w którym siedzieliśmy, był ogromny i niemalże pusty; stała tam tylko kanapa, a pod przeciwległą ścianą - dwa leżaki. Nie było tu ani jednej książki, ale z drugiej strony telewizora też nie. Na wschodniej ścianie, tak aby łapał promienie wschodzącego słońca, wisiał duży obraz Davida Hockneya. Rozmawialiśmy, siedząc naprzeciwko siebie na kanapie. Mary trzymała na kolanie swój notatnik, a na poręczy postawiła sobie popielniczkę. Pomiędzy nami leżał duży, srebrny magnetofon firmy Wollensak. Musiał mieć z pięćdziesiąt lat, a mimo to szpule z taśmą obracały się bez najmniejszego hałasu. Niemiecka konstrukcja; i wszystko jasne.

Mary nie była umalowana, ale pociągnęła sobie wargi czymś bezbarwnym, od czego zaczęły błyszczeć. Włosy zebrała razem i upięła w luźny, niedbały sposób, nadający im wygląd jednocześnie elegancki i niechlujny. Palila english ovals, pociągając sobie przy tym z

kryształowej szklaneczki Waterforda szkocką, i to, jak się wydawało, czystą (zapropnowała mi drinka, a kiedy poprosiłem o wodę mineralną, wyglądała na rozczarowaną). Miała na Sobie dopasowane bawełniane spodnie. Jej twarz była stara, zniszczona i bardzo seksowna. I chociaż dni największej chwały tej urody przypadły najprawdopodobniej na czasy, gdy w kinach wyświetlano „Bonnie i Clyde'a”, to oczy wciąż olśniewały, pomimo kurzych łapek, pomarszczonych powiek i braku makijażu. To były oczy Sophii Loren.

- Na odczycie w Selby pokazałeś dwadzieścia dwa slajdy. Dziewięć z nich to były rysunki kredkami. Ciekawe, nawet bardzo, ale małe. Obrazów natomiast było w sumie jedenaście, ponieważ portretowi „Wireman spogląda na zachód” poświęcono trzy slajdy: dwa zbliżenia i jedno ujęcie obiektywem szerokokątnym. A inne twoje prace? Ile ich jest? I ile z nich zobaczymy w przyszłym miesiącu na wystawie w Scoto?

- Cóż... - zastanowiłem się. - Nie mogę dokładnie tego przewidzieć, ponieważ cały czas maluję, ale na chwilę obecną mam jeszcze około... dwudziestu obrazów.

- Dwudziestu - powtórzyła cichym, bezbarwnym głosem. - Masz jeszcze dwadzieścia obrazów.

W jej spojrzeniu było coś, co mnie speszyło. Drgnąłem nerwowo. Kanapa odpowiedziała skrzypieniem.

- Dokładnie rzecz biorąc, może ich być dwadzieścia jeden - uściśliłem.

Rzecz jasna, kilku nie policzyłem w ogóle. Na przykład „Pożytku z przyjaciół”. Albo tego, któremu czasami w myślach nadawałem tytuł „Candy Brown traci oddech”.

- Czyli ogółem mówimy o ponad trzydziestu obrazach.

Dodałem to sobie w pamięci i znów drgnąłem nerwowo.

- Na to wychodzi - przyznałem.

- A ty w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, że to jest niesamowite. Widzę to po twojej minie. Ty tego w ogóle nie rozumiesz. - Wstała, opróżniła popielniczkę do kosza na śmieci schowanego za kanapą, a potem wbiła ręce w kieszenie tych drogich, luksusowych spodni i stanęła bez ruchu, patrząc na swojego Hockneya. Obraz przedstawiał dom kształtem przypominający klocek. Obok niego znajdował się basen z błękitną wodą. Nad basenem można było dostrzec dojrzałą nastolatkę w czarnym, zabudowanym kostiumie kąpielowym. Patrząc na nią, widziało się tylko jej piersi, długie, opalone nogi i ciemne włosy. Dwa małe słoneczka odbijały się w ciemnych okularach.

- To oryginał? - zapytałem.

- W rzeczy samej - odparła, nie obracając się. - Podobnie jak ta dziewczyna w kostiumie. Nazywa się Mary Ire. Sześćdziesiąty drugi rok czy coś około tego. Plażowa

dziewczyna z Tamy. - Odwróciła się do mnie. Wyraz twarzy miała zacięty. - Wyłącz ten magnetofon. Koniec wywiadu.

Wyłączyłem.

- Chcę, żebyś mnie wysłuchał. Zrobisz to?

- Oczywiście.

- Są tacy artyści, którzy męczą się całymi miesiącami nad obrazem zaledwie w połowie tak dobrym jak twoje. Rzecz jasna, wielu z nich od rana przez pół dnia dochodzi do siebie po nocnych ekscesach. Ale ty... U ciebie obrazy schodzą w tempie taśmy produkcyjnej. Pracujesz jak ilustrator w czasopiśmie albo... nie wiem... rysownik komiksów!

- Kwestia wychowania. Wpojono mi, że w swoją pracę należy włożyć wszystkie siły, po prostu. Kiedy prowadziłem własną firmę, pracowałem o wiele więcej niż teraz, bo każdy jest sobie najsurowszym szefem.

Skinęła głową.

- Nie wszyscy ludzie są tacy, ale ci, którzy tak mają, potrafią naprawdę dużo od siebie wymagać. Wiem o tym.

- I to była taka, powiedzmy, etyka zawodowa, którą przenieśli na swoje nowe zajęcie. I wiesz, cholera, to się sprawdza. Jeszcze jak się sprawdza! Włączam radio - i jakbym wpadał w trans... Zaczynam malować... - Zacerwieniłem się. - Nie mam ambicji bicia rekordów szybkości, nic z tych rzeczy...

- Wiem - przerwała z naciskiem. - Powiedz mi, dzieliś twarz na trzy?

- Na trzy? - powtórzyłem zdziwiony, bo kojarzyło mi się to wyłącznie z muzyką. - A o co chodzi?

- Nieważne. W jaki sposób odtworzyłeś rysy twarzy na portrecie „Wireman spogląda na zachód”, który, nawiasem mówiąc, rozłożył mnie na obie łopatki - ten mózg...

- Zrobiłem kilka zdjęć.

- Skarbie, to akurat jest oczywiste, ale jak uchwyciłeś same rysy, kiedy już zabrałeś się do malowania?

- No więc... hm...

- Zastosowałeś zasadę trzeciego oka?

- Trzeciego oka? W życiu nie słyszałem o takiej zasadzie.

Mary uśmiechnęła się życzliwie.

- Żeby uchwycić właściwy rozstaw oczu modela, malarze często wyobrażają sobie albo wręcz szkicują trzecie oko pomiędzy nimi. A usta? Umiejszczyłeś je w stosunku do uszu?

- Nie... To znaczy, nie wiedziałem, że tak trzeba. - Rumieniec, miałem wrażenie, rozlał się już po całym moim ciele.

- Spokojnie - powiedziała Mary. - Nie sugeruję ci, że masz nagle zacząć stosować jakieś kretyńskie szkolne zasady. Nie w momencie, gdy zdążyłeś już złamać każdą z nich, i to w tak spektakularny sposób. Ja po prostu... - Pokręciła z niedowierzaniem głową. - Trzydzieści obrazów od listopada do marca? Nawet krócej, bo przecież nie zacząłeś malować od razu po przyjeździe.

- Oczywiście, że nie. Najpierw musiałem kupić sobie przybory.

Tak ją to rozśmieszyło, że dostała ataku kaszlu, który odpędziła, płucząc gardło łyżką whisky.

- Jeśli człowiek bliski zmiążdżenia na śmierć maluje potem trzydzieści obrazów w trzy miesiące - wymamrotała, gdy odzyskała już mowę - to może i ja podłożę się pod jakiś dźwig?

- Nie polecam - odparłem. - Uwierz mi na słowo. - Wstałem i podszedłem do okna, z którego rozciągał się widok na Adalia Street. - Ładnie tutaj.

Dołączyła do mnie i razem wyjrzelśmy na ulicę. Dokładnie naprzeciwko - i siedem pięter niżej - znajdowała się kawiarenka jakby żywcem przeniesiona z Nowego Orleanu. Albo Paryża. Minęła ją kobieta w czerwonej sukience falującej w rytm niespiesznych kroków, pojadająca bagietkę. Skądś dobiegały dźwięki prostego dwunastotaktowego bluesa; każdą gitarową nutę słychać było czysto i wyraźnie.

- Powiedz mi coś, Edgarze: kiedy wyglądasz przez okno, to czy patrzysz okiem malarza czy inżyniera budowlanego, którym kiedyś byłeś?

- Jednym i drugim - odparłem.

- W porządku - zaśmiała się. - Rozumiem. Davis Islands są w stu procentach tworem sztucznym, dzieckiem człowieka nazwiskiem Dave Davis. To był taki Jay Gatsby z Florydy. Słyszałeś o nim?

Potrząsnąłem głową.

- To tylko dowodzi, jak ulotną rzeczą jest sława. W „ryczących” latach dwudziestych Davis był bogiem Słonecznego Wybrzeża.

Wskazała szerokim gestem płataninę ulic, którą widać było z jej okna. Bransoletki na wychudłym przegubie brzęknęły cicho; gdzieś całkiem blisko zegar na kościelnej wieży wybił drugą.

- Aby zdobyć budulec na te wyspy, Davis wybagrował trzęsawiska u ujścia rzeki Hillsborough i namówił założycieli Tampy na umieszczenie tutaj miejskiego szpitala i rozgłośni radiowej - a działa się to w czasach, kiedy radio było ważniejsze od służby zdrowia.

Zbudował ekscentryczne i bardzo piękne apartamentowce, chociaż wtedy nikt jeszcze o czymś takim nie słyszał. Założył hotele i eleganckie nocne kluby. Szastał pieniędzmi, wziął sobie za żonę królową piękności, rozwiódł się z nią, a potem znów poślubił. Był milionerem, a w tamtych czasach milion dolarów był wart dwanaście razy tyle co dziś. Natomiast na wyspie Duma Key mieszkał jeden z jego najlepszych przyjaciół. John Eastlake. Obiło ci się może o uszy to nazwisko?

- Oczywiście. Znam jego córkę. Mój kumpel Wireman jest jej opiekunem.

Mary zapaliła kolejnego papierosa.

- No cóż, każdy z nich był bogaty jak król Krezus: Dave spekulował na budownictwie i handlu gruntami, John miał swoje fabryki. Z tym że Dave to był paw, a Eastlake bardziej przypominał pospolitego strzyżyka. I dobrze dla niego, bo wiesz, co robią z pawiami?

- Ucinają im ogony?

Mary zaciągnęła się i wydmuchując dym nosem, wycelowała we mnie dwa palce, między którymi tkwił papieros.

- Zgadza się, proszę pana. W tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku nieszczęście zwane wielkim krachem na rynku nieruchomości spadło na ten stan jak cegła na bańkę mydlaną. W to, co widzisz z mojego okna, Dave Davis zainwestował prawie wszystko, co miał. - Machnęła dłonią w kierunku zygzakowatych ulic i różowych budynków. - Rok później, w dwudziestym szóstym, dłużnicy byli mu winni w sumie cztery miliony dolarów. Przedsięwzięcia, w które inwestował, przyniosły profit, a mimo to odzyskał nie więcej niż trzydzieści tysięcy.

Już od dawna nie zdarzyło mi się szarpać tygrysa za wąsy; tak mój ojciec nazywał praktykę polegającą na nadeksploatacji swoich zasobów finansowych do tego stopnia, że trzeba bajerować wierzycieli i stosować kreatywną księgowość. Nigdy zresztą nie zapędziłem się aż tak daleko, nawet w tym rozpaczliwym okresie, jakim były pierwsze lata Freemantle Company. Współczułem Dave'owi Davisowi, chociaż umarł pewnie już dawno temu.

- A sam również miał długi? - zapytałem. - Udało mu się cokolwiek zwrócić?

- Na początku był jeszcze wypłacalny. W innych regionach kraju trwał wtedy niezły boom.

- Masz sporą wiedzę.

- Artyści Słonecznego Wybrzeża i ich twórczość to moja pasja, Edgarze. Moim hobby jest natomiast historia tej okolicy.

- Rozumiem. A więc Davis radził sobie z krachem.

- Tylko przez krótki czas. Domyślam się, że sprzedał swoje akcje na zwyżkującym

rynku i tak pokrył pierwsze straty. Pomogli mu też przyjaciele.

- Eastlake?

- John Eastlake był jego wielkim dobroczyńcą. Poza tym niewykluczone, że od czasu do czasu pozwalał mu przechowywać na swojej wyspie przemycany alkohol.

- Davis przemycał alkohol? - zdziwiłem się.

- Powiedziałam: niewykluczone. To były inne czasy, inna Floryda. Kiedy człowiek tutaj trochę pomieszka, nasłucha się różnych barwnych opowieści, jak to było z handlem gorzałką za prohibicji. W każdym razie, przemycał czy nie przemycał, bez Johna Eastlake'a Davis zbankrutowałby już przed Wielkanocą dwudziestego szóstego roku. John nie był playboyem, nie szwendał się po nocnych klubach i burdelach tak jak Davis i niektórzy jego znajomi, ale z drugiej strony trzy lata wcześniej, w dwudziestym trzecim, odumarała go żona. Podejrzewam, że stary Dave mógł mu co jakiś czas podsuwać jakąś dziewczynkę, kiedy widział, że koledze doskwiera samotność. Tak czy inaczej, latem dwudziestego szóstego miał już po prostu za wysokie długi. Nawet starzy kumple nie mogli go uratować.

- Tak więc zniknął ciemną nocą.

- Zniknął, ale nie ciemną i nie nocą. To by nie było w jego stylu. W październiku dwudziestego szóstego, niecały miesiąc po tym, jak huragan Esther o mały włos nie obrócił w perzynę dzieła jego życia, popłynął do Europy w towarzystwie ochroniarza i swojego nowego szczęścia, które, tak się złożyło, było gwiazdką pokazującą się w kostiumie kąpielowym w komediach Macka Sennetta. Nowe szczęście i ochroniarz dotarli do Paryża, ale już bez Dayisa. Zaginał na morzu. Bez śladu.

- I to wszystko wydarzyło się naprawdę?

Mary Ire zasalutowała po skautowsku prawą dłonią - nie wypadło to najlepiej ze względu na tłący się papieros trzymany pomiędzy palcami.

- Słowo honoru. Miesiąc później, w listopadzie, odbyła się ceremonia pogrzebowa. O, tam. - Pokazała palcem rozmigotaną zatokę przezierającą pomiędzy dwoma jasnoróżowymi budynkami w stylu *art déco*. - Zebrały się co najmniej cztery setki żałobników, w tym, jak sądzę, wiele kobiet cierpiących na słabość do strusich piór. Kilka osób zabrało głos. Był wśród nich John Eastlake, który rzucił do wody wieniec z tropikalnych kwiatów.

Westchnęła, a mnie zaleciał zapach jej oddechu. Lubiła wypić, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości; trudno też było nie zauważyć, że przed spotkaniem ze mną zdążyła już coś sobie gołnąć, żeby nie powiedzieć dosadniej: naoliwić się jak parowóz.

- Eastlake na pewno martwił się, że stracił przyjaciela - podjęła - ale z drugiej strony miał swój powód do radości: przetrwał huragan Esther. Nie domyślał się, że już pół roku

później po wodzie popłyną kolejne wieńce. Stracił dwie córki. Dwie naraz. A nawet trzy, jeśli liczyć tę najstarszą, która uciekła do Atlanty. Z brygadzystą pracującym w fabryce jej własnego tatusia, o ile mnie pamięć nie myli. Chociaż w sumie trudno to porównać ze śmiercią jej sióstr, które utonęły w zatoce. Boże, Eastlake musiał strasznie przeżyć tę tragedię.

- ODESZŁY - powiedziałem, przypominając sobie nagłówek, o którym wspominał mi Wireman.

Spojrzała na mnie bystrym wzrokiem.

- Widzę, że zebrałeś trochę informacji.

- To nie ja, to Wireman. Był ciekawy, dla kogo pracuje. Raczej nie wie, co łączyło jej rodzinę z tym Dave'em Davisem.

- Ciekawe, ile pamięta sama Elizabeth? - mruknęła Mary w zamyśleniu.

- Ostatnio nie pamięta nawet, jak się nazywa.

Ponownie obrzuciła mnie spojrzeniem, po czym odwróciwszy się od okna, wzięła do ręki popielniczkę i zgasiła w niej papierosa.

- Alzheimer? - zapytała. - Słyszałam plotki.

- Tak.

- Cholernie mi przykro. Wiesz, to właśnie od niej znam te co bardziej drastyczne szczegóły historii Dave'a Davisa. Opowiadała mi o nim. Jeszcze za lepszych czasów. Widywałyśmy się na okrągło, wciąż się odwiedzałyśmy. Zrobiłam wywiady z większością artystów, którzy mieszkali w Przylądku Łososi. Ty podobno nazywałeś ten dom inaczej?

- Wielki Koral.

Uśmiechnęła się szeroko.

- Dobrze pamiętałam, że to jakaś ładna nazwa.

- Ilu artystów tam zamieszkiwało?

- Całe mnóstwo. Przyjeżdżali na wykłady do Sarasoty albo do Venice. Mieli też pewnie zamiar trochę malować, chociaż podczas pobytu w Przylądku Łososi żaden z nich nie eksploatował zbytnio swojego talentu. Większość gości Elizabeth traktowała wizytę na Dumie po prostu jak darmowe wakacje.

- Udostępniała im dom za darmo?

- Och, oczywiście - przytaknęła Mary, uśmiechając się z wyraźną ironią. - Honoraria za wykłady pokrywała Rada ds. Sztuk Pięknych, która działa w Sarasocie, a Elizabeth zazwyczaj kwaterowała gości właśnie w Wielkim Koralu, dawniej Przylądku Łososi. Ale widzę, że nie łapiesz, o jaki układ tutaj chodziło. Może następnym razem ci to wyjaśnię. Zwłaszcza że akurat ty naprawdę tam pracujesz. Mogłabym wymienić pół tuzina artystów,

k którzy mieszkając w twoim domu, nawet nie zmoczyli pędzli. - Pomaszerowała do kanapy, wzięła swoją szklaneczkę i wypila kolejny łyżeczek. Nie, nie łyżeczek - haust.

- Elizabeth ma szkic Dalego narysowany w Wielkim Koralu - poinformowałem ją. - Sam widziałem.

Jej oczy rozbliły.

- Ach, no tak. Cóż. Dali. Zakochał się w tym miejscu, ale nawet on nie zabawił tu długo... Nie było razu, żeby nie próbował mnie podszczypywać, sukinsyn. Wiesz, co Elizabeth powiedziała mi po jego wyjeździe?

Potrząsnąłem głową. To chyba jasne, że tego nie wiedziałem - ale chciałem się dowiedzieć.

- Podobno było mu tutaj, jak się wyraził, „zbyt intensywnie”. Czy to ci coś mówi, Edgarze?

Uśmiechnąłem się.

- Jak sądzisz, dlaczego Elizabeth zrobiła z Wielkiego Korala ustronie dla artystów? Zawsze tak patronowała sztuce?

W oczach Mary odbiło się zdziwienie.

- To twój przyjaciel nic ci nie powiedział? Może sam o tym nie wie? Jak głosi miejscowa legenda, Elizabeth sama kiedyś była niepoślednią artystką.

- Co to znaczy; jak głosi miejscowa legenda?

- Krąży tutaj pewna historia. Z tego co wiem, to czysty wymysł, ale mówi się, że Elizabeth Eastlake była cudownym dzieckiem. Jako kilkulatka podobno pięknie malowała, ale potem nagle całkowicie to zarzuciła.

- Pytałaś ją kiedyś o to?

- Oczywiście, głuptasie. Tym się zajmuję: pytam ludzi o różne rzeczy. - Zaczynała już chwiać się na nogach, a oczy Sophii Loren zauważalnie nabiegły krwią.

- I co powiedziała?

- Że to plotki. Oznajmiła mi tak: „Kto ma talent, ten tworzy. Kto go nie ma, wspomaga tego, który ma. To tak jak my, Mary”.

- Brzmi przekonująco - zauważyłem.

- Też tak pomyślałam - przyznała, pociągając kolejny łyżeczek ze swojej kryształowej szklaneczki. - Problem tylko w tym, że jej nie uwierzyłam.

- Dlaczego?

- Nie wiem, po prostu nie. Miałam kiedyś starą przyjaciółkę, Aggie Winterborn. Prowadziła rubrykę dla nieszczęśliwie zakochanych w „Tampa Tribune”. Opowiedziałam jej

raz o tym. To było mniej więcej wtedy, gdy Salvador Dali zaszczylił Słoneczne Wybrzeże swoją obecnością, czyli około roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego. Siedziałyśmy sobie w jakimś barze - w tamtych czasach bez przerwy przesiadywało się w barach - a rozmowa zeszła na temat tego, jak powstają legendy. Podałam przykład Elizabeth Eastlake, o której krążą opowieści, że podobno jako dziecko była małym Rembrandtem w sukience. Wtedy Aggie, która zresztą dziś dawno już nie żyje, świeć, Panie, nad jej duszą, oznajmiła, że jej zdaniem to wcale nie jest żadna legenda, tylko prawda albo pewna wersja prawdy. Widziała jakoby artykuł na ten temat w jakiejś starej gazecie.

- Sprawdziłaś to? - zapytałam.

- Oczywiście. Nie piszę o wszystkim, co wiem - puściła do mnie oko - natomiast o wszystkim lubię wiedzieć.

- I czego się dowiedziałas?

- Niczego. Nie znalazłam absolutnie nic, ani w „Tribune”, ani w dziennikach z Sarasoty czy z Venice. Więc może to naprawdę jest tylko ludzkie gadanie. Do diabła, tak samo mogło być z tą gorzałą Dave'a Davisa, którą ojciec Elizabeth miał jakoby przechowywać u siebie na wyspie. Tylko że... Pamięć Aggie Winterborn była jak kartoteka. A sama Elizabeth, kiedy ją o to pytałam, miała bardzo szczególny wyraz twarzy.

- W jakim sensie szczególny?

- W sensie: „Tobie na pewno tego nie powiem”. Ale to wszystko było już bardzo dawno temu, wiele wody upłynęło, a jej chwilowo nie można o to zapytać, jeśli jest z nią tak źle, jak mówisz.

- W tej chwili tak, ale może się polepszy. Wireman opowiadał, że miewała już powroty świadomości.

- Miejmy nadzieję - westchnęła Mary. - Elizabeth to prawdziwy biały kruk, wiesz? Na Florydzie jest pełno starych ludzi - nie bez powodu nazywają to miejsce poczekalnią Pana Boga - ale ze świecą szukać takich, którzy się tutaj urodzili. To Słoneczne Wybrzeże, które pamięta, czy też pamiętała, Elizabeth, to naprawdę była inna Floryda. Nie taki moloch bez ładu i składu jak dziś, wszędzie tylko kryte stadiony i autostrady we wszystkie strony świata - ale też nie taka, jaką ja pamiętam z młodych lat. Moja Floryda to ta, którą opisywał John D. MacDonald, to czasy, gdy ludzie po powrocie z kościoła znajdowali w basenach aligatory, a w śmietnikach rysie szukające zarcia.

Dotarło do mnie, że jest już naprawdę mocno pijana... ale rozmowa z nią żadną miarą nie była przez to mniej interesująca.

- Elizabeth i jej siostry dorastały na Florydzie, gdzie nie było już Indian, ale gdzie

stary pan Biały Człowiek nie umoczn... umocnił jeszcze swojej władzy. Zdziwiłbyś się, jak zupełnie inaczej wyglądała twoja wysepka. Widziałam zdjęcia. Rosły tam palmy w objęciach figowca dusiciela, sosny i drzewa gumbo - limbo. Tych kilku miejsc, gdzie pod ziemią było trochę wilgoci, trzymały się dęby i zarośla mangrowe. Z niższych roślin widywało się erytrynie i ostrokrzewy. A teraz? Wszędzie ta zasnana dżungla. Tylko plaże są takie same jak kiedyś, no i te uniole, oczywiście... Jak obrębiony kraj spódnicy. Zwodzony most znajdował się tam gdzie teraz, na północnym krańcu wyspy, ale dom był tylko jeden.

- Dlaczego Duma tak zarosła? - zapytałem. - Wiesz może? Trzy czwarte powierzchni tonie w chaszczach.

Chyba mnie nie dosłyszała.

- Tylko ten jeden dom - powtórzyła. - Na niewielkim wzniesieniu, bliżej południowego wybrzeża. Jak wierna kopia zabytkowych rezydencji, które się zwiedza w Charleston albo Mobile. Kolumny i zwirowy podjazd. Od zachodu - pyszny widok na zatokę. Od wschodu - cudowna panorama wybrzeża Florydy. Chociaż, szczerze mówiąc, nie było na tym wybrzeżu zbyt wiele do obejrzenia, poza Venice. Małą, senną wsią o nazwie Venice. - Usłyszała brzmienie własnego głosu i wzięła się w garść. - Wybacz, Edgarze. Bardzo cię proszę. To nie zdarza mi się codziennie. Naprawdę, moje... moje emocje... powinieneś odebrać jako komplement.

- I tak też je odbieram.

- Dwadzieścia lat temu, zamiast zalać się w trupa, zaciągnęłabym cię do łóżka. Może nawet jeszcze dziesięć lat temu. Dziś pozostała mi tylko nadzieja, że nie wystraszyłam cię i nie zniechęciłam na dobre.

- Nie ma takiej możliwości.

Roześmiała się kraczącym śmiechem, który był jednocześnie pusty i radosny.

- W takim razie koniecznie odwiedź mnie znów, i to szybko. Robię świetną zupę z okry. Ale teraz... - Objęła mnie ramieniem i poprowadziła do drzwi. Jej szczupłe ciało, które czułem przez ubranie, było gorące i twarde jak kamień. Chód miała już mocno niepewny. - Teraz nadszedł już czas, żebyśmy się pożegnali, bo czuję, że muszę zażyć sjesty. Z przykrością to mówię, ale potrzebny mi odpoczynek.

Wyszedłem na korytarz, ale odwróciłem się jeszcze.

- Powiedz mi, Mary, czy Elizabeth wspominała kiedyś o śmierci swoich sióstr? Miała wtedy cztery albo pięć lat. Wystarczy, żeby zapamiętać tak traumatyczne wydarzenie.

- Nigdy - odparła. - Ani razu.

II

Na chodniku, tuż obok wejścia do budynku, ciągnął się rząd kilkunastu krzeseł, ustawionych w niezbyt szerokim, ale też nie za wąskim pasie miłego, wczesnopołudniowego cienia. Dochodził kwadrans po drugiej. Kilka z tych krzeseł było zajętych przez starszków, którzy patrzyli sobie, jak po Adalia Street jeżdżą samochody. Tuż obok siedział Jack, ale on, dla odmiany, nie przyglądał się samochodom ani też nie gonił wzrokiem za przechodzącymi kobietami. Oparłszy się plecami o sztukaterię z różowego stiuku, czytał książkę pod tytułem „Obrządki pogrzebowe dla opornych”. Kiedy tylko mnie zauważył, zamknął ją, wsuwając pomiędzy strony zakładkę, i podniósł się z krzesła.

- Pożyteczna wiedza dla kogoś, kto mieszka w tym stanie - mruknąłem, wskazując ruchem głowy okładkę ze znakiem firmowym tej serii: wyłupiastookim chłopakiem w typie kujona.

- W końcu będzie trzeba wybrać sobie jakiś zawód - odpowiedział - a moja obecna fucha raczej niedługo się skończy, biorąc pod uwagę tempo, w jakim ci się poprawia.

- Tylko mnie nie popędzaj. - Wsadziłem rękę do kieszeni, sprawdzając, czy mam przy sobie buteleczkę z aspiryną. Miałem.

- Szczerze mówiąc - wyznał Jack - to jednak muszę cię trochę pogonić.

- A co, umówiłeś się gdzieś? - zapytałem. Wyszliśmy (ja kuśtykałem) z cienia. Na słońcu było skwarno. Wiosna, co prawda, zagląda na zachodnie wybrzeże Florydy, ale wpada tylko na kawę i zaraz leci dalej, na północ, gdzie czeka na nią poważna robota.

- Nie, ale ty masz o czwartej wizytę u doktora Hadlocka w Sarasocie. Jeśli nie będzie wielkich korków, to mamy szansę się nie spóźnić.

Zatrzymałem go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Mam wizytę u lekarza Elizabeth? O czym ty mówisz?

- Musisz się przebadać. Ludzie gadają, szefie, że od dawna to odkładasz.

- To sprawka Wiremana - mruknąłem, przeczesując palcami włosy. - Wireman, wróg lekarzy. Jak mu nagadam, to tylko będzie patrzył, czy już koniec. Biorę cię na świadka, Jack, że jak mu...

- To nie on. Ale uprzedził mnie, że będziesz wygadywał takie rzeczy. - Jack ruszył, pociągając mnie za sobą. - Chodź, chodź, musimy się zbierać, bo nigdy się nie przebijemy przez te korki. Jest godzina szczytu.

- Więc kto mnie umówił do lekarza, skoro nie Wireman?

- Twój drugi przyjaciel. Ten duży, czarny. Kurde, fajny gość. Równiacha.

Doszliśmy do miejsca, gdzie został mój malibu. Jack otworzył mi drzwi, ale ja stałem przez chwilę jak wryty, nie mogąc się otrząsnąć.

- Kamen? - wykrztusiłem wreszcie.

- On sam. Zgadali się z doktorem Hadlockiem na imprezie po twoim odczycie. Doktor Kamen wspominał przypadkiem, że już dawno temu obiecałeś mu iść na badania kontrolne i do tej pory nie poszedłeś. Powiedział, że się martwi o ciebie, a doktor Hadlock sam zaproponował, że cię zbada.

- Sam zaproponował - powtórzyłem.

Jack skinął głową, uśmiechając się promiennie w jasnym blasku słońca - niemożliwie młody chłopak z kanarkowożółtą książką pod pachą: „Obrządki pogrzebowe dla opornych”.

- Doktor Hadlock powiedział doktorowi Kamenowi, że nie można pozwolić, aby tak wybitnego, dopiero co odkrytego artystę spotkało jakieś nieszczęście. Z czym, swoją drogą, się zgadzam.

- Dziękurwa ci bardzo, Jack.

Jack parsknął śmiechem.

- Ale z ciebie numer, Edgar.

- I co jeszcze? Może „równiacha”?

- Coś w tym guście. Równy jak stół do ping - ponga. Wsiadaj, musimy zdążyć na most, dopóki w ogóle jest przejezdny.

III

Tak się złożyło, że do gabinetu doktora Hadlocka przy Beneva Road dotarliśmy punktualnie. Twierdzenie Freemantle'a, czyli wzór opisujący czas oczekiwania na swoją kolejkę w urzędach i tym podobnych placówkach, określa następującą zależność: aby zostać obsłużonym od razu po przybyciu, do godziny umówionego spotkania należy dodać trzydzieści minut. Tym razem czekało mnie jednak miłe zaskoczenie. Recepcjonistka wywołała moje nazwisko już dziesięć po czwartej i zaprowadziła do wesołej sali badań, gdzie na ścianie po lewej stronie miałem plakat z sercem, które ociekało tłuszczem, a na ścianie po prawej - z płucem wyglądającym jak świeżo wyjęte z grilla. Tablica do badania ostrości wzroku wisiała naprzeciwko i była miłą odmianą, chociaż niżej niż szósta linijka trudno mi było cokolwiek odcyfrować.

Weszła pielęgniarka, włożyła mi termometr pod język, zmierzyła puls, zapięła na ramieniu opaskę ciśnieniomierza, napompuwała, odczytała wynik. Kiedy zagadnąłem, jak mi

idzie, uśmiechnęła się wymijająco i powiedziała tylko: „Zaliczył pan”. Potem odbyło się pobieranie krwi, a następnie wręczono mi plastikowy kubeczek i skierowano do łazienki. Kiedy rozpiniałem rozporek, moje Czarne myśli krążyły nad głową Kamena. Oddanie moczu do analizy nie przekracza możliwości faceta z jedną ręką, ale ryzyko niefortunnnych wypadków wzrasta w takiej sytuacji potężnie.

Kiedy wróciłem do sali badań, pielęgniarki już nie było. Została po niej teczka opisana moim nazwiskiem. Obok leżał czerwony długopis. Kikut prawej ręki dał o sobie znać lekkim ukłuciem. Nie myśląc o tym, co robię, schowałem ten długopis do kieszeni w spodniach, a na jego miejscu położyłem niebieskiego bica, którego miałem w kieszonce na koszuli.

A co jej powiesz, kiedy wróci, zapytałem samego siebie. Że przyleciał Długopisowy Duszek i zamienił?

Zanim jednak udało mi się wymyślić odpowiedź na to pytanie - albo choćby zrozumieć, po co w ogóle ukradłem ten czerwony długopis - do sali wszedł Gene Hadlock i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką. Lewą... Czyli w moim wypadku prawidłową. Zauważyłem, że kiedy nie było przy nim Principe'a, tego neurologa z kozią bródką, sprawił na mnie o wiele sympatyczniejsze wrażenie. Doktor Hadlock miał około sześćdziesiątki, sylwetkę lekko zaokrągloną, mały wąsik z gatunku szczotkowatych oraz bardzo miłe podejście do pacjenta. Polecił mi rozebrać się do bielizny, po czym zbadał dokładnie moją prawą nogę i cały bok. Trochę to trwało. Szturczał mnie palcem w różnych miejscach i chciał wiedzieć, czy bardzo boli. Potem zapytał, jakie leki przeciwbólowe aktualnie biorę; zdziwił się, kiedy odpowiedziałem, że wystarczy mi aspiryna.

- A teraz zbadam kikut - uprzedził mnie. - Mogę?

- Proszę. Tylko bez szarpania.

- Postaram się.

Usiadłem wyprostowany na stole do badań, kładąc lewą rękę na nagim biodrze. Patrzyłem prosto na tablicę do badania wzroku. Hadlock chwycił mnie jedną dłonią za prawe ramię, a drugą podłożył delikatnie pod kikut. Siódma linijka na tablicy wyglądała mniej więcej tak: **BUGRZEK**. Ciekawe, jaki Bóg i co rzekł, pomyślałem.

Poczułem lekki ucisk, ale jakby dobiegający z bardzo daleka.

- Boli? - zapytał Hadlock.

- Nie.

- W porządku. Nie, proszę nie odwracać głowy, patrzeć prosto przed siebie. Czuje pan moją dłoń?

- Nie. Nic z tych rzeczy. Lekki nacisk. - Ale żadnego ukłucia. Zresztą, co w tym

dziwnego? Ręka, której nie było, chciała dostać długopis, a długopis był już u mnie w kieszeni, więc zasnęła z powrotem.

- A teraz, Edgarze? Mogę panu mówić po imieniu?

- Jak to się mówi: po nazwisku - to po pysku, po imieniu - po ramieniu. Trzymasz mnie za ramię, więc możesz. Dalej czuję to samo. Nacisk. Słaby.

- Możesz już spojrzeć.

Spojrzałem. Jedna dłoń Hadlocka dalej spoczywała na moim ramieniu, ale drugą trzymał przy sobie. Daleko od kikuta.

- Oj - mruknąłem.

- Nie przejmuj się, doznania fantomowe to normalna rzecz po amputacji. Zaskoczyło mnie tylko tempo gojenia. I brak bólu. Na początku ścisnąłem cię wcale mocno. No, ale to dobrze. - Znów ujął mnie za kikut, nacisnął, kierując dłoń ku górze. - Czy to cię boli?

Bolało; tępe, ćmiące rwanie plus niewyraźne wrażenie ciepła.

- Trochę - przyznałem.

- Zmartwiłbym się, gdybyś powiedział co innego. - Puścił mnie. - Popatrz sobie jeszcze na literki, dobrze?

Posłuchałem. Tym razem udało mi się ustalić prawdziwe brzmienie tej kluczowej siódmej linijki: **BUOBZER**. To już miało więcej sensu - właśnie dlatego, że nie miało sensu.

- Iloma palcami cię dotykam, Edgarze?

- Nie wiem. - W ogóle nie czułem, żeby mnie dotykał.

- A teraz?

- Nie wiem.

- A teraz?

- Trzema. - Były już prawie na obojczyku. Nagle błysnęło mi w głowie - to było głupie, ale bardzo mocne - że gdyby ogarnął mnie teraz mój malarski szal, to czułbym dotyk na całym kikucie. A nawet dalej, dodałem w myślach, tam gdzie kikut się kończy i nie ma już nic oprócz powietrza. I sam poczciwy doktor też by wtedy coś poczuł, przynajmniej tak mi się wydawało - a gdyby poczuł, to pewnie uciekłby z krzykiem.

Badanie trwało dalej, najpierw lewa noga, potem głowa. Hadlock posłuchał mojego serca, zajrzał mi w oczy i spełnił jeszcze kilka innych lekarskich powinności, a gdy już wyczerpał wachlarz opcji prawie całkowicie, polecił mi się ubrać i przyjść do swego gabinetu na końcu korytarza.

Gabinet okazał się swojsko zagraconym pokoikiem. Kiedy wszedłem, Hadlock

siedział wygodnie w fotelu za biurkiem. Na jednej ze ścian wisiały zdjęcia. Niektóre z nich, jak się domyśliłem, przedstawiały lekarską rodzinę, ale były tam też fotografie, na których doktor ściskał dłonie George'owi Bushowi Pierwszemu i Maury'emu Povichowi (w moim przekonaniu duet na identycznym poziomie intelektualnym), a także jedna, na której towarzyszyła mu zdumiewająco energiczna i zniewalająca urodą Elizabeth Eastlake. Oboje dzierżyli w dłoniach rakietę do tenisa. Rozpoznałem kort; to był ten w *El Palacio*.

- Domyślam się, że chciałbyś już wrócić na Dumę i ulżyć temu biodru. Mam rację? - zagadnął Hadlock. - O tej porze dnia pewnie zaczyna już cię boleć, a kiedy w powietrzu jest wilgoć, to masz z nim katorgę, Madejowe łożo i trzy wiedźmy z „Makbeta” naraz. Jeśli chcesz receptę na percocet albo yicodin...

- Nie, wystarczy mi aspiryna - odparłem. Włożyłem dużo wysiłku w to, żeby odstawić twarde środki, i nie miałem zamiaru teraz do nich wracać. Niech sobie boli.

- Wracasz do zdrowia w niezwykłym tempie - poinformował mnie Hadlock. - Chyba nie muszę ci mówić, że miałeś naprawdę sporo szczęścia. Mogłeś skończyć na wózku i spędzić na nim resztę życia. A kierowałbyś nie ręką i nie nogą, tylko dmuchając w słomkę.

- Szczęście, że w ogóle żyję - przyznałem. - Czy mam rozumieć, że nie ma żadnych komplikacji?

- Trzeba poczekać na wyniki krwi i moczu, ale na razie wszystko wydaje się w normie. Chętnie skieruję cię na prześwietlenie głowy i prawej części ciała, jeśli masz jakieś niepokojące objawy, ale...

- Nie, nie mam. - Miałem objawy, ale nie wydawało mi się, żeby prześwietlenie pomogło ustalić ich przyczynę. Ewentualnie przyczyny.

Lekarz skinął głową.

- Obchodziłem się z twoim kikutem tak ostrożnie, ponieważ nie nosisz protezy. Mogłeś mieć nadwrażliwość albo jakąś infekcję. Ale wszystko wygląda dobrze.

- Na protezę chyba nie jestem jeszcze gotowy.

- W porządku. Nawet lepiej niż w porządku. Biorąc pod uwagę to, jak bardzo jesteś aktywny, powiedziałbym, że nie ma sensu szukać dziury w całym. Twoje obrazy... niezwykle. Już się nie mogę doczekać tej wystawy w Scoto. Przyjdę z żoną. Jest zachwycona.

- Świetnie - powiedziałem. - Dziękuję. - To zabrzmiało słabo, przynajmniej w moich własnych uszach, ale prawda była taka, że wciąż nie wymyśliłem sobie, jak mam reagować na tego rodzaju komplementy.

- Jest w tym jakaś smutna ironia, że mieszkasz w Przylądku Łososi i płacisz jak zwyczajny najemca - westchnął Hadlock. - Być może tego nie wiesz, ale przez wiele lat

Elizabeth rezerwowała ten dom specjalnie dla artystów. Potem zapadła na zdrowiu i pozwoliła firmie wynajmować go tak, jak normalnie wynajmuje się domy, chociaż postawiła warunek: okres dzierżawy musi być nie krótszy niż trzy miesiące. Nie chciała tam żadnych wiosennych urlopowiczów i ustawicznych balang. Nie w miejscu, gdzie kiedyś Salvador Dali i James Bama kładli skołatane głowy, huczące od artystycznych wizji.

- Wcale się jej nie dziwię. To wyjątkowy dom.

- Zgadza się, ale prawdą jest też, że spośród słynnych artystów, którzy tam mieszkali, kilku nie znalazło w nim wielkiego natchnienia i nie stworzyło niczego specjalnego. A potem zjawia się drugi „zwyczajny najemca” w całej historii tego domu, inżynier budownictwa z Minneapolis, kurujący się po ciężkim wypadku i nagle... proszę. Elizabeth musi mieć wielką satysfakcję.

- Nie tak łopatologicznie z tym kadzeniem, doktorze Hadlock - uśmiechnąłem się. - Proszę nie zapominać, że pracowałem w branży budowlanej.

- Mów mi Gene - poprawił. - A nikt, kto był na twoim odczycie, nie powiedziałby, że ci kadzę. Wypadłeś pierwszorzędnie. Żałuję tylko, że Elizabeth nie mogła tam przyjść. Puszyłaby się jak paw.

- Może dojdzie do siebie przed otwarciem wystawy.

Gene Hadlock pokręcił głową, bardzo powoli.

- Niestety, wątpię. Broniła się przed alzheimerem rękami i nogami, ale zawsze przychodzi taki moment, kiedy choroba po prostu bierze górę. Nie dlatego, że pacjent jest słaby, ale ponieważ taki, a nie inny, jest stan jego organizmu. Jak przy stwardnieniu rozsianym. Albo przy raku. Kiedy raz wystąpią objawy, najczęściej utrata pamięci krótkotrwałej, zaczyna się odliczanie. Wydaje mi się, że dla Elizabeth czas dobiegł już końca. Bardzo jej współczuję. Na odczycie, kiedy mówiłeś, było dla mnie jasne - i chyba też dla wszystkich - że krępuje cię to całe zamieszanie wokół własnej osoby...

- Słuszne spostrzeżenie.

- ...ale gdyby ona mogła tam przyjść, cieszyłaby się za ciebie. Znam ją prawie od zawsze i mogę ci zagwarantować, że osobiście nadzorowałaby wszystko. Każdy obraz na wystawie musiałby wisieć tak, jak ona by sobie zażyczyła.

- Żałuję, że nie poznałem jej wcześniej.

- Była niesamowita. Kiedy miała czterdzieści pięć lat, a ja dwadzieścia, wygraliśmy razem amatorski turniej tenisowy dla par mieszanych, odbywający się w klubie The Colony na Longboat Key. Studiowałem wtedy w college'u i wróciłem do domu na ferie. Wciąż mam jeszcze mój puchar. Podejrzewam, że ona swój też ma.

To mi się z czymś skojarzyło; pamięć podsunęła słowa „Znajdziesz go bez trudu”, ale zanim zdążyłem pochwycić i zlokalizować to wspomnienie, przepędziło je inne. O wiele świeższe.

- Doktorze Hadlock... Gene... Czy Elizabeth kiedyś malowała? Albo rysowała?

- Elizabeth? Nigdy. - Uśmiechnął się.

- Jesteś tego pewny?

- Jak najbardziej. Kiedyś ją o to zapytałem i bardzo dobrze pamiętam jej odpowiedź i wszystkie okoliczności. Otóż było to wtedy, gdy bawił u nas z odczytami Norman Rockwell. Mieszkał w Ritzu. Norman Rockwell, we własnej osobie, z fajką, ze wszystkim! - Gene Hadlock pokręcił głową, a jego uśmiech stał się szerszy. - Bogowie, jakież to wrzaski się podniosły, ileż było kontrowersji, kiedy Rada ds. Sztuk Pięknych ogłosiła, że przyjeżdża pan „Saturday Evening Post”^{*}. To był pomysł Elizabeth, którą bardzo cieszyło całe to poruszenie. Powiedziała, że z takim rozgłosem bez problemu można by urządzać odczyty na stadionie Bena Hilla Griffina... - Urwał, widząc moje zdezorientowane spojrzenie. - To stadion uniwersytetu stanowego Florydy. Ma też drugą nazwę: „Bagno”. Ale, jak mówią, to bagno jest tylko dla miejscowych Aligatorów.

- Moja znajomość futbolu zaczyna się od Minnesota Vikings, a kończy na Green Bay Packers.

- Tak czy inaczej, w pewnym momencie podczas tych rockwellovskich rozruchów zagadnąłem ją, czy ma jakieś zdolności artystyczne. Nawiasem mówiąc, na Rockwella sprzedały się wszystkie bilety, i to nawet nie w auli Geldbarta, ale w miejskim centrum kulturalnym. Elizabeth roześmiała się tylko i odparła, że nie umie nawet porządnie narysować człowieka z pięciu kresek i kółka. Użyła nawet sportowego porównania i to chyba dlatego przypomniałem sobie teraz tych Aligatorów. Powiedziała, że jest jak sponsor drużyny uniwersyteckiej, bogaty absolwent tej samej uczelni, tylko że jej pasja to sztuka, a nie futbol. I dodała: „Jeśli nie możesz być sportowcem, skarbie, to bądź kibicem. A jeśli sam nie masz talentu, to zostań opiekunem artystów: pilnuj, żeby nie chodzili głodni i mieli gdzie schronić się przed deszczem”. Bo talentu Elizabeth nie miała za grosz.

Przez chwilę chciałem mu powiedzieć o tym, co Mary Ire słyszała od swojej przyjaciółki, Aggie Winterborn, ale jednak rozmyśliłem się, dotknąwszy czerwonego długopisu spoczywającego w mojej kieszeni. Uświadomiłem sobie, że chcę wrócić na Dumę i wziąć się do malowania. „Dziewczynka i statek nr 8”, najbardziej ambitny obraz z całej serii,

^{*} Norman Rockwell (1894 - 1978) był wieloletnim ilustratorem i autorem okładek, m.in. dla czasopisma „The Saturday Evening Post” (przyp. tłum.).

a także największy i najbardziej złożony, był już na ukończeniu.

Wstałem więc i wyciągnąłem dłoń.

- Dziękuję za wszystko.

- Proszę bardzo. A gdybyś mimo wszystko zmienił zdanie i chciał dostać coś mocniejszego na ból...

IV

Zwodzony most łączący wyspę z resztą archipelagu był podniesiony, bo musiała pod nim przepłynąć zabawka jakiegoś bogatego faceta, który chciał popływać sobie po zatoce. Jack, siedzący za kierownicą mojego malibu, podziwiał wdzięki dziewczyny w zielonym bikini, opalającej się na dziobie. W samochodzie grało radio: The Bone. Po reklamie jakiegoś salonu motocyklowego (ta stacja reklamowała głównie takie salony, a oprócz nich - różne agencje zajmujące się usługami hipotecznymi) poleciał kawałek The Who: „Magic Bus”. Poczulem mrowienie w kikutach. A potem swędzenie, które powoli spłynęło coraz niżej, ospale, lecz głębokie. Bardzo głębokie. Podkreśliłem radio o jedną kreseczkę głośniej i wyciągnąłem z kieszeni ukradziony długopis. Nie był niebieski i nie był czarny, ale właśnie czerwony. Przez chwilę przyglądałem mu się z podziwem w promieniach wiszącego nisko słońca, a potem otworzyłem schowek i zacząłem w nim grzebać.

- Pomóc ci coś znaleźć, szefie? - zapytał Jack.

- Nie trzeba. Oglądaj sobie tę laleczkę. Dam radę.

Wpadł mi w ręce kupon promocyjny na darmowego hamburgera sieci Checkers („A jeść trzeba!”, głosiło wypisane na nim hasło reklamowe). Odwróciłem go w palcach. Drugą stronę miał zupełnie czystą. Rysowałem szybko i bez zastanawiania się. Zanim piosenka dobiegła końca, szkic był gotowy. Na samym dole wypisałem krótkie, pięcioliterowe słowo. Obrazek przypominał bazgroły z poprzedniego życia, którymi zapełniałem marginesy podczas rozmów telefonicznych (najczęściej były to negocjacje z nygusami). Litery układały się w słowo PERSE, nazwę mojego tajemniczego statku. Z tym że tego chyba nie należało czytać po angielsku, bo wtedy brzmiałoby dokładnie tak samo jak chłopięce imię Percy. Aby zachować w wymowie końcówkę „e”, mogłbym dodać nad nim kreseczkę akcentową, ale wtedy zaczęłoby to brzmieć jak łacińskie *per se* - a chyba też nie o to chodziło.

- Co narysowałeś? - Jack zapuścił żurawia, po czym sam sobie odpowiedział: - Mały czerwony koszyk piknikowy. Ładny. A co to znaczy „pers”?

- To się czyta „perse”.

- Wierzę ci na słowo. - Szlaban po naszej stronie mostu się podniósł i Jack ruszył, przejeżdżając na Dumę.

Spojrzałem na kosz piknikowy widniejący na moim rysunku - wiklinowy, zamykany na dwa wieczka - i zacząłem się zastanawiać, dlaczego wygląda tak znajomo. A potem uświadomiłem sobie, że to wcale nie chodzi to, jak on wygląda, tylko co mi przypomina. A przypominał mi zdanie, które usłyszałem nie tak dawno: „Znajdź kosz piknikowy niani...”. Jakiejś tam niani. Tak powiedziała Elizabeth tego wieczoru, gdy przywiozłem Wiremana ze szpitala. Nagle dotarło do mnie, że wtedy po raz ostatni widziałem ją *compos mentis*. „Szukaj go na strychu”, mówiła dalej. „Ma czerwony kolor”. A potem: „Znajdziesz go bez trudu”. I na koniec: „Wszystkie są w środku”. Ale kiedy zapytałem, o co właściwie chodzi, nie potrafiła mi już odpowiedzieć. Zagubiła się z powrotem.

„Szukaj go na strychu. Ma czerwony kolor”.

- Oczywiście - powiedziałem. - Wszystko ma taki kolor.

- Co mówiłeś?

- Nic. - Spojrzałem na ukradziony długopis. - Tak sobie głośno myślę.

V

„Dziewczynka i statek nr 8”, czyli obraz kończący serię (co do tego miałem prawie całkowitą pewność), tak naprawdę był już gotowy, ale stanąłem jeszcze przed sztalugami, aby mu się przyjrzeć w świetle rzucającym coraz dłuższe cienie. Nie miałem na sobie koszuli, a w The Bone na cały regulator leciało „Copperhead Road” Steve'a Earle'a. Pracowałem nad tym obrazem zdecydowanie dłużej od innych - powoli docierało też do mnie, że stanowi on podsumowanie ich wszystkich - a końcowy efekt był niepokojący. Na tyle niepokojący, że za każdym razem, kończąc malowanie, zakrywałem go płachtą. Teraz, przyglądając mu się chłodnym (taką miałem nadzieję) okiem, uznałem, że określenie „niepokojący” niezbyt do niego pasuje: ten widoczek był po prostu kurewsko przerażający. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że ma się przed sobą mózg uchwycony z profilu.

Przyszło mi do głowy, że być może nigdy nie uda mi się ukończyć go ostatecznie. W każdym razie z całą pewnością było tam jeszcze miejsce na czerwony piknikowy kosz. Mógłby sobie zawisnąć nad bukszprytem statku, statku o nazwie „Perse”. A co, do diabła, w sumie czemu nie? Od detali i tak już było tam aż gęsto. Jeden więcej nie zawadzi.

I już wyciągałem w stronę płótna pędzel tak czerwony, jakby był unurzany we krwi, gdy nagle zadzwonił telefon. O mały włos bym nie odebrał. W transie malowania na pewno

nie zawracałbym sobie nim głowy - ale nie byłem w transie. Kosz miał stanowić tylko ozdobnik, szczegół, a tych i tak już tam nie brakowało. Odłożyłem pędzel i podniosłem słuchawkę. Dzwonił Wireman, mocno rozemocjonowany.

- Miała przebłysk świadomości, Edgar! Teraz, po południu! Może to nic takiego, staram się nie nastawiać, ale wcześniej już było tak samo: najpierw jeden przebłysk, potem drugi, potem trzeci, aż wreszcie zaczynają się zlewać w jedną, ciągłą całość i starsza pani znów jest sobą. Przynajmniej na trochę.

- Potrafi powiedzieć, kim jest? Gdzie się znajduje?

- W tej chwili nie, ale jakieś pół godziny temu - zaczęło się około wpół do szóstej - wiedziała. I mnie też poznawała. A teraz słuchaj, *muchacho*: sama zapaliła sobie papierosa!

- Przekażę to lekarzowi krajowemu - zapewniłem go, ale to, co powiedział, dało mi do myślenia. Wpół do szóstej. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy czekaliśmy z Jackiem, aż opuszczą zwodzony most. Kiedy ja nagle poczułem, że muszę coś narysować.

- Prosiła o coś jeszcze oprócz papierosa?

- Chciała jeść, ale jeszcze przedtem kazała się zabrać do Porcelanowej Wioski. Chciała zobaczyć swoje figurki, Edgar! Wiesz, jak długo się nimi w ogóle nie interesowała?

Prawdę mówiąc, wiedziałem. I dobrze było usłyszeć, jak Wireman cieszy się z poprawy u Elizabeth.

- Ale kiedy już ją tam dowiozłem, znów zaćmiło jej się w głowie. Zaczęła się rozglądać dookoła i pytać „Gdzie jest Percy?”. Chciała, żebym znalazł jakiegoś Percy'ego i włożył go do puszki po ciastkach.

Spojrzałem na swój obraz. Na swój statek. Bo teraz był mój, tak jest. Mój „Perse”. Oblizalem wargi, które nagle zrobiły się suche i szorstkie. Takie same jak wtedy, gdy ocknałem się w szpitalu, po wypadku. Kiedy przez jakiś czas nie mogłem sobie przypomnieć, kim jestem. Wiecie, co w tym jest najbardziej dziwaczne? To, że pamiętam czas, kiedy nie pamiętałem nic. To coś takiego jak lustro odbijające się w lustrze.

- Wiesz, jak wygląda ten Percy? - zapytałem.

- Pojęcia nie mam. Kiedy mam wrzucić pudełko do sadzawki, to za każdym razem każe mi zamknąć w nim figurkę jakiejś dziewczyny. Zazwyczaj tę pasterkę z odlupaną twarzą.

- Mówiła coś jeszcze?

- Chciała jeść, mówiłem ci. Zjadła trochę pomidorowej. I brzoskwinie. Ale to już było po tym przebłysku. Kiedy przestała patrzeć na swoje figurki i z powrotem zmaćmiło jej się w głowie.

Może ten przebłysk skończył się tak nagle, ponieważ nie znalazła Percy'ego? Albo może statku o nazwie „Perse”? Niewykluczone... Ale jeśli nawet miała w swojej kolekcji porcelanowy statek, to ja nigdy go nie widziałem. Przyszło mi do głowy - zresztą nie po raz pierwszy - że „perse” to dziwne słowo. Nie można było mu zaufać, bo bez przerwy się zmieniało.

- W którymś momencie powiedziała mi, że stołowa przecieka - powiedział Wireman.

- A przecieka?

Zapadła chwila ciszy, aż wreszcie zapytał, bez wielkiego humoru w głosie:

- Czy ktoś tutaj się bawi kosztem Wiremana, *mi amigo*?

- Nie, pytam z czystej ciekawości. Co powiedziała? Dokładnie?

- Tylko tyle. „Stołowa przecieka”. Ale jeśli nawet chodziło jej o stół z figurkami, to na nim nie ma żadnej wody i nic tam nie może przeciekać.

- Uspokój się. Nie popadaj w czarny nastrój.

- Staram się, ale muszę przyznać, że i ty jakby straciłeś nieco humor, Edster.

- Nie mów na mnie Edster, to brzmi jak nazwa jakiegoś starego modelu forda. Więc przyniosłeś jej tę zupę, a ona co? Znów odpłynęła?

- Mniej więcej tak to wyglądało. Aha, i jeszcze rozbiła dwie figurki na podłodze. Konia i dziewczynę w stroju rodeo.

Westchnął.

- Czy powiedziała „stołowa przecieka”, zanim przyniosłeś jej jedzenie, czy może potem?

- Przedtem, potem - co za różnica?

- Nie wiem - przyznałem. - No to jak: przedtem czy potem?

- Chyba przedtem. Tak, na pewno. Potem już wszystko przestało ją interesować, łącznie z utopieniem puszki w sadzawce po raz nie wiem który. Przyniosłem zupę w jej ulubionym kubku, a ona odepchnęła go, i to z taką siłą, że ochlapała sobie rękę, biedula. Ale chyba nawet tego nie poczuła. Edgar, dlaczego zadajesz tyle pytań? Co wiesz? - Wireman krążył z komórką przy uchu. Widziałem niemalże, jak chodzi w kółko.

- Nic nie wiem. Błądzą w ciemności i na oślep macam drogę przed sobą.

- Tak mówisz? A którą ręką macasz?

Zawahałem się przez chwilę nad odpowiedzią na to ostatnie pytanie, ale zbyt wiele razem przeszliśmy, żeby się okłamywać, nawet jeśli prawda przypominała jakieś kompletne wariactwo.

- Prawą - powiedziałem w końcu szczerze.

- W porządku - sapnął. - W porządku, Edgar. Chciałbym tylko wiedzieć, co się dzieje, to wszystko. Bo coś się dzieje, bez dwóch zdań.

- Być może - podkreśliłem. - Być może coś naprawdę się dzieje. Co z Elizabeth?

- Śpi. A ja ci przeszkadzam. Na pewno pracujesz.

- Nie - odparłem, odrzucając pędzel. - Obraz chyba ma już dość i ja też raczej na jakiś czas mam dość. Dziś przed nocnym seansem mam w planach już tylko spacer i zbieranie muszli.

- Wierzę w twoje szlachetne intencje, ale chyba nie dasz rady. Nie taki pracoholik jak ty.

- Sądzę, że jesteś w błędzie.

- Niech będzie, że jestem w błędzie. Nie pierwszy raz. Wpadniesz jutro do nas? Jeśli znów będzie miała jakiś przebłysk, chcę, żebyś to zobaczył.

- Przyjdę na pewno. Może nawet popykamy trochę w tenisa.

- Jasne.

- Wireman, muszę cię jeszcze o coś zapytać. Czy Elizabeth kiedyś malowała?

Roześmiał się głośno.

- A kto to wie? Zapytałem ją raz o to i odpowiedziała mi, że nie umie nawet porządnie narysować człowieka z pięciu kresek i kółka i że jej pasja do sztuki jest w gruncie rzeczy tym samym co zamiłowanie do futbolu albo koszykówki u sponsora drużyny uniwersyteckiej. Żartowała sobie nawet z tego i powiedziała, że...

- Jeśli nie możesz być sportowcem, to bądź kibicem.

- Otóż to. Skąd wiedziałeś?

- Stary greps - wyjaśniłem. - Do jutra.

Odłożyłem słuchawkę, ale nie ruszałem się z miejsca, patrząc, jak w świetle zapadającego wieczoru rozpala się zachód słońca nad zatoką. Nic mnie nie zmuszało, żeby malować ten zachód. A Wireman usłyszał od Elizabeth te same słowa co Gene Hadlock. Nie miałem też wątpliwości, że gdybym popytał wśród innych jej znajomych, powtórzyłyby się to jeszcze raz, dwa razy, albo dwanaście: „Powiedziała, że nie umie nawet porządnie narysować człowieka z pięciu kresek i kółka, a jeśli nie możesz być sportowcem, to bądź kibicem”. Skąd wzięła się u mnie ta pewność? Stąd, że uczciwa kobieta, nawet kiedy mówi prawdę, może czasem strzelić jakąś głupotą - ale kto umie dobrze kłamać, zawsze powtarza to samo.

Nie zapytałem Wiremana o czerwony kosz, ale uspokoiłem się, wmawiając sobie, że nie trzeba; skoro był na strychu w *El Palacio*, to jeśli zajrzę tam następnego dnia albo nawet dzień później - znajdę go na pewno. Mam czas, powtarzałem w duchu. Oczywiście. Każdy

tak myśli, nieprawdaż? Nie umiemy wyobrazić sobie, że czas dobiega końca, a Bóg karze nas właśnie za to, czego nie potrafimy sobie wyobrazić.

Niemalże ze wstrętem spojrziałem na „Dziewczynkę i statek nr 8” i zasłoniłem sztalugi płachtą. Nigdy już nie domalowałem czerwonego kosza nad bukszprytem; nigdy nie dotknąłem pędzlem tego płótna, które było ostatnią, szaloną latoroślą pierwszego rysunku, który powstał pod moją ręką w Wielkim Koralu, a któremu nadałem nazwę „Dzień dobry”. Ósmy obraz z serii „Dziewczynka i statek” był, być może, najlepszym moim dziełem, lecz mimo to, dziwna rzecz, prawie o nim zapomniałem. Tkwił w lamusie pamięci aż do dnia otwarcia mojej wystawy. Bo potem, choćbym chciał, nie mogłem już o nim zapomnieć.

VI

Kosz piknikowy.

Ten cholerny czerwony kosz, a w nim - jej rysunki.

Nie daje mi to spokoju.

Nawet dziś, cztery lata później, wciąż zadaję sobie pytanie: „Co by było gdyby...?”, wciąż zastanawiam się, czy to, co się stało, potoczyłoby się inaczej, gdybym tylko cisnął wszystko w kąt i poszukał tego kosza. Bo w końcu ktoś go znalazł - a konkretnie: Jack Cantori - ale wtedy było już za późno.

Z drugiej strony możliwe jest też - pewności mieć nie mogę - że nie zmieniłoby to niczego, ponieważ za tymi wydarzeniami stała inna moc, pod której wpływem była zarówno wyspa o nazwie Duma Key, jak i człowiek nazwiskiem Edgar Freemantle. Czy mogę szczerze powiedzieć, że to właśnie owa moc przywiodła mnie w to miejsce? Nie. Czy mogę szczerze powiedzieć, że to nie ona? Nie, też nie. Jedno jest pewne: gdy marzec dobiegał już końca, a kwiecień był za pasem, ta moc wzrosła w siłę i niezauważalnie dla nikogo zaczęła sięgać coraz dalej.

Kosz.

Ten cholerny kosz Elizabeth.

Miał czerwoną barwę.

VII

Wszystko wskazywało na to, że nadzieja jednak zawiedzie Wiremana, a Elizabeth nie odzyska świadomości. Wciąż siedziała po staremu, bezwładnie, na swoim wózku, ożywiając się tylko od czasu do czasu i tylko na tyle, żeby chrapliwym głosem postarzałej papugi

zawołać o papierosa. Wireman zatrudniał do pomocy przy niej Annmarie Whistler z prywatnej agencji pielęgniarskiej w Bay Area; przyjeżdżała do *El Palacio* cztery razy w tygodniu. Dodatkowa para rąk ulżyła Wiremanowi w pracy, ale nie mogła przynieść mu pociechy; chodził z ciężkim sercem.

Wszystko to dostrzegałem jakby kątem oka, ponieważ wraz z początkiem kwietnia, skwarne, upalne kwietnia, moje życie raptownie nabrało przyspieszenia, jakby rozpalone żarem lejącym się z nieba.

Po ukazaniu się wywiadu, który przeprowadziła ze mną Mary Ire, stałem się miejscową znakomitością. Czemu nie? Artysta to dobra rzecz, zwłaszcza w Sarasocie i okolicach. Jeszcze lepszy jest „artysta, który kiedyś budował banki, a potem wypowiedział służbę mamonie”, natomiast „jednoręki artysta o wyjątkowym talencie” - to już złoty medal i tytuł Zajebistego Gościa Numer Jeden. Dario i Jimmy umówili mnie na serię wywiadów, w tym jeden dla Kanału 6. Kiedy wyszedłem ze studia ich filii w Sarasocie, głowa pękała mi z bólu tak, że ledwie widziałem na oczy, a w dłoni trzymałem naklejkę na zderzak z napisem KANAŁ 6, OBSERWATOR POGODY, SŁONECZNE WYBRZEŻE. Nalepiłem ją potem na jeden z kozłów zagradzających drogę do Domu Złych Psów. Nie pytajcie dlaczego.

Wziąłem także na siebie organizację podróży i przyjęcia gości zaproszonych na otwarcie mojej wystawy; Wireman miał za dużo pracy przy Elizabeth, która, niedopilnowana, odżywiałaby się chyba wyłącznie papierosowym dymem. Co dwa - trzy dni dzwoniłem do Pam, aby skonsultować listę gości z Minnesoty oraz szczegóły połączeń lotniczych dla znajomych z innych części kraju. Ilse dzwoniła do mnie dwukrotnie. Sprawiała wrażenie wesołej i pogodnej; wydawało mi się, że specjalnie stara się tak wypaść, ale mogłem się mylić. Wszelkie próby zasięgnięcia języka w kwestii jej życia uczuciowego były grzecznie, ale stanowczo torpedowane. Raz zadzwoniła też Melinda, żeby zapytać, proszę sobie wyobrazić, jaki noszę numer kapelusza. I nie chciała odpowiedzieć, kiedy pytałem, po co jej to. Piętnaście minut po tym, jak się pożegnaliśmy, dotarło do mnie: moja córka i jej francuski *ami* chcieli kupić mi beret. Zdjął mnie dziki śmiech.

Do Sarasoty przyjechał rezydent Associated Press mieszkający w Tampie. Najchętniej odwiedziłby mnie na Dumie, ale nie uśmiechało mi się, żeby jakiś dziennikarz szwendał się po Wielkim Korale i słuchał głosu muszli, które zacząłem już uważać za własne. Umówiliśmy się na wywiad w galerii Scoto, a podczas naszej rozmowy fotograf pstryknął zdjęcia trzem moim obrazom: „Na muszlach rosną róże”, „Zachód słońca z szupinem” i „Droga przez wyspę Duma Key”. Zjawiłem się ubrany w koszulkę z logo Casey Key Fish House, restauracji w Sarasocie, a mój portret - w czapce z daszkiem odwróconej tył na przód i

z kikutem prawej ręki wyglądającym z krótkiego rękawa - obiegł cały kraj. I wtedy telefon zaczął się urywać. Zadzwoił Angel Slobotnik; gadaliśmy przez dwadzieścia minut. W pewnym momencie zwierzył mi się, że zawsze mnie o „to” podejrzewał.

- O co? - zapytałem.

- Że lubisz bajerować, szefie - wyjaśnił i zaczęliśmy się śmiać jak para wariatów.

Potem zadzwoniła Kathi Green; dowiedziałem się o jej nowym facecie (taki sobie) i nowym programie samopomocy (genialny). W zamian opowiedziałem jej o tym, jak Kamen przyjechał na mój odczyt i uratował mi dupę. Żegnała się ze mną cała we łzach i oznajmiła mi, że jeszcze nie miała takiego twardego i hardego pacjenta z gatunku tych, którzy powrócili prawie z grobu. A potem zapowiedziała, że jak tylko mnie zobaczy, to każe mi się położyć tam, gdzie będę stał, i zrobić pięćdziesiąt brzuszków. Cała ona. Na domiar wszystkiego dostałem jeszcze prezent od Todda Jamiesona, lekarza, któremu zawdzięczam to, że przez ostatnie dziesięć albo i dwadzieścia lat życia nie będę warzywem: butelkę szampana z kartką następującej treści: „Nie mogę się doczekać, aż zobaczę Twoje obrazy”.

Gdyby Wireman założył się z kimś, że przed otwarciem wystawy znudzę się całym tym zamieszaniem i z powrotem złapię za pędzel - to przegrałby z kretesem. Poza przygotowaniami do wielkiego dnia moje czynności ograniczały się do spacerów, czytania i spania. Wspomniałem mu o tym podczas jednej z tych rzadkich okazji, kiedy mieliśmy czas usiąść razem w cieniu pasiastego parasola u końca drewnianego podestu i napić się zielonej herbaty. Do otwarcia mojej wystawy pozostał już wtedy niecały tydzień.

- Cieszę się - odpowiedział krótko. - Potrzebny ci był odpoczynek.

- A co z tobą, Wireman? Jak się czujesz?

- Nie najlepiej, ale przetrwam, jak śpiewała Gloria Gaynor w siedemdziesiątym ósmym. Głównie po prostu mi smutno. - Westchnął. - Stracę ją na zawsze. Oszukiwałem się, że może jeszcze się jej poprawi, ale... ona odchodzi. Dzięki Bogu, to nie będzie tak jak z Julią i Esmeraldą, ale i tak mi ciężko.

- Współczuję ci. - Położyłem dłoń na jego dłoni. - I Elizabeth też.

- Dzięki. - Odwrócił wzrok ku falom zatoki. - Czasem wydaje mi się, że ona w ogóle nie umrze.

- Nie?

- Nie. Wyobrażam to sobie tak: zamiast śmierci przyjdą po nią Mors i Cieśla z wiersza Lewisa Carrolla. I zabiorą ją ze sobą, tak jak te naiwne ostrygi. Pójdą przed siebie brzegiem morza. Pamiętasz, co powiedział Mors?

Potrząsnąłem przecząco głową.

- „Czy to nie wstyd robić im takie kawały, gdy zwabiliśmy je aż tu i tyle się nabiegały?”. - Przetarł twarz ramieniem. - Spójrz tylko na mnie, *muchacho*, płacę jak ten Mors. Głupi jestem, nie?

- Nie - odpowiedziałem.

- Trudno mi znieść myśl, że tym razem ona odeszła na dobre, że to, co było w niej najlepsze, powędrowało sobie brzegiem morza z Morsem i Cieślą, że nie zostało już nic oprócz starej kupy łoju, która nie wiecie czemu nie zapomniała jeszcze, jak się oddycha.

Milczałem. Wireman znów otarł oczy przedramieniem, nabrał głęboko powietrza w płuca. W jego oddechu słychać było łzy. Wreszcie przerwał ciszę:

- Dowiedziałem się co nieco na temat Johna Eastlake'a, tego, jak doszło do śmierci jego córek i co działo się potem. Pamiętasz, że prosiłeś mnie o to?

Pamiętać pamiętałem, ale wydało mi się nagle, że to było bardzo dawno, a te informacje są kompletnie nieistotne. Dziś uważam, że coś chciało - powtarzam: coś chciało - żebym tak pomyślał.

- Posurfowałem trochę po Internecie i znalazłem sporo artykułów z tutejszej prasy, a do tego dwa pamiętniki, które można sobie ściągnąć. Jeden z nich ma tytuł... ale powaga, nie robię cię w konia, *muchacho*... Więc tytuł ma taki: „Wodne wyprawy i воск pszczeli. Dziewczęce dzieciństwo w Nokomis”. Autorka nazywa się Stephanie Weider Gravel - Miller.

- Widzę, że to jakaś naprawdę daleka wyprawa do krainy wspomnień.

- Żebyś wiedział. Ona tam pisze o „szczęśliwych czarnych”, którzy „zbierają pomarańcze, wyśpiewując swymi melodyjnymi głosami proste pieśni chwające Pana”.

- Jay - Z wtedy chyba jeszcze nie rapował.

- Jeszcze nie. Ale trafiło mi się coś lepszego. Rozmawiałem z Chrisem Shanningtonem, który mieszka na Casey Key. Musiałeś go kiedyś widzieć. Barwna postać, stary dziadek, który wszędzie chodzi w dużym słomianym kapeluszu i z sękatą laską z drewna wrzośca, prawie tak długą jak on sam. Jego ojciec, Ellis Shannington, był ogrodnikiem u Johna Eastlake'a. Jak powiedział mi Chris, to właśnie jego ojciec odwiózł Marię i Hannah, dwie starsze siostry Elizabeth, do szkoły, do Braden School, zaledwie dziesięć dni po tym, jak zaginęły bliźniaczki. Podobno mówił o tym tak: „Te bidule były normalnie załamane, tak im było żal tych małych, co się utopiły”.

Udawany południowy akcent wyszedł mu nad podziw dobrze; nie wiem dlaczego, ale znów pomyślałem sobie w tym momencie o Morsie i Cieśli, prowadzących brzegiem morza stado młodych ostryg. Jedyne fragmenty tego wiersza, jaki potrafiłem sobie dokładnie przypomnieć, to były słowa Cieśli, który mówił ostrygom, że miła to była przechadzka, ale one,

oczywiście, nie mogły mu odpowiedzieć, bo wszystkie jedli zniecka.

- Chcesz posłuchać, czego się dowiedziałem? - zapytał Wireman.

- Masz teraz tyle czasu, żeby mi o tym opowiedzieć?

- Jasne. Annmarie pracuje do siódmej, chociaż prawdę mówiąc, to pracujemy razem, na zmianę. Chodźmy do domu. Założyłem sobie teczkę, w której zbieram te informacje. Niewiele w niej jest, ale przynajmniej jedno zdjęcie zasługuje na uwagę. Chris Shannington znalazł je w pudełku ze starymi rzeczami ojca. Poszliśmy do biblioteki publicznej i zrobiłem kopię. - Urwał na chwilę. - To jest fotografia Czapłego Siedliska.

- Wyglądało wtedy inaczej niż teraz?

Wireman zatrzymał się, bo szliśmy już w stronę domu.

- Nie, *amigo*, źle mnie zrozumiałeś. Pierwszego Czapłego Siedliska. *El Palacio* to druga rezydencja o tej nazwie, zbudowana prawie dwadzieścia pięć lat po śmierci bliźniaczek. Dziesięć czy dwadzieścia milionów Johna Eastlake'a zdążyło w tym czasie obrócić się w sto pięćdziesiąt albo coś około tego. Jest takie hasło: „Wojna to dobry interes - zainwestuj swojego syna”.

- Sześćdziesiąty dziewiąty rok, protest przeciwko wojnie w Wietnamie - odparowałem. - Często cytowane razem z innym hasłem: „Mężczyzna jest tak potrzebny kobiecie jak rybie rower”.

- Świetnie, *amigo*. - Wireman machnął dłonią w kierunku rozszalałej gęstwiny, która zaczynała się już niedaleko, kawałek dalej na południe. - Pierwsze Czaple Siedlisko znajdowało się właśnie tam, w czasach gdy świat był jeszcze młody i wciąż przeżywał swoją *belle epoque*.

Przypomniały mi się słowa Mary Ire, nie podchmielonej i nie wstawionej, ale dosłownie i całkowicie pijanej: „Tylko ten jeden dom, na niewielkim wzniesieniu, jak wierna kopia rezydencji, które się zwiedza w Charleston albo Mobile”.

- Co się z nim stało? - zapytałem.

- O ile wiem, to nic, nadszarpnął go jedynie żąb czasu - odparł Wireman. - Kiedy John Eastlake przestał szukać ciał swoich córek, przestał też interesować się Dumą. Odprawił większość służby, spakował manatki, zabrał trzy córki, które mu zostały, wsiadł do swojego rolls - royce'a - naprawdę miał rollsa - i odjechał. Chris Shannington powiedział o tym tak: „To jest historia, którą powinien opisać F. Scott Fitzgerald”. Podobno - to też wiem od niego - Eastlake nigdy nie odnalazł spokoju, dopóki Elizabeth nie przywiozła go z powrotem tutaj.

- Jak sądzisz: czy ten Shannington naprawdę wie to wszystko z dobrych źródeł, czy może to bajeczka, którą opowiada wszystkim?

- *Quién sabe**? - odpowiedział Wireman, zatrzymując się ponownie i znów machając dłonią w stronę południowego krańca wyspy. - Wtedy to nie było wcale zarośnięte. Tamten pierwszy dom mogłeś zobaczyć ze stałego lądu i *vice versa*. I o ile mi wiadomo, *amigo*, to on wciąż tam stoi. Albo to, co z niego zostało. Stoi i gnije. - Zatrzymał się przed kuchennymi drzwiami i spojrzał na mnie bez cienia uśmiechu. - To by był obraz, co? Statek - widmo na suchym lądzie.

- Możliwe - odparłem. - Możliwe, że tak.

VIII

Poszedłem za Wiremanem do biblioteki, gdzie w kącie stała zbroja, a na ścianach wisiały egzemplarze broni o niewątpliwej wartości muzealnej. Obok stolika z telefonem był tam też większy stół, na którym leżała teczka opisana JOHN EASTLAKE/CZAPLE SIEDLISKO NR 1. Wireman otworzył ją i wyciągnął zdjęcie, na którym widniał dom bardzo podobny do tego, w którym się znajdowaliśmy. Bardzo - to znaczy, powiedzmy, jak cioteczny brat. Obie rezydencje odróżniała natomiast od siebie jedna podstawowa cecha, a wszelkie podobieństwa - zbliżony metraż i orientacja, identyczny dach z jasnopomarańczowej hiszpańskiej dachówki - tylko ją podkreślały.

Dzisiejszy *El Palacio* krył się przed światem za wysokim murem, w którym tkwiła tylko jedna brama, nie było żadnego bocznego wjazdu dla dostawców, nic. Za tym murem znajdował się przepiękny wewnętrzny dziedziniec, który mało kto oglądał poza Wiremanem, Annmarie, dziewczyną zajmującą się basenem i ogrodnikiem, przyjeżdżającym dwa razy w tygodniu. Ten dom był jak ciało idealnie zbudowanej kobiety schowane pod luźnym, bezkształtnym ubraniem.

Pierwsze Czaple Siedlisko wyglądało zupełnie inaczej. Sześć kolumn od frontu oraz przestronna, zapraszająca weranda upodabniały dom do rezydencji z Porcelanowego Miasteczka. Prowadził do niego szeroki podjazd, śmiałym łukiem przecinający trawnik o powierzchni, na oko, prawie hektara. Jednak w przeciwieństwie do tego, co mówiła mi Mary Ire, podjazd ten nie był wysypany żwirem, ale odłamkami różowych muszli. Pierwszy dom Eastlake'ów był gościnny, otwarty przed całym światem. Jego następca - *El Palacio* - ostrzegał każdego: lepiej trzymaj się z daleka. Ilse zauważyła to od razu, ja zresztą też, ale tamtego dnia patrzyliśmy przez bramę, od strony drogi. Czas, który upłynął, zmienił mój punkt widzenia, co nie powinno dziwić, biorąc pod uwagę, że przyzwyczailem się oglądać *El*

* *Quién sabe?* (hiszp.) - kto wie? (przyp. tłum.).

Palacio z plaży, zachodzić do niego od strony, gdzie nie było fortyfikacji.

Pierwsze Czaple Siedlisko było również wyższe: dwie kondygnacje od frontu i trzy na tyłach. W takim razie, jeśli ten dom naprawdę stał na wzniesieniu, jak twierdziła Mary Ire, z najwyższego piętra musiał się roztaczać widok wprost zapierający dech w piersiach, pełna, trzystusześćdziesięciostopniowa panorama zatoki, wybrzeża Florydy, Casey Key i Don Pedro Island. Całkiem nieźle. Zauważyłem jednak, że trawnik wyglądał na dziwnie zaniedbany, a w szeregu ozdobnych palm płasających niczym tancerki hula - hula po obu stronach domu ziały wyrwy. Przyjrzałem się zdjęciu bliżej i dostrzegłem, że niektóre z okien na wyższych piętrach były zabite deskami. Również dach sprawiał wrażenie, że czegoś mu brakuje. Dopiero po chwili zrozumiałem, o co chodzi. Na jego wschodnim krańcu wznosił się komin. Po zachodniej stronie powinien znajdować się drugi, taki sam, ale go nie było.

- Czy to zdjęcie zrobiono po tym, jak się stąd wyprowadzili? - zapytałem.

Wireman potrząsnął przecząco głową.

- Shannington powiedział, że pochodzi z marca dwudziestego siódmego roku. To było, jeszcze zanim utonęły bliźniaczki, a cała rodzina żyła sobie w szczęściu i pomyślności. Te zniszczenia, które tutaj widać, to nie jest dewastacja ani ruina, tylko krajobraz po burzy. Alice ich tak urządziła.

- Alice, czyli...?

- Sezon huraganów oficjalnie zaczyna się w tych stronach piętnastego czerwca i trwa przez około pięć miesięcy. Poza sezonem każda burza, która niesie ulewne deszcze i gwałtowne wiatry - tak przynajmniej było w dawniejszych czasach - dostaje imię Alice. To taki żart.

- Zmyślasz.

- Nie. Esther, potężny huragan z roku dwudziestego szóstego, ominął Dumę z daleka, ale Alice w dwudziestym siódmym to już było czołowe zderzenie. Potem wietrzysko poszalało trochę na stałym lądzie i zgubiło się gdzieś na The Glades*. To ten huragan wyrządził zniszczenia, które widać na zdjęciu. W sumie nic poważnego: kilka połamanych palm, parę wybitych szyb, poszarpany trawnik. Ale to zdarzenie miało też inne skutki, odczuwalne aż po dziś dzień. Bo wydaje mi się zupełnie oczywiste, że utonięcie Tessie i Laury nastąpiło w konsekwencji huraganu Alice, a śmierć bliźniaczek stała się z kolei przyczyną wszystkich innych wydarzeń. Łącznie z tym, że ty i ja znajdujemy się teraz nigdzie indziej, tylko właśnie tutaj.

* The Glades - potoczna nazwa zachodniej części hrabstwa Palm Beach na Florydzie (przyp. tłum.).

- Wyjaśnij.

- Pamiętasz to?

Wireman wyjął z teczki kolejne zdjęcie. Pamiętałem je bardzo dobrze. Jego powiększenie znajdowało się na pierwszym piętrze tego domu, tuż obok głównej klatki schodowej. Ta odbitka była mniejsza i ostrzejsza: portret rodziny Eastlake, z Johnem Eastlakiem w czarnej pływackiej koszulce, wyglądającym wypisz - wymaluj niczym drugorzędny hollywoodzki aktor występujący wyłącznie w kryminałach i filmach przygodowych o odkrywcach wędrujących przez dżunglę. Jedną dłoń zaciskał na pulchnym pośladku Elizabeth siedzącej u niego na ręku, w drugiej trzymał swój miotacz harpunów i maskę do nurkowania z przymocowaną rurką.

- Szacując tylko sam wiek Elizabeth, można założyć, że to zdjęcie zrobiono około roku tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego - powiedział Wireman. - Dziewczynka wygląda na dwa, prawie trzy latka. Natomiast Adriana - stuknął palcem w podobiznę najstarszej - może mieć równie dobrze siedemnaście, jak i dwa razy tyle, nie uważasz?

Miał rację. Dojrzała siedemnastka, widać to było nawet w tym kostiumie, zasłaniającym niemal wszystko, co było do zobaczenia.

- I już widać, jak się dąsa, jaka jest niezadowolona, jak marzy, żeby być gdzieś indziej - zwrócił mi uwagę Wireman. - Ciekawe, czy Eastlake był bardzo zaskoczony, kiedy uciekła z kierownikiem z jego własnej fabryki. A może wcale się nie zdziwił, może w głębi serca ucieszył się, że jej nie ma?

W tym momencie znów zebrało mu się na przedrzeźnianie południowego akcentu Chrisa Shanningtona:

- Dała nogę do Atlanty, z chłopakiem pod krawatem i w daszku na głowie.

Szybko jednak przestał; zrozumiałem, że śmierć tych dwóch dziewczynek, chociaż minęło już osiemdziesiąt lat, to dla niego drażliwy temat.

- Wróciła na wyspę i przywiozła ze sobą mężusia, ale wtedy trwało już wielkie poszukiwanie zwłok - dokończył.

- A to kto? - Wskazałem zachmurzoną, ciemnoskórą nianię.

- Melda, Tilda albo, nie daj Boże, Hekuba, jak powiedział Chris Shannington. Jego ojciec pamiętał, jak miała na imię, ale jemu wyleciało z głowy.

- Ładne bransoletki.

Wireman przyjrzał się srebrnym kółkom bez większego zainteresowania.

- Jak uważasz.

- Może John Eastlake z nią sypiał? - zastanowiłem się.. - A te bransoletki to prezencik

od niego?

- *Quién sabe?* Bogaty wdowiec, młoda kobieta... Takie rzeczy się zdarzały.

Stuknąłem palcem w kosz piknikowy, który Murzynka trzymała obiema rękami. Jej naprężone mięśnie wskazywały na to, że był ciężki. Kilka kanapek nie powinno ważyć aż tyle... ale może był tam cały kurczak? Albo kilka butelek piwa dla pana - nagroda dla wytrwałego nurka na koniec pracowitego dnia.

- Jaki kolor, twoim zdaniem, ma ten kosz? Ciemnobrązowy? A może czerwony?

Wireman spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

- Trudno powiedzieć. To zdjęcie jest czarno - białe.

- Wyjaśnij mi, dlaczego uważasz, że śmierć bliźniaczek była konsekwencją huraganu.

Po raz kolejny otworzył teczkę i wyjął z niej artykuł z jakiejś starej gazety, ilustrowany zdjęciem.

- To jest strona z „Gondoliera”, dziennika wydawanego w Venice. Dwudziesty ósmy marca tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku. Znalazłem ten tekst w necie, a Jack Cantori zadzwonił do redakcji i załatwił, żeby przefaksowali mi kopię oryginalnego numeru. Swoją drogą: świetny chłopak ten Jack.

- Bez dwóch zdań - przytaknąłem, oglądając uważnie zdjęcie. - Te dziewczyny to kto? Nie, zaczekaj, nie mów mi. Po lewej stronie Johna stoi Maria, a ta po prawej to Hannah.

- Piątka z plusem. Hannah to ta z piersiami. W dwudziestym siódmym miała czternaście lat.

Przez kilka chwil w ciszy przyglądaliśmy się telefaksowemu wydrukowi. Lepszy byłby e - mail. Całą kartkę przecinały ciemne pionowe linie, które były denerwujące, bo rozmazywały litery. Nagłówek jednakże dawał się odczytać bez trudu: **NUREK AMATOR ZNALAZŁ SKARB ODSŁONIĘTY PRZEZ BURZĘ**. Wyraźne było też zdjęcie. John Eastlake miał nieco wyższe czoło niż poprzednio i jakby chciał to sobie wynagrodzić, zapuścił dłuższe wąsy, które można już było nazwać sumiastymi. Miał na sobie ten sam jednocześnie czarny kostium kąpielowy, ale teraz była on już mocno wypchany. Wydawało mi się nawet, że jest pęknięta pod pachą, ale ostrość obrazu nie pozwalała tego stwierdzić. Wyglądało na to, że pomiędzy rokiem dwudziestym piątym a dwudziestym siódmym tata Eastlake dorobił się ładnej słoninki - gdyby drugorzędny hollywoodzki aktor nie zrezygnował z deserów i nie zaczął częściej bywać w klubie gimnastycznym, to przestałby dostawać propozycje ról w filmach. Stojące obok niego dziewczęta nie miały takich migdałowych oczu ani nie były tak seksowne jak ich starsza siostra. Patrząc na Adrianę, myślało się o upalnych popołudniach i stryszkach pełnych wonnego siana; patrząc

na tę parkę, przychodziło do głowy pytanie: „Odrobiliście już lekcje?”. Były jednak ładne, ładne urodą, która miała dopiero rozkwitnąć, a całe zdjęcie aż lśniło od ich radosnego podniecenia. Zresztą w pełni zrozumiałego.

Bo przed nimi, na piasku, leżał skarb.

- Nie widzę dokładnie, co tam jest, a podpis ledwie się daje odczytać - poskarżyłem się.

- W szufladzie leży szkło powiększające, ale zaoszczędzę ci bólu głowy. - Wireman wziął długopis i zaczął wskazywać nim kolejne przedmioty. - To jest fiołka na lekarstwa, a to kula muszkietowa. Tak przynajmniej twierdził Eastlake w wywiadzie. To, na czym Maria trzyma rękę, to chyba but... albo resztki buta. Obok niego...

- Okulary - wpadłem mu w słowo. - A tutaj... naszyjnik z drobnych ogniw?

- To podobno miała być bransoletka. Nie wiem. Ja tu widzę tylko jakieś metalowe kółko zarośnięte brudem. Ale to, co starsza dziewczyna pokazuje do aparatu, to już na pewno kolczyk.

Przebiegiem wzrokiem tekst artykułu. Oprócz tego, co było widać na zdjęciu, Eastlake znalazł jeszcze różne sztuczki i zastawę stołową... cztery filiżanki, które, jak twierdził, były „w stylu włoskim”... trójnog... skrzynkę ze sprzętem (cokolwiek by to miało znaczyć)... oraz mnóstwo gwoździ. A także połowę porcelanowej figurki. Nie było jej na zdjęciu, przynajmniej ja niczego takiego nie dostrzegłem. Artykuł podawał, że John Eastlake już od piętnastu lat nurkował wśród starych, zniszczonych erozją raf na zachód od wyspy Duma Key: czasami łowił ryby, często zaś robił to po prostu dla przyjemności. Opowiadał reporterowi, że wyciągał z morza najprzeróżniejsze rupiecie, ale nigdy nie natrafił na nic ciekawego. Według Eastlake'a huragan Alice (faktycznie, tak go nazwał) wzbudził fale rzadko spotykanych rozmiarów, które poruszyły piach zalegający na dnie morza i odsłoniły miejsce, które określił mianem „wysypiska”.

- Nie mówi nic o wraku - zauważyłem.

- Bo go nie było - wyjaśnił Wireman. - Nie znaleziono żadnego statku: ani sam Eastlake, ani dziesiątki ludzi, którzy pomagali mu potem szukać zwłok jego córek. Na dnie były tylko najprzeróżniejsze szczątki. Gdyby leżał tam jakiś wrak, na pewno by na niego natrafili - u południowo - zachodniego brzegu Dumy morze ma nie więcej niż siedem i pół metra głębokości, aż do Kitt Reef, czy też raczej tego, co z niej pozostało. Nawet teraz woda jest całkiem czysta. Wtedy była jak turkusowo barwione szkło.

- Domyślasz się może, jak to wszystko się tam znalazło?

- Jasne. Najlepsza teoria jest taka: jakieś dwieście albo trzysta lat wcześniej sztorm

pędził tędy jakiś tonący statek, z którego fale wymywały różne rupiecie przez dziurę w uszkodzonym kadłubie. A może to sama załoga wyrzucała, co się dało, za burtę, żeby się pozbyć balastu. Kiedy burza ucichła, dokonali napraw i popłynęli swoją drogą. To by wyjaśniało, dlaczego te rzeczy, które znalazł Eastlake, były rozrzucone na pewnym dystansie i dlaczego nie było tam niczego cennego. Skarby musiały zostać na statku.

- A rafa? Czy w osiemnastym albo może nawet siedemnastym wieku statek gnany przez sztorm nie mógł się na niej rozbić?

Wireman wzruszył ramionami.

- Chris Shannington mówi, że nikt nie wie, jak sto pięćdziesiąt lat temu wyglądała topografia Kitt Reef.

Przyjrzałem się rozłożonym znaleziskom. Uśmiechniętym średnim córkom poszukiwacza skarbów. I ich rozpromienionemu tatusiowi, na którego przestał pasować stary kostium kąpielowy. Nagle doszedłem do przekonania, że John Eastlake nie sypiał z ciemnoskórą nianią. Nie. Nawet kochanka powiedziała by mu, że w takim starym łachu nie wolno pozować do zdjęcia, które mają wydrukować w gazecie. Znalazłaby jakieś taktowne uzasadnienie, ale prawdziwy powód, niezatarty przez te wszystkie lata, miałem tuż przed oczami. I chociaż moje prawe oko nie spisywało się najlepiej, widziałem wyraźnie: John Eastlake był za gruby. Tylko że tego nie dostrzegał; ani on, ani jego córki. Miłość jest ślepa.

Za gruby. Przeczuwałem, że jest w tym jakiś trop. Nadwaga - to było A, które domagało się odpowiedzi, swojego B.

- Dziwne, że w ogóle podał do publicznej wiadomości informację o tym znalezisku - powiedziałem. - Dzisiaj, gdyby ktoś znalazł coś takiego i wygadał się reporterowi Kanału 6, pół Florydy zwałiłoby się tutaj na motorówkach, z wykrywaczami metalu w garści, żeby szukać dublonów i hiszpańskich dolarów.

- No tak, ale to była inna Floryda - odparł Wireman, a ja przypomniałem sobie, że dokładnie tego samego określenia użyła Mary Ire. - John Eastlake był bogaczem, a Duma Key - jego prywatną posiadłością. Poza tym nie znalazł żadnych dublonów ani srebrnych hiszpańskich dolarów, tylko kupę średnio interesujących rupieci odsłoniętych przez pomyłony sztorm. Nurkował w tym miejscu od dawna, nie mając pojęcia, że na dnie zatoki leży tyle starych szpargałów. To było zresztą bardzo blisko brzegu - Shannington mówił, że podczas odpływu dało się tam praktycznie dojść. Eastlake, kiedy schodził pod wodę, na pewno miał oko na wszelkie błyskotki. Był bogaty, ale coś mi się nie wydaje, żeby majątek skutecznie chronił przed bakcylem poszukiwacza skarbów.

- Nie - przyznałem mu rację. - Na pewno nie.

- Niania chodziła razem z nim nad morze, kiedy wyprawiał się na te swoje podwodne eskapady. Córki też - to znaczy, te trzy, które jeszcze mieszkały z nim na wyspie, czyli bliźniaczki i Elizabeth. Maria i Hannah uczyły się w Bradenton, w szkole z internatem, a najstarsza siostrzyczka uciekła do Atlanty. Całkiem możliwe, że Eastlake urządzał sobie ze swoimi pociechami pikniki na plaży.

- Jak często? - zapytałem, rozumiejąc już, do czego zmierza Wireman.

- Często. Dopóki było co wybierać z podwodnego wysypiska, to może nawet codziennie. Wydeptali ścieżkę prowadzącą w to miejsce, na tak zwaną Cienistą Plażę. Kilkaset metrów od domu.

- Ścieżkę w sam raz dla dwóch zmyślnych dziewczynek.

- Które pewnego dnia faktycznie wybrały się nią nad morze. Na własną zgubę. - Wireman zgarnął zdjęcia z powrotem do teczki. - I to już cała historia, *muchacho*. Przypuszczam, że może się wydawać minimalnie bardziej interesująca od śmierci dziewczynki, która połknęła szklaną kulkę, ale i tak tragedia to tragedia. A wszystkie tragedie w gruncie rzeczy są głupie. Ja, na przykład, sto razy bardziej wolę „Sen nocy letniej” niż „Hamleta”. Zbudować domek z kart, a potem przewrócić go jednym dmuchnięciem potrafi każdy idiota, byle miał zdrowe płuca i panował nad rękami. Ale do rozśmieszania ludzi potrzeba prawdziwego geniuszu.

Zamyślił się na chwilę.

- Wyglądało to prawdopodobnie tak, że pewnego kwietniowego dnia tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku Tessie i Laura, zamiast leżakować, tak jak miały przykazane, wstały sobie i wymknęły się ścieżką na Cienistą Plażę, żeby na własną rękę poszukać skarbów. Zapewne chciały tylko wejść do wody po kolana, bo wiedziały, że dalej nie wolno. Jeden z artykułów podaje ten fakt za Johnem Eastlakiem, to samo mówiła też Adriana.

- Ta najstarsza córka, która uciekła, wyszła za męża, a potem wróciła na wyspę.

- Zgadza się. Przyjechała ze świeżo poślubionym mężem na dzień albo dwa przed tym, jak oficjalnie zaprzestano poszukiwań zwłok. Tak twierdzi Shannington. W każdym razie, wracając do bliźniaczek: mogło być tak, że jedna zauważyła coś błyszczącego kilka kroków dalej i zaczęła brnąć w tamtą stronę, a potem...

- A potem siostra rzuciła się jej na ratunek. - Tak, umiałem wyobrazić sobie podobną scenę. Z tym że zamiast sióstr Eastlake widziałem małą Lin i jeszcze mniejszą Ilse. Chociaż nie bliźniaczki, miały w dzieciństwie takie trzy albo cztery złote siostrzane lata, kiedy były niemalże nierozłączne.

Wireman skinął głową.

- A wtedy prąd porwał je obie. To musiało tak wyglądać, *amigo*. Dlatego właśnie nie odnaleziono ich ciał. Hej - ho, poszły w morze, prosto w *caldo largo*.

Już chciałem go zapytać, jaki prąd, ale przypomniałem sobie płótno Winslowa Homera, w konwencji romantycznej, ale pełne niezaprzeczalnej mocy. Miało tytuł „Prąd powrotny”.

Nagle zabrzączał domofon wiszący na ścianie. Drgnęliśmy obaj. Wireman odwrócił się, zawadzając dłonią o teczkę; fotokopie i fakсы prysnęły we wszystkich kierunkach.

- Panie Wireman! - Z głośniczka rozległ się głos Annmarie Whistler. - Panie Wireman, jest pan tam?

- Jestem - odpowiedział.

- Panie Wireman? - Annmarie była czymś mocno poruszona. Po chwili dodała ciszej, jakby do siebie: - Jezu, gdzie on jest?

- Guzik naciśnij, do diabła - mruknął Wireman i podskoczył do aparatu. Wcisnął klawisz. - Jestem. Co się stało? Co z nią? Upadła?

- Nie! - wykrzyknęła Annmarie. - Obudziła się! I jest przytomna! Prosi pana tutaj! Może pan przyjść?

- Już - odpowiedział Wireman, odwracając się do mnie z szerokim uśmiechem na twarzy. - Słyszałeś, Edgar? Chodź! - Urwał. - Na co tak patrzysz?

- Na to. - Pokazałem mu dwa portrety Johna Eastlake'a w kostiumie kąpielowym: pierwszy, ze wszystkimi córkami, i drugi, o dwa lata późniejszy, na którym miał przy sobie tylko Marię i Hannah.

- Olej to teraz. Nie słyszałeś? Panna Eastlake wróciła! - Ruszył do drzwi.

Rzuciłem jego teczkę na biurko i też wyszedłem. Wiedziałem już, o co mi chodzi. Skojarzyłem - ale tylko dzięki temu, że już od kilku miesięcy doskonaliłem się w sztuce widzenia. Nie szcędząc sił.

- Wireman! - zawołałem, zatrzymując go już w połowie schodów, po drugiej stronie łącznika. Kuśtykałem za nim najszybciej, jak mogłem, ale zostawiał mnie coraz bardziej w tyle. Począł, chociaż widziałem, że zżera go niecierpliwość. - Kto mu powiedział o tym wysypisku na dnie morza?

- Komu? Eastlake'owi? Pewnie sam je znalazł. Był nurkiem. Takie miał hobby.

- Nie sądzę. Kostiumu nie wkładał już wtedy od dawna. Możliwe, że na początku lat dwudziestych nurkował sobie dla przyjemności, ale około roku dwudziestego piątego jego główną rozrywką było żarcie. Kto więc mu powiedział?

W drzwiach na końcu korytarza stanęła Annmarie. Jej twarz rozjaśniał głupawy, pełen niedowierzania uśmiech, który w jednej chwili odjął jej dwadzieścia lat z czterdziestu.

- Chodźcie - powiedziała. - To jest coś niesamowitego.

- Co z nią? Jest...

- Jest, jest - rozległ się zachrypnięty, ale niemożliwy do pomylenia z żadnym innym głos Elizabeth. - Chodź tu, Wireman, i pokaż mi się, dopóki cię jeszcze poznaję.

IX

Ja i Annmarie zostaliśmy w korytarzu, nie wiedząc, co właściwie mamy robić. Wodziłem wzrokiem dookoła, oglądając sobie różne bibeloty i duży, stary obraz Frederica Remingtona wiszący w głębi, a przedstawiający Indian na koniach. Potem zawołał mnie Wireman. Głos miał zniecierpliwiony i zachrypnięty od łez.

W pokoju panował półmrok. Wszystkie rolety były opuszczone. Przez otwór wentylacyjny gdzieś pod sufitem dobiegał szept klimatyzatora. Stało tu łóżko, a obok niego - stół, na którym paliła się lampa z zielonym szklanym kloszem. Łóżko było typu szpitalnego, uniesione tak wysoko, że Elizabeth niemalże na nim siedziała, obłana miękkim światłem lampy, wydobywającym z cienia jej luźno rozpuszczone włosy i różowy szlafrok. Wireman usiadł na pościeli, biorąc ją za rękę. Nad łóżkiem wisiał jedyny obraz w tym pokoju, udana reprodukcja „Jedenastej rano” Edwarda Hoppera - tego archetypu samotności zastygłej przy oknie, cierpliwie wyglądającej jakiegokolwiek odmiany.

W ciszy słychać było tykanie niewidocznego zegara.

Elizabeth spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Na twarzy miała wypisane trzy rzeczy. Uświadamiałem je sobie kolejno, a każda była jak cios, jeden mocniejszy od drugiego. Jakby ktoś rzucał mi w głowę kamieniami, coraz większymi i cięższymi. Najpierw zauważyłem, jak bardzo schudła. Następnie - że wygląda na straszliwie wyczerpaną. Wreszcie - że ma już niewiele życia przed sobą.

- Edward - powiedziała.

- Nie... - zacząłem, ale uniosła rękę (śnieżnobiała skóra na jej ramieniu, tuż pod łokciem, obwisła niczym sflaczała torba) i natychmiast umilkłem. Bo dostrzegłem jeszcze czwartą rzecz i ten cios był silniejszy niż wszystkie poprzednie - już nie kamień, ale głaz. Patrzyłem na samego siebie, rozumiejąc, że to właśnie musieli widzieć ci, którzy spotykali się ze mną tuż po wypadku, gdy próbowałem odbudować z gruzów swoją pamięć, ten skarb, rozwłoczony gdzie popadnie, brzydki i nagi w tym bezładzie, bardziej przypominający kupę

śmieci. Przypomniałem sobie, jak szukałem w głowie imienia swojej lalki. I wiedziałem dobrze, co teraz się wydarzy.

- Dam sobie radę - powiedziała Elizabeth.

- Wiem - odrzekłem.

- To ty przywiozłeś Wiremana ze szpitala.

- Tak.

- Bardzo się bałam, że go zatrzymają i zostanę sama.

Na to nie odpowiedziałem.

- Nazywasz się Edmund? - spytała nieśmiało.

- Panno Eastlake, proszę się nie męczyć - wtrącił łagodnym głosem Wireman. - To jest...

- Cicho - przerwałem mu. - Da sobie radę.

- Malujesz - ciągnęła dalej Elizabeth.

- Tak.

- Namalowałaś już statek?

Nagle coś dziwnego stało się z moim żołądkiem. Zamiast podjechać mi do gardła - zniknął, pozostawiając dziurę pomiędzy sercem a resztą trzewi. Kolana ugięły się pode mną. Stalowe wkręty w kościach biodra rozgrzały się do czerwoności, kark zesztyniał z zimna. A po ręce, której już nie było, rozlał się żrący ogień.

- Tak. - Skinąłem głową. - Wciąż go maluję. Raz za razem.

- Ty jesteś Edgar - oznajmiła.

- Tak, Elizabeth. Edgar. Brawo, kochanie.

Uśmiechnęła się szeroko. Domyśliłem się, że już od dawna nikt jej tak nie nazywał.

- Mój umysł jest jak obrus z wielką, wypaloną dziurą. - Odwróciła się do Wiremana. - *Muy divertido, si?*

- Musi pani odpocząć, panno Eastlake - odpowiedział. - Dobrze by było, gdyby udało się pani zasnąć *como una piedra**

- Jak kamień. - Uśmiechnęła się słabo. - Tak. I obudzę się jeszcze na tym świecie. Trochę czasu, mimo wszystko, mi zostało. - Uniosła dłonie Wiremana do ust i ucałowała je. - Kocham cię, Wireman.

- Ja też panią kocham, panno Eastlake - odpowiedział. Bardzo dobrze odpowiedział.

- Edgarze... Dobrze mówię?

* (*Dormir*) *como una piedra* (hiszp.) - (spać) jak kamień; *muy divertido* (hiszp.) - bardzo zabawne (przyp. tłum.).

- A jak ci się wydaje, Elizabeth?

- Tak, oczywiście, że tak. Będziesz miał wystawę? Bo chyba na to się zanosilo, zanim ja... - Opuściła powieki, jakby chcąc pokazać, że przespała ten czas.

- Będę miał wystawę. W galerii Scoto. Ale teraz naprawdę musisz odpocząć.

- Kiedy otwarcie? Niedługo?

- Za niecały tydzień.

- A twoje obrazy... Te ze statkiem... Są na stałym lądzie? W galerii? Spojrzałem na Wiremana. Odwzajemnił spojrzenie i wzruszył ramionami.

- Tak - potwierdziłem.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się. - Więc teraz odpocznę. Wszystko inne może poczekać... aż do twojej wystawy. To twoja chwila w blasku słońca. Sprzedasz je? Te obrazy ze statkiem?

Znów wymieniliśmy z Wiremanem spojrzenia. W jego oczach wyczytałem bardzo wyraźny przekaz: Nie denerwuj jej.

- Wszystkie zostały specjalnie oznaczone, Elizabeth. To znaczy...

- Wiem, co to znaczy, Edgarze. Nie urwałam się z choinki. - Błysnęły jej oczy, zapadnięte wśród głębokich żłębów zmarszczek, uwięzione w twarzy, która odchodziła już w stronę śmierci. - Sprzedaj je. Nieważne, ile ich jest, musisz je sprzedać. Nieważne, że będzie ci trudno. Rozdziel je, roześlij na cztery strony świata. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem.

- Zrobisz to?

Nie wiedziałem jeszcze, czy spełnię to żądanie czy nie, ale zacząłem dostrzegać u niej objawy narastającego wzburzenia - znałem je dobrze z własnego doświadczenia, i to niezbyt odległego w czasie.

- Zrobię - obiecałem. W tym momencie obiecałbym jej wszystko, na przykład, że włożę siedmiomilowe buty i przeskoczę księżyc, gdyby tylko to ją mogło uspokoić.

- Nawet jeśli nie będą bezpieczne - dodała zamyślonym i niemalże przerażonym głosem.

- Już dość. - Poklepałem ją po dłoni. - Nie myśl o tym więcej.

- Dobrze. Porozmawiamy po twojej wystawie. We trójkę. Będę już wtedy silniejsza... przytomniejsza... a ty, Edgarze, będziesz uważać, co się do ciebie mówi. Masz córki? Przypominam sobie jakby, że chyba tak.

- Mam. Przylecą, ale zatrzymają się na stałym lądzie. W Ritzu. Wszystko już załatwione.

Uśmiechnęła się, ale kąciki jej ust opadły niemal natychmiast, jakby nagle zaczęły się roztapiać.

- Opuść to łóżko, Wireman - poprosiła. - Przesiedziałam w tym bagnie... czterdzieści dni i nocy... Przynajmniej tak to czuję... I jestem zmęczona.

Wireman opuścił wezglowie szpitalnego łóżka. Do pokoju weszła Annmarie, niosąc na tacy szklankę z jakimś płynem. Ale nie było żadnych szans, że Elizabeth wypije choćby jeden łyk, bo już odpłynęła. Ponad jej uszpioną głową najbardziej samotna dziewczyna na całym świecie siedziała przycupnięta na brzeżku swojego fotela, wyglądając bez końca przez okno, z twarzą zasłoniętą falą opadających włosów, całkiem naga, jeśli nie liczyć pary butów.

X

Do mnie tej nocy sen się nie spieszył. Usnąłem dopiero po północy. Wody pływowe opadły, umilkł szept muszli pod podłogą domu. Ale w głowie wciąż słyszałem inne szepty.

Inna Floryda, szeptała Mary Ire. To była inna Floryda.

Sprzedaj je. Nieważne, ile ich jest, musisz je sprzedać. To, oczywiście, był głos Elizabeth.

Dorosłej Elizabeth. Bo usłyszałem też inne wcielenie jej głosu, a ponieważ musiałem go sobie wymyślić, był on głosem małej Ilse.

Tam jest skarb, tatusiu. Znajdziesz go, wystarczy, że założysz swoją maskę z rurką. Pokażę ci, gdzie go szukać.

Narysowałam to.

XI

Wstałem o świcie. Wydawało mi się, że bez problemów usnę z powrotem, ale musiałem najpierw wziąć kilka tabletek oxycontin, odłożonych na czarną godzinę. I zadzwonić w jedno miejsce. Zażyłem lek, po czym wystukałem numer Scoto. Włączyła się automatyczna sekretarka - w galerii sztuki o tej porze (i jeszcze wiele godzin później) nie mogło być żywej duszy. Ludzie o zamiłowaniach artystycznych nie lubią zrywać się o poranku.

Weisnąłem dwie jedyńki, wewnętrzny numer Daria Nannuzziego, i po usłyszeniu sygnału powiedziałem tak:

- Dario, mówi Edgar. Zmieniłem zdanie co do serii „Dziewczynka i statek”. Jednak chcę ją sprzedać. W porządku? Mam tylko jedno zastrzeżenie: jeśli to możliwe, niech każdy z

nich trafi do innej osoby. Dzięki.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do łóżka. Przez piętnaście minut leżałem z otwartymi oczami, przyglądając się wirującym leniwie łopatom wentylatora i nasłuchując szeptów muszli dobiegających spod podłogi. Lek zadziałał, ale sen nie przychodził. I wiedziałem dlaczego.

Wiedziałem bardzo dobrze.

Wstałem po raz drugi i wziąłem telefon, wciskając klawisz ponownego wybrania ostatniego numeru. Odsłuchałem nagrane powitanie, po czym jeszcze raz wybrałem wewnętrzny Daria. Jego głos poprosił z taśmy o pozostawienie wiadomości po sygnale.

- Oprócz „Numeru 8” - oznajmiłem. - Przyklejcie na nim znaczek „nie na sprzedaż”.

Dlaczego sobie tego zażyczyłem?

Nie dlatego, że ten obraz był genialny, chociaż faktycznie za taki go uważałem. I nawet nie dlatego, że gdy na niego patrzyłem, było to - w moim odczuciu - jak wsłuchiwanie się w opowieść płynącą wprost z najmroczniejszej głębi mojego serca. Po prostu nabrałem przekonania, że coś pozwoliło mi przeżyć, abym mógł namalować ten obraz, więc sprzedanie go byłoby równoznaczne z wyparciem się własnego życia i całego bólu, który musiałem znieść, aby je odzyskać.

No właśnie. O to chodziło.

- Ten obraz jest mój, Dario - wyjaśniłem.

A potem wróciłem do łóżka, aby tym razem usnąć bez przeszkód.

JAK POWSTAJE OBRAZ (VII)

Pamiętaj, że maksyma „zobaczyć znaczy uwierzyć” to zwykle odwracanie kota ogonem. Sztuka stanowi konkretny wytwór wiary w połączeniu z indywidualnymi oczekiwaniami, prowadzi do uświadomienia sobie istnienia świata, który bez tego nie byłby niczym więcej jak tylko woalem bezcelowej świadomości rozpiętym nad zatoką głębokiej tajemnicy. A poza tym - jeśli ty nie wierzysz w to, co widzisz, to kto uwierzy twoim dziełom?

Po znalezieniu skarbu wszystkie kłopoty zaczęły się od niemożności uwierzenia. Elizabeth, chociaż wściekle utalentowana, wciąż była tylko dzieckiem - a dzieciom wiara jest po prostu dana. To część ich standardowego wyposażenia. Z drugiej strony dziecko, nawet utalentowane (albo może: zwłaszcza utalentowane), nie jest jeszcze w pełni władz umysłowych. Jego rozum wciąż śpi, a kiedy rozum śpi, rodzą się potwory.

Oto pewien obraz, obraz, którego nigdy nie namalowałem:

*Widać na nim dwie bliźniaczki, podobne do siebie jak dwie krople wody. Są ubrane w identyczne fartuszki, z tym że jeden jest czerwony, z literką **L** naprzodzie, a drugi niebieski, z literką **T**. Dziewczynki trzymają się za ręce i biegną ścieżką, która prowadzi prosto na Cienistą Plażę. Wszyscy ją tak nazywają, ponieważ przez większą część dnia kryje się w cieniu rzucanym przez Skalę Wiedźmy. Na okrągłych, pobladłych buziach znać ślady łez, które niedługo znikną, bo w tej chwili dziewczynki już za bardzo się boją, żeby płakać.*

Jeśli potraficie w to uwierzyć, zobaczycie wszystko, co było dalej.

Obok nich przelatuje powoli ogromna wrona. Frunie do góry nogami, skrzydła ma rozłożone szeroko. Odzywa się do bliźniaczek głosem ich tatusia.

Lo - Lo przewraca się i kaleczy sobie kolana na muszlach. Tessie ciągnie ją w górę, pomaga wstać. Biegną dalej. Nie boją się gadającej wrony, która lata do góry nogami, ani nieba, które przetapia się co jakiś czas w czerwień zachodu słońca, aby po chwili rozplynać się z powrotem w czysty błękit; boją się tego czegoś, co idzie za nimi.

Dużego chłopaka.

Chociaż ma te swoje kły, to i tak przypomina trochę tamte śmieszne żaby, które kiedyś rysowała Libbit, ale jest większy, o wiele większy - i prawdziwy na tyle, żeby rzucać cień. Tak

prawdziwy, że czuć, jak cuchnie, a kiedy sady wielkimi susami, trzęsie się ziemia. Odkąd tatuś znalazł skarb, dziewczynki widziały dużo strasznych rzeczy; Libbit mówi, że w nocy nie wolno wychodzić z pokoju ani nawet wyglądać przez okno, ale przecież teraz jest dzień, a to coś, co idzie za nimi, jest tak prawdziwe, że trzeba w to uwierzyć. I zbliża się coraz bardziej.

Następnym razem to Tessie upada, a Lo - Lo pomaga jej wstać, oglądając się w przerażeniu za siebie. Widzi stwora, który je ściga. Dookoła niego tańczą muchy, które on od czasu do czasu ściąga językiem z powietrza. W jednym wylupiastym, bezmyślnym oku Lo - Lo dostrzega odbitą Tessie. W drugim - siebie samą.

Zaspane, bez tchu, wypadają na plażę. Nie ma już dokąd uciekać - tylko do wody. Chociaż nie, może jednak jest się gdzie schronić; dziewczynki dostrzegają statek, ten sam, który od kilku tygodni pokazuje się tutaj coraz częściej. Libbit mówi, że ten statek jest czymś innym, niż się na pozór wydaje, ale dla bliźniaczek na tę chwilę staje się pływającym białym snem o bezpieczeństwie, a poza tym nie mają wyjścia. Duży chłopak depta im po piętach..

Wyskoczył z basenu, kiedy właśnie skończyły bawić się w Rampopo, swoim domku do zabawy. Odstawiały wesele Adie (dziś Lo - Lo była Adie). Czasami Libbit bazgrze coś na kartce z bloku i w ten sposób udaje jej się odpędzić te szkaradne stwory, ale Libbit teraz śpi - ma za sobą wiele niespokojnych nocy.

Duży chłopak daje susa ze ścieżki prosto na plażę. Łąduje, a piasek pryska dookoła. Wlepia w dziewczynki spojrzenie swoich wylupiastych oczu. Wydyma brzuch, obciągnięty delikatną białą skórą, wypchany obrzydliwymi, cuchnącymi jelitami. Jego grdyka pulsuje, cała chodzi:

Dziewczynki stoją, trzymając się kurczowo za ręce, w spienionej wodzie; na coś takiego tatuś mówi „mała fala”. Patrzą na siebie. A potem zwracają wzrok ku statkowi kołyszącemu się na kotwicy pod zwiniętymi żaglami, które lśnią na rejach. Jest nawet jakby nieco bliżej, może chce spieszyć im na ratunek.

Lo - Lo mówi: „Musimy”.

Tessie mówi: „Ale ja nie umiem pływać!”.

„Umiesz pieskiem!”.

Duży chłopak daje susa. Kiedy opada na ziemię, dziewczynki słyszą, jak chlupocze mu w bebeczach. Jakby w beczce z wodą przewalały się namoknięte śmieci. Błękit spływa z nieba, które zaczyna krwawić czerwienią, a potem powoli powraca do dawnego koloru. To był właśnie taki dzień. Czy nie wiedziały, że taki dzień nadchodzi? Nie widziały go w udręczonych oczach Libbit? Niania Melda wie; nawet tatuś wie, a przecież tatuś nie zawsze jest w domu. Dziś, na przykład, pojechał do Tamy. Dziewczynki patrzą na białe - zielonego potwora,

który jest tuż - tuż, i w tym momencie dociera do nich, że Tampa równie dobrze może być po drugiej stronie księżycy. Muszą radzić sobie same.

Tessie chwyta Lo - Lo za ramię. Palce ma zimne jak lód. A prąd powrotny, pyta siostrę.

Ale Lo - Lo potrząsa tylko głową. Prąd jest dobry, woła. Zanieś nas na ten statek.

Nie ma już czasu na rozmowy. Żabostwór szykuje się do kolejnego skoku, a dziewczynki rozumieją, że choć takich stworów nie ma, to ten, w niepojęty sposób, istnieje. I może je zabić. Już lepiej zaryzykować ucieczkę do wody. Odwracają się, nie wypuszczając swoich dłoni, i rzucają się w fale caldo, utkwivszy oczy w smukłej sylwetce białej jaskółki, która kołysze się na kotwicy już bardzo blisko. Z pewnością załoga je zauważy, wciągnie na pokład, a potem ktoś da znać na brzeg. „ Wpadły nam w sieci dwie małe syrenki”, powie. „ Wicie może, czyje one są?”.

Prąd powrotny rozrywa splecione dłonie dziewczynek. Jest bezlitosny. Lo - Lo tonie pierwsza, ponieważ walczy z całych sił. Tessie słyszy ją, jak krzyczy. Dwa razy. Pierwszy raz o pomoc. Za drugim razem, poddając się naporowi fał, wykrzykuje imię siostry.

Tymczasem kapryśny prąd powrotny unosi Tessie w stronę statku, jednocześnie nie pozwalając jej pogrążyć się pod wodą. Przez kilka czarodziejskich chwil dziewczynka czuje się tak, jakby płynęła na desce surfingowej, a jej słabiutkie wiosłowanie pieskiem miało moc równą silnikowi motorówki. A na chwilę przed tym, jak chłodniejszy prąd zaciśnie palce na jej kostkach, Tessie widzi, że statek zmienia się w...

To jest obraz, który narysowałem, i to nie raz, ale wiele razy, wciąż na nowo:

Kadłub statku zmienia kolor, ale jego białość nie znika, tylko zostaje wessana w głęb, jak krew uciekająca z policzków przerażonego człowieka. Liny strzępią się i zwisają pękami przetartych włókien. Lśniące okucia matowieją, tracą połysk. Szyby w oknach rufowej kabiny idą w drobny mak, sypiąc odłamkami szkła. Od dziobu aż po rufę pokład pokrywa się stosami rupieci, które nagle materializują się na wszystkich dekach - choć przecież były tam cały czas. Po prostu Tessie ich nie widziała. A teraz widzi.

Teraz wierzy.

Spod pokładu wychodzi jakaś istota. Podkrada się do barierki i spogląda w dół, na dziewczynkę w wodzie. Tessie widzi przygarbioną postać w czerwonej szacie z kapturem. Wokół rozmazanej twarzy trzepoczą wilgotne włosy, które wcale nie muszą być włosami. Żółte dłonie zaciskają się na popękanej, najeżonej drzazgami poręczy. A po chwili jedna z nich unosi się powoli.

I kiwa na dziewczynkę, która już niedługo stanie się jedną z tych, które ODESZŁY.

Istota mówi: „Chodź do mnie, dziecko”.

Tessie Eastlake tonie, myśląc: „To jest kobieta!”.

Pogrąża się pod wodą. Czy to możliwe, że czuje, jak wciąż jeszcze ciepłe dłonie siostry, która umarła przed chwilą, łapią ją za łydki i ciągną w dół?

Tak, oczywiście, że tak. Oczywiście, że je czuje.

Uwierzyć to znaczy także: poczuć.

Każdy artysta wam to powie.

I

Pewnego dnia, jeśli tylko los obdarzy was długim życiem, a wasza mózgowica zachowa jeszcze sprawność, przypomnicie sobie ostatnią dobrą rzecz, jaka was spotkała. To nie głos pesymisty, ale zwykła logika. Mam nadzieję, że mnie osobiście czeka jeszcze w życiu coś dobrego - gdybym uwierzył, że jest inaczej, nie miałbym po co żyć - ale wyglądam tego już dosyć długo. Ostatnie miłe wspomnienie sprzed tej przerwy rysuje się w mojej pamięci bardzo żywo. Było to cztery lata temu, z małym hakiem, w galerii Scoto, wieczorem piętnastego kwietnia, pomiędzy siódmą czterdzieści pięć a ósmą; cienie na Palm Avenue zaczynały właśnie barwić się delikatną zapowiedzią granatu. Znam godzinę tak dokładnie, ponieważ bez przerwy zerkalem na zegarek. Galeria była już pełna po brzegi - weszło tam tyle osób, na ile pozwalały przepisy bezpieczeństwa, a nawet trochę więcej - ale mojej rodziny wciąż jeszcze nie było. Widziałem się w ciągu dnia z Pam i z Illy, a Wireman zapewniał mnie, że samolot Melindy nie ma spóźnienia, tymczasem żadna z nich nie pokazała się jeszcze. Ani nie zadzwoniła.

Po lewej stronie miałem obszerną wnękę pełną ludzi zwabionych w równej mierze barem co ekspozycją ośmiu moich zachodów słońca z różnymi dodatkami. Grało tam również trio z miejscowego konserwatorium, ciągnąc na pogrzebową nutę melodię „My Funny Valentine”. Mary Ire, znalazłszy nieduży, aczkolwiek zaangażowany tłumek słuchaczy, rozwodziła się na tematy artystyczne (w dłoni miała kieliszek szampana, ale była jeszcze zupełnie trzeźwa). Po mojej prawej znajdowała się większa sala, gdzie stał bufet. Na jednej ze ścian wisiał tam obraz „Na muszlach rosną róże” oraz inny, któremu dałem tytuł „Ja widzę księżyc”, a na drugiej - trzy widoki drogi wiodącej przez Dumę. Zauważyłem, że kilka osób robi zdjęcia telefonami komórkowymi, mimo że zaraz za głównymi drzwiami wejściowymi stał trójnóg z tablicą informującą, że fotografowanie jest *verboten*.

Kiedy mijał mnie Jimmy Yoshida, wspomniałem mu o tym, a on skinął głową, bez

złości czy choćby lekkiej irytacji, ale raczej z pewnym zażenowaniem.

- Przyszło tu dziś mnóstwo ludzi. Niektórych nie kojarzyłem do tej pory ze środowiskiem artystycznym, a niektórych w ogóle nie znam - powiedział. - Pierwszy raz widzę taki tłum.

- Czy to źle?

- Mój Boże, skądże znowu! Ale po tylu latach walki o być albo nie być dziwnie się czuję, widząc takie pospolite ruszenie.

Centralna sala galerii Scoto była olbrzymia; tamtego wieczoru jej rozmiary stanowiły bardzo poważny atut. Bo chociaż w mniejszych salach serwowano gościom przekąski, napoje i muzykę, to właśnie centrum przyciągało ostatecznie zdecydowaną większość przybyłych. Na samym środku pomieszczenia, podtrzymywana prawie całkiem niewidocznymi żyłkami, wisiała tam cała seria „Dziewczynka i statek”. W głębi, na ścianie zamykającej perspektywę, znajdował się portret „Wireman spogląda na zachód”. To płótno oraz „Dziewczynka i statek nr 8” były to jedyne obrazy z całej wystawy, na których poleciłem nakleić znaczki „nie na sprzedaż”. Dlaczego? Ponieważ portret należał do Wiremana, a „Numeru 8” sprzedać po prostu bym nie mógł.

- Spać ci się nie chce, szefie? - zagadnął mnie Angel Slobotnik, stając po mojej lewej stronie. Żona trąciła go karcąco łokciem, co on, jak zawsze, zignorował.

- Nie - odpowiedziałem - jestem przytomny jak nigdy w życiu, tylko...

Nieznajomy facet w garniturze za jakieś dwa patyki wyciągnął do mnie rękę.

- Witam, panie Freemantle. Jestem Henry Vestick z Pierwszego Banku i Trustu w Sarasocie. Pracuję w dziale rachunków prywatnych. Te obrazy są wspaniałe. Jestem oszołomiony. Zachwycony.

- Dziękuję - odparłem, myśląc po cichu, że zapomniał dodać NIE WOLNO PANU TERAZ PRZESTAĆ. - Jest pan bardzo uprzejmy.

W jego palcach pojawiła się wizytówka. Wyglądało to jak sztuczka ulicznego iluzjonisty. Ściśle rzecz biorąc, wyglądałoby tak, gdyby uliczni artyści chodzili w garniturach od Armaniego.

- Gdybym mógł coś dla pana zrobić... Na odwrocie zapisałem swoje numery - do domu, na komórkę i do biura.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powtórzyłem, nie mając zielonego pojęcia, co jeszcze mógłbym powiedzieć. A tak w ogóle, to czego on się spodziewał, ten pan Vestick? Że zadzwonię do niego na numer domowy i podziękuję mu jeszcze raz? Że poproszę go o pożyczkę i dam mu obraz jako zabezpieczenie?

- Czy będę mógł później przedstawić panu swoją żonę? - zapytał. Miał przy tym dość szczególny wyraz oczu. Nie było to dokładnie to samo spojrzenie, które dostrzegłem u Wiremana, kiedy zrozumiał, że to ja zakneblowałem Candy'ego Browna ze skutkiem śmiertelnym, ale niewiele brakowało. Ten cały Vestick jakby się trochę mnie bał.

- Oczywiście - przytaknąłem, a on ulotnił się niepostrzeżenie.

- Budowaliśmy dla takich filie ich banków, a potem musieliśmy się wyklócać, żeby raczyli zapłacić za surowce, jak trzeba było dokupić - mruknął Angel. Miał na sobie zwykły, nie uszyty na miarę garnitur, który leżał na nim tak jak na Niewiarygodnym Hulku: niepewnie, jakby za chwilę miał się rozprysnąć we wszystkie strony.

- Angel, dość już tego! - zawołała Helen Slobotnik, znów wbijając mu łokieć pod żebro i jednocześnie sięgając po kieliszek z szampanem, który trzymał w palcach. Angel z łagodnym uśmiechem cofnął rękę.

- Szefie, powiedz jej, że to prawda!

- Faktycznie mogło tak być - przyznałem.

Nie tylko jeden bankier Vestick miał tego wieczoru ów szczególny wyraz oczu. A kobiety... niech mnie. Kiedy na nie spoglądałem, ich spojrzenia miękły w zamyśleniu i wydawało mi się, że każda z nich próbuje zgadnąć, jak to jest spoczywać w objęciach jednorękiego faceta. To było chyba głupie, tak myśleć, ale...

Nagle ktoś chwyci! mnie od tyłu, niemalże zwalając z nóg. Też miałem w dłoni kieliszek szampana i rozlałbym wszystko, gdyby Angel zręcznie go nie przejął. Odwróciłem się - za mną stała Kathi Green, uśmiechnięta od ucha do ucha. Zrezygnowała ze stylu gestapowskiej rehabilitantki - sadystki, przynajmniej na ten wieczór: miała na sobie połyskliwą zieloną sukienkę, krótką i pysznie opinającą każdy centymetr kwadratowy jej wysportowanego ciała. Stroju dopełniały buty na takim obcasie, że sięgała mi w nich prawie do brwi. Obok, przytłaczając ją swym ogromem, stał Kamen. Spoczęło na mnie życzliwe spojrzenie jego cyklopowych oczu, pływających za okularami w rogowej oprawie.

- Jezu, Kathi! - zawołałem. - A gdybyś mnie tak przewróciła?

- To kazałabym ci zrobić pięćdziesiąt brzuszków na podłodze - odparła, uśmiechając się tak szeroko, jak jeszcze nigdy u niej nie widziałem. Oczy miała pełne łez. - Tak jak mówiłam przez telefon. Ależ opalenizna! Spójrz tylko na siebie, przystojniaczkę. - I wtedy łzy się przelały, a Kathi wyciągnęła rękę i uściskała mnie.

Odwzajemniłem uścisk, a potem przywitałem się z Kamenem. Moja dłoń zniknęła pomiędzy jego palcami jak w paszczy wieloryba.

- Ten twój samolot był chyba projektowany z myślą o ludziach moich gabarytów -

powiedział, a kiedy tylko się odezwał, głowy odwróciły się w jego stronę. Kamen miał głos głęboki jak James Earl Jones; mógłby przeczytać gazetkę z supermarketu tak, że zabrzmiałaby jak Księga Izajasza. - To był maksymalnie przyjemny lot, Edgar.

- W gruncie rzeczy ten samolot nie należy do mnie, ale dziękuję - odparłem. - Czy mieliście już okazję...?

- Panie Freemantle? - przerwał mi czyjś głos.

Należał on, jak się okazało, do prześlicznej rudowłosej dziewczyny o szcudrze obsypanym piegami dekolcie, uwidaczniającym biust, którego rozmiary groziły rozsadzeniem leciutkiej różowej sukieneczki. Dziewczyna miała wielkie zielone oczy i mniej więcej tyle lat co moja córka Melinda. Zanim zdążyłem otworzyć usta, wyciągnęła rękę i delikatnie chwyciła mnie za palce.

- Chciałam tylko dotknąć dłoni, która namalowała te obrazy - oznajmiła. - Te cudowne, wykręczone obrazy. Boże, pan jest niesamowity. - Uniosła moją dłoń i ucałowała ją, a potem przycisnęła do piersi. Poczułem wyraźnie jej sutek, twarde jak kamień tkwiący pod cienkim szyfonem. I już jej nie było, zniknęła w tłumie.

- Często cię to spotyka?. - zapytał Kamen, a w tym samym momencie Kathi mruknęła: „Więc to tak wygląda życie rozwodnika, Edgar?”. Oboje spojrzeli po sobie i nagle wybuchnęli śmiechem.

Nietrudno było zrozumieć, że śmieją się z tego momentu elvisowskiego splendoru, ale ja poczułem się po prostu dziwnie. Sale galerii Scoto nagle zaczęły mi trochę przypominać podmorskie pieczary i pomyślałem sobie, że tak właśnie mógłbym je namalować: groty na dnie morza, obwieszane obrazami, a wśród obrazów - ławice ryboludzi, widzowie oglądający wystawę do wtóru beatlesowskiej „Octopus's Garden” szemranej przez trio „Neptun”.

To było zdecydowanie zbyt dziwne uczucie. Nagle zatęskniłem za Wiremanem i Jackiem (którzy też się jeszcze nie zjawili), ale nade wszystko zapragnąłem zobaczyć swoich. A najbardziej - Illy. Gdybym miał ich obok siebie, to być może odzyskałbym świadomość, że to wszystko dzieje się naprawdę. Spojrzałem w stronę drzwi.

- Rozglądasz się za Pam i dziewczynami? - zapytał Kamen. - Zaraz tu będą. Melinda miała jakieś problemy z kreacją i w ostatniej chwili poszła się przebrać.

Melinda, pomyślałem. Oczywiście, że to przez 'Mel...

I wtedy je zobaczyłem. Przeciskały się przez tłum miłośników sztuki, wyróżniając się brakiem opalenizny, który głośno krzyczał o tym, że przyjechały z północy. Za nimi trzema postępowali Tom Riley i William Bozeman III - nieśmiertelny Bozia - wystrojeni w ciemne garnitury. Tuż obok wejścia przystanęli, aby obejrzeć trzy wczesne szkice, które Dario

wystawił w formie tryptyku. Ilse dostrzegła mnie pierwsza. Zawołała „Tata!!” i ruszyła na mnie, przecinając gęsty tłum jak łódź torpedowa. O krok dalej sunęła jej siostra, ciągnąc za sobą wysokiego młodzieńca. Pam pomachała do mnie i także poszła w ich ślady.

Zostawiłem Kamena, Kathi i Slobotników (Angel wciąż trzymał w dłoni mój kieliszek). Po drodze ktoś mnie zagadnął: „Przepraszam, panie Freemantle, czy mogę zapytać...”, ale puściłem to mimo uszu. W tamtej chwili widziałem już tylko rozpromienioną twarz Ilse i jej śmiejące się oczy.

Spotkaliśmy się pod tablicą z napisem **GALERIA SCOTO PRZEDSTAWIA: EDGAR FREEMANTLE, „CO WIDAĆ Z WYSPY DUMA KEY”. OBRAZY I SZKICE.** Zauważyłem, że moja córka ma na sobie jasnoniebieską sukienkę, którą widzę pierwszy raz w życiu, a która, w połączeniu z upiętymi włosami i odsłoniętą, długą, dosłownie łabędzią szyją, nadaje jej olśniewająco dorosły wygląd. Zalało mnie potężne, prawie zniewalające uczucie miłości do tej dziewczyny, a jednocześnie wdzięczności, że ona darzy mnie tym samym - wyczytałem to w jej oczach. I już tuliłem ją do siebie.

Chwilę później miałem u boku Melinę, a za nią - jej młodego towarzysza (za nią, ale też ponad nią, bo chłopak był długi jak śmigło od helikoptera). Brakowało mi ręki, żeby przygarnąć naraz obie moje córki, ale Lin, na szczęście, nie brakowało ani jednej; uściskała mnie, całując w policzek i wykrzykując: „*Bon soir*, tato, gratulacje!”.

A potem stanęła przede mną Pam, kobieta, którą nie tak znowu dawno nazwałem tchórzliwą, mięczakowatą ciapą. Miała na sobie granatowy kostium i bluzkę z błękitnego jedwabiu, a na szyi sznur pereł. Skromne kolczyki. Skromne, ale ładne pantofle na płaskiej podeszwie. Kwintesencja Minnesoty, przynajmniej na moje oko. Widać było, że umiera ze strachu w tym obcym miejscu i w takim tłumie ludzi, ale mimo to na jej ustach błędził uśmiech pełen nadziei. Pam w ciągu tych wszystkich lat, które spędziliśmy razem, dała się poznać z niejednej strony, ale pesymizm nigdy nie leżał w jej naturze.

- Edgar - szepnęła - jesteśmy jeszcze przyjaciółmi?

- Niech ci się nie wydaje, że nie - odparłem, całując ją. Pocałunek był lekki, ale za to uściskałem ją tak mocno, jak tylko może to zrobić jednoręki facet. Ilse obejmowała mnie z jednej strony, Melinda z drugiej - tak silnie, że aż bolały mnie żebra, ale nie zwracałem uwagi na ten ból. Nagle, jakby z wielkiej odległości, do moich uszu dotarła wrzawa spontanicznych oklasków, wypełniająca salę.

- Dobrze wyglądasz - szepnęła mi Pam do ucha. - A nawet lepiej niż dobrze. Wspaniale. Chybabym cię nie poznała na ulicy.

Odstąpiłem o krok, przyglądając się jej.

- Ty też nieźle się prezentujesz.

Roześmiała się, a na jej twarz wystąpił rumieniec. Stała przede mną nieznajoma, która kiedyś dzieliła ze mną każdą noc.

- Makijaż kryje wiele, wiele skaz.

- Tato, to jest Ric Doussault - powiedziała Melinda.

- *Bon soir, monsieur* Freemantle. Moje gratulacje. - Ric wręczył mi białe pudełko, które trzymał w rękach. - To od Linnie i ode mnie. *Un cadeau*. Podarunek?

Chyba nie muszę mówić, że wiedziałem, co to znaczy *cadeau*; prawdziwą rewelacją było natomiast to melodyjne brzmienie, nadane przez jego egzotyczny akcent zdrobnionemu imieniu mojej córki. Ten jeden szczegół w najdobitniejszy sposób uświadomił mi, że ona bardziej jest już jego niż moja.

Miałem wrażenie, że większość ludzi zgromadzonych tego wieczoru w galerii obstąpiła mnie, chcąc popatrzeć, jak będę otwierał mój prezent. Tom Riley przysunął się tak blisko do Pam, że prawie dotykał ramieniem jej ramienia. Bozia stanął tuż obok niego. Za jego plecami dostrzegłem Margaret Bozeman, która posłała mi całusa zdmuchniętego z dłoni. Obok niej stał Todd Jamieson, lekarz, który uratował mi życie... Dalej dwa komplety ciotek z wujami... Rudy Rudnick, mój dawny sekretarz... Do tego, oczywiście, Kamen, nie sposób było go przegapić... i Kathi u jego boku. Przyszli wszyscy - oprócz Wiremana i Jacka. Zaczynałem się martwić, czy coś się nie stało, ale w tym momencie moje obawy były mało ważne. Przypomniałem sobie przebudzenie w szpitalnym łóżku, w kompletnym pomieszeniu, odcięty od wszystkiego przez niesłabnący choćby na chwilę ból - a potem rozejrzałem się dookoła, nie mogąc zrozumieć, jakim sposobem „tamto” mogło odmienić się tak całkowicie. Ci wszyscy ludzie powrócili do mojego życia na jeden, jedyny wieczór. Nie chciałem płakać, ale czułem bardzo wyraźnie, że bez łez się nie obędzie; rozklejałem się coraz bardziej, jak lignina na deszczu.

- Otwórz, tato! - powiedziała Ilse. Owiał mnie zapach jej perfum, świeży i słodki.

- Otwórz! Otwórz! - zawtórował jej chór życzliwych głosów stłoczonych dookoła osób.

Otworzyłem pudełko, wyciągając z niego białą bibułę, która zakrywała prezent. Chociaż wiedziałem dobrze, co to jest, spodziewałem się raczej czegoś żartobliwego. Ale to nie był żart, żadną miarą. Melinda i Ric przywieźli mi z Francji ciemnoczerwony beret, w dotyku gładki niczym jedwab. Nie mógł być tani.

- To bardzo miłe - powiedziałem.

- Nie, tatusiu - pokręciła głową Melinda. - Nie bardzo, ale może wystarczy. Oby tylko

pasował.

Wyjąłem beret z pudełka i uniosłem nad głową. Rozległo się zbiorowe westchnienie zachwytu. Melinda i Ric wymienili radosne spojrzenia, a Pam (która była zdania, że Lin nigdy nie dostawała ode mnie tyle uczucia i akceptacji, na ile zasługiwała - i prawdopodobnie miała rację) posłała mi najprawdziwszy promienny uśmiech. A ja włożyłem beret na głowę. Pasował idealnie. Melinda poprawiła go odrobinę, po czym odwróciła się do obserwujących nas ludzi i wskazała mnie wyciągniętymi dłońmi, mówiąc: „*Voici mon père, ce magnifique artiste!*”. W odpowiedzi zerwała się burza oklasków i okrzyków: „Brawo!”. Ilse pocałowała mnie, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Pamiętam dobrze bezbronną biel jej szyi i dotyk jej ust, tuż nad krawędzią szczęki.

Byłem królową balu i miałem przy sobie swoją rodzinę. Były światła i szampan, i muzyka. Tak wyglądał ten wieczór w galerii Scoto przed czterema laty, piętnastego kwietnia, pomiędzy siódmą czterdzieści pięć a ósmą, gdy cienie na Palm Avenue zaczynały właśnie barwić się delikatną zapowiedzią granatu. Wspomnienie o nim przechowuję do dziś.

II

Oprowadziłem je po wystawie. Tom, Bozia i cała reszta towarzystwa z Minnesoty szli za nami. Wielu z obecnych gości zapewne po raz pierwszy było w galerii sztuki, ale wszyscy zachowywali się bardzo uprzejmie, ustępując nam miejsca.

Przed „Zachodem słońca z szupinem” Melinda zatrzymała się na całą minutę, a potem odwróciła się do mnie i przemówiła tonem niemalże oskarżycielskim:

- Jeśli zawsze tak umiałeś, to po co, na miłość boską, zmarnowałeś trzydzieści lat życia na budowanie biurowców?

- Melindo Jean! - zgromiła ją Pam, ale bez wielkiego zaangażowania, jakby w roztargnieniu. Patrzyła w stronę środka sali, gdzie wisiały obrazy z serii „Dziewczynka i statek”.

- Przecież to prawda - upierała się Melinda. - Tak czy nie?

- Kotku, nie wiedziałem, że to umiem.

- Jak można nosić w sobie coś tak wielkiego i nie wiedzieć o tym? - dopytywała się, nie dając za wygraną.

Na to nie miałem już odpowiedzi, na szczęście przysłała mi z pomocą Alice Aucoin.

- Edgar, Dario pyta, czy mógłbyś zajrzeć na kilka minut do gabinetu Jimmy'ego. Zajmę się twoją rodziną. Znajdziesz ich w głównej sali.

- W porządku... A czego ode mnie chcą?

- O nic się nie martw, wszyscy byli uśmiechnięci. - I sama się uśmiechnęła.

- Idź, Edgar - powiedziała Pam i zwróciła się do Alice: - Jestem przyzwyczajona, że ktoś go nagle wzywa. Kiedy byliśmy małżeństwem, to był nasz sposób na życie.

- Tato, co znaczy czerwona kropka na ramie? - zapytała Ilse.

- Że obraz jest już sprzedany, kochanie - odpowiedziała jej Alice.

Odchodząc, zatrzymałem się przed „Zachodem słońca z szupinem” i... faktycznie, na ramie, w prawym górnym rogu, widniała nieduża czerwona kropka. Ucieszyłem się - miło, że spośród ludzi, którzy tak licznie nawiedzili moją wystawę, choć jednej osoby nie przyciągnęły sensacyjne wieści o jednorękim pacykarzu - lecz mimo wszystko coś ścisnęło mnie za serce. Nie wiedziałem, czy to normalne, czy nie. Skąd miałem wiedzieć? Nie znałem żadnego artysty, nie miałem kogo zapytać.

III

W gabinecie zastałem Daria i Jimmy'ego w towarzystwie nieznanego mi mężczyzny, którego Dario zaraz mi przedstawił: był to Jacob Rosenblatt, księgowy sprawujący pieczę nad rachunkami galerii. Przyznaję, że z duszą na ramieniu podawałem mu rękę; musiałem ją zresztą wykręcić, bo przez pomyłkę wyciągnął do mnie prawą dłoń. No tak, tym światem rządzą praworęczni.

- Dario, czy coś jest nie tak? - zapytałem.

Zamiast mi odpowiedzieć, Dario postawił na biurku Jimmy'ego srebrne wiaderko. Spoczywała w nim zielona butelka, obłożona kostkami tłuczonego lodu. Perrier - Jouet. Goście w galerii pili dobrego szampana, ale ten był lepszy. Butelkę niedawno odkorkowano; w powietrzu unosił się jeszcze ulotny aromat.

- Czy to wygląda, jakby coś było nie tak? - zapytał. - Kazałbym Alice zaprosić tutaj całą twoją rodzinę, ale ten gabinet jest cholernie mały. Niemniej dwóch ludzi powinno do nas w tej chwili dołączyć. Wireman i Jack Cantori. Gdzie ich wzięło, do diabła? Myślałem, że mieli przyjechać razem.

- Ja też. Dzwoniłeś do domu Elizabeth Eastlake? Do Czaplego Siedliska?

- Oczywiście - odparł Dario. - Włącza się automatyczna sekretarka.

- Annmarie nie odbiera? Pielęgniarka, która zajmuje się Elizabeth? Potrząsnął głową.

- Tylko sekretarka.

Oczyma duszy zobaczyłem korytarze szpitala Sarasota Memoriał.

- Nie podoba mi się to.

- Może jadać tutaj we trójkę - zasugerował Rosenblatt.

- Mało prawdopodobne. Elizabeth jest bardzo słaba i ma trudności z oddychaniem. Nie może już nawet chodzić przy balkoniku.

- Na pewno sytuacja sama się rozwiąże - powiedział Jimmy. - A tymczasem wzniesmy toast.

- Musimy wznieść toast, Edgarze - dodał Dario z naciskiem.

- Dziękuję, panowie, to bardzo miłe z waszej strony i chętnie bym się z wami napił, ale mam tutaj całą rodzinę. Chcę ich oprowadzić i pokazać resztę moich obrazów. Bez urazy.

- To zrozumiałe - zaczął Jimmy - ale...

Przerwał mu cichy głos Daria:

- Edgar, cała wystawa poszła na pniu.

Spojrzałem na niego.

- Proszę?

- Tak nam się wydawało, że nie zauważyłeś jeszcze wszystkich czerwonych kropek - uśmiechnął się Jimmy. Twarz mu się mieniła, zupełnie jakby oblał ją rumieniec. - Sprzedaliśmy wszystkie obrazy i szkice, jakie tylko były do sprzedania.

- Trzydzieści obrazów i czternaście szkiców - uściślił Jacob Rosenblatt, księgowy. - To niesłychane.

- Ale przecież... - Nagle zdrętwiały mi wargi i nie mogłem wykrztusić ani słowa. Patrzyłem tylko, jak Dario odwraca się i z półki na ścianie za biurkiem zdejmuje tacę z kieliszkami ozdobionymi tym samym kwietnym deseniem co butelka Perrier - Jouet. - Przecież „Dziewczynkę i statek nr 7” wyceniliście na czterdzieści tysięcy dolarów!

Rosenblatt sięgnął do kieszeni swojej gładkiej, czarnej marynarki i wydobył zrolowany pasek papieru - najwidoczniej wydruk z biurowego kalkulatora.

- Za obrazy dostaliśmy czterysta osiemdziesiąt siedem tysięcy dolarów, za szkice - kolejne dziewiętnaście tysięcy. Ogółem wyszło pół miliona z małym hakiem. To największa suma, jaką ta galeria zarobiła na wystawie indywidualnego artysty. Niezwykle osiągnięcie. Gratuluję.

- Wszystko się sprzedało? - zapytałem tak cichutko, że ledwie słyszałem własny głos, spoglądając na Daria, który wsuwał mi w dłoń kieliszek szampana.

Nannuzzi skinął głową.

- Gdybyś zdecydował się sprzedać „Dziewczynkę i statek nr 8”, to sądzę, że za ten jeden obraz dostalibyśmy sto tysięcy.

- Dwa razy tyle - dodał Jimmy.

- Za Edgara Freemantle'a, u progu błyskotliwej kariery! - Rosenblatt wznosił kieliszek. Poszliśmy za jego przykładem, spełniając toast. Żaden z nas nie wiedział, że moja błyskotliwa kariera, praktycznie rzecz biorąc, właśnie dobiegła końca.

Ale mi się trafiło, *muchacho*.

IV

Po wyjściu z gabinetu zacząłem się przemieszczać w kierunku swojej rodziny, rozdając uśmiechy, ściskając podawane mi ręce i wymieniając ekspresowe uprzejmości. Gdzieś po drodze dołączył do mnie Tom Riley.

- Szefie, te obrazy są rewelacyjne - powiedział - ale też trochę niesamowite.

- Domyślam się, że to komplement - odparłem. Prawdę mówiąc, niesamowita była raczej rozmowa z tym facetem, kiedy wiedziało się o nim to, co ja wiedziałem.

- Jak najbardziej - potwierdził. - Ale widzę, że chcesz iść do rodziny. Znikam. - I faktycznie by znikł, ale w porę chwyciłem go za łokieć.

- Zostań ze mną - poprosiłem. - Razem odeprzemy wszelkie zaczepki. Jeśli zostanę sam, nie dotrę do Pam i dziewczyn przed dziewiątą.

Odpowiedział serdecznym śmiechem. Nieźle wyglądał, stary Tommy. Od naszego ostatniego spotkania, nad jeziorem Phalen, przybyło mu parę kilogramów. Czytałem, że czasami leki antydepresyjne mają taki skutek uboczny, zwłaszcza u mężczyzn. Ale jemu to wcale nie zaszkodziło. Zniknęły ciemne doły, które miał pod oczami.

- Co u ciebie, Tom? - zagadnąłem.

- No cóż... Prawdę mówiąc... Depresja. - Uniósł dłoń, jakby chciał zbagatelizować moje „Współczuję”, chociaż niczego takiego nie powiedziałem. - Mam zaburzoną równowagę chemiczną, a przyzwyczajanie się do pigułek jest strasznie upierdliwe. Kiedy się zaczyna, nie można jasno myśleć, ja w każdym razie nie mogłem. Odstawiłem je na jakiś czas, ale teraz z powrotem biorę, a życie nabiera kolorów. Chyba że to skutek tych syntetycznych endorfm albo wiosny w Krainie Miliarda Jezior*.

- A co z Freemantle Company?

- Firma cały czas wychodzi na plus, ale bez ciebie to już nie to samo. Przyleciałem tutaj, bo wydawało mi się, że może uda mi się namówić cię, żebyś wrócił. Ale kiedy

* Kraina Miliarda Jezior (ang. The Land of a Billion Lakes) - popularna nazwa stanu Minnesota (przyp. tłum.)

zobaczyłem, czym się teraz zajmujesz, doszedłem do wniosku, że twoje dni w branży budowlanej raczej dobiegły końca.

- Raczej chyba tak.

Tom wskazał gestem płótna wiszące na środku głównej sali.

- A tak naprawdę, czym są te obrazy? Tylko bez kitu. Bo przyznam ci się - i poza tobą niewielu ludziom bym o tym powiedział - że patrząc na nie, przypominam sobie, co się działo w mojej głowie, kiedy nie brałem leków.

- To tylko fantazje - odpowiedziałem. - Cienie.

- Wiem coś o tym - mruknął. - Na cienie trzeba uważać. Bo inaczej mogą wyrosnąć im zęby. Naprawdę mogą. A czasem, kiedy chcesz zapalić światło, żeby je odpędzić, nagle okazuje się, że nie ma prądu.

- Ale teraz czujesz się już lepiej.

- Tak - przyznał. - W dużej mierze zawdzięczam to Pam. Pewnie sam o tym dobrze wiesz, ale mogę coś powiedzieć na jej temat?

- Jasne. - Miałem tylko nadzieję, że nie zamierza podzielić się ze mną spostrzeżeniem, że moja była żona w momencie orgazmu czasami wybucha zdławionym, gardłowym śmiechem.

- Jest bardzo przenikliwa, ale brak jej delikatności - wyrecytował Tom. - Osobliwe, dość okrutne połączenie.

Nie odpowiedziałem... ale niekoniecznie dlatego, że byłem innego zdania.

- Całkiem niedawno wygłosiła mi energiczne kazanie na temat tego, że należy dbać o siebie. I poskutkowało.

- Tak?

- Tak. A kiedy teraz na nią patrzę, to coś mi mówi, że ciebie za chwilę też czeka kazanko, Edgar. Chyba poszukam twojego kumpla Kamena i nawiążę z nim małą konwersację. Przepraszam.

Dziewczyny, w towarzystwie Rica, oglądały właśnie portret Wiremana, paplając z ożywieniem. Pam nie było z nimi; stała mniej więcej w połowie szeregu obrazów z serii „Dziewczynka i statek”, wiszących jak plakaty. Na jej twarzy malował się niepokój. Nie złość, ale właśnie niepokój. Rozterka. Skinęła na mnie, żebym podszedł, a kiedy się zbliżyłem, przystąpiła do rzeczy, nie tracąc ani chwili.

- Czy ta dziewczynka to ma być Ilse? - Wskazała pierwszy obraz z serii. - Najpierw wydawało mi się, że to jest ta lalka, którą dostałeś po wypadku od doktora Kamena, ale Ilse, kiedy była jeszcze malutka, miała taką samą sukienkę w kratkę. Kupiłam ją w Rompersie. A

to... - wyciągnęła dłoń w stronę „Numeru 3” - to musi być ta sukienka, na którą tak się uparła, kiedy szła do pierwszej klasy. To w niej złamała sobie rękę, tego dnia, gdy byliśmy na torze wyścigowym!

No i proszę. Ja pamiętałem, że to było po powrocie z kościoła, ale tak czy inaczej, możemy to uznać za drobne potknięcie w wielkim korowodzie wspomnień. Ta sytuacja miała poważniejsze aspekty. Jednym z nich było to, że Pam, jako odbiorca postawiony w zupełnie wyjątkowym położeniu, umiała - przynajmniej jeśli chodzi o moje obrazy - przejrzeć na wylot mgłę iluzji, którą krytycy tak chętnie nazywają sztuką. W tym sensie, a prawdopodobnie jeszcze w bardzo wielu innych, wciąż była moją żoną. Wszystko wskazywało na to, że dwoje ludzi może rozwieść chyba tylko sam czas. A i tak ten rozwód będzie w najlepszym razie częściowy.

Obróciłem Pam do siebie. Patrzyło na nas wielu ludzi, którzy, jak sędzę, pomyśleli sobie, że ją przytuliłem. I na swój sposób mieli rację. Uchwyciłem spojrzenie jej szeroko otwartych, wystraszonych oczu, po czym, zbliżywszy usta do jej ucha, wyszeptałem:

- Tak, dziewczynka w Łódce to Ilse. Nie umieściłem jej tam z rozmysłem, bo ja niczego nie robię z rozmysłem. Nie wiedziałem nawet, że będę malować te obrazy, dopóki nie wzięłem pędzla do ręki. Ale ponieważ dziewczynka stoi tyłem, nikt się o niczym nie dowie, chyba że ty albo ja się wygadamy. A ja tego nie zrobię. Ale... - Wyprostowałem się i cofnąłem. Jej oczy wciąż były szeroko otwarte, usta lekko rozchylone, jak gdyby w oczekiwaniu na pocałunek. - Co powiedziała Ilse na te obrazy?

- Coś strasznie dziwnego. - Pam chwyciła mnie za rękaw i pociągnęła na koniec ekspozycji, tam, gdzie wisiały dwa ostatnie płótna z serii, siódme i ósme. Na obu z nich Dziewczynka z Łódki miała na sobie zieloną sukienkę na ramiączkach, które krzyżowały się na jej nagich plecach. - Powiedziała, że chyba czytasz w jej myślach, bo identyczną kieckę zamówiła sobie w Newport News. Teraz, na wiosnę.

Odwróciła wzrok z powrotem ku płótnom. Milczałem, aby nie przeszkadzać jej patrzeć.

- Nie podobają mi się te obrazy, Edgar. Są inne niż wszystkie pozostałe i wcale mi się nie podobają.

Przypomniało mi się to, co powiedział o mojej byłej żonie Tom Riley: „Jest bardzo przenikliwa, ale brak jej delikatności”.

Pam zniżyła głos:

- Ale nie jest tak, że wiesz o Illy coś, czego nie miałaś jak się dowiedzieć? Tak jak było z...

- Nie - przerwałem, ale nagle te obrazy z dziewczynką i statkiem zaczęły mnie dręczyć tak, jak jeszcze nigdy. Częściowo zawdzięczałem to temu, że wisiały przede mną szeregiem, wszystkie razem; ta kumulacja niesamowitości była niczym cios pięścią.

Sprzedaj je. Tak radziła mi Elizabeth. Nieważne, ile ich jest, musisz je sprzedać.

Rozumiałem dobrze, dlaczego tak uważała. Sam niechętnie patrzyłem, jak moja córka zbliża się do tego spróchniałego, pływającego upiora, nawet ukryta pod postacią dziewczynki, którą przestała być już dawno temu. I w pewnym sensie dziwiło mnie, że Pam czuje tylko konsternację i niepokój. Z drugiej strony, rzecz jasna, te malowidła nie miały czasu, żeby ją urobić.

Poza tym zostały wywiezione z Dumy.

Podeszła do nas młodzież, Melinda i Ric objęci.

- Tato, jesteś geniuszem - oznajmiła Melinda. - Ric też tak uważa, prawda, Ric?

- Muszę przyznać - odparł - że to prawda. Nastawiałem się na kurtuazję, a zamiast tego po prostu brak mi słów. Jestem oczarowany.

- To bardzo miłe - powiedziałem. - *Merci*.

- Jestem z ciebie strasznie dumna, tato. - Illy uściskała mnie mocno.

Zobaczyłem, jak Pam przewraca oczami; gdybym mógł, to z miłą chęcią bym jej wtedy przyłożył. Zamiast tego objąłem Ilse i pocałowałem ją w sam czubek głowy. I w tym samym momencie od strony wejścia do galerii rozległ się przepalony papierosami głos Mary Ire, wołającej z wielkim zdumieniem i niedowierzaniem:

- Libby Eastlake! Niech mnie jasna cholera, własnym oczom nie wierzę!

Ja z kolei nie mogłem uwierzyć własnym uszom, ale kiedy przy drzwiach (gdzie zebrali się autentyczni miłośnicy sztuki, żeby pogadać i odetchnąć świeżym wieczornym powietrzem) nagle zerwała się burza spontanicznych oklasków, zrozumiałem, dlaczego Jack i Wireman tak się spóźnili.

V

- O co chodzi? - zapytała Pam. - No, o co chodzi?

Szła za mną, bo ruszyłem w stronę drzwi, ciągnąc ją i Illy za ręce. Linnie i Ric podążali naszym śladem. Oklaski przybrały na sile. Ludzie zaczęli odwracać się w kierunku wyjścia i wyciągać szyje, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Kto to jest, Edgar? - dopytywała się Pam.

- Ludzie z Dumy, moi najlepsi przyjaciele - wyjaśniłem, po czym zwróciłem się do

Ilse: - Pamiętasz tę panią? Mieszka przy drodze prowadzącej w głąb wyspy. Okazało się, że to wcale nie Narzeczona, tylko Córka Ojca Chrzestnego. Nazywa się Elizabeth Eastlake i jest bardzo kochana.

Oczy Ilse lśniły ekscytacją.

- To ta babcia w wielkich niebieskich trampkach!

Stłoczeni ludzie - w dużej części wciąż bijący brawo - rozstąpili się, żebyśmy mogli przejść. Zobaczyłem całą trójkę swoich przyjaciół w korytarzu wejściowym, gdzie ustawiono dwa stoły z wazami do ponczu. Na ich widok oczy zapiekły mnie mocno i coś ścisnęło za gardło. Jack był wystrojony w garnitur koloru szarego, wpadającego w niebieski odcień, a swoją niesforną surferską strzechę doprowadził na tę okazję do porządku. Wyglądał jak młodszy menedżer z Bank of America albo wyjątkowo wysoki siódmoklasista, który przyjechał na Dni Kariery. Wireman, popychający fotel Elizabeth, miał na sobie spłowiałe dzinsy bez paska i koszulę z okrągłym kołnierzykiem, uszytą z białego płótna, podkreślającego jego opaleniznę. On też zaczesał włosy, dzięki czemu po raz pierwszy miałem okazję zauważyć, że jest przystojny jak Harrison Ford w czasach, kiedy dobiegał pięćdziesiątki.

Ale Elizabeth i tak przyćmiła wszystkich. Zebrała oklaski nawet od żółtodziobów, którzy nie mieli pojęcia, kto to taki. W czarnym kostiumie z matowej, szorstkiej bawełny, choć był luźny, wyglądała bardzo elegancko. Włosy, zaczesane do góry, były schowane pod cienką jak pajęczyna siateczką, mieniającą się w oświetleniu galerii niczym garść brylantów. Na jej szyi lśnił złoty łańcuch z wisiosem wykonanym z rzeźbionej kości wieloryba, a na nogach, zamiast swoich niebieskich trampków w rozmiarze Frankenstein, miała wytworne czółenka koloru najgłębszego szkarłatu. Pomiędzy palcami jej sękaty dłoni tkwiła zdobiona złotem cygarniczka, a w niej był zatknięty niezapalony papieros.

Elizabeth rozejrzała się z uśmiechem dookoła. Kiedy do wózka podeszła Mary Ire, Wireman zatrzymał się na chwilę, a ona pocałowała starszą panią w policzek i szepnęła jej coś do ucha. Elizabeth, wysłuchawszy, skinęła głową, a potem coś jej odszepnęła. Mary zaśmiała się kraczącym głosem i pogładziła ją po ręce.

Ktoś przeszedł obok mnie, ocierając się ramieniem. To był Jacob Rosenblatt, księgowy; oczy miał wilgotne, nos czerwony. Za nim szli Dario i Jimmy. Rosenblatt przyklęknął obok wózka, a jego kościste kolana strzeliły przy tym tak głośno jak pistolet startera na wyścigach.

- Panno Eastlake! Och, panno Eastlake, tyle czasu pani tutaj nie widzieliśmy, a teraz... Och, cóż za wspaniała niespodzianka!

- Nawzajem, Jake - odparła Elizabeth, przygarniając jego łysą głowę do piersi. Wyglądało to tak, jakby trzymała tam olbrzymie jajo. - Przystojny jak Bogart! - pochwaliła go.

W tym momencie dostrzegła mnie... i puściła oko. Odmrugnąłem jej, ale tak naprawdę trudno mi było się uśmiechać. Wyglądała mizernie; pomimo szerokiego uśmiechu znać po niej było straszliwe zmęczenie.

Spojrzałem na Wiremana - ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami, co miało znaczyć „Uparła się”. Przeniósłem wzrok na Jacka - ten sam gest.

Tymczasem Rosenblatt zaczął gorączkowo grzebać po kieszeniach, aż wreszcie wyciągnął kartonik zapalek, tak wymiętoszony i wytarty, jakby ktoś przywiózł go do Stanów jeszcze w czasach, kiedy działał urząd imigracyjny na Ellis Island. Otworzywszy go, księgowy wyrwał ze środka jedną zapalkę.

- Wydawało mi się, że te nowe przepisy zakazują palenia we wszystkich budynkach użyteczności publicznej - powiedziała Elizabeth.

Widać było wyraźnie, jak Rosenblatt zмага się ze sobą. Pociemniał mu kark i cała szyja, aż się przestraszyłem, że głowa nie wytrzyma i eksploduje. Wreszcie przemógł się i zawołał:

- Pierdolić przepisy, panno Eastlake!

- *Bravissimo!* - wykrzyknęła Mary, śmiejąc się głośno i wyrzucając ręce w górę. Znow rozległy się oklaski, które przybrały jeszcze na sile, kiedy Rosenblattowi udało się wreszcie zapalić przedpotopową zapalkę. Księgowy wyciągnął rękę z płonącym paskiem kartonu, a Elizabeth wsunęła w zęby ustnik swojej cygarniczki.

- Kim jest ta pani, tato, tak naprawdę? - zapytała Ilse, zniżając głos. - Oprócz tego, że twoją sąsiadką z wyspy?

- Z tego, co o niej mówią - odparłem - były czasy, gdy artystyczna scena Sarasoty nie istniałaby bez niej.

- I to jej niby daje prawo truć nas tym dymem? - odezwała się Linnie. Zauważyłem, że pomiędzy jej brwiami znow pojawiła się ta ciemna, pionowa kreska.

Ric uśmiechnął się do niej.

- Och, *chérie*, tyle razy byliśmy w różnych knajpach...

- Ale teraz nie jesteśmy - ucięła, a pionowa kreska pociemniała jeszcze bardziej. Ric, pomyślałem sobie, możesz być Francuzem, ale o tej młodej Amerykance musisz się jeszcze sporo dowiedzieć.

Alice Aucoin szepnęła coś do Daria, a on, jakby w odpowiedzi, wyciągnął z kieszeni

pudełko miętówek. Wysypał cukierki na dłoń i podał blaszany pojemniczek Alice, która przekazała go Elizabeth. Starsza pani podziękowała i strząsnęła do niego popiół z papierosa.

Pam przyglądała się temu, wyraźnie zafascynowana, a po chwili spytała:

- A ona co sądzi na temat twoich obrazów?

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Jeszcze ich nie widziała.

Elizabeth skinęła na mnie.

- Bądź uprzejmy przedstawić mnie swojej rodzinie, Edgarze.

Spełniłem jej życzenie, zaczynając od Pam, a kończąc na Ricu. Jack i Wireman również przywitani się z nią i z moimi córkami.

- Po tych wszystkich telefonach miło mi cię zobaczyć we własnej osobie - powiedział Wireman do Pam.

- I nawzajem - odparta, mierząc go wzrokiem. Najwidoczniej to, co zobaczyła, przypadło jej do gustu, bo się uśmiechnęła - i był to prawdziwy uśmiech, taki, który rozjaśnił całą jej twarz. - Udało nam się, co? Robił trudności, ale jednak się udało.

- Sztuka zawsze jest trudna, młoda damo - poinformowała ją Elizabeth.

Pam spojrzała na nią, a na jej ustach wciąż lśnił ten sam autentyczny uśmiech, uśmiech, w którym kiedyś się zakochałem.

- Czy wie pani, od jak dawna nikt nie powiedział o mnie „młoda”?

- O, w moich oczach jesteś bardzo młoda i bardzo piękna - odrzekła Elizabeth. Czy to naprawdę była ta sama mamlająca staruszka, która nie dalej niż tydzień temu tkwiła w fotelu na kółkach, bezwładna jak worek kartofli? Patrząc na nią tamtego wieczoru, trudno było uwierzyć w coś takiego. Wydawało się to kompletnie niewiarygodne, chociaż rzucało się w oczy to, że jest bardzo zmęczona. - Ale przecież - ciągnęła dalej - nie tak młoda i piękna jak twoje córki. Dziewczęta, wasz ojciec, z tego co mówią, jest człowiekiem wielkiego talentu.

- Jesteśmy z niego bardzo dumne - odpowiedziała Melinda, skręcając w palcach swój naszyjnik.

Elizabeth uśmiechnęła się do niej, po czym spojrzała na mnie.

- Chciałabym obejrzeć twoje prace. Sama będę wiedzieć, co o nich myśleć. Zrobisz mi tę przyjemność, Edgarze?

- Bardzo chętnie. - Mówiłem szczerze, ale zacząłem się też cholernie denerwować. Trochę się bałem usłyszeć jej opinię. „Trochę” znaczyło, że bałem się zobaczyć, jak Elizabeth potrząsa głową i ogłasza swój werdykt z bezceremonialnością, do której upoważnia człowieka tylko podeszły wiek: „Płytkie... Dużo kolorów... Mnóstwo energii, nie przeczę... Ale ostatecznie - bez rewelacji”.

Wireman wyciągnął dłonie, chcąc popchnąć wózek, ale ona potrząsnęła głową.

- Nie. Niech Edgar mnie wiezie. Niech mnie oprowadzi.

Wyciągnęła z cygarniczki do połowy wypalonego papierosa, radząc sobie nad podziw zręcznie pomimo zgrubiałych, powykręcanych dłoni. Rozgniotła niedopalek na dnie puszek po miętówkach.

- Młoda dama ma rację - oznajmiła. - Nawdychaliśmy się już dość tego smrodu.

Melinda miała na tyle przyzwoitości, żeby się zarumienić. Elizabeth oddała puszkę Rosenblattowi, który wziął ją od niej z ukłonem i uśmiechem. Wiele razy zastanawiałem się potem - przyznaję się do tego, chociaż wiem, że to makabryczne - czy paliłaby dłużej, gdyby wiedziała, że to już jej ostatni papieros.

VI

Nawet ci, którzy nigdy w życiu nie widzieli ostatniej z córek Johna Eastlake'a, zrozumieli mimo wszystko, że oto nagle pojawiła się wśród nich Osobistość; fala pływowa, która na dźwięk entuzjastycznego okrzyku Mary Ire pomknęła w kierunku wejścia, zaczęła się cofać, kiedy ruszyłem do obszernej wnęki, gdzie wisiała większa część serii „Zachód słońca z...”, prowadząc przed sobą wózek Elizabeth. Po lewej szli Wireman i Pam, po prawej Jack i Ilse, która od czasu do czasu lekko popychała wózek z tej strony, pomagając mi utrzymać obrany kurs. Za plecami mieliśmy Melinę i Rica; Kamen, Tom Riley i Bozia trzymali się za nimi, a orszak zamykała, jak się wydawało, cała reszta gości galerii.

Nie byłem pewien, czy wózek zmieści się pomiędzy ścianą a zaimprovizowanym naprędcie barem, ale okazało się, że miejsca jest akurat tyle, żeby mógł przejechać. Kiedy już chciałem popchnąć go w to wąskie gardło, ciesząc się, że przynajmniej cała nasza świta będzie musiała zostać na zewnątrz, Elizabeth nagle zawołała: „Stój!”.

Zatrzymałem się natychmiast.

- Dobrze się czujesz, Elizabeth? - spytałem.

- Chwileczkę, skarbie... cicho.

I tak staliśmy, przyglądając się obrazom wiszącym na ścianach. Po jakimś czasie Elizabeth westchnęła i zapytała:

- Wireman, masz może chusteczkę higieniczną?

Wireman miał zwykłą chusteczkę; rozłożył ją i wsunął jej do ręki.

- Podejdz tutaj, Edgarze - poprosiła Elizabeth. - Stań tak, żebym cię widziała.

Udało mi się precyzyjnie pomiędzy wózkiem a barem. Barman przytrzymał stół, żebym

go nie przewrócił.

- Dasz radę przyklęknąć, żebyśmy byli twarzą w twarz?

Dałem radę. Zaprocentowały moje Wielkie Wędrówki Brzegiem Morza. Elizabeth w jednej dłoni trzymała swoją cygarniczkę - gest jednocześnie groteskowy i wspaniały - a w drugiej chustkę, którą podał jej Wireman. Oczy miała mokre.

- Kiedy Wireman nie mógł, ty czytałeś mi wiersze. Pamiętasz?

- Tak, proszę pani. - Pewnie, że pamiętałem. To były bardzo miłe chwile.

- Jeśli powiem „Pamięci, przemów”, pomyślisz sobie o tym człowieku... nie pamiętam nazwiska... który napisał „Lolite”. Prawda?

Przytaknąłem, choć nie miałem pojęcia, o kim mowa.

- Ale jest też pewien wiersz. Nie przypomnę sobie teraz, kto go napisał, ale zaczyna się tak: „Przemów, pamięci, bo nie chcę zapomnieć smaku róż i szumu jesionów na wietrze. Bo pragnę raz jeszcze skosztować z zielonej czary morza”. Porusza cię to? Widzę, że tak.

Dłoń trzymająca cygarniczkę otworzyła się, a potem uniosła i dotknęła moich włosów. W tym momencie przyszło mi do głowy (i odtąd ta myśl nie raz powracała), że cały mój wysiłek, żeby żyć dalej i choć pozornie stać się znowu tym, kim byłem, w ostatecznym rozrachunku okazał się wart tyle, co jeden dotyk tej starej kobiety - i ani trochę więcej. Tyle, co zwietrzała gładkość tej dłoni. Tyle, co złamana siła tych palców.

- Sztuka to pamięć, Edgarze. Nie można tego określić już w żaden prostszy sposób. Im wyraźniejsze wspomnienie, tym lepsze dzieło. Tym jest czystsze. Te obrazy... One łamią mi serce, aby złożyć je z powrotem w jedną całość. Tak bardzo się cieszę, że powstały właśnie w Przylądku Łososi. Mimo wszystko. - Uniosła dłoń, którą przed chwilą gładziła mnie po głowie. - Powiedz mi, jak nazwałeś to płótno.

- „Zachód słońca z szupinem”.

- A te to będą... „Zachody słońca z konchą”, numery od jednego do czterech?

Uśmiechnąłem się.

- Jest ich w sumie szesnaście, pierwsze to były jeszcze szkice kredkami. Niektóre wiszą przy drzwiach. To, co znajduje się tutaj, to najlepsze, wybrane oleje. Wiem, że to czysty surrealizm, ale...

- Żaden surrealizm, to klasyka. Każdy głupi widzi. Są tu wszystkie żywioły: ziemia... powietrze... woda... ogień.

Usta Wiremana poruszyły się bezgłośnie: Nie męcz jej tak!

- Co powiesz na to, żebyśmy szybko obejrzeli resztę wystawy, a potem napili się czegoś zimnego? - zaproponowałem i tym razem zobaczyłem, jak Wireman kiwa głową i

składa kóleczo z kciuka i palca wskazującego: idealnie! - Gorąco tutaj, nawet z tą klimatyzacją.

- Dobrze - zgodziła się Elizabeth. - Faktycznie jestem trochę zmęczona. Mam tylko jedną prośbę, Edgarze.

- Tak?

- Obrazy ze statkiem chcę zobaczyć na samym końcu. Potem, to prawda, będę musiała się napić. Może w gabinecie. Jednego kielicha, ale czegoś mocniejszego od coca - coli.

- Załatwione - obiecałem, przeciskając się z powrotem za fotel.

- Dziesięć minut - szepnął mi Wireman do ucha. - Ani chwili dłużej. Chcę ją stąd zabrać, zanim zjawi się Gene Hadlock, jeśli to tylko możliwe. Zesra się, jak ją tu zobaczy. A wiesz, na kogo poleci całe to gówno.

- Dziesięć minut - obiecałem, wyprowadzając wózek do sali z bufetem, żeby pokazać Elizabeth wiszące tam obrazy. Tłum dalej szedł za nami. Mary Ire zaczęła robić notatki. Ilse wsunęła mi dłoń pod ramię, uśmiechając się do mnie. Odpowiedziałem uśmiechem, ale znów opadło mnie tamto dziwne uczucie, że to wszystko mi się śni. A ten sen ociera się o koszmar i w każdej chwili może się nim stać.

Elizabeth głośno zachwyciła się obrazem „Ja widzę księżyc” oraz serią o drodze wiodącej przez Dumę, ale prawdziwej gęsiej skórki dostałem dopiero, widząc, jak unosi ręce do płótna „Na muszlach rosną róże”. Miało się wrażenie, że chce je objąć, przyciągnąć do siebie. Po chwili opuściła ręce i obejrzała się na mnie przez ramię.

- To jest esencja - powiedziała. - Esencja Dumy. Tutaj widać, dlaczego ci, którzy mieszkali na tej wyspie choćby krótki czas, nigdy tak naprawdę stąd nie wyjechali. Nawet jeśli umysł poniosł ich ciało gdzieś indziej, to serce pozostało. - Spojrzała jeszcze raz na płótno i skinęła głową. - „Na muszlach rosną róże”. Zgadza się.

- Dziękuję, Elizabeth.

- Nie, Edgarze. To ja ci dziękuję.

Obejrzałem się na Wiremana. Rozmawiał z tym drugim prawnikiem, tym z mojego poprzedniego życia. Wyglądało na to, że świetnie się dogadują. Miałem tylko nadzieję, że Wireman nie powie do niego przez pomyłkę „Bozia”. Odwróciłem się z powrotem do Elizabeth, która, ocierając oczy, wciąż patrzyła na płótno „Na muszlach rosną róże”.

- Cudowne - westchnęła - ale jedźmy już dalej.

Po obejrzeniu reszty obrazów i szkiców wiszących w sali z bufetem powiedziała cicho, jakby do siebie:

- Oczywiście, wiedziałam, że ktoś się pojawi, ale nigdy bym nie przypuszczała, że

będzie umiał malować z taką mocą i z taką czułością.

Jack klepnął mnie w ramię, nachylając się do mojego ucha.

- Zjawił się doktor Hadlock - mruknął. - Wireman prosi, żebyś się streszczał, jeśli to możliwe.

Kierując się do gabinetu, musieliśmy minąć centrum galerii, czyli miejsce, gdzie wisiała seria „Dziewczynka i statek”. Potem, po wypiciu obiecanego drinka, Elizabeth mogła wyjechać drzwiami dostawczymi na zaplecze; była to nawet wygodniejsza droga dla wózka. A Hadlock, jeśli tylko miał życzenie, mógłby towarzyszyć swojej pacjentce. Ale myśl o pokazaniu jej serii ze statkiem napęłniała mnie teraz panicznym lękiem. I nie chodziło już bynajmniej o to, że bałem się usłyszeć od niej słowa krytyki.

- Chodźmy - powiedziała, stukając o poręcz swoim pierścieniem z ametystowym oczkiem. - Obejrzymy je. Bez wahania!

- W porządku. - powiedziałem, popychając wózek w kierunku centrum galerii.

- Dobrze się czujesz, Eddie? - zapytała cicho Pam.

- Dobrze - odpowiedziałem.

- Nieprawda. Co się stało?

Potrząsnąłem tylko głową. Przystanęliśmy w głównej sali. Obrazy wisiały na wysokości około stu osiemdziesięciu centymetrów; poza nimi nie było tam już nic więcej, tylko portret „Wireman spogląda na zachód”, wiszący na jednej ze ścian obitych grubą brunatną tkaniną przypominającą worek. Powoli przeprowadziłem wózek wzdłuż szeregu płócien. Kółka toczyły się bezszelestnie po białoniebieskiej wykładzinie. Szmer tłumu ciągnącego za nami ucichł - albo też mój zmysł słuchu przestał go odbierać. Wydawało mi się, że widzę te obrazy po raz pierwszy w życiu, i miałem bardzo dziwne wrażenie, że oglądam serię klitek wyciętych z taśmy filmowej. Im dalej, tym były wyraźniejsze, ostrzejsze, ale każda z nich przedstawiała w zasadzie to samo - statek, który po raz pierwszy ujrzałem we śnie. Na każdym obrazie zachodziło słońce, a zalany blaskiem zachodni skraj nieboskłonu był zawsze taki sam: gigantyczne czerwone kowadło, od którego woda rudziła krwisto, a skażone niebo szkiło się rozognionym rumieńcem. Sam statek był upiorem o trzech masztach, który przyplął z portu tkniętego śmiertelną zarazą. Żagle wisiały w strzępach. Na pokładzie nie było żywej duszy. Ze wszystkich ostrych krech jego sylwety tchnęło grozą i chociaż niepodobna było określić, na czym owa groza polega, patrzący zaczął się bać o samotną dziewczynkę w małej wiosłowej łódce - tę, która na pierwszym rysunku miała na sobie sukieneczkę w kratkę, dziewczynkę unoszoną przez fale zatoki, ciemne niczym wino.

Na tamtym pierwszym rysunku statek - śmierć płynął pod takim kątem, że nie dało się odczytać ani jednej litery jego nazwy. „Dziewczynka i statek nr 2” przyniosła pewną poprawę, ale Sylwetka małej wioślarki (tak jak poprzednio mającej na głowie burzę sztucznych rudych loków, ale ubranej w sukienkę Reby, z materiału w grochy) zasłaniała wszystkie litery oprócz pierwszej - p. Na trzecim obrazie z serii nazwa wydłużyła się do trzech liter: PER, a Reba przestała być Rebą i zmieniła się w Ilse. Choć stała tyłem, o pomyłce nie mogło być mowy. W łodzi pojawił się też miotacz harpunów Johna Eastlake'a.

Elizabeth nie dała znać po sobie, że go rozpoznała - o ile faktycznie tak było. Niespiesznie popychałem wózek wzdłuż szeregu obrazów, a statek podpływał coraz bliżej, rósł w oczach: maszty sterczały jak zeszywniałe palce, żagle zwisały niczym zwiotczałe mięśnie trupa. Dziury w płótnie płonęły prawdziwym żarem, przebite oslepiającymi promieniami zachodzącego słońca. Nazwa statku, widoczna na pawęży, składała się już z pięciu liter: PERSE. Mogło ich być więcej - miejsca było dość - ale ewentualny ciąg dalszy krył się w cieniu. Na obrazie numer sześć (gdzie statek zbliżył się już tak, że zawisł nad łódką, wielki jak góra) dziewczynka miała na sobie coś, co przypominało obcisłą niebieską koszulkę bez rękawów, z żółtym paskiem biegnącym dookoła szyi. Jej włosy w tej odświeżonej przybrały odcień pomarańczowy; to była jedyna Dziewczynka z Łódki, której nie potrafiłem rozpoznać z całą pewnością. Mogła to być Ilse, tak jak na innych obrazach... ale nie byłem ostatecznie przekonany. To było pierwsze płótno, na którym w wodzie pojawiło się kilka różnych płatków (plus jedna, żółtozielona piłka do tenisa, z urwanym napisem **DUNL**), a także przypadkowa zbieranina przedmiotów zgromadzonych na pokładzie: wysokie tremo (odbijając zachód słońca, wyglądało tak, jakby było pełne krwi), dziecinny konik na biegunach, płaski kufer podróżny, stos leżących luzem butów. Te same elementy powtarzały się na obrazach siódmym i ósmym, ale dołączyło do nich jeszcze kilka innych: mały dziewczęcy rower oparty o fokmaszt, sterta samochodowych opon zwalonych na rufie, a na śródkręciu - olbrzymia klepsydra. Ta ostatnia, podobnie jak tremo, odbijała zachód słońca i też miało się wrażenie, że zamiast piasku wypełniona jest po brzegi krwią. Na płótnie numer osiem pomiędzy łódką a burtą „Perse” pojawiło się więcej różnych płatków, a także co najmniej sześć piłek tenisowych. Na szyi konia na biegunach zawisł natomiast wieniec z gnijących kwiatów. Czuć było niemalże, jak w nieruchomym powietrzu rozchodzi się ich ohydny smród.

- Boże drogi... - szepnęła Elizabeth. - Już jest bardzo silna. - Jej twarz pobladła nagle, odpłynął z niej cały kolor. Nie wyglądała już na swoje osiemdziesiąt pięć lat, ale prędzej na dwieście.

„Kto?”, chciałem zapytać, ale nie mogłem dobyć głosu.

- Proszę pani... Panno Eastlake... Proszę się nie przemęczać - powiedziała Pam.

Odchrząknąłem.

- Możecie przynieść jej szklankę wody?

- Ja pójdę, tato - zgłosiła się Illy.

Elizabeth nie odrywała wzroku od „Dziewczynki i statku nr 8”.

- Ile z tych... tych... pamiątek potrafisz rozpoznać? - zapytała mnie.

- Żadnej... To moja wyobraźnia... - zacząłem i umilkłem. Dziewczynka w łódce na obrazie numer osiem to nie była „pamiątka”, to była Ilse. Zielona sukienka z odsłoniętymi plecami i ramiączkami na krzyż była rażąco seksowna jak dla małej dziewczynki, ale teraz wiedziałem już dlaczego: Ilse kupiła ją niedawno, zamówiła w sprzedaży wysyłkowej, a poza tym nie była już małą dziewczynką. Oprócz niej nie rozpoznałem zbyt wielu szczegółów: piłki tenisowe wciąż były dla mnie zagadką, a lustro i opony nie mówiły mi absolutnie nic. Jeśli zaś chodzi o dziewczęcy rower, to nie mogłem wiedzieć na pewno, czy to był rower Tiny Garibaldi, ale obawiałem się tego... a w głębi serca jednak nie wątpiłem, że to on.

Poczułem na przegubie przeraźliwie zimną dłoń Elizabeth.

- Na ostatnim obrazie nie ma kropki - usłyszałem jej głos.

- Nie wiem, o co ci...

Zacisnęła palce.

- Wiesz. Wiesz bardzo dobrze, o co mi chodzi. Wystawa poszła na pniu, Edgarze. Uważasz, że jestem ślepa? Każdy obraz, który oglądaliśmy, ma na ramie czerwoną kropkę, nawet „Numer 6”, ten, gdzie w łódce jest moja siostra Adie. A ten nie!

Obejrzałem się na „Numer 6”, na którym Dziewczynka z Łódki miała pomarańczowe włosy.

- To jest twoja siostra?

Elizabeth zignorowała moje pytanie. Chyba go nawet nie usłyszała. Całą uwagę skupiła na „Dziewczynie i statku nr 8”.

- I co teraz zamierzasz? Zabierzesz go z powrotem? Z powrotem na Dumę? - Jej uniesiony głos zagrzmiął w ciszy, która zapadła w galerii.

- Proszę pani... Panno Eastlake... Naprawdę nie powinna się pani tak emocjonować - powiedziała Pam.

Oczy Elizabeth rozbłysły wśród fałdów obwisłej skóry. Jej paznokcie wbiły mi się w skórę na nadgarstku.

- I co wtedy? Powiesz go sobie obok tego następnego, który już zacząłeś malować?

- Nie zacząłem... - Urwałem. Może naprawdę zacząłem? Pamięć znów zaczęła mnie zwodzić; często mi się to zdarzało w chwilach stresu. Gdyby w tej chwili ktoś kazał mi przypomnieć sobie, jak ma na imię ten młody Francuz, który chodzi z moją starszą córką, to pewnie powiedziałbym, że René. Jak René Magritte. Sen, który ocierał się o koszmar, owszem, stał się koszmarem; wszystko zgodnie z planem.

- Tego, na którym łódka jest pusta? - wykrzyknęła Elizabeth.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, z tłumu wyszedł Gene Hadlock, za nim Wireman, a za Wiremanem Ilse, niosąca szklanę z wodą.

- Elizabeth, musimy już iść - powiedział Hadlock.

Chciał jej dotknąć, ale odepchnęła jego rękę, po drodze wytrącając Ilse z dłoni szklanę, którą moja córka próbowała jej podać. Szklanka śmignęła w powietrzu i roztrzaskała się o jedną z pustych ścian. Ktoś krzyknął, a jakaś kobieta - nie do wiary - zaśmiała się.

- Widzisz tego konia na biegunach, Edgarze? - Elizabeth wyciągnęła dygoczącą silnie rękę. Paznokcie miała pomalowane lakierem koloru koralowego, prawdopodobnie przez Annmarie. - To był ulubiony konik moich sióstr, Tessie i Laury. Uwielbiały go i targały ze sobą wszędzie. Kiedy utonęły, znaleźliśmy go pod Rampopo - tak się nazywał domek do zabawy na bocznym trawniku. Ojciec nie mógł patrzeć na tego konia. Podczas uroczystości pogrzebowej wrzucił go do wody, a z nim, oczywiście, ten wieniec, który teraz wisi mu na szyi.

Salę ogarnęła cisza, przerywana tylko jej chrapliwym, rwącym się oddechem. Mary Ire przestała gorączkowo skrobać notatki. Stała, wpatrując się w Elizabeth wielkimi oczami. W opuszczonej dłoni tkwił zapomniany notatnik; drugą uniosła do ust. I wtedy Wireman wskazał drzwi, zmyślnie ukryte w założonej fałdzie brunatnej workowatej tkaniny. Hadlock skinął głową. A Jack nagle wyrósł jak spod ziemi i wziął sprawę w swoje ręce.

- Już panią stąd zabieram - powiedział. - Proszę się niczym nie martwić. - Chwycił za rączki jej wózka.

- Spójrz na kilwater tego statku! - krzyknęła do mnie Elizabeth, znikając na zawsze ludziom z oczu. - Na miłość boską, nie widzisz, co namalowałeś?

Spojrzałem. Moja rodzina też spojrzała.

- Nic tam nie ma - zawyrokowała Melinda, zerkając nieufnie w stronę drzwi zamykających się za Jackiem i Elizabeth. - Może ta pani jest chora na głowę?

Illy stanęła na palcach, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć.

- Tato - zapytała z wahaniem - czy to są twarze? Tam, w wodzie?

- Nie - odpowiedziałem, zdziwiony pewnością i spokojem własnego głosu. - Widzisz tylko to, co ona ci podpowiedziała. Mogę was na chwilę przeprosić?

- Oczywiście - skinęła głową Pam.

- Może ja też się na coś przydam, Edgar? - rozległ się tubalny bas Kamena.

Uśmiechnąłem się do niego, ponownie zdziwiony tym, jak łatwo mi to przyszło. Szok, jak się okazuje, też czemuś służy.

- Dzięki, ale nie trzeba. Jest przy niej jej lekarz.

Ruszyłem szybkim krokiem do drzwi gabinetu, walcząc z pokusą obejrzenia się za siebie. Melinda niczego nie zauważyła. Ilse tak. Podejrzewam, że mało kto potrafiłby je zobaczyć, nawet gdyby pokazać palcem... a zresztą większość ludzi, choćby im je pokazywano, powiedziałyby, że to przypadek albo figiel artysty.

Te twarze.

Rozdarte w krzyku twarze topielców za rufą statku w blasku zachodzącego słońca.

Były wśród nich Tessie i Laura, z całą pewnością, ale nie tylko; twarze innych ludzi dryfowały tuż pod nimi, tam, gdzie czerwień ciemnieje, przepływając w zieleń, a zieleń przelewa się w czern.

Mogła tam też być rudowłosa dziewczyna w staromodnym, jednoczęściowym kostiumie kąpielowym: najstarsza siostra Elizabeth, Adriana.

VII

Wireman poił ją gazowaną wodą mineralną (tak wyglądało to, co było w szklance), a obok fotela klęczał rozgrzany Rosenblatt, który dosłownie załamywał ręce. Gabinet wydawał się tak zatłoczony, że niemalże pękał w szwach. Temperatura była wyższa niż na zewnątrz, w galerii i wciąż rosła.

- Proszę, żeby wszyscy stąd wyszli! - powiedział Hadlock. - Wszyscy oprócz Wiremana! Już! Natychmiast!

Elizabeth odsunęła wierzchem dłoni szklankę, z której piła.

- Edgar - sprzeciwiła się chropawym głosem. - Edgar zostaje.

- Nie, Edgar wychodzi - oznajmił Hadlock. - Już dość miałaś tych emocji jak na...

Sięgnęła po jego dłoń - stał tuż przed nią - i uściśniła ją. Chyba całkiem mocno, bo Hadlock zrobił wielkie oczy.

- Zostaje. - To był szept, ale w tym szepcie była moc.

Ludzie zaczęli wychodzić. Zza drzwi dobiegł mnie głos Daria informującego

stłoczonych na zewnątrz gości, że wszystko jest w porządku, panna Eastlake słabo się poczuła, ale już wraca do siebie pod okiem swojego doktora. Jack też zbierał się do wyjścia.

- Młody człowieku! - zawołała za nim Elizabeth, kiedy już stał w drzwiach. Odwrócił się.

- Nie zapomnij - powiedziała.

Posłał jej przelotny uśmiech i zasalutował.

- Nie zapomnę, proszę pani. Na pewno nie zapomnę.

- Powinam była od razu cię tam wysłać - westchnęła, a kiedy wyszedł, dodała ściszym głosem, jakby opadła z sił: - To dobry chłopak.

- Wysłać? Dokąd? - zapytał Wireman.

- Na strych, żeby znalazł pewien piknikowy kosz - odparła. - Na tym zdjęciu, które wisi na piętrze, trzyma go niania Melda. - Spojrzała na mnie z wyrzutem.

- Przepraszam - bąknąłem. - Pamiętam, jak mi o tym mówiłaś, ale... zacząłem malować i...

- Nie mam do ciebie pretensji - powiedziała Elizabeth, spoglądając na mnie głęboko zapadniętymi oczami. - Powinam to przewidzieć. Taka jest jej moc. Ta sama moc, która sprowadziła cię tutaj. - Przeniosła wzrok na Wiremana. - I ciebie też.

- Dość już tego, Elizabeth - wtrącił się Hadlock. - Jedziemy do szpitala na badania. A dopóki mam cię na oku, dostaniesz też kroplówkę. Odpoczniesz...

- Już niedługo odpocznę sobie za wszystkie czasy - uśmiechnęła się Elizabeth, pokazując w tym uśmiechu swoją wielką i dość makabryczną sztuczną szczękę, po czym jej spojrzenie z powrotem spoczęło na mnie. - Hokus, pokus i marokus - wyskandowała. - Dla niej to wszystko jest zwykłą zabawą. Wszystkie nasze smutki. A teraz znów się obudziła. - Chwyła mnie za rękę. Dłoń miała lodowatą. - Edgar, ona już nie śpi!

- Kto? Elizabeth, powiedz kto? Perse?

Elizabeth nagle rzuciła się całym ciałem w tył, na oparcie swojego fotela. Wyglądało to tak, jakby poraził ją prąd. Dłoń uczipiona mojej ręki zacisnęła się mocno. Korallowe paznokcie wbiły mi się głęboko w skórę, pozostawiając na niej rząd czterech czerwonych półksiężyców. Otworzyła usta, znów błyskając zębami, ale tym razem to już nie był uśmiech, tylko wykrzywiony grymas. Szarpnęła głową w tył; usłyszałem ostry trzask, jakby coś tam pękło.

- Łap ten fotel, bo się przewróci! - ryknął Wireman, ale nie mogłem tego zrobić, bo miałem tylko jedną rękę. Tę, której uczipiła się Elizabeth. Na której dosłownie zawisała.

Hadlock złapał za jedną rączkę wózka, który jednak nie wywrócił się do tyłu, ale odbił

w bok, uderzając w biurko Jimmy'ego Yoshidy. Widać już było, że Elizabeth dostała ataku. Zaczęła dygotać jak potrząsana kukielka. Siateczka na włosy spadła jej z głowy i spłynęła na podłogę, iskrząc się w świetle jarzeniówek. Chwilę później jej śladem śmignęło jedno ze szkarłatnych czólenek, zrzucone z trzęsącej się stopy. „Anioły chcą nosić moje czerwone pantofle”, pomyślałem słowami piosenki Elvisa Costello i natychmiast, jakby wezwana tym jednym krótkim wersem, krew chlusnęła jej z nosa i ust.

- Trzymaj ją! - krzyknął Hadlock, a Wireman rzucił się całym ciężarem na poręczę fotela.

To jej dzieło, pomyślałem zupełnie chłodno. Tej Perse. Kimkolwiek ona jest.

- Trzymam! - zawołał Wireman. - Dzwon po pogotowie, doktorze! Prędej, na miłość boską!

Hadlock obskoczył biurko, złapał słuchawkę telefonu, wybrał numer, posłuchał chwilę.

- Kurwa! Nie łączy, jest tylko sygnał!

Wyrwałem mu ją z dłoni.

- Pewnie trzeba wybrać dziewięć, żeby wyjść na miasto. - Wykręciłem numer z dodatkową cyfrą, przytrzymując słuchawkę ramieniem przy uchu, a kiedy kobieta o spokojnym, opanowanym głosie zapytała mnie, co się stało, byłem w stanie udzielić jej dokładnej odpowiedzi. Nie mogłem natomiast przypomnieć sobie adresu ani nawet nazwy galerii.

Oddawszy telefon Hadlockowi, wróciłem na drugą stronę biurka, do Wiremana.

- Chryste Panie - usłyszałem jego zboląły jęk. - Wiedziałem, że nie wolno jej tu przywozić, wiedziałem... Ale tak się, cholera, uparła...

- Straciła przytomność? - Przesunąłem wzrokiem po bezwładnej postaci wpołleżającej w fotelu. Oczy miała otwarte, ale ich nieobecne spojrzenie było utkwione w jakimś punkcie na przeciwległej ścianie. - Elizabeth? - Zero reakcji.

- Czy to był udar? - zapytał Wireman. - Nie miałem pojęcia, że może być aż tak gwałtowny.

- To nie był żaden udar. Coś nie pozwoliło jej mówić. Jedź z nią do szpitala...

- No pewnie, że pojedę...

- I nadstawiaj ucha. Może powie coś jeszcze.

Hadlock podszedł do nas.

- W szpitalu już na nią czekają. Zaraz przyjedzie karetka. - Spojrzał ciężkim wzrokiem na Wiremana, ale po chwili złagodniał. - No dobrze, w porządku - westchnął.

- Dobrze, w porządku? - powtórzył Wireman. - Co to ma znaczyć: dobrze, w porządku?

- To mianowicie, że jeśli już musiało do tego dojść - odparł Hadlock - to gdzie twoim zdaniem ona wolałaby, żeby ją to spotkało: w domu, we własnym łóżku, czy w galerii? Przecież ona w galeriach spędziła tyle szczęśliwych dni i niejedną noc.

Wireman odetchnął głęboko, urywanie, a potem skinął głową i uklęknął obok wózka, gładząc Elizabeth po głowie. Na jej twarz wystąpiły czerwone plamy i opuchlizna, jakby dostała jakiegoś ciężkiego uczulenia.

Hadlock zgiął się wpół i odchylił głowę Elizabeth do tyłu, próbując ulżyć jej w oddychaniu, bo charczała w potworny sposób. Niedługo potem usłyszeliśmy zawodzenie zbliżającej się karetki.

VIII

Impreza ciągnęła się dalej. Wyszedłem z gabinetu i dołączyłem do gości - częściowo z poszanowania dla pracy, którą Dario, Jimmy i Alice włożyli w tę wystawę, ale przede wszystkim ze względu na Elizabeth. Wydawało mi się, że ona by sobie tego życzyła. To była moja chwila w blasku słońca, tak powiedziała.

Ale na przyjęcie po otwarciu wystawy już nie poszedłem. Wymówiłem się jakoś i wysłałem tam córki oraz Pam, a razem z nimi Kamena, Kathi i jeszcze kilka osób z Minneapolis. Patrząc, jak odjeżdżają, uświadomiłem sobie, że nie mam jak dostać się do szpitala. Stałem tak przed drzwiami do galerii, zastanawiając się, czy Alice Aucoin już pojechała, kiedy nagle tuż obok mnie zatrzymał się stary, złomowaty mercedes. Okno od strony pasażera opadło.

- Wsiadaj - powiedziała Mary Ire. - Jeśli wybierasz się do Sarasota Memorial, to mogę cię podrzucić. - Zauważyła moje wahanie i uśmiechnęła się krzywo. - Mary wypła dziś wyjątkowo mało, a tak czy inaczej w Sarasocie po dziesiątej wieczorem ulice wyludniają się prawie do zera: wszystkie dziadki biorą prozac, popijają lyskaczykiem i kładą się do łóżka, żeby pooglądać Billa O'Reilly na TiVo.

Wsiadłem. Drzwi zamknęły się ze szczęśliwym traskiem, a ja zapadłem się w fotel tak głęboko, że przez jedną przeraźliwą chwilę już miałem stracha, że zatrzymam się dopiero tyłkiem na jezdni. Ale w końcu udało mi się wyhamować.

- Posłuchaj, Edgarze - zaczęła Mary, ale urwała, zawahawszy się. - Mogę ci jeszcze mówić po imieniu?

- Jasne.

Skinęła głową.

- Doskonale. Nie pamiętam, w jakim dokładnie nastroju zegnaliśmy się ostatnim razem. Czasem, kiedy za dużo wypiję... - Wzruszyła kościstymi ramionami.

- Jest dobrze - zapewniłem ją.

- W porządku. Ale jeśli chodzi o Elizabeth... to z nią raczej nie jest dobrze. Prawda?

Potrząsnąłem głową, bojąc się wymówić choćby słowo. Ulice, zgodnie z obietnicą, były niemalże całkowicie wyludnione. Na chodnikach - żywego ducha.

- Ona i Jake Rosenblatt byli kiedyś razem. Wyglądało to całkiem poważnie.

- I co się stało?

Znów wzruszyła ramionami.

- Dokładnie - to nie wiem. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że ona za bardzo przywykła do niezależności, żeby nagle pogodzić się z tym, że ktoś jest zależny od niej. Tak na stałe, a nie od czasu do czasu. Ale Jake'owi nigdy nie przeszło.

Przypomniałem sobie, jak Rosenblatt wykrzyknął: „Pierdolić przepisy, panno Eastlake!” i zaciekało mnie przelotnie, jak mówił do niej w łóżku. Bo z całą pewnością nie per „panna Eastlake”. Ale cóż, takie deliberacje były przygnębiające i bezcelowe.

- A może tak jest lepiej - zamyśliła się Mary. - Ona gasła. Gdybyś ją znał za jej najlepszych lat, wiedziałbyś, że nie życzyłaby sobie odejść w taki sposób.

- Żałuję, że jej wtedy nie znałem.

- Czy mogę coś zrobić dla twojej żony i córek?

- Nie, dziękuję - odpowiedziałem. - Teraz są na kolacji z Dariem, Jimmym i całą Minnesotą. Dołączę do nich, jeśli dam radę. Może jeszcze zdążę na deser. A jeśli nie, to mam pokój w Ritzu, razem ze wszystkimi. Zobaczymy się rano.

- To miło. Masz miłą rodzinę. Wyrozumiała.

Prawdę mówiąc, Pam była obecnie o wiele bardziej wyrozumiała niż przed rozwodem. Nie należy oczywiście zapominać, że teraz mieszkałem tutaj, a nie tam, i malowałem obrazy, a nie wydzierałem się na nią. I nie próbowałem dźgnąć jej kosą do masła.

- Moja recenzja to będzie jeden wielki pean na twoją cześć, Edgarze. Wiem, że w tej chwili to raczej nic dla ciebie nie znaczy, ale być może później cię zainteresuje. Twoje obrazy są niezwykle.

- Dziękuję.

Przed nami w ciemnościach migotały światła szpitala. Tuż obok niego znajdował się Waffle House, sieciowy bar, którego wizytówką są gofry. Niezły biznes dla lekarzy z

kardiologii.

- Pozdrowisz Libby ode mnie, jeśli będzie w ogóle w stanie zrozumieć, o co chodzi?

- Jasne.

- I wiesz, mam coś dla ciebie. Leży w schowku. Szara koperta. Miała to być przynęta, żebyś zgodził się na kolejny wywiad, już po wystawie, ale do diabła z tym.

Ze wciśnięciem przycisku otwierającego schowek w tym starym samochodzie miałem niejaki problemy, ale w końcu drzwiczki opadły jak żuchwa nieboszczyka. Myliłby się ten, kto spodziewałby się w środku tylko jednej szarej koperty - geolog mógłby tutaj dokopać się pewnie do pokładów z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku - niemniej leżała ona na samym wierzchu i była opisana moim nazwiskiem.

Mary zatrzymała wóz przed szpitalem, pod znakiem POSTÓJ 5 MINUT - DLA PACJENTÓW PRZYWOŻONYCH I ODBIERANYCH PRYWATNIE.

- Uprzedzam, że to, co znajdziesz w tej kopercie, bardzo cię zdziwi. Mnie zdziwiło. To wszystko znalazła dla mnie jedna znajoma, adiustatorka. Jest starsza od Libby, ale wciąż jeszcze bystra.

Odgiąłem zaciski. W kopercie były dwa skserowane artykuły z bardzo starej gazety.

- Te reportaże - powiedziała Mary - zostały wydrukowane w „Echu Tygodnia”, które ukazywało się w Port Charlotte. Pochodzą z czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku. To muszą być te same, które czytała kiedyś moja przyjaciółka Aggie. I wiem już, dlaczego nigdy nie udało mi się ich znaleźć. Po prostu nie wpadłam na to, żeby szukać aż w Port Charlotte, tak daleko na południu. Poza tym „Echo Tygodnia” zamilkło w roku trzydziestym pierwszym.

Latarnia, pod którą staliśmy, dawała zbyt mało światła, żeby można było przeczytać drobny druk, ale nagłówek i towarzyszące artykułowi zdjęcie zobaczyłem wyraźnie. Wpatrywałem się w nie przez długi czas.

- To ci coś mówi, prawda? - zapytała Mary.

- Tak. Nie wiem tylko co konkretnie.

- Powiesz mi, jeśli się dowiesz?

- W porządku - obiecałem. - Może nawet uda ci się w to uwierzyć. Ale Mary... Nie napiszesz o tym. Dziękuję, że mnie podwoziłaś. I że przyszedłaś na moją wystawę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. W obu przypadkach. Pozdrów Libby ode mnie, pamiętaj.

- Pozdrowię.

Ale nie pozdrowiłem. Nie spotkałem się z Elizabeth Eastlake już nigdy w życiu.

IX

Od pielęgniarki dyżurującej na oddziale intensywnej opieki medycznej dowiedziałem się, że Elizabeth zabrano na operację. Nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, jaka to operacja. Rozejrzałem się po poczekalni.

- Jeśli szuka pan pana Wiremana, to chyba poszedł do bufetu na kawę - poinformowała mnie pielęgniarka. - Trzecie piętro.

- Dziękuję - ruszyłem przed siebie, ale odwróciłem się jeszcze na chwilę. - Czy doktor Hadlock asystuje przy operacji?

- Chyba raczej nie - odparła - ale na pewno obserwuje.

Podziękowałem jej jeszcze raz i poszedłem szukać Wiremana. Znalazłem go w bufecie, zaszytego w najdalszym kącie. Siedział nad kubkiem kawy wielkości pocisku mózdzierzowego z drugiej wojny światowej. W sumie mieliśmy lokal dla siebie, jeśli nie liczyć garstki pielęgniarek i sanitariuszy oraz jednej zestresowanej rodziny w przeciwległym kącie sali. Większość krzeseł leżała odwrócona do góry nogami na stołach, pomiędzy którymi krzątała się ubrana w czerwony kombinezon kobieta o zmęczonej twarzy. Pomiedzy jej piersiami dyndał zawieszony na szyi iPod.

- *Hola, mi vato* - powiedział Wireman, uśmiechając się blado. Włosy, które porządnie uczesał na swoje wejście z Elizabeth i Jackiem, teraz opadały mu dookoła uszu, a pod oczami widać było ciemne półkola. - Kup sobie kawkę - poradził mi. - Smakuje jak gówno w proszku, ale oczy się nie zamykają.

- Nie, dzięki. Pożyczę sobie łyka od ciebie. - W kieszeni miałem trzy tabletki aspiryny. Wygrzebałem je i połknąłem, popijając kawą z kubka, który stał przed Wiremanem.

Zmarszczył nos.

- Chcesz mi sprzedać wszystkie swoje zarazki. Ohyda.

- Mam silny układ odpornościowy. Go z nią?

- Niedobrze. - Spojrzał na mnie ponuro.

- Ocknęła się może w karetkce? Powiedziała coś jeszcze?

- Powiedziała. - Co?

Wireman sięgnął do kieszeni swojej płóciennej koszuli i wyjął z niej zaproszenie na otwarcie mojej wystawy, z dużym tytułem **CO WIDAĆ Z WYSPY DUMA KEY**. Na odwrocie Wireman zanotował trzy krótkie zdania. Pismo jeździło z góry na dół - w karetkce pewnie mocno trzęsło - ale dało się to odczytać:

Stołowa przecieka.

Będziesz tego pragnął, ale ci nie wolno.

Trzeba ją utopić, wtedy uśnie z powrotem.

Każde z nich było samo w sobie niesamowite, ale kiedy zobaczyłem to ostatnie, po skórze na rękach przebiegła mi fala kłujących dreszczy.

- To wszystko? - zapytałem, oddając mu zaproszenie.

- Kilka razy wypowiedziała moje nazwisko. Poznawała mnie. I wołała też ciebie, Edgar.

- Rzuć okiem na to. - Położyłem szarą kopertę na stole, przesunąłem w jego stronę.

Wireman zapytał, skąd ją mam. Powiedziałem mu. Uznał, że to trochę jakby zbyt wygodne, a ja wzruszyłem ramionami. Przypomniałem sobie coś, co kiedyś powiedziała mi Elizabeth: „Nurt przyspieszył. Wkrótce dotrze do bystrzyny”. Cóż, do bystrzyny już dotarliśmy. A coś mi mówiło, że jesteśmy dopiero na samym początku tego strumienia.

Moje biodro sprawowało się już nieco lepiej; zamiast wielkich lamentów późną nocą urządzało mi już tylko ciche pochlipywania. Jak głosi powszechna opinia, najlepszym przyjacielem człowieka jest pies, ale ja optuję raczej za aspiryną. Przeniosłem krzesło na drugą stronę stołu i usiadłem obok Wiremana. Z tego miejsca mogłem przeczytać nagłówek: **ROZKWIT TALENTU W NASTĘPSTWIE WYPADKU - CZY PANIENKA Z WYSPY DUMA KEY TO CUDOWNE DZIECKO?** Pod nagłówkiem widniało zdjęcie. Był na nim mężczyzna, którego twarz dobrze znałem, ubrany w kostium kąpielowy, który również pamiętałem bardzo dobrze: John Eastlake w swoim szczuplejszym, smuklejszym wydaniu. Uśmiechał się do aparatu, trzymając na rękach tak samo uśmiechniętą dziewczynkę. Rozpoznałem w niej Elizabeth; na oko była w tym samym wieku co na tamtym rodzinnym portrecie córeczek z tatusiem, tylko teraz trzymała w wyciągniętych rączkach rysunek, a głowę miała owiniętą bandażem. Na zdjęciu była oprócz nich jeszcze jedna, dużo starsza dziewczyna - jej siostra Adriana; w rzeczy samej, mogła mieć marchewkowe włosy, ale prawdę mówiąc, nie zwróciliśmy na nią szczególnej uwagi. Ani na nią, ani na Johna Eastlake'a. Ani nawet na dziecko z bandażem na głowie.

- Ja cię kręcę - powiedział Wireman.

Rysunek przedstawiał konia wystawiającego łeb ponad parkanem. Na jego pysku malował się nieprawdopodobny (i zupełnie niekoński) uśmiech. Na pierwszym planie widać było stojącą tyłem małą dziewczynkę o złotych włosach wijących się w gęstych puklach. Dziewczynka podsuwała uśmiechniętemu koniowi marchewkę wielkości dubeltówki. Po obu stronach obrazka rosły palmy wyglądające niemalże jak odsłonięta kurtyna. Po niebie płynęły puszyste białe chmury, wisiało też na nim ogromne słońce, z którego były świetliste,

szczęśliwe promyczki.

Ten rysunek ewidentnie wyszedł spod ręki dziecka - a jednak nie można było wątpić w talent tego, kto go stworzył. Koń miał w sobie taką radość życia, że jego uśmiech przypominał puentę pogodnego dowcipu. Mógłbym się założyć, że gdyby zebrać w jednej sali tuzin uczniów szkoły plastycznej i kazać im narysować szczęśliwego konia, to ani jeden z nich nie zbliżyłby się choćby do tego poziomu. Nawet ta przerośnięta marchewka nie wyglądała jak błąd przy pracy, ale humorystyczny gadżet, element wzmacniający, artystyczne sterydy.

- To nie jest żart - wymamrotałem, pochylając się niżej nad zdjęciem. Tylko że pochylanie się niczego nie dało. Oglądałem ten rysunek przez cztery fałszujące obiektywy: najpierw fotografia, potem druk w gazecie, następnie ksero wydrukowanej fotografii... no i sam czas. Osiemdziesiąt lat, jeśli dobrze policzyłem.

- Co nie jest żartem? - zapytał Wireman.

- Ten koń, taki wielki. I ta marchewka. Nawet promienie słońca. Ten rysunek to jest dziecięcy okrzyk radości, Wireman!

- A moim zdaniem właśnie ktoś tu kogoś robi w konia. Nie ma innej możliwości. Ona miała wtedy dwa lata! Dwulatka nie umie jeszcze nawet narysować ludzików z pięciu kresek i powiedzieć: „To mama, a to tata”. Mam rację?

- A Candy'ego Browna też twoim zdaniem ktoś zrobił w konia? A ciebie, kiedy miałaś kulę we łbie? Której teraz już nie masz?

Nie odpowiedział.

Stuknąłem palcem w ostatnie słowa nagłówka: **CUDOWNE DZIECKO**.

- Patrz, mieli na to nawet odpowiednio wyszukane określenie. Nie sądzisz, że gdyby była z biednej, czarnej rodziny, to napisaliby o niej raczej **MAŁA CZEKOLADOWA WARIATKA** i pokazywali w wesołym miasteczku? Bo ja sądzę.

- Gdyby była z biednej, czarnej rodziny, to w ogóle nie napisaliby o niej w gazecie. A przede wszystkim nigdy w życiu nie wsiadłaby do dwukółki z kucykiem, więc nie mogłaby z niej wypaść i rozbić sobie głowy.

- To tak to było...? - Urwałem. Zamazana fotografia znów przykuła moją uwagę. Tym razem przyjrzałem się dokładniej starszej siostrze. Adrianie.

- Co? - zapytał Wireman takim tonem, jakby mówił „Co znowu?”.

- Jej kostium. Coś ci przypomina?

- Nie widać go za bardzo, ledwie samą górę. Resztę zasłania Elizabeth tym swoim rysunkiem.

- A ta część, którą widać?

Wpatrywał się w zdjęcie przez dłuższy czas.

- Przydałoby się szkło powiększające.

- Wcale nie widziałbyś przez nie lepiej. Prędzej na odwrót.

- Dobrze, niech ci będzie, *muchacho*, faktycznie ten kostium coś mi jakby przypomina... ale może to przez ciebie. Zasugerowałeś mi to.

- Ze wszystkich dziewczynek w serii ze statkiem tylko jednej nie umiałem nigdy rozpoznać: tej z obrazu numer sześć. Miała pomarańczowe włosy i niebieski kostium kąpielowy z żółtym paskiem dookoła szyi. - Dotknąłem palcem niewyraźnej podobizny Adriany Eastlake na skserowanej kartce, którą dostałem od Mary Ire. - To ta dziewczyna. I ten kostium. Jestem tego pewny. Elizabeth też nie miała wątpliwości.

- Czyli w sumie o co tutaj chodzi? - zapytał Wireman, przebiegając wzrokiem tekst artykułu i trąc sobie skronie. Zapytałem, czy ma problemy z okiem.

- Nie. Tylko to wszystko jest tak cholernie... - Uniósł głowę i spojrzał na mnie. Oczy miał wytrzeszczone i wciąż pocierał skronie. - Ona jechała dwukółką ciągniętą przez kucyka. Wypadła i uderzyła głową o kamień, tak przynajmniej tutaj piszą. Odzyskała przytomność dopiero u lekarza, kiedy przygotowywano ją do przewiezienia do szpitala w St. Petersburgu. Potem miała ataki. Przeczytaj sobie: „Mała Elizabeth wciąż ma ataki, które jednakowoż są już bardziej umiarkowane i, jak się wydaje, nie pozostawiają żadnych trwałych śladów”. A do tego zaczęła malować obrazy!

- Ten wypadek musiał się wydarzyć zaraz po tym, jak zrobiono ten duży portret rodzinny - zauważyłem - bo tutaj wygląda dokładnie tak samo, a dzieci w tym wieku zmieniają się błyskawicznie.

Wireman jakby mnie nie usłyszał.

- Wszyscy płyniemy tą samą łódką - oznajmił.

Już chciałem go zapytać, co to miało znaczyć, lecz nagle uświadomiłem sobie, że o nic nie muszę pytać.

- *Si, señor* - przytaknąłem.

- Upadła i uderzyła się w głowę. Ja strzeliłem sobie w łeb. A tobie głowę zmiażdżyła koparka.

- Dźwig.

Machnął dłonią, jakby chciał pokazać, że to dla niego bez różnicy. A potem tą samą dłonią chwycił mnie za przegub ocalałej z wypadku ręki. Palce miał zimne.

- Mam kilka pytań, *muchacho*. Dlaczego przestała malować? I dlaczego ja nigdy nie

malowałem?

- Nie potrafię dokładnie powiedzieć, dlaczego przestała. Może zapomniała, jak to się robi? Wymazała to z pamięci? A może postanowiła się wypierać i kłamać, że nigdy nie malowała? Jeśli chodzi o ciebie, to ty masz inny talent. Empatię. A na tej wyspie empatia podrasowała się i zmieniła w telepatię.

- Brednie... - Nie dokończył.

Poczekalem cierpliwie.

- Nie - odezwał się wreszcie. - To nie są brednie. Ale już tego nie umiem. Coś ci powiem, *amigo*, chcesz?

- Jasne.

Wireman wskazał kciukiem zestresowaną rodzinę siedzącą naprzeciwko nas. Intensywnie o czymś rozprawiali. Tatko groził palcem Mamuśce. A może Siostrze, trudno było powiedzieć.

- Jeszcze kilka miesięcy temu umiałbym dokładnie powiedzieć, o co się tak kłóć. Teraz mogę co najwyżej się domyślać, na podstawie znajomości ludzkiej natury.

- Rezultat pewnie byłby podobny - powiedziałem. - A zamieniłbyś się teraz? Wzrok za możliwość czytania cudzych myśli od czasu do czasu?

- Boże, nigdy w życiu! - prychnął i rozejrzał się po sali, przekrzywiając głowę i uśmiechając się z ironią. - Nie do wiary, o czym my gadamy. Wciąż mi się zdaje, że zaraz się obudzę i usłyszę: „Szeregowy Wireman, na stanowisko biegiem marsz!”.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Nie ma takiej możliwości.

X

Zgodnie z tym, co napisano w „Echu Tygodnia”, mała Elizabeth (w całym artykule właściwie nie nazywano jej inaczej) poczyniła pierwsze kroki w kierunku twórczości artystycznej w zasadzie natychmiast po wypadku, gdy tylko wróciła do domu ze szpitala i zaczęła dochodzić do siebie. Robiła błyskawiczne postępy, a jej „biegłość i umiejętność, jak opowiadał szczerze zdumiony ojciec, zwiększały się niemalże z godziny na godzinę”. Na początku rysowała kredkami („Mówi ci to coś?”, zapytał Wireman), potem przerzuciła się na akwarele, które oszołomiony jej talentem ojciec przywiózł specjalnie z Venice.

Pierwsze trzy miesiące po wypadku mała Elizabeth spędziła głównie w łóżku. W ciągu tego czasu spod jej ręki wyszły dosłownie setki akwarel; pracowała w takim tempie, że

ojciec i siostry zaczęli się bać (tego, co na ten temat sądziła „niania Melda”, o ile w ogóle miała własne zdanie, nie zamieszczono w gazecie). Eastlake próbował ją powstrzymać od malowania - na polecenie lekarza - ale zamiast jej pomóc, przyniosło to efekt wprost przeciwny, wywołując rozdrażnienie, napady płaczu, bezsenność i uderzenia gorączki. Mała Elizabeth skarżyła się, że kiedy nie może malować ani rysować, to „głowa ją boleje”. Jej ojciec wyznał natomiast, że kiedy córka maluje, to „pochłania wielkie ilości jedzenia, jakby zmieniła się w konia z tych swoich rysunków”. Autor artykułu, niejaki M. Rickert, uznał to za urocze; tak można było przypuszczać, czytając jego tekst. Ja natomiast, przypomniawszy sobie swoje napady obżarstwa, stwierdziłem, że znam to aż za dobrze z własnego doświadczenia.

Przebiegałem właśnie oczami niewyraźny druk już po raz trzeci (Wireman siedział po mojej prawej ręce, a raczej tam, gdzie swojego czasu była), kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich Gene Hadlock. Miał na sobie tę samą czarną muszkę i jasnoróżową koszulę, w których pojawił się na wystawie, ale muszka była teraz rozwiązana, a kołnierzyk koszuli rozpięty. Nie zdjął natomiast zielonych spodni i butów - części kombinezonu chirurga. Szedł ze zwieszoną głową. Kiedy ją podniosłem, zobaczyłem wydłużoną, smutną twarz, podobną do pyska starego posokowca.

- Dwudziesta trzecia dziewiętnaście - powiedział. - Nie mieliśmy praktycznie żadnej szansy.

Wireman ukrył twarz w dłoniach.

XI

Dotarłem do Ritza za piętnaście pierwsza w nocy, utykając ze znużenia i marząc o tym, żeby być zupełnie gdzieś indziej. Chciałem znaleźć się w Wielkim Koralu, we własnej sypialni. Położyć się na własnym łóżku, zepchnąć tę nową, obcą lalkę na podłogę (tak jak tamte dekoracyjne poduszki) i przytulić Rebę. Leżeć i patrzeć na wirujący wentylator. A najbardziej marzyłem o tym, żeby wsłuchać się w szeptane rozmowy muszli rozprawiających nieustannie pod podłogą domu. I usnąć, słuchając tych głosów.

Zamiast tego miałem zupełnie inne otoczenie: hotelowy hol. Wszystkiego było w nim za dużo. I ozdób, i ludzi, i muzyki (bez względu na porę pianista wciąż grał), a przede wszystkim - światła. Ale mimo wszystko tutaj była cała moja rodzina. Nie uczestniczyłem w uroczystej kolacji, więc uznałem, że uroczystego śniadania nie mogę przegapić.

Poprosiłem recepcjonistę o klucz. Razem z nim wręczył mi stosik wiadomości.

Otwierałem je po kolei. W większości były to wyrazy uznania, wśród których wyróżniała się kartka od Ilse: „Dobrze się czujesz? Jak nie zobaczę cię do godziny ósmej rano, wyruszam na poszukiwania. Lojalnie ostrzegam”.

Na samym końcu znalazłem kopertę od Pam. Sama wiadomość składała się z trzech słów: „Wiem, że umarła”. Wszystkie inne, niezapisane a potrzebne, zawierały się w tym, co zostało dołączone do listu. Był to klucz do jej pokoju.

XII

Pięć minut później stanąłem z kluczem w dłoni przed drzwiami opatrzonymi numerem 847. Zbliżyłem go do zamka, potem sięgnąłem do dzwonka. Następnie obejrzałem się w kierunku wind. Stałem tak chyba kolejne pięć minut, ze zmęczenia nie mogąc podjąć żadnej decyzji, i tkwiłbym tam pewnie jeszcze dłużej, gdyby nie to, że nagle dobiegł mnie syk otwierającej się windy, a zaraz po nim - wesoly śmiech i podchmielone głosy. Przestraszyłem się, że to mogą być jacyś znajomi - Tom i Bozia, na przykład, albo Duży Ainge z żoną. Może nawet Lin i Ric. Ostatecznie nie wynająłem całego piętra. Większą część, ale nie całe.

Wepchnąłem klucz do zamka. Nie musiałem go nawet przekręcać, bo był elektroniczny. Zapłonęła zielona lampka, a ja wślizgnąłem się do środka, popędzany zbliżającymi się głosami i śmiechem.

Wynająłem dla niej apartament. Salon, jak się okazało, był spory. Przed wyjściem na wystawę najwidoczniej odbyła się tutaj impreza przedwstępna. Zauważyłem dwa stoliki na kółkach, zastawione półmiskami pełnymi wykwinnych kanapek. Do tego dwa - nie, trzy - wiaderka do szampana. Dwie butelki sterczały wetknięte w lód dnem do góry - żołnierze polegli na polu chwały. W trzeciej coś tam się jeszcze kołatało, ale była w stanie krytycznym.

Na ten widok znów przypomniała mi się Elizabeth. Zobaczyłem ją siedzącą obok stołu z Porcelanowym Miasteczkiem. Wyglądała jak Katharine Hepburn w „Kobiecie roku” i mówiła: „Zobacz, jak poustawiałam dzieci pod szkołą! Chodź, obejrzyj!”.

Zdolność do zadawania bólu to największa siła miłości. Tak mówi Wireman.

Obszedłem dookoła krąg krzesel, na których siedzieli moi najbliżsi, rozmawiając, śmiejąc się i - tego byłem pewien - wznosząc toasty za moją ciężką pracę i szczęście, które raczyło się do mnie uśmiechnąć. Wyjąłem ostatnią butelkę z kałuży roztopionego lodu, uniosłem ją w kierunku panoramicznego okna, długiego na całą ścianę. Prezentowała się w nim zatoka Sarasota Bay, podobna do makiety w wielkiej gablocie.

- Wszystkiego najlepszego, Elizabeth - powiedziałem. - *Hasta la vista, mi amada.*

- Co to znaczy *amada*?

Odwrociłem się. W drzwiach do sypialni stała Pam. Miała na sobie niebieską koszulę nocną; nie mogłem sobie przypomnieć, żebym kiedyś ją widział. Jej włosy, rozpuszczone, były długie, tak długie jak chyba jeszcze w czasach, kiedy Ilse chodziła do liceum. Opadały jej aż do ramion.

- *Amada* to znaczy „kochanie” - wyjaśniłem. - Wireman mnie tego nauczył. Miał żonę Meksykankę.

- Miał?

- Umarła. Skąd wiesz o Elizabeth?

- Od tego chłopaka, który dla ciebie pracuje. Prosiłam go, żeby zadzwonił, gdy coś już będzie wiadomo. Bardzo mi przykro.

Uśmiechnąłem się, odkładając butelkę do wiaderka. Nie trafiłem. Ani w wiaderko, ani, cholera jasna, w stół. Butelka spadła na podłogę i potoczyła się po dywanie. Był taki dzień, kiedy Córka Ojca Chrzestnego, mała dziewczynka, podsuwała swój portret uśmiechniętego konia pod obiektyw gazetowego fotografa, którym był pewnie jakiś elegancik w słomkowym kapeluszu i z przewiązanymi rękawami u koszuli. Potem zaś nadszedł dzień, kiedy oddawała ducha na fotelu inwalidzkim, stara kobieta wstrząsana drgawkami, które zrzuciły jej z głowy siateczkę na włosy, zrywając ją z ostatniej szpilki i rzucając na podłogę gabinetu w galerii sztuki, migoczącą w świetle jarzeniówek. A co było pomiędzy tymi dwoma dniami? Ciąg chwil tak krótki, jakby skinąć głową albo dłonią w kierunku błękitnego nieba. Każdego z nas czeka taki sam koniec: upadek na podłogę.

Pam wyciągnęła do mnie rękę. Księżyc tej nocy był w pełni, a jego promienie, wpadając przez to wielkie okno, pokazały mi tatuaż w kształcie róży czerwieniącej się na krągłości jej piersi. Nowy, niezwykajny element... ale sama pierś była mi znana. Znałem ją dobrze.

- Chodź - powiedziała.

Podszedłem. Po drodze zawadziłem szwankującym biodrem o jeden ze stolików z resztkami przyjęcia i zatoczyłem się prosto w jej otwarte ramiona, myśląc: piękne spotkanie po długim rozstaniu, zaraz oboje wylądujemy na podłodze. Ja oczywiście na wierzchu. Może nawet uda mi się złamać jej kilka żeber. Jest to całkiem możliwe, bo od przyjazdu na Dumę przytyłem dziewięć kilo.

Ale Pam miała sporo siły. Zapomniałem o tym. Utrzymała mój ciężar; musiała się chwycić drzwi do sypialni, ale po chwili stanęła prosto, nie wypuszczając mnie z objęć. Ja też przygarnąłem ją do siebie, przytulając się policzkiem do jej ramienia i wdychając pełną

piersią ten dobrze znany zapach kobiety.

„Wireman! Spałam dziś krócej. Wstałam i bawiłam się moją porcelanową trzódką. Było pysznie!”.

- Chodź, Eddie, jesteś zmęczony. Chodź do łóżka.

Poprowadziła mnie do sypialni. Tutaj księżyc nie świecił już tak mocno, bo okno było mniejsze, za to otwarte. Dobiegały zza niego nieustające westchnienia morskich fal. - Na pewno...?

- Cicho, nic nie mów.

„Na pewno słyszałam już, jak się pan nazywa, ale wyleciało mi z głowy, często mi się to teraz zdarza”.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Bardzo żałuję...

Położyła mi palce na ustach.

- Nie chcę twojego żalu.

Usiedliśmy, spowici w cienie, ramię w ramię na skraju łóżka.

- A czego chcesz? - zapytałem.

Pokazała mi pocałunkiem. Jej oddech był ciepły i smakował szampanem. Na krótką chwilę zapomniałem o Elizabeth i Wiremanie, o koszach piknikowych i o wyspie zwanej Duma Key. Przez krótką chwilę była tylko ona i tylko ja, zupełnie jak za dawnych czasów. Dawnych, dwuręcznych czasów. A potem, przez krótką chwilę, spałem - dopóki przez okno nie zakradł się pierwszy blask świtu. Utrata pamięci nie zawsze jest kulą u nogi; czasami - a może nawet całkiem często - jest deską ratunku.

JAK POWSTAJE OBRAZ (VIII)

Bądź odważny. Nie obawiaj się rysować tego, co ukryte. Nikt nie powiedział, że sztuka musi być zawsze jak zefir; czasami sztuka to huragan. Ale nawet wtedy nie wolno ci ulec wahaniu, musisz trzymać kurs. Bo jeśli powiesz sobie „Ja tu rządzę” - a to jest wielkie kłamstwo, które leży u podstaw złej sztuki - to pogrzebiesz swoją szansę na dotarcie do prawdy. Prawda nie zawsze jest ładna. Czasami prawda - to duży chłopak.

Dziewczynki mówią: „ To jest żaba, którą narysowała Libbit. Ta żaba ma zemby”.

A czasami - to coś jeszcze gorszego. Coś takiego jak Charley, Charley w błękitnych bryczesach. Albo ONA.

To jest obrazek. Na tym obrazku mała Libbit przykłada palec do ust. Cicho, szepcze. Ona usłyszy, jak będziecie gadać, więc cicho. Będą się działy złe rzeczy, a gadające ptaki fruujące do góry nogami to jeszcze nic, to dopiero początek, więc cicho. Jeśli spróbujecie uciekać, straszny stwór może wyskoczyć z gąszczu cyprysów i gumbo - limbo, żeby złapać was na ścieżce. A w wodzie, tam, gdzie Cienista Plaża, czają się jeszcze gorsze stwory - gorsze niż duży chłopak, gorsze niż Charley, który pędzi jak wichur. Czają się w Wodzie, żeby was utopić. Tylko że nawet kiedy już utoniecie, to wcale nie będzie koniec, nie. Więc cicho.

Ale od prawdziwego artysty prawda domaga się wypowiedzenia. Libbit Eastlake może uciszyć swoje usta, ale farby i kredki nie zamilkną.

Ośmiela się rozmawiać tylko z jedną osobą. I jest tylko jedno miejsce, gdzie taka rozmowa może się odbyć - tylko jedno miejsce w całym Czaplinskim Siedlisku, gdzie JEJ moc wydaje się słabnąć. Libbit prowadzi tam nianię Meldę. I próbuje wytłumaczyć, jak to wszystko się stało, jak talent domagał się prawdy, a prawda wymknęła się z rąk. Usiłuje opisać, jak rysunki zawładnęły jej życiem i dlaczego w końcu zniechęciła tę porcelanową figurkę, którą tatuś wyłowił z morza razem z innymi skarbami - małą porcelanową laleczką, która należała się Libbit jako jej znaleźne. Próbuje wypowiedzieć na głos swój najgłębszy lęk, mianowicie, że jeśli czegoś się nie zrobi, to bliźniaczki nie będą jedynymi ofiarami, tylko pierwszymi. A Duma Key, być może, nie będzie jedynym miejscem, gdzie zaczną ginąć ludzie.

Dziewczynka zbiera się na odwagę (a jak na dziecko dopiero co wyrosłe z pieluch

musiała jej zebrać naprawdę bardzo, bardzo dużo) i opowiada całą prawdę, chociaż brzmi ona jak wariackie urojenia. Najpierw mówi o tym, jak sprowadziła huragan, ale zastrzega się, że to nie był jej pomysł - to był JEJ pomysł.

Wydaje mi się, że niania Melda w to uwierzyła. Dlaczego? Bo widziała dużego chłopaka? Bo widziała Charleya?

Sądzę, że widziała ich obu.

Prawda musi wyjść na jaw, to podstawa wszelkiej sztuki. Nie znaczy to jednak, że cały świat musi poznać tę prawdę.

Niania Melda pyta: „Gdzie twoja nowa lalka? Ta z porcelany?”.

Libbit odpowiada: „W moim specjalnym pudełku na skarby. W pudełku - serduszku”.

Niania Melda pyta: „A jak ona się nazywa?”.

Libbit odpowiada: „Perse”.

Niania Melda dziwi się: „Percy to imię dla chłopaka”.

A Libbit wyjaśnia: „Nic na to nie poradzę. Nazywa się Perse. Taka jest prawda”. I dodaje: „Perse ma statek. Ten statek wygląda ładnie, ale w środku nie jest ładny. To zły statek. Co zrobimy, nianiu?”.

Niania Melda myśli nad odpowiedzią, stojąc razem z małą Libbit w tym jedynym bezpiecznym miejscu. A mnie się wydaje, że ona wiedziała, co trzeba zrobić. Nie była krytykiem sztuki - daleko jej było do Mary Ire - ale sądzę, że wiedziała. Odwaga to czyn, a nie pokaz. Prawdę, gdy wyjdzie na jaw, a jest zbyt straszna, by świat ją oglądał, można ukryć z powrotem. I to się zdarza. Z całą pewnością. Każdego dnia.

Bo ja myślę, że każdy artysta, który jest wart choćby złamanego grosza, ma swój czerwony piknikowy kosz.

CZERWONY KOSZ

I

- Mogę się przysiąc, proszę pana?

Ilse stanęła nade mną. Miała na sobie zielone szorty i taką samą bluzkę bez pleców, zawiązywaną na szyi. Przyszła na basen boso, a jej twarz, bez śladu makijażu, była jeszcze lekko opuchnięta od snu. Włosy - związane w koński ogon, tak jak je nosiła, kiedy miała jedenaście lat; gdyby nie pełne, dojrzałe piersi, naprawdę można by ją wziąć za jedenastolatkę.

- Proszę uprzejmie - odpowiedziałem.

Usiadła obok mnie na brzegu hotelowego basenu. Byliśmy mniej więcej w połowie jego długości. Pod naszymi pośladkami zniknęło oznaczenie głębokości: pod moim tyłkiem liczba **1,5**, pod jej - litera **M**.

- Ranny z ciebie ptaszek - zauważyłem, ale bez zdziwienia. Illy zawsze była naszym niespokojnym duchem.

- Martwiłam się o ciebie, zwłaszcza po tym, jak pan Wireman zadzwonił do Jacka z wiadomością, że tamta miła starsza pani umarła. To Jack nas o tym poinformował. Byliśmy jeszcze na kolacji.

- Wiem.

- Bardzo mi przykro. - Oparta głowę o moje ramię. - A do tego to był twój wielki wieczór.

Objąłem ją, nic nie mówiąc.

- Tak czy inaczej, spałam tylko kilka godzin, a potem wstałam, bo było już jasno. Wyglądam przez okno i proszę - kto siedzi sobie sam jak palec nad basenem? Mój własny ojciec.

- Od rana nie mogłem spać. Mam nadzieję, że nie obudziłem ma... - Urwałem, widząc jej wielkie, okrągłe oczy. - Nie wyobrażaj sobie nie wiadomo czego, Kruszyńko. Chodziło

tylko o trochę pocieszenia.

Chodziło zdecydowanie o coś innego, ale nie czułem się na siłach, żeby analizować tę kwestię z moją córką. Czy też z sobą samym, jeśli już o tym mowa.

Ilse zwiesiła nos na kwintę, ale potem wyprostowała się i spojrzała na mnie, przekrzywiając głowę. Jej usta drgnęły zapowiedzią uśmiechu.

- Jeśli wciąż masz nadzieję, to twoja sprawa - powiedziałem. - Ale radziłbym nie dokarmiać jej zanadto. Nigdy nie przestanę troszczyć się o Pam, ale czasami ludzie oddalają się od siebie za bardzo, żeby wrócić. I chyba... a właściwie na pewno tak stało się z nami.

Ilse odwróciła głowę, błędząc wzrokiem po nieruchomej powierzchni wody w basenie. Jej uśmiech zgasł. Zrobiło mi się przykro z tego powodu - okropnie przykro - ale być może tak było lepiej.

- No dobrze, w porządku - mruknęła.

Teraz mogłem już poruszyć inne tematy. Nie miałem na to specjalnej ochoty, ale w końcu byłem jej ojcem, a ona, pod wieloma względami, wciąż jeszcze pozostała dzieckiem. Co oznaczało, że niezależnie od tego, jak bardzo czułem się przybity śmiercią Elizabeth Eastlake czy też zdezorientowany, jeśli chodziło o moją własną sytuację, należało wywiązać się z pewnych obowiązków.

- Illy, muszę cię o coś zapytać.

- W porządku, jasne.

- Nie nosisz pierścionka, bo się boisz, że jak mama go zobaczy, to dostanie apopleksji... co zresztą jest dla mnie w pełni zrozumiałe... czy dlatego, że z Carsonem...

- Odesłałam mu go - przerwała mi płaskim, bezbarwnym głosem. Lecz potem zachichotała, a mnie kamień spadł z serca. - Ale zamówiłam przesyłkę UPS - em i ubezpieczyłam ją.

- A więc... to koniec?

- Cóż... Nigdy nie mów nigdy. - Zakołysała powoli stopami zanurzonymi w wodzie. - Carson wcale nie chce niczego kończyć, tak przynajmniej mówi. Ja też nie jestem pewna, czy chcę. W każdym razie trzeba sprawdzić, jak nam wyjdzie spotkanie twarzą w twarz. Telefon czy e-mail nie nadają się za bardzo do rozmów na takie tematy. I chcę jeszcze zobaczyć, czy wciąż nas do siebie ciągnie, a jeśli tak, to czy mocno, czy niezbyt. - Zerknęła na mnie z ukosa, lekko zaniepokojona. - Nie uważasz, że to wstrętne, prawda?

- Nie, kotku.

- Mogę cię o coś spytać?

- Proszę.

- Ile razy dałeś mamie nową szansę?

Uśmiechnąłem się.

- W ciągu całego naszego małżeństwa? Będzie ze dwieście. Albo coś około tego.

- A ona tobie?

- Mniej więcej tyle samo.

- A czy chociaż raz... - Urwała. - Nie mogę cię pytać o coś takiego.

Spojrzałem na wodę w basenie, czując, jak moje policzki oblewają się rumieńcem; tak czerwieni się klasa średnia.

- Ponieważ ta rozmowa odbywa się o godzinie szóstej rano, kiedy na basenie nie ma jeszcze nawet obsługi, i ponieważ sądzę, że wiem, na czym polega twój problem z panem Carsonem Jonesem, możesz o to zapytać. Odpowiedź brzmi: nie. Ani razu. Ale jeśli mam być szczerzy do bólu, to muszę przyznać, że miałem więcej szczęścia niż cnoty. Kilka razy już niewiele brakowało, a raz od wpadki uratował mnie po prostu fart, los czy też może opatrność. Nie sądzę, żeby taki... wypadek mógł rozbić nasze małżeństwo, bo moim zdaniem partnerowi czy partnerce można zrobić różne o wiele gorsze świństwa, ale też w końcu nie bez powodu nazywa się to „zdradą”. Jedno potknięcie można wybaczyć, mówiąc, że błędzić to ludzka rzecz. Dwa można tłumaczyć wrodzoną słabością człowieka. Ale potem... - Wzruszyłem ramionami.

- On mówi, że to był tylko jeden raz - powiedziała cicho, niemalże szepcząc. Poruszała wciąż stopami, coraz wolniej, jakby niósł je jakiś senny podwodny prąd. - Podobno to ona zaczęła robić do niego słodkie oczy, aż w końcu... No, wiesz.

Jasne, pomyślałem. Zawsze tak jest. W każdym razie w książkach i na filmach. W życiu może czasem też. To, że takie usprawiedliwienia brzmią jak wyrachowane kłamstwo, nie oznacza jeszcze, że nie mogą być prawdziwe.

- Chodzi o tę dziewczynę, z którą on śpiewa?

Ilse skinęła głową.

- Bridget Andreisson.

- Wielkie gardło, nieświeży oddech.

Bładziutki uśmiech.

- Przypominam sobie - ciągnąłem dalej - jak jeszcze całkiem niedawno mówiłaś mi, że Carson będzie musiał wybrać.

Długa chwila ciszy, a wreszcie:

- To skomplikowana sprawa.

Zawsze tak jest. Zapytajcie byle faceta, który siedzi przy barze i zalewa się w sztok,

bo żona wyrzuciła go z domu. Milczałem.

- Powiedział jej - podjęła Ilse - że nie chce się z nią więcej widywać. I nie śpiewają już duetów. Wiem to na pewno, bo sprawdziłam najnowsze recenzje w Internecie. - Zarumieniła się przy tym lekko, chociaż ja wcale nie miałem jej niczego za złe. Sam bym sprawdził. - Pan Fredericks, dyrektor artystyczny ich trasy, zagroził mu, że odeśle go do domu, a Carson odpowiedział, że jeśli chce, to proszę bardzo, ale on już więcej nie zaśpiewa z tą świętą blond zdzirą.

- Tak powiedział?

Ilse uśmiechnęła się promiennie.

- Tato, on jest baptystą. Tłumaczę ci jego słowa. Tak czy inaczej postawił na swoim, a pan Fredericks musiał ustąpić. Dla mnie to jest punkt na korzyść Carsona.

Niech będzie, że punkt, pomyślałem, ale nie zmienia to faktu, że pan Jones wciąż jest niewiernym narzeczonym, który sam na siebie mówi „Śmieszek”.

Wziąłem moją córkę za rękę.

- Co teraz chcesz zrobić?

Westchnęła. O ile związane w koński ogon włosy upodabniały ją do jedenastolatki, to wzdychała tak ciężko, jakby miała lat czterdzieści.

- Nie wiem. Jestem w kropce.

- Więc pozwól sobie pomóc. Wysłuchasz moich rad?

- Dobrze.

- Przez jakiś czas nie spotykaj się z nim - zacząłem i w tej samej chwili zrozumiałem, że tego właśnie pragnę całym sercem. Ale to był właściwie dopiero początek moich pragnień. Kiedy przypomniałem sobie obrazy z serii „Dziewczynka i statek”, a zwłaszcza postać dziewczynki w łódce, naszło mnie nagle, żeby udzielić jej jeszcze wielu innych rad: nie rozmawiaj z nieznajomymi, trzymaj suszarkę z daleka od wanny, a jogging uprawiaj wyłącznie na terenie kampusu. Nigdy nie biegaj po żadnym miejskim parku, kiedy robi się ciemno.

Ilse patrzyła na mnie z lekkim zdziwieniem. Wreszcie udało mi się ogarnąć i podjąć temat:

- Wracaj prosto do szkoły...

- Właśnie o tym chciałam z tobą pogadać...

Skinąłem głową, ściskając ją lekko za ramię na znak, żeby nie przerywała.

- Dokończ semestr. Pozdawaj egzaminy. Poczekaj, aż Carson skończy tournée. Złap dystans i dopiero wtedy się z nim spotkaj... Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak... - Widziałem, że rozumie, ale nie jest do końca przekonana.

- Na spotkanie umówcie się w jakimś neutralnym miejscu. Nie chcę cię zawstydząć, ale skoro rozmawiamy w cztery oczy, to powiem ci, że łóżko nie jest neutralne.

Ilse spuściła wzrok ku swoim stopom, które wciąż mąciły wodę. Ująłem ją pod brodę i odwróciłem jej twarz do siebie.

- Kiedy dwoje ludzi ma do siebie jakieś niezalagodne żale, łóżko jest polem bitwy. Na twoim miejscu nie umawiałbym się z nim nawet na obiad, dopóki nie będziesz miała pewności, jak to właściwie jest między wami. Spotkajcie się... nie wiem... w Bostonie. Idźcie do parku, znajdźcie jakąś ławkę i tam wszystko obgadajcie. Poukładaj sobie całą sprawę w głowie i dopilnuj, żeby on też miał jasny obraz sytuacji. A potem możecie iść na obiad. Albo na mecz Red Soxów. Albo do łóżka, jeśli będziesz zdania, że tak będzie w porządku. Ja osobiście wolę nie myśleć o tym, że uprawiasz seks, ale to nie znaczy jeszcze, że chciałbym ci tego zabronić.

Przyznaję, mocno mi ulżyło, kiedy usłyszałem jej śmiech. Na jego dźwięk podszedł do nas zaspany kelner i zapytał, czy życzymy sobie kawy. Odparliśmy, że tak, a kiedy kelner oddalił się, żeby ją przynieść, Ilse powiedziała:

- W porządku, tato. Mam teraz jasność. Od początku zresztą chciałam ci powiedzieć, że wracam dziś po południu. Pod koniec tygodnia mam wstępny egzamin z antropologii. Będę się uczyć razem ze znajomymi. Jest nas kilka osób: tak zwana liga niedobitków. - Spojrzała na mnie niespokojnie. - Nie będzie ci przykro? Wiem, że chciałeś spędzić z nami kilka dni, ale teraz, kiedy ta twoja znajoma...

- Wszystko w porządku, kotku. - Pocałowałem ją w czubek nosa, mając nadzieję, że z takiej odległości nie będzie widać mojego zadowolenia. Było mi bardzo przyjemnie, że przyjechała na moją wystawę i że udało nam się odbyć tę poranną rozmowę, ale przede wszystkim cieszyłem się z tego, że kiedy słońce zacznie zachodzić, ona będzie już tysiąc pięćset kilometrów stąd, pozostawi wyspę Duma Key daleko za sobą, na południu. O ile tylko uda nam się znaleźć dla niej samolot, rzecz jasna. - A co z Carsonem? - zapytałem.

Przez jakąś minutę siedziała bez słowa, mieszając bosymi stopami wodę. W końcu wstała i wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi się podnieść.

- Chyba masz rację. Jeśli on traktuje nasz związek poważnie, to będzie musiał wziąć na wstrzymanie i poczekać do czwartego lipca.

Kiedy ta decyzja już zapadła, jej oczy rozjaśniły się z powrotem.

- To mi da czas do końca semestru plus miesiąc wakacji. On do tej pory wróci z trasy po tym ostatnim koncercie w Cow Palace i też będzie miał dość czasu, żeby się namyślić, czy już skończył z Blondyną czy jeszcze nie. Czy to ci pasuje, ojcze drogi?

- Jak najbardziej.

- Idzie nasza kawa - powiedziała. - Chciałabym wiedzieć jeszcze tylko jedną rzecz: o której tu dają śniadanie?

II

Wireman nie przyszedł na prozione śniadanie po imprezie, ale zarezerwował od ósmej do dziesiątej rano salę o nazwie Bay Island Room. Czyniłem więc honory przy stole, gdzie zgromadziły się dwa tuziny moich krewnych i znajomych, głównie z Minnesoty. Było to spotkanie z rodzaju tych, które wspomina się przez całe dziesięciolecia. Przyczyniło się do tego w równym stopniu zgromadzenie tak wielu znajomych twarzy w tak egzotycznej scenerii, jak i atmosfera panująca przy stole, naładowana skrajnymi emocjami.

Z jednej strony czuło się bardzo namacalny nastrój pod tytułem „naszemu chłopakowi się powiodło”. Już na wystawie wszyscy to przeczuwali, a poranne gazety przyniosły potwierdzenie. Recenzje w „Herald Tribune” z Sarasoty i „Gondolierze” z Venice były entuzjastyczne, lecz krótkie. Tekst Mary Ire, opublikowany w „The Tampa Tribune”, miał dla odmiany całą stronę długości, autorka zaś wręcz rozpływała się w zachwytach. Podejrzywałem, że był to w dużej części wcześniej napisany gotowiec. Mary nazwała mnie „nowym wielkim talentem Ameryki”. Komplement za dychę, jak powiedziała by moja matka, która zawsze była trochę zgryźliwa. Rzecz jasna, mówiła tak czterdzieści lat temu, kiedy nawet za dziesięć centów można było dostać o wiele więcej niż dziś.

Z drugiej strony, co oczywiste, myśli krążyły wokół Elizabeth. Nie ukazał się żaden nekrolog, ale w dzienniku z Tamy, na tej samej stronie co recenzja Mary Ire, wydrukowano ramkę z krótkim tekstem i nagłówkiem: **ZNANA MECENASKA SZTUKI ZASŁABŁA NA OTWARCIU WYSTAWY OBRAZÓW EDGARA FREEMANTLE'A**. Tekst miał zaledwie dwa akapity i informował tylko o tym, że Elizabeth Eastlake, zamieszkała na wyspie Duma Key i przez wiele lat obecna na scenie artystycznej Sarasoty, pojawiła się nieoczekiwanie w galerii Scoto i niedługo potem dostała ataku, po czym została przewieziona karetką pogotowia ratunkowego do szpitala Sarasota Memoriał. W chwili obecnej, podawała gazeta, nie wiadomo jeszcze, jaki jest jej stan.

Wszyscy moi krewni i znajomi z Minnesoty zostali poinformowani, że zeszłego wieczoru, w swoim dniu chwały, straciłem dobrą przyjaciółkę. Co jakiś czas przy stole zrywał się śmiech i przelatywał jakiś kpiarski komentarz, a chwilę później dookoła mnie krzyżowały się niespokojne spojrzenia, badające, czy nie poczułem się urażony. O dziewiątej trzydziści

jajecznicą, którą zjadłem, zaczęła ciążyć mi w żołądku jak ołowiany balast i czułem, że nadchodzi ból głowy - a nie bolała mnie już od niemalże miesiąca.

Przepraszając swoich gości, poszedłem na górę. W pokoju, który dla siebie wynająłem, a w którym nie spałem tej nocy, zostawiłem małą podręczną torbę, a w niej kosmetyczkę z przyborami do golenia, gdzie znajdowało się kilka foliowych opakowań leku na migrenę o nazwie zomig. Z bólem głowy rozkręconym już do oporu nie miał szans, ale zażyty odpowiednio wcześniej zazwyczaj działał. Popiłem jedną tabletkę colą z lodówki znajdującej się za kontuarem do drinków i już chciałem wyjść, kiedy rzuciło mi się w oczy migające światełko automatycznej sekretarki. Byłbym je zignorował, lecz przyszło mi na myśl, że to może być wiadomość od Wiremana.

Wiadomości, jak się okazało, miałem w sumie sześć. Pierwsze cztery to były gratulacje; spadały po kolei na moją obolałą głowę jak kulki gradu na blaszany dach. Ostatnia z nich, czwarta, była od Jimmy'ego; zamiast odsłuchiwać w całości, przerzucałem je po kilku sekundach za pomocą szóstki na klawiaturze. Nie byłem w nastroju na pieszczoty.

Piąte nagranie istotnie zostawił dla mnie Jerome Wireman. W jego głosie brzmiało znużenie, ale też zaskoczenie.

- Edgar, wiem, że masz teraz w kalendarzu kilka dni dla rodziny i przyjaciół, i cholernie nie chce mi się prosić cię o to, ale muszę: możemy spotkać się po południu u ciebie? Musimy pogadać, naprawdę, mówię poważnie. Jack nocował dziś w *El Palacio*. Nie chciał zostawić mnie samego. Kochany z niego dzieciak. Wstaliśmy wcześniej, żeby poszukać tego czerwonego kosza, o którym mówiła starsza pani, no i... No i go znaleźliśmy. Lepiej późno niż wcale, tak? Chciała, żebyś go dostał, więc Jack zawiózł go do ciebie. Dom był otwarty i teraz posłuchaj,.. Ktoś był w środku.

Umilkł, ale słyszałem jego oddech. W końcu odezwał się znów:

- Jack wystraszył się jak cholera. Przygotuj się na niezły szok, *muchacho*, chociaż może wiesz, czego się spodziewać...

Coś bipnęło, wiadomość się urwała, a po chwili włączyła się szosta. Znów usłyszałem Wiremana, tym razem wkurzonego; brzmiał w tej wersji o wiele bardziej swojsko.

- Jebane taśmy i jebane sekretarki! *Chinche pedorra!* Ay! Słuchaj, Edgar, wybieramy się z Jackiem do Abbota - Wexlera. To jest... - Umilkł na chwilę, usiłując zapanować nad głosem. - To jest dom pogrzebowy, który starsza pani sobie wybrała. Do pierwszej będę z powrotem. Naprawdę radzę ci na nas poczekać, zanim wejdiesz do swojego domu. Nie ma żadnych zniszczeń, ale chcę być przy tobie, kiedy zajrzysz do tego kosza i zobaczysz, co masz w pracowni na piętrze. Nie chcę tutaj robić wielkiej tajemnicy, ale nie nagram tego na

taśmę, którą byle kto może odsłuchać. I jeszcze jedno. Dzwonił jeden z adwokatów starszej pani. Nagrał się na sekretarkę, kiedy buszowaliśmy z Jackiem po tym pieprzonym strychu. Powiedział, że jestem jej jedynym spadkobiercą. - Pauza. - *La loteria*. - Pauza. - Zostawiła mi wszystko. - Pauza. - Niech mnie cholera.

To był koniec.

III

Wcisnąłem zero, żeby połączyć się z centralą hotelową. Musiałem chwilę poczekać, ale w końcu telefonistka podała mi numer domu pogrzebowego Abbot - Wexler. Wystukałem go na klawiaturze. Odebrał automat, który roztoczył przede mną przebogaty wachlarz usług dla nieboszczyków („Salon trumniarski - proszę wybrać pięć”). Przeczekałem tę paletę propozycji; oferta dla właściwego, żywego klienta w dzisiejszych czasach zawsze jest ostatnia w kolejności, nagroda pocieszenia dla pociesznych niedojdów, którzy nie potrafią się odnaleźć w dwudziestym pierwszym wieku. Czekając, zastanawiałem się nad wiadomością od Wiremana. Dom był otwarty? Naprawdę? Po wypadku pamięć mi szwankowała, przyznaję, ale pamięć to nie odruchy. Wielki Koral nie należał do mnie, a ja miałem wpojone od najmłodszych lat, że o cudze rzeczy należy dbać w szczególny sposób. Byłem całkiem pewny, że zamknąłem dom. A zatem, jeśli ktoś wszedł do środka, dlaczego drzwi nie zostały wyłamane?

Przez krótką chwilę w głowie błysnęło mi wspomnienie dwóch dziewczynek w mokrych sukienkach - małych dziewczynek o twarzach dotkniętych rozkładem, o głosach, które były głosem muszli chrzęszczących pod podłogą mojego domu - ale szybko odepchnąłem od siebie tę myśl, wzdrygając się na całym ciele. To mi się wtedy przywidziało, to nic, tylko urojenie przemęczonego umysłu. A nawet jeśli to nie był omam, ale coś więcej... Przecież duchy nie muszą otwierać drzwi, prawda? Duch przechodzi przez ścianę albo przenika przez podłogę.

- ...zero, jeśli mają państwo dalsze pytania.

Boże, mało brakowało, a przegapiłbym swój numer. Wcisnąłem zero i po wysłuchaniu kilku taktów melodii przypominającej z lekka kościelny hymn „Abide with Me”, usłyszałem pytanie: „W czym mogę pomóc?”, zadane męskim, profesjonalnie kojącym głosem. Zdusiłem irracjonalną, lecz bardzo silną chęć, żeby odpowiedzieć „Dzwonię w sprawie mojej ręki! Moja ręka nigdy nie miała przyzwoitego pogrzebu!”, a potem się rozłączyć. Zamiast tego przycisnąłem słuchawkę ramieniem do ucha i pocierając czoło nad prawą brwią, zapytałem,

czy zastałem pana Jerome'a Wiremana.

- A czy wolno mi wiedzieć, którego ze zmarłych reprezentuje pan Wireman?

Oczywiście, duszy zobaczyłem koszmarny obrazek: sala rozpraw trybunału dla nieboszczyków i Wireman wykrzykujący w martwej ciszy: „Sprzeciw, wysoki sędzio!”.

- Panią Elizabeth Eastlake - odparłem.

- Ach, oczywiście. - Głos w słuchawce stał się cieplejszy i na chwilę nieco bardziej ludzki. - Pan Wireman i jego młody przyjaciel wyszli na chwilę. Chcą prawdopodobnie przygotować nekrolog panny Eastlake. Możliwe, że mam wiadomość dla pana. Czy zechce pan poczekać?

Zechciałem. W słuchawce włączył się z powrotem hymn „Abide with Me”. W końcu doczekałem się powrotu Głosu Zawodowego Żałobnika.

- Pan Wireman prosi pana o spotkanie w pańskim domu, na wyspie Duma Key, dziś o godzinie czternastej, jeśli to możliwe. Przyjedzie w towarzystwie pana... hmm... Candooriego. Jest też dopisek: „Jeśli przyjedziesz pierwszy, poczekaj na zewnątrz”. Czy mam powtórzyć?

- Dziękuję, nie trzeba. Czy pan Wireman zapowiadał, że wróci jeszcze dziś do państwa?

- Niestety, nie powiedział.

Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę. Jeśli nawet Wireman miał komórkę, to nigdy nie dał mi numeru do siebie. Miałem jednak numer do Jacka, na karteczce w portfelu. Wygrzebałem go stamtąd i zadzwoniłem. Po pierwszym sygnale włączyła się poczta głosowa, co oznaczało, że aparat jest wyłączony albo nie działa, bo Jack zapomniał go naładować albo nie zapłacił rachunku. I jedno, i drugie było możliwe.

„Jack wystraszył się jak cholera. Przygotuj się na niezły szok”.

„Chcę być przy tobie, kiedy zajrzysz do tego kosza”.

Z tym że ja wiedziałem już całkiem dokładnie, co oni znaleźli w czerwonym koszu. Nie wydawało mi się też, żeby Wiremana zdziwiło to znalezisko.

Nie sądzę, żeby mogło go zdziwić.

IV

Kiedy wróciłem do Bay Island Room, mafia z Minnesoty siedziała przy stole w pełnej ciszy. Zanim jeszcze Pam wstała z miejsca, połapałem się, że podczas mojej nieobecności zamiast towarzyskich pogaduszek odbyła się tutaj regularna narada.

- Wracamy - usłyszałem. - Nie wszyscy, ale większość. Słobotnikowie zaplanowali

sobie, że skoro już lecą na południe, to wybiorą się do Disney World, Jamiesonowie chcą zobaczyć Miami.

- A my pojedziemy z nimi, tato - powiedziała Melinda, trzymając Rica za rękę. - Stamtąd samoloty latają na Orły taniej niż stąd.

- Wydaje mi się, że stać nas na taki wydatek - zauważyłem, ale z uśmiechem. Ogarnęło mnie przedziwne uczucie: mieszanka ulgi, rozczarowania i strachu. W tym samym momencie kleszcze, które coraz ciasniej obejmowały mój mózg, puściły, a ucisk nagle zelżał. Nadchodzący ból głowy ulotnił się jak kamfora. Być może poskutkował zomig, z tym że ten środek zazwyczaj nie działa tak szybko, nawet podrasowany napojem z kofeiną.

- Kontaktowałeś się może rano ze swoim przyjacielem Wiremanem? - zagrział Kamen.

- Tak - odparłem. - Zostawił mi wiadomość na sekretarce.

- Jak się czuje?

No cóż, odpowiedź na to pytanie była prosta i krótka, prawda?

- Jakoś sobie radzi. Załatwia sprawę pogrzebu... Jack mu pomaga... ale ciężko mu z tym.

- Jedź do niego i pomóż mu - powiedział Tom Riley. - To jest twoje zadanie na dziś.

- Otóż to - dodał Bozia. - Dla ciebie to też była ważna osoba, Edgar. Nie musisz w takim momencie bawić się w gościnnego gospodarza.

- Dzwoniłam już na lotnisko - powiedziała Pam, jak gdyby w odpowiedzi na mój sprzeciw, którego nie było. - Gulfstream jest gotowy do startu. A recepcja pomaga nam załatwić resztę formalności związanych z podróżą. Tymczasem mamy jeszcze całe przedpołudnie. Pytanie: co z nim zrobimy?

W końcu wybraliśmy opcję, którą pierwotnie zaplanowałem na ten dzień: wizytę w John and Mable Ringling Museum of Art.

Pojechałem tam w swoim nowym berecie.

V

Wczesnym popołudniem żegnałem się z krewnymi i znajomymi na lotnisku Dolphin Aviation w Sarasocie, rozdając pocałunki i uściski, w tym uściski dłoni; czasami wszystko naraz. Melindy i Rica już nie było, pojechali razem z Jamiesonami.

Kathi Green, treserka inwalidów, ucałowała mnie na pożegnanie ze zwykłą sobie zajadłością.

- Uważaj na siebie, Edgar - powiedziała. - Twoje obrazy są cudowne, ale o wiele bardziej podoba mi się, jak chodzisz. Zrobiłeś niesamowity postęp. Bardzo bym chciała pokazać cię swojej najnowszej generacji mięczaków.

- Twardzielka z ciebie, Kathi.

- Nie bardzo - mruknęła, ocierając oczy. - Mażę się jak smarkula, taka jest prawda.

Po Kathi wyrósł przede mną Kamen. - Gdybyś potrzebował pomocy, odzywaj się od razu.

- Jasne - obiecałem. - Ty jesteś KamenDoc.

Uśmiechnął się do mnie. To było tak, jakby uśmiechnął się Bóg.

- Jeszcze nie wszystko z tobą w porządku, Edgar. Mogę tylko mieć nadzieję, że w końcu dojdiesz do siebie. Nie znam nikogo, kto bardziej niż ty zasłużył sobie na miękkie lądowanie i ładne widoki.

Uściskałem go. Jedną ręką, ale jego niedźwiedzi uścisk nadrobił mój niedobór.

Potem dołączyłem do Pam i razem przystanęliśmy obok schodów do samolotu, przepuszczając innych. Trzymała mnie obiema dłońmi za rękę i patrzyła mi w oczy.

- Pocałuję cię tylko w policzek, Edgar. Illy się przygląda, a nie chcę, żeby coś sobie pomyślała.

I tak też zrobiła, po czym podjęła:

- Martwię się o ciebie. Masz taką bladeść dookoła oczu. Nie podoba mi się to.

- No wiesz... Elizabeth...

Potrząsnęła głową, prawie niezauważalnie.

- Zauważyłam to już wczoraj wieczorem, jeszcze zanim panna Eastlake pojawiła się w galerii. Widziałam to cały czas, nawet w tych momentach, które musiały być dla ciebie najszczęśliwsze. Bladeść wokół oczu. Nie umiem tego lepiej opisać. Coś takiego za mojej pamięci miałeś tylko raz, w dziewięćdziesiątym drugim roku, kiedy przez chwilę wyglądało na to, że nie uda ci się spłacić ostatniej raty hipoteki i stracisz firmę.

Silniki odrzutowca zaczęły już zawodzić, a gorący wiatr zburzył starannie ułożoną fryzurę Pam. Jej twarz zyskała dzięki temu o wiele młodszy i bardziej naturalny wygląd.

- Mogę cię o coś spytać, Eddie?

- Oczywiście.

- Czy mógłbyś malować w dowolnym miejscu? Czy może musisz być tutaj?

- Miejsce raczej nie gra roli. Ale gdzie indziej byłoby inaczej.

Wbiła we mnie nieruchomy, niemalże błagalny wzrok.

- Tak czy inaczej, jakaś odmiana mogłaby ci dobrze zrobić. Musisz zgubić tę swoją

bladość. Nie mówię, że masz koniecznie wracać do Minnesoty, ale po prostu... może wybierz się gdzieś indziej. Pomyślisz o tym?

- Tak - obiecałem, dodając w myślach: Ale najpierw muszę zobaczyć ten czerwony piknikowy kosz. I przynajmniej raz pojechać na południowy kraniec wyspy. Wydawało mi się, że nie będzie z tym większych problemów. Przecież to Ilse tak się wtedy rozchorowała, nie ja. Ja tylko raz zobaczyłem na czerwono mój wypadek, to wszystko. No i dokuczało mi to fantomowe swędzenie.

- Wszystkiego dobrego, Edgar. Nie ogarniam całej tej zmiany, która w tobie zaszła, ale wiem, że dawnego ciebie zostało jeszcze dość, żeby cię kochać. - Stała na palcach (białe sandały kupiła specjalnie na ten wyjazd, nie miałem co do tego absolutnie żadnych wątpliwości) i jeszcze raz delikatnie musnęła ustami mój nieogolony, szczeciniasty policzek.

- Dziękuję - mruknąłem. - Za dzisiejszą noc.

- Nie musisz dziękować - odparła. - To było przemile.

Ścisnęła mnie za rękę, a potem weszła na schody i już jej nie było.

VI

I znów stałem przed drzwiami do sali odpraw linii Delta. Tym razem bez Jacka.

- Jesteśmy sami, Kruszyńko - powiedziałem. - Ostatni goście w tym barze.

Zobaczyłem łzy w jej oczach i przygarnąłem ją do siebie.

- Tatusiu, strasznie mi żal, że nie mogę tutaj z tobą zostać.

- Wracaj, kotku. Wykuj się na blachę do egzaminu i zgarnij tyle punktów, ile można.

Niedługo się zobaczymy.

Cofnęła się o krok, spoglądając na mnie z niepokojem.

- Poradzisz sobie?

- Tak. I ty też.

- O, na pewno. Na pewno.

Przytuliłem ją jeszcze raz.

- Idź już. Przejdź przez odprawę. Kup sobie gazety. Pooglądaj CNN. Miłego lotu.

- Dobrze, tato. Było cudownie.

- To ty jesteś cudowna.

Cmoknęła mnie serdecznie prosto w usta - jakby chciała oddać pocałunek, którego poskapiła mi jej mama - i zniknęła za rozsuwanymi drzwiami. Odwróciła się jeszcze raz i pomachała do mnie; widziałem ją wtedy już tylko jako zarys dziewczęcej sylwetki za ciemną,

polaryzowaną szybą. I całym sercem żałuję, że nie mogłem widzieć lepiej, bo nie zobaczyłem jej już nigdy więcej.

VII

Dzwoniłem z Ringling Art Museum do Wiremana i zostawiłem dla niego dwie wiadomości - jedną w domu pogrzebowym, drugą na automatycznej sekretarce w *El Palacio*. Miałem mu do przekazania, krótką informację: wracam około trzeciej, spotkajmy się u mnie. Dodałem tylko tyle, że jeśli Jack jest na tyle dorosły, żeby chodzić na wybory i na imprezy ze studentkami z Florida State University, to mógłby też pamiętać o swojej cholernej komórce.

Dotarłem na wyspę nieco później, bo dopiero kilka minut przed wpół do czwartej. Na popękanych kamiennych płytach ułożonych w kwadrat po prawej stronie Wielkiego Korala stał samochód Jacka, a obok niego stary srebrny benz należący do Elizabeth. Kierowcy owych wehikułów siedzieli na mojej werandzie, popijając herbatę z lodem. Jack wciąż miał na sobie ten sam szary garnitur, ale jego czupryna powróciła do tradycyjnego nieładu, a spod marynarki wyglądała baseballowa koszulka Devil Rays. Wireman, w czarnych dżinsach i białej, rozpiętej pod szyją koszuli, miał na głowie czapkę z emblematem Nebraska Cornhuskers, zsuniętą z czoła w tył.

Zaparkowałem samochód i wysiadłem, przeciągając się; chore biodro nie działało tak, jak trzeba. Moi goście wstali i podeszli, żeby się przywitać. Żaden się nie uśmiechnął.

- Wszyscy już pojechali, *amigo*? - zagadnął Wireman.

- Oprócz cioci Jean i wuja Bena, którzy ponad wszystko na świecie lubią gościć się za darmo - odparłem. - Są w tym niezli. Lata praktyki. Dopóki mogą, nie ruszą się stąd na krok.

Jack uśmiechnął się krzywo i bez humoru.

- W każdej rodzinie trafi się ktoś taki.

- A ty? Jak się czujesz? - zapytałem z kolei Wiremana.

- Ze śmiercią Elizabeth już się pogodziłem. Hadlock powiedział, że tak prawdopodobnie było najlepiej, i chyba miał rację. Jeśli natomiast chodzi o to, że zostawiła mi w sumie około stu sześćdziesięciu milionów dolarów w gotówce, papierach wartościowych i nieruchomościach... - Potrząsnął głową. - To już co innego. Może kiedyś jakoś zdołam dojść z tym do ładu, ale w tej chwili...

- W tej chwili coś się tutaj dzieje.

- *Si, señor*. Coś bardzo dziwnego.

- Jak dużo opowiedziałeś Jackowi?

Wireman jakby się nieco speszył.

- Powiem ci tak, *amigo*: kiedy już raz zacząłem, to cholernie trudno było przerwać w jakimś sensownym momencie.

- Powiedział mi wszystko - podsumował Jack. - Tak przynajmniej twierdzi. Łącznie z tym, że podobno przywróciłeś mu wzrok i że to jakoby ty załatwiłeś Candy'ego Browna. - Zawiesił na chwilę głos. - I że widziałeś te dwie dziewczynki.

- Nie przeszkadza ci ta sprawa z Candym Brownem? - zapytałem.

- Gdyby to ode mnie zależało, dałbym ci za to medal. A cała Sarasota zrzuciłaby się dla ciebie na specjalną platformę na paradę w Dniu Pamięci.* - Jack włożył ręce do kieszeni. - Ale jeszcze na jesieni, gdyby ktoś mi powiedział, że takie rzeczy można zobaczyć gdzieś indziej niż na filmach M. Nighta Shyamalana, tobym go wyśmiał.

- A gdybyś o tym usłyszał tydzień temu?

Jack zamyślił się. Zza domu dobiegał miarowy szum fal. Wiedziałem, że pod podłogą salonu i sypialni muszle podjęły swoje rozmowy.

- Nie - odpowiedział w końcu. - Chybabym się już nie śmiał. Od początku wiedziałem, że coś w tobie jest, Edgar. Zjawiłeś się tutaj i... - Złożył obie dłonie razem, splatając palce. Ten gest wydał mi się bardzo odpowiedni. Tak to właśnie wyglądało. Złożone dłonie pasują do siebie jak ulał. Fakt, że sam miałem tylko jedną, nie miał nigdy najmniejszego znaczenia.

Nie w tym miejscu.

- Co to ma znaczyć, *hermano*? - zapytał Wireman.

Jack wzruszył ramionami.

- Edgar i Duma. Duma i Edgar. Jakby czekali na siebie nawzajem. - Pomimo zmieszanej miny głos miał całkowicie pewny.

Wskazałem kciukiem mój dom.

- Wejdzmy.

- Powiedz mu najpierw o koszu - Wireman spojrzał na Jacka, który znów wzruszył ramionami.

- Nie szukaliśmy go długo, wszystkiego jakieś dwadzieścia minut, albo i to nie. Stał sobie na jakiejś starej komodzie w głębi strychu. Padało na niego światło z otworu wentylacyjnego. Zupełnie jakby chciał, żebyśmy go znaleźli. - Zerknął na Wiremana, a ten przytaknął skinieniem głowy. - Tak czy inaczej, znieśliśmy go na dół, do kuchni, żeby zajrzeć do środka. Był ciężki jak diabli.

* Dzień Pamięci (Memorial Day) - święto upamiętniające amerykańskich żołnierzy poległych na polu chwały, obchodzone w ostatni poniedziałek maja (przyp. tłum.).

Ta ostatnia uwaga przypomniała mi naprężone mięśnie Meldy, ciemnoskórej gosposi, trzymającej ten kosz na rodzinnym portrecie Eastlake'ów. Widocznie już wtedy musiał sporo ważyć.

- Wireman powiedział, żebym przywiózł ten kosz tutaj i zostawił go dla ciebie, skoro i tak mam klucz... Tylko że wcale nie musiałem go używać. Dom nie był zamknięty na klucz.

- A czy drzwi były otwarte?

- Nie. Włożyłem klucz do zamka i okazało się, że zamiast go otworzyć, zamknąłem. Zdziwiłem się jak cholera.

- Chodźcie - powiedział Wireman, ruszając przodem. - Czas na pokaz.

Na drewnianej podłodze w przedpokoju znaleźliśmy sporo elementów typowych dla wybrzeża Zatoki Meksykańskiej: piasek, muszelki, garść łupin szupinu i kilka wyschniętych żdźbeł kłoci. Były tam też ślady. Odciski podeszew tenisówek należały do Jacka, ale na widok tych innych obsypała mnie gęsia skórka. Naliczyłem trzy wzory śladów: dwa z nich pozostawiły małe stopy, jeden - duże. Te małe wyglądały na dziecięce. Wszystkie stopy były bose.

- Widzisz ślady na schodach, im wyżej, tym mniej wyraźne? - zapytał Jack.

- Widzę - odparłem, słysząc własny głos słabo i jakby z oddali.

- Szedłem obok, bo nie chciałem ich zatrzeć. Gdybym wiedział to, co teraz usłyszałem od Wiremana, kiedy na ciebie czekaliśmy, to chyba w ogóle nie wszedłbym na górę.

- Nie dziwię ci się.

- Ale tam nikogo nie było - powiedział. - Tylko... Sam zobaczysz. Ale spójrz jeszcze tutaj. - Stanęliśmy obok schodów. Dziewiąty stopień znalazł się na wysokości naszych oczu. Promienie słońca padały ukośnie wzdłuż niego, dzięki czemu dostrzegłem, ledwie widoczne, ślady małych bosych stóp skierowane w dół.

- Wydaje mi się to całkiem jasne - uznał Jack. - Dzieci poszły do twojej pracowni, a potem wróciły. Dorosły został przy wejściu. Prawdopodobnie stanął na czatach... chociaż w środku nocy raczej nie miał na kogo czatować. Włączasz alarm, kiedy wychodzisz?

- Nie - odparłem, nie patrząc mu prosto w oczy. - Zawsze zapominam kodu. Mam go na kartce w portfelu, ale kiedy za każdym razem po wejściu do domu musiałem ścigać się z czasem: ja kontra ten pieprzony dzwonek na ścianie...

- W porządku. - Wireman położył mi dłoń na ramieniu. - Ci włamywacze niczego nie zabrali, tylko coś zostawili.

- Nie sądzisz chyba, że to zmarłe siostry panny Eastlake złożyły ci kolejną wizytę? - zagadnął Jack.

- Prawdę mówiąc - odparłem - właśnie tak sędzę.

Wydawało mi się, że w jasne kwietniowe popołudnie, gdy wodospady światła leją się z nieba i lśnią odbite w wodach zatoki, takie słowa zabrzmiały idiotycznie, ale okazało się, że wcale nie.

- W „Scooby Doo” takie rzeczy robi zazwyczaj jakiś szalony bibliotekarz - powiedział Jack. - Wiesz, o co chodzi: próbuje cię wystraszyć i przepędzić z wyspy, żeby zgarnąć cały skarb dla siebie.

- Chciałbym, żeby tak było - mruknąłem.

- Załóżmy, że te małe ślady należą do Tessie i Laury Eastlake - powiedział Wireman. - Czyje w takim razie są te większe?

Żaden z nas nie pokwapił się z odpowiedzią.

- Chodźmy na górę - zaproponowałem w końcu. - Chcę zobaczyć, co jest w koszu.

Ruszyliśmy po schodach na górę, starając się nie nadepnąć na ślady - nie dlatego, że baliśmy się je zatrzeć, po prostu nikt z nas nie miał wielkiej ochoty przejść po nich. Na dywanie w „Koraliku” stał kosz piknikowy, taki sam jak ten, który narysowałem czerwonym długopisem podkradzionym w gabinecie Gene'a Hadlocka, ale to sztalugi, a nie on, przykuły moją uwagę już od samego progu.

- Możesz mi wierzyć, że kiedy to zobaczyłem, wiałem, aż się kurzyło - powiedział Jack.

Wierzyłem mu, ale mnie bynajmniej nic nie goniło do ucieczki. Wręcz przeciwnie. Te sztalugi mnie przyciągały, tak jak magnes przyciąga żelazny sworzeń. Stało na nich świeże płótno. W najciemniejszym środku dzisiejszej nocy - może wtedy, gdy Elizabeth umierała w szpitalu, a może wtedy, gdy po raz ostatni kochałem się z Pam albo gdy spałem tuż obok niej - ktoś zanurzył palec w mojej farbie. Kto? Tego nie wiedziałem. Kolor? To było oczywiście: czerwień. Litery, koślawe, niechlujne, ciekące litery, które zataczały się z lewej strony płótna na prawą, były czerwone. I oskarżały. Niemalże słyszałem, jak krzyczą.

gdzie nasza siostra

VIII

- *Objet trouvé** - oznajmiłem suchym, grzechoczącym głosem, zmienionym nie do

* *Objet trouvé* (franc. „przedmiot znaleziony”) - dzieło sztuki utworzone z wykorzystaniem

poznania.

- Tak to się nazywa? - zapytał Wireman.

- Jasne. - Przetarłem oczy, mając wrażenie, że litery pływają po płótnie. - Graffiti. W Scoto pialiby z zachwytu.

- Możliwe, ale dla mnie to jest straszne - oznajmił Jack. - Bardzo mi się nie podoba.

Miałem podobne zdanie. Poza tym to była moja pracownia, moja, do jasnej cholery. Wynająłem ją razem z całym domem. Zerwałem płótno ze sztalug; przez chwilę już się spodziewałem, że poparzy mi palce, ale tak się nie stało. To jednak było tylko płótno, sam je naciągnąłem. Oparłem ramę o ścianę, tyłem naprzód.

- Tak lepiej?

- O wiele - odpowiedział Jack, a Wireman skinął głową. - Edgar... Jeśli te dziewczynki naprawdę tutaj były, to... czy duchy mogą pisać na płótnie?

- Skoro potrafią przesuwac wskazówki na tablicy spirytystycznej i pisać na oszronionych oknach, to chyba i na płótnie coś nagryzmoła - odparłem, dodając po chwili z niejakim ociąganiem: - Ale nie wydaje mi się, żeby duchy umiały otworzyć drzwi zamknięte na klucz. Albo w ogóle ustawić płótno na sztalugach.

- Tego płótna tutaj nie było? - spytał Wireman.

- Jestem prawie całkiem pewny, że nie. Wszystkie czyste płótna są na stojaku w kącie.

- A o kogo tutaj może chodzić? - chciał wiedzieć Jack. - Kim jest ta siostra, o którą pytają?

- To musi być Elizabeth - uznałem. - Ostatnia żyjąca.

- Gówno prawda - orzekł Wireman. - Jeśli Tessie i Laura trafiły na tę tak zwaną drugą stronę, to odnalazłyby swoją siostrę Elizabeth bez najmniejszego problemu. Przez ponad pięćdziesiąt pięć lat mieszkała tutaj, na Dumie, a ta wyspa była przecież jedynym miejscem, które one znały w życiu.

- Co się stało z pozostałymi siostrami? - zapytałem.

- Maria i Hannah już nie żyją - powiedział Wireman. - Hannah umarła w latach siedemdziesiątych, w stanie Nowy Jork, chyba w mieście Ossining, Maria na początku lat osiemdziesiątych, gdzieś na zachodzie. Obie wyszły za mąż, Maria nawet kilka razy. Dowiedziałem się tego nie od panny Eastlake, ale od Chrisa Shanningtona. Starsza pani wspominała czasami o swoim ojcu, ale o siostrach prawie nigdy. Kiedy w pięćdziesiątym pierwszym roku wróciła na Dumę razem z Johnem, zerwała wszelkie kontakty z rodziną.

gdzie nasza siostra?

- A Adriana? Co się z nią stało? Wireman wzruszył ramionami.

- *Quién sabe?* Pochłonął ją wir historii. Shannington uważa, że kiedy oficjalnie zaprzestano poszukiwań zaginionych dziewczynek, wróciła ze swoim świeżo poślubionym mężem do Atlanty. Na ceremonii pogrzebowej już ich nie było.

- Może obwiniała ojca o to, że doszło do tragedii - podsunął Jack.

Wireman skinął głową.

- Albo po prostu nie mogła już tutaj wytrzymać.

Przypomniała mi się nadąsana mina Adriany z rodzinnego portretu, mina pod tytułem: „Ja chcę być gdzieś indziej”. Zaczęło mi się wydawać, że w tym, co mówi Wireman, faktycznie może być ziarno prawdy.

- Tak czy inaczej - mówił dalej - do tej pory na pewno już nie żyje. Miałyby dziś ponad sto lat. Marne szanse.

gdzie nasza siostra?

Wireman chwycił mnie za ramię i odwrócił do siebie. Twarz miał ściągniętą i starą.

- *Muchacho*, ujmę to tak: jeśli jakaś nadprzyrodzona siła zamordowała pannę Eastlake tylko po to, żeby zamknąć jej usta, to może my powinniśmy zrozumieć aluzję i zniknąć z tej wyspy?

- Wydaje mi się, że na to chyba już jest za późno - powiedziałem.

- Dlaczego?

- Bo ona już nie śpi. Tak powiedziała Elizabeth przed samą śmiercią.

- Kto nie śpi?

- Perse - odparłem.

- Kto to jest Perse?

- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że naszym zadaniem jest utopić ją, żeby znów usnęła.

IX

Piknikowy kosz za czasów swej nowości był szkarłatny; w ciągu długiego życia stracił bardzo niewiele koloru, być może dlatego, że przez tyle lat stał na strychu. Uniosłem go najpierw lekko za jedną rączkę. Cholerstwo było rzeczywiście ciężkie, na oko ważyło z dziesięć kilo; wiklinowe dno nieco się wysklepiło, chociaż splot był ścisły. Opuściłem kosz z powrotem na dywan i rozłożywszy rączki na obie strony, uniosłem wieczko. Zawiasy skrzypnęły cicho.

W środku były kredki ołówkowe, w większości same ogryzki, wyrysowane niemalże do końca. A obok kredek - rysunki, które wyszły spod ręki pewnego cudownego dziecka dobrze ponad osiemdziesiąt lat wcześniej. Tym dzieckiem była mała dziewczynka, dwulatka, która wypadła z dwukółki ciągniętej przez kucyka i uderzyła się w głowę, a po odzyskaniu przytomności zaczęła cierpieć na ataki, a także zyskała czarodziejski talent plastyczny. Domyśliłem się tego od razu, chociaż pierwszy rysunek właściwie wcale nie był rysunkiem, ale wyglądał tak:



Przerzuciłem kartkę. Pod spodem znalazłem to:



I w tym momencie rysunki zaczęły wyglądać jak rysunki; mała ilustratorka krok za krokiem doskonalila technikę, a jej prace nabierały wyrafinowania w zdumiewającym tempie. Był to niewiarygodny fenomen - niewiarygodny dla każdego, kto nie był kimś takim jak Edgar Freemantle, inżynier budowlany, który przez całe życie bazgrał tylko po marginesach, a potem miał wypadek przy pracy, stracił rękę i z popękana czaszką cudem wywinął się śmierci.

Rysowała pola. Palmy. Plażę. Gigantyczną czarną twarz, okrągłą jak piłka do kosza, ozdobioną uśmiechniętymi czerwonymi ustami - to pewnie była Melda, gospoia, chociaż na tym rysunku wyglądała jak przerośnięte dziecko w skrajnym zbliżeniu. Potem przyszła kolej na zwierzęta: szopy pracze, żółwia, jelenia, rysia. Wszystkie były naturalnych rozmiarów w stosunku do otoczenia, ale spacerowały sobie po zatoce albo fruwały w powietrzu. Widziałem czapłę, wymalowaną ze wszystkimi szczegółami; stała na poręczy balkonu w rodzinnym domu Elizabeth. Następna akwarela przedstawiała tego samego ptaka, lecz tym razem wisiał on do góry nogami nad powierzchnią basenu. Jego oczy świdrowały patrzącego spojrzeniem i miały taki sam odcień jak woda w basenie. Robiła to samo co ja, pomyślałem i znów przebiegły mnie ciarki. To, co zwyczajne, starała się wymyślić na nowo. Odświeżyć, zamieniwszy w sen.

Czy Dario, Jimmy i Alice mieliby mokro w majtkach, gdyby zobaczyli te obrazki? Wydawało mi się to oczywiste - jasne jak słońce.

Na jednym z obrazków znalazłem dwie, szeroko uśmiechnięte dziewczynki (z całą pewnością były to Tessie i Laura). Ich uśmiechy celowo zostały poszerzone, tak bardzo, że aż

wychodziły poza kontury twarzy.

Na innym widniał tatuś, narysowany obok domu (musiało to być pierwsze Czaple Siedlisko), wyrastający głową ponad jego dach i pykający z cygara wielkości pocisku raketowego. Na niebie wisiał księżyc otoczony kółkiem dymu.

Na kolejnym odkrytym obrazku zobaczyłem dwie dziewczynki w ciemnozielonych fartuszkach, idące wiejską drogą. Każda z nich niosła na głowie stosik podręczników, tak jak młode Afrykanki noszą dzbany z wodą. Były to, oczywiście, Maria i Hannah. Za nimi podążało szeregiem stado żab. Na przekór zasadom perspektywy ostatnie żaby były większe od pierwszych.

Następnie w twórczości Elizabeth rozpoczął się okres Uśmiechniętych Koni. Było ich dwanaście albo nawet więcej. Przerzuciłem te rysunki dość szybko, ale potem wróciłem do jednego z nich.

- Ten był w gazecie. - Stuknąłem w kartkę palcem.

- Oglądaj dalej - odparł Wireman. - To jeszcze nic.

I znów konie... I znów rodzina, rysowana kredkami, węglem, malowana radosnymi barwami akwarel. Nie było prawie ani jednego obrazka, na którym wszyscy nie trzymaliby się za ręce, jak laleczki wycięte z papieru... Potem burza: woda w basenie, smagnięta wiatrem, powstaje wrzącą falą, pierzaste liście palmy, szarpnięte podmuchem, łopoczą jak podarte, sztandary.

Obrazków w sumie była dobrze ponad setka. Chociaż Elizabeth była tylko dzieckiem, to nie miałem wątpliwości: ona także się odkorkowała. Na kolejnych dwóch albo trzech kartkach znów zobaczyłem burzę... Może to był huragan Alice, ten sam, który odsłonił skarb znaleziony przez Johna Eastlake'a, a może tylko zwykła burza z piorunami, trudno powiedzieć... Potem zatoka... I znów zatoka, tym razem nad wodą śmigają latające ryby o rozmiarach delfinów... Zatoka i pelikany, niosące w dziobach coś, co wygląda jak tęcza... Zachód słońca nad zatoką... i...

Przestałem przerzucać kartki, a oddech utknął mi w gardle.

W porównaniu z wieloma innymi, które przed chwilą widziałem, ten rysunek był prościutki; widniał na nim tylko zarys statku obramowanego zamierającym światłem, uchwyconego na progu oddzielającym dzień od mroku. Jednakże to właśnie owa prostota stanowiła o jego sile. Ja w każdym razie tak myślałem, tamtej pierwszej nocy spędzonej w Wielkim Koralu, po narysowaniu identycznego obrazka. Zobaczyłem tutaj bliźniaczo podobną linię, łączącą dziób z konstrukcją, którą w tamtych czasach nazywano zapewne wieżą Marconiego. Naprężona lina wykreślała na niebie jaskrawopomarańczowy trójkąt. Odcienie

światła również zmieniały się tak samo jak u mnie, im wyżej, tym mniej oranżu, a więcej niebieskiego. Nawet kolory tak samo na siebie zachodziły, niedbale, ale nie do końca, a kreski były jakby nieco zabazgrane, dzięki czemu statek - smuklejszy niż na moim rysunku - wyglądał jak zjawą, która powoli, z mozołem wędruje na północ.

- Narysowałem to samo - szepnąłem słabym głosem.

- Wiem - przytaknął Wireman. - Widziałem ten rysunek. Dałeś mu tytuł „Dzień dobry”.

Sięgnąłem głębiej do kosza, przerzucając grube pliki akwarel i kredkowych szkiców, wiedząc, co w końcu muszę zobaczyć. I owszem, na samym dole, blisko samego dna, natrafiłem na pierwszy rysunek, gdzie Elizabeth sportretowała statek o nazwie „Perse”. Z tym że w jej ujęciu lśnił on nowością: smukła, trójmasztowa ślicznotka ze zwiniętymi żaglami, kołysząca się na lazurowozielonych wodach zatoki, pod słońcem, które było znakiem firmowym Elizabeth Eastlake: ogromne, strzelające dookoła długimi, szczęśliwymi promyczkami. To był wspaniały rysunek i aż się prosił o podkład muzyczny w stylu calypso.

A jednak, w odróżnieniu od innych prac Elizabeth, czuło się w nim jakiś fałsz.

- Dalej, *muchacho*.

Statek... Statek... Rodzina, chociaż tym razem tylko we czwórkę, rządkiem na plaży, wszyscy trzymają się za ręce jak laleczki wycięte z papieru, a na twarzach mają szerokie, szczęśliwe uśmiechy, takie jak rysuje Elizabeth... Statek... Dom, a obok niego - chyba ogrodowy dżokej, figurka Murzyna w uniformie, stojąca na głowie... Statek, ta cudowna biała jaskółka... John Eastlake...

John Eastlake krzyczy z całych sił... Z obu nozdrzy i jednego oka leje mu się krew.

Patrzyłem na ten rysunek jak zauroczony. Namalowało go dziecko, akwarelami, ale znać po nim było jakąś piekielną biegłość. To był portret człowieka oszalałego z przerażenia albo z rozpacz - a możliwe, że przerażenie i rozpacz dręczyły go jednocześnie.

- Mój Boże... - szepnąłem.

- Jeszcze jeden, *muchacho* - powiedział Wireman. - Został ci jeszcze jeden.

Odwrociłem krzyczącego mężczyznę. Stare, suche akwarele grzechotały niczym kości. Pod portretem ojca znajdował się kolejny obraz ze statkiem, ale tym razem był to już naprawdę mój statek, mój „Perse”. Elizabeth namalowała go nocą, i to nie pędzlem - kłębiące się sploty czerni i szarości wciąż jeszcze nosiły odciski jej dziecięcych palców, wiekowe, zaschnięte ślady. Tym razem wydawało się, że mała malarka wreszcie zobaczyła „Perse” pod prawdziwą postacią. Pokłady statku były spękane i najeżone sterczącymi drzazgami, żagle obwisłe i podziurawione. Dookoła kadłuba z wody wystawały setki ociekających wodą

kościotrupich rąk, uniesionych w niemym pozdrowieniu; w blasku księżyca, który już się nie uśmiechał ani nie strzelał szczęśliwymi promyczkami, te nagie kości wydawały się niebieskie. A na fordeku stała blada postać o niejasno kobiecych kształtach, odziana w rozpadające się, worowate okrycie, które mogło być peleryną, rozwianym całunem... albo szatą. Tak, to była ta sama czerwona szata, to była moja postać w czerwonej szacie, tylko że widziana od przodu. Na jej czole ziały trzy puste oczodoły, a szeroki uśmiech, wychodzący daleko poza kontury twarzy, był szalonym kłębowskiem warg i zębów. Ten obraz był o wiele bardziej przerażający niż moja seria „Dziewczynka i statek”, ponieważ sięgał prostą drogą do samego sedna, a myśl nie musiała gonić treści. Oto kwintesencja obrzydliwości, mówił ten obraz. Oto wszystko, czego się boisz, kiedy ogarnia cię ciemność. Spójrz, jak w świetle księżyca uśmiech ucieka z tej twarzy. Zobacz pozdrowienie tych, którzy utonęli.

- Chryste - sapnąłem, unosząc wzrok na Wiremana. - Jak myślisz, kiedy to powstało? Po tym, jak jej siostry...?

- Sądzę, że raczej tak. Pewnie w ten sposób próbowała sobie z tym poradzić. Jak sądzisz?

- Nie wiem - odpowiedziałem. Z jednej strony krążyłem myślami dookoła moich własnych córek, z drugiej - próbowałem o nich nie myśleć. - Nie rozumiem, jak dziecko, jakiegokolwiek dziecko, mogło stworzyć coś takiego.

- Dziedziczona pamięć gatunku - wypalił Wireman. - Część nieświadomości zbiorowej. Tak by powiedział jungista.

- A jak to się stało, że ja namalowałem ten sam pieprzony statek? I na dodatek tego samego kogoś na pokładzie, tylko widzianego od tyłu? Czy zwolennicy teorii Junga mogą mi to wyjaśnić?

- Na statku Elizabeth nie ma nazwy „Perse” - zauważył Jack.

- Miała wtedy cztery lata - odparowałem. - Wątpię, żeby przywiązywała wielką wagę do czegoś takiego jak nazwa. - W tym momencie przypomniałem sobie jej wcześniejsze obrazki, te, na których statek krył się pod ślicznym, oszukańczym pozorem. A ona przez krótki czas dawała się zwieść. - Szczególnie kiedy już zobaczyła w nim to, czym był naprawdę.

- Mówisz, jakby ten statek w ogóle był prawdziwy - powiedział Wireman.

Czułem w ustach wielką suchość. Poszedłem do łazienki i nalawszy sobie szklanek wody, wypłem ją do dna.

- Nie wiem, w co mam wierzyć, a w co nie - przyznałem - ale kieruję się w życiu pewną ogólną, praktyczną zasadą, Wireman. Kiedy ktoś coś widzi, to być może jest to tylko

przywidzenie. Ale jeśli to coś widzą już dwie osoby, wtedy szanse, że to coś jest prawdziwe, wzrastają w postępie geometrycznym. Statek o nazwie „Perse” widziała Elizabeth i widziałem go też ja.

- Wyobraźnia - przypomniał mi Wireman. - Widziałeś go oczyma wyobraźni.

Wycelowałem palec prosto w jego twarz.

- Przekonałeś się na własnej skórze, co potrafi moja wyobraźnia.

Nie odpowiedział, skinął tylko głową. Był bardzo blady.

- Powiedziałeś „kiedy już zobaczyła w nim to, czym był naprawdę” - wtrącił Jack. - Skoro ten statek na obrazku jest prawdziwy, to czym on dokładnie jest?

- Myślę, że sam to wiesz - rzucił Wireman. - Chyba jak my wszyscy. Trudno tego nie zgadnąć, cholernie trudno. Po prostu boimy się powiedzieć to na głos. Dalej, Jack, mów. Bóg nie znosi tchórzy.

- W porządku. To statek umarłych - powiedział Jack. W mojej wysprzątanej, dobrze oświetlonej pracowni jego głos zabrzmiał bezbarwnie. Chłopak uniósł ręce do głowy i powoli przeczesał palcami włosy, burząc je jeszcze bardziej, tak jak nigdy przedtem. - Ale coś wam powiem: jeśli na końcu ma po mnie przyplłynąć coś takiego, to chyba żałuję, że się w ogóle urodziłem.

X

Odłożyłem gruby stos rysunków i akwarel na dywan, ciesząc się niepomiarowo, że ostatnie dwa obrazy zniknęły mi z oczu. Potem zajrzałem do kosza i na samym jego dnie znalazłem to, co tak bardzo go obciążało.

Leżała tam amunicja do miotacza harpunów. Wyjąłem na chybił trafił jedną krótką strzałkę. Miała niecałe czterdzieści centymetrów długości i całkiem sporo ważyła. Drzewce wykonano nie z aluminium, ale ze stali - nie byłem pewny, czy w latach dwudziestych dwudziestego wieku używano już aluminium. Grot miał trzy brzeszczoty, które, choć pokryte nalotem, wciąż wyglądały na ostre. Na próbę dotknąłem jednego z nich palcem i na opuszcze momentalnie pojawiła się maleńka kropelka krwi.

- Trzeba to zdezynfekować - poradził Jack.

- Racja. - Obróciłem harpun w palcach; na ścianach zatańczyły błyskotliwe refleksy popołudniowego słońca. Ten krótki pocisk posiadał swoje własne brzydkie piękno. Był to paradoks zarezerwowany prawdopodobnie wyłącznie dla niektórych rodzajów broni.

- Pod wodą to nie polecą daleko - zauważyłem. - Za ciężkie.

- Zdziwiłbyś się - uśmiechnął się Wireman. - W miotaczu jest sprężyna do naciągnięcia, a dodatkowo ładuje się go nabojem z dwutlenkiem węgla. Ma niezłego kopa. A w tamtych czasach wystarczyła broń krótkiego zasięgu. W zatoce było pełno ryb, nawet blisko brzegu. Kiedy Eastlake'a naszła ochota, żeby coś sobie ustrzelić, zazwyczaj miał cel tuż pod ręką.

- Te harpuny mają inne groty niż pozostałe. Nie rozumiem dlaczego.

- Ja też nie - powiedział Wireman. - Starsza pani miała przynajmniej tuzin takich strzał, łącznie z tymi czterema, które wiszą na ścianie w bibliotece, ale żaden z nich nie jest taki jak te tutaj.

Jack, który przed chwilą wyszedł do łazienki, wrócił, niosąc w dłoni butelkę wody utlenionej. Wziął ode mnie harpun i przyjrzał się uważnie potrójnemu grotowi.

- Z czego to jest zrobione? - zapytał. - Ze srebra?

Wireman złożył pistolet z palców i wycelował w niego.

- Nie pokazuj kart, bo chyba trafiłeś bingo.

- A wy jeszcze nie rozumiecie, o co tutaj chodzi? - zdziwił się Jack.

Spojrzelśmy po sobie, a potem znów na niego.

- Nie oglądaliście tych filmów, co trzeba - zawyrokował. - Srebrne kule odlewa się na wilkołaki. Nie wiem, czy srebro może zabić wampira, ale najwyraźniej ktoś w to wierzył. Przynajmniej trochę.

- Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że Tessie i Laura Eastlake zmieniły się w wampiry - skomentował Wireman - to musi je teraz straszliwie suszyć. Nie piły niczego od dwudziestego siódmego roku. - Zerknął na mnie, oczekując poparcia.

- Jack chyba wpadł na dobry trop - powiedziałem, biorąc od chłopaka butelkę z wodą utlenioną. Zatkąłem wylot skaleczonym palcem i potrząsnąłem nią kilka razy.

- Nie wsadza się palca do butelki - skrzywił się Jack. - Takie jest niepisane prawo facetów.

- Przecież nie będziesz tego pił, to nie piwo - odparłem, a on zastanowił się przez chwilę i wybuchnął śmiechem. Dołączyłem do niego.

- Co? - Wireman zrobił wielkie oczy. - Nie zrozumiałem.

- Nieważne - powiedział Jack, nie przestając się uśmiechać. Po chwili jednak z powrotem spowaźniał. - Tylko że wampiry nie istnieją, Edgar. Na duchy się zgodzę, zresztą chyba prawie każdy człowiek na świecie wierzy w duchy, ale wampirów nie ma. - Nagle rozjaśnił się; coś przyszło mu do głowy. - Poza tym, żeby człowiek stał się wampirem, musi go ukąsić inny wampir. A bliźniaczki utonęły.

Jeszcze raz wziąłem do ręki krótką strzałę. Obróciłem ją w palcach, a refleks światła odbitego od zmatowiałego grotu przeturlał się po ścianie.

- A jednak to działa na wyobraźnię - powiedziałem.

- Fakt - zgodził się Jack.

- Tak samo jak to, że dom był otwarty, kiedy przywiozłeś ten kosz - kontynuowałem. - Tak samo jak te ślady na podłodze. I jak płótno wyjęte ze stojaka i ustawione na sztalugach.

- Chcesz powiedzieć, *amigo*, że jednak był tutaj jakiś szalony bibliotekarz? - zapytał Wireman.

- Nie. Chcę powiedzieć tylko tyle, że... - W tym momencie głos mi się załamał. Musiałem napić się wody, żeby wydusić z siebie to, co trzeba było powiedzieć. - Że być może nie tylko wampiry wracają po śmierci pomiędzy żywych.

- Co to ma znaczyć? - chciał wiedzieć Jack. - Że to były zombi?

Pomyślałem o statku imieniem „Perse”, o jego zbutwiałych żaglach.

- Powiedzmy: dezerterzy.

XI

- Na pewno chcesz zostać tutaj sam na noc, Edgar? - upewnił się Wireman. - Bo ja osobiście mam wrażenie, że to nie jest najlepszy pomysł. Zwłaszcza jeśli będziesz miał do towarzystwa te stare rysunki. - Westchnął. - Przez ciebie Wireman dostał wysokoprocentowych dreszczy.

Siedzieliśmy w pokoju „Floryda”, podziwiając słońce, które staczało się powoli z nieboskłonu w stronę horyzontu. Jako gospodarz podałem na stół zakąskę: ser i krakersy.

- Inaczej chyba nic z tego nie wyjdzie - odparłem. - Jestem jak rewolwerowiec świata sztuki. Maluję samotnie.

Jack błysnął oczami znad krawędzi swojej szklanki, świeżo napełnionej herbatą z lodem.

- Chcesz dzisiaj malować? - zachłysnął się.

- To raczej będzie rysunek. Rysunki dobrze mi wychodzą. - Nagle przypomniała mi się pewna para rękawic ogrodowych; na jednej widniało słowo RĘCE, na drugiej - PRECZ. Zobaczywszy je oczyma duszy, uznałem, że rysunek wystarczy, zwłaszcza jeśli użyję do tego starych kredek, którymi posługiwała się mała Elizabeth Eastlake.

Odwróciłem się do Wiremana.

- Jedziesz dziś wieczorem do domu pogrzebowego, zgadza się?

Westchnął ciężko, zerkając na zegarek.

- Zgadza się. Wystawienie zwłok od szóstej do ósmej. Jutro to samo, od południa do drugiej. Zjadą się krewni z daleka i będą szczerzyć zęby na bezczelnego uzurpatora. Czyli na mnie. A pojutrze - ostatnie ceremonie. Pogrzebowa o dziesiątej w kościele unitariańsko - uniwersalistycznym w Osprey, a potem kremacja u Abbota - Wexlera. Płonie ognisko w lesie...

Jack skrzywił się z niesmakiem.

- Ohyda.

- To śmierć jest ohydna, synu. Pamiętasz tę piosenkę - spojrzął na mnie - którą się śpiewało w dzieciństwie? „Pełzną robaczki, cieknie ropa, wczoraj był chłop, dziś nie ma chłopca”.

- Klasyk - skinąłem głową.

- No - przytaknął, częstując się krakersem. Przyjrzał mu się i nagle cisnął go ze złością z powrotem na tacę. Ciastko odbiło się i spadło na podłogę. - Ale to wszystko głupie - warknął. - Od początku do końca.

Jack podniósł krakersa, popatrzył na niego, jakby się zastanawiał: zjeść czy nie zjeść? W końcu odłożył go na bok. Pewnie uznał, że jedząc krakersa z podłogi pokoju „Floryda”, złamałby kolejne niepisane prawo facetów. I prawdopodobnie miał rację. Tyle ich przecież jest.

- Wpadnij do mnie dziś wieczorem, kiedy będziesz wracał z domu pogrzebowego, dobra? - poprosiłem Wiremana.

- Dobra.

- Jeśli powiem, że wszystko w porządku i możesz jechać do domu, to mnie posłuchasz.

- Nie mam zamiaru ci przeszkadzać, kiedy chcesz obcować ze swoją żoną. Albo rozmawiać z duchami.

Przytaknąłem skinieniem głowy - zgadł, a w każdym razie nie pomylił się znów aż tak bardzo.

- A ty - zwróciłem się do Jacka - pojedziesz do *El Palacio* i tam poczekaasz na Wiremana, jasne?

- Spoko, zrobię, co chcecie. - Widziałem, że trochę się zaniepokoił, co wcale mnie nie dziwiło. Dom był wielki, a Elizabeth mieszkała w nim bardzo długo; tam wspomnienie o niej było najświeższe. Czułbym się tak samo jak on, gdybym nie był całkowicie pewny, że duchy tej wyspy krążą zupełnie gdzie indziej.

- Gdybym do ciebie zadzwonił, przylecisz tutaj na jednej nodze.
- Pewnie. Możesz dzwonić na domowy numer albo do mnie na komórkę.

- A ta twoja komórka na pewno działa?

Zawstydził się trochę.

- Wtedy siadła mi bateria, nic więcej. Podładowałem ją w samochodzie.

- Chciałbym lepiej zrozumieć, dlaczego uważasz, że dalej musisz się w to bawić,
Edgar - mruknął Wireman.

- Bo to jeszcze nie koniec. Przez całe lata sprawa była zamknięta. Elizabeth mieszkała tutaj długo i spokojnie, najpierw z ojcem, a potem sama. Miała tu swoje organizacje dobroczynne, przyjaciół, grała w tenisa, w brydża - Mary Ire mi o tym mówiła - a przede wszystkim udzielała się na scenie artystycznej Sarasoty. To było ciche, satysfakcjonujące życie starszej kobiety, która ma bardzo dużo pieniędzy i bardzo niewiele złych nałogów, poza paleniem papierosów. Ale potem coś się zmieniło. *La loteria*. Sam tak powiedziałeś, Wireman.

- Naprawdę uważasz, że za tymi wypadkami stoi jakaś siła - powiedział, ale w jego głosie nie było niedowierzania, tylko raczej respekt.

- Ty sam w to wierzysz - odrzekłem.

- Czasami tak. Chociaż wcale nie chcę. Nie uśmiecha mi się, że istnieje coś, co może sięgnąć aż tak daleko... A wzrok ma aż tak bystry, że potrafi dostrzec na przykład mnie... Albo ciebie... Albo Bóg jeden wie kogo jeszcze...

- Mnie też się to nie podoba - powiedziałem, ale to stwierdzenie było dalekie od prawdy. Bo tak naprawdę paliła mnie czysta, szczerza nienawiść. - Nie podoba mi się myśl, że jakaś siła mogła zabić Elizabeth na odległość albo wystraszyć ją na śmierć tylko po to, żeby zamknąć jej usta.

- A ty uważasz, że rysunki pomogą ci wyjaśnić, co się dzieje.

- Do pewnego stopnia na pewno tak. Ile uda mi się ustalić - tego nie będę wiedział, dopóki nie spróbuję.

- A potem?

- To zależy. Jestem prawie na sto procent pewien, że trzeba będzie się wybrać na południowy kraniec wyspy. Pozostało tam kilka niedokończonych spraw.

Jack odstawił swoją szklankę z herbatą.

- Jakich niedokończonych spraw?

Potrząsnąłem głową.

- Nie wiem. Możliwe, że jej obrazy mi to powiedzą.

- Tylko żebyś nie zabrął za daleko, bo stracisz grunt pod nogami i nie damy rady wrócić do brzegu - ostrzegł Wireman. - Tak było z bliźniaczkami.

- Wiem o tym - odparłem.

Jack wycelował we mnie palec.

- Niepisane prawo facetów: uważaj na siebie.

Przytaknąłem, powtarzając ten gest.

- Nie zamierzam go łamać.

I

Dwadzieścia minut później siedziałem już w „Koraliku” z blokiem rysunkowym rozłożonym na kolanach. Obok mnie stał czerwony kosz piknikowy. Na wprost rozciągała się zatoka, a w oknie wychodzącym na zachód przelewało się światło odbite od jej wód. Gdzieś głęboko pod podłogą szemrały muszle. Sztalugi odstawiłem na bok, a zachlapany farbą stół przykryłem starym ręcznikiem. Na nim spoczęły świeżo naostrzone ogryzki grubych, trochę jakby staroświeckich kredek, którymi kiedyś rysowała pewna dziewczynka. Były już bardzo krótkie, ale miałem wrażenie, że wystarczą. Czulem, że jestem gotowy.

- Gotowy, gównu prawda - powiedziałem głośno. Przecież wiedziałem doskonale, że nigdy nie będę gotowy na coś takiego, a gdzieś w głębi serca tliła się nadzieja, że kiedy już się do tego zabiorę, nic się nie wydarzy. Mimo wszystko byłem jednak przekonany, że tak czy inaczej coś się stanie. Bo przecież to właśnie dlatego Elizabeth prosiła mnie, żebym poszukał jej rysunków. Pozostawało pytanie: jak wiele z tego, co spoczęło w czerwonym koszu, pozostało w jej pamięci? Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jeszcze zanim zaatakował alzheimer i dodatkowo wszystko poplątał, Elizabeth zapomniała większą część wydarzeń ze swojego dzieciństwa. Bo zapomnienie to nie zawsze proces niezależny od człowieka. Czasami człowiek sobie tego życzy.

Czy chciałbyś pamiętać o czymś, co było tak straszne, że twój własny ojciec krzyczał przez to tak okropnie, że aż krew rzuciła mu się z nosa i ust? Lepiej już w ogóle przestać rysować. Z dnia na dzień i raz na zawsze. Lepiej powtarzać wszystkim, że nie umie się nawet porządnie narysować człowieka z pięciu kresek i kółka, że w kwestii sztuki jest się jak bogaty absolwent uniwersytetu, który sponsoruje reprezentację swojej dawnej uczelni: jeśli nie możesz być sportowcem, to bądź kibicem. Lepiej całkiem wyrzucić to z pamięci, a na starość przyjdzie demencja i wymaże całą resztę.

Jasne, echo niegdysiejszych umiejętności może pozostać, tak jak na oponie twardej

mózgu pozostaje blizna, pamiątka po dawnym wypadku (kiedy to, powiedzmy, wypadło się z dwukółki ciągniętej przez kucyka). Wtedy trzeba poszukać sposobów, aby raz na jakiś czas dać temu upust, usunąć jak ropę, która wciąż się zbiera, bo zakażenie nigdy nie zostało wyleczone do końca. I tak rodzi się zainteresowanie sztuką tworzoną przez innych. Tak w człowieku rodzi się mecenas sztuki. A jeśli to wciąż za mało? Są inne sposoby, kolekcja porcelanowych figurek i budynków, na przykład. Można sobie zbudować Porcelanowe Miasteczko. Takich scenek nikt nie nazwie sztuką, ale wymagają one wyobraźni, z całą pewnością, a regularny wysiłek wyobraźni - zwłaszcza wizualnej - wystarczy, żeby dać sobie radę.

Z czym?

Ze swędzeniem, oczywiście.

Z tym nieznośnym swędzeniem.

Podrapałem się w prawą rękę. Dłoń przeszła na wylot i po raz dziesięcioletni wylądowała na żebrach. Nie było tam nic więcej. Otworzyłem mój blok i zagiąłem okładkę. Przede mną leżał pierwszy arkusz.

Zacznij od pustej płaszczyzny.

Kartka wołała do mnie, tak jak podobne puste kartki wołały - jestem tego pewien - także do niej.

Wypełnij mnie. Bo biel to brak wspomnień, barwa pustej pamięci. Twórz. Ukazuj. Rysuj. I wtedy swędzenie ustąpi. Ucichnie na chwilę zamęt w twojej głowie.

„Proszę, zostań na wyspie”. To były jej własne słowa. „Cokolwiek będzie się działo. Potrzebujemy cię”.

Przyszło mi teraz do głowy, że to może być prawda.

Szkicowałem szybko. Kilka kresek, nic więcej. Zarys przedmiotu, który mógłby być niedużym konnym wozem. Albo może dwukółką, stojącą bez ruchu, czekającą na kucyka.

- Żyli sobie tutaj, całkiem szczęśliwie - poinformowałem cztery ściany swojej pracowni. - Ojciec i córki. Aż pewnego dnia Elizabeth wypadła z dwukółki i zaczęła rysować, huragan przyszedł poza sezonem i odsłonił „wysypisko”, a bliźniaczki utonęły. Wtedy reszta rodziny przeprowadziła się do Miami i tak skończyły się ich kłopoty. A kiedy prawie dwadzieścia pięć lat później wrócili...

Podpisałem dwukółkę dwoma słowami: **JEST DOBRZE**. Pauza. Dodałem jeszcze jedno: **ZNÓW. ZNÓW JEST DOBRZE**.

Jest dobrze, szepnęły muszle, gdzieś daleko w dole. Znowu jest dobrze.

Tak jest, było im dobrze, Johnowi i Elizabeth, całkiem dobrze. A po śmierci Johna

Elizabeth nie przestało być dobrze. Było jej dobrze na wystawach. Było jej dobrze z porcelanowymi figurkami. Aż wreszcie z jakiegoś powodu znów wszystko zaczęło się zmieniać. Nie wiem, czy śmierć żony i córki Wiremana była związana z tą zmianą, ale wydaje mi się to możliwe. Nie miałem natomiast żadnych wątpliwości co do tego, że wiązało się z nią, i to ściśle, jego i moje przybycie na Duma Key. Było to dla mnie oczywiste, pomimo braku jakichkolwiek racjonalnych powodów, aby wierzyć w coś takiego.

Na Dumie najpierw było dobrze... potem zrobiło się dziwnie... i znów było dobrze, przez długi czas było zupełnie w porządku. A teraz...

„Obudziła się”.

„Stołowa przecieka”.

Żeby zrozumieć to, co działo się teraz, musiałem się dowiedzieć, co zaszło wtedy. Bez względu na to, czym groziło zdobycie tej wiedzy. Musiałem.

II

Miałem przed sobą jej pierwszy rysunek, ten, który wcale nie był rysunkiem, tylko niepewną kreską biegnącą przez środek kartki. Podniosłem go lewą ręką, zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że dotykam go prawą dłonią, tak jak to zrobiłem z rękawicami, które przysłała mi Pam (RECE PRECZ). Staralem się dostrzec palce przesuwające się po tej niezdecydowanej linii. I udało mi się, przynajmniej w pewnym sensie, ale jednocześnie ogarnęła mnie rozpacz. Czy miałem zrobić to samo ze wszystkimi jej obrazkami? Było ich chyba ze sto pięćdziesiąt, i to skromnie licząc. A jeśli chodzi o praktyki parapsychologiczne, to zdecydowanie nie byłem ekspertem.

Spokojnie. Nie od razu Paryż zbudowano.

Postanowiłem włączyć sobie Radio Wolna Floryda, czyli The Bone. Na pewno nie zaszkodzi, a może coś pomoże. Wstałem, nie wypuszczając wiekowej kartki z prawej dłoni... i oczywiście rysunek wyśladował z łopotem na podłodze, bo przecież prawej dłoni nie było.

Pochyliłem się, żeby go podnieść, uświadamiając sobie, że się pomyliłem, że nie mówi się „Paryż”, tylko „Rzym”. Nie od razu Rzym zbudowano.

Ale Melda mówi: „Paryżewo”.

Stałem bez ruchu, trzymając kartkę w lewej dłoni. Tej, której nie dosięgnął dźwieg. Czy to było prawdziwe wspomnienie, czy coś, co udzieliło mi się, gdy patrzyłem na ten obrazek? A może po prostu czysta fantazja? Reakcja umysłu, który ze zwykłej uprzejmości stara się odnaleźć w sytuacji?

- To nie jest rysunek - powiedziałem głośno, patrząc na rozchwianą, niepewną kreskę.
Nie, ale zrobił, co mógł, żeby nim zostać.

Klapnąłem z powrotem na krzesło; kiedy mój tyłek dotknął siedzenia, rozległo się głuche walnięcie. Nie mogę powiedzieć, że usiadłem w sposób świadomy i kontrolowany - to raczej kolana same złożyły się pode mną. Spojrzałem na kartkę z kreską. Wyjrzałem przez okno. Powiodłem wzrokiem od zatoki do kreski. I znów od kreski do zatoki.

Chciała narysować horyzont. Tak wyglądał jej początek.

Tak.

Podniosłem swój blok i chwyciłem w dłoń jedną z kredek Elizabeth, nie patrząc, którą biorę. To było nieważne, wystarczyło mi, że należała do niej. Była dla mnie za duża, za gruba. I w sam raz. Zacząłem rysować.

Na wyspie zwanej Duma Key rysowanie wychodziło mi najlepiej.

III

Narysowałem dziewczynkę siedzącą na krześle z nocniczkiem. Na jej głowie bielił się bandaż. W jednej ręczce trzymała szklankę z wodą, drugą obejmowała za szyję swojego ojca. Ojciec był ubrany w podkoszulek na ramiączkach, a policzki miał grubo pokryte kremem do golenia. W tle, ledwie widoczna, niczym cień, stała gosposia. Na tym rysunku nie było bransoletek, bo przecież nie zawsze je nosiła. Widać było natomiast chustę na jej głowie, z dużym węzłem na samym czole; niania Melda, mama zastępcza, jedyna, jaką Libbit miała w życiu.

Libbit?

Tak, tak właśnie na nią mówili. Tak sama na siebie mówiła. Libbit, mała Libbit.

- Najmniejsza ze wszystkich - mruknąłem pod nosem, odwracając pierwszą kartkę mojego bloku. Ta kredka - za krótka, za gruba, nieużywana przez osiem dekad - była doskonałym narzędziem, idealnym przekąźnikiem. Bez chwili zwłoki pomknęła po papierze.

Narysowałem pokój, a w nim dziewczynkę. Za nią, na ścianie, widać było grzbiety książek; to był gabinet. Gabinet tatusia. Na głowie dziewczynki bielił się bandaż. Siedziała przy biurku. Miała na sobie coś luźnego, w stylu podomki. W palcach trzymała

(u - wek)

ołówek. Może kredkę, jedną z tych? Raczej nie - jeszcze nie, nie ten czas - ale to akurat było nieistotne. Odnalazła swoją działkę, swoją specjalność, swoje *métier*. I poczuła głód. Wielki! Nienasycony!

Dziewczynka myśli: „Poproszę więcej kartek”.

Dziewczynka myśli: „Jestem ELIZABETH”.

- Po wypadku sama narysowała sobie drogę powrotną do świata. Dosłownie - powiedziałem, obsypując się gęsią skórką od stóp do głów. Bo przecież ja zrobiłem to samo. Dokładnie to samo, dokładnie w tym samym miejscu - na Duma Key.

Miałem przed sobą jeszcze trochę pracy. Przedtem ten wieczór zapowiadał się długi i wyczerpujący, ale teraz poczułem, że zaledwie jeden mały krok dzieli mnie od wielkich odkryć. Nie bałem się - wtedy jeszcze zupełnie się nie bałem - czułem raczej ekscytację, odkładającą się na ustach smakiem miedzi.

Pochyliłem się, aby wziąć do ręki trzeci rysunek Elizabeth. Potem czwarty. Piąty. Szósty. I następne, szybciej, coraz szybciej. Czasami przerywałem oglądanie, żeby coś narysować, ale przeważnie to nie było potrzebne. Obrazy zaczęły się pojawiać w mojej głowie. Wiedziałem dobrze, dlaczego nie muszę przenosić ich na papier: tę pracę wykonała już Elizabeth, dawno temu, w czasach, gdy powracała do zdrowia po wypadku, który niemalże kosztował ją życie.

W tamtych szczęśliwych czasach, zanim Noveen zaczęła do niej mówić.

IV

Kiedy Mary Ire robiła ze mną wywiad, w pewnym momencie powiedziała, że odkrywszy w sobie talent malarski najwyższej próby, i to będąc już człowiekiem w średnim wieku, musiałem poczuć się jak ktoś, kto niespodziewanie dostał w prezencie kluczyki do jakiejś wypasionej, podrasowanej bryki - dajmy na to, roadrunnera albo GTO. Odpowiedziałem, że owszem, to było coś takiego. Potem w podobnym porównaniu znów pojawiły się klucze, tym razem do dużego, w pełni wyposażonego domu. A właściwie rezydencji. I znów się zgodziłem: to było coś w tym rodzaju. A gdyby ciągnęła te porównania dalej? Gdyby dom i samochód zastąpiło milion akcji Microsoftu przejętych w spadku po kimś tam albo dożywotni wybór na władcę któregoś z bliskowschodnich emiratów, gdzie ropy jest w bród, a wojen jak na lekarstwo? Odpowiedziałbym, że naturalnie, jasne, ma się rozumieć. Dlaczego? Żeby ją uspokoić. Bo zadawała te pytania dla siebie. Widziałem w jej oczach nienasycone pragnienie, za każdym razem, kiedy pytała mnie o coś takiego. To były oczy małej dziewczynki, która zdaje sobie sprawę, że jedynym spełnieniem jej marzeń o występach na trapezie może być wycieczka do objazdowego cyrku w sobotnie popołudnie. Mary była krytykiem sztuki, a wielu krytyków, którzy sami nie mogą tworzyć, bo nie zostali do tego

powołani, z biegiem czasu gorzknieje; rozczarowani, stają się zazdrośni, podli i małostkowi. A jednak Mary taka nie była. Wciąż uwielbiała sztukę. Piła whiskey szklankami i koniecznie chciała wiedzieć, jak to jest, kiedy niespodziewanie, zupełnie znikąd, pojawia się Dzwoneczek, stuka cię w ramię i nagle odkrywasz, że chociaż na pociętym zmarszczkami karku dźwigasz już szósty krzyżyk, to nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wzbił się w powietrze, uleciał w nocne niebo, śmignął księżycowi tuż pod samym nosem. Tak więc, nawet pomimo tego, że to uczucie nie przypominało radości z posiadania szybkiego samochodu albo kluczy do dużego, w pełni wyposażonego domu, powiedziałem jej, że tak to właśnie jest. Bo tego nie da się opisać. Można co najwyżej krążyć dookoła, aż wszyscy pośpią się ze zmęczenia.

Ale Elizabeth wiedziała, jak to jest.

Widziałem to na jej rysunkach, a potem na obrazkach.

Tak czuje się niemowa, który nagle przemówił. Ale to jeszcze nie to. Lepiej. Tak czuje się ktoś, kto odzyskał swoją pamięć, a pamięć dla człowieka jest wszystkim, naprawdę. Pamięć to tożsamość. Pamięć to ty. Już w momencie, kiedy rysowała tę pierwszą kreskę - tę niewiarygodnie odważną pierwszą kreskę, która miała oznaczyć miejsce, gdzie zatoka dotyka nieba - Elizabeth rozumiała, że wzrok i pamięć to zamienniki. I tak zaczęła powraca do zdrowia.

Perse przy tym nie było. Nie było jej u tych początków.

Widziałem to na pewno.

V

Następnych kilka godzin poświęciłem na wyprawę do świata małej Libbit. Było to miejsce i wspaniałe, i straszne. Czasami pisałem pospieszenie kilka słów - *dar jest zawsze nienasycony, zacznij od tego, co znasz* - ale głównie oglądałem jej obrazy. To one były językiem, który posłużył nam do porozumienia się.

Było dla mnie całkiem jasne, dlaczego jej rodzina, najpierw zadziwiona i zachwycona, szybko oswoiła się z tą nagłą erupcją talentu i dlaczego ostatecznie zaczął on ją nudzić. Stało się tak, ponieważ z jednej strony mała artystka pracowała w niesamowitym tempie, a z drugiej - była przecież jedną z nich, była ich małą Libbit; zawsze jest to poczucie, że w Nazarecie nie urodzi się nic dobrego, prawda? Ale ich znudzenie tylko podsycalo jej głód. Zaczęła się zastanawiać, czym mogłaby ich znów zadziwić, zaczęła szukać nowych sposobów widzenia.

I znalazła, niech ją Bóg ma w swojej opiece.

Rysowałem w moim bloku ptaki fruujące do góry nogami i zwierzęta chodzące po wodzie w basenie.

Narysowałem konia z uśmiechem tak wielkim, że wychodził daleko poza kontur głowy. I nagle przemknęło mi przez głowę, że to właśnie wtedy musiała pojawić się Perse. Tylko że...

- Tylko że Libbit nie wiedziała, że to jest ona, Perse - powiedziałem na głos. - Myślała, że to...

Przerzuciłem odłożone na bok, obejrzone już rysunki. Musiałem cofnąć się prawie do samego początku. Do okrągłej, czarnej twarzy, ozdobionej uśmiechniętymi ustami. Pomiąłem przedtem ten rysunek, uznawszy, że to tylko portret niani Meldy, ale powinienem się był domyślić - to była twarz dziecka, nie kobiety. A w zasadzie twarz lalki. Nagle moja ręka pomknęła naprzód, wypisując tuż obok imię NOVEEN, tak mocno dociskając starą kanarkowożółtą kredkę Elizabeth, że grafit złamał się na ostatniej kresce drugiego N. Cisnąłem kredkę na podłogę i sięgnąłem po następną.

Perse na początku mówiła do Libbit przez Noveen, żeby nie wystraszyć swojego małego geniusza. Czy może być coś mniej przerażającego niż czarna, uśmiechnięta laleczka, z czerwoną chustką zawiązaną na głowie, tak samo jak ukochana niania Meldy?

A czy Elizabeth była zaskoczona, czy się przestraszyła, gdy nagle jej lalka zaczęła sama z siebie mówić? Nie sądzę. Pomimo wybitnego, lecz bardzo wąskiego talentu wciąż była dzieckiem, trzyletnim dzieckiem.

Noveen podpowiadała Elizabeth, co rysować, a ona...

Chwyciłem swój blok. Narysowałem tort leżący na podłodze. A właściwie rozbryźnięty na podłodze. Mała Libbit myślała, że ten figiel to był pomysł Noveen, ale nie: podsunęła jej to Perse, chcąc sprawdzić siłę dziewczynki. Perse eksperymentowała tak samo jak ja, próbując ustalić, jaką moc da jej to nowe narzędzie.

A potem był huragan Alice.

Bo, szepnęła lalka, na dnie morza leży skarb, a sztorm go odsłoni, pokaże, gdzie jest.

Zatem tak naprawdę ten huragan nie mógł nazywać się Alice ani też Elizabeth, bo ta mała dziewczynka to jeszcze nie była żadna Elizabeth. Wielka wichura roku dwudziestego siódmego to był huragan Libbit.

Bo tatuś ucieszyłby się, gdyby znalazł skarb. Bo tatuś musi choć na chwilę przestać myśleć o...

- Nawarzyła piwa - powiedziałem szorstko, zupełnie nie swoim głosem - niech je teraz

pije.

... o tym, że Adie uciekła z Emerym, tym Celuloidowym Kołnierzykiem, i o tym, jak strasznie jest na nią za to zły.

Tak. To właśnie wydarzyło się w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym na południowym krańcu wyspy Duma Key.

Narysowałem Johna Eastlake'a - a właściwie tylko płetwy na tle nieba, koniuszek rurki do nurkowania, a poniżej ciemny zarys ciała. John Eastlake szuka skarbu pod wodą.

Schodzi pod wodę po nową lalkę dla swojej córki; tak było, chociaż sam pewnie w to nie wierzył.

Obok jego płetwy napisałem: **ZNALEŻNE**.

Moje myśli wezbrały obrazami, które szybko nabierały ostrości, jakby przez te wszystkie lata czekały na wyzwolenie. Czy to możliwe, przemknęło mi przez głowę, żeby wszystkie obrazy (i wszystkie narzędzia do ich tworzenia), od jaskiniowych rysunków z centralnej Azji aż po Mona Lisę, kryły w sobie wspomnienia swych narodzin i swych autorów, zapisane niczym kod DNA w każdym pociągnięciu pędzla, każdym stwarzającym ruchu?

„Płyn w tamtym kierunku i nie przestawaj, dopóki nie powiem”.

Obok Nurkującego Tatusia dorysowałem Elizabeth. Stała po kolana, po swoje pulchne, okrągłe kolanka w wodzie, trzymając pod pachą Noveen. Wyglądała niemalże tak samo jak lalka - dziewczynka na rysunku, który sprezentowałem Ilse na jej własne życzenie, nadając mu tytuł „Gra skończona”.

„A kiedy zobaczył te wszystkie rzeczy, przytulił mnie i tulił, i tulił”.

Naszkcicowałem pospiesznie, jak John Eastlake przytuliła córkę. Maskę do nurkowania miał zsuniętą na czubek głowy, a nieopodal, na kocu, stał czerwony kosz. Na jego wieku leżał miotacz harpunów.

„Przytulił mnie i tulił, i tulił”.

Narysuj ją, szepnął czyjś głos. Narysuj znaleźne. Znaleźne Elizabeth. Narysuj Perse.

Nie posłuchałem. Bałem się tego, co mógłbym zobaczyć. I tego, co mogłoby mnie spotkać.

A tatuś? A John? Ile z tego wszystkiego on mógł wiedzieć?

Przerzuciłem rysunki Libbit, aż znalazłem portret krzyżącego Johna Eastlake'a, twarz zalaną krwią płynącą z nosa i oczodołu. Wiedział bardzo wiele, choć gdy się dowiedział, było już za późno.

Co tak naprawdę stało się z Tessie i Lo - Lo?

A co stało się z Perse, w jaki sposób zamknięto jej usta na tyle długich lat?

I kim właściwie ona była? Bo na pewno nie lalką, to jasne.

Mogłem rysować dalej - Tessie i Lo - Lo, trzymające się za ręce, biegnące jakąś ścieżką, aż prosiły się o narysowanie - ale zacząłem już wychodzić z tego półtransu i zmroził mnie śmiertelny strach. Poza tym uznałem, że na razie wystarczy informacji. W ustaleniu reszty faktów mógł pomóc mi Wireman, byłem tego niemalże stuprocentowo pewien. Zamknąłem blok. Odłożyłem brązową kredkę, własność dziewczynki, która odeszła przed wieloma laty; teraz to był już tylko ogryzek. Wtedy poczułem, że jestem głodny. Jak wilk. Ale ten swoisty kac nie był dla mnie niczym nowym, a jedzenia w lodówce miałem dość.

VI

Schodziłem z piętra powoli. W głowie huczało mi od natłoku obrazów: niebieskooka czapla o świdrującym spojrzeniu, lecąca do góry nogami, uśmiechnięte konie, płetwy na stopach tatusia, wielkie jak kajaki. Nie włączyłem światła. Nie musiałem; był kwiecień, a ja po tylu spędzonych tutaj miesiącach trafiłbym od schodów do kuchni z zamkniętymi oczami i w egipskich ciemnościach. Ten samotny dom, zawisły ponad lustrem wody, stał się moim domem i mimo wszystko nie potrafiłem sobie wyobrazić, że miałbym go opuścić. Zatrzymałem się w połowie drogi do kuchni, wyglądając przez szerokie okno pokoju „Floryda”, za którym roztaczała się zatoka.

A tam, nie dalej jak sto metrów od plaży, oświetlony przez ćwiartkę księżyca i milion gwiazd, widoczny jak na dłoni i rozpoznawalny na pierwszy rzut oka, kotwiczył statek o nazwie „Perse”. Stał pod zwiniętymi żaglami, lecz z wiekowych masztów zwieszały się całymi festonami pajęczce sieci olinowania. Całun, pomyślałem. To jest jego całun. Statek kołysał się na falach, w górę i w dół, niczym zbutwiała drewniana zabawka należąca do dziecka, które umarło dawno temu. Pokład, o ile mogłem dostrzec, był pusty - nie było na nim ani niczego żywego, ani żadnych pamiątek - ale kto mógłby powiedzieć, co kryje się w głębi kadłuba?

Poczułem, że zaraz zemdleję i w tym samym momencie zrozumiałem, dlaczego mi tak słabo: przestałem oddychać. Zrób wdech, rozkazałem sobie, ale przez jedną straszliwą sekundę nie było żadnego efektu. Moja pierś pozostała płaska jak kartka zatrzaśnięta w książce. A kiedy wreszcie się uniosła, usłyszałem skrzatuszony kaszel. To było echo mojej walki o pozostanie przy świadomości. Wypchnąłem z płuc wciągnięte przed sekundą powietrze i zrobiłem kolejny wdech, już nieco mniej hałaśliwy. W półmroku przed moimi oczami zawiro-

wały czarne plamy, które po chwili zniknęły. Spodziewałem się, że razem z nimi zniknie także ten statek - przecież to musiało być przywidzenie - ale nie, pozostał na swoim miejscu, długi na jakieś trzydzieści sześć metrów i szeroki na osiemnaście. Kołysał się na falach, z dziobu na rufę i - nieco mniej - z burty na burtę. Jego bukszpryt chwiał się jak palec dłoni uniesionej w groźącym geście. Patrząc na niego, miałem nieodparte wrażenie, że słyszę: *Ouuu, ty niedobry, teraz dostaniesz za swo...*

Trzasnąłem się w twarz, z całej siły, aż łza zakręciła mi się w lewym oku, ale statek wciąż nie chciał zniknąć. Nagle przyszło mi do głowy, że jeśli naprawdę - naprawdę - jest tam, gdzie go widzę, to zobaczy go także Jack, jeśli wyjdzie z *El Palacio* i zbiegnie drewnianym pomostem na plażę. Na drugim końcu salonu stał telefon, ale bliżej miałem do aparatu w kuchni, a poza tym tuż nad nim znajdowały się kontakty, posiadał więc dla mnie zdecydowaną przewagę. Chciałem zapalić światło, zwłaszcza w kuchni, bo tam były dobre, mocne żarówki fluorescencyjne. Wyszedłem z salonu tyłem, nie spuszczać oka ze statku, i uderzyłem wierzchem dłoni we wszystkie trzy włączniki naraz. Rozbłysło jasne, konkretne światło; przestałem widzieć „Perse”, a wraz z nim wszystko, co znajdowało się za oknami pokoju „Floryda”. Sięgnąłem po telefon i zamarłem z wyciągniętą ręką.

W kuchni był człowiek. Stał obok lodówki, obleczony w mokre szmaty, które kiedyś mogły być parą dzinsów i bluzą z dekoltem w łódkę. Jego szyję, policzki, czoło i przedramiona porastał, zdaje się, mech. W prawej skroni widniało głębokie wgniecenie. Spomiędzy cienkich, ciemnych włosów wystawały fragmenty potrzaskanej kości czerepu, niczym jasne płatki wśród gęstego listowia. Nie miał oka - prawego oka. W tym miejscu ział otwór o gąbczastym dnie. Drugie połyskiwało obcym, przygnębiającym odcieniem srebra, nieludzkim do ostatnich granic. Stał boso, a jego stopy, spuchnięte i sine, przy kostkach były obdarte ze skóry i ciała.

Stwór uśmiechnął się do mnie; jego wargi rozchyliły się, ukazując dwa rzędy pożółkłych zębów tkwiących w czarnych dziąsłach. Uniósł prawą rękę, demonstrując mi przedmiot, który, jak się domyśliłem, stanowił kolejną relikwię z pokładu „Perse”. Były to kajdany. Jedna przedpotopowa, zardzewiała bransoleta opasywała przegub stwora. Druga zwisała otwarta, podobna do opadniętej szczęki.

Ta druga była przeznaczona dla mnie.

Stwór wydał z siebie flegmisty syk - przegniłych strun głosowych prawdopodobnie nie było stać na nic więcej - i ruszył w moim kierunku, w pełnym świetle jasnych, konkretnych żarówek fluorescencyjnych. Zostawiał ślady na drewnianej podłodze. Rzucił cień. Usłyszawszy ciche poskrzypywanie, dostrzegłem zawilgły skórzany pasek na jego

biodrach - przegniły, ale na razie trzymał.

Ogarnął mnie dziwaczny, miękki bezwład. Byłem w pełni przytomny, ale nie mogłem uciekać, pomimo iż rozumiałem doskonale, co oznacza ta druga, otwarta bransoleta zardzewiałych kajdan, i zdawałem sobie sprawę, kim jest ten stwór: werbownikiem, zwykłym łapaczem. Przyszedł tutaj po to, żeby mnie skuć i zawlec na tę fregatę, szkuner, barkentyne czy jak tam jeszcze inaczej nazwać ten piekielny statek. Miałem zostać wcielony do jego załogi. Nie wiadomo, czy na „Perse” są chłopcy okrętowi, pomyślałem, ale dwie okrętowe dziewczynki pewnie się znajdują: jedna ma na imię Tessie, a druga Lo - Lo.

Musisz uciekać. Przywał mu chociaż raz tym telefonem, na miłość boską!

Ale nie mogłem. Byłem jak ptak zahipnotyzowany wzrokiem węża. Udało mi się tylko zrobić jeden sztywny krok wstecz, z powrotem do salonu... potem drugi... potem trzeci. Znów znalazłem się w półmroku. Stwór zatrzymał się w drzwiach do kuchni; białe światło fluorescencyjnych żarówek padało na jego mokrą, gnijącą twarz i rysowało jego cień na dywanie. Wciąż się uśmiechał. Chciałem zamknąć oczy i przepędzić go siłą woli, ale zrozumiałem, że nie tędy droga: czułem nawet jego zapach, śmierdział jak śmietnik w bocznej uliczce na tyłach rybnej restauracji. Poza tym.

- Czas na ciebie, Edgarze.

A więc jednak umiał mówić. Słowa, choć rozmyte, były zrozumiałe.

Przestąpił próg i wszedł do salonu. Cofnąłem się o kolejny sztywny krok, w głębi serca zdając sobie sprawę, że to na nic, że nie wystarczy trzymać dystans, że kiedy znudzi go ta zabawa, po prostu rzuci się na mnie, zatrzaśnie mi to żelazo na ręce i zaciągnie, krzyczącego wniebogłosy, na brzeg i dalej, do wody, do *caldo largo*, a ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszę w życiu, będzie chrzęstliwa rozmowa muszli pod podłogą Wielkiego Korala. Potem woda zamknie mi uszy.

Mimo to cofnąłem się jeszcze o krok, nie wiedząc, czy się w ogóle poruszam, czy nie, miałem tylko nadzieję, że drzwi są coraz bliżej. Kolejny krok... I wtedy czyjaś ręka opadła mi na ramię.

Wrzasnąłem.

VII

- Co to, kurwa, jest? - wyszeptał mi Wireman do ucha.

- Nie wiem - odpowiedziałem, szlochając. Ze strachu. - Chociaż nie. Wiem, co to jest.

Spójrz na zatokę, Wireman.

- Nie mogę. Nie spuszczę go z oczu.

Ale stwór stojący w drzwiach kuchni zobaczył już Wiremana - Wiremana, który wszedł tymi samymi, otwartymi na oścież drzwiami co on sam, który przybył z odsieczą jak kawaleria na westernie z Johnem Wayne'em - i zatrzymał się trzy kroki za progiem, pochylając lekko głowę. W jego wyciągniętej ręce kołysały się kajdany.

- Chryste Panie - zachłysnął się Wireman. - Ten statek! Ten sam co na obrazach!

- Odejdź - powiedział stwór. - Nic nie mamy do ciebie. Odejdź, a będziesz mógł żyć.

- Kłamie - ostrzegłem Wiremana.

- Co ty powiesz - mruknął, po czym nabrał powietrza i wrzasnął na cały głos, a ponieważ stał tuż za mną, miałem wrażenie, że odpadnie mi ucho: - Proszę stąd wyjść! To prywatna posesja!

Młody topielec nie odpowiedział, ale był dokładnie tak szybki, jak się tego obawiałem. W jednej chwili stał trzy kroki za progiem kuchni; w następnej był tuż przed moim nosem, a z tego, co było pomiędzy, zdołałem uchwycić tylko niewyraźny, rozedrgany cień ruchu. Jego zapach - zgnilizna, wodorosty, śnięte ryby gnijące na słońcu - buchnął mi prosto w twarz, dławiąc wszystkie inne doznania. Lodowate dłonie zacisnęły się na moim przedramieniu. Krzyknąłem z zaskoczenia i przerażenia. Nie chodziło o ich zimny dotyk, ale o to, że były odrażająco miękkie. Kluchowate. Jedyne srebrne oko stwora wpiło się we mnie, wwierciło w mój mózg, tak że przez chwilę miałem wrażenie, jakby wprost do głowy wlewała mi się czysta, niezmacona ciemność. A potem zardzewiała bransoleta zatrzasnęła się na moim nadgarstku z głośnym, tępym trzaśnięciem.

- Wireman!! - wrzasnąłem, ale jego już nie było. Uciekał ode mnie ile sił w nogach. Biegł w drugą stronę pokoju.

Byliśmy skuci jednym łańcuchem, topielec i ja. Pociągnął mnie w kierunku drzwi.

VIII

Wireman wrócił, kiedy byliśmy już na progu, a truposz szykował się, żeby wywlec mnie z domu. Podbiegł do nas, niosąc w dłoni coś, co wyglądało jak tępy sztylet. Przez chwilę wydawało mi się, że to jeden z tych srebrnych harpunów, ale to było tylko wielkie pobożne życzenie; harpuny zostały na piętrze, razem z czerwonym koszem.

- Ej! - zawołał. - Ty! Tak, do ciebie mówię! *Cojudo de puta madre!*

Stwór odwrócił ku niemu głowę, szybko jak atakujący wąż. A Wireman był niemalże tak samo szybki. Chwycił ten tępy przedmiot oburącz i trzasnął nim mojego napastnika prosto

w twarz, trafiając tuż ponad prawym oczodołem. Stwór wrzasnął przeraźliwie, a jego wrzask przeszył mi uszy tysiącem ostrych odłamków szkła. Zobaczyłem, jak Wireman krzywi się i siania na nogach. Zatoczył się w tył, usiłując nie wypuścić z rąk swojej broni, ale nie zdołał; wyslizgnęła mu się z palców, lądując na piasku, którym było zasypane wejście do domu. Nie miało to już jednak większego znaczenia. Człekokształtny stwór, na pozór tak rzeczywisty, obrócił się w niebyt, razem z ubraniem i całą resztą. Bransoleta na moim przegubie również się zatraciła. Przez chwilę jeszcze ją widziałem, a potem w jej miejsce pojawiła się woda, która ściekała mi na tenisówki i zmoczyła chodnik. Tam, gdzie przed sekundą stał demoniczny żeglarz, też rozlała się plama wody, tylko większa.

Poczułem na twarzy jakąś ciepłą ciecz, gęstszą od wody. Otarłem nos i górną wargę; to była krew. Wireman potknął się o puf i rozłożył jak długi. Dźwigając go z podłogi, zauważyłem, że też leci mu krew z nosa. Krwawił dodatkowo z lewego ucha: cienka strużka ściekała po jego szyi, tuż obok gardła, pulsującego szybko w rytm uderzeń serca.

- Chryste, co za wrzask - sapnął. - Aż się popłakałem, a w uszach mi dzwoni jak jasna cholera. Słyszysz mnie, Edgar?

- Słyszę - przytaknąłem. - Wszystko w porządku?

- Nie licząc tego, że właśnie jakiś truposz zdematerializował mi się przed samym nosem? Raczej tak. - Pochylił się, podniósł z podłogi tę swoją broń o walcowatym kształcie i ucałował ją. - Za wszystko, co pstrokate, chwała niech będzie Panu - oznajmił, po czym parsknął szczekliwym śmiechem. - Nawet kiedy nie jest pstrokate.

To był lichtarz. Szpic na jego górnym końcu, tam, gdzie osadza się świecę, był ciemny, tak jakby zetknął się z czymś bardzo gorącym, a nie zimnym i mokrym.

- We wszystkich domach panny Eastlake są świece, bo tutaj cały czas wysiada światło - wyjaśnił Wireman. - W rezydencji jest generator, ale nigdzie indziej, nawet u ciebie, nie ma takich luksusów. Z tym że twój dom jest większy od reszty domów do wynajęcia i dlatego stoją tu lichtarze z rezydencji, które, tak się złożyło, są srebrne.

- A ty sobie o tym przypomniałeś - mruknąłem, ale było to mruknięcie pełne podziwu i respektu.

Wzruszył ramionami, po czym odwrócił wzrok i wyjrzał przez okno na zatokę. Zrobiłem to samo. Oprócz blasku księżyca i gwiazd przeglądających się w wodzie nie zobaczyliśmy nic. Wszystko zniknęło. Przynajmniej na razie.

Nagle Wireman chwycił mnie za rękę, zaciskając palce dokładnie w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą miałem zardzewiałą bransoletę. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi.

- Co? - zapytałem, widząc, że uderzyła go jakaś nowa myśl. Nie podobał mi się strach malujący się na jego twarzy.

- Jack - szepnął. - Jack jest sam w *El Palacio*.

Pojechaliśmy jego samochodem. Przedtem byłem tak przerażony, że nie zauważyłem nawet jego świateł i nie usłyszałem, jak zajeżdża pod dom i parkuje obok mojego.

IX

Jackowi nic się nie stało. Odebrał kilka telefonów od starych znajomych Elizabeth, ale ostatni z nich dzwonił za piętnaście dziewięta, półtorej godziny przed tym, jak wpadliśmy do *El Palacio*, zakrwawieni, z oczami jak spodki; Wireman wymachiwał lichtarzem, którego przez cały czas nie wypuścił z ręki. Nie zjawili się tutaj żadni nieproszeni goście, a Jack nie widział statku, który rzucił kotwicę na wysokości Wielkiego Korala. Zajadał sobie popcorn z mikrofalówki i oglądał „Gliniarza z Beverly Hills” nagrany na starej wideokasie.

Naszej relacji wysłuchał z rosnącym zdumieniem, ale bez większego niedowierzania; to był człowiek młodego pokolenia, upomniałem się w duchu, wychowany na serialach w stylu „Z archiwum X” i „Zagubieni”. Poza tym wszystko pasowało do tego, co mówiliśmy mu wcześniej. Kiedy skończyliśmy, wziął od Wiremana lichtarz i obejrzał dokładnie szpic, który wyglądał jak spiralka w przepalonej żarówce.

- Dlaczego nie przyszedł po mnie? - zapytał. - Byłem sam i w żaden sposób nie mogłem się go spodziewać.

- Nie chcę podkopywać twojego poczucia własnej wartości - odparłem - ale nie sądzę, żebyś był gwiazdą numer jeden dla kierownika tego cyrku, kimkolwiek on jest.

Wzrok Jacka przykuła cienka czerwona szrama na moim nadgarstku.

- Edgar, czy to w tym miejscu...?

Skinąłem głową.

- W mordę - zaklął pod nosem.

- Rozgryzłeś już, co się tutaj dzieje? - zapytał mnie Wireman. - Bo skoro wysłała po ciebie tę poczwarę, to pewnie uważa, że wszystkiego się dowiedziałeś albo że jesteś już blisko prawdy.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł poznać całą prawdę - odparłem - ale wiem, kim za życia był ten stwór.

- Kim? - Jack wytrzeszczył na mnie oczy, wciąż ściskając w dłoni lichtarz. Opamiętał się i odłożył go na kuchenny blat.

- Nazywał się Emery Paulson. Był mężem Adriany Eastlake. Wiemy na pewno, że przyjechali razem z Atlanty, żeby pomóc w poszukiwaniach zaginionych bliźniaczek. Ale nigdy już nie opuścili Dumy. Perse postarała się o to.

X

Z kuchni przeszliśmy do salonu, w którym poznałem Elizabeth Eastlake. Jak zawsze stał tam długi, niski stół, ale teraz jego blat był kompletnie pusty. Lśniaca, wypolerowana powierzchnia wydała mi się uderzająco trafną parodią ludzkiego życia.

- Gdzie są jej figurki? - spojrzałem na Wiremana. - Co się z nimi stało? Gdzie jest Porcelanowa Wioska?

- Spakowałem wszystko do pudeł i wyniosłem do letniej kuchni - odpowiedział, wskazując dłonią ogólny kierunek. - Właściwie nie miałem powodu, ale... Nie mogłem... Napijesz się zielonej herbaty, *muchacho*? A może piwa?

Poprosiłem o wodę. Jack powiedział, że jeśli to nie problem, to chętnie napiłby się piwa. Wireman wyszedł, żeby wszystko przynieść. Rozpłakał się dopiero na korytarzu. Wybuchnął wielkim, hałaśliwym szlochem, takim, którego nie można stłumić, choćby się nie wiem jak próbowało.

Jack i ja spojrzeliśmy po sobie, po czym każdy z nas odwrócił wzrok, nie mówiąc ani słowa.

XI

Powrót do salonu zajął mu o wiele więcej czasu niż zwykle potrzeba na przyniesienie dwóch puszek piwa i szklanki wody, ale kiedy wreszcie się pojawił, był już spokojny i opanowany.

- Przepraszam - mruknął. - Nieczęsto mi się zdarza w ciągu jednego tygodnia stracić ukochaną osobę i pieprzyć wampira lichtarzem w mordę. Jestem raczej przyzwyczajony, że albo jedno, albo drugie.

Wzruszył ramionami, próbując udawać niefrasobliwość. Nie wyszło mu, ale trzeba przyznać, że się starał.

- To nie są wampiry - zaproponowałem.

- Nie? A co w takim razie? - spytał. - Wyłuszczone nam to łaskawie.

- Mogę wam powiedzieć tylko to, co zdradziły mi jej rysunki. Musicie jednak pamiętać, że talent talentem, a Elizabeth mimo wszystko była jeszcze dzieckiem. -

Zastanowiłem się przez chwilę i potrząsnąłem głową. - Nawet nie dzieckiem. Prawie że niemowlęciem. Perse była... Domyślałam się, że Perse była dla niej duchem - przewodnikiem.

Wireman otworzył z trzaskiem swoje piwo, pochylił się w moim kierunku.

- A dla ciebie kim ona jest? Też duchem - przewodnikiem? To ona stymulowała twoją twórczość?

- Oczywiście - odparłem. - Badała granice moich zdolności i poszerzała je. Jestem pewien, że zajście z Candym Brownem to było właśnie coś takiego. A poza tym podsuwała mi tematy. Tak powstała seria „Dziewczynka i statek”.

- A inne twoje obrazy? - chciał wiedzieć Jack.

- Te są chyba w większej części moje. Z tym że niektóre... - Urwałem w pół słowa, bo nagle przyszło mi do głowy coś strasznego. Odstawiłem szklankę, niemalże ją przewracając. - Jezu Chryste... - jęknąłem.

- Co? - spytał Wireman. - Na miłość boską, co się stało?

- Idź po swoją małą czerwoną książeczkę telefoniczną. Teraz, w tej chwili.

Wireman wyszedł, przyniósł to, o co prosiłem, a potem podał mi jeszcze bezprzewodową słuchawkę. Położyłem ją na kolanach i przez chwilę siedziałem bez ruchu, zastanawiając się, do kogo najpierw mam zadzwonić. A potem już wszystko wiedziałem. Okazało się jednak, że życie w nowoczesnym świecie rządzi się pewną żelazną zasadą, bardziej nawet nienaruszalną niż ta, która mówi, że policji nigdy nie ma tam, gdzie jej akurat potrzeba. Zasada ta brzmi następująco: kiedy najbardziej chce się porozmawiać z człowiekiem, zawsze odbiera automatyczna sekretarka.

I właśnie automatyczne sekretarki włączyły się kolejno, kiedy dzwoniłem do Daria Nannuzziego, Jimmy'ego Yoshidy i Alice Aucoin.

- Kurwa! - wrzasnąłem, kiedy w słuchawce rozległ się nagrany głos Alice: „Przepraszam, ale nie mogę odebrać telefonu, proszę...”. Żeby tego nie słyszeć, z całej siły wcisnąłem kciukiem czerwony klawisz.

- Pewnie jeszcze świętują - powiedział Wireman. - Poczekaj trochę, *amigo*, niedługo wszystko się uspokoi.

- Nie mam czasu na czekanie! - krzyknąłem. - Kurwa! Kurwa mać!

Wireman położył dłoń na mojej dłoni.

- O co chodzi, Edgar? - zapytał łagodnym, uspokajającym głosem. - Co się stało?

- Te obrazy są niebezpieczne! Może nie wszystkie, ale niektóre na pewno!

Zastanowił się, po czym skinął głową.

- W porządku. Pomyślmy. Najgroźniejsza jest pewnie seria „Dziewczynka i statek”,

prawda?

- Tak. Tego jestem pewien.

- „Dziewczynki...” prawie na sto procent są jeszcze w galerii. Najpierw trzeba każdy obraz ładnie oprawić, potem dopiero je roześlą.

Roześlą. Boże jedyny, roześlą. To słowo brzmiało strasznie.

- Nie mogę im na to pozwolić - oznajmiłem.

- *Muchacho*, nie możesz pozwolić sobie, ale na co innego. Na niepotrzebne dygresje.

Nie rozumiał, że to nie jest żadna dygresja. Perse, kiedy tylko chciała, potrafiła rozbudzić wielki wiatr.

Ale nie sama. Potrzebni jej byli pomocnicy.

Znalazłem numer Scoto i wystukałem go na klawiaturze. Wydawało mi się to całkiem możliwe, że ktoś tam jeszcze będzie o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt, skoro poprzedniego dnia w galerii odbyła się wielka feta. Jak się jednak okazało, znów zadziałała ta sama żelazna zasada i włączyła się sekretarka. Przeczekałem nagranie, drżąc z niecierpliwości, a potem wcisnąłem dziewiątkę, aby zostawić wiadomość ogólną, dla wszystkich.

- Posłuchajcie - zacząłem. - Mówi Edgar. Chcę, żebyście nigdzie nie wysyłali żadnych moich obrazów ani rysunków, dopóki wam nie powiem. W porządku? Ani jednej sztuki. Po prostu wstrzymajcie się z tym kilka dni. Wytlumaczcie się jakoś klientom, ale zróbcie to dla mnie. Proszę. To bardzo ważne.

Rozłączyłem się i spojrzałem na Wiremana.

- Posłuchają mnie, jak myślisz?

- Teraz, gdy im pokazałeś, że potrafisz zarobić pieniądze? Jasne. A przy okazji oszczędziłeś sobie długiej, zaangażowanej rozmowy. Możemy już wrócić do...?

- Jeszcze nie.

Największe niebezpieczeństwo groziło mojej rodzinie i znajomym, a fakt, że wszyscy rozjechali się w różne strony, jakoś wcale nie był pocieszający. Perse zdążyła już pokazać, że ma długie ręce. A ja zacząłem się wtrącać w jej sprawy. Wzbudziłem jej złość albo strach - albo i jedno, i drugie.

Kierowany pierwszym impulsem, chciałem zadzwonić do Pam, ale przypomniało mi się, co Wireman powiedział o oszczędzaniu sobie długiej, zaangażowanej rozmowy. Tak więc zamiast zaglądać do jego książeczki, poszperałem we własnej, niegodnej zaufania pamięci... i zupełnie wyjątkowo, zapewne za zasługą niecodziennego stresu, posłużyła mi jak należy.

Ale co z tego, że do niego zadzwonię, pomyślałem, kiedy i tak na pewno włączy się sekretarka. I faktycznie tak się stało, ale z początku nie domyśliłem się tego.

- Witaj, Edgar. - W słuchawce zabrzmiał głos Toma Riley'a, z tym że to wcale nie był jego głos. Nie słyszałem w nim nawet cienia emocji, jakby wszystkie naraz obumarły. To pewnie przez te leki, pomyślałem... Ale przecież kiedy widzieliśmy się wczoraj w Scotto, nie słyszałem u niego takiej martwoty.

- Tom, posłuchaj mnie i nie przerywaj.

Ale głos mówił dalej. Ten sam martwy głos.

- Ona cię zabije, wiesz? Ciebie i wszystkich twoich przyjaciół. Tak jak zabiła mnie. Tylko że ja żyję.

Zachwiałem się ciężko.

- Edgar! - powiedział ostro Wireman. - Edgar, co się stało?

- Zamknij się - uciałem. - Bo nie słyszę.

Wydawało mi się, że nagranie dobiegło już końca, ale wciąż słyszałem jego oddech. Powolny i płytki, niosący się aż z Minnesoty. W końcu Tom odezwał się jeszcze raz:

- Lepiej byłoby umrzeć - podsumował. - Teraz muszę iść i zabić Pam.

- Tom! - wrzasnąłem do nagranego głosu. - Tom, ocknij się!

- A kiedy już oboje umrzemy, weźmiemy ślub. Na statku. Obiecała mi to.

- Tom!

Wireman i Jack obskoczyli mnie, jeden chwytając za rękę, drugi za kikut. Ledwie to do mnie dotarło.

A potem usłyszałem:

- Zostaw wiadomość po sygnale.

Zabrzmiał sygnał i w słuchawce zapadła cisza.

Nie rozłączyłem się; upuściłem cały telefon. Spojrzałem na Wiremana.

- Tom Riley pojechał zabić moją żonę.

I dodałem, chociaż te słowa brzmiały kompletnie obco w moich ustach:

- Może nawet już to zrobił.

XII

Wireman nie domagał się żadnych wyjaśnień, kazał mi tylko do niej zadzwonić. Podniosłem telefon, przykładając go z powrotem do ucha, ale numer wyleciał mi z pamięci. Wireman podyktował mi go, a ja nie mogłem trafić w klawisze; moje niezdrowe oko, po raz pierwszy od kilku tygodni, zasnuło się czerwienią.

Wreszcie Jack mnie wyręczył.

Nasłuchiwałem telefonu, który dzwonił w Mendota Heights, spodziewając się za chwilę usłyszeć pogodny, bezosobowy głos Pam, informujący, że jego właścicielka jest na Florydzie, ale niedługo wróci. Z tym że jej nie było już na Florydzie; mogła w tej chwili leżeć martwa na podłodze w kuchni, a obok niej Tom Riley, tak samo bez życia. Ta scena stanęła mi przed oczami z taką wyrazistością, że zobaczyłem dokładnie krew na kuchennych szafkach i na ostrzu noża, który Tom ścisnął w sztywniejącej dłoni.

Jeden sygnał... Drugi... Trzeci... Po czwartym włączy się sekretarka...

- Halo? - To była Pam. Oddychała z trudem, dyszała.

- Pam! - krzyknąłem. - Jezu Chryste, to naprawdę ty? Odpowiedz!

- Edgar? Skąd wiesz? - spytała, totalnie zaskoczona. I wciąż tak samo zdyszana. A może to wcale nie była zadyszka? Głos należał do Pam, znałem go dobrze: był teraz lekko matowy, jakby się przeziębila albo przed chwilą...

- Pam, ty płaczesz? - zapytałem, dodając poniewczasie: - Skąd wiem o czym?

- O Tomie Rileyu - wyjaśniła. - Myślałam, że to jego brat dzwoni. Albo, nie daj Boże, matka.

- Co z Tomem?

- Kiedy wracaliśmy, wszystko było w porządku - powiedziała. - Śmiał się i chwalił tym szkicem, który sobie kupił, grał w karty z Kamenem i innymi. - I dopiero wtedy się rozpląkała. Głośny szloch brzmiał jak zakłócenia na linii; zza tej zasłony hałasu dobiegały mnie słowa. Nie brzmiało to najpiękniej, ale było cudowne. Bo tak brzmi tylko żywy dźwięk. - Wszystko z nim było w porządku. A dziś się zabił, dziś wieczorem. Gazety uznają to za wypadek, ale to było samobójstwo. Tak mówi Bozia. Bozia ma znajomego policjanta. Od niego się o wszystkim dowiedział, a potem zadzwonił do mnie. Tom uderzył w mur oporowy, jadąc ponad sto dziesięć na godzinę. Nie znaleźli żadnych śladów hamowania. To było na dwudziestce trójce, więc pewnie jechał tutaj.

Rozumiałem każde słowo, bez pomocy fantomowych kończyn. To Perse za tym stała, Perse, która była zła na mnie. Zła? Raczej wściekła. Tylko że Tom na jeden moment wrócił do zdrowych zmysłów - nie mówiąc już o tym, że znalazł odwagę - i zrobił szybki objazd przez betonowy klif.

Wireman jak szalony wymachiwał mi rękami przed samym nosem, piorunując mnie pytającym spojrzeniem: „Co się dzieje?”. Odwróciłem się do niego plecami.

- Pando, on uratował ci życie.

- Co takiego?

- Wiem, co mówię - oznajmiłem twardo. - Ten szkic, którym się tak chwalił w

samolocie... To był mój rysunek, prawda?

- Tak... Strasznie był z niego dumny... Edgar, co ty chcesz...?

- Miał jakiś tytuł? Czy ten szkic miał tytuł? Wiesz czy nie wiesz? - Nazywał się „Dzień dobry”. Tom wciąż powtarzał „U nasz w Mjinnesoota nje ma takje wjidoki”... Durny tekst... - Urwała, a ja też milczałem, myśląc gorączkowo. Aż wreszcie znów się odezwała: - Chodzi o te twoje specjalne zdolności. Tak?

„Dzień dobry”, pomyślałem. Oczywiście. Pierwszy szkic, który powstał w Wielkim Koralu. Była w nim moc. A Tom go kupił.

Cholerne „Dzień dobry”.

Delikatnym, ale stanowczym ruchem Wireman wyjął mi słuchawkę z dłoni.

- Pam? - powiedział. - Mówi Wireman. Czy Tom Riley...? - Wysłuchał odpowiedzi, skinął głową. Jego głos był bardzo spokojny, pokrzepiający. Przypomniałem sobie, że tak samo mówił do Elizabeth. - Dobrze... Tak... Tak, z Edgarem wszystko w porządku, ze mną też, nic nam się tutaj nie stało. Bardzo nam, oczywiście, przykro, że pan Riley... Ale musimy teraz poprosić cię o pewną przysługę, to jest niezwykle ważna sprawa. Przełączę cię na głośnik. - Wcisnął klawisz, którego wcześniej w ogóle nie zauważyłem. - Jesteś tam jeszcze?

- Tak... - Głos Pam brzmiał brzękliwie, ale wyraźnie. Słysząc było, że wzięła się w garść.

- Ile prac Edgara kupili wasi krewni i znajomi?

Pam zastanowiła się przez chwilę.

- Nikt z rodziny nie kupił ani jednego obrazu, takiego na płótnie. Jestem pewna.

Odetchnąłem z ulgą.

- Wydaje mi się, że wszyscy mieli nadzieję... chociaż może lepiej powiedzieć: spodziewali się... Że kiedyś, przy jakiejś okazji... Na któreś urodziny albo może na święta...

- Rozumiem. Więc nikt niczego nie kupił.

- Tego nie powiedziałam. Chłopak Melindy kupił jeden rysunek, tak jak Tom. Ale o co chodzi? Co jest nie tak z tymi rysunkami?

Ric. Serce załomotało mi dziko.

- Pam, mówi Edgar. Czy Melinda i Ric zabrali ten rysunek ze sobą?

- Do samolotu, w trasę przez Atlantyki? Ric zamówił oprawę i poprosił o wysłanie. Melinda chyba nic o tym nie wie. To były kwiaty szkicowane kredkami.

- I te kwiaty zostały w Scoto.

- Tak.

- I jesteś pewna, że nikt inny z rodziny nie kupił żadnego obrazu.

Zastanawiała się przez jakieś dziesięć sekund. To była męka. Wreszcie odpowiedziała:

- Nikt. Jestem pewna.

Obyś się nie myliła, Pando, pomyślałem.

- Ale Angel i Helen Slobotnikowie coś kupili - dodała. - To się chyba nazywało „Kwiaty i skrzynka na listy”.

Wiedziałem, o który chodzi. Właściwy tytuł brzmiał „Margerytki i skrzynka na listy”. Wydawało mi się, że jest niegroźny, że jest mój od A do Z, ale mimo wszystko...

- Nie zabrali go ze sobą, prawda?

- Nie, bo najpierw wybierali się do Orlando i stamtąd dopiero mieli lecieć do domu. Oni też zamówili oprawę i wysłanie. - Już o nic nie pytała, udzielała tylko kolejnych odpowiedzi. Jej głos brzmiał młodziej; to była Pam, z którą brałem ślub, moja pierwsza księgowa, jeszcze sprzed ery Toma. - Ten chirurg, który cię operował... Nie pamiętam nazwiska...

- Todd Jamieson - odpowiedziałem automatycznie. Gdybym zaczął się namyślać, na pewno bym sobie tego nie przypomniał.

- Właśnie. On też kupił jeden obraz i zamówił wysłanie. Przymierzał się do któregoś z tej niesamowitej serii „Dziewczynka i statek”, ale wszystkie miały już nabywców. Zadowolił się konchą pływającą po wodzie.

I tutaj mógł być problem. Gdzie surrealizm, tam mógł być problem.

- Bozia kupił dwa rysunki, a Kamen jeden. Kathi Green też chciała sobie któryś sprawić, ale powiedziała, że jej nie stać. - Pauza. - Uznałam, że ten jej mąż to palant.

Dałbym go jej za darmo, pomyślałem, gdyby tylko poprosiła.

- Posłuchaj mnie teraz, Pam - odezwał się Wireman. - Mamy dla ciebie zadanie.

- Dobrze. - Jej głos był jeszcze odrobinę matowy, ale ostre tony przeważały. Generalnie brzmiał już tak jak trzeba.

- Musisz zadzwonić do Bozema i do Kamena - mówił dalej Wireman. - Zaraz, natychmiast.

- W porządku.

- Powiedz im, żeby spalili te rysunki.

Sekunda pauzy.

- Mają spalić rysunki, dobrze, zrozumiałam.

- Jak tylko skończymy rozmawiać - wtrąciłem.

Tu już w głosie Pam zabrzmiała nuta rozdrażnienia.

- Powiedziałam, że rozumiem, Eddie.

- Przekaż im, że zwrócę każdemu dwa razy tyle, ile zapłacili, albo dostaną ode mnie inne rysunki, sami będą mogli je sobie wybrać, ale te, które kupili, nie są bezpieczne. Nie są bezpieczne. Zrozumiałas?

- Tak jest, zaraz to zrobię. - Tym razem wreszcie zadała mi pytanie: - Eddie, czy to ten rysunek „Dzień dobry” zabił Toma?

- Tak. Oddzwoń do mnie, bardzo proszę.

Podałem jej numer telefonu. Miała taki głos, jakby znów zaczęła płakać, ale powtórzyła ciąg cyfr bezbłędnie.

- Dziękujemy, Pam - powiedział Wireman.

- Właśnie - dodał Jack. - Dziękujemy, pani Freemantle.

Myślałem, że Pam zapyta, kto to powiedział, ale nie doczekałem się tego.

- Edgar, obiecujesz, że dziewczynkom nic się nie stanie?

- Jeśli nie zabrały ze sobą żadnego z moich obrazów, to nic im nie grozi.

- Tak - westchnęła ciężko. - Te twoje cholerne obrazy. Niedługo oddzwonię.

I rozłączyła się, bez pożegnania.

- Pomogło? - zapytał Wireman, kiedy odłożyłem słuchawkę.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - W Bogu nadzieja, że to coś da. - Przycisnąłem nasadę dłoni najpierw lewe oko, potem prawe. - Ale nie czuję, żeby było lepiej. Nie czuję, że udało nam się cokolwiek naprawić.

XIII

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W końcu Wireman zapytał:

- Czy kiedy Elizabeth wypadła z tej dwukółki, to był prawdziwy wypadek? Jak byś powiedział?

Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby oczyścić umysł. Ta sprawa też była ważna.

- Powiedziałbym, że tak. Kiedy odzyskała przytomność, cierpiała na amnezję, afazję i Bóg wie co jeszcze. Był to skutek urazu mózgu, którego w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku medycyna nie potrafiła jeszcze poprawnie zdiagnozować. Malowanie stało się dla niej czymś więcej niż tylko terapią. Naprawdę była cudownym dzieckiem, a zarazem swoim własnym pierwszym wielkim dziełem. Gosposia Eastlake'ów, niania Melda, była zdumiona tym wybuchem talentu. Potem o Elizabeth napisali w gazecie i każdy, kto czytał jej historię przy śniadaniu, też przeżył wielkie zdumienie... Ale wiecie, jacy są ludzie...

- Przy śniadaniu - szok, do obiadu zapomną - dokończył Wireman.

- Jezu... - westchnął Jack. - Jeśli na starość mam zostać takim cynikiem jak wy dwaj, to wypisuję się z tego klubu.

- Jak Boga noga, syneczku - zapewnił go Wireman i roześmiał się. Był to głuchy śmiech, ale był. Cieszyłem się, że go słyszę.

- Ludzie zaczęli tracić zainteresowanie - podjąłem - a Elizabeth prawdopodobnie też. W końcu kto nudzi się szybciej niż trzylatka?

- Tylko szczeniaki i papużki - zgodził się Wireman.

- Eksplozja weny w wieku trzech lat. - Jack wyglądał na zdeprymowanego. - Odjechany pomysł.

- Więc zaczęła... zaczęła... - Urwałem. Przez chwilę nie byłem w stanie mówić dalej.

- Edgar? - powiedział cicho Wireman. - Dasz radę?

Musiałem dać radę, chociaż nie bardzo wiedziałem, w jaki sposób. Zdawałem sobie jednak sprawę, że jeśli nie dam rady, to śmierć Toma będzie tylko pierwszą z wielu.

- A tak dobrze wyglądał, kiedy go widziałem na wystawie. Po prostu dobrze, rozumiesz? Już myślałem, że się pozbierał. I gdyby ona nie zaczęła mieszać...

- Wiem. - Wireman skinął głową. - Napij się wody, *muchacho*.

Napiłem się wody, wysiłkiem woli kierując myśli ku bardziej aktualnej sprawie.

- Elizabeth zaczęła eksperymentować. Z początku rysowała kredkami, ale szybko przerzuciła się na akwarele: najpierw malowała palcami, potem pędzlem. Cała ta ewolucja dokonała się w ciągu zaledwie kilku tygodni. Tak mi się przynajmniej wydaje. Do tego w koszu znalazłem kilka rysunków wykonanych wiecznym piórem i parę obrazków, które prawie na pewno namalowano farbami do ścian. Sam chciałem tego spróbować. Taka farba, jak już wyschnie, to wygląda...

- O tym będziesz mówił swoim uczniom, *muchacho* - przerwał mi Wireman.

- Jasne. Jasne. - Wypiłem jeszcze trochę wody. Powoli przychodziłem do siebie. - Zaczęła eksperymentować z innymi materiałami. Tak to się chyba mówi. Rysowała kredą na ceglach. Rysowała na piasku nad brzegiem morza. Raz nawet namalowała portret Tessie na blacie kuchennym za pomocą roztopionych lodów.

Jack, który przez cały czas siedział zgarbiony, ściskając dłonie pomiędzy kolanami, nagle zmarszczył brwi.

- Edgar... - zapytał - to nie są twoje domysły? Naprawdę to widziałeś?

- W pewnym sensie. Czasami naprawdę coś widziałem. Innym razem to było raczej coś w rodzaju... fali bijącej z rysunku czy obrazka i tak samo z jej kredek, które wziąłem do rysowania.

- Ale wiesz, że to wszystko prawda.

- Wiem.

- A nie martwiła się tym, że jej prace nie są zabezpieczone, że mogą być nietrwałe? - zapytał Wireman.

- Nie. Liczyło się samo tworzenie. Eksperymentowała z materiałami, a potem zabrała się do eksperymentów z otoczeniem. Zmieniała je. I wtedy usłyszała ją Perse. Wydaje mi się, że dotarło do niej echo tego kombinowania z rzeczywistością. To ją obudziło. Zbudziła się ze snu i zaczęła wołać.

- Perse była w tych śmieciach, które Eastlake znalazł w morzu, prawda? - chciał wiedzieć Wireman.

- Elizabeth myślała, że to lalka. Najlepsza lalka na świecie. Ale nie mogły się połączyć, dopóki nie urosła dostatecznie w siłę.

- Która „ona”? - spytał Jack. - Perse czy dziewczynka?

- Prawdopodobnie obie. Elizabeth była tylko dzieckiem. A Perse... Perse przez długi czas leżała pogrzebana pod piaskiem, utulona przez fale, pogrążona we śnie.

- Bardzo to wszystko liryczne - zaopiniował Jack - ale ja dalej nie wiem, o czym ty właściwie mówisz.

- Sam tego nie wiem - przyznałem szczerze. - Bo nie mogę jej zobaczyć. Jeśli Elizabeth rysowała Perse na jakimś obrazku, to potem go niszczyła. Znamienne, że na starość zaczęła kolekcjonować figurki z porcelany, ale może to tylko zbieg okoliczności. Wiem natomiast, że Perse nawiązała łączność z dziewczynką: najpierw poprzez rysunki, potem posługując się lalką o imieniu Noveen, która do tej pory była ulubioną przytulanką Elizabeth. A później rozpoczęła coś w rodzaju... programu ćwiczeń. Nie wiem, jak inaczej można by to nazwać. Nakłaniała Elizabeth do rysowania różnych rzeczy, które następnie działały się w rzeczywistości.

- Tak samo grała z tobą - zauważył Jack. - Candy Brown.

- I moje oko - dodał Wireman. - Nie zapomnij, że wyleczyłeś mi oko.

- Chciałbym myśleć, że to faktycznie moje własne dzieło - mruknąłem. Ale czy to możliwe, że naprawdę sam tego dokonałem? - Oprócz tego robiłem też inne rzeczy. To były przeważnie drobiazgi... Niektórych swoich rysunków używałem jak szklanej kuli... - Urwałem, nie chcąc ciągnąć tematu, który prowadził do Toma. Bo Tom też zasłużył sobie na wyleczenie.

- Opowiedz nam do końca, czego się dowiedziałeś z obrazków Elizabeth - poprosił Wireman.

- W porządku. Zaczniemy od tego huraganu, który uderzył nie w swoim czasie, poza sezonem. To Elizabeth go przywołała, zapewne przy pomocy Perse.

- Kitujesz! - prychnął Jack.

- Perse powiedziała Elizabeth, gdzie znajduje się „wysypisko”, a Elizabeth powtórzyła to ojcu. Wśród różnych rupieci była tam też... powiedzmy, że porcelanowa figurka, długości mniej więcej trzydziestu centymetrów. Przedstawiała piękną kobietę. - Tak, zobaczyłem ją wyraźnie. Bez szczegółów, same zarysy tej figurki. I jej oczy: puste, bez źrenic, jak dwie perły. - Elizabeth dostała ją w nagrodę, to było jej znaleźne. A gdy Perse poczuła, że nie jest już w wodzie, wtedy dopiero na serio zabrała się do roboty.

Jack odezwał się bardzo cicho:

- Skąd takie istoty w ogóle się biorą, jak sądzisz, Edgar?

Miałem już na końcu języka odpowiedź, jedno zdanie. Nie wiem, skąd się wzięło, wiem tylko, że to nie ja je ułożyłem: „A były to dni starszych bóstw; monarchów i monarchiń”. Nie wypowiedziałem go na głos. Nie chciałem słyszeć tych słów, nawet w czterech ścianach dobrze oświetlonego pokoju, potrząsnąłem więc tylko głową.

- Nie wiem. Tak samo nie wiem, pod jaką banderą płynął statek, który kiedyś przygnała tutaj wichura, ten, który - naprawdę mogło tak być - podziurawił sobie kadłub na Kitt Reef i zgubił w morzu część swojego ładunku. Niewielu rzeczy mogę być pewien na sto procent... ale wydaje mi się, że Perse ma własny statek, a kiedy została uwolniona spod wody i zjednoczyła się całkowicie z potężnym umysłem małej Elizabeth Eastlake, mogła go już wezwać.

- Statek umarłych - powiedział Wireman. Na jego twarzy malował się dziecinny przestрах pomieszany z fascynacją. Za oknem wiatr wzburzył liście rosnących na dziedzińcu drzew; rododendrony pokłoniły się przed podmuchem, a do naszych uszu dobiegł miarowy, senny odgłos fal bijących o brzeg. Pokochałem ten dźwięk od pierwszej chwili po przybyciu na wyspę Duma Key i nie przestałem go kochać, ale teraz budził we mnie także strach. - Znasz jego nazwę? Może... „Persefona”?

- Jak uważasz - odparłem. - Mnie też przyszło do głowy, że „Perse” to skrót, który wymyśliła Elizabeth, próbując wymówić to imię. Ale to nieważne. Tu nie chodzi o grecką mitologię. Mamy do czynienia z istotą znacznie starszą i straszniejszą. A do tego wygłodniała. To ją łączy z wampirami. Tylko że nie pożąda ludzkiej krwi, ale duszy. Tak mi się przynajmniej wydaje. Elizabeth miała nową „lalkę” nie dłużej niż miesiąc i Bóg jeden wie, jak wyglądało przez ten czas życie w pierwszym Czaplím Siedlisku, ale z całą pewnością nie było dobrze.

- Czy to wtedy Eastlake zamówił te srebrne harpuny? - zapytał Wireman.

- Nie umiem ci tego powiedzieć. Bardzo wielu rzeczy nie wiem, bo to, co udało mi się ustalić, pochodzi od Elizabeth, a ona była wtedy jeszcze bardzo małym dzieckiem. Nie mogę wyczuć, co się stało w jej poprzednim życiu, bo całkowicie zarzuciła rysowanie. A jeśli kiedykolwiek przypomniało jej się, że kiedyś to umiała...

- To starała się, jak mogła, żeby o tym zapomnieć - dokończył Jack.

Wireman sposepniał.

- Pod koniec życia zapomniała już prawie o wszystkim.

- Pamiętasz te jej obrazki - powiedziałem - na których wszyscy mają na twarzach szerokie, pomyłone, narkomańskie uśmiechy? W ten sposób Elizabeth próbowała odtworzyć świat, który pamiętała. Świat przed pojawieniem się Perse. Szczęśliwszy. Na kilka dni przed tym, jak jej siostry utonęły, zaczęła wariować ze strachu, ale bała się pisać choćby słowa, bo wydawało jej się, że te wszystkie złe rzeczy to jej wina.

- Jakie złe rzeczy? - chciał wiedzieć Jack.

- Dokładnie nie wiem, ale na jednym obrazku widziałem staromodnego ogrodowego dżokeja, figurkę Murzyna w uniformie postawioną na głowie. Moim zdaniem tak właśnie było ze wszystkim: dla Elizabeth w ciągu tych ostatnich kilku dni cały świat stanął na głowie.

Ogrodowy dżokej był czymś więcej niż tylko figurką odwróconą do góry nogami; byłem tego prawie pewien, ale nie wiedziałem dokładnie, o co może chodzić, a to raczej nie była najlepsza pora, żeby dyskutować akurat nad tym.

- Sądzę, że przed utonięciem Tessie i Laury, a także przez krótki czas po tym, Eastlake'owie mogli być niemalże więźniami w Czaplim Siedlisku.

- A jedyną osobą, która wiedziała, dlaczego tak się dzieje, była Elizabeth? - spytał Wireman.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyłem ramionami. - Niania Melda pewnie czegoś się domyślała. To bardzo prawdopodobne.

- Kto mieszkał tam na stałe w okresie pomiędzy znalezieniem skarbu a utonięciem bliźniaczek? - zapytał Jack.

Zastanowiłem się chwilę.

- Przypuszczam, że Maria i Hannah mogły przyjechać ze szkoły na weekend albo może na cały tydzień. Eastlake, niewykluczone, w marcu i kwietniu wyjeżdżał w interesach. Kto na pewno był tutaj przez cały ten czas? Elizabeth, Tessie, Laura i niania Melda. A Elizabeth próbowała za pomocą rysunków unicestwić swoją nową „przyjaciółkę”, wymazać ją z istnienia. - Oblizalem wargi. Były bardzo suche. - Rysowała kredkami, tymi samymi,

które były w koszu. To było tuż przed tym, jak Tessie i Laura utonęły w morzu. Może nawet tego samego dnia, w nocy. Bo ich śmierć była karą, rozumiecie? Tak samo jak Tom miał zamordować Pam, żeby ukarać mnie. Za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Widzicie to czy nie?

- Boże wszechmogący... - szepnął Jack. Wireman pobladł jak ściana.

- Nie sądzę, żeby Elizabeth rozumiała, co się tutaj tak naprawdę dzieje, dopóki jej siostry nie utonęły. - Wzruszyłem ramionami. - Do diabła, ja sam nie pamiętam, ile rozumiałem z tego, co się dzieje dookoła mnie, kiedy miałem cztery lata. Ale dla niej aż do tej chwili trzepanie skóry na ojcowskim kolanie albo kilka łap linijką za podbieranie z kuchni świeżego ciasta niani Meldy, zanim zdążyło ostygnąć, to były prawdopodobnie najgorsze rzeczy, jakie ją w życiu spotkały - nie licząc wypadnięcia z dwukółki, ale tego, załóżę się, w ogóle nie pamiętała. Czy dziecko może pojąć naturę zła? Ona wiedziała tylko tyle, że Perse była niegrzeczna, że zamiast być dobrą lalką, była niedobra, że robiła się samowolna, wymykała się spod kontroli i że trzeba ją przepędzić. Więc Libbit usiadła, wzięła swoje kredki, kilka kartek papieru i powiedziała tak: „Dam sobie radę. Muszę tylko pracować powoli i najlepiej, jak umiem, a wtedy na pewno dam sobie radę”.

Umilkłem na chwilę, przetarłem oczy.

- Wydaje mi się, że tak to właśnie wyglądało, ale odnoście się z rezerwą do tego, co wam teraz mówię. Możliwe, że pomieszało mi się to z własnymi wspomnieniami. Mój umysł może płatać mi figle. Głupie, kurwa, figle.

- Spokojnie, *muchacho* - powiedział Wireman. - Powoli. Próbowала więc unicestwić Perse rysunkami. Jak to się robi?

- Najpierw trzeba narysować, a potem zetrzeć.

- I Perse jej na to nie pozwoliła?

- Jestem prawie pewien, że o niczym nie wiedziała. Elizabeth umiała się kryć, kiedy chciała coś zrobić w tajemnicy. Jeśli interesuje was, w jaki sposób to robiła, to niestety nie umiem tego wyjaśnić. Ale jeśli chcecie wiedzieć, czy to był jej własny pomysł, czy czterolatka potrafi sama z siebie wpaść na coś takiego...

- Nie jest to niemożliwe - ocenił Wireman. - Na swój sposób to właśnie jest myślenie czteroletniego dziecka.

- Nie potrafię pojąć, w jaki sposób udało jej się ukryć z tym przed Perse - powiedział Jack. - Przecież to była mała dziewczynka.

- Ja też tego nie rozumiem - przyznałem.

- Tak czy inaczej, nie poskutkowało - podsumował Wireman.

- To prawda. Nie poskutkowało. Wydaje mi się, że Elizabeth zrobiła ten rysunek, z całą pewnością ołówkiem, a po skończeniu wytarła kartkę do czysta. Człowiek pewnie by nie przeżył czegoś takiego. Candy Brown też nie dał rady. Ale Perse nie była człowiekiem i tylko ją to rozjuszyło. Odegrała się na Elizabeth, zabierając jej uwielbiane siostry. Tessie i Laura nie zeszły tamtą wydeptaną przez rodzinę ścieżką na Cienistą Plażę, żeby szukać w morzu nowych skarbów. Coś je tam zapędziło, a kiedy weszły do wody, było po nich.

- Nie do końca - mruknął Wireman. Wiedziałem, że myśli o śladach małych stóp na pewnej drewnianej podłodze. Nie licząc już nawet tego stwora, który zawitał niedawno w mojej kuchni.

- To prawda - zgodziłem się. - Nie do końca.

Znów zerwał się wiatr. Tym razem podmuch był tak mocny, że coś z hukiem wyrznęło w ścianę od strony zatoki. Podskoczyliśmy wszyscy trzej.

- A jak załatwiła tego Emery'ego Paulsona? - zapytał Jack.

- Nie wiem - przyznałem.

- A co z Adriana? - dorzucił Wireman. - Czy ją Perse też zlikwidowała?

- Nie wiem - powtórzyłem. - Może. - A potem dodałem z ociąganiem: - Pewnie tak.

- Nie widzieliśmy jej - przypomniał Wireman. - To już coś.

- Na razie - odparłem.

- Ale bliźniaczki utonęły - powiedział Jack takim tonem, jakby chciał sobie coś wyjaśnić. - Ta cała Perse zwabiła je do wody. Czy coś tam.

- Właśnie - przytaknąłem. - Czy coś tam.

- Ale potem zaczęły się poszukiwania. Obcy ludzie, spoza wyspy, zgłosili się do pomocy.

- To było konieczne, Jack - wyjaśnił Wireman. - Wiele osób wiedziało o ich zaginięciu. Na przykład Shannington.

- Pamiętam - odrzekł Jack. - Właśnie o to mi chodzi. Więc mamy rozumieć, że Elizabeth, jej ojciec i gosposia po prostu nabrali wody w usta?

- A mieli inne wyjście? - zapytałem. - John Eastlake miał pójść do czterdziestu czy pięćdziesięciu ochotników i powiedzieć im: „Upiorzyca porwała mi córki, szukajcie tej upiorzycy”? Zresztą on w ogóle nie musiał wiedzieć, że to właśnie tak było. Chociaż w końcu na pewno się dowiedział - dodałem, myśląc o rysunku, na którym widziałem, jak krzyczy. Krzyczy i krwawi.

- Zgadzam się, że nie mieli innego wyjścia - przyznał Wireman. - Chciałbym teraz wiedzieć, co się stało po tym, jak zaprzestano poszukiwań. Tuż przed śmiercią panna Eastlake

powiedziała, że trzeba ją utopić, żeby usnęła z powrotem. Chodziło jej o Perse? A jeśli tak, to jak się do tego zabrać?

- Nie wiem. - Potrząsnąłem głową. - Dlaczego tego nie wiesz?

- Bo rozwiązania pozostałych zagadek znajdziemy na południowym krańcu wyspy. W ruinach pierwszego Czapłego Siedliska. Tam też, jak sądzę, znajdziemy Perse.

- No to w porządku - podsumował Wireman. - Jeśli zatem nie decydujemy się wyprowadzić z Dumy jak najszybciej, to chyba powinniśmy się tam wybrać.

- Biorąc pod uwagę to, co spotkało Toma, nie mamy nawet takiego wyboru - powiedziałem. - Sprzedałem mnóstwo obrazów, a galeria nie będzie ich trzymać w nieskończoność.

- To je odkup - zaproponował Jack. Ale ja pomyślałem już o tym.

Wireman potrząsnął głową.

- Wielu nabywców nie będzie chciało sprzedać swoich nowych skarbów, nawet za podwójną cenę. I nie przekonasz ich taką historyjką.

Na to już żaden z nas nie miał odpowiedzi.

- Ale za dnia, w dziennym świetle, jej moc słabnie - powiedziałem. - Proponuję godzinę dziewiątą rano.

- Jak dla mnie może być. - Jack wstał z krzesła. - Będę u was za piętnaście. A teraz zrywam się na most i wracam do Sarasoty.

Most. To mi podsunęło pewną myśl.

- Możesz przenocować tutaj - zaprosił go Wireman.

- Po tym, co właśnie usłyszałem? - Jack uniósł brwi. - Z całym szacunkiem: nic z tego, kolego. Ale jutro przyjadę.

- Obowiązują długie spodnie i porządne buty - zastrzegł Wireman. - Tam są niezłe chaszczce, a w chaszczach mogą być węże. - Potarł dłonią policzek. - Wygląda na to, że nie pokażę się jutro u Abbota - Wexle - ra na wystawieniu zwłok. Krewni panny Eastlake będą musieli zadowolić się szczerzeniem zębów na siebie nawzajem. Jaka szkoda... Hej, Jack!

Jack, który szedł już w kierunku drzwi, przystanął.

- A ty nie jesteś przypadkiem właścicielem jakiegoś obrazka naszego Edgara, co?

- Hmm... No...

- Wyznaj prawdę. Spowiedź leczy duszę, *compañero*.

- Jeden szkic - przyznał się Jack, przestępując z nogi na nogę. Miałem też wrażenie, że się zarumienił. - Piórkiem i tuszem. Na kopercie. Palma. Wy... ee... Wyciągnąłem go kiedyś z kosza na śmieci. Przepraszam, Edgar. Moja wina.

- Nic się nie stało, ale spał go teraz - powiedziałem. - Jak już będzie po wszystkim, może będę mógł dać ci jakiś inny. - Jeśli w ogóle kiedyś będzie po wszystkim, dodałem w myślach, ale nie powiedziałem tego na głos.

Jack skinął głową.

- W porządku. Podwieźć cię do domu?

- Zostanę tutaj, z Wiremanem - powiedziałem - ale faktycznie chcę najpierw podjechać do Wielkiego Korala.

- Niech zgadnę - uśmiechnął się Jack. - Piżamka i szczoteczka do zębów.

- Nie - odparłem. - Czerwony kosz i te srebrne har...

W tym momencie zadzwonił telefon. Spojrzeliśmy po sobie. Chyba wiedziałem od razu, że zaraz usłyszę złe wieści; żołądek opadł mi w dół brzucha jak ekspresowa winda. Drugi dzwonek. Zerknąłem na Wiremana, ale on tylko odpowiedział spojrzeniem. Też się domyślił. Podniosłem słuchawkę.

- To ja. - Głos Pam był poważny. - Zbierz siły, Edgar.

Kiedy słyszymy coś takiego, zawsze staramy się zapiąć jakiś psychiczny pas bezpieczeństwa, ale to rzadko zdaje egzamin. Większość ludzi nie posiada tego rodzaju instalacji.

- Dawaj - powiedziałem.

- Bozia był w domu. Przekazałam mu twoje życzenie. Zaczął się dopytywać, o co chodzi, zresztą nic dziwnego, ale wykręciłam się, że niby nie mam czasu, a poza tym i tak nie wiem, więc żeby się skracać: zgodził się. Jak powiedział, przez wzgląd na dawne czasy.

Mój żołądek opadał coraz niżej.

- Potem zadzwoniłam do Ilse. Nie byłam pewna, czy ją zastanę, ale właśnie dotarła do domu. Miała zmęczony głos, ale wróciła i nic jej nie jest. Jutro sprawdzę, co u Linnie, bo dopiero jutro...

- Pam... - przerwałem z naciskiem.

- Już do tego dochodzę. Po rozmowie z Illy zadzwoniłam do Kamena. Czekałam tylko dwa albo trzy sygnały, więc kiedy ktoś się odezwał w słuchawce, zaczęłam swoją gadkę. Wydawało mi się, że rozmawiam z nim. - Urwała na chwilę. - To był jego brat. Powiedział mi, że Kamen po drodze z lotniska wpadł do starbucks'a na małą latte. Kiedy stał w kolejce, dostał zawału. Wezwana karetka zawiozła go do szpitala, ale tylko dla formalności. Jego brat mówił, że umarł na miejscu. Chciał wiedzieć, po co dzwonię, ale powiedziałam mu, że teraz to już i tak nieważne. Dobrze?

- Tak - potwierdziłem. Szkic, który kupił Kamen, nie powinien już zaszkodzić ani jego

bratu, ani nikomu innemu; wykonał swoje zadanie. - Dziękuję ci.

- Jeśli to cię pocieszy, to moim zdaniem mógł to być przypadek. Kamen był miłym facetem, ale ciała miał za dwóch. Wystarczyło na niego spojrzeć.

- Może faktycznie masz rację - powiedziałem, chociaż byłem pewien, że tak nie jest. - Odezwę się niedługo.

- Dobrze. - Po chwili wahania dodała: - Uważaj na siebie, Eddie.

- Ty też. Zamknij dom na klucz i włącz alarm.

- Zawsze tak robię.

Z tym słowami się rozłączyła. Po przeciwnej stronie domu fala przyboju toczyła spór z nocą. Prawa ręka swędziała. Gdybym tylko mógł cię dosięgnąć, pomyślałem, to chyba bym odciął cię z powrotem. Z jednej strony po to, żebyś nie narobiła więcej szkody, ale głównie dlatego, żebyś wreszcie umilkła.

Rzecz jasna, zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, że nie chodziło wcale o rękę, której już nie było, nie o dłoń, której już nie miałem; problemem była istota o postaci kobiety w czerwonej szacie, istota, dla której byłem tabliczką spirytystyczną.

- Co jest? - dopytywał się Wireman. - Dość tego suspense, *muchacho*. Co się stało?

- Kamen - odparłem. - Miał zawał. Nie żyje.

Pomyślałem o wszystkich obrazach zamkniętych w magazynie galerii Scoto, o wszystkich, które zostały sprzedane. Jeszcze przez krótki czas będą nieszkodliwe, ale koniec końców pieniądze otwiera wszystkie drzwi. To już nawet nie było żadne niepisane prawo facetów, tylko amerykański styl życia, kurwa jego mać.

- Chodź, Edgar - powiedział Jack. - Podrzucę cię do domu, a potem odwiozę z powrotem tutaj.

XIV

Nie powiem, że nasza wyprawa do „Koralika” upłynęła w sielskiej atmosferze (wziąłem ze sobą srebrny lichtarz i nie wypuszczałem go z dłoni, dopóki nie wyszliśmy z domu), ale mimo wszystko przeszła bez przygód. Nie natknęliśmy się na żadne duchy oprócz wzburzonych głosów muszli pod podłogą. Włożyłem wszystkie rysunki z powrotem do czerwonego kosza. Jack zniósł go na dół. Przez całą drogę osłaniałem mu tyły, a po wyjściu zamknąłem dom na klucz. Jakby to mogło coś pomóc.

W drodze powrotnej do *El Palacio* przyszedł, a właściwie wrócił, mi do głowy pewien pomysł. Mój cyfrowy nikon został w Wielkim Koralu i bynajmniej nie miałem ochoty jechać

tam jeszcze raz, ale...

- Jack, masz może polaroida?

- Jasne - padła odpowiedź. - One - shota. Mój ojciec mówi na taki sprzęt „stary, ale jary”. Czemu pytasz?

- Kiedy będziesz tutaj jutro jechał, zatrzymaj się na chwilę przy naszym zwodzonym moście, ale na brzegu Casey Key. Strzel parę fotek ptaszkom i łódkom, dobrze?

- Dobrze...

- A przy okazji obfotografuj mi sam most, a zwłaszcza mechanizm, który go podnosi.

- Dlaczego? Po co ci te zdjęcia?

- Narysuję go bez tego mechanizmu - wyjaśniłem. - Zrobię to, kiedy usłyszę syrenę, która daje znak, że jest podniesiony, bo pod spodem płynie jakaś łódź. Raczej nie uda mi się sprawić, żeby silnik i cała hydraulika naprawdę zniknęły, ale przy odrobinie szczęścia spięrzę to ustrojstwo na tyle, że przez jakiś czas nikt się tutaj nie dostanie. W każdym razie nie samochodem.

- Poważnie? Naprawdę dasz radę uszkodzić most?

- Przy tym, jak często się psuje sam z siebie, to wcale nie będzie trudne. - Znów zapatrzyłem się w ciemne fale, myśląc o Tomie Rileyu, który zasłużył na wyleczenie. Który właściwie wrócił już do zdrowia, jasna cholera. - Żałuję tylko, że nie mogę sobie narysować porządnie przespanej nocy.

JAK POWSTAJE OBRAZ (IX)

Szukaj obrazu wewnątrz obrazu. Czasami trudno go dostrzec, ale taki obraz zawsze istnieje. A jeśli on ci umknie, możesz stracić to, co najcenniejsze. Uwierz mi: wydawało mi się, że wiem, czego szukam na fotografii mojej córki z Carsonem Jonesem - portrecie Śmieszka i jego Pysi - a jednak przeczyłem prawdę. Dlaczego? Bo mu nie ufałem? Owszem, ale to brzmi niemalże jak żart. Prawdę mówiąc, nie potrafiłbym zaufać żadnemu mężczyźnie, który miałby czelność zabrać moje maleństwo, moją ulubienicę, moją Ilse.

Zanim znalazłem ich wspólne zdjęcie, miałem w ręce fotkę, na której był sam Carson; uznałem jednak, że jego portret solo jest dla mnie nieprzydatny, że w niczym mi nie pomoże, że jeśli chcę poznać jego prawdziwe zamiary względem mojej córki, to muszę zobaczyć ich jako parę i dotknąć moją magiczną dłoń.

Już wtedy pewne rzeczy zakładałem z góry. Niestety.

Gdybym dotknął tego pierwszego zdjęcia, wniknął do głębi w wizerunek Carsona Jonesa w koszulce Twinsów, Carsona w pojedynkę, to wtedy być może wszystko skończyłoby się inaczej. Być może poczułbym, że ten człowiek jest zupełnie nieszkodliwy. Prawie na pewno udało by mi się to wyczuć. Ale ja pominąłem tamto zdjęcie. I nigdy nie zadałem sobie następującego pytania: skoro Carson zagraża mojej córce, to dlaczego wciąż rysuję ją i tylko ją, wypatrującą oczy za piłkami do tenisa kołyszącymi się na falach?

Bo dziewczynka w tenisowej sukience to była, oczywiście, ona. Prawie wszystkie dziewczynki, które narysowałem i namalowałem na wyspie Duma Key, to była ona, nawet kiedy kryła się pod przebraniem Reby, Libbit czy też - w jednym przypadku - Adriany.

Tylko jedna kobieca postać stanowiła wyjątek od tej reguły: czerwona szata.

Ona.

Dotknąwszy zdjęcia Ilse i jej chłopaka, poczułem śmierć - wtedy nie przyznałbym się do tego nawet samemu sobie, ale tak właśnie było. Moja amputowana ręka wyczuła śmierć, nieuchronną jak deszcz z zasnutego chmurami nieba.

Założyłem, że Carson Jones zamierza skrzywdzić moją córkę, i dlatego chciałem, żeby trzymała się od niego z daleka. Ale on nigdy nie stanowił zagrożenia. Perse chciała mnie

powstrzymać - i to, jak mi się wydaje, za wszelką cenę, kiedy już znalazłem stare rysunki i kredki małej Libbit - ale Carson Jones nigdy nie był jej narzędziem. Nawet biedny Tom posłużył tylko jako doraźny środek, kompletna prowizorka.

Miałem w dłoni zdjęcie, ale poczyniłem błędne założenie i w ten sposób minąłem się z prawdą: śmierć, którą wyczulem, nie miała przyjść od niego. Ona wisiła nad moją córką.

I chyba gdzieś w głębi duszy musiałem zdawać sobie sprawę z tego, co mi umknęło.

Inaczej po co rysowałbym te cholerne piłki?

GRA SKOŃCZONA

I

Wireman proponował mi pastylkę lunesty, na sen. Kusilo mnie to okrutnie, ale podziękowałem. Wziąłem sobie jednakowoż jeden srebrny harpun, a on wziął drugi. Stał przede mną, owłosiony brzuch zwisał mu nieco nad gumką niebieskich bokserów, a w prawej dłoni połyskiwała broń wykonana na specjalne zamówienie Johna Eastlake'a; wyglądał jak ekstrawagancka karykatura Kupidyna. Wichura przybrała na sile; wiatr ryczał pod ścianami i gwizdał na rogach domu.

- Drzwi do sypialni otwarte, tak? - upewnił się Wireman.

- Tak jest.

- A jak coś zacznie się dziać, drzyj się jak stare prześcieradło.

- Przyjąłem, Houston. Ty tak samo.

- Jackowi na pewno nic nie grozi?

- Jeśli tylko spali ten szkic, to nic mu nie będzie.

- To, co spotkało twoich znajomych... Radzisz sobie z tym? Kamen, który nauczył mnie myślenia pobocznego. Tom, który namawiał mnie, żebym nie zrezygnował z przewagi własnego boiska. Czy radziłem sobie z tym, co spotkało moich znajomych?

No cóż, i tak, i nie. Czułem smutek i byłem w szoku, ale skłamałbym, mówiąc, że nie spłynęła też na mnie swojego rodzaju ulga, podła i kusicielska; ludzie w pewnych dziedzinach życia to banda skończonych śmieci. Dlaczego tak mówię? Bo Kamen i Tom, choć faktycznie byli mi bardzo bliscy, znajdowali się tuż za obwodem magicznego kręgu osób, które naprawdę coś dla mnie znaczyły. Ich Perse nie zdołała osiągnąć. A jeśli zadziałamy szybko, to być może jedynymi ofiarami tej naszej wojny będą Kamen i Tom.

- *Muchacho?* - dobiegł mnie głos Wiremana.

- Tak - odpowiedziałem mu, czując się tak, jakby wzywał mnie z bardzo daleka. - W porządku, nic mi nie jest. Gdybyś mnie potrzebował, to wołaj od razu. I tak dziś raczej nie

zmrużę oka.

II

Leżałem, gapiąc się w sufit. Obok, na nocnym stoliku, spoczywał harpun ze srebrnym grotem. Nasłuchiwałem jednostajnego wycia wiatru i miarowego pomruku fal. Pamiętam, jak pomyślałem: „To będzie długa noc”. Potem przyszedł sen.

Śniły mi się dwie siostry Elizabeth, ale nie Paskudy; bliźniaczki.

Uciekały co sił w nogach.

Gonił je duży chłopak.

Miał ZEMBY.

III

Obudziłem się na podłodze; tylko jedna noga - lewa - została na łóżku i wciąż twardo spała. Za oknem dalej świszczwał wiatr i ryczały fale. Po tej stronie szyby moje serce biło niemalże tak samo mocno jak morze o brzeg. Przed oczami wciąż miałem Tessie w chwili śmierci - tonęła, ciągnięta w dół przez miękkie, ale nieubłagane dłonie zaciśnięte na jej łydkach. Widziałem tę scenę w najdrobniejszych szczegółach, piekielne malowidło uczone moich myśli.

Ale to nie ów sen o dziewczynkach uciekających przed żabokształtnym stworem sprawił, że serce waliło mi jak młotem, to nie przez tę wizję obudziłem się na podłodze z miedzianym posmakiem w ustach i wszystkimi nerwami rozpalonymi do białości. Nie, to zupełnie inna rzecz wybiła mnie z niespokojnego snu: dręczące poczucie, że zapomniałem o czymś ważnym, podobne do tego, gdy człowiek budzi się, a w całym domu czuć smród gazu, bo nie wyłączył kuchenki.

Ściągnąłem nogę z łóżka. Uderzyła o podłogę, a ja poczułem, jakby ktoś wbił mi pod skórę tysiąc ostrych szpilek. Krzywiąc się z bólu, rozmasowałem sobie łydkę. Najpierw była jak kłoda drewna, ale po chwili odrętwienie zaczęło przechodzić. Natomiast poczucie, że zapomniałem o czymś niezmiernie ważnym, pozostało.

Ale o czym? Żywiłem pewną nadzieję, że nasza poranna wyprawa na południowy kraniec wyspy położy kres całej tej paskudnej, śmierdzącej sprawie. Największym problemem było w ogóle uwierzyć, że to wszystko prawda - i wiedziałem, że jeśli tylko jasne słońce Florydy nie zarazi nas na nowo sceptycyzmem, to sobie poradzimy. Całkiem możliwe, że będziemy oglądać ptaki latające do góry nogami albo że stanie nam na drodze jakies

gigantyczne żabowate monstrum, ale miałem przecucie, że to wszystko są tylko zjawy, dobre do straszenia sześciolletnich dziewczynek, a znacznie mniej skuteczne przeciwko dorosłym mężczyznom, zwłaszcza jeśli nadchodzą uzbrojeni w harpuny o grotach ze srebra.

Do tego, rzecz jasna, ja będę miał mój blok i kredki.

Coś mi mówiło, że Perse zaczęła się mnie bać; mnie i mojego nowo odkrytego talentu. Samotny, wciąż jeszcze słaby po wypadku, którego o mały włos nie przypłaciłem życiem (i wciąż zmagający się z myślami o samobójstwie), byłem atutem, nie problemem. Bo wbrew wszelkim szumnym deklaracjom tamten Edgar Freemantle wcale nie rozpoczął nowego życia; tamten Edgar zmienił tylko scenerię, w której miała się odtąd toczyć jego smętna egzystencja inwalidy - z sosen na palmy. Ale kiedy zyskałem nowych przyjaciół... Kiedy dostrzegłem, co mnie otacza, i sięgnąłem po to...

Wtedy stałem się niebezpieczny. Nie wiem dokładnie, jaki był jej plan - oprócz tego, że dążyła do odzyskania swojego miejsca w świecie - ale na pewno wydawało jej się, że jako narzędzie do szkodzenia ludziom jednoręki artysta ma olbrzymie możliwości. Święty Boże, przecież mogłem rozesać te trujące obrazy po całym świecie! Ale teraz ja, narzędzie, obróciłem się w jej dłoni, tak samo jak kiedyś Libbit. Teraz trzeba było mnie najpierw powstrzymać, a potem się pozbyć.

- Ale na to już troszeczkę za późno, ty suko - szepnąłem.

Więc dlaczego wciąż czułem ten smród gazu?

Obrazy - zwłaszcza te najgroźniejsze, czyli seria „Dziewczynka i statek” - były pod kluczem i z dala od wyspy, dokładnie tak, jak życzyła sobie Elizabeth. Zgodnie z tym, co mówiła Pam, oprócz Bozi, Toma i Kamena nikt z naszej rodziny ani też przyjaciół nie sprawił sobie żadnego z moich rysunków. Dla Toma i Kamena było już za późno, chociaż oddałbym wiele, żeby móc to zmienić, ale Bozia obiecał spalić swoje nabytki, więc tutaj wszystko było w porządku. Nawet Jack był kryty, bo przyznał się do swojej drobnej kradzieży. Sprytnie ze strony Wiremana, że go o to zapytał, pomyślałem, dziwne tylko, że nie zwrócił się do mnie, czy przypadkiem sam nie dałem kiedyś Jackowi jakiegoś...

Oddech zamarł mi w gardle, rozsypując się na milion ostrych okruchów tłuczonego szkła. Wiedziałem już, o czym zapomniałem. Na samym dnie nocnej godziny, gdy za oknami wiał wiatr, powróciło do mnie wspomnienie. Ta cholerna wystawa tak mnie zaprzątęła, że nie zastanowiłem się chyba ani razu, komu jeszcze wcześniej dałem którąś ze swoich prac.

„Mogę go dostać?”

Moja pamięć, choć nadal z miłą chęcią szła w zaparte, czasami lubiła zaskakiwać mnie bogactwem detali i żywością barw. Taki właśnie był obraz, który teraz rzuciła mi przed oczy.

Zobaczyłem Ilse w „Koraliku”, bosą, ubraną w szorty i koszulkę na ramiączkach. Stała przed moimi sztalugami. Musiałem poprosić, żeby się przesunęła, bo chciałem zobaczyć obraz, który tak ją oczarował. To ja go namalowałem, ale nie mogłem sobie tego przypomnieć.

„Mogę go dostać?”

Kiedy wreszcie odstępiała na bok, zobaczyłem dziewczynkę w sukience do tenisa. Choć odwrócona plecami, była centralnym punktem kompozycji. Rude włosy zdradzały, że to Reba, moja mała ukochana, sympatia z drugiego życia. Ale jednocześnie była to też Ilse - Ilse z Łódki - a także Adriana, najstarsza siostra Elizabeth, bo przecież to była jej sukienka do tenisa, ta obrębiona drobnymi niebieskimi pętelkami. (Nie mogłem tego wiedzieć, ale wiedziałem; tę informację przekazały mi szeptem rysunki Elizabeth, Elizabeth z czasów, kiedy jeszcze mówili na nią Libbit).

„Mogę go dostać? Chcę ten rysunek”.

A może to nie ty, może coś innego chciało, żebyś go chciała?

„Zadzwoniłam do Ilse”, powiedziała Pam. „Nie byłam pewna, czy ją zastanę, ale właśnie dotarła do domu”.

U stóp lalki - dziewczynki leżały niezliczone piłki do tenisa. Łagodne fale niosły w stronę brzegu jeszcze więcej takich samych piłek.

„Miała zmęczony głos, ale nic jej nie jest”.

Nic? Na pewno nic? Przecież dostała ode mnie ten cholerny obraz. Mojej Kruszynce nie potrafiłbym niczego odmówić. Na jej życzenie nadałem mu nawet tytuł - powiedziała, że artyści muszą dawać tytuły swoim dziełom. „Gra skończona”, rzuciłem wtedy. I teraz te dwa słowa kołatały mi w głowie jak bicie dzwonu.

IV

W sypialni dla gości nie było telefonu, więc wymknąłem się chyłkiem na korytarz, ściskając w dłoni harpun ze srebrnym grotem. Chociaż goniło mnie, żeby jak najszybciej porozmawiać z Ilse, zatrzymałem się na chwilę przy otwartych drzwiach do sypialni po drugiej stronie korytarza, zaglądając do środka. Wireman spał na wznak i pochrapywał spokojnie; wyglądał jak wieloryb wyrzucony na brzeg morza. Swój harpun położył sobie wygodnie pod ręką, a tuż obok stała szklanka wody.

Minąwszy rodzinny portret, zszedłem po schodach do kuchni. Tutaj wycie wiatru i ryk fal rozlegały się jeszcze głośniejsze. Podniosłem słuchawkę telefonu, a w niej odezwała się... cisza.

No jasne, pomyślałem. Wydawało ci się może, że Perse zapomniał o telefonach?

Ale potem, przyjrzawszy się słuchawce, dostrzegłem klawisze obsługi dwóch osobnych linii. Wychodziło na to, że w kuchni - niewykluczone, że gdzie indziej też - telefon nie włączał się sam. Mruczając pod nosem krótką modlitwę, nacisnąłem klawisz opisany 1 LINIA. Udało się - usłyszałem sygnał. Przesunąłem kciuk nad klawiaturę numeryczną i w tym momencie dotarło do mnie, że nie pamiętam telefonu do Ilse. Notes z adresami został w Wielkim Koralu, a numer mojej córki wyleciał mi z głowy.

V

Telefon, który odłożyłem na stół, zabuczał jak syrena alarmowa. Choć był malutki, to w ciemnej kuchni aż się rozlegało, a ten dźwięk przywodził mi na myśl same złe rzeczy. Radiowozy wezwane na miejsce przestępstwa. Karetki pędzące na sygnale do wypadku.

Wdusiłem klawisz, żeby to wyłączyć, i oparłem czoło o chłodne, stalowe drzwi olbrzymiej lodówki. Przed samym nosem miałem magnesowy znaczek z napisem OTYŁOŚĆ - NOWY WYMIAR SZCZUPŁOŚCI. Jasne. A śmierć to nowy wymiar życia. Obok tego napisu, tak samo na magnesie, wisiały notatnik i ogryzek ołówka dyndający na sznurku.

Znów wcisnąłem klawisz oznaczony 1 LINIA, a następnie wybrałem 411. Głos automatu powitał mnie w informacji telefonicznej Verizona i poprosił o podanie miasta i stanu. Powoli i wyraźnie, jakbym deklamował na scenie, powiedziałem do słuchawki: „Providence, Rhode Island”. Z tym nie było żadnego problemu, ale na imieniu Ilse robot się zaciął i nie pomogło mu najstaranniejsze powtarzanie. W końcu system przełączył mnie na linię obsługiwaną przez człowieka, który to człowiek sprawdził, o co prosiłem, i potwierdził moje podejrzenie: numer Ilse był zastrzeżony. Wyjaśniłem, że dzwonię do córki w bardzo ważnej sprawie. Pracownik Verizona odparł, że może mnie połączyć ze swoim przełożonym, który chętnie zadzwoni w moim imieniu pod zastrzeżony numer, ale najwcześniej o ósmej rano czasu wschodniego. Spojrzałem na zegar migoczący na panelu mikrofalówki. Była druga zero cztery.

Rozłączyłem się i zacisnąłem powieki. Mogłem obudzić Wiremana i zapytać, czy nie zapisał sobie kiedyś przypadkiem namiarów do Ilse w swojej małej czerwonej książeczce, ale gryzło mnie przeczucie, że nawet na to nie ma już czasu.

- Dam sobie radę - jęknąłem, ale bez wielkiej nadziei w głosie.

Oczywiście, powiedział Kamen. Ile ważysz?

Ważylem sto siedemdziesiąt cztery funty. Przybrałem już ładnie, bo jeszcze niedawno

biłem rekordy wieku średniego z wagą stu pięćdziesięciu funtów*. Zobaczyłem te liczby w głowie: **174150**. Wszystkie cyfry były czerwone. Nagle pięć z nich kolejno przybrało barwę zieloną. Nie otwierając oczu, sięgnąłem po ogryzek ołówka i zapisałem je w notesie: 40175.

A jaki masz numer polisy ubezpieczeniowej?, pytał dalej Kamen.

W ciemności pod powiekami zabłysnęły jaskrawoczerwone cyfry. Po chwili cztery z nich zaślniły zielenią, a ja dodałem je do tych, które już zapisałem. Potem otworzyłem oczy; na kartce widniał numer telefonu: 401759082, nagryzmołony pijanymi, zjeżdżającymi w dół kulfonami.

Wszystko się zgadzało, numer był właściwy - ale brakowało mu jednej cyfry.

To nieistotne, poinformował mnie Kamen ukryty w mojej głowie. *Dla osób o słabej pamięci telefony z klawiaturą są jak gwiazdka z nieba. Oczyść umysł i wystukaj jednym ciągiem to, co już masz na kartce, a ostatnia cyfra wybierze ci się sama, bez najmniejszego problemu. Tak działa pamięć motoryczna twoich mięśni.*

Chwyając się błagalnej nadziei, że to prawda, włączyłem z powrotem pierwszą linię, wstukałem numer kierunkowy do Rhode Island, a dalej cyfry 759 - 082. Kiedy skończyłem, mój kciuk nie zawahał się ani przez chwilę. Sam nacisnął ostatni klawisz i gdzieś w mieście Providence zaczął dzwonić telefon.

VI

- Ha - lo...?Kto...ówi?

W pierwszym momencie wydawało mi się, że mimo wszystko pomyliłem numer. Głos w słuchawce należał do kobiety, ale sądząc po brzmieniu, była ona starsza niż moja córka. O wiele. I musiała brać jakieś leki. Już chciałem powiedzieć: „Przepraszam, pomyłka” i odłożyć słuchawkę, ale się powstrzymałem. „Miała zmęczony głos”, powiedziała Pam, lecz jeśli to naprawdę była Ilse, to ten głos brzmiał raczej tak, jakby jego właścicielka była bliska śmierci z wyczerpania.

- Ilse? - odezwałem się.

Przez długą chwilę nie było żadnej odpowiedzi. Zacząłem już myśleć, że ta bezcielesna osoba z Providence odłożyła słuchawkę; zauważyłem, że się pocę, dosłownie leje się ze mnie. Pociągnąłem nosem dookoła siebie, jak małpka przycupnięta na gałęzi. Czulem zapach własnego potu. Wreszcie w słuchawce zabrzmiał ten sam krótki refren:

- Ha - lo...?Kto...ówi?

* 174 funty \approx 79 kg. 150 funtów \approx 68 kg (przyp. tłum.).

- Ilse!

Cisza. Czuję, że jeszcze chwila i się rozłączy. Wicher za oknami świszczął i wył, fale łomotały o brzeg.

- Kruszyńko! - krzyknąłem w słuchawkę. - Kruszyńko, nie rozłączaj się! Ani mi się waź!

To do niej trafiło.

- Ta... tuś? - To jedno słowo, złamane na pół, zamknęło w sobie wprost bezbrzeżne zdumienie.

- Tak, kotku, to ja, tata.

- Jak to naprawdę tatuś... - Znów długa cisza. Zobaczyłem ją, w kuchni, bosą (tak jak tamtego dnia, gdy oglądała obrazek, na którym narysowałem lalkę i piłki do tenisa), ze zwieszoną głową i twarzą zasypaną włosami. Ogarniętą nieprawdopodobnym pomieszaniem myśli, wręcz bliską szaleństwa. Wtedy po raz pierwszy poczułem, że nienawidzę Perse - choć nie przestałem się jej bać.

- Ilse... Kruszyńko... Posłuchaj mnie teraz...

- Podaj moją nazwę użytkownika. - W głosie zabrzmiała naraz jakaś zatrwożona przebiegłość. - Jeśli to naprawdę mój tatuś, to wie, jaką mam nazwę użytkownika.

Zrozumiałem, że jeśli jej tego nie powiem, odłoży słuchawkę. Odłoży, bo nie jest w tej chwili sobą. Coś w nią wstąpiło. Coś mieszało jej w głowie, obmacywało ją ohydnyimi łapami, plątało dookoła niej swoje sieci. Tylko że to nie było „coś”. To była ona.

Jaką Illy ma nazwę użytkownika?

W pierwszej chwili tego też nie mogłem sobie przypomnieć.

Dasz sobie radę, powiedział Kamen. Ale Kamen przecież nie żył.

- Ty nie jesteś... mój tatuś - oznajmiła rozkojarzona dziewczyna na drugim końcu linii, ponownie zbierając się do odłożenia słuchawki.

Myślenie poboczne, poradził Kamen ze stoickim spokojem.

Rusałka, pomyślałem, nie wiedząc, dlaczego tak myślę. Rusałka, boginka, syrena, driada...

- Ty nie jesteś mój tatuś, ty jesteś ona - powiedziała Ilse tym rozwlekłym, odurzonym lekami głosem, tak niepodobnym do jej prawdziwego głosu. - Mój tatuś nie żyje. Widziałam to we śnie. Do widzę...

- Nimfa! - wrzasnąłem, nie przejmując się tym, że mogę obudzić Wiremana. Wireman w ogóle nie przyszedł mi w tamtej chwili do głowy. - Jesteś nIMFa!

Długa chwila ciszy. A potem:

- I co dalej?

Znów przeżyłem moment przerażającej pustki w głowie, ale pomyślałem: Alicia Keyes - fortepian, fortepian ma klawiszy...

- Osiemdziesiąt osiem - powiedziałem do słuchawki. - Jesteś nIMFa88.

Milczała długo, bardzo długo. Wydawało mi się, że trwa to całą wieczność. A potem zaczęła płakać.

VII

- Tatusiu, ona mówiła, że nie żyjesz. A ja uwierzyłam, tylko w to jedno, w nic innego. Nie tylko dlatego, że mi się to przyśniło, ale też dlatego, że dzwoniła mama i powiedziała, że Tom zginął. A mnie się śniło, że było ci bardzo smutno i wszedłeś do zatoki, porwał cię prąd powrotny i utonąłeś.

- Nie utonąłem, Ilse. Nic mi nie jest, przysięgam.

Tego, co zaszło, dowiadywałem się zrywami, we fragmentach przerywanych płaczem i dygresjami. Szybko zrozumiałem, że mój głos tylko ją uspokoił, ale nie zdołał całkowicie uzdrowić. Wciąż błądziła myślami, dziwnie zagubiona w poczuciu czasu; o wystawie w Scoto mówiła tak, jakby minął co najmniej tydzień, a raz w ogóle przerwała, żeby mnie poinformować, jak to któregoś z jej znajomych policja aresztowała „za plony”. Tak ją to rozbawiło, że wybuchnęła obłąkanym śmiechem, jakby była pijana albo naćpana. Ale kiedy zapytałem, co to znaczy „za plony”, odpowiedziała, że to nieważne. Że to też mogło jej się przyśnić. W końcu jej głos otrzeźwiał. Otrzeźwiał... ale coś z nim było nie w porządku. Ilse mówiła, że słyszy „ją” w głowie, ale też w rurach kanalizacyjnych i w toalecie.

W którymś momencie podczas tej naszej rozmowy w kuchni zjawił się Wireman. Włączył światło i usiadł przy stole, kładąc przed sobą swój harpun. Milczał, przysłuchując się tylko temu, co mówiłem do telefonu.

Ilse powiedziała, że po powrocie do mieszkania, od razu na samym progu, zaczęła czuć się dziwnie - „przestraszenie”, tak to określiła. Z początku było to tylko jakby odurzenie, ale szybko dołączyły mdłości, takie same jak wtedy, gdy wybraliśmy się na południe jedyną drogą na wyspie Duma Key. I odtąd było już coraz gorzej. Ze zlewu przemówił kobiecy głos, który oznajmił Ilse, że jej ojciec nie żyje. Kiedy to usłyszała, wyszła na spacer, żeby się otrzeźwić, ale gdy już znalazła się na dworze, uznała, że musi natychmiast wracać.

- To chyba przez tego Lovecrafta. Tyle się go naczałam do pracy z literatury. Wciąż mi się wydawało, że ktoś za mną idzie. Ona.

Po powrocie do mieszkania zaczęła gotować sobie owsiankę, żeby uspokoić żołądek, ale kiedy tylko zobaczyła, jak gęstnieje, znów chwyciły ją mdłości, a za każdym razem, gdy mieszała w garnku, pojawiały się w nim różne rzeczy. Czaszki. Buzie krzyczących dzieci. I wreszcie - twarz kobiety. Ta kobieta miała za dużo oczu, powiedziała Ilse. To ona poinformowała ją, że jej ojciec nie żyje, a matka jeszcze o niczym nie wie, ale kiedy się dowie, to urządzi przyjęcie.

- Poszłam wtedy i się położyłam - opowiadała, bezwiednie powracając do dzieciennego stylu mówienia - i wtedy mi się przyśniło, że ta pani powiedziała prawdę i że nie żyjesz, tatusiu.

Chciałem ją zapytać, o której godzinie dzwoniła do niej mama, ale uznałem, że i tak sobie tego nie przypomni, a poza tym ten szczegół był zupełnie nieistotny. Tylko dlaczego, Boże jedyny, Pam nie usłyszała w jej głosie niczego niepokojącego, tylko zwykłe zmęczenie? Musiała chyba być głucha! Przecież nie byłem jedynym człowiekiem na świecie, który zwrócił uwagę na to pomieszanie myśli, to śmiertelne znużenie. Z drugiej strony, być może kiedy Pam dzwoniła, nie było jeszcze aż tak źle. Perse była potężna, ale to wcale nie oznaczało, że nie potrzebowała czasu. Zwłaszcza działając na odległość.

- Ilse, masz jeszcze ten obrazek, który ci dałem? Ten z dziewczynką i piłkami do tenisa? Nazwałem go „Gra skończona”.

- Właśnie, to też jest dziwna rzecz - powiedziała. Słyszałem, że stara się mówić składnie, zupełnie jak pijany kierowca zatrzymany przez drogówkę, który usiłuje rozmawiać z policjantami tak, jakby był trzeźwy. - Chciałam dać go do oprawienia, ale nie mogłam się zebrać, więc w końcu przypięłam go pinezką w dużym pokoju. Wiesz, w tym, co ma aneks kuchenny. Piłeś tam ze mną herbatę.

- Tak. - Nigdy w życiu nie byłem u niej w Providence.

- Mogłam tam go sobie... oglądać... ale kiedy wróciłam do domu... hnn.

- Idziesz spać? Nie zasypiaj mi tam, Kruszyńko.

- Nie śpię... - Ale jej głos cichł coraz bardziej.

- Ilse! Obudź się! Obudź się, kurwa jego mać!!

- Tatusiu! - Jej głos był wstrząśnięty, ale zarazem zupełnie przytomny.

- Co się stało z tym obrazkiem? Co było inaczej, kiedy wróciłaś?

- Był w sypialni. Musiałam go sama przewiesić, bo jest przymocowany tą samą czerwoną pinezką, ale nie pamiętam, kiedy to zrobiłam. Chyba chciałam mieć go bliżej siebie. Zabawne, co?

Nie, wcale nie wydawało mi się to zabawne.

- Nie chciałabym żyć, gdybyś umarł, tatusiu - powiedziała. - Chciałabym umrzeć, tak jak ty. Byłabym martwa i zimna jak... jak... jak szklana kulka! - Wybuchnęła śmiechem. Mnie to nie rozbawiło, bo przypomniałem sobie, co spotkało córkę Wiremana.

- Posłuchaj mnie uważnie, Ilse. Zrób dokładnie to, co ci powiem, to bardzo ważne. Zrobisz?

- Tak, tatusiu. Tylko żeby to nie trwało za długo, bo jestem... - ziewnięcie - ...zmęczona. Teraz może zasnę, kiedy już wiem, że nic ci nie jest.

O tak, na pewno uda jej się zasnąć. Tam, gdzie na ścianie wisi obrazek zatytułowany „Gra skończona”, przymocowany czerwoną pinezką. A kiedy się obudzi, uzna, że jeśli coś jej się przyśniło, to właśnie nasza rozmowa, a rzeczywistość wygląda tak, że jej ojciec popełnił samobójstwo na Duma Key.

To była sprawka Perse. Tej wiedźmy. Tej pieprzonej suki.

Nagle, tak po prostu, powrócił mój stary gniew. Jakby nigdy się ze mną nie rozstawał. Ale ja nie mogłem pozwolić, żeby zamieszał mi w głowie; nie mogłem nawet dać po sobie poznać, jaki jestem wściekły, bo wtedy Ilse pomyślałaby, że to na nią się tak gniewam. Przycisnąłem słuchawkę ramieniem do ucha, chwytając wolną dłonią smukłą chromowaną szyję kuchennego kranu. Zamknąłem ją w pięści.

- To nie potrwa długo, kochanie. Ale musisz to zrobić. Potem możesz iść spać.

Wireman obserwował mnie, tkwiąc dalej w kamiennym bezruchu przy stole. Za oknami fale łomotały o brzeg.

- Jaką masz tam kuchenkę, Kruszyńko?

- Gazową. Kuchnia na gaz. - Znow zaczęła się śmiać.

- Dobrze. Weź ten rysunek i wrzuć go do piekarnika, potem zamknij drzwiczki i włącz płomień. Odkręć go do oporu. Spal ten obrazek.

- Nie, tatusiu! - Znow oprzytomniała, tak jak przed chwilą, i była równie wstrząśnięta jak wtedy, gdy powiedziałem „kurwa”, o ile nie bardziej. - Ja kocham ten obrazek!

- Wiem, kochanie, ale to przez niego czujesz się tak źle. - Chciałem dodać coś jeszcze, ale ugryzłem się w język. Jeśli to naprawdę ten rysunek tak na nią działał - a co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości - to wcale nie musiałem wbijać jej tego do głowy. Na pewno zrozumie, że to prawda, tak jak ja to rozumiałem. Zamiast mówić dalej, zacisnąłem palce na kranie, targając nim w tę i z powrotem, owładnięty serdecznym pragnieniem, żeby to było gardło tamtej pieprzonej wiedźmy.

- Tatusiu! Naprawdę myślisz...?

- Nie myślę, wiem. Idź po ten rysunek, Ilse. Nie rozłączam się. Przynies go, wrzuć do

piekarnika i spal. Teraz, natychmiast.

- Ale... No dobrze. Poczekaj.

Usłyszałem stukot odkładanej słuchawki.

- Zrobi to? - zapytał Wireman.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, rozległ się głośny trzask, a zimna woda zalała mi rękę aż po sam łokieć. Spojrzałem na kran, który wciąż ścisnąłem w dłoni, a potem na ostry kikut sterczący w miejscu, gdzie się oderwał. Wrzuciłem kran do zlewu. Z kikuta tryskał strumień wody.

- Chyba tak - odpowiedziałem Wiremanowi. - Przepraszam - dodałem po chwili.

- *De nada*. - Przyklęknął przed zlewem, otwierając szafkę. Sięgnął gdzieś za kosz na śmieci i stosik plastikowych worków, coś tam przekręcił i gejzer buchający z urwanego kranu zaczął słabnąć.

- Sam nie wiesz, ile masz siły, *muchacho*. A może właśnie wiesz?

- Przepraszam - powtórzyłem, chociaż wcale nie było mi przykro. Na dłoni miałem płytkie rozcięcie, które lekko krwawiło, ale czułem się już lepiej. Przejaśniło mi się w głowie. Był taki czas, przyszło mi na myśl, kiedy tak samo bezwiednie jak teraz wyłamałem ten kran, mogłem skrócić kark mojej żonie. Nic dziwnego, że się ze mną rozwiodła.

Czekaliśmy, nie ruszając się z miejsca. Sekundnik na tarczy zegara wiszącego nad kuchenką powoli zatoczył pełne koło i zaczął kolejne. Woda z rozwalonego kranu ciurkała już tylko słabym strumyczkiem. Wreszcie usłyszałem w słuchawce, jak Ilse woła z daleka:

- Jestem... Mam go... Mam.:. - Nagle krzyknęła. Nie umiałem rozpoznać, czy to ze zdziwienia, czy z bólu, czy może jedno i drugie naraz.

- Ilse! - zawołałem. - Ilse!!

Wireman poderwał się z klęczek, waląc biodrem o zlew. Uniósł otwarte dłonie w geście zapytania. Potrząsnąłem głową: Nie wiem. Pot lał mi się już po policzkach całymi strumieniami, choć w kuchni nie było zbyt ciepło.

Zacząłem myśleć, co mam teraz zrobić - do kogo dzwonić - i w tym samym momencie w słuchawce zabrzmiał ponownie głos Ilse. Wyczerpany, ale jej własny. Nareszcie usłyszałem jej własny głos.

- Jezu Chryste o poranku - westchnęła ciężko.

- Co się stało? - zapytałem, siłą się powstrzymując, aby nie krzyknąć. - Illy, co się stało?

- Już go nie ma. Spalił się. Patrzyłam przez szybę. Został z niego tylko sam popiół. Muszę zakleić rękę plastrem, tato. Miałeś rację. Z tym rysunkiem coś było mocno nie w

porządku, bardzo mocno. - Zaśmiała się, ale głos jej drżał. - To cholerstwo nie chciało iść do piekarnika. Zwinęło mi się w dłoni i... - Znow ten sam rozdygotany śmiech. - Można by powiedzieć, że skaleczyłam się papierem, ale to wcale nie wygląda jak skaleczenie i wcale tego tak nie czuję. Czuję się tak, jakby coś mnie ugryzło. Ten rysunek mnie ukąsił.

VIII

Najważniejsze dla mnie było to, że nic jej nie jest. Dla niej z kolei - że ze mną wszystko w porządku. Udało nam się. Tak przynajmniej myślał głupi malarz. Obiecałem jej, że zadzwonię jutro.

- Illy? Mam jeszcze jedną prośbę.
- Tak, tato. - Była już zupełnie przytomna i przy zdrowych zmysłach.
- Zajrzyj do piekarnika. Masz tam oświetlenie?
- Mam.
- Włącz je i powiedz mi, co widzisz.
- Poczekaj chwilę. Bezprzewodowa słuchawka została w sypialni.
- I znow chwila ciszy, tym razem już krótsza.
- Popiół - usłyszałem, kiedy wróciła na linię.
- Dobrze.
- Tato, a co z resztą twoich obrazów? Wszystkie są takie jak ten?
- Właśnie nad tym pracuję, kochanie. Opowiem ci kiedy indziej.
- Zgoda. Dziękuję, tatusiu. I tak jesteś moim bohaterem. Kocham cię.
- Ja też cię kocham.

To była nasza ostatnia rozmowa, a żadne z nas o tym nie wiedziało. Tego się nigdy nie wie, prawda? Przynajmniej pożegnaliśmy się słowami miłości. Tyle mojego. To niewiele, ale zawsze coś. Inni mają gorzej. Powtarzam to sobie, kiedy nie mogę zasnąć, a noc jest długa, bardzo długa.

Inni mają gorzej.

IX

Klapnąłem na krzesło naprzeciwko Wiremana. Oparłem podbródek na dłoni.

- Spociłem się jak świnia.
- Może to demolka zlewu panny Eastlake tak pobudziła perspirację?
- Przepra...

- Jeszcze raz to usłyszę i dostaniesz w łeb - zapowiedział. - Pięknie sobie poradziłeś. Nie każdemu facetowi jest dane uratować życie swojej córki. Uwierz mi, że ci zazdroścę. Napijesz się piwa?

- Zarzygałbym ci cały stół. Masz mleko?

Zajrzał do lodówki.

- Nie, ale jest śmietanka z mlekiem, do kawy.

- Daj kielicha.

- Ależ ty masz nasrane w tej głowie, Edgarze. - Mimo wszystko jednak nalał mi tej śmietanki z mlekiem do szklanki, a ja gołnąłem sobie zdrowo. Potem wróciliśmy na górę. Szliśmy powoli, a ze srebrzystymi beltami w dłoniach musieliśmy wyglądać jak dwóch podstarzałych wojowników z dżungli.

Położyłem się z powrotem w gościnnej sypialni, powracając do gapienia się w sufit. Bolała mnie dłoń, ale nie przeszkadzało mi to. Ilse się skaleczyła i ja też. W jakiś sposób to było na miejscu.

Stołowa przecieka, pomyślałem.

Utopić ją, niech zaśnie, pomyślałem.

Ale Elizabeth mówiła jeszcze o czymś... Tylko że zanim doszukałem się w pamięci, o co chodziło, przypomniało mi się coś o wiele ważniejszego: Ilse spaliła rysunek pod tytułem „Gra skończona” w piekarniku i wykręciła się z jednym głupim skaleczeniem - czy też może ukąszeniem - w dłoń.

Trzeba jej było kazać to zdezynfekować, pomyślałem. I ja też powinienem przemyć to moje draśnięcie.

Zasnąłem. Ale tym razem sen nie podsunął mi ostrzeżenia w postaci zaby - olbrzyma.

X

O świcie obudził mnie głuchy łomot. Wichura wciąż jeszcze nie ucichła, przeciwnie, wiało coraz mocniej. To właśnie wiatr porwał jeden z plażowych foteli Wiremana i wyrzwał nim o ścianę domu. A może to był ten kolorowy parasol, pod którym po raz pierwszy razem piliśmy - zieloną herbatę z lodem, bardzo orzeźwiająca.

Wciągnąłem dzinsy i wyszedłem z sypialni, zostawiając wszystko inne tak, jak leżało na podłodze, harpun ze srebrnym grotem też. Nie wydawało mi się, żeby Emery Paulson zamierzał mnie odwiedzić za dnia. Sprawdziłem, co z Wiremanem, ale to była czysta formalność, bo jego gwizdzące chrapanie niosło się po całym korytarzu. Leżał tak samo jak w

nocy, na plecach, z rozrzuconymi szeroko rękami.

Zszedłem do kuchni, kręcąc głową na widok urwanego kranu i szklanki z białym, zaschniętym kozuchem po śmietance z mlekiem. W szafce znalazłem większą szklankę i nalawszy sobie do niej soku pomarańczowego, wyszedłem na werandę na tyłach domu. Wiatr od zatoki, silny, lecz ciepły, podniósł moje zapocone włosy na czole i skroniach. Przyjemne uczucie. Postanowiłem iść na plażę i tam napić się soku.

Gdy miałem już za sobą trzy czwarte drewnianego podestu prowadzącego na brzeg zatoki, stanąłem jak wryty ze szklanką uniesioną do ust; miałem właśnie pociągnąć pierwszy łyk. Trochę soku wylało mi się prosto na bosą stopę, ale ledwie to do mnie dotarło.

W stronę brzegu, na grzbiecie olbrzymiej, gnanej wichrem fali, płynęła jaskrawozielona piłka tenisowa.

To jeszcze nic nie znaczy, pomyślałem, ale bez cienia przekonania. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, aby wiedzieć, że to znaczy dosłownie wszystko. Cisnąłem szklankę w gęste chaszczki unioli i potelepałem się chwiejnym krokiem przed siebie - w tamtym sezonie tak właśnie wyglądał bieg w wykonaniu Edgara Freemantle'a.

Dotarcie na koniec podestu zajęło mi piętnaście sekund, może jeszcze mniej, ale nawet w tak krótkim czasie zdążyłem dostrzec kolejne trzy piłki kołyszące się na falach przyływu. Za chwilę było ich sześć, potem osiem. Najwięcej nadpływało z mojej prawej strony, czyli z północy.

Kuśtykałem, nie patrząc pod nogi, kiedy więc nagle podest się skończył, wyleciałem w powietrze jak z procy, młóćąc szaleńczo ramionami. Wciąż jeszcze biegnąc, dotknąłem piasku i gdybym spadł na zdrową nogę, to utrzymałbym równowagę, ale stało się inaczej. Spirala bólu wkręciła się jak korkociąg w moją prawą dolną kończynę, od łydki przez kolano aż do samego stawu biodrowego. Rozciągnąłem się jak długi na piasku. Przed samym nosem, o jakieś piętnaście centymetrów, zobaczyłem jedną z tych przeklętych piłek. Pokrywający ją meszek był wilgotny i oklapnięty.

Widniał na niej napis *DUNLOP*, złożony potępieńczo czarnymi literami.

Podniosłem się z wysiłkiem, omiatając dzikim wzrokiem zatokę. W pobliżu *El Palacio* morze przyniosło zaledwie kilka piłek, ale dalej na północ, na wysokości Wielkiego Korala, dostrzegłem całą zieloną flotyllę - co najmniej sto sztuk, a prawdopodobnie dużo więcej.

To nic nie znaczy, powtarzałem sobie. Ilse jest bezpieczna. Spaliła rysunek, a teraz śpi w swoim mieszkaniu, półtora tysiąca kilometrów stąd, i nic jej nie grozi.

- To nic nie znaczy - powiedziałem na głos, ale ciepły wiatr odgarniający mi włosy z

czoła i skroni nagle ochłódł. Ruszyłem, kuśtykając, w kierunku Wielkiego Korala, zszedłszy nad samą wodę, gdzie piasek był mokry, ubity i lśniący. Chmury ćwierków podrywały się spłoszone, czmychając przede mną. Co chwilę uderzająca o brzeg fala rzucała mi pod nogi tenisową piłkę. Naniosło ich już całe kopy na ten twardy, wilgotny piach. Wreszcie dostrzegłem w wodzie rozbitą skrzynkę z napisami „Dunlop. Piłki Tenisowe” i „*ODRZUTY FABRYCZNE LUZEM*”. Dookoła niej, podskakując na falach, pływały jasnozielone piłki.

Zerwałem się do biegu i popędziłem przed siebie.

XI

Otworzyłem drzwi, zostawiając klucze w zamku. Dowlokłem się do telefonu, na którym migotała lampka sygnalizująca nagraną wiadomość. Po wciśnięciu klawisza PLAY beznamiętny, automatyczny głos męski poinformował mnie, że zarejestrowano ją o szóstej czterdzieści osiem rano, co oznaczało, że spóźniłem się z odebraniem telefonu o niecałe pół godziny. A potem w głośniku rozszalał się głos Pam. Wtuliłem głowę w ramiona, jakby tuż przede mną stłukła się wielka szyba i grad ostrych odprysków leciał mi prosto w twarz.

- Edgar, dzwoniła do mnie policja, mówią, że Illy nie żyje! Powiedzieli, że przyjechała do niej kobieta nazwiskiem Mary Ire i zamordowała ją w jej mieszkaniu! Twoja znajoma! Twoja znajoma koneserka sztuki z Florydy zamordowała naszą córkę! - Wybuchła chropowatym, odpychającym płaczem... a potem zaczęła się śmiać. Jej śmiech był przerażający. Jakby jeden z tych szklanych odprysków wbił mi się w twarz. - Zadzwoń do mnie, sukinsynu. Zadzwoń i wytłumacz się. Mówiłeś, że nic jej nie grozi!!

I znów rozległ się ten płacz, a potem trzask i nagranie się urwało. Głośnik sygnalizował szumem linii telefonicznej.

Wyciągnąłem rękę, wciskając klawisz OFF, żeby go uciszyć.

Wyrzałem przez okno pokoju „Floryda”, wodząc wzrokiem po piłkach do tenisa, które wciąż jeszcze kołysały się na falach. Czułem osobliwe rozdwojenie, jakbym przyglądał się z boku samemu sobie.

Umarłe bliźniaczki zostawiły w mojej pracowni wiadomość: *Gdzie nasza siostra?* Czyżby to Illy miała być siostrą, o którą pytały?

Wydawało mi się nagle, że słyszę śmiech więdźmy, że widzę, jak kiwa potakująco głową.

- Jesteś tutaj, Perse? - zapytałem.

Wiatr zakołysał parawanami. Fale biły o brzeg z regularnością metronomu. Ptaki,

krzycząc głośno, śmigają nad wodą. Na plaży dostrzegłem drugą rozbitą skrzynkę, już zagrzebaną do połowy w piasku. Bogactwo z morza; znaleźne za skarb wydobyty z *caldo*. Obserwowała mnie, pewnie, że tak. Czekwała, aż się załamię. Byłem tego pewien. Ci, którzy jej towarzyszyli (jak ich nazwać? obstawa?), być może za dnia zapadali w sen, ale ona - nigdy.

- Wygram ja, wygrasz ty - powiedziałem. - Ale wydaje ci się, że ostatnie słowo należy do ciebie, co? Przebiegła jesteś.

Tak, oczywiście, Perse była przebiegła. Toczyła tę grę od bardzo dawna. Nagle przyszło mi do głowy, że była już stara, kiedy Dzieci Izraela wciąż jeszcze przekopywały ziemię w egipskich ogrodach. Czasami zapadała w sen, ale teraz się obudziła.

A ręce miała długie.

Słyszac dzwonek telefonu, wróciłem do domu, nie mogąc się pozbyć tego wrażenia, że jestem w dwóch miejscach naraz: jeden Edgar stał na ziemi, a drugi unosił się nad jego głową. Podniosłem słuchawkę. Dzwonił Dario. Głos miał zaniepokojony.

- Edgar? Co to za bzdury, że niby mamy nie wysyłać obrazów...

- Nie teraz, Dario - przerwałem mu. - Cicho. - Rozłączyłem się i wystukałem numer Pam. Teraz, kiedy nie myślałem o tym, co robię, nie było najmniejszego problemu z przypomnieniem go sobie; wspinała pamięć motoryczna moich mięśni wykonała całą robotę za mnie. Pomyślałem sobie, że gdyby ludzie mieli tylko taką pamięć, i żadnej innej, to żyłoby im się lepiej.

Pam była już spokojniejsza. Nie wiem, co wzięła, ale zdążyło zadziałać. Rozmawialiśmy przez dwadzieścia minut. Pam przeważnie tylko płakała, od czasu do czasu obrzucając mnie oskarżeniami, ale ponieważ nie próbowałem się bronić w żaden sposób, jej gniew w końcu osłabł i przerodził się w rozpacz pomieszaną z kompletną dezorientacją. Dowiedziałem się od niej wszystkiego co istotne, tak mi się przynajmniej wydawało. Był jednak jeden kluczowy fakt, o którym ani ja, ani Pam nie mieliśmy pojęcia, ale jak powiedział pewien mądry człowiek, „Jak nic nie widzisz, to w nic nie trafisz”*, a policjant, który dzwonił do Pam, nie pomyślał o tym, żeby poinformować ją, co Mary Ire przywiozła ze sobą do mieszkania naszej córki w Providence.

Powiedział jej tylko, że miała ze sobą broń. Berettę.

- Policja twierdzi, że przyjechała tam samochodem i że musiała jechać praktycznie bez

* *You can't hit them if you can't see them* - znane amerykańskie powiedzenie, mające źródło w baseballu. Tak John McGraw, zawodnik, a później legendarny trener Baltimore Orioles i New York Giants (lata kariery sportowej i trenerskiej 1891 - 1932), wyraził się o piłkach miotanych przez Amosa Rusie z New York Giants, jednego z najlepszych miotaczy ostatniej dekady XIX wieku (przyp. tłum.).

przerwy - wyjąkała Pam zgaszonym głosem. - Z taką armatą nie wsiadłaby do żadnego samolotu. Dlaczego Ona to zrobiła? Czy to znów przez jakiś pierdolony obrazek?

- Oczywiście - odparłem. - Kupiła na wystawie jeden z moich obrazów. Nie pomyślałem o tym. W ogóle nie wziąłem jej pod uwagę. Nawet przez chwilę. Martwiłem się, że to chłopak Illy jest dla niej zagrożeniem.

Wtedy moja była żona - bo od tego momentu to była już definitywnie moja była żona - powiedziała bardzo spokojnym głosem:

- To wszystko twoja wina.

Miała rację. Faktycznie byłem winny. Powinienem był pomyśleć, że Mary Ire kupi przynajmniej jeden mój obraz i że prawdopodobnie będzie chciała dostać któreś płótno z serii „Dziewczynka i statek”, najbardziej trującej ze wszystkich. I że nie zostawi go na przechowanie w Scoto, skoro mieszka tak blisko, w Tampie. Było nawet całkiem możliwe, że miała ten świeży nabytek w bagażniku swojego zdezelowanego mercedesa, kiedy odwoziła mnie do szpitala. I stamtąd pewnie pojechała prosto do domu, na Davis Islands, gdzie sprawiła sobie pistolet, niby to do obrony osobistej. Chociaż nie, do diabła, kupiła go raczej już w drodze na północ.

Przynajmniej tego powinienem był się domyślić. W końcu ją poznałem i wiedziałem, co sądzi o moich obrazach.

- Pam, na tej wyspie dzieje się coś bardzo złego. Ja...

- Edgar, czy ty naprawdę uważasz, że mnie to cokolwiek obchodzi? A może myślisz, że chciałabym wiedzieć, dlaczego ta kobieta to zrobiła? Przez ciebie nasza córka nie żyje. Nie życzę sobie więcej z tobą rozmawiać, nie chcę cię widzieć i prędzej wydlubię sobie oczy, niż spojrzę na któryś z tych twoich obrazów. Lepiej by było, gdybyś zginął pod tym dźwigiem. - Mówiła z koszmarnym rozmysłem. - To by było szczęśliwe zakończenie.

Na chwilę zapadła cisza, po czym znów ze słuchawki popłynął telefoniczny szum. Naszła mnie chęć, żeby cisnąć całe to ustrojstwo o ścianę, ale Edgar wiszący nad moją głową wyperswadował mi to, mówiąc, że coś takiego tylko sprawiłoby Perse przyjemność, za dużą przyjemność. Pohamowałem się więc i odłożyłem słuchawkę delikatnie, a potem przez chwilę po prostu stałem, chwiejąc się na nogach; ja żyłem, a moja dziewiętnastoletnia córka umarła. Zginęła ostatecznie nie od kuli, ale utopiona we własnej wannie przez szaloną krytyczkę sztuki.

W końcu powoli ruszyłem się z miejsca i wyszedłem na zewnątrz, nie zamykając za sobą drzwi na klucz. Teraz już właściwie nie było po co. Pod ścianą stała szczotka do zamiatania piasku z chodnika. Spojrzałem na nią i natychmiast w prawej ręce odezwało się

swędzenie. Podniosłem dłoń do oczu. Nie zobaczyłem niczego, ale otworzywszy i zacisnąwszy pięść, poczułem, jak pracują mięśnie, a w skórę wbijają się dwa długie paznokcie. Pozostałe były krótkie i nierówne. Pewnie się połamały. Gdzieś w domu, na podłodze - być może na dywanie w „Koraliku” - leżały teraz dwa widmowe szpony.

- Odejdź - powiedziałem do ręki. - Nie chcę cię już, odejdź i niech cię śmierć zabierze.

Nie posłuchała. Wiedziałem, że nie posłucha. Prawa dłoń i całe ramię, do którego kiedyś należała, swędziały, pulsowały bólem i nie chciały zostawić mnie w spokoju.

- W takim razie idź i odszukaj moją córkę - poprosiłem, a z oczu pociekły mi łzy. - Sprowadź ją z powrotem, dobrze? Przyprowadź ją do mnie. Namaluję wszystko, co zechcesz, tylko przyprowadź ją do mnie.

I nic. Byłem nikim więcej jak jednorękim kaleką, dręczonym przez bóle fantomowe. Jedyny duch obecny w tym miejscu i czasie był to ten własny; fruwał tuż nad jego głową, obserwując całe zajście.

Obsypałem się gęsią skórką. Nieprzyjemne wrażenie z każdą chwilą przybierało na sile. Wziąłem szczotkę do ręki, lejąc łzy już nie tylko z żalu, ale też dlatego, że to niedosięgłe swędzenie zrobiło się nie do wytrzymania - i nagle uświadomiłem sobie, że nie mogę zrobić tego, co muszę. Facet z jedną ręką nie da rady złamać szczotki na kolanie. Oparłem ją z powrotem o ścianę i nastąpiłem z całej siły na trzonek. Rozległ się głośny trzask, a dolna część szczotki, ta z włosiem, poleciała w bok. Uniosłem ostro ułamany kij przed załzawione oczy i skinąłem głową. Będzie akurat.

Poszedłem za róg domu, kierując się w stronę plaży. Jakaś odległa część mojego mózgu rejestrowała odgłosy głośnej rozmowy muszli pod podłogą Wielkiego Korala; jedna za drugą, fale pogrążały się w mroku pomiędzy palami, aby po chwili wycofać się z powrotem.

Kiedy wstąpiłem na mokry i lśniący piach ubity twardo przez przybój i upstrzony tu i ówdzie piłkami do tenisa, w głowie błysnęła mi jedna krótka myśl: trzecie zdanie, które Wireman usłyszał od Elizabeth, brzmiało „Będziesz tego pragnął, ale ci nie wolno”.

- Za późno - powiedziałem i w tym samym momencie pękła linka, na której był uwiązany Edgar latający nad moją głową. I ten Edgar odpłynął, znikając w oddali, a wtedy ja, na krótką chwilę, upadłem bez zmysłów.

NA POŁUDNIOWYM KRAŃCU WYSPY

I

Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest to, że zjawił się Wireman i podniósł mnie z ziemi. Pamiętam, jak zrobiłem kilka kroków, a potem przypomniało mi się, że Ilse nie żyje, i upadłem na kolana. A najbardziej kompromitujące było to, że pomimo zalewającej mnie czarnej rozpaczki byłem głodny. Dosłownie umierałem z głodu.

Pamiętam, jak Wireman prowadził mnie z powrotem do domu, jak wchodziliśmy razem przez otwarte drzwi, pamiętam, jak powtarzał, że to był tylko zły sen, że przyśniły mi się jakieś straszne rzeczy, a kiedy odpowiedziałem, że nie, że to wszystko prawda, Mary Ire to zrobiła, utopiła mi córkę w jej własnej wannie - zaśmiał się i powiedział: „Aha, teraz rozumiem”. A ja mu uwierzyłem, na jedną straszliwą chwilę.

Potem pokazałem palcem automatyczną sekretarkę.

- Odsłuchaj sobie, co tam jest nagrane - powiedziałem, zostawiając go i idąc do kuchni. Właściwie nie szedłem, tylko się zataczałem. Kiedy z głośnika znów bluznął wrzask Pam - „Edgar, dzwoniła do mnie policja, mówią, że Illy nie żyje!” - wpychałem już w siebie całe garście pszennych chrupek w lukrowanej polewie, prosto z pudełka. Ogarnęło mnie dziwne poczucie, że znajduję się na szkiełku, a to szkiełko zaraz wylądować pod mikroskopem, przez który zostaną szczegółowo obejrzeni i zbadani. Nagranie z sekretarki dobiegło końca. Wireman zaklął i puścił taśmę od nowa. Jadłem dalej płatki. Nie mogłem sobie przypomnieć, co robiłem na plaży, zanim on się zjawił. W tym miejscu miałem dziurę w pamięci, taką samą, jak z pierwszych dni w szpitalu, kiedy ocknąłem się po wypadku.

Wepchnąłem do ust ostatnią garść płatków, przełknąłem. Utknęły mi w gardle, co mnie ucieszyło. O to chodziło. Miałem nadzieję, że się udławię. Zasłużyłem sobie na to. Po chwili zżuta gruda przesunęła się dalej. Powłócząc nogami, pokuśtykałem z powrotem do salonu. Wireman stał nad sekretarką. Oczy miał wielkie jak spodki.

- Edgar... *Muchacho*... Co to ma znaczyć, na miłość boską...?

- Obraz - wyjaśniłem, kuśtykając dalej. Teraz, gdy już miałem coś w żołądku, zapragnąłem znów pogрузić się w niepamięci, choćby na chwilę. A tak naprawdę to było coś więcej niż pragnienie: wewnętrzny przymus. Złamałem szczotkę... a potem zjawił się Wireman. Co było pomiędzy jednym a drugim? Tego nie wiedziałem.

Uznałem, że wcale nie chcę tego wiedzieć.

- Obraz...? - nie zrozumiał Wireman.

- Mary Ire kupiła jeden z moich obrazów. Jestem pewien, że któryś z serii „Dziewczynka i statek”. I zabrała go ze sobą prosto z wystawy. Powinniśmy się byli tego domyślić. Ja powinienem. Wireman, muszę się teraz położyć. Muszę się przespać. Dwie godziny, w porządku? Potem mnie obudzisz i jedziemy na południowy kraniec wyspy.

- Edgar, nie możesz... To znaczy, nie spodziewałem się, że po czymś takim...

Przystanąłem, żeby spojrzeć na niego. Głowę miałem tak ciężką, jakby ważyła z pięćdziesiąt kilo, ale jakoś dałem radę ją obrócić.

- Ona też się tego po mnie nie spodziewa - oznajmiłem - ale dziś kończymy tę historię. Daj mi dwie godziny.

Drzwi Wielkiego Korala były otwarte na oścież. Jasne promienie porannego słońca padły na twarz Wiremana, ukazując mi na niej współczucie tak głębokie, że z trudem zniosłem ten widok.

- W porządku, *muchacho*. Dwie godziny.

- Przez ten czas dopilnuj, żeby nikt mi nie przeszkadzał - poprosiłem. Nie wiem, czy usłyszał, bo szedłem już do sypialni i byłem odwrócony tyłem, a głos zamierał mi w gardle. Rzuciłem się na łóżko. Obok mnie leżała Reba. Przez chwilę chciałem zrobić z nią to samo co z telefonem: cisnąć o ścianę. Zamiast tego przygarnąłem ją do siebie, wtulając twarz w jej miękkie ciało bez ani jednej kości, i wybuchnąłem płaczem. Zasnąłem, nie przestając wylewać łez.

II

- Wstawaj. - Ktoś potrząsnął mnie za ramię. - Obudź się, Edgar. Jeśli mamy to zrobić, to musimy się zbierać.

- Wiesz co... On się chyba już nie ocknie. - To był głos Jacka.

- Edgar! - Wireman klepnął mnie w policzek, potem w drugi. I wcale się nie silił na delikatność. Jasne światło uderzyło w moje zaciśnięte powieki, a świat zalał się czerwienią. Uciekałem przed tą pobudką, jak tylko mogłem, wiedząc, że po drugiej stronie powiek

czekają na mnie złe rzeczy, ale Wireman nie pozwolił mi na to. - *Muchacho!* Obudź się! Już dziesięć po jedenastej!

Podziałało. Usiadłem i spojrzałem na niego. Miał w dłoni nocną lampkę, trzymał ją tak blisko mojej twarzy, że czułem na skórze ciepło rozgrzanej żarówki. Obok Wiremana stał Jack. Nagle przypomniałem sobie, że Ilse nie żyje - moja Illy - ale odepchnąłem tę świadomość od siebie.

- Jedenasta?! Wireman, mówiłem ci: dwie godziny! A jak jacyś krewni Elizabeth zechcą się tutaj...

- Spokojnie, *muchacho*. Zadzwoń do domu pogrzebowego i kazałem nikogo nie puszcząć na Dumę, bo ja, ty i Jack jak jeden mąż zachorowaliśmy na różyczkę. A to bardzo zakaźna choroba. Dzwoniłem też do Daria i powiedziałem mu o twojej córce. Obiecał, że nic nie zrobią z obrazami, przynajmniej na razie. Pewnie cię to w tej chwili nie bardzo obchodzi, ale...

- Oczywiście, że mnie obchodzi. - Wstałem z łóżka, przecierając twarz dłonią. - Perse nie skrzywdzi już nikogo więcej.

- Współczuję ci, Edgar - odezwał się Jack. - Cholernie ci współczuję. Wiem, że masz to w nosie, ale...

- Wcale nie - zapewniłem go, myśląc jednocześnie, że w swoim czasie być może czyjeś współzucie faktycznie nabierze dla mnie znaczenia. Jeśli tylko będę to sobie powtarzał; jeśli nie będę się zamykał. Tego właśnie nauczył mnie wypadek: jedyna droga prowadzi naprzód. Trzeba zawsze iść naprzód, powtarzając „Dam sobie radę”, nawet kiedy się wie na pewno, że tak nie będzie.

Któryś z moich towarzyszy przyniósł mi ubranie, ale uznałem, że do pracy, która nas tego dnia czeka, zamiast tenisówek, które dostrzegłem na podłodze obok łóżka, lepiej się nadadzą buty schowane w szafie. Jack miał na sobie koszulę z długim rękawem, a na nogach ciężkie, wysokie traperki; bardzo dobrze.

- Wireman, nastawisz kawę? - poprosiłem.

- A mamy czas na kawę?

- Musimy mieć. Będę potrzebował kilku rzeczy, ale najpierw muszę się obudzić. Wam też się przyda trochę energii. Jack, możesz mi pomóc z butami?

Wireman wyszedł do kuchni. Jack przyklęknął, delikatnie włożył mi buty na nogi i zawiązał je.

- Ile już wiesz? - zapytałem go.

- Więcej niżbym chciał - odpowiedział. - Ale nic z tego nie rozumiem. Rozmawiałem

z tą... Mary Ire, tak?... na twojej wystawie. Zrobiła na mnie bardzo sympatyczne wrażenie.

- Na mnie też.

- Kiedy spałeś, Wireman dzwonił do twojej żony. Nie chciała za długo z nim gadać, więc zadzwonił do jakiegoś faceta, którego poznał na wystawie... Do pana Bozemana?

- Mów.

- Edgar, na pewno...?

- Mów. - To, czego dowiedziałem się od Pam, było niespójne i fragmentaryczne, zresztą nie pamiętałem już tego zbyt dokładnie; szczegóły przesłoniła mi wizja włosów Ilse rozrzuconych na powierzchni wody w przelewającej się wannie. Owa wizja, choć wcale nie musiała być wierna prawdzie, płonęła mi przed oczami z piekielną jasnością, z piekielną szczegółowością, zamazując sobą prawie wszystko.

- Pan Bozeman powiedział, że nie znaleziono śladów włamania, więc policja uważa, że twoja córka musiała sama wpuścić tę kobietę, pomimo że to było w środku nocy...

- Albo Mary po prostu naciskała guziki na domofonie, dopóki ktoś jej nie otworzył. - Moja amputowana ręka zawtórowała swędzeniem. Głębokim. Sennym. Niemalże marzycielskim. - A potem zadzwoniła do drzwi mieszkania Illy. Powiedzmy, że przedstawiła się fałszywym nazwiskiem.

- Edgar, czy ty zgadujesz, czy...

- Powiedzmy, że podała się za kogoś związanego z chórem gospel o nazwie Skowronki. I zawołała do Illy przez drzwi, że, powiedzmy, chłopakowi nazwiskiem Carson Jones stało się coś złego.

- Kto to jest...?

- Tylko że nazwała go „Śmieszek” i to właśnie ostatecznie przekonało Illy.

Wireman wrócił do sypialni. Latający Edgar również pojawił się z powrotem. Edgar naziemny dostrzegał wszystkie prozaiczne detale słonecznego przedpołudnia na wyspie Duma Key u wybrzeży Florydy. Edgar napowietrzny widział więcej. Nie wszystko, ale dość, żeby było za dużo.

- I co dalej? - zapytał Wireman. - Jak to widzisz, Edgar?

- Powiedzmy, że Illy otwiera drzwi, a za nimi stoi jakaś kobieta i celuje do niej z pistoletu. Skądś zna tę kobietę, ale ma już dziś za sobą jedno straszne przeżycie, jest zdezorientowana i nie może skojarzyć, gdzie ją widziała. Jej pamięć się zatyka. Zresztą może to i lepiej. Mary każe jej się odwrócić, Illy wykonuje polecenie i wtedy... i wtedy... - Rozplakałem się na nowo.

- Edgar, daj już sobie z tym spokój - prosił Jack, sam bliski łez. - To tylko twoje

domysły.

- To nie są domysły - powiedział Wireman. - Niech mówi.

- Ale czy naprawdę musimy to wiedzieć?

- Jack... *Muchacho*... My nie wiemy, co musimy wiedzieć, a czego nie. Więc daj mu mówić.

Słyszałem ich głosy, ale z wielkiej oddali.

- Powiedzmy, że kiedy Illy się odwróciła, Mary uderzyła ją pistoletem. - Otarłem policzki nasadą dłoni. - Powiedzmy, że walnęła ją kilka razy, cztery albo pięć. Na filmach, żeby zgasić komuś światło, wystarczy raz. Wątpię, czy naprawdę tak to wygląda.

- Nie wygląda - mruknął Wireman i oczywiście ta gra w „powiedzmy, że” okazała się bardzo wiernym opisem zdarzeń. Aż za bardzo. Moja Nimfa otrzymała wiele ciosów zadanych z mocnym zamachem; kość czaszki pękła w trzech miejscach i było strasznie dużo krwi.

Mary ciągnęła ją po podłodze. Krwawy ślad prowadził przez cały salon z aneksem kuchennym (gdzie w powietrzu wisiał jeszcze najprawdopodobniej smród spalonego rysunku) i dalej przez krótki korytarz biegnący pomiędzy sypialnią a wnęką, która służyła Illy jako gabinet do nauki. Korytarz kończył się łazienką; Mary napuściła pełną wannę wody, wrzuciła do niej moją wciąż nieprzytomną córkę i utopiła ją jak porzuconego kociaka. Wykonawszy to zadanie, wróciła do salonu, usiadła na kanapie i strzeliła sobie w usta. Kuła wyszła przez wierzch głowy, rozmazując jej poglądy na sztukę, razem ze sporą częścią fryzury, na ścianie za kanapą. Dochodziła czwarta rano. Sąsiad z dołu, który cierpiał na bezsenność, rozpoznał wystrzał z broni palnej i zadzwonił po policję.

- Ale dlaczego ją utopiła? - zapytał Wireman. - Nie rozumiem tego.

Bo tak robi Perse, odpowiedziałem mu w myślach, ale na głos powiedziałem tylko:

- Nie będziemy się teraz nad tym zastanawiać, w porządku?

Ujął mnie za jedyną dłoń i uścisnął ją.

- W porządku, Edgar.

A jeśli uda nam się to, co zamierzamy, pomyślałem, to może już nigdy nie będziemy musieli się nad tym zastanawiać.

Ale przecież ja narysowałem moją córkę. Byłem tego pewien. Narysowałem ją na plaży.

Moja zmarła córka. Zamordowana, utopiona córka. Narysowana na piasku, żeby zabrały ją fale.

Będiesz tego pragnął, powiedziała Elizabeth, ale ci nie wolno.

To prawda, Elizabeth, ale wiesz co?

Czasami człowiek nie ma wyboru.

III

Kawę wypiliśmy w słonecznej kuchni Wielkiego Korala, duszkiem, aż pot wystąpił nam na policzki. Połknąłem trzy tabletki aspiryny, podlewając je kofeiną, po czym wysłałem Jacka na górę po dwa bloki, polecając mu też zebrać wszystkie kredki, jakie tylko wpadną mu w ręce, i zaostrzyć je.

Wireman nappełnił plastikową torbę jedzeniem z lodówki: kilka marchewek, krojone ogórki, sześciopak pepsi, trzy duże butelki wody mineralnej Evian, trochę pieczeni wołowej, a do tego coś z zapasów, które zrobił Jack: jednego kurczaka - kosmonautę, zamkniętego w przezroczystej kapsule.

- Ciekawe, że w ogóle myślisz o żarciu - zauważył, a w jego głosie zadźwięczała delikatna nuta wyrzutu.

- Samo żarcie nie obchodzi mnie ani trochę - odparłem - ale możliwe, że będę musiał coś rysować. Prawdę mówiąc, jestem pewien. Bez tego się nie obejdzie. A kiedy rysuję, spalam kalorie jak silnik benzynę.

Wrócił Jack, niosąc bloki i kredki. Obmacałem je pobieżnie i wysłałem go z powrotem na górę, po gumy do wycierania. Na pewno się okaże, że będę potrzebował jeszcze innych rzeczy - zawsze tak jest - ale nie umiałem przewidzieć, czego konkretnie. Rzuciłem okiem na zegar. Była za dziesięć dwunasta.

- Sfotografowałeś most? - zapytałem Jacka. - Proszę, powiedz, że tak.

- Tak, ale myślałem, że ta ścierna z różyczką...

- Pokaż zdjęcia - przerwałem mu.

Jack sięgnął do tylnej kieszeni, wyciągając garść polaroidowych fotek. Przerzucił je i podał mi cztery, które rozłożyłem na kuchennym stole, jakbym stawiał jakiegoś mocno skróconego pasjansa. Zgarnąwszy jeden z bloków, szybko zacząłem kopiować to zdjęcie, na którym najwyraźniej było widać tryby i łańcuchy podnoszącego się mostu; był on mały i było jaki, z jednopasmową jezdnią. Prawa ręka wciąż mnie swędziała, słabo i ospale.

- Ścierna z różyczką to był genialny pomysł - powiedziałem. - Prawie wszyscy się tego przestraszą. Ale „prawie” to za mało. Mary nie zostawiłaby mojej córki w spokoju, gdyby ktoś jej powiedział, że Illy choruje na wietrzną os... Kurwa! - Oczy zaszyły mi łzami i kreska, która miała pokazać prawdę, sfalszowała.

- Spokojnie, Edgar - mitygował Wireman.

Zerknąłem na zegarek. Jedenasta pięćdziesiąt osiem. Most podniosą w południe; robią to codziennie. Zamrugąłem oczami, żeby usunąć łzy, i powróciłem do szkicu. Spod czarnej kredki marki Venus wylał się zarys maszyny. Nawet w takiej chwili, gdy nie było już Ilse, widok realnej rzeczy wyłaniającej się z nicości, niby konkretny kształt z pasa gęstej mgły, nappełnił mnie fascynacją. W sumie - czemu nie? Czy może być lepszy moment? To była moja ucieczka.

- Jeśli ona ma kogoś, kto mógłby nas zaatakować, a zwodzony most nie będzie działał, to przyśle go tutaj przez most spacerowy z Don Pedro Island - zauważył Wireman.

Nie unosząc oczu znad bloku, odpowiedziałem:

- Niekoniecznie. Wielu ludzi w ogóle nie wie o Sunshine Walkway. Perse też, jestem tego pewien.

- Skąd masz taką pewność?

- Bo zbudowano go w latach pięćdziesiątych, sam mi o tym mówiłeś, a wtedy ona spała.

Wireman zastanowił się przez chwilę, po czym zapytał:

- Uważasz, że można ją pokonać?

- Tak. Może nie zabić, ale uśpić z powrotem.

- Wiesz, jak to zrobić?

Trzeba znaleźć i zlikwidować przeciek w stołowej. Taką odpowiedź miałem już na końcu języka... ale to przecież było zupełnie bez sensu.

- Jeszcze nie - odparłem. - W tamtym drugim domu, tym na południowym krańcu wyspy, zostały jeszcze inne rysunki małej Libbit. Z nich się dowiemy, gdzie szukać Perse, a mnie one powiedzą, co robić.

- Skąd wiesz, że są jeszcze jakieś rysunki?

Bo muszą być - znów miałem odpowiedź na końcu języka, ale w tym momencie zabrzmiała syrena oznaczająca, że wybiło południe. Niecałe pół kilometra od Wielkiego Korala zwodzony most łączący Dumę z Casey Key - jedyne północne połączenie z wybrzeżem Florydy - poszedł w górę. Policzyłem do dwudziestu, dodając połówki pomiędzy liczbami: „raz - jeden i pół, dwa, dwa i pół”, jak w dzieciństwie. Potem wytarłem gumą największe koło zębate na swoim rysunku. Doznałem przy tym pewnego uczucia - odezwało się w amputowanej ręce, oczywiście, ale także w punkcie położonym pomiędzy oczami i nieco powyżej - które nappełniło mnie satysfakcją ze wzorowo wykonanej precyzyjnej operacji.

- W porządku - oznajmiłem.
- Możemy już jechać? - zapytał Wireman.
- Za chwilę - powiedziałem.

Spojrzał na zegar, a potem znów na mnie.

- Wydawało mi się, że się spieszysz, *amigo*. Bo ja tak, kiedy sobie przypomnę, co widzieliśmy tutaj, w tym domu, nie dalej jak dziś w nocy. Co jeszcze chcesz zrobić?

- Muszę narysować was obu.

IV

- Z rozkoszą zapozowałbym ci do portretu, Edgar - powiedział Jack - a moja mama na pewno byłaby w siódmym niebie, ale Wireman chyba ma rację. Powinniśmy już ruszać.

- Byłeś kiedyś na południowym krańcu wyspy, Jack?

- No... nie.

O to właściwie nie musiałem pytać. Ale wrywając z bloku kartkę ze zwodzonym mostem, spojrzałem na Wiremana. Choć w sercu zalegał mi ołowiany ciężar, przytłaczając emocje, uświadomiłem sobie, że jest to rzecz, której naprawdę chcę się dowiedzieć.

- A ty? - zapytałem. - Odwiedziłeś kiedyś pierwsze Czaple Siedlisko, żeby trochę pomyszkować?

- Prawdę mówiąc, nie. - Wireman podszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz. - Nie opuścili mostu. Na tle nieba widać zachodnią połówkę. Jak na razie, idzie nam nieźle.

Nie pozwoliłem mu zmienić tematu.

- Dlaczego?

- Panna Eastlake mi to wyperswadowała - wyjaśnił, nie odwracając się od okna. - Powiedziała, że tam jest niedobre otoczenie. Wody gruntowe, flora, nawet powietrze. Opowiadała też, że podczas drugiej wojny światowej lotnictwo wojskowe robiło na południu wyspy jakieś badania i udało im się zatruć cały ten obszar. Podobno to właśnie dlatego wszystko rośnie tam tak gęsto. Bardziej jadowitego sumaka, mówiła, nie ma pewnie w całej Ameryce. Gorszy niż syfilis przed wynalezieniem penicyliny - to jej własne słowa. Jak raz dotknie skóry, to potem ślady nie schodzą całymi latami. Jak już się zdaje, że zniknęły, to zaraz wracają. A rośnie to cholerstwo wszędzie. Tak mi mówiła.

To było w sumie dość ciekawe, ale Wireman wciąż nie odpowiedział na moje pytanie. Zapytałem więc jeszcze raz.

- Powiedziała mi też, że są tam węże - wyznał, odwracając się wreszcie. - Węży boję

się koszmarne. Kiedyś, jak byłem mały, rodzice zabrali mnie pod namiot. Któregoś ranka obudziłem się i odkryłem, że w moim śpiworze zadomowił się mały wąż. Właził mi pod koszulkę. Spryskał mnie swoją wydzieliną. Myślałem, że mnie otruł. Już? Jesteś zadowolony?

- Tak - przyznałem. - A powiedziałaś o tym Elizabeth, zanim ci wspomniała, że na południu wyspy roi się od węży, czy może ona była pierwsza?

- Nie pamiętam - rzucił chłodnym tonem. A potem westchnął. - Pewnie to ja byłem pierwszy. Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Chciała, żebym się tam nie zapuszczał.

Sam to powiedziałeś, pomyślałem.

- W gruncie rzeczy - wyjaśniłem - najbardziej martwię się o Jacka, ale lepiej się zabezpieczyć na wszystkie strony.

- O mnie? - Jack był jakby nieco zaskoczony. - Ja do węży nic nie mam. I wiem, jak wyglądają sumaki. Byłem skautem.

- Zaufaj mi - poprosiłem, zaczynając szkicować jego portret. Pracowałem szybko, opierając się pokusie bogactwa detali... bo gdzieś we mnie budziła się chęć, żeby rysunek był jak najbardziej szczegółowy. Zanim skończyłem, na brzegu Casey Key odezwał się pierwszy rozłószczony klakson.

- Wygląda na to, że most znów się popsuł - powiedział Jack.

- Owszem - przytaknąłem, nie podnosząc oczu znad bloku.

V

Szkic przedstawiający Wiremana poszedł mi jeszcze szybciej, ale znów musiałem się pilnować, tak bardzo pragnąłem zatracić się w pracy... Bo dzięki niej udawało mi się zapanować nad bólem i żalem. Była jak narkotyk. Jednak z drugiej strony dnia nie mogło nagle przybyć, a na ponowne spotkanie z Emerym miałem dokładnie taką samą ochotę jak Wireman. Chciałem zakończyć tę sprawę i wspólnie wynieść się z wyspy - daleko, bardzo daleko - jeszcze zanim zatoka rzuci na niebo barwy zachodu słońca.

- W porządku - oznajmiłem. Portret Jacka był niebieski, Wiremana - płomiennie pomarańczowy. Daleko im było do doskonałości, ale raczej udało mi się uchwycić najistotniejsze szczegóły. - Jeszcze tylko jedna rzecz.

- Edgar! - jęknął Wireman.

- Już nic nie będę rysował - uspokoiłem go, zamykając blok z oboma rysunkami w środku. - Poproszę tylko o uśmiech dla artysty, panie Wireman. Ale zanim spełnisz moje życzenie, pomyśl sobie o czymś, co sprawia ci wyjątkową radość.

- Mówisz poważnie?

- Jak kardiolog do zawałowca.

Zmarszczył brwi... a po chwili jego czoło wygładziło się. Pojawił się uśmiech, jak zwykle rozświetlając całą jego twarz i odmieniając go całkowicie.

Odwróciłem się do Jacka.

- Teraz ty.

A ponieważ coś mi mówiło, że to on jest ważniejszy z tej dwójki, obserwowałem go przy tym bardzo uważnie.

VI

Nie mieliśmy samochodu z napędem na cztery koła, ale stary mercedes sedan należący do Elizabeth miał wszelkie warunki, aby go zastąpić; był zbudowany jak czołg. Do *El Palacio* pojechaliśmy wozem Jacka, zostawiając go tuż za bramą. Jack i ja przepakowaliśmy zapasy do merca. Wireman ruszył do domu po czerwony kosz.

- Jak już tam idziesz, weź kilka innych rzeczy, jeśli możesz - powiedziałem. - Przyda się spray na owady i latarka, tylko żeby była naprawdę dobra. Masz taką?

Skinął głową.

- W szopie na narzędzia ogrodowe jest taki agregat na osiem baterii. Reflektor - szperacz.

- Dobrze. I jeszcze jedno.

Posłał mi spojrzenie, mówiące „Co znowu?” - właściwie był to zirytowany ruch samych brwi - ale nic nie powiedział.

- Miotacz harpunów?

Gdy to usłyszał, wyszczerzył zęby.

- *Si, señor. Para fijaciono.*

Czekając, aż wróci, oparłem się o mercedesa, spoglądając w kierunku kortu tenisowego. Ktoś zostawił otwartą furtkę w ogrodzeniu. Przy siatce do gry stała na wpół oswojona czapla Elizabeth, mierząc mnie oskarżycielskim spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

- Edgar? - Poczulem na łokciu dłoń Jacka. - W porządku?

Nie, nie było w porządku i wszystko wskazywało na to, że ten stan się utrzyma przez bardzo długi czas. A jednak...

Dam sobie radę, pomyślałem. Muszę. Nie pozwolę jej zwyciężyć.

- Wszystko gra - zapewniłem Jacka.

- Nie podoba mi się, że jesteś taki blady. Wyglądasz jak zaraz po przyjeździe. - Głos załamał mu się na tych ostatnich słowach.

- Wszystko gra - powtórzyłem, kładąc mu dłoń na karku. Nagle uświadomiłem sobie, że oprócz zwyczajowych uścisków dłoni był to prawdopodobnie jedyny raz, kiedy go dotknąłem.

Powrócił Wireman, dźwigając oburącz czerwony kosz. Na głowie miał trzy czapki z długimi daszkami. Pod pachą niósł miotacz harpunów Johna Eastlake'a.

- Latarka jest w koszu - oznajmił - razem z turystycznym aerozolem przeciwko owadom. Dorzuciłem też jeszcze trzy pary rękawic ogrodniczych, które znalazłem w szopie.

- Doskonale - pochwaliłem go.

- Si. Ale już jest za kwadrans pierwsza, Edgar. Jeśli mamy tam jechać, to możemy ruszać?

Odszukałem wzrokiem czaplę stojącą na korcie. Tkwiła przy siatce, nieruchoma jak wskazówka zepsutego zegara, świdrując mnie bezlitosnym spojrzeniem. I dobrze; w końcu na świecie też nie znajdziesz zbyt wiele litości.

- Możemy - powiedziałem. - Ruszajmy.

VII

Moja pamięć zaczęła już funkcjonować. Nigdy nie odzyskała dawnej sprawności (po dziś dzień myślą mi się różne nazwy i kolejność niektórych wydarzeń), ale nasza wyprawa do domu na południowym krańcu wyspy Duma Key zapisała się w niej jasno i wyraźnie w każdym szczególe - jak pierwszy film, który mnie zachwyił, czy też pierwszy obraz, który oglądałem z zapartym tchem (była to „Burza gradowa” Thomasa Harta Bentona). Muszę też powiedzieć, że mimo wszystko z początku podchodziłem do całej tej sprawy chłodno i z dystansem, jak nieco zblazowany mecenas sztuki oglądający malowidło w podrzędnym muzeum. Dopiero kiedy Jack znalazł lalkę pod stopniem schodów prowadzących donikąd, zaczęło do mnie docierać, że ja sam znajduję się na tym malowidle. Uświadomiłem sobie również, że jeśli jej nie pokonamy, to nie będzie dla nas odwrotu. Wiedziałem, że jest silna; skoro potrafiła sięgnąć aż do Omaha i Minneapolis, aby zdobyć to, czego chciała, a potem do Providence, żeby nie pozwolić sobie tego odebrać, to oczywiście, że musiała być silna. A mimo to wciąż ją lekceważyłem. Dopóki nie znaleźliśmy się w tamtym domu na południowym krańcu Duma Key, nie zdawałem sobie sprawy, jak wielką siłą dysponuje

Perse.

VIII

Poleciałem Jackowi usiąść za kierownicą, a Wiremana wysłałem na tylne siedzenie. Chciał wiedzieć dlaczego, więc odparłem, że mam swoje powody, myśląc, że już niedługo staną się one oczywiste.

- A jeśli się mylę - dodałem - to będę zadowolony bardziej niż wy obaj razem wzięci.

Jack wyjechał tyłem na drogę i ruszył w kierunku południowym. Bardziej z ciekawości niż z jakiegokolwiek innego powodu włączyłem radio, które odwdzięczyło mi się przebojem Billy'ego Raya Cyrusa, opiewającego bawolim rykiem swe obolałe, złamane serce. Jack jęknął boleśnie, sięgając do regulatora. Chciał pewnie znaleźć The Bone, ale nie zdążył, bo nagle ryk Billy'ego Raya przepadł, pochłonięty przez powódź ogłuszających trzasków i zakłóceń.

- Jezu, wyłącz to! - zawył Wireman.

Nie wyłączyłem radia od razu, najpierw tylko przyciszyłem. Kręcenie potencjometrem nic jednak nie dało, zakłócenia przybrały co najwyżej na sile. Poczulem, jak wibrują mi wszystkie plomby; przestraszony, że zaraz skończy się to pękniętymi bębenkami, wcisnąłem z całej siły wyłącznik.

- Co to było? - zapytał Jack, zatrzymując wóz na poboczu. Oczy miał otwarte szeroko.

- Niech będzie, że niedobre otoczenie, co ty na to? - odparłem. - Małe co nieco pozostałe po badaniach, które prowadziło tutaj lotnictwo wojskowe sześćdziesiąt lat temu.

- Bardzo śmieszne - mruknął Wireman.

Jack spojrzał na radiodbiornik.

- Chcę spróbować jeszcze raz.

- Proszę uprzejmie. - Zasłoniłem dłonią lewe ucho.

Włączył zasilanie. Tym razem cztery głośniki mercedesa ryknęły szumem i trzaskiem, który mógłby chyba iść o lepsze z silnikiem myśliwskiego odrzutowca. Zasłanianie ucha nic nie pomogło: miałem wrażenie, że za chwilę rozsadzi mi czaszkę. Wireman, zdaje się, wrzasnął, ale nie byłem pewny, czy się nie przesłyszałem.

Jack wyłączył radio, ucinając tę nawałnicę piekielnego hałasu.

- Chyba darujemy sobie muzykę - powiedział.

- Wireman? Jak tam? - Własny głos zabrzmiał mi w uszach jak z wielkiej oddali, przebijając się po drodze przez jednostajne, słabe buczenie.

- Bombowo - padła odpowiedź.

IX

Jack doprowadził samochód może nieco dalej niż Ilse, zanim chwyciły ją mdłości; a może wcale nie. Po wjechaniu w gęstwinę trudno to było określić. Droga zwęziła się w dróżkę, a nawierzchnia wybrzuszyła się, powypychana korzeniami biegnącymi tuż pod spodem. Liście drzew splotły się nad naszymi głowami, przesłaniając większą część nieba. Jakbyśmy znaleźli się w żywym tunelu. Pomimo zamkniętych okien samochód napelniał się zielonym zapachem bujnej dżungli.

Jack przetestował resory starego mercedesa na jakimś wyjątkowo bezczelnym wyboju, zahuczał podwoziem na krawężniku po przeciwległej stronie drogi, po czym zahamował z nagłym szarpnięciem i wrzucił luz.

- Przepraszam - bąknął. Usta mu drżały, a szeroko rozwarte oczy wychodziły z orbit. - Zaraz chyba...

Wiedziałem doskonale, co się z nim zaraz stanie.

Odszukał po omacku klamkę, otworzył drzwi, wychylił się i zwymiotował na ziemię. Wydawało mi się przedtem, że odór dżungli już i tak silnie czuć w samochodzie, ale przy otwartych drzwiach uderzał do głowy z dziesięć razy mocniej. Był gęsty, zielony i zjadliwie żywy, ale mimo to w tej masie zapuszczonego listowia nie odzywał się ani jeden ptak. Słysząc było tylko Jacka, który właśnie zwracał śniadanie.

Potem zaczął zwracać wczorajszy obiad. Wreszcie skończył i opadł z powrotem na fotel. I on mi przed chwilą mówił, że znów jestem blady jak turysta z północy, który dopiero co przyjechał w tropiki; zabawne, bo tamtego kwietniowego dnia pan Jack Cantori był białym niczym marzec w Minnesocie. Miał dwadzieścia jeden lat, a wyglądał na schorowane czterdzieści pięć. To pewnie ta sałatka z tuńczyka, powiedziała kiedyś Ilse, ale nie, to nie był tuńczyk. To coś wyszło z morza, zgadza się, ale to nie był tuńczyk.

- Przepraszam - wysapał. - Nie wiem, co mnie tak załatwiło. Chyba ten smród... Ten zgniły dżunglowy smród... - Piers mu podskoczyła, w gardle zablokowało i znów przegiął się na bok, wystawiając głowę za drzwi, ale tym razem nie trafił dłonią na kierownicę i gdybym nie złapał go za kołnierz, to wylądowałby nosem w kałuży własnych wymiocin.

Gdy się wyprostował, oczy miał zamknięte, twarz mokrą od potu i gwałtownie dyszał.

- Odwieźmy go lepiej do *El Palacio* - powiedział Wireman. - Szkoda czasu, ale do diabła, Jacka chyba bardziej szkoda. To nie jest normalne, co się z nim dzieje.

- Tak właśnie postępuje Perse. Dla niej to zupełnie normalne - wyjaśniłem. Chora noga zaczęła mnie swędzieć prawie tak samo mocno jak amputowana ręka. Jakby była pod prądem. - To jest jej trujący pas zieleni. A ty, Wireman? Nie skręca cię?

- Nie, ale chore oko... To znaczy to, które było chore... Swędzi jak jasna cholera, a w głowie mi szumi. Pewnie przez to pieprzone radio.

- To nie przez radio. Nie dopadło nas to samo co Jacka, bo... hmm... Można powiedzieć, że zostaliśmy uodpornieni. Ironia, co?

Jack jęknął, pochylony nad kierownicą.

- Możesz mu jakoś pomóc, *muchacho*? Możesz coś na to poradzić?

- Chyba tak. Mam nadzieję.

Blok miałem na kolanach, a kredki i gumki - w saszetce na biodrach. Znalazłem portret Jacka i wyjąłem jedną gumkę. Wytarłem z rysunku jego usta i dolne kontury obojga oczu, aż do samych kącików. Swędzenie prawej ręki nasiliło się tak jak jeszcze nigdy i przestałem mieć wątpliwości, czy to, co chciałem zrobić, przyniesie zamierzony rezultat. Przywołując z pamięci jego uśmiech - ten, o który prosiłem w domu, w kuchni, a który miał być odbiciem jakiejś wyjątkowo szczęśliwej myśli - naszkicowałem go szybko niebieską kredką. Zajęło mi to nie dłużej niż pół minuty (najważniejsze były oczy, oczy są kluczem do uśmiechu), ale te kilka kresek odmieniło całą optykę twarzy Jacka Cantoriego.

A mnie spotkało coś nieoczekiwanego. Rysując, zobaczyłem go; całował się z dziewczyną w bikini. I nie tylko zobaczyłem; czułem pod palcami jej gładką skórę, a nawet kilka ziarenek piasku wtulonych we wgłębienie u dołu pleców. W moje nozdrza uderzył zapach jej szamponu, a usta musnął posmak soli, ulotny jak cień. Wiedziałem, że ma na imię Caitlin, a on mówi na nią Kate.

Odłożyłem kredkę do saszetki i zasunąłem zamek błyskawiczny.

- Jack? - zapytałem cicho.

Oczy wciąż miał zamknięte, a na policzkach i czole perlił mu się gęsty pot, ale wydawało mi się, że oddycha już jakby nieco wolniej.

- Jak się czujesz? Lepiej ci, chociaż trochę?

- Tak - odpowiedział, nie otwierając oczu. - Co zrobiłeś?

- Jeśli to zostanie między nami, to możemy nazywać rzeczy po imieniu: czary. Rzuciłem na ciebie przeciwzakłęcie.

Wireman sięgnął mi przez ramię, wziął do ręki mój blok, przyjrzał się rysunkowi i skinął głową.

- Zaczynam wierzyć, że źle zrobiła, wchodząc ci w paradę, *muchacho*.

Poprawiłem go:

- Źle zrobiła, zabierając mi córkę.

X

Staliśmy tam jeszcze przez pięć minut, żeby Jack mógł odzyskać siły. Wreszcie zebrał się w sobie i powiedział, że możemy jechać dalej. Na twarz wróciły mu kolory. Zacząłem się zastanawiać, czy napotkalibyśmy podobne trudności, wybrawszy drogę od strony morza.

- Wireman, widziałeś kiedyś jakieś łodzie rybackie w pobliżu południowego brzegu wyspy?

Zastanowił się przez chwilę.

- Wiesz co? Nie. Rybacy w cieśninie trzymają się raczej wybrzeża Don Pedro. Dziwne, nie?

- Ani trochę. To jakiś zły omen - powiedział Jack. - Tak jak ta cała droga.

To już nawet nie była dróżka, ale ścieżka. O dach toczącego się powoli mercedesa ocierały się konary kokolob i figowców, wydając iście piekielne piski. Droga była powybrzuszana przez drążące pod spodem korzenie drzew, a miejscami nie pozostało z niej praktycznie nic oprócz żwiru i wybojów. Biegła jednak dalej, prowadząc łukiem w głąb wyspy. Zaczęła się też łagodnie piąć.

Pełziliśmy przed siebie, połykając powoli kilometr za kilometrem, a liście i gałęzie plaskały i łomotały o nadwozie naszego samochodu. Co chwila miałem wrażenie, że droga robi się już nieprzejezdna, ale gęste listowie chroniło ją do pewnego stopnia przed działaniem żywiołów, więc jakoś dawało się jechać. Figowce ustąpiły miejsca gęstwinie zajadłych pieprzowców brazylijskich. Tam właśnie zobaczyliśmy pierwszego reprezentanta dzikiej fauny: na pokruszonej nawierzchni drogi przystanął na moment olbrzymi ryś, sycząc na nas i kładąc uszy po sobie. Po chwili czmychnął, znikając w leśnym podszyciu. Chwilę później na przednią szybę spadło nam kilkanaście pulchnych, czarnych gąsienic. Wszystkie pękły od siły uderzenia, a ich lepkie wnętrzości spłynęły po szkle. Nie dało się z tym już nic zrobić, nawet za pomocą wycieraczek i płynu do spryskiwania. Maź rozniosła się tylko po całej szybie; tak pewnie widzą świat ludzie chorzy na zaćmę.

Poleciałem Jackowi zatrzymać wóz. Wysiadłem i znalazłszy w bagażniku kilka czystych szmatek, wytarłem przednią szybę. Zachowując ostrożność, włożyłem rękawice ogrodowe, które przyniósł Wireman; na głowę już uprzednio wcisnąłem czapkę. O ile jednak mogłem stwierdzić, to były zwykłe gąsienice: choć mało przyjemne, nie miały w sobie nic

nadprzyrodzonego.

- Nieźle - powiedział Jack przez otwarte okno. - Otworzę jeszcze maskę, to sprawdzisz... - Urwał, spoglądając na coś za moimi plecami.

Odwrociłem się na pięcie. Droga była już w tym miejscu wąska jak ścieżka, zaśmiecona okruchami starego asfaltu i zarośnięta wedelią. Około trzydziestu metrów przed nami przechodziło przez nią właśnie rzędkiem pięć żab wielkości młodych cocker - spanieli: Pierwsze trzy miały skórę w odcieniu jaskrawej, idealnie gładkiej zieleni, jaki w naturze spotyka się rzadko, jeśli w ogóle. Czwarta była niebieska, a piąta prezentowała wyblakłe pomarańczowe ubarwienie, które kiedyś mogło być czerwienią. Wszystkie się uśmiechały, ale te ich uśmiechy były jakby zastygłe i zmęczone. Posuwały się do przodu powolnymi, ociężałymi susami; miało się wrażenie, że nogi nie chcą już ich nieść. Tak samo jak ryś, zniknęły w leśnym podszyciu.

- Co to było, do diabła starego? - sapnął Jack.

- Duchy - odparłem. - Pozostałości potężnej wyobraźni pewnej małej dziewczynki. Sądząc z wyglądu, są już na wykończeniu. - Wsiadłem z powrotem do samochodu. - Ruszaj, Jack. Dojedźmy najdalej, jak się tylko da.

Mercedes potoczył się powoli przed siebie. Zapytałem Wiremana o godzinę.

- Kilka minut po drugiej.

Ostatecznie dojechaliśmy prawie do samej bramy pierwszego Czaplego Siedliska. Nigdy bym się tego nie spodziewał, a jednak się udało. Jeszcze tylko gałęzie zamknęły się przed nami jeden ostatni raz - figowce i sosny uginające się pod ciężarem szarych bród oplątwy brodawczakowatej - ale Jack wbił mercedesa jak taran w tę gęstwinę i nagle chaszczce zostały za nami. W tym miejscu deszcz kompletnie wypłukał smołę z nawierzchni i jedynym wspomnieniem ostatniego odcinka drogi były stare koleiny, ale nasz wóz poradził sobie z tą przeszkodą i potelepał się dalej, trzęsąc się i podskakując. Droga biegła po długim, łagodnym zboczu, a na jej końcu stały dwa kamienne słupy. Od słupów rozchodził się w obie strony potężny, zapuszczony żywopłot, wysoki lekką ręką na pięć i pół metra i Bóg jeden raczy wiedzieć, jak szeroki. Zaczął już wyciągać zielone paluchy w dół zbocza, gdzie pieniała się dżungla. Była tam również brama, ale zardzewiała i uchylona. Na oko nasz mercedes nie miał szans, żeby się w niej zmieścić.

Ten ostatni odcinek drogi porastały po obu stronach sędziwe rzewnie skrzypolistne imponującej wysokości. Rozglądałem się, by sprawdzić, czy gdzieś nie ma ptaków latających do góry nogami, ale nie dostrzegłem ani jednego. Nie zaobserwowałem też tych zwykłych, z nogami na dole, ale moją uwagę zwróciło ulotne brzęczenie owadów.

Jack zatrzymał wóz przed bramą i spojrzał na nas przepaszającym wzrokiem.

- To stare cacko się tutaj nie zmieści.

Wysiedliśmy. Wireman zatrzymał się przed bramą, chcąc rzucić okiem na wiekowe, pokryte porostami tabliczki przymocowane do słupów. Na lewej widniała nazwa CZAPLE SIEDLISKO. Na prawej odczytaliśmy nazwisko EASTLAKE, ale pod spodem ciągnął się jeszcze jakiś inny napis, jakby wydrapany końcem noża. Być może kiedyś byłoby go trudno odcyfrować, ale porosty zadomowione w wyrytych w metalu krechach uwypukliły litery. Napis brzmiał: **Abyssus abyssum invocat.**

- Nie wiesz przypadkiem, co to może znaczyć? - zagadnąłem Wiremana.

- Tak się składa, że wiem. To jest ostrzeżenie, które często słyszą świeżo upieczeni prawnicy po zdaniu egzaminów adwokackich. W wolnym przekładzie oznacza to „Jedno potknięcie prowadzi do kolejnego”. Przekład niewolniczo wierny brzmi inaczej: „Otchłań przyzywa otchłań”. - Spojrzał na mnie ponuro. - Domyślam się, że taka właśnie była opinia Johna Eastlake'a, kiedy zdecydował się opuścić na zawsze pierwsze Czaple Siedlisko.

Jack wyciągnął rękę, chcąc dotknąć nierównych liter, ale najwidoczniej się rozmyślił, bo opuścił dłoń.

Zamiast niego zrobił to Wireman.

- Oto werdykt, panowie... - oznajmił, kładąc dłoń na metalowej tabliczce - ...i to ogłoszony oficjalnym językiem prawa. Ruszajmy. Słońce zachodzi kwadrans po siódmej, plus - minus kilka minut, a światło dzienne to ulotny fenomen. Kosz poniesiemy na zmianę, bo jest ciężki jak *hijo de puta*.

XI

Ale jeszcze zanim wyruszyliśmy, był czas na przystąpienie w bramie i porządne obejrzenie pierwszego domu Elizabeth Eastlake na wyspie Duma Key. Natychmiast ogarnął mnie wielki niepokój. Gdzieś pod czaszką przez cały czas kołatał mi się bardzo jasny, konkretny scenariusz: wchodzimy do domu i idziemy prosto na piętro, żeby znaleźć pokój, który dawno, dawno temu należał do Elizabeth, wtedy jeszcze nazywanej przez wszystkich Libbit. Tam moja amputowana ręka, czasami znana też jako Boska Różdżka Jasnowidząca Edgara Freemantle'a, zaprowadzi mnie do jakiegoś porzuconego kufra podróżnego (być może będzie to tylko skromna skrzynka). Znajdziemy w nim kolejne rysunki, te brakujące, które powiedzą mi, gdzie jest Perse, i pomogą rozwiązać zagadkę cieknącej stołowej. A to wszystko jeszcze zanim zajdzie słońce.

To była piękna historyjka, ale miała jeden słaby punkt: górna część Czaplego Siedliska nie istniała. Dom stał na odsłoniętym pagórku, a jego górne piętra już dawno temu doszczętnie zniszczyła jakaś nawałnica. Parter, który się ostał, utonął w zalewie szarozielonych winorośli, oplatających również kolumny od frontu. Z okapów zwieszały się festony oplątwy brodawczakowatej, zamieniając werandę w jaskinię. Wszędzie dookoła domu leżały potrzaskane skorupy pomarańczowych dachówek - to było wszystko, co pozostało z dachu. Sterczały, niczym zęby olbrzyma, z gąszczu chwastów, które opanowały niegdysiejszy trawnik. Ostatnie dwadzieścia pięć metrów wysypanego muszlami podjazdu znikło, zarośnięte figowcami - dusicielami. Podobny los spotkał kort tenisowy oraz coś, co kiedyś mogło być dziecięcym domkiem do zabawy. Za kortem znajdował się podłużny, podobny do szopy budynek gospodarczy; po jego ścianach, jak również po dachu domku dla dzieci, niegdyś krytym gontami, które gdzieś tam jeszcze się uchowały, pięły się po omacku pędy winorośli.

- A to co? - Jack wskazał miejsce pomiędzy kortem a właściwym domem, skąd popołudniowe słońce wyławiało ciemny, wydłużony prostokąt, w którym bulgotała czarna papka o złowrogim wyglądzie. To tam koncentrowało się nieustające, jednostajne buczenie owadów.

- W tej chwili widzę tam oczko z ropą naftową - odparł Wireman. - Ale mam wrażenie, że w ryczących latach dwudziestych rodzina Eastlake'ów mówiła na to: nasz basen.

- Chcielibyście popluskać się w czymś takim? - wzdrygnął się Jack.

Dookoła basenu rosły wierzby. Za nimi dostrzegliśmy kolejną gęstą kępę pieprzowców brazylijskich, a do tego...

- Wireman, czy to są bananowce? - zapytałem ze zdumieniem.

- Aha - przytaknął. - I pewnie aż gęsto tam od węży. Fe. Spójrz na zachód, Edgar.

Od strony zatoki płatanina chwastów, winorośli i płożących się pędów, pod którą niknął zupełnie trawnik niegdysiejszej rezydencji Johna Eastlake'a, przechodziła w zarośla unioli. Wiało porządnie, a całkiem rozległy widok, jaki się stąd roztaczał, uświadomił mi, że jedyną rzadkością w krajobrazie Florydy są wzniesienia. Tutaj znajdowaliśmy się akurat na tyle wysoko, że Zatoka Meksykańska wydawała się leżeć u naszych stóp. Po lewej mieliśmy Don Pedro Island, a po prawej - Casey Key, zatopioną w sennej, niebieskoszarej mgiele.

- Mostu wciąż jeszcze nie opuścili - zauważył Jack z rozbawieniem w głosie. - Tym razem mają jakiś konkretny problem.

- Wireman - poprosiłem - spójrz tam, gdzie biegnie ta stara ścieżka. Widzisz to co ja?

Powiódł wzrokiem za moim wyciągniętym palcem.

- Tę nagą skałę? Jasne, że widzę. To raczej nie koral, chociaż trzeba by podejść trochę bliżej, żeby sprawdzić... No i co z tą skałą?

- Przestań na chwilę bawić się w geologa i popatrz. Tylko popatrz. Co widzisz?

Spojrzał. Obaj spojrzeli. Jack zorientował się pierwszy.

- Profil? - zapytał, a potem powtórzył, już bez tej niepewności: - Profil ludzkiej twarzy.

Skinąłem głową.

- Stąd widać tylko czoło, wgłębienie oczodołu i grzbiet nosa, ale gdybyśmy zeszli na plażę, to na pewno zobaczylibyśmy jeszcze usta. Albo to, co kiedyś uchodziło za usta. To jest Skała Wiedźmy, a gdzie ona, tam Cienista Plaża, zakład o każde pieniądze. To tam John Eastlake nurkował w poszukiwaniu skarbów.

- Tam też utonęły bliźniaczki - dodał Wireman. - Zeszły tą ścieżką. Tylko że...

Umilkł. Wiatr szarpał nas za włosy. Patrzyliśmy na ścieżkę, wciąż jeszcze widoczną, choć minęło już tyle lat. Nie wydeptały jej małe stopy dzieci biegających tędy nad morze, żeby się popluskąć. Gdyby z Czapłego Siedliska na Cienistą Plażę prowadziła zwykła ścieżka, to już po pięciu latach nie byłoby po niej ani śladu. A może nawet po dwóch.

- To nie jest ścieżka. - Jack wypowiedział na głos moje myśli. - To kiedyś była droga. Nieutwardzona, ale co z tego. Tylko po co komu droga z domu na plażę, skoro na piechotę idzie się tam najwyżej dziesięć minut?

Wireman potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Edgar?

- Nie mam pojęcia.

- Może znalazł w morzu coś więcej niż tylko drobne świecidełka - zamyślił się Jack.

- Możliwe, ale... - Urwałem, złowiwszy kątem oka jakiś ruch... ciemny kształt... Odwróciłem się w stronę domu. Nic.

- Co jest? - zapytał Wireman.

- To pewnie nerwy - wyjaśniłem.

Wiatr, do tej pory dochodzący znad zatoki, zmienił kierunek • i dmuchnął nam w twarze od południa. Uderzyła w nas fala zgniłego fetoru.

Jack aż się wstrząsnął, krzywiąc twarz w obrzydzeniu.

- Co to jest, do cholery?!

- Domyślam się, że basenowe aromaty - odparł Wireman. - Wiesz co, Jack? Uwielbiam zapach zamulonych rur o poranku.

- Rozumiem, ale już jest po południu.

Wireman posłał mu spojrzenie, mówiące: „No to co?”, a potem odwrócił się z powrotem do mnie.

- Co ty na to, *muchacho*? Idziemy dalej?

Zrobiłem szybki przegląd naszego zaopatrzenia. Wireman miał czerwony kosz, Jack torbę z jedzeniem, a ja moje przybory do rysowania. Trudno mi było w tej chwili powiedzieć, co zrobimy, jeśli się okaże, że pozostałe rysunki Elizabeth zabrała ta sama nawałnica, która zerwała dach, dopełniając obrazu ruiny, jaki mieliśmy przed oczami (albo jeśli po prostu nigdy nie było żadnych innych rysunków), ale skoro dotarliśmy tak daleko, trzeba było coś przedsięwziąć. Ilse nalegała, żebyśmy spróbowali, czułem to w kościach i w sercu.

- Tak - potwierdziłem. - Idziemy dalej.

XII

Doszliśmy podjazdem do miejsca, gdzie niknął on pod gęstą płataniną pędów figowca dusiciela. Wtedy znów zobaczyłem tamten ciemny kształt; mignął mi w wysokich chwastach po prawej stronie domu. Tym razem Jack też go dostrzegł.

- Ktoś tam jest - powiedział.

- Ja nikogo nie widziałem. - Wireman postawił kosz na ziemi i otarł ramieniem pot z czoła. - Zamień się ze mną na chwilę, Jack. Ponieś ten kosz, a ja wezmę żarcie. Jesteś młody i silny, a Wireman stary i na wykończeniu. Pewnie niedługo umrze... Jasna cholera, co to?!

Cofnął się o krok, zatoczył i byłby upadł, gdybym nie podtrzymał go chwytem w pasie. Jack krzyknął, zaskoczony i przerażony.

Z zarośli tuż przed nami, po lewej stronie, wypadł człowiek. Nie miał prawa tam być - kilka sekund wcześniej widzieliśmy go z Jackiem pięćdziesiąt metrów dalej - ale był. Wyglądał jak Murzyn, choć nie był człowiekiem. Żaden z nas ani przez chwilę nie pomyślał, że ma przed sobą prawdziwą ludzką istotę. Dlaczego? Na przykład dlatego, że kiedy przesuwaliśmy się przed nami, jego nogi, opięte w błękitne bryczesy, były całkowicie nieruchome, zastygłe w lekkim ugięciu. Nie poruszył też choćby jednego listka na grubej kurtynie pędów figowca zwisających wszędzie dookoła niego. A jednak - na jego twarzy błyszczał szeroki uśmiech; rozradowane oczy lśniły otwartą wrogością. Nosił czerwony toczek z guzikiem na czubku; właśnie ta jego czapka, nie wiedzieć czemu, była najgorsza.

Pomyślałem, że nie mogę zbyt długo na nią patrzeć, bo zwariuję.

Murzyn w błękitnych bryczesach zniknął w wysokiej trawie po prawej stronie

podjazdu. Miał około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, a trawy najwyżej półtora metra wysokości, więc prosty rachunek pozwalał stwierdzić, że nie miał prawa w nich zniknąć - a mimo to zniknął.

Chwilę później zobaczyliśmy go - to coś - na werandzie, z uśmiechem w stylu starego lokaja przylepionym do twarzy, a natychmiast potem pojawił - pojawiło - się u stóp schodów, aby znów wpaść jak strzała w gąszcz chwastów, nie przestając szczerzyć się do nas.

Spod daszka tej swojej czapki.

Ta czapka była czerwona.

Jack rzucił się do ucieczki. Z jego twarzy nie dało się wyczytać nic oprócz bezmyślnej, bezładnej paniki. Puściłem Wiremana, żeby zatrzymać chłopaka. Gdyby Wireman też zdecydował się na odwrót, to byłby chyba koniec naszej ekspedycji; miałem w końcu tylko jedną rękę i nie mógłbym złapać ich obu naraz. Pojedynczo zresztą też, gdyby naprawdę chcieli uciec.

Chociaż sam miałem niezłego pietra, to myśl o ucieczce nawet nie powstała mi w głowie. A Wireman, niech Bóg mu błogosławi, nie dał się zastraszyć. Patrzył tylko z opadniętą szczęką, jak Murzyn w bryczesach wypada z kępy bananowców rosnących pomiędzy basenem a budynkiem gospodarczym.

Złapałem Jacka za pasek u spodni i zatrzymałem szarpnięciem. Nie mogłem trzasnąć go w twarz - nie miałem ręki - więc musiałem krzyczeć. I krzyknąłem.

- On nie jest prawdziwy! To tylko jej koszmar!

- Jej... koszmar? - W oczach chłopaka zaświtało coś na kształt zrozumienia. A może to była iskierka przytomności. Uznałem, że to mi wystarczy.

- Koszmar, zmora, pierwsze lepsze straszidło, którego się bała, kiedy gasło światło - powiedziałem. - To tylko kolejny duch, Jack.

- Skąd wiesz?

- Na przykład stąd, że cały mruga, jak na starym filmie - wtrącił się Wireman. - Patrzcie.

Murzyn zniknął i pojawił się znowu, tym razem nad basenem, przed zardzewiałą drabinką prowadzącą na podwyższenie, z którego skakało się kiedyś do wody. Zauważyłem, że jego koszula jest tak samo błękitna jak bryczesy. Prześlizgiwała się z miejsca na miejsce, przylepiona ponad nieruchomymi nogami, które zawsze były ugięte dokładnie w takiej samej pozycji jak u figurki na strzelnicy. Chwilę później pojawił się na podjeździe, niemalże dokładnie przed nami. Od patrzenia na niego bolała mnie głowa i wciąż się go bałem... ale tylko dlatego, że ona kiedyś się bała. Libbit.

Następnym razem ukazał nam się pomiędzy dwoma koleinami, biegnącymi razem z tą dobrze zachowaną drogą w kierunku Cienistej Plaży. Teraz wszyscy zobaczyliśmy, jak przez jego koszulę i bryczesy przebija roziskrzona zatoka. Zamigotał i zniknął, a Wireman nagle wybuchnął histerycznym śmiechem.

- Co? - Jack zawirował na pięcie i odwrócił się do niego. Niemalże naskoczył na niego. - No, co?

- To jest, kurna, dżokej ogrodowy! - zarżał Wireman na całe gardło. - Czarny dżokej, ozdoba na trawnik, w dzisiejszych czasach bezwarunkowo politycznie *verboten*! Tyle że powiększony ze trzy albo cztery razy! To właśnie była zmora małej Elizabeth! Dżokej z trawnika przy domu!

Chciał mówić dalej, ale już nie mógł. Zgiął się wpół, rechocząc tak, że aż musiał się zaprzeć dłońmi o kolana. Rozumiałem, co go tak bawi, ale mnie to nie śmieszyło - i to nie tylko dlatego, że parę godzin wcześniej w Rhode Island zamordowano mi córkę. Wireman zresztą zaśmiewał się teraz wyłącznie z tego powodu, że na początku bał się tak samo jak ja i Jack, tak samo jak kiedyś Libbit. A czemu się bała? Bo ktoś, zapewne przypadkiem, powiedział jej coś, co źle zrozumiała i potem przetworzyła w swojej bujnej dziecinnej wyobraźni. Stawiałem na nią Meldę i jakąś bajkę do poduszki, która miała tylko uspokoić rozmarudzoną dziewczynkę, wciąż jeszcze dochodzącą do siebie po urazie głowy. Może nawet cierpiącą na bezsenność. Tylko że ta bajka trafiła na zły grunt i wyrosły jej ZEMBY.

Pan Błękitne Bryczesy nie był też taki jak te żaby, które widzieliśmy na drodze w dżungli. One były w stu procentach tworamiz Elizabeth i nie miały w sobie ani krztyny złej woli. Natomiast ten dżokej... Może i zrodził się w rozbitej głowie małej Libbit, ale coś mi mówiło, że Perse już dawno przywłaszczyła go sobie do własnych celów. Ktokolwiek dotarł tak blisko pierwszego domu Elizabeth jak my teraz, stawał oko w oko z ciemnoskórym dżokejem, zawsze gotowym, aby przepędzić intruza. Do najbliższego zakładu dla obłąkanych, najprawdopodobniej.

Jack spojrział nerwowo na pozapadaną ścieżkę, która rzeczywiście wyglądała tak, jakby kiedyś mógł się na niej zmieścić konny wóz albo nawet ciężarówka. Ścieżka nikła z oczu, opadając ku plaży.

- Czy on tutaj wróci? - zapytał.

- To bez znaczenia, *muchacho* - powiedział Wireman. - On nie jest prawdziwy. A koszyczek trzeba ponieść. Łap się za rączkę. Wio, koniku.

- Od samego patrzenia na niego wydawało mi się, że tracę rozum - jęknął Jack. - Rozumiesz mnie, Edgar?

- Oczywiście. Libbit miała w tamtych czasach wyjątkowo potężną wyobraźnię.

- I co się stało z tą jej wyobraźnią?

- Zapomniała, jak jej używać.

- Jezu - westchnął Jack. - To okropne.

- Owszem. Wydaje mi się nawet, że całkiem łatwo jest zapomnieć coś w taki sposób jak ona. Co jest jeszcze straszniejsze.

Jack pochylił się i dźwignął kosz z ziemi. Spojrzał na Wiremana ze zdziwieniem.

- Czego ty tam nakładłeś? Sztabek złota?

Wireman chwycił torbę z jedzeniem i uśmiechnął się pogodnie.

- Zapakowałem parę specjalnych atrakcji.

Ruszyliśmy dalej zarośniętym podjazdem, rozglądając się za dżokejem. Nie pokazał się już więcej. Po wejściu na werandę Jack z cichym westchnieniem ulgi postawił kosz na podłodze. Nagle za naszymi plecami rozległ się szelest i trzepot skrzydeł.

Odwróciliśmy się wszyscy; na podjeździe wylądowała czapla. Mogła to być ta sama, która odprowadzała mnie zimnym wzrokiem, kiedy wyruszaliśmy z *El Palacio*. A nawet jeśli nie, to spojrzenie, w każdym razie, miała identyczne: niebieskie, bystre i pozbawione choćby cienia litości.

- Prawdziwa? - zapytał Wireman. - Jak sądzisz, Edgar?

- Prawdziwa - potwierdziłem.

- Skąd wiesz?

Mogłem mu pokazać, że ptak rzuca cień, ale dżokej chyba też go rzucał; byłem zbyt zdumiony jego widokiem, żeby zwrócić na to uwagę.

- Po prostu wiem - uciałem. - Wejźmy do środka. Nie musicie pukać. To nie jest towarzyska wizyta.

XIII

- No, z tym może być niejaki problem - powiedział Jack.

Na werandzie, zacienionej poplątanymi girlandami oplątwy brodawczakowatej panował głęboki półmrok, ale kiedy oczy przyzwyczyły się już do niego, dostrzegliśmy, że duże, dwuskrzydłowe drzwi wejściowe zamyka gruby, zardzewiały łańcuch, z którego zwisają aż dwie kłódki. Łańcuch biegł przez dwa pierścienie wkręczone w ościeżnicę.

Wireman podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się żelastwu.

- Wiecie co? - orzekł w końcu. - Ja i Jack poradzimy z tym sobie. Wylamiemy jeden

albo oba te pierścienie. Dni świetności to one mają już zdecydowanie za sobą.

- O całe lata - dodał Jack.

- Możliwe - powiedziałem - ale same drzwi prawie na pewno też są zamknięte, a jak tu teraz zaczniecie dzwonić łańcuchami i wyłamywać żelazne pierścienie, to pobudzicie sąsiadów.

- Jakich sąsiadów? - zdziwił się Wireman.

Wskazałem palcem do góry. Wireman i Jack unieśli głowy i zobaczyli to, co ja zauważyłem pierwszy: wielką kolonięnocków śpiących pod sufitem werandy, spowitych czymś co, wyglądało jak olbrzymia pajęczyna. Spojrzałem pod nogi; podłogę pokrywała warstwa odchodów tak gruba, że nie widać było desek. Bardzo się ucieszyłam, że mam na głowie czapkę.

Kiedy ponownie uniosłem głowę, Jack Cantori był już u stóp schodów.

- Nie ma takiego numeru - oznajmił. - Mogę być tchórzem, mięczakiem, czym tylko chcecie, ale ja tam nie idę. Wireman boi się węży, a ja nietoperzy. Kiedyś... - Urwał, chociaż chyba chciał mówić dalej; możliwe, że miał jeszcze sporo do powiedzenia, ale po prostu nie wiedział jak. Cofnął się tylko o krok, dając mi moment na refleksję nad wyrafinowaniem form, jakie przybiera ludzki strach: czego nie zdołał dokonać upiorny dżokej (prawie mu się udało, ale prawie, jak wiadomo, robi wielką różnicę), załatwiła bez problemu kolonia śpiących nietoperzy. Przynajmniej jeśli chodzi o Jacka.

- One mogą być wściekle, *muchacho* - mruknął Wireman. - Wiesz o tym?

Skinąłem głową.

- Chyba lepiej poszukać kuchennych drzwi.

XIV

Posuwaliśmy się powoli wzdłuż ściany domu. Prowadził Jack, niosąc czerwony piknikowy kosz. Jego koszula była ciemna od potu, ale mdłości najwyraźniej przeszły mu już całkowicie. Chociaż w sumie nie powinny; smród zalatujący od strony basenu był tak powalający, że wszyscy trzej powinniśmy dostać torsji. Brnęliśmy po łące w trawie, która chłostała nas po nogach; sztywne łodyżki werbeny kłuły w kostki. Mijaliśmy okna, ale wszystkie były za wysoko - chyba żeby Jack zechciał wejść Wiremanowi na ramiona.

- Która godzina? - sapnął chłopak.

- W sam raz, żebyś ruszył nogami trochę szybciej, *mi amigo* - poinformował go Wireman. - Mam cię zmienić przy tym koszu?

- Bardzo proszę - parsknął Jack. Po raz pierwszy odkąd go poznałem, wyglądał na poważnie wkurzonego. - Dostaniesz zawału i będziemy z szefem mogli się popisać, jak świetnie się znamy na reanimacji.

- Sugerujesz, że nie mam formy?

- Formę masz, ale do tego dobrych dwadzieścia kilo powyżej granicy ryzyka zawałowego.

- Przestańcie - wtrąciłem się. - Obydwaj.

- Postaw ten kosz, synku - rozkazał Wireman. - Daj mi tego *cesto de puta madre*. Sam go poniosę już do końca.

- Nie. Zapomnij.

Złowiłem kącikiem oka jakiś ciemny, poruszający się kształt. Mało brakowało, a zlekceważyłbym go. Pomyślałem, że to znów ten ogrodowy dżokej, który tym razem ugania się wzdłuż basenu. Albo z brzegu na brzeg, ledwie dotykając powierzchni wypełniającej go mazi, robaczywej i cuchnącej. Dzięki Bogu, zachciało mi się odwrócić głowę i sprawdzić.

Tymczasem Wireman stanął przed Jackiem, mierząc go ciężkim spojrzeniem spod ściągniętych brwi. Tutaj zakwestionowano jego męskość.

- Chcę cię zmienić.

Zaległe w basenie paskudztwo wezbrało, wypływając z siebie coś żywego. Stwór oderwał się od czerni i gruchnął na popękana, zarosła chwastami krawędź betonowego zbiornika, rozpryskując wokół siebie brudną gwiazdę śmierdzącego szlamu.

- Nie, Wireman, ja go niosę. Ten paskudny stwór miał oczy.

- Jack, mówię ci ostatni raz...

I dopiero kiedy zauważyłem ogon, dotarło do mnie, na co właściwie patrzę.

- A ja ci mówię...

- Wireman. - Chwyciłem go za ramię.

- O, nie, Edgar, dam sobie radę.

Dam sobie radę. Te słowa huknęły mi pod czaszką jak nagły grzmot. Zmusiłem się, żeby powiedzieć wolno, głośno i dobitnie:

- Wireman, zamknij się. Tutaj jest aligator. Przed chwilą wylazł z basenu.

Wireman bał się węży. Jack - nietoperzy. Ja natomiast nie miałem pojęcia, że boję się aligatorów, dopóki nie zobaczyłem, jak z gnijącej brei zaległej w starym basenie wydobywa się ta bryła prehistorycznej ciemności i rusza w naszą stronę, najpierw po zarośniętym zielskim betonie (odrzucając na bok ostatni ocalały fotel ogrodowy, leżący na ziemi), a potem po chwastach i pnączach winorośli spływających z gałęzi najbliższych pieprzowców.

Przez sekundę mignął mi zmarszczony pysk i jedna powieka, zaciskająca się, jakby zwierzę chciał puścić do nas oko, a potem widać było już tylko jego ociekający szlamem grzbiet ukazujący się to tu, to tam w rozkołysanych chaszczach, jak łódź podwodna w trzech czwartych zanurzenia. Szedł po nas, a ja, poza ostrzeżeniem Wiremana, nie mogłem zrobić absolutnie nic. Widziałem wszystko w odcieniach szarości. Oparłem się o stare, wypaczone deski pokrywające ściany Czapłego Siedliska. Były ciepłe. Stałem tak, oparty o nie, czekając, aż pożre mnie trzyipółmetrowe monstrum, które zagnieździło się w starym basenie Johna Eastlake'a.

Wireman nie wahał się ani chwili. Wyrwał Jackowi czerwony kosz, rzucił go na ziemię i ukląkł obok, otwierając błyskawicznie jedno wieczko. Wyciągnął ze środka największego gnata, jakiego w życiu widziałem na własne oczy, a nie na filmie. Nie wstając z klęczek, mając przed sobą otwarty kosz, chwycił pistolet obiema dłońmi. Widziałem dobrze jego twarz, która wydała mi się wtedy (do dzisiaj zresztą tak uważam) odbiciem niezmaconego spokoju - zwłaszcza u faceta, na którego szarżował właśnie, można powiedzieć, mocno przerysowany wąż. Wireman czekał.

- Zastrzel go! - krzyknął Jack.

Wireman czekał. A patrząc na niego, w oddali zobaczyłem czapłę. Sunęła w powietrzu ponad dachem zarośniętej szopy, wzniesionej za kortem. Leciała na plecach, do góry nogami.

- Wireman - zapytałem - odbezpieczyłeś?

- *Caray* - mruknął, przełączając coś kciukiem. Zniknęła czerwona kropka, błyszcząca wysoko na rękojeści pistoletu. Wireman nie odrywał wzroku od wysokiej trawy na wprost, która już zaczynała się kołysać. Wreszcie zarośla rozjechały się, wypadł z nich gad i runął prosto na niego. Widywałem aligatory na Discovery Channel i w programach National Geographic, ale żaden dokument, jaki w życiu oglądałem, nie przygotował mnie na to, jak szybko potrafią się poruszać te drapieżniki na swoich krótkich nóżkach. Trawy otarły jego pysk niemalże do czysta z błota, dzięki czemu widziałem wyraźnie, jak potwornie szeroki ma uśmiech.

- Teraz! - wrzasnął Jack.

Wireman wystrzelił. Huk był niesamowity; przetoczył się po zachwaszczonym trawniku niczym ogromny głaz. Efekt wystrzału był podobnie niesamowity. Górna połowa wąskiej czaszki aligatora odpadła od głowy, znikając w gejzerze błota, krwi i strzępów ciała. Z tym że zwierzę nawet nie zwolniło, przeciwnie, krótkie nóżki na tych ostatnich dziesięciu metrach zaczęły przebierać jeszcze szybciej. Słyszałem, jak trawa szoruje po opancerzonych bokach gada.

Odrzut szarpnął lufę broni do góry. Wireman nie próbował go tłumić. Nigdy w życiu u nikogo nie widziałem takiego spokoju; do dziś czuję zdumienie, kiedy o tym pomyślę. Kiedy pistolet opadł z powrotem do płaszczyzny poziomej, aligator był już nie dalej jak cztery - pięć metrów od nas. Wireman wystrzelił ponownie, a druga kula poderwała przód gadziego cielska z ziemi. Błysnął zielono - biały brzuch zwierzęcia, które przez moment wydawało się tańczyć na ogonie, zupełnie jak kreskówkowy aligatorek z filmu Disneya.

- Masz, skurwielu ty szpetny! - zawył Jack. - Hak ci w smak! Kij ci w ryj!!

Lufa pistoletu znów poszła w górę, szarpnięta odrzutem. I znów Wireman nie ściągnął broni. Atakujący gad zwał się na bok, odsłaniając cały brzuch, wymachując swoimi krótkimi kończynami i młóćąc dziko ogonem. Kępki wyrywanej trawy i pecyny ziemi poleciały w powietrze. Kiedy lufa ponownie opadła do poziomu, Wireman po raz trzeci pociągnął za spust, a kałdun bestii rozpadł się na kawały; szeroki krąg wygniecionej trawy, w którym leżał gad, zmienił nagle barwę z zielonej na czerwoną.

Rozejrzałem się za czaplą. Zniknęła.

Wireman wstał. Zauważyłem, że cały się trzęsie. Podszedł do aligatora - trzymając się z daleka od jego ogona, który wciąż młócił na wszystkie strony - i wpakował mu jeszcze dwie kulki. Ogon gada grzmotnął o ziemię, a cielsko szarpnęło się po raz ostatni, po czym zniechęciło się.

Wireman odwrócił się do Jacka, unosząc swój automat w drżącej dłoni.

- Desert Eagle, kaliber .357 - oznajmił. - Prawdziwa armata, dzieło bardzo złych Hebrajczyków, jak śpiewał James McMurtry w dwutysięcznym szóstym. To przez amunicję kosz jest taki ciężki. Wrzuciłem tam wszystkie magazynki, jakie były w domu. Czyli coś około tuzina.

Jack podszedł, objął go i ucałował w oba policzki.

- Jeśli chcesz, zaniosę ci ten koszyk do Cleveland i złego słowa nie powiem.

- Gnata nie musisz już nieść - powiedział Wireman. - Od tej chwili ta lalczka idzie ze mną, za paskiem. - I faktycznie zatknął pistolet za pasek od spodni, najpierw wymieniwszy magazynek i starannie go zabezpieczywszy. Udało się to dopiero za drugim razem, tak trzęsły mu się ręce.

Podszedłem do niego i też ucałowałem w oba policzki.

- O rety - stęknął. - Wireman chyba stracił swój hiszpański urok i zyskał nowy, francuski czar.

- Skąd w ogóle masz ten pistolet? - zapytałem.

- Panna Eastlake uznała, że się przyda. To było po tej ostatniej rozprawie gangów

kokainowych w Tampa - St. Pete. - Spojrzał na Jacka. - Pamiętasz?

- Pewnie. Czterej zabici.

- No więc panna Eastlake rzuciła pomysł, żebym kupił broń do domu. Do obrony osobistej. Uznałem, że musimy mieć coś porządnego. Nawet strzelaliśmy razem dla wprawy - uśmiechnął się Wireman. - Dobra w tym była i zupełnie nie przeszkadzał jej hałas, ale nie znosiła odrzutu. - Przyjrzał się rozstrzelanemu aligatorowi. - Niezła pukawka. Spisała się. Co teraz, *muchacho*?

- Idziemy na tyły domu, ale... Widzieliście tę czaplę?

Jack potrząsnął przecząco głową. Wireman zrobił to samo, robiąc speszoną minę.

- A ja widziałem - oznajmiłem mu. - I jeśli zobaczę ją jeszcze raz... Albo któryś z was... To masz ją zastrzelić, Jerome.

Wireman uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Ruszyliśmy dalej wzdłuż wschodniej ściany porzuconej rezydencji.

XV

Wejście do domu od tyłu nie stanowiło, jak się okazało, problemu; ten dom po prostu nie miał tyłu. Z całego budynku ostał się w sumie jedynie wschodni narożnik. Reszta zniknęła, prawdopodobnie porwana przez tę samą burzę, która unicestwiła piętra. Patrząc na zarośnięte chwastami ruiny, które niegdyś mieściły kuchnię i spiżarnię, uświadomiłem sobie, że Czaple Siedlisko to w zasadzie nic więcej jak tylko omszała fasada.

- Można tędy wejść - ocenił Jack bez przekonania - ale tej podłodze bym raczej nie ufał. Co sądzisz, Edgar?

- Nie wiem - odparłem. Ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. Mógł to być skutek wyrzutu adrenaliny po naszym *rendez - vous* z aligatorem, ale czułem, że to jednak coś więcej. Czułem smak porażki. Zbyt wiele lat upłynęło, zbyt wiele burz tędy przeszło. A rysunki małej dziewczynki to przecież takie nietrwałe dzieła.

- Która tak naprawdę jest godzina, Wireman? - zapytałem, - Tylko bez ścierny, bardzo proszę.

Zerknął na zegarek.

- Druga trzydzieści. Decyduj, *muchacho*. Wchodzimy?

- Nie wiem - powtórzyłem.

- A ja wiem - oznajmił, - Żeby się tutaj dostać, zastrzeliłem pieprzonego aligatora, Nie odejdę, dopóki się przynajmniej nie rozejrzemy po starym domu. Podłoga w spiżarni wygląda

całkiem solidnie i jest najbliżej poziomemu gruntu. Ruszcie się, trzeba tu położyć coś, po czym będziemy mogli wejść wyżej. Tam leżą jakieś belki. Dwie wystarczą. Jack, możesz iść pierwszy, a potem pomożesz mi się tam wdrapać. Edgara wciągniemy razem.

I tak też sobie poradziliśmy. Brudni i potargani, z trudem łapiąc oddech, wgramoliliśmy Się najpierw do spizarni, a stamtąd dalej, do samego domu. Ze zdumieniem patrzyliśmy dookoła, czując się jak podróżnicy w czasie, turyści zwiedzający świat, który przestał istnieć z górą osiemdziesiąt lat wcześniej.

I

Dom tchnął odorem gnijącego drewna, starego tynku i spleśniałych tkanin. Tło dla tej mieszanki stanowiła swoista woń, którą mogę opisać jako zielonkawą. Tu i ówdzie zostało nieco mebli - zniszczonych przez czas i zapadniętych od wilgoci - ale piękna stara tapeta w salonie zwisała długimi pasami, a w zrujnowanym korytarzu od frontu, przytulone do sufitu, wisiało olbrzymie osie gniazdo, sędziwe i milczące. Pod nim, na podłodze z cyprysowych desek, piętrzył się kopczyk martwych os, wysoki na stopę. Gdzieś na piętrze - tym, co pozostało z piętra - kapąła woda, jedna samotna kropla po drugiej.

- To drewno, cyprys i sekwoja, byłoby warte majątek. Wystarczyło przyjechać tutaj i zabrać je, zanim wszystko poszło w diabły - powiedział Jack, pochylając się i chwytając sterczącą deskę podłogową. Uniosła się, zgięła niemalże w pół, jak ciągutka, a potem pękła, nie wydając przy tym trzasku, tylko apatyczne chrupnięcie. Pod spodem otworzyła się prostokątna dziura, z której wymaszerowało kilka stonóg. W powietrze wzbił się zawilgły, mroczny zapach.

- Nikt tu nie myszkował, nie ratował, czego się da, i nie urządzał wesołych balang - powiedział Wireman. - Nie widzę zużytych prezerwatyw, zapomnianych damskich fig, a na żadnej ścianie żaden wandal nie wypisał sprayem JOE KOCHA DEBBIE. Chyba nikt nie postawił tutaj nogi, odkąd John Eastlake zamknął drzwi na łańcuch i odjechał na zawsze. Wiem, że trudno w to uwierzyć...

- Nie - przerwałem mu. - Wcale nietrudno. Czaple Siedlisko na południowym krańcu wyspy od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego należało do Perse. John o tym wiedział, a pisząc testament, zadbał o to, żeby wszystko zostało po staremu. Elizabeth poszła w jego ślady. Ale to nie jest świątynia. - Zajrzałem do pomieszczenia znajdującego się obok oficjalnego salonu. W przeszłości mógł to być gabinet. Zobaczyłem tam stary sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem, stojący w kałuży śmierdzącej wody. Były też regały na książki, ale

stały puste. - To grobowiec.

- A gdzie będziemy szukać tych rysunków? - zapytał Jack.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - I w ogóle... - Kopnąłem kawał tapety leżący na progu. Chciałem, żeby poleciał gdzieś daleko, ale ponieważ był zbyt mokry i za stary na latanie, to tylko się rozpadł. - Nie sądzę, żeby w tym domu w ogóle były jeszcze jakieś rysunki. Przestałem w to wierzyć, kiedy zobaczyłem, jak tutaj jest.

Rozejrzałem się jeszcze raz dookoła, wdychając smród wilgoci.

- Możesz mieć rację - zawyrokował Wireman - ale ja ci nie ufam. Wiesz dlaczego, *muchacho*? Bo jesteś w ciężkiej żałobie. A to człowieka wyczerpuje. Słuchaj głosu doświadczenia.

Jack wszedł do niegdysiejszego gabinetu. Nawilgła podłoga mlaskała pod jego stopami. Stał przy starym sekretarzyku, unosząc głowę, kiedy kropla wody uderzyła o daszek jego czapki.

- Strop opada - zauważył. - Na górze była pewnie łazienka albo ze dwie. Ewentualnie na dachu mógł się kiedyś znajdować zbiornik na deszczówkę. Widzę urwaną rurę. Za parę lat wszystko się zawali, a ten sekretarzyk pożegna się ze światem.

- Uważaj lepiej, żebyś ty się zniecka nie pożegnał - ostrzegł go Wireman.

- Sufit to pryszcz, bardziej niepokoi mnie ta podłoga - odparł Jack. - Miętko tu jak cholera.

- To wylaż stamtąd - poradziłem.

- Chwila. Najpierw chcę coś sprawdzić.

Powysuwał wszystkie szuflady, jedną po drugiej.

- Nic - meldował po kolei. - Nic... Tu też nic... Nic... - Nagle urwał. - A tu coś jest. Liścik. Odręczny.

- Obejrzyjmy go - powiedział Wireman.

Jack przyniósł mu kartkę, idąc powoli, dużymi, ostrożnymi krokami, dopóki nie minął mokrej części podłogi. Zajrzał Wiremanowi przez ramię, żeby przeczytać list. Napisano go na gładkim białym papierze, dużymi, prostymi literami znamionującymi rękę mężczyzny.

19 sierpnia '26

Johnny - Chciałeś, więc masz. To jest końcówka wyborowego towaru. Dla Ciebie i tylko dla Ciebie, mój Drogi. „Szampon” nie jest najlepszy, jaki miałem, ale „biesz z nim tańczył”. Single malt - w porządku. Canadian Club - ujdzie w tłoku (ha ha).

5 Ken w kegu. Do tego, tak jak prosileś, stołowa x 2 („cera”).

Nie chcę się chwalić, dopisało mi szczęście, ale nie mam

naprawdę już nic więcej. Dzięki za wszystko, mój Stary.

Do zobaczenia, kiedy wrócę z morza.

DD

Wireman wskazał palcem po fragmencie *stołowa x 2*.

- Stołowa przecieka - mruknął. - Rozumiesz coś z tego listu, Edgar?

Rozumiałem, ale przez chwilę moja cholerna chora pamięć nie chciała się dzielić informacjami. Dam sobie radę, powiedziałem do siebie... i przestawiłem się na tryb myślenia pobocznego. Pierwszy obraz to była Ilse. „Mogę się przysiąc, proszę pana?”, zapytała, i to bardzo zabolalo, ale nie walczyłem z tym bólem, wiedząc, że to jest właśnie klucz do tej zagadki. Następne wspomnienie ukazało mi inną dziewczynę nad innym basenem. Patrząc na nią, widziało się tylko jej piersi i długie nogi, pięknie wyeksponowane przez czarny, zabudowany kostium kąpielowy. To była Mary Ire, taka, jaką namalował ją David Hockney - plażowa dziewczyna z Tamy, jak sama powiedziała o tym swoim młodszym wcieleniu. I wtedy sobie przypomniałem. Odetchnąłem, zauważając, że wstrzymuję oddech.

- „DD” to Dave Davis - wyjaśniłem towarzyszom. - Magnat Słonecznego Wybrzeża z lat dwudziestych zeszłego wieku.

- Skąd o tym wiesz?

- Od Mary Ire - odparłem. Gdzieś w najzimniejszym zakątku mojej duszy, dokąd prawdopodobnie nigdy już nie powróci ciepło, zrodziło się uznanie dla tej ironii losu: życie toczy się kołem i wystarczy odpowiednio długo poczekać, a zawsze powróci do punktu wyjścia. - Davis przyjaźnił się z Johnem Eastlakiem i, jak widać z tego listu, zaopatrywał go hurtowo w dobry alkohol.

- „Szampon” - zamyślił się Jack. - To chyba chodzi o szampan, co?

- Brawo, Jack - pochwalił go Wireman - ale mnie interesuje, co to jest „stołowa”. I „cera”.

- To po hiszpańsku - powiedział Jack. - Nie domyśliłeś się?

Wireman spojrzął na niego, unosząc brew.

- To słowo, o którym myślisz, brzmi *sera*. Jak w tej piosence: „*Que será, será*”.

- Doris Day, rok pięćdziesiąty szósty - zidentyfikowałem cytat. - ”Przyszłości nie zgadnie nikt z nas”.

I bardzo dobrze, dodałem w myślach.

- Jedno mogę wam powiedzieć: to była faktycznie ostatnia dostawa Davisa. - Stuknąłem palcem w datę: dziewiętnasty sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku. - W październiku popłynął do Europy i już nie wrócił. Zaginął na morzu, tak przynajmniej twierdziła Mary.

- A to słówko *cera*? - drażył Wireman.

- Daruj to sobie na razie - uciałem. - Ale z drugiej strony dziwna rzecz, że znaleźliśmy tylko tę jedną kartkę.

- Niespodziewana, ale wcale nie aż tak bardzo dziwna - sprzeciwił się. - Gdybyś był wdowcem i miał młode córki, to zabrałbyś ze sobą ostatni paragon od swojego dostawcy przemycanego alkoholu, przeprowadzając się do nowego życia?

Zastanowiłem się nad tym, dochodząc do wniosku, że jest w tym sporo racji.

- Nie, to prawda... Ale zniszczyłbym go razem z kolekcją francuskich pocztówek.

Wireman wzruszył ramionami.

- Cóż, nigdy się nie dowiemy, ile wstydliwych dokumentów zniszczył Eastlake na odchodnym. Może dużo... A może wcale. Niewykluczone, że miał względnie czyste ręce, a jego jedyną słabością było to, że lubił czasem popić z kumplami. Ale coś ci powiem, *muchacho*... - Położył mi dłoń na ramieniu. - Ten list jest prawdziwy. Naprawdę go znaleźliśmy. A jeśli jest ktoś, kto na nas poluje, to może jest też ktoś inny, kto czuwa nad nami? Chociaż odrobinę? Nie sądzisz, że to możliwe?

- W każdym razie byłoby miło w to uwierzyć. Sprawdźmy, czy nie znajdzie się coś jeszcze.

II

Z początku wydawało się, że nie znajdziemy już niczego więcej. Obeszliśmy wszystkie pomieszczenia na parterze i zamiast wielkimi odkryciami, niemalże skończyło się to katastrofą, kiedy zapadłem się jedną nogą w podłogę, jak się należało domyślać, jadalni. Na szczęście Wireman i Jack popisali się refleksem, a mnie los sprzyjał na tyle, że przebiłem podłogę chorą nogą i zdołałem utrzymać równowagę na zdrowej.

Z planów eksploracji piętér należało zrezygnować. Schody dochodziły do samego sufitu, ale oprócz kawałka podłogi i urwanego fragmentu balustrady z poręczą na górze był już tylko błękit nieba i rozkołysane, pierzaste liście jednej z wysokich palm. Z pierwszego piętra pozostały smętne resztki, z drugiego nic. Ruszyliśmy z powrotem w stronę kuchni, bo tam właśnie dostaliśmy się po naszej zaimprovizowanej drabinie; należało pogodzić się z

faktem, że ekspedycja nie przyniosła żadnych rezultatów, jeśli nie liczyć krótkiego listu, który dotyczył dostawy alkoholu z bardzo odległej przeszłości. Domyślałem się, co prawda, co może oznaczać słówko *cera*, ale dopóki nie wiedzieliśmy, gdzie jest Perse, mój pomysł był nic niewart.

A ona była tutaj.

Blisko.

Inaczej po jaką cholerę tak by się broniła przed intruzami?

Wireman, który szedł pierwszy, zatrzymał się nagle. Wpadłem na niego, bo zaskoczył mnie zupełnie, a Jack wpadł na mnie, a jako że niósł kosz, dostałem nim w tyłek.

- Musimy sprawdzić pod schodami - oznajmił Wireman tonem człowieka, który nie może uwierzyć, że mógł być aż tak głupi.

- Proszę? - zdziwiłem się.

- Musimy sprawdzić, czy pod schodami nie ma skrytki. Powinienem był od razu o tym pomyśleć. Nic, tylko mózg mi wysiada.

- Jakiej skrytki? - zapytałem.

Wireman odwrócił się do mnie.

- W *El Palacio* pod czwartym stopniem głównych schodów, licząc od dołu, znajduje się skrytka. Chodziło o to, żeby umieścić ją blisko wyjścia, na wypadek pożaru. Wymyślił to podobno ojciec panny Eastlake. Jest tam kasa pancerna, obecnie prawie pusta, tylko kilka starych pamiątek i obrazów, ale dawniej starsza pani trzymała w niej testament i najcenniejszą biżuterię. Tylko że kiedyś powiedziała o tym swojemu prawnikowi. Duży błąd. Facet uparł się, żeby przeniósł wszystko do banku w Sarasocie.

Stanęliśmy u stóp schodów, tuż obok kopczyka usypanego z ciał martwych os. Fetor zrujnowanego domu wiszący w powietrzu był aż gęsty. Wireman odwrócił się do mnie. Oczy mu błyszczały.

- Trzeba ci wiedzieć, *muchacho*, że w tej kasie trzymała też kilka bardzo cennych figurek z porcelany. - Przyjrzał się zdewastowanym schodom prowadzącym donikąd, bo tak trzeba nazwać to absurdałne pobojowisko wyższych pięter przykryte błękitnym niebem. - Nie wydaje ci się... że jeśli Perse jest, przynajmniej w pewnym sensie, tą porcelanową figurynką, którą John Eastlake wydobył z dna zatoki... to może być ukryta właśnie tutaj, pod schodami?

- Wszystko jest możliwe. Bądź ostrożny. Bardzo.

- Idę o każde pieniądze, że tutaj jest skrytka - oświadczył. - Czego nauczymy się w dzieciństwie, powtarzamy przez całe życie.

Zmiótł końcem buta kopczyk martwych os, budząc pergaminowy szelest, po czym

przyklęknął u stóp schodów. Zbadał pierwszy stopień, potem drugi i trzeci. Przy czwartym odezwał się nagle:

- Jack, daj mi latarkę.

III

Nie bardzo chciało mi się wierzyć, żeby Perse ukrywała się w skrytce pod schodami - to by było za proste - ale przypomniałem sobie porcelanowe figurki, które Elizabeth tak lubiła chować do blaszanego pudełka po ciasteczkach Sweet Owen, i serce uderzyło mi mocniej. Jack wygrzebał z kosza potwornych rozmiarów latarkę w obudowie z nierdzewnej stali. Położył ją energicznie na wyciągniętej dłoni Wiremana, gestem pielęgniarki podającej chirurgowi instrument przy stole operacyjnym.

Kiedy Wireman oświetlił stopień, wpadł mi w oko ulotny złoty odblask: maleńkie zawiasy w miejscu, gdzie zaczynał się następny.

- W porządku. - Oddał Jackowi latarkę. - Poświeć na skraj stopnia.

Jack wykonał polecenie. Wireman wyciągnął rękę, chcąc chwycić poziomą deskę, która miała być wiekiem otwierającym się na tych miniaturowych zawiasach.

- Czekał - powstrzymałem go.

Odwrócił się do mnie.

- Najpierw powąchaj - poprosiłem.

- Że jak?

- Powąchaj. Powiedz, czy czujesz wilgoć.

Wireman obwąchał stopień na zawiasach, po czym znów odwrócił się do mnie.

- Faktycznie jakby czuć wilgocia, ale tutaj przecież wszystko tak śmierdzi. Może trochę konkretniej?

- Dlaczego chcesz to wiedzieć, Edgar? - zapytał Jack.

- Bo stołowa przecieka, Elizabeth tak powiedziała. Jeśli zobaczycie jakiś ceramiczny pojemnik, butelkę, dzbanek, baryłkę - to tam będzie ona. Ten pojemnik prawie na pewno jest pęknięty, może nawet na dwie części.

Wireman odetchnął głęboko.

- Dobra. Ale i tak nic z tego nie będzie, jak powiedział matematyk, dzieląc przez zero.

Spróbował unieść powierzchnię stopnia, bez widocznego efektu.

- Zamknięte. Widzę niedużą szczelinę... Klucz do tego musiał być mikroskopijny...

- Mam szwajcarski scyzoryk - zgłosił się Jack.

- Chwileczkę - powstrzymał go Wireman, zahaczając o stopień od dołu końcami palców. Zacisnął wargi. Gruba żyła wystąpiła mu na skroni.

- Wireman - zacząłem - uważaj...

Zanim zdążyłem dokończyć, zamek - mały, stary i z całą pewnością przeżarty przez rdzę - pękł z trzaskiem. Stopień śmignął w górę, zrywając się z zawiasów, a Wireman poleciał do tyłu. Jack złapał go, a ja z kolei złapałem Jacka, niezdarnym jednoręcznym chwytem. Ogromna latarka upadła na podłogę, ale się nie stłukła; jasny promień potoczył się wokoło i zatrzymał w końcu jak punktowiec na tamtej makabrycznej stercie osich zewłoków.

- Żeż jasna cholera - charknął Wireman, stając na proste nogi. - Niech mnie pies kopnie.

Jack podniósł latarkę, oświetlając dziurę w schodach.

- No i co? - spytałem niecierpliwie. - Jest tam coś? Nie? Gadaj!

- Coś widzę, ale to nie jest żaden ceramiczny pojemnik - odpowiedział. - To metalowe pudełko. Takie jak na słodycze, tylko większe. - Pochylił się.

- Może lepiej tego nie rób - ostrzegł go Wireman.

Ale było już za późno na ostrzeżenia. Jack włożył rękę do otworu aż po sam łokieć, a ja przez chwilę już widziałem, jak jego twarz ściąga się z bólu; byłem pewien, że coś chapnie go za rękę i wciągnie dalej, aż biedny chłopak upadnie na schody. Ale on wyprostował się, trzymając w dłoni blaszane pudełko w kształcie serca. Podsunął je nam pod oczy. Na wieczku, ledwie widoczny pod chmurą plamek rdzy, widniał aniołek z różowymi policzkami. Pod nim biegł malowany napis, wykaligrafowany staroświeckim charakterem pisma:

*ELIZABETH
JEJ RZECZY*

Jack spojrzał na nas pytającym wzrokiem.

- Otwieraj - powiedziałem, całkowicie już pewien, że Perse nie ma w środku. Czuję jednocześnie rozczarowanie i ulgę. - Ty to znalazłeś. Otwieraj.

- To te rysunki - szepnął Wireman. - Muszą tutaj być.

Ja też tak myślałem. Ale to nie były rysunki. Ze starego, zardzewiałego pudełka w kształcie serca Jack wyjął zupełnie coś innego. Laleczkę małej Libbit. Noveen. Spotkanie z nią było jak powrót do domu.

Onuu, zdawały się mówić jej czarne oczy i szkarłatne, uśmiechnięte usta. Ouuu, ile mam tutaj siedzieć, ty niedobry?

IV

Kiedy ją zobaczyłem, wynurzającą się z tamtego pudełka niczym ekshumowane zwłoki ze starej krypty, ogarnęło mnie opętańcze, obezwładniające przerażenie. Czułem, jak rodzi się w moim sercu i rozlewa po całym ciele, grożąc wszystkim mięśniom bezwładem, a potem całkowitym paraliżem.

- Edgar? - Wireman szybko zauważył, że coś się ze mną dzieje. - W porządku?

Robiłem, co mogłem, żeby się opanować. Najgorszy był ten bezzębny uśmiech sędziwej zabawki, czerwony, tak samo jak czapka ogrodowego dżokeja. Podobnie zresztą zareagowałem na jego widok: przyszło mi do głowy, że nie mogę zbyt długo na niego patrzeć, bo zwariuję. Ten uśmiech próbował mi wmówić, że to wszystko, co się wydarzyło w moim nowym życiu, było tylko snem ciężko pokiereszowanego człowieka, sztucznie podtrzymywanego przy życiu przez aparaturę medyczną na OIOM - ie w jakimś szpitalu... I to wcale nie byłoby najgorzej, przeciwnie - wspaniale, bo to by znaczyło, że Ilse żyje, jest cała i zdrowa.

- Edgar? - Jack podszedł do mnie, a lalka w jego dłoni pochyliła głowę w groteskowym geście zatroskania. - Chyba nam tutaj nie zemdlejesz, co?

- Nie - uspokoilem go. - Pokaż mi to.

Chciał podać mi lalkę, ale sprzeciwiłem się:

- Nie chcę jej brać do ręki. Podnieś ją tylko.

Posłuchał, a ja od pierwszego rzutu okiem zrozumiałem, dlaczego tak szybko rozpoznałem tę lalkę, skąd się wzięło to swojskie uczucie powrotu do domu. Nie chodziło o Rebę ani o jej koleżankę, którą dostałem w drugiej kolejności, chociaż jako szmaciane laleczki wszystkie trzy były do siebie w pewien sposób podobne. Nie; ja widziałem ją już przedtem, na kilku rysunkach Elizabeth. Uznałem wtedy, że to musi być niania Meldy. Myliłem się, ale...

- Dostała tę lalkę od niani Meldy - powiedziałem.

- Jasne - zgodził się Wireman. - I pewnie to była jej ulubiona, bo nigdy nie rysowała żadnej innej. Pytanie, dlaczego nie zabrała jej ze sobą, kiedy rodzina wyprowadziła się z Czaplego Siedliska? Po co zamknęła ją w skrytce?

- Czasami lalki popadają w niełaskę - wyjaśniłem, patrząc na te czerwone, uśmiechnięte usta. Wciąż czerwone, po tylu latach. Czerwone, tak jak czerwone jest miejsce, gdzie kryją się wspomnienia, kiedy człowiek jest poraniony i nie może normalnie myśleć. - A czasami dzieci zaczynają bać się swoich lalek.

- Jej rysunki mówiły do ciebie, Edgar - przypomniał mi Wireman, potrząsając lalką i oddając ją Jackowi. - A ona? Nie może zdradzić ci tego, co chcemy wiedzieć?

- Noveen - powiedziałem. - Ma na imię Noveen. I chciałbym, żeby tak było, ale prawda jest taka, że tylko rysunki i kredki Elizabeth mówią do mnie.

- A skąd wiesz?

Dobre pytanie. Właściwie skąd miałem aż taką pewność?

- Po prostu wiem - uciałem. - Za to ty w swoim czasie mógłbyś z nią pogadać, Wireman. Zanim cię wyleczyłem, gdy miałeś jeszcze tę swoją iskierkę.

- Było, minęło - powiedział, grzebiąc w torbie z jedzeniem. Znalazł krojone ogórki, schrupał kilka kawałków. - No dobra, to co teraz? Wracamy? Możemy, ale coś mi mówi, że jeśli tak zrobimy, *'chacho*, to już nigdy nie starczy nam hartu ducha i jąder, żeby przyjechać tutaj jeszcze raz.

Ma rację, pomyślałem. A tymczasem popołudnie upływało z każdą chwilą.

Jack usiadł na schodach, stopień albo dwa ponad skrytką, trzymając lalkę na kolanie. Słońce, zaglądając przez zdewastowane piętra domu, prószło swoim światłem na tę osobliwą parę. Wyglądali razem szalenie sugestywnie, byłby z tego niesamowity obraz: „Młody człowiek i lalka”. Kiedy patrzyłem, w jaki sposób Jack trzyma Noveen, coś chodziło mi po głowie, ale nie bardzo mogłem określić, co to takiego. Czarne, guzikowe oczy Noveen lśniły niemalże jakimś złośliwym zadowoleniem. *Ja dużo widziałam, ty niedobry. Wszystko widziałam. I wiem wszystko. Szkoda, że nie jestem obrazkiem i nie możesz mnie dotknąć tą swoją fantomową ręką, co?*

Tak. Było mi szkoda.

- Kiedyś ja mógłbym sprawić, żeby coś powiedziała - odezwał się nagle Jack.

Wireman spojrzał na niego ze zdumieniem, ale ja poczułem, że nareszcie coś zaskoczyło mi w głowie. Wiedziałem już, dlaczego widok Jacka trzymającego Noveen na kolanie wydawał mi się taki znajomy.

- Bawiłeś się kiedyś w bruchomówstwo, co? - Miałem nadzieję, że zabrzmi to swobodnie, ale serce znów zaczęło mi walić w piersi. Tutaj, na południowym krańcu wyspy Duma Key, najwidoczniej różne rzeczy były możliwe. Nawet za dnia, w pełnym słońcu.

- Aha - przyznał Jack, uśmiechając się na poły z zakłopotaniem, na poły z rozrzewnieniem. - Kupiłem sobie samouczek, kiedy miałem dopiero osiem lat. Ćwiczyłem uparcie, głównie na przekór tacie, bo mówił, że to jest wyrzucanie pieniędzy w błoto. Po całych dniach nie robiłem nic innego. - Wzruszył ramionami, a Noveen na jego kolanie podskoczyła, jakby próbowała zrobić to samo. - Nie doszedłem do jakiejś kosmicznej

wprawy, ale wystarczyło, żeby wygrać turniej talentów w szóstej klasie. Tata powiesił sobie mój medal w gabinecie. Sprawiał mi tym wielką radość.

- Pewnie. - Wireman skinął głową. - Nie ma to jak uznanie ojca, który z początku nie chciał w ciebie wierzyć.

Jack uśmiechnął się, a uśmiech jak zawsze rozjaśnił mu całą twarz. Zmienił pozycję, a razem z nim Noveen.

- Ale wiecie, co było w tym najlepsze? Byłem nieśmiałym dzieciakiem, a dzięki eksperymentom z brzuchomówstwem otworzyłem się trochę. Łatwiej mi było rozmawiać z ludźmi, po prostu próbowałem być Mortonem. Tak się nazywała moja lalka, rozumiecie. Morton to był cwaniak, który nie przejmował się, co mówi i do kogo.

- One wszystkie takie są - wtrąciłem. - Tak chyba już mają.

- Potem poszedłem do szkoły średniej i okazało się, że brzuchomówstwo jest dla frajerów i w ogóle wysiada w porównaniu na przykład z deskorolką, więc przestałem ćwiczyć. Nie wiem nawet, co się stało z tym moim samouczkiem. Nosił tytuł „Przenoś swój głos”.

Milczeliśmy. Dookoła snuł się wilgotny oddech starego domu. Zupełnie niedawno Wireman zabił szarżującego na nas aligatora - ale w tej chwili trudno mi było w to uwierzyć, choć wciąż dzwoniło mi w uszach od huku wystrzałów.

Wreszcie to właśnie Wireman przerwał milczenie.

- Chcę usłyszeć, jak to robisz. Niech ona powie: „*Buenos dias, amigos, mi nombre es Noveen, a la mesa przecieka*”.

Jack zaśmiał się głośno.

- Jasne.

- Nie żartuję.

- Nie dam rady. Jak się przestaje ćwiczyć, to człowiek szybko zapomina.

Z własnych doświadczeń wiedziałem, że chłopak może mieć rację. Jeśli chodzi o wyuczone umiejętności, pamięć ludzka przypomina rozstajne drogi. Jedna z odnóg prowadzi do jazdy na rowerze i wszystkich temu podobnych sprawności, których praktycznie nie sposób zapomnieć, kiedy już raz się je opanowało. Inaczej jest z tym, co twórcze, co nieustannie się zmienia, z umiejętnościami, których ośrodkiem jest przodomozgowie; trzeba je ćwiczyć niemalże codziennie, aby nie wyjść z wprawy - częściowo lub nawet całkiem. Jack twierdził, że tak właśnie rzeczy się mają z brzuchomówstwem. Nie było powodu, żeby mu nie wierzyć - w końcu wymagało to stworzenia nowej osobowości, a nie tylko wyuczenia się, jak przenosić swój głos - ale mimo to poprosiłem:

- Spróbuj.
- Co? - Spojrzał na mnie. Uśmiechnął się. Zdziwiony.
- No już, spróbuj.
- Mówiłem wam, że nie dam.
- Wszystko jedno, spróbuj.
- Edgar, nawet gdybym jeszcze coś umiał, to nie mam pojęcia, jak brzmiałby jej głos.
- Wiem, ale trzymasz ją już na kolanie, jesteśmy tutaj sami swoi, dawaj.
- No dobra, cholera, niech będzie. - Zdmuchnął sobie włosy opadające na czoło. - Co chcecie od niej usłyszeć?

Odpowiedział mu Wireman, bardzo, bardzo cicho:

- Przekonajmy się, co sama nam powie.

V

Przez chwilę Jack siedział bez ruchu, trzymając Noveen na kolanie. Słońce obsypywało promieniami ich głowy; jasne promienie rozpraszały się w drobinkach kurzu, który wzbił się, poruszony, z wiekowego dywanu, ciągnącego się przez całą długość korytarza. Wreszcie Jack poruszył dłonią, tak że palce zacisnęły się na krótkiej szyi i szmacianych ramionach lalki. Noveen uniosła głowę.

- Cześć, chłopaki - powiedział nasz brzuchomówca, ale ponieważ starał się nie poruszać ustami, wyszło mu *Heh, hmohahm*.

Potrząsnął głową; zawirowały drobinki kurzu.

- Poczekajcie chwilę - poprosił. - To było do dupy.

- Nie spiesz się, masz czasu, ile chcesz - zapewniłem go. Mój głos chyba zabrzmiał spokojnie, ale serce jeszcze nigdy nie waliło mi tak mocno. Również dlatego, że bałem się o Jacka. Gdyby mu się udało, mogło go spotkać coś złego.

Wygiął szyję, a wolną dłonią pomasaował gardło na wysokości jabłka Adama. Wyglądał jak tenor szykujący się do śpiewu. Albo jak ptak, pomyślałem. Może Skowronek Dobrej Nowiny. Wreszcie dobył głosu i powiedział:

- Cześć, chłopaki.

Tym razem wyszło mu już lepiej, ale...

- Nie - potrząsnął głową. - Dno i pół metra mułu. To brzmiało jak ta blondyna ze starych filmów. Mae West. Czekaście.

Znów pomasaował sobie gardło. Patrzył przy tym w górę, na jasność lejącą się

kaskadami z nieba i chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że porusza też drugą dłoń, tą, w której trzymał lalkę. Noveen najpierw obrzuciła wzrokiem mnie, potem przyjrzała się Wiremanowi, w końcu z powrotem odwróciła spojrzenie w moim kierunku. Czarne guzikowe oczy. Czarne włosy związane wstążkami, okalające twarzyczkę okrągłą i ciemną jak czekoladowe ciasteczko. Usta okrągłe, jak duże czerwone O, wydawały się stworzone, żeby mówić „Ouuu, ty niedobry”.

Wireman chwycił mnie za rękę. Dłoń miał lodowatą.

- Cześć, chłopaki - powiedziała Noveen i chociaż Jack poruszył gardłem, aż podskoczyła mu grdyka, jego wargi prawie nie drgnęły na twardym, zwartym „p”.

- Hej! No i jak? - zapytał.

- Dobrze - odpowiedział Wireman, głosem tak spokojnym, jak głęboki był mój niepokój. - Niech powie coś jeszcze.

- Będzie za to jakaś premia, co, szefie?

- Jasne - obiecałem mu. - Płacę półtorej stawki za godzi...

- A rysować nie będziesz, e? - przerwała mi Noveen, przyglądając mi się swoimi okrągłymi oczami. Tak naprawdę to były guziki, byłem tego prawie całkiem pewien.

- Nie wiem, co mam narysować - odparłem. - Noveen.

- Opowiem ci, to będziesz wiedział. A blok masz gdzie? - Jack siedział z odwróconą głową, jakby czymś speszony, spoglądał pomiędzy cienie wiodące do zrujnowanego salonu. Wzrok miał zagubiony w oddali. Trudno było powiedzieć, czy jest przytomny czy nie; wyglądał tak, jakby zawisł gdzieś pomiędzy jednym stanem a drugim.

Wireman puścił moją rękę i sięgnął po torbę z jedzeniem, do której włożyłem też oba swoje bloki. Podał mi jeden. Jack zacisnął lekko palce na szyi lalki, a Noveen jakby pochyliła nieco głowę, przyglądając się, jak odwracam okładkę i otwieram saszetkę, w której miałem kredki. Wyjąłem jedną.

- E, te to nie. Weź jakąś jej kredkę.

Pogrzebałem trochę w saszetce i znalazłem bladozieloną kredkę należącą do Libbit, jedyną z całego zestawu, która była jeszcze na tyle długa, że dawała się porządnie chwycić w palce. To chyba nie był jej ulubiony kolor. A może po prostu chodziło o to, że zieleń na Dumie była ciemniejsza.

- W porządku, co teraz? - zapytałem.

- Narysuj mnie w kuchni. Jak się opieram o pojemnik na chleb, mnie narysuj. Tak będzie dobrze.

- To znaczy, mam cię narysować na stole w kuchni?

- A gdzie żeś myślał, na podłodze?

- Chryste - wymamrotał Wireman. Głos zmieniał się z każdym zdaniem i teraz nie przypominał już ani trochę głosu Jacka. Do kogo więc należał, biorąc pod uwagę, że za jego najlepszych dni zamiast bruchomówcy budziła go do życia wyobraźnia małej dziewczynki? Uznałem, że w tamtych czasach był to głos niani Meldy i że właśnie wersji tego głosu słuchamy.

Kiedy tylko zabrałem się do pracy, po mojej amputowanej ręce spłynęło falą swędzenie, urzeczywistniając nieobecną kończynę. Naszkicowałem lalkę opartą o staroświecki pojemnik na chleb, docierając na koniec do jej nóg, dyndających poza krawędzią kuchennego stołu. Bez chwili przerwy i bez cienia wahania - coś, co kryło się w głębi mojego jestestwa, źródło moich obrazów, mówiło mi, że jeśli zawaham się teraz, pryśnie czar, który dopiero zaczyna działać i jest jeszcze niezwykle wątły - dorysowałem obok stołu dziewczynkę. Stała z zadartą głową. Miała na sobie fartuszek. Nigdy nie wiedziałem, jak wygląda dziewczęcy fartuszek, dopóki nie narysowałem Libbit w sukience i fartuszkach, stojącej w kuchni obok swojej lalki, z zadartą głową i z...

Ciiicho...

...z palcem przyłożonym do ust.

Kredka przyspieszyła, w okamgnieniu dodając do szkicu nianię Meldę. Tak właśnie zobaczyłem ją po raz pierwszy, nie licząc tamtej fotografii, na której trzymała w naprężonych z wysiłku rękach czerwony kosz piknikowy. Na moim rysunku niania Meldy stała pochylona nad dziewczynką, a na jej stężałej twarzy malowała się złość.

Nie, nie złość...

VI

Strach.

To właśnie czuje w tej chwili niania Meldy: śmiertelny strach. Wie, że dzieje się coś złego. Libbit też o tym wie i bliźniaczki wiedzą - Tessie i Lo - Lo są przerażone tak samo jak niania. Nawet ten głupi Shannington czuje, że coś jest nie tak. Przecież właśnie dlatego zaczął unikać wyspy; woli pracować na farmie, na stałym lądzie.

A pan Eastlake? Pan, kiedy już tutaj przyjedzie, myśli tylko o Adie, wciąż gniewa się na nią za to, że uciekła do Atlanty. I nie widzi tego, co ma na wyciągnięcie ręki.

Z początku niania Meldy myślała, że to, co dzieje się na jej oczach, tuż na wyciągnięcie ręki, podsuwa jej własna wyobraźnia, podchwytująca zabawy najmłodszych

dziewczynek. Nie chciała wierzyć, że naprawdę widzi pelikany i czaple fruujące do góry nogami albo dwa uśmiechnięte konie w zaprzęgu, który Shannington przyprowadził z Nokomis, żeby zabrać dzieci na przejażdżkę. Domyśliła się też, dlaczego dziewczynki boją się Charleya; być może Duma faktycznie skrywa teraz jakieś tajemnice, ale Charley na pewno do nich nie należy. Tutaj całą winę ponosi ona, niania, choć przecież chciała dobrze...

VII

- Charley! - powiedziałem. - On się nazywa Charley!

Noveen przytaknęła kraczącym śmiechem.

Wyjąłem z torby na jedzenie drugi blok - niemalże go stamtąd wyrwałem - odrzucając okładkę tak energicznie, że przedarłem ją na pół. Grzebiąc po omacku w kredkach, znalazłem ogryzek czarnej, należącej kiedyś do Libbit. Do tego pomocniczego szkicu potrzebny mi był czarny kolor, a ta resztkę dawała się jeszcze chwycić w palce.

- Edgar - szepnął Wireman - przez chwilę wydawało mi się, że widzę... Jakbyś miał...

- Cicho bądź! - krzyknęła Noveen. - Gwizdać na tą jego zaklętą rękę! To jest ważniejsze, chyba wiem, co mówię!

Rysowałem szybko. Dżokej pojawił się na białej kartce, jakby wychynął z gęstej mgły. Szkic był wykonany naprędce, niestaranne kreski zdradzały mój pośpiech, ale to, co najistotniejsze, widać było dobrze: wiedzące oczy i szerokie usta, rozciągnięte w uśmiechu, nie wiadomo - wesołym czy wrogim. Brakowało czasu, żeby pokolorować koszulę i bryczesy, ale wyrzebałem z saszetki kredkę z wybitym napisem „czerwień” (to była jedna z moich), żeby dorysować, dobazgrać mu tę wstrętą czapkę. A kiedy już znalazła się na miejscu, od razu było wiadomo, że jego uśmiech to uśmiech upióra.

- Pokaż! - krzyknęła Noveen. - Chcę zobaczyć, czy dobrze ci wyszło!

Podsunałem rysunek pod oczy lalki siedzącej na kolanie Jacka, który osunął się na ścianę i siedział bez ruchu, nie odwracając głowy, z wzrokiem utkwionym w kącie salonu.

- Aha - przytaknęła Noveen. - To ten gałgan, co straszył Meldzie dzieciaki. On, nie ma co.

- Jak to...? - zaczął Wireman, ale urwał, potrząsając głową. - Zgubiłem się.

- Melda widziała też żabę - ciągnęła dalej lalka. - Tą, co malutkie nazywały „duży chłopak”. Co miała „zemby”. Jak ją zobaczyła, to zebrała się w końcu, żeby pogadać z Libbit. Złapała ją w kuchni. Chciała, żeby wszystko jej wyjaśnić.

- Najpierw Melda sądziła, że Charley to tylko wymysł dziewczynek, że próbują się

nawzajem straszyć, tak?

Noveen znów zaśmiała się, tak samo kracząco jak poprzednio, ale w jej guzikowych oczach błysnęło jakby przerażenie. Rzecz jasna, w takich oczach można dostrzec, co się komu żywnie podoba, prawda?

- Tak to było, kochanieńki. Ale kiedy zobaczyła tego Dużego Chłopaka, tuż przed domem, na skraju trawnika, jak przeszedł sobie spokojnie po podjeździe i zniknął między drzewami...

Jack zacisnął palce. Noveen pochyliła powoli głowę, co miało oznaczać, że w tym momencie niania Melda ostatecznie uległa.

Przełożyłem blok z portretem Charleya - dżokeja na spód, powracając do scenki w kuchni: niania Melda spogląda w dół, dziewczynka zadziera główkę, przykładając palec do ust („Ciiicho...!”), a lalka, niemy świadek, siedzi oparta o pojemnik na chleb.

- Widzisz to? - zapytałem Wiremana. - Rozumiesz? - Tak jakby...

- Kiedy tamta odzyskała wolność, żarty się skończyły - powiedziała Noveen. - Tak to właśnie wyglądało.

- Może z początku Melda myślała, że to Shannington dla żartu przenosi Charleya z miejsca na miejsce, bo wie, że trzy najmłodsze dziewczynki się go boją.

- Dlaczego miałyby zrobić coś takiego, na miłość boską? - zdziwił się Wireman.

Noveen milczała, więc przesunąłem dłonią, której nie było, nad lalką na moim rysunku - tą Noveen opartą o pojemnik na chleb - a wtedy Noveen siedząca na kolanie u Jacka przemówiła natychmiast. Tak jak się tego spodziewałem.

- Niania chciała dobrze. Wiedziała, że się boją Charleya, bo bały się go, jeszcze zanim zaczęły się dziać złe rzeczy. Opowiedziała im więc któregoś wieczoru bajkę na dobranoc, żeby przestały się bać. Ale one bały się jeszcze bardziej, bo maluchy czasem tak mają. A potem przyszła tamta zła - zła biała kobieta z morza - i przez nią wszystko było jeszcze gorzej. Kazała Libbit narysować żywego Charleya. Dla zabawy. Wymyślała sobie różne zabawy.

Odwrociłem kartkę z rysunkiem, na którym Libbit mówi „Ciiicho...”, i wyjąłem z saszetki kolejną z moich kredek - teraz to już najwyraźniej było nieważne, czyimi kredkami rysuję. Miała kolor umbry palonej. Narysowałem jeszcze raz tę samą kuchnię. Noveen leżała na stole, przewrócona na bok, z jedną rączką wyciągniętą nad głowę, jakby w błagalnym geście. Była tam też Libbit, tym razem w letniej sukience, z wystraszoną miną, którą odtworzyłem dosłownie kilkoma błyskawicznymi kreskami. I była też niania Melda, wpatrzona w otwarty pojemnik na chleb. Cofała się, krzycząc na całe gardło, bo w środku...

- To jest szczur? - zapytał Wireman.

- Wielki, stary, ślepy świstak - wyjaśniła Noveen. - W sumie z nim było tak samo jak z Charleyem. Tamta zmusiła Libbit, żeby narysowała świstaka w chlebowniku, i wtedy on już tam był. Taka zabawa. Libbit żałowała, ale tamta zła wodnica? O nie. Jej nigdy nie było niczego żal.

- A Elizabeth... Libbit... musiała rysować - powiedziałem. - Prawda?

- Chyba sam wiesz - ofuknęła mnie Noveen. - Prawda?

Wiedziałem. Bo dar jest nienasycony.

VIII

Dawno, dawno temu mała dziewczynka uderzyła się w głowę i zrobiła sobie krzywdę. Dokładnie tego było trzeba. Ten uraz umożliwił pewnej istocie - istocie żeńskiego rodzaju - nawiązanie kontaktu z dziewczynką. Cudowne rysunki, które zaczęły powstawać wkrótce po tym, były przynętą, marchewką na końcu kija. Po białych kartkach maszerowały uśmiechnięte konie i stada żab we wszystkich kolorach tęczy. Ale kiedy Perse odzyskała wolność, wtedy - jak to powiedziała Noveen? - żarty się skończyły. Talent Libbit Eastlake obrócił się przeciwko niej, jak nóż w dłoni. Z tym że to już nie była tak naprawdę jej własna dłoń. Ojciec dziewczynki o niczym nie wiedział. Adie uciekła z domu. Maria i Hannah wyjechały do szkoły. Bliźniaczki nigdy by tego nie zrozumiały. Ale niania Melda zaczęła coś podejrzewać, a wtedy...

Wróciłem na poprzednią stronę, przyglądając się dziewczynce trzymającej palec na ustach.

Ona słucha, więc cicho. Usłyszysz, jak będziecie gadać, więc cicho. Mogą się wydarzyć złe rzeczy, ale i tak jeszcze wcale nie najgorsze. W zatoce czają się straszne stwory, czekają na was, chcą utopić i porwać na statek, gdzie trzeba żyć bez życia. A co będzie, jak spróbuję komuś o tym powiedzieć? Wtedy na nas wszystkich spadnie nieszczęście, na wszystkich naraz.

Stojący obok mnie Wireman milczał jak głaz, wodził tylko oczami: czasem patrzył na Noveen, a czasem na bladą rękę, która pojawiała się i znikwała, rozmigotana, po prawej stronie mojego tułowia.

- Ale Elizabeth miała jakieś bezpieczne miejsce, prawda? - zapytałem. - Kryjówkę, w której mogła mówić o wszystkim. Gdzie to było?

- Przecież wiesz - odparła Noveen.

- Nie, nie wiem...

- A właśnie, że wiesz. Na pewno wiesz. Tylko trochę zapomniałeś. Narysuj, to zobaczysz.

Miała rację. Rysunkami stworzyłem się na nowo po wypadku. Pod tym względem Libbit

(gdzie nasza siostra)

była dla mnie jak rodzina. Obojgu nam rysunki ożywiły pamięć i przywróciły wspomnienia.

Przygotowałem czystą kartkę.

- Muszę rysować jej kredkami? - spytałem lalki.

- Teraz już nie. Rysuj, czym ci się podoba.

Więc wygrzebałem z saszetki własną kredkę w kolorze indygo i zabrałem się do pracy. Z marszu, bez zastanowienia, narysowałem basen w rezydencji Eastlake'ów - to było jak wyłączenie świadomości i posłużenie się pamięcią motoryczną do wystukania numeru telefonu. Basen na moim rysunku wyglądał tak jak za czasów swojej świetności - lśniący, nowy i napełniony po brzegi czystą wodą. Tam, w tym basenie, z jakiegoś powodu Perse nie miała kontroli nad tym, co się dzieje, i nie słyszała tego, co się mówi.

Narysowałem nianię Meldę, stojącą w wodzie po kolana, i Libbit, zanurzoną po pas, trzymającą pod pachą Noveen. Fartuszek rozlewał się dookoła niej na wodzie. Spod mojej kredki wyłaniał się obraz, a z obrazu płynęły słowa.

„Gdzie twoja nowa lalka? Ta z porcelany?”

„W moim specjalnym pudełku na skarby. W pudełku - serduszku”.

A więc naprawdę tam była, pomyślałem, przynajmniej przez jakiś czas.

„A jak ona się nazywa?”

„Perse”.

„Percy to imię dla chłopaka”.

„Nic na to nie poradzę. Nazywa się Perse”.

„W porządku. I mówisz, że tutaj nas nie słyszy.

„Chyba nie...”.

„To dobrze. Mówisz, że potrafisz sprawić różne rzeczy. Ale posłuchaj mnie, dziecko...”.

IX

- Boże - szepnąłem. - Elizabeth sama na to nie wpadła. To w ogóle nie był jej pomysł.

Mogliśmy się tego domyślić.

Uniosłem wzrok znad rysunku, na którym niania Melda i Libbit stały w basenie. Jakby z wielkiej oddali nagle dotarła do mnie świadomość, że jestem bardzo głodny.

- O czym ty mówisz, Edgar? - zapytał Wireman.

- To niania Melda wymyśliła, jak pozbyć się Perse. - Spojrzałem na Noveen, wciąż siedzącą na kolanie u Jacka. - Mam rację, prawda?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, przesunąłem prawą dłoń nad postaciami na moim rysunku. Przez chwilę widziałem ją dokładnie, długie paznokcie i całą resztę.

- Niania nie wiedziała, co robi - odezwała się mgnienie oka później lalka. - A Libbit ufała swojej niani.

- Oczywiście - skinął głową Wireman. - Była dla małej prawie jak matka.

Wyobrażałem sobie do tej pory, że rysowanie i wycieranie rysunku odbyło się w pokoju Elizabeth, ale teraz wiedziałem już więcej. To się odbyło nad basenem, a może nawet w wodzie. Bo tam, z jakiegoś powodu, było bezpiecznie. Tak przynajmniej sądziła mała Libbit.

- To nie przegoniło Perse - powiedziała Noveen - ale na pewno wyczuła, suka, co się święci. Musiało ją boleć. - Głos był już zmęczony, chrapliwy, a spojrzawszy na Jacka, zauważyłem, że grdyka znów mu podskakuje. - Mam nadzieję, że ją bolalo!

- Tak - mruknąłem. - Raczej tak. Czyli... Co było dalej? - Ale nie musiałem pytać. Wiedziałem. Bez szczegółów, ale wiedziałem. To było logiczne. Smutne, ale niepodważalnie logiczne. Odpowiedziałem więc sam. - Perse zemściła się na bliźniaczkach. A Elizabeth i niania Melda o tym wiedziały. Miały świadomość tego, co zrobiły. Niania zdawała sobie sprawę, do czego sama doprowadziła.

- Racja - potwierdziła Noveen. Jej głos wciąż brzmiał kobieco, ale z każdą chwilą upodabniał się do głosu Jacka. Urok, obojętnie na czym polegał, zaczynał już słabnąć. - Trzymała się jakoś, dopóki pan nie znalazł śladów dziewczynek na Cienistej Plaży. A ślady prowadziły do wody. Tego nie mogła już znieść. Myślała, że to przez nią umarły jej malutkie.

- Widziała statek? - zapytałem.

- Tej samej nocy. Kiedy zobaczy się go w nocy, to nie można nie uwierzyć.

Przypomniałem sobie swoją serię „Dziewczynka i statek”. Tak, to była prawda.

- Ale nawet jeszcze zanim pan zatelefonował przez centralę do szeryfa, żeby mu powiedzieć, że jego bliźniaczki zaginęły i chyba się utopiły, Perse odezwała się do Libbit. Opowiedziała jej, jak to wszystko było. A Libbit powtórzyła niani.

Lalka przygarbiła się, zwracając okrągłą, ciasteczkową twarzyczkę w stronę

blaszanego pudełka w kształcie serca, trumny, z której ją ekshumowaliśmy.

- Co jej powtórzyła, Noveen? - zapytał Wireman. - Nie rozumiem.

Noveen milczała. Jack wydawał się już bardzo znużony, choć przecież nawet się nie poruszył.

Odpowiedziałem, wyręczając Noveen:

- Perse powiedziała do Libbit tak: „Nie próbujcie się mnie pozbyć. Jeszcze jedno takie zagranie, a bliźniaczki to będzie dopiero początek. Jeszcze raz zrobisz mi coś takiego, to zabiorę całą twoją rodzinę, jedno po drugim, a ciebie zostawię na sam koniec”. Dobrze mówię?

Jack naprężył palce. Noveen powoli skinęła szmacianą główką.

Wireman oblizwał wargi.

- A tak konkretnie - zagadnął - to czyj duch siedzi w tej lalce?

- Tutaj nie ma żadnych duchów - zwróciłem mu uwagę.

Jack jęknął.

- Nie bardzo rozumiem, co on tutaj wyprawiał, *amigo* - rzekł Wireman - ale w każdym razie już kończy.

- Tylko że my jeszcze nie skończyliśmy. - Sięgnąłem po lalkę, tę samą lalkę, która chodziła wszędzie razem z małą artystką. A kiedy wyciągnąłem rękę, Noveen przemówiła do mnie po raz ostatni, głosem, który należał na poły do niej, a na poły do Jacka, tak jakby oboje jednocześnie chcieli coś powiedzieć.

- Ej - ej, nie tą ręką! Tą ręką musisz rysować.

Tak więc wyciągnąłem po nią rękę, którą podniosłem z jezdni zdychającego psa Moniki Goldstein - przed sześcioma miesiącami, w innym życiu i w innym wszechświecie. Tą ręką chwyciłem lalkę, zdejmując ją Jackowi z kolana.

- Edgar? - Chłopak nagle usiadł prosto. - Edgar, co jest, cholera, ty masz...

...z powrotem drugą rękę. Chyba tak właśnie powiedział, ale nie jestem pewien; nie dosłyszałem ostatnich słów. Stałem zapatrzony w smoliste oczy i czarną paszczę obwiedzioną czerwienią. Noveen. Tyle lat czekała za dwoma zasłonami ciemności - w blaszanym pudełku zamkniętym w skrytce pod schodami - aby wyjawić swoje sekrety, a jej szminka przez tak długi czas nie straciła świeżego koloru.

Gotowy?, zabrzmiał jej szept w mojej głowie, ale ten głos nie należał ani do Noveen, ani do niani Meldy (tego byłem pewien), ani nawet do Elizabeth; to był w stu procentach głos Reby. *Jesteś gotowy, żeby zacząć rysować, ty niedobry? Gotowy, żeby zobaczyć, co było dalej? Gotowy, żeby zobaczyć wszystko do końca?*

Nie byłem gotowy... ale musiałem być.

Dla Ilse.

- Pokaż mi swoje obrazy - odszepnąłem i połknęły mnie czerwone usta.

JAK POWSTAJE OBRAZ (X)

Bądź gotowy, żeby zobaczyć wszystko do końca. Jeśli chcesz tworzyć - niech ci Bóg dopomaga, jeśli chcesz i jeśli możesz - nie waz się zatrzymywać, zanim dotrzesz do sedna sprawy, bo to nikczemność. Zstępuj do głębi i bierz swoje znaleźne. Zrób to za wszelką cenę, nawet za cenę wielkiego cierpienia.

Możesz narysować dwie dziewczynki - bliźniaczki - ale to potrafi pierwszy lepszy. Nie zatrzymuj się w tym miejscu tylko dlatego, że cała reszta to jedna wielka makabra. Nie zapomnij dodać, że obie stoją po uda w wodzie, która powinna sięgać im dobrze powyżej głów. Ten, kto je tak widział - Emery Paulson, na ten przykład - mógłby to zauważyć, gdyby tylko się przyjrzał, ale przecież tak często ludzie nie widzą właśnie tego, co mają na wyciągnięcie ręki.

Dopóki, oczywiście, nie jest już za późno.

Emery przyszedł na plażę, żeby zapalić sobie cygaro. Mógł to zrobić na ganku z tyłu domu albo na werandzie, ale jakiś nieodparty przymus pchnął go na poźłobioną koleinami drogę, którą Adie nazywa Bulwarem Pijaczyn, i dalej, nieco stromą, piaszczystą ścieżką biegnącą na plażę. Ten głos podszepnął mu, że właśnie tam cygaro będzie lepiej smakować. Usiądzie sobie na kłodzie wyrzuconej przez fale i obejrzy pogorzeliśko zachodzącego słońca: płowiejące płomienie i błękitniejące gwiazdy. Zatoka będzie wyglądać bardzo ładnie w takim świetle, podpowiada głos - choć jest to ta sama bezwstydną zatoka, która zabrała mu dwie ukochane przybrane siostrzyczki, i to w jakim momencie - praktycznie zaraz po ślubie.

Okazuje się jednak, że zachód słońca to niejedyny ciekawy widok na plaży. Niedaleko brzegu stoi statek: nienowoczesny, ale ładny, o smukłym kadłubie i trzech masztach. Żagle ma zwinięte. Zamiast przy siąść na kłodzie, Emery schodzi nad samą wodę, tam, gdzie piasek jest już mokry i twardo ubity. Fascynuje go ta jaskółcza sylwetka, obrysowana gasnącym blaskiem zachodzącego słońca. Chyba powietrze jest tego dnia jakieś inne, bo ostatnie czerwone promienie wydają się przenikać przez burty na wylot.

Kiedy Emery zastanawia się nad tym zjawiskiem, do jego uszu dociera pierwszy okrzyk, wibrując w mózgu niczym głos srebrnego dzwonu: „Emery!”.

A zaraz potem sypią się kolejne: „Emery, pomóż! Prąd! Prąd powrotny!”.

I wtedy Emery dostrzega dziewczynki. Serce niemalże wyskakuje mu z piersi przez gardło; uderza o grdykę i opada z powrotem na swoje miejsce, ale bijąc już dwa razy szybciej. Niezapalone cygaro wysuwa się z palców.

Dwie dziewczynki. Wyglądają dokładnie tak samo: jakby miały na sobie identyczne fartuszki i chociaż Emery, w świetle dogasającego słońca zasadniczo nie powinien rozpoznawać kolorów, to jednak widzi, że jeden fartuszek jest czerwony, z literką L na przodzie, a drugi niebieski, z literką T.

„Prąd!”, woła dziewczynka z literką T na fartuszku, błagalnie wyciągając do niego rękę.

„Prąd powrotny!”, woła ta druga, z literką L.

I chociaż żadnej z nich na pierwszy rzut oka nie grozi natychmiastowe utonięcie, to Emery nie waha się ani chwili. Radość nie pozwala mu na najmniejsze niezdecydowanie, radość i olśniewająca pewność, że to nic innego, jak tylko cudowny uśmiech losu: kiedy wróci do domu, prowadząc za rękę zaginione bliźniaczki, jego teść, dotąd tak mu niechętny, od razu inaczej zaśpiewa. A srebrzyste tony, echa głosów dziewczynek dźwięczące w jego uszach, jeszcze go przynaglają: naprzód! Emery rzuca się na ratunek siostrzyczkom Adie, chce porwać obie zguby na rękę i wynieść z morza na brzeg.

„Emery!”. To woła Tessie. Oczy ciemne, twarzyczka blada niczym porcelana... lecz jej usta są czerwone.

„Emery, szybko!”. To głos Laury, która wyciąga do niego białe, ociekające wodą rękę. Oklapnięte pukle oblepiają równie białe policzki.

Emery woła: „Idę do was, dziewczynki! Trzymajcie się!”.

Brnie przez wodę, rozchlapując ją na wszystkie strony. Już wszedł po łydki, po kolana.

„Nie dajcie się prądowi!”, woła, chociaż one cały czas stoją w tym samym miejscu, w wodzie, która sięga im ledwie po uda - tak jak jemu, tylko że on ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

Wody zatoki - zimne, jest dopiero połowa kwietnia - unoszą się do jego piersi, kiedy nareszcie zbliża się do dziewczynek na wyciągnięcie ręki. I wyciągają, a one czepiają się go z zupełnie niedzięczącą siłą. Kiedy jest już na tyle blisko, żeby móc dostrzec ich oczy zamglone srebrzystą poświatą i poczuć słoną woń zdechłej ryby, która bije z ich gnijących włosów, jest już za późno. Zaczyna się wyrывać; jego radosne wołanie i błagalne okrzyki: „Nie dajcie się prądowi!” najpierw ustępują miejsca hałaśliwym protestom, a potem wrzaskom przerażenia, ale jest już za późno, o wiele za późno. Zresztą te wrzaski szybko cichną. Małe dłonie

zmieniają się w lodowate kleszcze, które wbijają się w ciało Emeryego i ciągną go na głębiej, gdzie woda zalewa mu usta, tłumiąc krzyk. Widzi jeszcze statek, ten, który stał przy brzegu, rysujący się na tle nieba stygnącego po zachodzie słońca. I dostrzega - jak to możliwe, że przedtem tego nie widział, nie wiedział? - że to upiorny, zżarty przez zarazę wrak, widmo śmierci. Czeka tam na niego jakaś istota, spowita w całun. Gdyby tylko mógł, krzyczałby na całe gardło, ale woda zalewa mu oczy, a do tamtych dwóch par rąk dołączają inne, których dotyk to już tylko twardość kości do czysta obranych z ciała, zaciskających się wokół jego kostek. Ostry szpon ściąga mu but z nogi, a potem trąca w duży palec, jakby to miała być zabawa w łaskotki... Zabawa z tonącym człowiekiem.

Emery Paulson tonie.

I

Ciemność. W ciemności ktoś krzyczał. Co krzyczał? Coś jakby „Niech on przestanie tak wyc”. Potem rozległo się potężne, głuche grzmotnięcie, a ciemność rozbłysła głęboką czerwienią, najpierw po jednej stronie, a potem gdzieś z tyłu. I ta czerwień spłynęła w przód, rozlewając się wśród ciemności jak fala krwi w wodzie.

- Za mocno go walisz - powiedział czyjś głos. Kto to był? Jack?

- Szefie? Hej, szefie! - Ktoś mną potrząsał, więc miałem jeszcze ciało. Domyśliłem się, że to dobrze. To Jack tak mnie szarpał. Jack - a dalej jak? Na pewno umiałem to sobie przypomnieć, ale do tego potrzebne było myślenie poboczne. Na nazwisko miał tak jak ktoś, kto pracuje w Weather Channel...

Znów ktoś mnie szarpnął. Jeszcze mocniej.

- *Muchacho!* Jesteś tam?

Walnąłem o coś głową, więc otworzyłem oczy. Obok mnie, z lewej, klęczał Jack Cantori; twarz miał ściągniętą i przestraszoną. Przede mną natomiast stał pochylony Wireman, potrząsając mnie za ramiona. Tak samo traktowałby shaker, gdyby nasza go ochota przyrzadzić sobie *daiquiri*. Na moich kolanach, twarzą do dołu, leżała lalka. Zrzuciłem ją na podłogę, warcząc z obrzydzeniem - o, ja niedobry. Spadła na kopczyk martwych os, budząc papierowe szelesty.

Nagle opadły mnie obrazy miejsc, które mi pokazała. I znów odbyłem tę wycieczkę po piekle: droga prowadząca na Cienistą Plażę, nazywana przez Adrianę (doprowadzała tym ojca do pasji) Bulwarem Pijaczyn. Sama plaża i straszne wydarzenia, które się tam rozegrały. Basen. Zbiornik na wodę.

- Otworzył oczy - powiedział Jack. - Dzięki Bogu. Edgar, słyszysz mnie?

- Tak. - Głos miałem zachrypnięty od wrzasku. Żołądek ścisnął mi się z głodu, ale najpierw musiałem przepłukać rozpalone gardło. - Pić... Bracia, pomóżcie.

Wireman podał mi jedną z kilku dużych butelek wody mineralnej Evian. Potrząsnąłem głową:

- Pepsi.

- Jesteś pewny, *muchacho*? Woda chyba...

- Pepsi. Kofeina. - To był wystarczający powód, choć niejedyny.

Wireman odstawił butelkę i podał mi pepsi. Była ciepła, ale wyzłopałem ją do połowy, beknąłem sobie zdrowo i przypiąłem się do niej z powrotem, tocząc wzrokiem dookoła. Zobaczyłem tylko moich dwóch przyjaciół i brudny korytarz. Niedobrze. Nawet gorzej niż niedobrze: to była katastrofa. Ręka - bo znów miałem jedną i tylko jedną - ścierpnięta i sztywna, pulsowała bólem, jakbym pracował co najmniej dwie godziny bez przerwy. Gdzie więc były moje rysunki? Zacząłem się bać, że bez rysunków wszystko zniknie, tak jak sny po przebudzeniu. A ja ryzykowałem dla tych informacji o wiele więcej niż życie, bo zdrowe zmysły.

Szarpnąłem się, próbując wstać. Głowa, w miejscu, gdzie walnąłem nią o ścianę, odpowiedziała ostrym ukłuciem bólu.

- Gdzie rysunki? Nie mówcie mi, że nie ma żadnych rysunków!

- Wyluzuj, *muchacho*, są tutaj. - Wireman odsunął się, pokazując mi niezbyt równo ułożony plik kartek z mojego bloku. - Rysowałeś jak wariat, wyrywając kartki jedną po drugiej. Pozbierałem wszystkie.

- W porządku. Dobrze. Muszę coś zjeść. Umieram z głodu. - I to była bardzo dosłowna prawda.

Jack rozejrzał się z niepokojem. Główny korytarz starego domu, w momencie, gdy wziętem od niego Noveen i odpłynąłem w czarną dziurę, był zalany jasnym światłem popołudniowego słońca. Teraz zrobiło się tu już ciemniej. Jeszcze nie całkiem ciemno - niebo wciąż było niebieskie - ale nagle dotarło do nas, że popołudnie dobiegło bądź dobiega już końca.

- Która godzina? - zapytałem.

- Piętnaście po piątej - odpowiedział Wireman, nie patrząc na zegarek, dzięki czemu zorientowałem się, że ściśle kontroluje czas. - Jeszcze dobre dwie godziny do zachodu. Plus minus. Więc jeśli one wychodzą tylko w nocy...

- Tak sądzę. Czyli czasu nam starczy, a ja muszę coś zjeść. Możemy wyjść z tej rudery. Nie mamy tu już nic do załatwienia. Ale może przydać się drabina.

Wireman uniósł brwi, ale o nic nie zapytał, powiedział tylko:

- Jeśli w ogóle jakąś znajdziemy, to najprędzej w tej szopie, która całkiem dziarsko

opiera się zębom czasu.

- A co z lalką? - zapytał Jack. - Co z Noveen?

- Włóż ją z powrotem do pudełka. Do pudełka - serduszka Elizabeth. Zabierzemy ją stąd - oznajmiłem. - Zasłużyła na dom w *El Palacio*, razem z innymi rzeczami swojej pani.

- Dokąd teraz? - chciał wiedzieć Wireman.

- Pokażę wam, ale najpierw coś innego. - Wskazałem pistolet zatknięty za jego pasek.

- Naładowany, prawda?

- Ma się rozumieć. Wymieniłem cały magazynek.

- Jeśli czapla tutaj wróci, masz ją zastrzelić, tak jak mówiłem. To bardzo ważne.

- Dlaczego?

- Bo to jest jej czapla - wyjaśniłem. - Perse obserwuje nas oczami tego ptaka.

II

Wyszliśmy ze zdewastowanego domu tą samą drogą, prosto we wczesny wieczór pełen czystego światła, jak to na Florydzie. Niebo nad nami było idealnie bezchmurne. Słońce odbijało się w wodach zatoki, połyskując srebrzyście. Za mniej więcej godzinę ten pas świetlanego blasku miał zmatowieć i nabrać odcieni złota, ale na razie mieliśmy jeszcze czas.

Posuwaliśmy się powoli starą drogą, która kiedyś była szerokim Bulwarem Pijaczyn. Jack niósł kosz, Wireman torbę z jedzeniem i blokami. Ja miałem swoje rysunki. Unirole szeptały, ocierając się o nasze nogi. Cienie, które rzucaliśmy, szły za nami, długie, wyciągnięte w stronę zrujnowanej rezydencji Eastlake'ów. Daleko przed nami krążący wysoce pelikan dostrzegł rybę, złożył skrzydła i rzucił się w dół jak bombowiec nurkujący. Nigdzie nie zauważyliśmy czapli, nie odwiedził nas też dżokej ogrodowy imieniem Charley. Ale gdy stanęliśmy na skraju wzniesienia opadającego w kierunku plaży, w miejscu, gdzie ścieżka niegdyś biegła grzbietami wydm, które teraz, zniszczone przez erozję, straszły stromymi zboczami, zobaczyliśmy coś innego.

Statek. „Perse”.

Stał na kotwicy trzysta metrów od brzegu. Nieskazitelne żagle leżały zwinięte na rejach. Martwa fala kołysała kadłubem z boku na bok; chodził niczym wielkie wahadło. Z miejsca, gdzie staliśmy, widać było jego nazwę w pełnym brzmieniu, wymalowaną na sterburcie: „Persefona”. Wydawał się całkowicie opuszczony i na pewno tak było - za dnia umarli nie żyją. Ale Perse to nie dotyczyło. Perse nie umarła. Tym gorzej dla nas.

- Boże, zupełnie jakby wypłynął prosto z twojego obrazu - zachłysnął się Jack.

Po prawej stronie ścieżki, zarośnięta dzikimi chaszczami i ledwie widoczna spod pnączy winorośli wijących się wężowato po płaskiej powierzchni, stała kamienna ławka. Chłopak opadł na nią, nie odrywając wzroku od statku.

- Nie. - Pokręciłem głową. - Ja malowałem prawdę. A wy widzicie teraz maskę, za którą on się chowa w dziennym świetle.

Wireman stanął obok Jacka, osłaniając oczy przed słońcem. Po chwili odwrócił się do mnie.

- Widać go z Don Pedro? Widzą go stamtąd, prawda?

- Niektórzy pewnie tak - potwierdziłem. - Nieuleczalnie chorzy, schizole, którzy nie chcą brać leków... - Przypomniał mi się Tom Riley. - Ale on przyplłynął po nas, nie po nich. Dziś wieczór mamy opuścić Dumę na jego pokładzie. Kiedy zajdzie słońce, drogą już nie przejedziemy. Wszystkie żywe trupy być może faktycznie są na „Persefonie”, ale w dżungli czają się inne... stwory. Niektóre z nich zrodziły się z wyobraźni małej Elizabeth, tak jak ten ogrodowy dżokej. A kiedy Perse się obudziła, przybyły nowe. - Urwałem. Nie chciało mi się mówić wszystkiego, do samego końca, ale mimo wszystko dokończyłem. Musiałem. - Mam wrażenie, że za kilka z nich sam jestem odpowiedzialny. Każdy ma swoje koszmary.

Wyobraziłem sobie szkieletowe ręce, uniesione w blasku księżyca.

- Czyli co? - zapytał Wireman szorstkim tonem. - Mamy stąd odpłynąć? Taki jest plan?

- Tak.

- Przymusowy zaciąg? Jak w starej wesołej Anglii?

- Mniej więcej.

- Ja nie dam rady - oznajmił Jack. - Dostaję choroby morskiej.

Uśmiechnąłem się, siadając obok niego.

- Plan nie przewiduje dalekich rejsów, Jack.

- To dobrze.

- Możesz otworzyć tego kurczaka i urwać dla mnie udko?

Spełnił moją prośbę, a potem obaj się przyglądali, zafascynowani, jak pożeram najpierw jedno udko, a potem drugie. Skończywszy, zapytałem, czy ktoś ma ochotę na pierś, a kiedy zarówno Jack, jak i Wireman nie wyrazili ochoty, zjadłem ją sam. W połowie jedzenia pomyślałem o Ilse, która nie żyła, która leżała w tej chwili śmiertelnie blada gdzieś w Rhode Island. Jadłem dalej, metodycznie, pomiędzy kęsami wycierając tłuste palce o dzinsy. Ilse by to zrozumiała. Pam na pewno nie, Lin raczej też, ale Illy? O, tak. Bałem się tego, co mnie czekało, ale wiedziałem, że Perse też się boi. Gdyby się nie bała, nie broniłaby

się przed nami tak zawzięcie. Wprost przeciwnie, sama by nas tutaj zaprosiła.

- Czas ucieka, *muchacho* - przypomniał mi Wireman. - Dnia nie przybywa.

- Wiem - odparłem. - A moja córka nie żyje. Umarła na zawsze. Dalej jestem głodny jak pies. Mamy coś słodkiego? Ciasto? Ciastka? Jakiś zasrany batonik, cokolwiek?

Nie mieliśmy nic słodkiego. Zadowolilem się kolejną pepsi i paroma kawałkami ogórka maczanymi w sosie farmerskim, który wyglądem zawsze przypominał mi glut, smakiem zresztą też, tyle że lekko posłodzony. Przynajmniej ból głowy zaczął przechodzić. Obrazy, które ukazały mi się w ciemności, przechowane przez tyle długich lat pomiędzy gałgankami w głowie Noveen, zacierały się powoli, ale miałem już własne obrazki, dzięki którym mogłem je odświeżyć. Po raz ostatni wytarłem ręce o spodnie i sięgnąłem po ten plik pogniecionych, podartych kartek, po ten album z piekła rodem.

- Miej oko na czaplę - poprosiłem Wiremana.

Rozejrzał się dookoła, zerknął na opustoszały statek, łagodnie kołysany martwą falą, po czym odwrócił się z powrotem do mnie.

- A nie lepiej by było ustrzelić Wielkiego Ptaka harpunem? Takim ze srebrnym grotem?

- Nie. Czapla to tylko jej wierzchowiec, tak jak dla człowieka koń. Perse byłaby bardzo zadowolona, gdybyśmy zmarnowali na nią srebrny harpun, ale my od dzisiaj przestaliśmy robić tak, żeby była zadowolona. - Uśmiechnąłem się ponuro. - Ten etap kariery pani ma już za sobą.

III

Wireman zgonił Jacka z ławki i pozrywał zarastające ją pnącza winorośli. Usiedliśmy razem, nieprawdopodobna drużyna wojowników: dwóch z piątym krzyżykiem na karku i trzeci z mlekiem pod nosem. Z jednej strony zostawiliśmy zdewastowaną rezydencję, z drugiej roztaczał się widok na Zatokę Meksykańską. Na ziemi stał czerwony kosz i leżała torba z naszymi zapasami, już prawie pusta. Uznałem, że mogę poświęcić dwadzieścia minut, nawet pół godziny, żeby przekazać im to, czego się dowiedziałem - i zostanie nam dość czasu. Taką miałem nadzieję.

- Elizabeth miała o wiele bliższy kontakt z Perse niż ja - zacząłem. - O wiele bardziej intensywny. Nie wiem, jakim cudem to zniosła. Kiedy dostała figurkę z porcelany, zaczęła widzieć wszystko, co się działo, obojętnie, czy przy tym była, czy nie. I wszystko rysowała. Ale najgorsze rysunki spaliła jeszcze przed wyprowadzką stąd.

- Na przykład ten, na którym był huragan? - zapytał Wireman.

- Tak. Chyba się przestraszyła ich mocy, zresztą całkiem słusznie. Ale widziała wszystko. A lalka przechowała te obrazy. Jak parapsychologiczna kamera. Zobaczyłem teraz to, co widziała Elizabeth, i skopiowałem to, co rysowała. Rozumiecie?

Skinęli głowami.

- Zaczniemy od tej ścieżki, która kiedyś była drogą. Prowadziła z Cienistej Plaży do szopy przy domu. - Skinąłem dłonią w kierunku podłużnego budynku o ścianach pokrytych winoroślą; liczyłem na to, że znajdziemy tam drabinę. - To pamiątka po przemytnikach alkoholu. Nie była raczej dziełem samego Dave'a Davisa, ale na pewno kogoś z jego współników. Przez Dumę szła spora część gorzały szmuglowanej na Słoneczne Wybrzeże. Z Cienistej Plaży do szopy Johna Eastlake'a, a stamtąd na kontynent. Głównie był to towar z najwyższej półki, dla klubów jazzowych w Sarasocie i Venice. Eastlake składował go u siebie, robiąc przysługę Davisowi.

Wireman zerknął na zachodzące słońce, potem na swój zegarek.

- Zakładam, że to ma jakiś związek z naszą obecną sytuacją, *muchacho*?

- Jasne. - Wyciągnąłem z pliku rysunek, na którym widniał keg, czyli baryłka do przechowywania alkoholi. Miała grubą, zakręcaną pokrywkę, a na jej ścianie biegł kołem napis złożony z dwóch słów: na górze STOŁOWA, na dole SZKOCKA. Wyglądało to kiepsko, bo pisałem jak kura pazurem, nawet drukowanymi literami; rysowanie szło mi o wiele lepiej. - Whiskey, proszę panów.

Jack wskazał niewyraźny zarys człekokształtnej postaci widniejący pomiędzy słowami STOŁOWA i SZKOCKA. Postać była narysowana pomarańczową kredką i stała na jednej nodze.

- Co to za laska w tej spódnicy? - zapytał.

- Nie w spódnicy, tylko w kilcie. To ma być Szkot.

Wireman uniósł krzaczaste brwi.

- Nagrody za to nie dostaniesz, *muchacho*.

- Elizabeth wsadziła Perse do jakiejś małej baryłki po whiskey - zamyślił się Jack. - A może niania jej pomogła...?

- Zrobiła to sama. - Potrząsnąłem głową.

- Jak duża była ta baryłka?

Uniosłem rękę, rozsuwając dłonie na mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów, zastanowiłem się i dodałem jeszcze trochę.

Jack skinął głową, ale zmarszczył brwi.

- Włożyła figurkę do środka i zakręciła pokrywkę. Albo zaszpurowała jakoś inaczej. I w ten sposób utopiła Perse, żeby zasnęła z powrotem. Tylko że jak dla mnie to coś tu nie gra, szefie. Przecież ona pierwszy raz odezwała się do Elizabeth spod wody! Leżała na dnie zatoki!

- Zostawmy to na razie. - Przełożyłem rysunek z baryłką na spód i pokazałem im następny. Była na nim niania Meldy, rozmawiająca przez telefon w salonie Czaplęgo Siedliska. Pochylenie głowy i zgarbione ramiona sugerowały, że jest mocno spłoszona; to były najwyżej dwie szybkie kreski, ale wystarczyło, aby dać jasno do zrozumienia, co w dwudziestym siódmym roku południowcy sądzili o tym, że gosposia - Murzynka rozmawia przez domowy telefon, nawet w bardzo wyjątkowej i pilnej potrzebie.

- Myśleliśmy, że Adie i Emery wrócili na Dumę, bo przeczytali o zaginięciu bliźniaczek w gazecie, ale dzienniki z Atlanty najprawdopodobniej w ogóle nie wspomniały o dwóch dziewczynkach, które utonęły na Florydzie. Kiedy niania Meldy miała już pewność, że bliźniaczki naprawdę zaginęły, zadzwoniła do Eastlake'a, czyli do „pana”, który wyjechał wtedy na kontynent, żeby przekazać mu złe wieści. A potem do Adie, która mieszkała już z mężem.

Wireman walnął się pięścią w kolano.

- Adie powiedziała swojej niani, dokąd się wyprowadza! No jasne!

Skinąłem głową.

- Nowożeńcy musieli złapać jakiś pociąg jeszcze tego samego dnia, bo dotarli tutaj już nazajutrz, przed wieczorem.

- Do tego czasu dwie średnie córki też pewnie zdążyły przyjechać ze szkoły - wtrącił Jack.

- Tak jest, rodzina zebrała się w komplecie - potwierdziłem. - A w tym miejscu... - Gestem wskazałem wycinek zatoki, gdzie smukły biały statek stał na kotwicy, wyczekując zmierzchu. - Wszędzie było pełno łodzi. Poszukiwania trwały co najmniej trzy dni, chociaż wszyscy dobrze wiedzieli, że nie znajdą dziewczynek żywych. Moim zdaniem ostatnią rzeczą, jaka w tym momencie obchodziła Johna Eastlake'a, było to, kto zawiadomił jego najstarszą córkę i jej męża. Myślał tylko o swoich zaginionych bliźniaczkach.

- ODESZŁY - mruknął Wireman. - *Pobre hombre**.

Wziąłem do ręki następny rysunek. Przedstawiał troje ludzi na werandzie Czaplęgo Siedliska. Machali rękami, żegnając wielki, stary samochód z opuszczanym dachem,

* *Pobre hombre* (hiszp.) - biedny facet (przyp. tłum.).

odjeżdżający w stronę kamiennych słupów i normalnego świata, który zaczynał się za nimi. Narysowałem w pobliżu kilka palm i bananowców, ale bez żywopłotu; w dwudziestym siódmym roku jeszcze go nie było.

Za tylną szybą dużego wozu widniały dwie białe, owalne twarzyczki.

- Maria i Hannah. - Kolejno dotknąłem ich palcem. - Wracają do Braden School.

- Trochę to było bez serca, nie uważacie? - ocenił Jack.

Potrząsnąłem głową.

- Nie wydaje mi się. Dzieci nie obchodzą żałoby tak jak dorośli.

- Chyba masz rację - zgodził się chłopak. - Ale dziwi mnie... - Urwał.

- Co? - zapytałem. - Co cię dziwi?

- Że Perse pozwoliła im odejść - dokończył.

- Tak naprawdę one wcale nie odeszły. Pojechały tylko do Bradenton.

Wireman stuknął palcem w kartkę.

- A gdzie jest Elizabeth na tych rysunkach?

- Wszędzie - odparłem. - Widzimy to jej oczami.

IV

- Już niewiele nam zostało, ale dalej robi się niewesoło.

Pokazałem im kolejny rysunek. Chociaż, tak jak inne, był szkicowany w pośpiechu, a mężczyzna, którego przedstawiał, stał odwrócony tyłem, to nie miałem żadnych wątpliwości, że to żywa wersja stwora, który próbował zaciągnąć mnie do morza na łańcuchu. Patrzyliśmy na niego z góry. Jack oderwał oczy od rysunku, omiół wzrokiem Cienistą Plażę, niegdyś szeroką, teraz zredukowaną przez erozję do wąskiego paska, aby wreszcie znów zapatrzeć się na rysunek.

- Tutaj? - zapytał cicho. - To jest widok z tego miejsca?

- Tak.

- A to Emery - powiedział Wireman, dotykając sylwetki mężczyzny. Głos miał jeszcze cichszy niż Jack, a na czoło wystąpiły mu krople potu.

- Zgadza się.

- Ten stwór, który był u ciebie w domu.

- Tak.

Przesunął palec w inne miejsce.

- A to są Tessie i Laura?

- Tessie i Lo - Lo. Tak.

- I co one... Co one mu zrobiły? Zwabiły do morza? Jak syreny w tych starych greckich baśniach?

- Tak.

- To wszystko zdarzyło się naprawdę - szepnął Jack, zupełnie jakby chciał sprawdzić, jak to zabrzmie.

- Naprawdę - przytaknąłem. - Nie lekceważ jej siły.

Wireman spojrzał na słońce, które wisiało już bardzo nisko nad horyzontem. Wstęga blasku na wodzie zaczęła wreszcie matowieć złotym nalotem.

- Jeśli tak, to kończ, *muchacho*, i to jak najszybciej. Zróbmy swoje i wynośmy się stąd w diabły.

- Już prawie skończyłem. - Przerzuciłem kilka rysunków, zabazgranych i ledwie czytelnych. - Prawdziwym bohaterstwem popisała się niania Meldy, a my nie wiemy nawet, jak miała na nazwisko.

Podsunałem im przed oczy jeden z tych na wpół skończonych szkiców: widniała na nim ciemnoskóra gosposia, łatwa do rozpoznania po chustce na głowie i szczypcie koloru na czole i policzku. Stała w głównym korytarzu rezydencji, rozmawiając z jakąś młodą kobietą. Tuż obok widać było Noveen - siedziała na stole narysowanym za pomocą sześciu albo ośmiu kresek, zebranych razem jedną błyskawicznie zakreślonej elipsą.

- To ona. Jest już po zaginięciu Emery'ego. Niania opowiada Adrianie jakąś zmyśloną historyjkę. Może oszukuje ją, że jej mąż otrzymał nagle pilne wezwanie i musiał wracać do Atlanty? Albo że pojechał do Tamy, bo chciał jej zrobić niespodziankę i kupić prezent ślubny? Nie wiem. Chodziło tylko o to, żeby Adie została w domu, a przynajmniej nie oddalała się zbyt daleko.

- Niania grała na czas - powiedział Jack.

- Nic innego nie mogła zrobić. - Wskazałem szerokim gestem bujną dżunglę porastającą całą południową część wyspy, gąszcz, który nie miał prawa w ogóle tutaj być, o ile nie pracowała nad nim w pocie czoła brygada ogrodników - W dwudziestym siódmym roku tego wszystkiego tutaj nie było, była za to Elizabeth, która w tamtych dniach sięgała szczytu swojego talentu. Nie sądzę, żeby ktoś miał wtedy choćby najmniejszą szansę wydostać się z Dumy drogą lądową, przez most. Bóg jeden wie, czym Libbit zasiedliła wyspę, rysując pod dyktando Perse.

- Adriana miała być następną? - zapytał Wireman.

- A po niej John. Dalej Maria i Hannah. Perse chciała zabrać wszystkich, oprócz, być

może, samej Elizabeth. Niania Melda na pewno zdawała sobie sprawę, że zatrzyma Adie najwyżej jeden dzień. Ale nie potrzebowała więcej niż dobę.

Pokazałem im następny rysunek. Chociaż powstawał w o wiele większym pośpiechu, można było na nim rozpoznać nianię Meldę i Libbit, ponownie w basenie, w jego płytkim końcu. Na brzegu leżała Noveen z jedną szmacianą rączką zanurzoną w wodzie. A obok Noveen rozpierała się pękata ceramiczna baryłka z szerokim wylotem. Na jej ściance biegly półkolem drukowane litery: STOŁOWA.

- Niania Melda wymyśliła, co trzeba zrobić, i powiedziała, że Libbit musi zrobić to sama i że nie wolno jej się zawahać, choćby widziała w głowie straszne rzeczy, a Perse bardzo głośno na nią krzyczała. Bo kiedy zrozumie, co się święci, będzie krzyczeć, powiedziała niania, a ich jedyna nadzieja w tym, że zrozumie za późno i wtedy będzie już wszystko jedno. A potem dodała... - Umilkłem. Smuga blasku zachodzącego słońca lśniła coraz mocniej. Musiałem dokończyć, ale w tym momencie to było już trudne. Bardzo, bardzo trudne.

- Co takiego, *muchacho*? - dopytywał się Wireman. - Co dodała?

- Że ona sama, niania, też może zacząć krzyczeć. I Adie. I tatuś. Ale Libbit musi doprowadzić to, co zaczęła, do samego końca. „Do samego końca”, powiedziała niania. „Bo inaczej wszystko na nic”.

Moja ręka, jakby z własnej woli, wyjęła z kieszeni czarną kredkę i nakreśliła pod prymitywnym portretem kobiety i dziewczynki w basenie trzy słowa.

do samego końca

Łzy zakręciły mi się w oczach. Rzuciłem kredkę w zarośla unioli i przetarłem powieki. O ile wiem, ta kredka leży tam do dziś.

- Edgar, a te harpuny ze srebrnymi grotami? - zapytał nagle Jack. - Nic o nich nie mówiłeś.

- Nie mieli wtedy żadnych magicznych harpunów - powiedziałem zmęczonym głosem. - Eastlake zamówił je pewnie wiele lat później, kiedy wrócił na Dumę razem z Elizabeth. Bóg raczy wiedzieć, które z nich na to wpadło i czy pomysłodawca w ogóle był pewny, że taka rzecz naprawdę może się przydać i dlaczego.

- Ale... - Jack znów zmarszczył brwi. - Skoro w dwudziestym siódmym nie mieli tych srebrnych harpunów... to w jaki sposób...

- Nie mieli harpunów, Jack, ale za to wody było pod dostatkiem.

- Dalej nie rozumiem. Przecież Perse na początku była w wodzie. Ona pochodzi z wody. - Spojrzał na statek, jakby chciał sprawdzić, czy przypadkiem nie zniknął. Nie zniknął.

- To prawda. Ale w basenie... W basenie „nie miała kontroli nad tym, co się dzieje”. Elizabeth wiedziała o tym, ale nie rozumiała, co z tego wynika. Nic dziwnego. Była tylko dzieckiem.

- Kurwa - zaklął Wireman, bijąc się dłonią w czoło. - Basen. Słodka woda. W basenie jest słodka woda. Nie słona.

Wycelowałem w niego palec gestem potwierdzenia.

Wireman dotknął mojego rysunku, tam gdzie ceramiczna baryłka stała obok lalki.

- To było puste? - zapytał. - I nalały tam wody z basenu?

- Jestem pewien, że tak właśnie było. - Odłożyłem rysunek z basenem na bok, pokazując im kolejny. Perspektywa znów była niemalże identyczna jak widok z miejsca, gdzie siedzieliśmy. Nad horyzontem wisiał dopiero co wzeszły sierp księżyca, przecięty masztami statku - widma, którego obym już nigdy więcej nie musiał rysować. Natomiast na plaży, tuż nad samą wodą...

- Chryste, jakie to ohydne - skrzywił się Wireman. - Nawet dokładnie nie widać, a i tak wstręt bierze.

Moja prawa ręka zaczęła swędzieć, pulsować. Piec żywym ogniem. Wyciągnąłem ją, dotykając rysunku tą dłonią, której obym już nigdy nie musiał oglądać na oczy... Chociaż bałem się, że jednak będę musiał.

- Ja widzę za nas wszystkich - powiedziałem.

JAK POWSTAJE OBRAZ (XI)

Nie przerywaj pracy dopóki obraz nie jest skończony. Nie powiem ci, czy jest to podstawowa zasada wszelkiej sztuki, bo nie jestem nauczycielem, ale mam wrażenie, że te osiem słów podsumowuje wszystko, co starałem się tobie przekazać. Talent to rzecz cudowna, ale nie posłuszny temu, komu brak wytrwałości. A zawsze przychodzi taki moment - jeśli twoje dzieło jest szczere, jeśli zrodziło się w tym magicznym miejscu, gdzie jednoczą się myśl, pamięć i uczucie - kiedy będziesz chciał przerwać pracę, kiedy zacznie ci się wydawać, że jeśli opuścisz kredkę, to oczy i pamięć zajdą mgłą, a ból ustanie. Dowiedziałem się o tym wszystkim z ostatniego rysunku, który powstał tamtego dnia, a przedstawiał zdarzenie na plaży. Był to zaledwie szkic, ale kto kreśli mapę piekła, nie potrzebuje nic więcej.

Zaczęłam od Adriany.

Przez cały dzień szaleje z niepokoju o męża; raz jest na niego zła, a zaraz potem boi się, że coś mu się stało. Przemknęło jej nawet przez głowę, że tatuś mógł zrobić coś „bez zastanowienia”, ale to wydało jej się raczej mało prawdopodobne: odkąd przerwano poszukiwania, tatuś z wielkiego żalu zrobił się oziębiały i apatyczny.

Kiedy słońce chyli się już ku zachodowi, a Em wciąż nie wraca, Adriana wcale nie odchodzi od zmysłów, jak każdy by się spodziewał, przeciwnie, uspokaja się, wręcz pogodnieje. Oznajmia niani Meldzie, że Em zaraz wróci, jest tego absolutnie pewna. Czuje to w kościach i słyszy w głowie - jej niezachwiane przekonanie ma głos małego, dźwięcznego dzwoneczka. Uważa, że ten dzwoneczek to właśnie tak zwana kobieca intuicja i że kobieta nie umie go wyraźnie usłyszeć, dopóki nie wyjdzie za mąż. Tym spostrzeżeniem również dzieli się z nianią.

Niania Melda kiwa głową i uśmiecha się, lecz jednocześnie uważnie obserwuje Adie. Wodzi za nią wzrokiem przez cały dzień. Wie, że jej mężczyzna nie wróci już nigdy - tak powiedziała Libbit, a niania jej wierzy, wierzy też jednak, że pozostałych członków rodziny można jeszcze uratować... łącznie z nią, Meldą.

Tutaj jednak bardzo wiele zależy od samej Libbit.

Niania Melda wspina się po schodach na piętro, idzie sprawdzić, co z jej ostatnią

„malutką”. Po drodze dotyka srebrnych bransoletek na lewym przedramieniu. To prezent od jej mamy; Melda zakłada je co niedzielę, kiedy idzie do kościoła. Może właśnie dlatego wyjęła dziś te srebrzyste kółka ze swojej skrzyneczki, w której przechowuje rzeczy na specjalne okazje, i zamiast puścić wszystkie luzem na nadgarstek, wsunęła je wysoko, aż zatrzymały się na zgrubieniu poniżej łokcia. Być może chciała się poczuć trochę bliżej swojej mamy, pożyczyć odrobinę jej milczącej siły - albo po prostu pragnęła mieć przy sobie coś, co w jakikolwiek sposób łączy się ze świętością.

Libbit siedzi w swoim pokoju. Rysuje. Rysunek przedstawia jej rodzinę: są na nim też, oczywiście, Tessie i Lo - Lo. Cała ósemka (niania Melda, jeśli chodzi o Libbit, to też rodzina) stoi na plaży, tej samej, która dała im tyle cudownych chwil: kąpiele w morzu, pikniki, zamki z piasku. Stoją, trzymając się za ręce jak laleczki wycięte z papieru, a na twarzach mają szerokie uśmiechy, wychodzące daleko poza kontury twarzy. Libbit chyba myśli, że swoimi rysunkami, czystą siłą Swojej woli, potrafi cofnąć śmierć i przywrócić szczęście.

Niania Melda wierzy niemalże, że tak jest naprawdę. To dziecko ma wielką moc. Ale stworzyć na nowo życie, które zabrała śmierć - to wyzwanie, które ją przerasta. Wrócić umarłemu życia nie potrafi nawet ta istota, która przyszła z zatoki. Zanim niania podejdzie do Libbit, zatrzymuje wzrok na pudełku, w którym dziewczynka przechowuje swoje specjalne rzeczy. Figurynkę z zatoki widziała tylko raz: jest to małeńka kobieta okryta spłowiałym różowym płaszczem, który kiedyś mógł być szkarłatny. Na głowie ma kaptur, a spod niego wysypują się włosy, zasłaniając czoło.

Niania pyta Libbit, czy wszystko w porządku. Nie śmie pytać o nic więcej, boi się posunąć choćby o krok dalej. Jeśli pod kręconymi lokami istoty schowanej w pudełku naprawdę kryje się trzecie oko, dalekowzroczne zakłęte oko - to ostrożności nigdy za wiele.

Libbit odpowiada: „Wszystko dobrze, nianiu. Rysuję sobie”.

Czyżby już zapomniała o swoim zadaniu? Niania Melda może mieć tylko nadzieję, że dziewczynka pamięta. Bo ona musi już wracać na dół, żeby mieć Adie na oku. Jej mężczyzna niedługo zacznie ją wzywać.

Z jednej strony Melda nie może uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę; z drugiej - ma wrażenie, że przez całe życie szykowała się właśnie do tego.

Melda mówi: „Gdybyś usłyszała, że wołam twój tatę, masz pójść pozbierać wszystkie rzeczy, które zostawiłaś nad basenem. Żebyś mi nie zostawiła ich na noc, bo zmokną na rosie”.

Dziewczynka rysuje, nie podnosi głowy. Mówi jednak kilka słów, które radują ściśnięte strachem serce Meldy.

„Niczego nie zostawię. I zabiorę Perse, żeby się nie bać, jak będzie ciemno”.

Melda mówi: „Bierz, kogo chcesz, tylko przynieś Noveen do domu, bo została na dworze”.

Na nic więcej nie ma już czasu, na nic więcej niania się nie odważy, bo wciąż myśli o tym niezwykłym, sondującym, zaklętym oku, boi się, że to oko próbuje zajrzeć jej do głowy.

Schodząc z powrotem na dół, znów dotyka swoich bransoletek. Bardzo się cieszy, że w pokoju Libbit miała je na sobie, mimo że małe kobiecie z porcelany leżała schowana w pudełku.

Wraca akurat w odpowiednim momencie, żeby złowić okiem rąbek skłębionej sukienki Adie w drzwiach kuchni, na końcu korytarza biegnącego na tyłach domu.

Już czas. Teraz wszystko się rozegra.

Zamiast iść za Adie do kuchni, Melda biegnie prosto do gabinetu pana i po raz pierwszy, odkąd zaczęła pracować u tej rodziny, czyli od siedmiu lat, wchodzi tam bez pukania. Pan siedzi za biurkiem; zdjął krawat i rozpiął kołnierzyk, a szelki zwisają dwiema luźnymi pętlami. W dłoniach trzyma składaną złotą ramkę ze zdjęciami Tessie i Lo - Lo. Podnosi na Meldę zaczerwienione oczy, pobłyskujące w twarzy, która już jest wyraźnie szczuplejsza. Nie wygląda na zaskoczonego tym, że gospoia wpada do jego gabinetu bez uprzedzenia. Sprawia wrażenie człowieka, którego nic już nie może zaskoczyć ani zaszokować - ale wkrótce, rzecz jasna, okaże się, że to nieprawda.

Pan mówi: „Melda Lou? Co się stało?”.

Melda mówi: „Musi pan iść. Natychmiast”.

On spogląda na nią swoimi zażawionymi oczami, w których maluje się spokojna bezmyślność, która może doprowadzić człowieka do szaleń.

Pyta: „Dokąd?”.

Melda odpowiada: „Na plażę. I zabrać to z sobą”.

Pokazuje palcem miotacz harpunów wiszący na ścianie razem z kilkoma ostrymi beltami. Mają groty ze stali, nie ze srebra, i są ciężkie. Melda wie o tym dobrze; dość się ich nanosiła w koszu.

Pan pyta: „O czym ty mówisz?”.

Melda odpowiada: „Nie ma czasu na wyjaśnienia. Musi pan natychmiast iść na plażę, bo jak nie, to straci pan następną córkę”.

Pan rusza bez słowa. Nie pyta, o którą córkę chodzi, i nie chce już wiedzieć, po co niani miotacz harpunów; po prostu zdejmuje go ze ściany, w drugą rękę bierze dwa belty i wychodzi otwartymi drzwiami, mijając Meldę. Nie odwraca się, idzie przodem, a na

wysokości kuchni, gdzie gospoia po raz ostatni widziała Adie, pędzi już ile sil w nogach, tak że ona nie może za nim nadążyć, chociaż sama biegnie, zebrawszy spódnicę w obie dłonie. Czy dziwi ją, że pan tak nagle ocknął się z otępienia i porwał do działania? Nie. Bo pomimo zagłuszającej wszystko rozpacz on też wiedział cały czas, że dzieje się źle, z każdą chwilą coraz gorzej.

Tylne drzwi stoją otworem. Wpada przez nie wieczorna bryza, otwierając je jeszcze szerzej... choć tak naprawdę nie jest to już wieczorna bryza, ale nocna. Zachód słońca dogasa. Na Cienistej Plaży będzie jeszcze jasno, ale tu, w Czaplím Siedlisku, zapadł zmrok. Melda rozgląda się za Libbit, ale oczywiście nigdzie jej nie widzi; jeśli Libbit robi to, co miała zrobić, to w tej chwili idzie nad basen, niosąc pod pachą swoje pudełko - serduszko.

Pudełko - serduszko, w którym siedzi potwór.

Melda biegnie w ślad za panem i dogania go obok ławki stojącej w miejscu, gdzie ścieżka opada w kierunku plaży. Eastlake stoi jak skamieniały. Zachodnia część nieboskłonu odkreśla się od morza posępną pomarańczową krechą, która wkrótce zgaśnie, ale w jej świetle niania dostrzega Adie stojącą tuż nad samą wodą i sylwetkę człowieka brnącego przez fale w jej stronę.

Adriana krzyczy: „Emery!” oszalałym z radości głosem, jakby nie widziała go cały rok, a nie jeden dzień.

Melda wychyla się zza pleców skamieniałego mężczyzny o szeroko otwartych oczach i woła: „Nie, Ade, nie zbliżaj się do niego!”, ale wie, że Adie jej nie posłucha, i ma rację: Adie rzuca się biegiem do swojego męża.

John Eastlake wypowiada jedno słowo: „ Co...?” - i to wszystko.

Wyrwał się z odrętwienia jedynie na krótką chwilę; zdążył zaledwie tutaj dobiec, a teraz zmartwił z powrotem. Czy to dlatego, że widzi kolejne dwie postacie, dalej od brzegu, ale tak samo jak tamta idące w stronę plaży? Brodzące w wodzie, która powinna zakrywać im głowy? Nie, myśli Melda, on nie odrywa wzroku od swojej najstarszej córki i od niewyraźnej sylwetki mężczyzny, który wyszedłszy z wody, wyciąga ku niej ociekające wodą ręce i zaciska ociekające wodą dłonie na jej gardle, dławiąc okrzyki radości. A potem zaczyna ciągnąć ją za sobą do wody.

Nieopodal plaży, kołysany łagodną martwą falą na kształt wahadła zegara, który zamiast minut i godzin odmierza lata i stulecia, unosi się statek o czarnych burtach, jej statek, statek Perse.

Melda łapie pana za ramię, wbijając palce głęboko w jego biceps, i mówi do niego tak, jak jeszcze nigdy w życiu nie odezwała się do białego człowieka:

Woła: „Idź jej pomóż, sukinsynu! Zanim tamten ją utopi!”.

I ciągnie go za sobą. On rusza się z miejsca. Melda nie ogląda się, nie patrzy, czy nadąza za nią, czy może z powrotem wrósł w ziemię, zapomniała też zupełnie o Libbit. W tej chwili myśli już tylko o Adie. Nie może pozwolić, żeby ten stwór, stwór - Emery zaciągnął ją do wody, i musi zdążyć, zanim nieżywe malutkie przyjdą mu z pomocą.

Krzyczy: „Puść ją! Puszczaj!”.

Pędzi po plaży, a za nią leci wydęta jak balon spódnica. Emery wciągnął Adie już tak daleko, że woda sięga jej do pasa. Dziewczyna zaczyna się wyrwać, ale dusi się, brak jej tchu. Melda przedziera się przez fale, dopada do nich i rzuca się na kredowobiałego trupa, który zaciska palce na gardle swojej żony. Czując na sobie lewą dłoń Meldy, tę przybraną bransoletkami, stwór ryczy. Jego krzyk to głośny bulgot, jakby gardło miał zalane wodą. Wije się jak piskorz w dłoniach Meldy, a ona drapie go z całej siły paznokciami. Ciało poddaje się z ohydą łatwością i odpada wielkimi kawałami, ale z bladych ran nie wypływa ani jedna kropla krwi. Stwór wywraca ślepią, które w świetle księżyca są jak oczy śniętej ryby.

I odpycha Adie, żeby poradzić sobie z tą harpią, która się na niego rzuciła, z harpią, co zamiast ręki ma zimny, wstrętny płomień.

Adie skowyczy: „Przestań, nianiu, przecież jego to boli!”.

Przeskakuje fale, żeby odciągnąć Meldę od Emery'ego, a przynajmniej ich rozdzielić, i właśnie w tym momencie John Eastlake, który wszedł do zatoki już po golenie, strzela ze swojego miotacza harpunów. Grot o trzech ostrzach trafia jego najstarszą córkę w gardło, tuż nad krtanią. Adie prostuje się jak napięta cięciwa. Pięć centymetrów stalowego pręta sterczy jej spod brody, a z drugiej strony, odrobinę poniżej podstawy czaszki, wystaje dwukrotnie dłuższy odcinek.

„Adie, nie!”, skrzeczy John Eastlake. „Adie, JA NIE CHCIAŁEM!”.

Adie odwraca się w stronę, skąd dobiegają głos ojca i, ni mniej, ni więcej, zaczyna iść do niego. I to jest wszystko, co niania Melda ma czas zauważyć. Zmarły mąż Adie szarpie się w jej uścisku, próbuje się wyrwać, ale ona wcale nie chce go puścić; chce zakończyć to przerażające półzycie i być może tym samym ostrzec dwójkę małych upiórzczyk, zanim zdążą się do niej zbliżyć. Dam sobie radę, myśli (na ile w ogóle może w tej chwili myśleć); tak jej się wydaje, bo widziała dymiący, wypalony ślad na bladym, mokrym policzku stwora. Rozumie, że to zasługa jej bransoletek.

Jej srebrnych bransoletek.

Stwór wyciąga do niej ręce, a pomarszczone usta rozdziawiają się w grymasie, który równie dobrze może oznaczać strach, jak i wściekłość. Gdzieś zza pleców dobiega ją głos

Johna Eastlake'a, który wykrzykuje imię swojej córki, raz po raz, bez przerwy.

„To twoja wina!”, warczy Melda, a kiedy stwór - Emery kładzie na niej łapy, pozwala mu się schwycić.

„Twoja i tej podlej suki, co tobą komenderuje”, chce dodać, ale białe dłonie stwora zaciskają się na jej gardle, tak samo jak przed chwilą ścisnęły szyję biednej Adie, więc niania może tylko zagulgotać boleśnie. Ale lewą rękę, tę z bransoletkami, ma wolną i czuje w niej wielką siłę. Bierze zamach i opuszczając szerokim łukiem, trafiając stwora - Emery'ego w prawą skroń.

Efekt przechodzi jej najśmielsze oczekiwania. Czaszka stwora zapada się pod ciosem, jakby przez tych parę godzin w wodzie kość rozmiękła na papkę. Ale nie, jest wciąż twarda jak należy; jeden ostry odłamek przebija się przez skoltunione włosy Emeryego i kaleczy nianię głęboko w przedramię, a krew skapuje do falującej dookoła wody.

Kątem oka Melda łowi dwa cienie: jeden mija ją z lewej, drugi z prawej.

Lo - Lo woła: „Tatusiu!” swoim nowym, srebrzystym głosikiem.

Tessie wola: „Tatusiu, ratuj nas!”.

Stwór - Emery teraz już tylko wyrывa się Meldzie, nie chce mieć z nią więcej do czynienia. Rzuca się w wodzie, rozchlapując ją na wszystkie strony. Melda wbija kciuk swojej potężnej lewej dłoni w jego prawe oko; czuje, jak z oczodołu wylewa się coś zimnego i oślizgłego, jak ropusze bebechy pod kamieniem. I natychmiast puszcza stwora, rzucając się z powrotem w stronę płazy Zatacza się, kiedy prąd powrotny uderzają, próbując przewrócić.

Lewą ręką chwyta Lo - Lo za kołnierz i ciągnie do tyłu. „Nie pozwalałam!”, stęka z wysiłkiem i Lo - Lo pada na plecy, mlóćąc dookoła rękami. Rozlega się pisk, w którym brzmią zaskoczenie i ból... a żadna dziewczynka nigdy nie wydała z siebie takiego dźwięku, Melda wie o tym dobrze.

„Melda, przestań!”, wrzeszczy John.

Ojciec klęczy na linii przyboju, gdzie fala sięga już tylko ostatnią, cienką błonę. Trzyma na kolanach Adie. Z gardła dziewczyny sterczy stalowy harpun.

„Melda, nie dotykaj moich córek!”.

Melda nie ma czasu, żeby się zastanawiać nad jego poleceniem, choć mimo wszystko jedną myśl poświęca Libbit - dlaczego nie utopiła porcelanowej figurki? A może to nie podziałało? Czyżby tej istocie, którą dziewczynka nazywa Percy, udało się ją jakoś powstrzymać? Melda wie, że to bardzo możliwe; Libbit ma wielką moc, ale mimo wszystko jest tylko dzieckiem.

Nie ma czasu, żeby nad tym myśleć. Melda łapie drugiego żywego trupa, Tessie, ale jej

prawa ręka nie ma tej siły co lewa, bo nie strzeże jej srebro, więc Tessie odwraca się ze wściekłym warknięciem i gryzie swoją nianię, która czuje tylko słaby, choć przeszywający ból; nie dociera do niej, że straciła dwa palce i kawałek trzeciego, nie zauważa ich w wodzie w pobliżu piersi bladego dziecka. Nie w takim momencie, kiedy całym ciałem targa adrenalina.

Nad szczytem wzgórze, tam, gdzie przemytnicy taszcą czasami ciężkie palety załadowane alkoholem, ukazują się mały sierp księżycy, powlekając tę makabryczną scenę własną słabą poświatą. W jego blasku Melda widzi, jak Tessie rzuca się z powrotem w stronę ojca, jak znów wyciąga do niego ręce.

„Tatusiu! Tatusiu, ratuj nas! Niania Meldy oszalała!”:

Melda nie myśli. Sięga drugą ręką, w poprzek piersi i chwyta dziewczynkę za włosy, te same, które myła i czesała tysiąc razy.

„MELDA, NIE!”, wyje John Eastlake, podnosząc upuszczony miotacz harpunów i drapiąc po omacku piasek obok zwłok swojej córki w poszukiwaniu drugiego beltu.

I wtedy rozlega się nowy głos. Niania słyszy go za sobą, tam gdzie kotwiczy statek kołysany falami caldo.

Głos mówi: „Nie trzeba było wchodzić mi w drogę”.

Melda odwraca się niezgrabnie, nie wypuszczając z dłoni włosów potwornej Tessie (która szarpie się i kopie, ale niania nawet tego nie zauważa) i widzi: na pokładzie swojego statku, przy samym relingu, odziana w swą czerwoną szatę, stoi ONA. Jej głowy nie zakrywa już kaptur; Meldy nie znajduje w tej istocie ani odrobiny człowieczeństwa. Ona jest INNA, a tego, czym jest, nie może ogarnąć ludzkie rozumienie. W blasku księżycy jej upiorna twarz zdaje się wszystkowiedząca.

Z wody wynurzają się kościste dłonie szkieletów, wzniesione w niemym geście pozdrowienia.

Bryza rozwiewa wężowe włosy; na czole Perse Meldy dostrzega trzecie oko, a kiedy uświadamia sobie, że ono ją widzi, cała jej wola walki ulatnia się w jednej chwili.

Lecz w tej samej chwili podła bogini szarpie głową, jakby nagle usłyszała, że ktoś się skrada za jej plecami.

„Co?”, krzyczy, zaskoczona.

A potem: „Nie! Zostaw to! Zostaw to! NIE MOŻESZ TEGO ZROBIĆ!”.

Ale Libbit najwidoczniej sądzi inaczej - Libbit, wbrew zakazowi, zrobiła to - bo postać stojąca przy relingu szarpie się, wstrząśnięta nagłym dreszczem, rozmywa się, jakby zalana wodą... i po chwili w tym miejscu jest już tylko księżycowy blask. Kościste dłonie wpełzają z powrotem pod wodę; nie ma ich.

Nie ma już też stwora - Emery'ego - zniknął - ale bliźniaczki zostały. Piszczą jednym głosem, pełnym bólu i rozpaczony tak nagłego osamotnienia; zostały porzucone.

„ Wszystko będzie dobrze!”, woła Melda do pana, wypuszczając z dłoni włosy upiorzycy. Teraz już chyba nie będzie zagrażać żywym, przynajmniej przez jakiś czas.

„To Libbit!”, dodaje. „Udało jej się! Udało...”.

ZABIERAJ ŁAPY OD MOICH CÓREK, TY CZARNA ŚWINIO!, ryczy John Eastlake.

I wystrzeliwuje drugi harpun.

Widzisz, jak grot trafia w cel, jak przebija nianię Meldę na wylot? Jeśli tak, to obraz jest skończony.

Boże, zmiłuj się - oto masz pełny obraz.

I

Rysunek - było to już przedostatnie z oryginalnych i dopracowanych dzieł Edgara Freemantle'a - przedstawiał Johna Eastlake'a klęczącego na skraju Cienistej Plaży. Obok siebie miał swoją martwą córkę, a za plecami - sierp księżyca, przed chwilą wzeszły zza horyzontu. W wodzie, zanurzona po kolana, stała niania Meldy, a przy niej miały się bliźniaczki. Ich uniesione, mokre twarze były wydłużone z przerażenia i wściekłości. Pomiędzy piersiami ciemnoskórej kobiety sterczał harpun; ścisnęła go kurczowo obiema dłońmi, patrząc z niedowierzaniem na ojca dziewczynek, które starała się uratować za wszelką cenę, na mężczyznę, który najpierw nazwał ją czarną świnia, a potem odebrał jej życie.

- On krzyczał - powiedziałem. - Krzyczał z całych sił, aż krew rzuciła mu się z nosa. A potem z oka. Mógł od tego dostać udaru. Aż dziwne, że tak się nie skończyło.

- Statek jest pusty - zauważył Jack. - Przynajmniej na tym rysunku.

- Tak. Perse już nie ma. Spełniła się nadzieja niani Meldy. Zdarzenie na plaży odwróciło uwagę tej suki na tyle, że Libbit zdążyła ją załatwić. Utopiła Perse, a wtedy ona zasnęła. - Stuknąłem palcem w lewą rękę Meldy, którą ozdobiłem na rysunku dwoma krótkimi łuczkami i maleńkim krzyżykiem, mającym oznaczać refleks słabego blasku księżyca. - A udało się przede wszystkim dlatego, że coś podszeptało jej, żeby założyć srebrne bransoletki swojej mamy. Srebrne, tak jak pewien lichtarz. - Zerknąłem na Wiremana. - Tak więc być może naprawdę po jasnej stronie tego równania znajduje się coś, co trochę nad nami czuwa.

Wireman skinął głową, wskazując słońce, które za chwilę albo dwie miało dotknąć horyzontu; wiedziałem, że kiedy to nastąpi, żółta smuga światła biegnąca ku nam po wodzie nabierze głębszej barwy czystego złota.

- Straszydła wychodzą się bawić, gdy zapada zmrok - wyrecytował. - Gdzie mamy

teraz szukać porcelanowej Perse? Możesz nam powiedzieć, dokąd trafiła po zejściu na plażę?

- Nie wiem dokładnie, co się stało po tym, jak Eastlake zabił nianię Meldę, ale z grubsza się domyślam. Elizabeth... - Wzruszyłem ramionami. - Była wyczerpana, przynajmniej w tamtej chwili. Zadanie okazało się ponad jej siły. Zaczęła krzyczeć, a ojciec musiał ją usłyszeć. Oprócz krzyku własnego dziecka nic nie byłoby w stanie przywrócić mu świadomości. Pewnie dotarło do niego, że chociaż rozegrał się straszny dramat, to mimo wszystko w Czaplim Siedlisku została jeszcze jedna jego córka, i to żywa. Być może przypomniały mu się nawet dwie jej siostry, przebywające pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt kilometrów stąd. I zrozumiał, że musi to wszystko jakoś ogarnąć.

Jack w milczeniu wskazał palcem słońce, które w tym momencie oparło się o horyzont.

- Wiem, Jack - skinąłem głową - ale jesteśmy już bliżej, niż ci się wydaje.

Wyciągnąłem ostatni rysunek, zaledwie szkic, w dodatku oszczędny, jak tylko się dało, ale ten wszystkowiedzący uśmiech był rozpoznawalny na pierwszy rzut oka: Charley, ogrodowy dżokej. Wstałem z ławki, pociągając za sobą moich towarzyszy. Odwróciłem ich plecami do zatoki i wyczekującego na nas statku, który szerniał, obrysowany złotym światłem.

- Widzicie go? - zapytałem. - Ja zauważyłem go, kiedy szliśmy tutaj. To jest prawdziwy dżokej, a nie jego widmo, które ukazało nam się przed domem.

Spojrzeli.

- Ja nic nie widzę - oznajmił Wireman - a gdyby tam był, *muchacho*, to na pewno bym go zobaczył. Trawa jest wysoka, wiem, ale ta jego czerwona czapa rzuca się w oczy. Chyba że zarosły go te bananowce.

- Widzę! - zawołał Jack i, o dziwo, roześmiał się głośno.

- Pierdzielisz - ofuknął go Wireman, wyraźnie dotknięty. A potem zapytał: - Gdzie?

- Tam, za kortem.

Wireman spojrzał we wskazanym kierunku i już chciał się poskarżyć, że dalej nic nie widzi, ale ugryzł się w język.

- Niech mnie szlag - sapnął. - Stoi na głowie, skurczybyk. Tak?

- Tak. A ponieważ nie kończy się na nogach, widzimy kwadratową, żelazną podstawę. Charley to nasz drogowskaz, *amigos*. Ale najpierw musimy zajrzeć do szopy.

II

Przed tym, co czekało na nas w podłużnym, zarośniętym chaszczami składziku, gdzie panował nieprzebity mrok, a powietrze było gorące i gęste, nie ostrzegło mnie żadne przeczucie. Nie zauważyłem też wcale, że Wireman ma w dłoni broń, dopóki nie huknął strzał.

Drzwi nie otwierały się na zewnątrz, ale były rozsuwane. Stały otwarte, widać jednak było, że nie zamkną się już nigdy; dziesiątki lat temu przyrdzewiały do swoich przewodnic. Pomiędzy skrzydłami ział ciemny otwór szeroki na dwa i pół metra, przesłonięty u góry kotarą, czy też może kurtyną, szarozielonej opląty brodawczakowatej.

- Musimy tutaj znaleźć... - zacząłem i w tym momencie z wielkim trzepotem rzuciła się na nas czapla. Jej niebieskie ślepie płonęły, a żółty dziób dziko kłapał na długiej, wyciągniętej szyi. Tuż za progiem ptak zerwał się do lotu, a ja wiedziałem z całkowitą pewnością, że mierzy prosto w moje oczy. I wtedy zaryczał Desert Eagle, a gniewny, szalony blask niebieskich oczu zgasł nagle, kiedy głowa czapli zniknęła w chmurze zwiewnego, szkarłatnego pyłu. Ciało ptaka, lekkie niczym pusta w środku lalka zbudowana na drucianym szkielecie, uderzyło mnie w pierś, po czym spadło u moich stóp, a jednocześnie w głowie zabrzmiał mi przeszywający, srebrzysty skowyt, pełen niepohamowanej furii.

I nie tylko ja go usłyszałem. Wireman skrzywił się, a Jack upuścił kosz i zasłonił uszy dłońmi. Po chwili zapadła cisza.

- Czapla dostała czapę - zameldował Wireman lekko drżącym głosem. Szturchnął czubkiem buta martwy kłęb piór, zrzucając go z moich butów. - Tylko błagam was, żeby się straż ochrony przyrody o tym nie dowiedziała. Za zabicie takiego ptaka dostałbym pewnie z pięćdziesiąt tysięcy grzywny plus pięć lat odsiadki.

- Skąd wiedziałeś, że ona tu będzie? - zapytałem.

Wzruszył ramionami.

- A czy to ważne? Powiedziałeś, że jak ją zobaczę, to mam strzelać. Ty Samotny Jeździec. - ja Tonto.

- Ale broń trzymałeś w pogotowiu.

- Miałem przeczucie, tak jak niania Meldy, kiedy założyła srebrne bransoletki od mamy - odparł bez uśmiechu. - Coś czuwa nad nami, kropka. Nie ma co wnikać. Powiedziałbym nawet, że należy nam się jakaś pomoc, biorąc pod uwagę, co się stało z twoją córką. Ale swoje zrobić musimy.

- Dobrze, tylko miej gnata pod ręką - poprosiłem.

- O, spokojnie. Możesz na mnie liczyć.
 - A ty, Jack, nauczysz się, jak ładować miotacz harpunów?
- Nie było problemu. Miotacz zasilił nasz arsenał.

III

Wewnątrz szopy panował mrok, i to bynajmniej nie wyłącznie dlatego, że wzniesienie pomiędzy domem a plażą zasłoniło tarczę zachodzącego słońca. Niebo wciąż było całkiem jasne, a dachówki budynek - popękane i porozsuwane. To pędy winorośli zatkały wszystkie szczeliny. Światło przenikające przez ich zasłonę miało zielony kolor, było stłumione i niegodne zaufania.

Na środku szopy stał tylko przedpotopowy traktor bez kół, zaryty głęboko w ziemi ciężarem swoich masywnych osi, ale w boksach pod ścianami promień naszej potężnej latarki wyszperał kilka zardzewiałych, porzuconych narzędzi, a także drewnianą drabinę, przeraźliwie brudną i przygnębiająco krótką. Wireman przyświecił Jackowi, który spróbował na nią wejść. Na drugim szczeblu chłopak podskoczył i wszyscy usłyszeliśmy ostrzegawcze skrzypnięcie.

- Nie kicaj, tylko wystaw ją na zewnątrz - powiedziałem. - To jest drabina, a nie trampolina.

- No, nie wiem... - chrząknął Jack. - Na Florydzie nie ma idealnego klimatu dla starych drewnianych drabin.

- Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma - rzekł sentencjonalnie Wireman.

Jack wziął drabinę w ręce, krzywiąc się na widok kurzu i martwego robactwa, które osypało się gęsto z sześciu zasmolonych szczebli.

- Łatwo ci mówić - odciął się. - Z takim brzuchem to nie ty będziesz po niej łąził.

- W tym oddziale ja jestem snajperem, *niño* - poinformował go Wireman. - Każdy ma swoje zadanie. - Silił się na nonszalancki ton, ale głos miał napięty i wyglądał na mocno zmęczonego. - Gdzie te ceramiczne baniaki, Edgar? Bo coś ich nie widzę.

- Może gdzieś w głębi - odparłem.

I miałem rację: pod samą tylną ścianą szopy faktycznie znaleźliśmy około dziesięciu ceramicznych „baniaków” po stołowej whiskey. Mówię „około”, ponieważ trudno było je policzyć. Leżały tam w kawałkach, rozbite co do jednego.

IV

Białe ceramiczne skorupy pokrywał gęsto drobny brokat tłuczonego butelkowego szkła. Po prawej stronie tej spiętrzonej, migotliwej pryzmy leżały dwa staroświeckie wózki ręczne, oba wywrócone kołami do góry. Po lewej, oparty o ścianę, stał potężny dwuręczny młot z zardzewiałym obuchem i omszałym styliskiem.

- Ktoś się zabawił w rozwalanie wszystkich flaszek, butelek i innych pojemników - ocenił Wireman. - Na kogo stawiacie? Może to był nasz Em?

- Raczej nie inaczej - przytaknąłem.

W tym momencie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że wcale nie musi nam się udać, że możemy z nią przegrać. Zostało jeszcze trochę dnia, ale, prawdę mówiąc, liczyłem na więcej i zaczynałem się już denerwować. A teraz to... W czym teraz utopimy jej porcelanową podobiznę? W butelce wody mineralnej? Pomysł był w sumie całkiem niezły - plastikowe butelki, jak trąbią ekolodzy, są niezniszczalne - ale taka figurka w żaden sposób nie przeszłaby przez szyjkę.

- Mamy jakiś plan awaryjny? - zapytał Wireman. - Może w baku tego starego ciągnika? Wystarczy?

Wyobraziłem sobie, jak próbujemy utopić Perse w baku sędziwego traktora, i momentalnie oblał mnie zimny pot. To była sama rdza, nic więcej.

- Nie - odpowiedziałem. - To się nie sprawdzi.

Musiał usłyszeć w moim głosie jakąś zapowiedź paniki, bo szybko chwycił mnie za rękę.

- Spokojnie - mruknął. - Coś wymyślimy.

- Jasne, tylko co?

- Zabierzemy ją do Czaplego Siedliska i już. Tam na pewno coś się znajdzie.

Ale ja wciąż miałem przed oczyma tę wielką ruinę, która tkwiła na miejscu rezydencji niegdyś będącej koroną tej części wyspy Duma Key; burze zniszczyły wszystko, pozostawiając samą frontową fasadę i w gruncie rzeczy niewiele więcej. A potem zacząłem się zastanawiać, ile szczelnych pojemników uda nam się tam znaleźć, zwłaszcza że pozostało już tylko jakieś czterdzieści minut do zmroku, kiedy to z pokładu „Perse” zejdzie na ląd oddział desantowy, aby ostatecznie położyć kres naszej wścibskiej ingerencji. Boże, jak mogłem zapomnieć o czymś tak podstawowym, tak niezbędnym jak wodoszczelny pojemnik!

- Kurwa! - zgrzytnąłem, kopiąc ceramiczne skorupy, aż prysnęły na wszystkie strony.

- Kurwa!!

- Spokojnie, *vato*. To nic nie da.

Nie musiał mi tego mówić. A ja mój gniew bardzo cieszył, wiedziałem o tym. Porwany dawną wściekłością Edgar dałby łatwo sobą sterować. Robiłem, co mogłem, żeby wziąć się w garść, ale moja mantra „dam sobie radę” przestała działać. A oprócz niej nie miałem pod ręką nic innego. Co więc się robi, kiedy nie można czerpać siły z gniewu? Trzeba pogodzić się z prawdą.

- W porządku - powiedziałem. - Ale i tak nie mam żadnego pomysłu.

- Wyluzuj, Edgar - uśmiechnął się Jack. - Z pojemnikiem nie będzie problemu.

- Jak to? Co wymyśliłeś?

- Zaufaj mi - odparł.

V

Gdy tak staliśmy nad figurką Charleya - ogrodowego dżokeja, przyglądając mu się w świetle, które nabierało już zdecydowanych tonów mocnego fioletu, przypomniał mi się nagle nonsensowny dwuwiersz ze starego bluesa Dave'a Van Ronka: „Miała mama kaczkę, chowaną przez kury / Rzuciła ją na stół, nogami do góry”. Charley nie był kaczką ani kurą, ale jego nogi, oparte na ciemnej żelaznej płycie, faktycznie sterczały do góry. Głowy natomiast nie było widać; przebiła starą, drewnianą klapę, zarośniętą mchem i zielskiem, znikając pod spodem.

- Co to jest, ten zbiornik, *muchacho*? - zapytał Wireman. - Wiesz czy nie wiesz?

- Jestem prawie pewien, że służył do przechowywania wody - odpowiedziałem. - Mam tylko nadzieję, że to nie szambo.

Wireman potrząsnął powątpiewająco głową.

- Nie wrzuciłby ich do dziury z gównem, bez względu na rozstrój psychiczny. Nie ma takiej możliwości. W życiu.

Jack wodził oczami ode mnie do niego i z powrotem, a na jego młodej twarzy malowała się czysta groza.

- Adriana tutaj leży? A niania?

- Też - potwierdziłem. - Wydawało mi się, że to dla ciebie jasne. Najważniejsze jednak, że jest tu również Perse. A dlaczego uważam, że to zbiornik na wodę? Ponieważ...

- Ponieważ Elizabeth na pewno wymogła na ojcu, żeby pochować tę sukę w wodnym grobie - dokończył Wireman ponurym głosem. - Pełnym słodkiej wody.

VI

Charley był ciężki, a deski zasłaniające dziurę ziejącą w wysokiej trawie - jeszcze bardziej przegniłe niż szczeble drabiny. Zresztą nic dziwnego; w przeciwieństwie do drabiny kłapa była bezpośrednio wystawiona na działanie warunków atmosferycznych. Nie zważając na gęstniejący mrok, pracowaliśmy ostrożnie, nie wiedząc, jak głęboko jest pod spodem. Wreszcie udało mi się popchnąć uparte go dżokeja i przechylić go na tyle, żeby moi towarzysze mogli złapać jego lekko krzywe nogi w błękitnych bryczesach. Wstąpiłem przy tym na przegniłą kłapę - ktoś musiał, a ja byłem najlżejszy. Deski ugięły się pod moim ciężarem, jęcząc przeciągle i ostrzegawczo, a pomiędzy nich buchnęło stęchłe powietrze.

- Złaź stamtąd, Edgar! - krzyknął Wireman, a jednocześnie Jack zawołał:

- Trzymaj go! O w mordę kopany, zaraz wpadnie do środka!

Zszedłem z zapadającej się kłapy, a oni złapali Charley: Jack wpół, a Wireman pod kolana. Przez chwilę wydawało mi się, że figura jednak zleci na dół, pociągając ich za sobą, ale oni wyteżyli siły, wydając wspólny okrzyk i przewrócili się w tył, a dżokej poleciał na nich. Po jego wyszczerzonej w uśmiechu twarzy i czerwonej czapce łąziły gęsto olbrzymie, niemrawe chrząszcze. Kilka z nich zleciało na wykrzywioną jeszcze z wysiłku twarz Jacka, a jeden wpadł prosto do ust Wiremanowi, który wrzasnął, wypluł go natychmiast i zerwał się z ziemi, spluwając gdzie popadnie i trąc rękami usta. Chwilę później Jack podskoczył do niego i zaczął obtańcowywać go wkoło, otrzepując z robactwa.

- Wody! - zawył Wireman. - Dajcie mi wody, wpadł mi do ust, łąził mi po języku, czułem to!

- Nie dostaniesz wody - odparłem, przyklękając i grzebiąc w sklętej już mocno torbie z zapasami. Bliżej ziemi zapach zastałego powietrza bijący z poszarpanej dziury w zmurszałej kłapie był o wiele wyraźniejszy, niżbym tego sobie życzył. Jakbym wdychał powiew ze świeżo otwartego grobu. Bo to przecież był grób, nic innego.

- Może być pepsy - zaproponowałem Wiremanowi.

- Ja chromolę coca - colę - zabełkotał Jack. - Ja się pepsy napić wolę. - I zaśmiał się półprzyciennie.

Podąłem Wiremanowi puszkę. Przez jedną chwilę gapił się na nią z niedowierzaniem, po czym szarpnął za otwieracz. Pierwszym łykiem przepłukał usta i zaraz go wypluł, brązową, spienioną strugę. Drugi łyk też wypluł, po czym osuszył puszkę do dna czterema długimi haustami.

- Ay, *caramba* - odetchnął. - Nie macie litości, maestro van Gogh.

Spojrzałem na Jacka.

- Jak sądzisz, damy radę to przesunąć?

Chłopak przyjrzał się klapie, uklęknął i zaczął oczyszczać jej krawędzie z pnączy.

- Damy radę - odpowiedział - ale musimy pozrywać to gówno.

- Trzeba było przynieść jakiś łom - charknął Wireman, wciąż spluwając raz po raz.

Nie miałem mu tego za złe.

- Na nic by się nie przydał - ocenił Jack. - To już jest straszne próchno. Pomóż mi, Wireman. - A kiedy przyklęknąłem obok niego, powiedział po prostu: - Daj spokój, szefie. To jest robota dla dwuręcznych.

Wkurzył mnie tym. Po raz kolejny poczułem palącą złość. Mój dawny gniew bez przerwy czaił się teraz w pobliżu; poskromiłem go najlepiej, jak umiałem, przyglądając się, jak moi towarzysze oczyszczają okrągłą klapę z pędów i chwastów. Niebo ciemniało. Niedaleko nas przeleciał ptak ze zwiniętymi skrzydłami. Leciał na plecach. Kto raz zobaczy coś takiego, natychmiast chce szukać najbliższego domu wariatów. Oddać się pod opiekę. Najlepiej na długo.

Wireman i Jack pracowali po przeciwnych stronach kłapy. Zobaczywszy, że każdy z nich zbliża się do miejsca, gdzie drugi zaczął, zapytałem:

- Jack, załadowałeś miotacz harpunów?

Uniósł wzrok.

- Tak. Czemu pytasz?

- Bo jednak będziemy kończyć na ostatni dzwonek.

VII

Jack i Wireman uklękli po jednej stronie kłapy, ja po drugiej. Niebo nad naszymi głowami pociemniało, przybierając kolor indyga, który wkrótce miał się przesunąć w stronę fioletowego fioleto.

- Na trzy - zakomenderował Wireman. - *Uno... dos... TRES!*

Pociągnęli klapę ku sobie, a jednocześnie ja popchnąłem ją, jak mogłem, mając tylko jedną rękę. A mogłem całkiem sporo, bo w ciągu mojego kilkumiesięcznego pobytu na Dumie wyćwiczyłem sobie tę rękę całkiem porządnie. Przez jedną chwilę kłapa stawiała opór, a potem pojechała w kierunku Wiremana i Jacka, odsłaniając czarny sierp - mroczny, zapraszający uśmiech, który szybko urósł do rozmiarów półksiężyca i wreszcie pełnego koła.

Jack wstał z kolan. Wireman też się podniósł, oglądając swoje dłonie, aby sprawdzić,

czy nie łązą po nich jeszcze jakieś robaki.

- Wiem, jak się czujesz - powiedziałem - ale obawiam się, że nie mamy czasu na kompleksową dezynsekcję.

- Słusznie się obawiasz, ale jeśli chodzi o twoje empatyczne talenty, to niestety: ktoś, komu taki *maricon* nie ganiał po języku, nigdy nie zrozumie, jak ja się teraz czuję.

- Mów, co mamy robić, szefie - przerwał nam pogaduszki Jack, zagładając nerwowo do otworu, z którego wciąż bił ten ziemisty fetor.

- Wireman - zapytałem - strzelałeś już kiedyś z tego miotacza, prawda?

- Prawda. Strzelaliśmy do celu razem z panną Eastlake. Nie mówiłem, że jestem snajperem w tej drużynie?

- W takim razie staniesz na straży. Jack, weź latarkę i poświeć mi.

Widziałem po jego minie, jak bardzo mu się nie chce tego robić, ale nie miał wyboru - teraz nie można już było się wycofać, musieliśmy dokończyć to, co zaczęliśmy. A gdyby nam się nie udało, to nie było dla nas drogi powrotu.

W każdym razie - drogi lądowej.

Jack podniósł z ziemi naszą olbrzymią latarkę, włączył ją i wycelował silny, skupiony promień prosto w ziejący otwór.

- Boże... - szepnął tylko.

Nie pomyliłem się: to był zbiornik na wodę, o ścianach ze skały koralowej. Najwidoczniej w którymś momencie ziemia musiała się osunąć i otworzyć szczelinę - prawdopodobnie gdzieś blisko dna - przez którą cała woda wyciekła. W świetle latarki zobaczyliśmy wilgotną, zarośniętą mchem, okrągłą studnię o średnicy około półtora metra i głęboką na dwa i pół do trzech. Na dnie, splecione uściskiem, który przetrwał osiemdziesiąt lat, leżały dwa ludzkie szkielety okryte zgniłymi łachmanami. Dookoła nich kłębiły się chrząszcze. Ropuchy o białawej skórze - mali chłopcy, bracia dużego chłopaka - skakały po kościach. Obok jednego ze szkieletów leżał harpun. Drugi tkwił, niewyciągnięty, w pozółkłym kręgosłupie niani Meldy.

Krąg światła latarki nagle zaczął się chwiać. Wiedziałem dlaczego: chłopak trzymający latarkę słaniał się na nogach.

- Tylko nam tu nie zemdlej, Jack! - ostrzegłem ostrym tonem. - To rozkaz!

- Nic mi nie jest, szefie - zapewnił, ale oczy miał wielkie jak spodki, lśniące szkliście, a twarz, widoczna nad oślepiającym okiem reflektora, który w dalszym ciągu nie był do końca stabilny, jaśniała pergaminową bielą. - Naprawdę.

- To dobrze. Zaświeć jeszcze na dół. Nie tu, na lewo. Trochę dalej... Tam.

Promień latarki oświetlił ostatnią ocalałą baryłkę po stołowej whiskey, widoczną właściwie już tylko jako garb pod grubym kożuchem mchu. Siedziała na niej jedna z tych białych ropuch; spojrzała na mnie, a jej ślepia zwęziły się złowrogo.

Wireman zerknął na zegarek.

- Mamy jeszcze... jakieś piętnaście minut, zanim zajdzie słońce. Może trochę więcej, może trochę mniej. To jak?

- To tak: Jack wstawi mi do tej dziury drabinę, a ja zejść na dół.

- Edgar... *mi amigo*... Masz tylko jedną rękę.

- Ona zabrała mi córkę. Zamordowała Ilse. Wiesz dobrze, że to należy do mnie.

- W porządku. - Wireman spojrzał na Jacka. - Pozostała nam kwestia pojemnika. Szczelnego pojemnika na wodę.

- Nie martw się tym. - Chłopak podniósł drabinę, wręczywszy mi latarkę. - Poświeć na dół, Edgar. Potrzebuję obu rąk.

Ustawiał ją i ustawiał, ale wreszcie był zadowolony: drabina stanęła na dnie zbiornika, pomiędzy wyciągniętą ręką niani Meldy (choć pokręcał ją gęsty mech, zauważyłem, że kości przedramienia wciąż są spięte srebrnymi bransoletkami) a nogą Adie. Okazało się, że drabina jest naprawdę bardzo krótka - najwyższy szczebel znajdował się ponad pół metra poniżej otworu. Nie zraziło mnie to: Jack mógł mnie podtrzymać, kiedy będę tam wchodził. Przyszło mi do głowy, żeby zapytać go jeszcze raz, skąd weźmie pojemnik na porcelanową figurkę, ale rozmyśliłem się. Widać było, że w tej kwestii jest absolutnie pewny swego, więc postanowiłem zaufać mu do końca. Zresztą, tak naprawdę to nie miałem wyjścia - po prostu było już za późno.

Nagle w mojej głowie zabrzmiał głos, bardzo niski i bardzo cichy, niemalże zamyślony:

Wycofaj się, a pozwolę ci odejść.

- Nigdy - wycedziłem.

Wireman spojrzał na mnie bez zdziwienia w oczach.

- Też to słyszałeś, co?

VIII

Położyłem się na brzuchu, wkładając nogi do otworu. Jack trzymał mnie za ramiona. Wireman stanął obok niego z nabitym miotaczem; za pasek miał zatknięte trzy zapasowe srebrne harpuny. Pomiędzy nimi leżała latarka, obsypując jasnym światłem kupkę

powyrywanych pędów i chwastów.

Stęchły smród był bardzo silny. Coś przebiegło mi po łydce, łaskocząc cienkimi łapkami. Pomyślałem, że trzeba było włożyć spodnie do butów, ale nie miałem już czasu, żeby wstawać i zaczynać wszystko od nowa.

- Czujesz drabinę? - zapytał Jack. - Sięgasz jej nogami?

- Nie, jeszcze... - I w tym momencie trafiłem stopą na pierwszy szczebel. - Jest. Czeka.

- Spokojnie, trzymam cię.

Zabiję cię, jeśli tutaj zejdziesz.

- Spróbuj - warknąłem. - Idę po ciebie, pieprzona ciapo, więc lepiej się postaraj.

Jack spazmatycznie zacisnął palce na moich ramionach.

- Jezu, szefie, na pewno chcesz...

- Na pewno. Tylko mnie nie puszczaj.

Drabina miała sześć szczebli. Kiedy stanąłem na trzecim, Jack nie mógł mnie dłużej trzymać, ale teraz miałem już krawędź otworu na wysokości piersi. Widząc, że wyciąga w moją stronę latarkę, potrząsnąłem głową.

- Będziesz mi świecił.

- Nie rozumiesz - odparł. - To nie do świecenia, to na nią.

Przez chwilę dalej nie wiedziałem, o co mu chodzi.

- Zdejmij zakrętkę, wyciągnij baterie, wsadź ją do środka, a ja podam ci wodę.

Nasz snajper zaśmiał się ponuro.

- Niezły pomysł, *niño* - pochwalił, a potem nachylił się do mnie: - Dawaj, Edgar. Utop tę cipę, czy tam ciapę, jak wolisz. Miejsy ją z głowy.

IX

Czwarty szczebel pękł mi pod nogami. Drabina pojechała w bok, a ja spadłem, nie wypuszczając latarki, którą przytrzymałem sobie kikutem. Promień najpierw uciekł z jamy na ciemniejące niebo, a potem prześlizgnął się po ścianach najeżonych bryłami omszałego koralowca. Wyrznąłem głową w jedną taką bryłę i zobaczyłem wszystkie gwiazdy, a chwilę później leżałem już na pozapadającym posłaniu z kości, tuż przed oczami mając wiekuisty uśmiech Adriany Eastlake Paulson. Spomiędzy jej pozieleniałych od mchu zębów wyskoczyła na mnie jedna z tych białych ropuch; trzasnąłem ją latarką.

- *Muchacho!* - krzyknął Wireman, a zaraz po nim Jack zapytał nerwowo:

- Szefie, wszystko w porządku?

Rozciąłem sobie skórę na głowie - czułem, jak po twarzy spływa mi ciepła strużka - ale poza tym raczej wszystko miałem na miejscu; w Krainie Tysiąca Jezior było ze mną gorzej, o wiele gorzej. A drabina nie upadła, choć mocno się przekrzywiła. Spojrzałem w prawo - stała tam baryłka po stołowej whiskey, ta sama, którą znaleźliśmy dopiero tutaj. Teraz siedziały na niej już dwie ropuchy. Kiedy się zorientowały, że patrzę w tamtą stronę, skoczyły mi prosto w twarz. Perse z całą pewnością bardzo by sobie życzyła, żeby miały zęby, tak jak duży chłopak, którego narysowała Elizabeth. Ach, te stare, dobre czasy.

- Nic mi nie jest - powiedziałem głośno, przepędzając ropuchy ciosami latarki i siadając, nie bez trudu. Za każdym poruszeniem łamałem jakieś kości. Chociaż właściwie... one wcale się nie łamały. Były na to za stare i zbyt rozmiękłe od wilgoci: najpierw się gięły, aby wreszcie pęknąć z kruchym odgłosem. - Podaj mi wodę. Możesz ją zrzucić w torbie, tylko postaraj się nie trafić mnie w głowę.

Spojrzałem na nianię Meldę.

„Wezmę twoje srebrne bransoletki”, powiedziałem jej. „Ale nie chcę ich ukraść. Jeśli jesteś gdzieś blisko i widzisz, co teraz robię, to mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko i zgodzisz się, żebym ich użył. Niech to będzie twoje pożegnanie”.

Zsunąłem srebrne kółka z nagiej kości przedramienia i założyłem na lewy nadgarstek, unosząc wysoko rękę, aż zatrzymały się same, ściągnięte siłą ciężkości. Jack wsunął się do otworu i zawisł głową w dół.

- Edgar, uwaga!

Do zbiornika wpadła torba. Usłyszałem, jak jedna z połamanych przeze mnie kości przebija którąś butelkę, a z butelki zaczyna się sączyć woda. Krzyknąłem, przestraszony i zły, otworzyłem torbę, zajrzałem do środka. Tylko jedna butelka miała dziurę, pozostałe dwie były całe. Odwróciłem się z powrotem w stronę ceramicznej baryłki, wsuwając dłoń pod spód, żeby ją obruszyć, bo stała na grubej warstwie obślizgłej zgnilizny. Nie chciała ustąpić, ale ja byłem zacięty: to, co kryło się w środku, zabrało mi córkę. Wreszcie baryłka potoczyła się pod moje stopy, a wtedy wypadł zza niej spory kawał koralowej skały i gruchnął z głuchym łomotem o błotniste dno zbiornika.

Oświetliłem baryłkę latarką. Od strony ściany była najmniej omszała; zobaczyłem szkockiego górala w kilcie, z nogą uniesioną w swoim tradycyjnym pląsie. Zauważyłem też długie pionowe pęknięcie, biegnące z góry na dół. Zrozumiałem, że to dzieło tamtego fragmentu koralowca; oderwał się od ściany i walnął w baryłkę. Woda z basenu, którą Libbit napęlniła ją w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku, zaczęła wyciekać i nie zostało

już prawie ani kropelki.

Słyszałem, jak w środku coś grzechocze.

Zostaw mnie, bo cię zabiję. Ale jeśli mnie zostawisz, pozwolę ci odejść. Twoim przyjaciółom też.

Wargi rozsunęły mi się w wyszczerzonym uśmiechu. Czy Pam widziała go u mnie, kiedy zaciskałem palce na jej gardle? Tak, oczywiście, że tak.

- Nie trzeba było mordować mojej córki.

Zostaw mnie, bo drugą też ci zabiorę.

Wireman zawołał do mnie, a w jego głosie brzmiała naga, nieskrywana desperacja.

- Weszła Wenus, *amigo!* To chyba zły znak.

Siedziałem pod ścianą ociekającą wilgocią. Gruzły koralowca wbijały mi się w plecy, połamane kości - w bok. Ruchy miałem ograniczone do minimum; gdzieś daleko, w innym kraju, moje biodro pulsowało tęnym bólem. To jeszcze nie był szczyt jego możliwości, ale niedługo powinniśmy do niego dotrzeć. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób zdołam w tym stanie wyjść stąd po drabinie, ale byłem tak wściekły, że w ogóle się tym nie przejmowałem.

- Wybacz, Kruszynko - powiedziałem do Adie, wtykając latarkę w usta jej czaszki. Następnie podniosłem oburącz ceramiczną baryłkę... Oburącz, bo miałem obie ręce. Zgiąłem zdrową nogę w kolanie, zgarniając obcasem blocko i odłamki kości, uniosłem baryłkę wysoko nad głowę, aż dosięgną! jej migotliwy od kurzu snop elektrycznego światła, po czym opuściłem ją z całej siły na wystawione kolano. Pękła w drugim miejscu, a z dziury połała się mulista woda. Nie rozpadła się jednak.

Ze środka dobiegł mnie wrzask Perse; poczułem, że z nosa leci mi krew. A światło latarki nagle przestało być białe. Zalało się czerwienią. W tej szkarłatnej poświacie czaszki Adie Paulson i niani Meldy wytrzeszczyły na mnie puste oczodoły, szczerząc zęby w uśmiechu. Przesunąłem wzrokiem po porośniętych mchem ścianach tej obrzydliwej nory, do której wszedłem z własnej, nieprzymuszonej woli, i zobaczyłem na nich inne twarze: twarz Pam... Wykrzywioną wściekłym grymasem twarz Mary Ire, walącej Ilse pistoletem w głowę... Twarz Kamena, ściągniętą śmiertelnym zdziwieniem, kiedy niespodziewany zawał poraził go jak grom z jasnego nieba... Twarz Toma, szarpiącego kierownicę, aby posłać swój samochód w betonowy mur z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Ale najgorsza była twarz Moniki Goldstein, krzyczącej: „Zabiłeś mi pieska!”.

- Edgar, co się dzieje? - Z niewyobrażalnej dali dotarł do mnie głos Jacka.

Przypomniał mi się zespół Shark Puppy i jego piosenka „Dig” na falach The Bone. Przypomniało mi się, jak powiedziałem Tomowi: „Ten facet umarł w samochodzie

zmiądzonym przez dźwig”.

Więc włóż mnie do kieszeni i chodźmy stąd, razem, szepnął jej głos. Wspólnie poześlujemy do twojego nowego życia, prawdziwego nowego życia, a wszystkie miasta świata rzucę ci do stóp. Będiesz żył długo... mogę to sprawić... i zostaniesz największym artystą swoich czasów. Będą cię wymieniać jednym tchem z Goyą. Z Leonardem.

- Edgar? - W głosie Wiremana dźwięczała panika. - Od strony plaży ktoś do nas idzie. Już ich chyba słyszę. Nie jest dobrze, *muchacho*.

Oni są niepotrzebni. Tobie. Nam. Nie liczą się. To tylko... To tylko załoga.

Tylko załoga. Na dźwięk tych słów opadł mnie z powrotem gniew, czerwony gniew. Prawa ręka zaczęła znikać, ale zanim zniknęła całkowicie... zanim cała furia zdążyła wyślizgnąć mi się z rąk razem z tym cholernym, popękany kegiem...

- Hak ci w cherlak, ty tchórzliwa, mięczakowata ciapo - wycharczałem, unosząc baryłkę nad głową i mierząc ponownie w obolałe, uniesione kolano. - Hak ci w zdechlak. - Opuściłem naczynie z całej siły na swoją kościstą rzepkę. Ból był mniejszy, niż się spodziewałem. Zresztą w końcu chyba zawsze tak jest, prawda? - Chuchro ci w truchło.

Baryłka była już pęknięta, więc po prostu się rozleciała, zalewając mi dzinsy mętną wodą, której w środku zostało może na dwa centymetry. Wypadła z niej niewielka figurka z porcelany: kobieta okryta szatą z kapturem. Dłoń podtrzymująca jej poły pod szyją nie była ludzką dłonią, ale szponem. Podniosłem figurkę. Chociaż zabrakło mi czasu, żeby się jej przyjrzeć - tamci byli już coraz bliżej, byłem tego całkiem pewien, szli po Wiremana i Jacka - to jednak zdążyłem zauważyć niezwykłą urodę Perse. Bo trzeba przyznać, że była piękna - o ile tylko komuś nie przeszkadzała ta szponiasta dłoń i niepokojąca świadomość, że na środku czoła, za zasłoną włosów wysypujących się spod kaptura, ta kobieta nosi trzecie oko. Figurka sprawiała też wrażenie wyjątkowo delikatnej, niemalże półprzejrystej. Kiedy jednak spróbowałem złamać ją w palcach, stawiała opór niczym sztaba czystej stali.

- Edgar! - wrzasnął Jack.

- Zatrzymajcie ich! - odkrzyknąłem. - Musicie ich zatrzymać!

Schowałem figurkę do kieszeni na piersi; momentalnie po skórze rozlało mi się obrzydliwe ciepło. Oprócz ciepła poczułem też wibrujące dudnienie. Moja zaklęta ręka, kończyzna niegodna zaufania, znów zniknęła, więc wetknąłem sobie butelkę wody mineralnej pod prawą pachę, przytrzymując kikutem. Odkręciłem ją, po czym powtórzyłem tę trudną dla mnie, a do tego czasochłonną czynność z drugą butelką.

Z góry dobiegł mnie głos Wiremana, gromki, lecz niemalże całkowicie spokojny:

- Nie ruszać się! Ten harpun ma srebrny grot! Stać, bo strzelam!

Odpowiedź usłyszałem wyraźnie, nawet tam, na dnie zbiornika:

- *Wydaje ci się, że dasz radę nabijać tak szybko, żeby zastrzelić nas troje?*

- Nie, Emery - odparł Wireman takim tonem, jakby tłumaczył coś dziecku, a zanim skończył mówić, jego głos okrzepł już całkowicie. Nigdy przedtem i nigdy potem nie kochałem tego człowieka bardziej niż w tamtej chwili. - Ty mi wystarczysz.

A dla mnie zaczęła się wtedy najtrudniejsza część operacji. Najstraszniejsza.

Zacząłem odkręcać denko latarki. Po drugim obrocie żarówka zgasła i znalazłem się w niemalże całkowitej ciemności. Wytrząsnąłem baterie ze stalowej obudowy, szukając po omacku pierwszej otwartej butelki. Wreszcie wpadła mi w dłoń i mogłem nalać wody, kierując się samym tylko dotykiem. Nie miałem pojęcia, jaką pojemność ma taka latarka, ale wydawało mi się, że jedna butelka wystarczy, żeby napełnić ją po sam brzeg. Myliłem się. Kiedy wyciągałem dłoń po drugą butelkę, na wyspie Duma Key ostatecznie zapadła noc. Domyślałem się, że to był właśnie ten moment, bo wtedy porcelanowa figurka w mojej kieszeni nagle ożyła.

X

Kiedy nachodzą mnie wątpliwości, czy ta moja ostatnia opętańcza walka na dnie ciemnej jamy naprawdę się odbyła, czy też może to tylko jedna wielka ułudka - to wystarczy, że spojrzę na zbite kłębowisko białych blizn, które noszę na lewej piersi. Kto miałby okazję oglądać mnie nago, nie zwróciłby na nie szczególnej uwagi; po wypadku moje ciało jest jak mapa drogowa, a ten mały biały kłębuszek zazwyczaj gubi się w tłumie innych, daleko bardziej pokazowych. Ale jest to pamiątka po zębach żywej lalki. Lalki, która porwała mi koszulę, rozszarpała skórę i wżarła się w mięśnie na piersi.

Chciała przegryźć się do samego serca.

XI

Z zaskoczenia o mały włos nie przewróciłem drugiej butelki. Głównie z zaskoczenia, chociaż bolało też, a jakże, i to nieźle. Zacząłem krzyczeć. Butelkę na szczęście udało mi się jakoś złapać. Czuję, jak świeża krew leje się po skórze i spływa do wcięcia pomiędzy piersią a brzuchem. Lalka rzucała mi się w kieszeni, a raczej wiła się dziko, kłusując mnie raz za razem, orząc zębami i zatapiając je coraz głębiej w ciało. Musiałem oderwać ją siłą, razem ze sporym strzępem zakrwawionej koszuli i wielkim kawałem mięsa z mojej własnej piersi. Straciła już poprzednią gładkość i chłód. Teraz była rozpalona i szamotała mi się w dłoni.

- No, chodźcie! - ryknął Wireman na górze. - No, dalej, chcecie spróbować?

Poczułem, jak porcelanowe ząbki lalki, ostre niczym igły, wbijają się w luźną skórę pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.. Zawyłem z bólu. Zanosiło się już na to, że nie poradzę z nią sobie pomimo całej swojej furii i determinacji, ale w tym momencie bransoletki niani Meldy zjechały mi na nadgarstek i poczułem, jak figurka kuli mi się w dłoni, uciekając przed ich dotykiem. Jedna jej noga wypęzła jak wąż pomiędzy palcem środkowym a serdecznym. Ścisnąłem ją w garści z całej siły, krępując tak, żeby nie mogła drgnąć. Jej ruchy nabrały ospałej niemrawości. Nie będę przysięgał, że dotknęła jej któraś ze srebrnych bransoletek - bo było ciemno choć oko wykol - ale jestem prawie pewien, że tak.

Nad moją głową rozległo się głucho stęknienie naboju ze sprężonym powietrzem; to wypalił miotacz harpunów, a wycie, które po nim nastąpiło, przekłuło mi uszy i dowierciło się chyba aż do samego mózgu. Jednocześnie, zza zasłony tego nieludzkiego krzyku, dobiegł mnie głos Wiremana:

- Stań za mną, Jack! Łap jedną.

A potem było już tylko ciężkie dyszenie moich przyjaciół i wściekły, nieziemski chichot dwóch dziewczynek, które umarły dawno temu.

Trzymałem napełnioną wodą latarkę między kolanami i bardzo dobrze zdawałem sobie sprawę z faktu, że po ciemku wszystko może się nie udać, zwłaszcza facetowi z jedną ręką. I że mam tylko jedną szansę. W takiej sytuacji najlepiej się nie wahać.

Nie! Stój! Nie rób te...

Wcisnąłem lalkę do obudowy latarki. Efekt był natychmiastowy: dobiegający z góry gniewny śmiech dziewczynek przerodził się w trwożliwe piski całkowitego zaskoczenia. Po chwili usłyszałem głos Jacka, a choć był histeryczny i na wpół obłąkany, to jeszcze nigdy w życiu tak się nie cieszyłem, że słyszę drugiego człowieka:

- Tak jest, spieszajcie w podskokach! Bo statek wam ucieknie!

Dotarło też do mnie, że mam tu niejaki problem. Wyjąłem latarkę spomiędzy kolan i trzymałem ją teraz w dłoni. W środku była ona... Ale zakręcane denko leżało gdzieś obok, a ja nie miałem szans, żeby je zobaczyć, i nie mogłem nawet szukać go po omacku, bo nie miałem drugiej ręki.

- Wireman! - zawołałem. - Wireman, jesteś tam?

Po chwili, która zdawała się tak długa, że wielkooki strach zdążył już zapuścić porządne korzenie w moim sercu, dobiegła mnie jego odpowiedź:

- Jestem, *muchacho*.

- Co z wami? W porządku?

- U mnie jedno małe draśnięcie. Trzeba to będzie odkazić, ale poza tym jest dobrze. Chłopakowi też chyba nic nie dolega.

- Jack, możesz zejść tutaj do mnie? - poprosiłem. - Nie mam wolnej ręki.

A potem, zgarbiony na tej brudnej podłodze i otoczony starymi kośćmi, dzierżąc w dłoni napełnioną po brzegi wodą obudowę latarki niczym Statua Wolności swoją pochodnię, zacząłem się śmiać.

Czasami prawda jest po prostu tak oczywista, że nie sposób zachować powagi.

XII

Moje oczy przyzwyczyły się już do ciemności na tyle, że dostrzegłem cień pełznący po ścianie zbiornika - to był Jack, który schodził przodem po drabinie. Obudowa latarki wibrowała mi w dłoni, słabo, ale wyraźnie. Wyobraziłem sobie kobietę tonącą w ciasnej stalowej rurze i czym prędzej odpędziłem ten obraz. Za bardzo przypominał mi o tym, co spotkało Ilse, a potworzyca, którą uwięziłem, w niczym nie była podobna do mojej córki.

- Uważaj, nie ma jednego stopnia - ostrzegłem Jacka. - Jeśli nie chcesz zostać tutaj na dole ze skrzywionym karkiem, to idź ostrożnie.

- Nie mogę dziś umrzeć - odpowiedział słabym, drżącym, zmienionym nie do poznania głosem. - Jutro mam randkę.

- Gratuluję.

- Dzięki...

Przegapił złamany szczebel. Drabina szarpnęła się pod nim. Przez chwilę byłem pewien, że spadnie, zwali się prosto na mnie, wytrąci mi latarkę, woda się wyleje, lalka wypadnie, a wtedy wszystko na nic.

- Co się dzieje? - zawołał Wireman z góry. - Co się, kurwa, dzieje?

Jack przywarł plecami do ściany, zaciskając palce na wystającym fragmencie koralowca, który szczęśliwym trafem podsunął mu się pod rękę w ostatniej, decydującej chwili. Widziałem, jak jego noga spada niczym kafar na następny, nienaruszony szczebel. Rozległ się zdrowy trzask dartego materiału.

- Kurna - szepnął Jack. - O kurna, kurwa, kurna.

- Co się dzieje?! - wrzasnął Wireman.

- Jack Cantori podarł sobie spodnie na dupie - odpowiedziałem. - Zamknij się teraz na chwilę. Jack, jesteś już prawie na dole. Wsadziłem ją do latarki, ale nie mam drugiej ręki i nie mogę znaleźć zakrętki. Musisz jej poszukać. Możesz po mnie deptać, tylko nie potrać latarki.

Dasz radę?

- Spoko... Spoko. Jezu, Edgar, myślałem, że polecę prosto na twarz.

- Ja też tak myślałem. Złaż już. Tylko powoli.

Zszedł. Na samym dole najpierw nadepnął mi na udo - zabolalo - a potem na pustą butelkę po wodzie mineralnej, która zaskrzyphiała przeraźliwie. Potem trafił nogą na coś, co pękło z wilgotnym trzaskiem, jak popsuty kapiszon.

- Co to było, Edgar?! - Jack był dosłownie bliski łez. - Co to...?

- Nic - przerwałem mu, chociaż byłem prawie pewien, że to czaszka Adie. W następnej chwili Jack zahaczył biodrem o latarkę. Zimna woda pociekła mi po nadgarstku. Poczulem, jak coś obija się o metalową obudowę od wewnątrz, a w myślach ujrzałem przeraźliwe, czarnozielone oko - taki kolor ma woda w momencie, gdy zamiera ostatnie światło. To oko przejrzało mój umysł, docierając spojrzeniem do jego najskrytszych głębin, gdzie gniew przekracza próg szału i popycha do morderstwa. Przejrzało mój umysł... a potem wgrzyzło się w niego. Tak jak, dajmy na to, kobieta odgryza kęs śliwki. Nigdy nie zapomnę tego uczucia.

- Uważaj, Jack. Oszczędne ruchy. Jak na miniaturowej łodzi podwodnej. Najostrożniej, jak tylko umiesz.

- Zaczynam svirować, szefie. Mam klaustrofobię.

- Oddychaj głęboko. Dasz sobie radę. Zaraz stąd wychodzimy. Masz może zapalniczki?

Nie miał. Zapalniczki też nie. Jack Cantori nie odmawiał sobie sześciu piwek w sobotni wieczór, ale płuca miał czyste. Następstwem jego zdrowego trybu życia było długie, koszarne oczekiwanie (Wireman mówi, że trwało góra cztery minuty, ale dla mnie to było trzydzieści, co najmniej trzydzieści). Jack raz po raz przyklękał, macał wśród porzucanych kości, wstawał, przesuwiał się odrobinę, znów przyklękał i znów macał. A ja traciłem czucie w coraz bardziej zmęczonej ręce. Dłoń mi drętwiała. Z ran na piersi wciąż lała się krew i nie wiedziałem, czy to dlatego, że wolno krzepnie, czy może dlatego, że nie krzepnie w ogóle. Ale najgorsza była ta dłoń. Przystawałem już czuć cokolwiek, aż wreszcie zaczęło mi się wydawać, że nie ma żadnej latarki z wodą, bo nie mogłem jej dojrzeć i nie czułem jej pod palcami. Ciężar też się zatracił, zagłuszony pulsowaniem znużonych mięśni. Dręczyła mnie pokusa, która kazała mi stuknąć metalową obudową o ścianę, żeby sprawdzić w ten sposób, czy w ogóle trzymam ją jeszcze w dłoni. Musiałem z tym walczyć, chociaż zdawałem sobie sprawę, że mogę upuścić latarkę. Powoli zacząłem dochodzić do przekonania, że zakrętka zawieruszyła się na dobre w tej stercie potrzaskanych kości i Jack po ciemku nigdy jej nie znajdzie.

- Co się dzieje? - zawołał Wireman.

- Już kończymy! - odkrzyknąłem. Cienka strużka krwi zalała mi lewe oko. Zapieкло, więc mrugnąłem, aby ją strząsnąć. Próbowałem pomyśleć o Illy, o mojej Nimfie, ale z przerażeniem stwierdziłem, że nie potrafię przypomnieć sobie jej twarzy. - Mamy tu mały pośpiech, małe zwłoki, zaraz sobie poradzimy.

- Co macie?

- Poślizg! Mały poślizg, małą zwłokę! Głuchy jesteś, do cholery, Wearman?

Trzymałem latarkę krzywo. Bałem się, że trzymam ją krzywo. Woda mogła lać mi się po dłoni, a ja wcale tego nie czułem, bo była całkiem zdrętwiiała. Z drugiej strony, jeśli nie trzymałem latarki krzywo, to próbując ją wyprostować, ryzykowałem, że jeszcze gorzej wszystko popsuję.

Jeśli woda wycieka, to za kilka sekund jej głowa się wynurzy. I to będzie koniec wszystkiego. Wiesz o tym, prawda?

Wiedziałem. I dalej tkwiłem na podłodze, unosząc wysoko rękę i bojąc się choćby drgnąć. Czekałem, a krew lała się ze mnie bez przerwy. Upływ czasu: zawieszony. Pamięć: blade widmo.

- Jest - odezwał się w końcu Jack. - Zaplątała się komuś między żebrami. Czekać... Mam ją.

- Dzięki Ci, Boże - westchnąłem. - Dzięki Ci, Jezu.

Jack zamajaczył przede mną, zamazana sylwetka klęczącego człowieka z jednym kolaniem pomiędzy moimi niezgrabnie przykurczonymi nogami, na podściółce z kości, które kiedyś należały do najstarszej córki Johna Eastlake'a. Wyciągnąłem do niego latarkę.

- Zakręcaj. Tylko delikatnie, bo już nie dam rady utrzymać tego prosto.

- Na całe szczęście - odparł - ja mam dwie ręce.

I położył jedną dłoń na mojej dłoni, stabilizując zalaną wodą latarkę, a drugą nakręcił denko z powrotem na gwint. Przerwał pracę tylko raz, żeby zapytać, dlaczego płaczę.

- Z ulgi - wyjaśniłem. - Kończ szybciej. Pospiesz się.

Kiedy wreszcie skończył, wziąłem od niego zamkniętą latarkę. Była lżejsza niż wtedy, gdy miała w środku baterie, ale nie zważałem na to. Obchodziło mnie tylko, czy jest dobrze, szczelnie zamknięta. Wydawało się, że tak. Poleciałem Jackowi, żeby poprosił Wiremana o jeszcze jedno sprawdzenie, kiedy już wyjdzie na górę.

- Zrobi się - zapewnił.

- I spróbuj nie łamać już więcej szczebli. Potrzebne mi są w komplecie.

- Wyjdź tylko ponad ten złamany, a dalej już cię wyciągniemy.

- Dobra. A ja nikomu nie powiem, że porwałeś sobie spodnie na siedzeniu.

Tak go to rozbawiło, że aż się roześmiał. Odprowadziłem go wzrokiem, cień pełną po drabinie. Żeby ominąć złamany szczebel, musiał unieść wysoko nogę. Na chwilę opadło mnie zwątpienie, któremu towarzyszyła straszliwa wizja małych porcelanowych rączek odkręcających denko latarki od wewnątrz - owszem, przyszło mi to na myśl, chociaż byłem całkiem pewien, że słodka woda unieruchomiła ją na dobre - ale Jack nie krzyknął ani nie spadł. Zły moment minął, a chłopak dotarł w końcu do kręgu nieco mniej nieprzebitej ciemności widniejącego w górze.

Kiedy wyszedł już na powierzchnię, Wireman pochylił się nad otworem i zawołał:

- Teraz ty, *muchacho!*

- Za chwilę - odparłem. - Twoje gołębki już sobie poszły?

- Uciekły. Pewnie skończyła im się przepustka na ląd.

- A Emery?

- To już musisz sam zobaczyć. Wyłaź.

- Za chwilę - powtórzyłem.

Oparłem plecy i głowę o śliską, omszałą ścianę wyłożoną koralowcem, zamknąłem oczy i wyciągnąłem rękę, szperając na oślep, dopóki nie trafiłem na coś kulistego i gładkiego w dotyku. Dwa palce znalazły wgłębienie, które nie mogło chyba być niczym innym jak tylko oczodołem. A ponieważ byłem pewien, że czaszka, którą rozdeptał Jack, należała do Adriany...

„To już koniec”, powiedziałem niani Meldzie. „Tak pomyślny, jak to tylko możliwe tutaj, na południowym krańcu wyspy. Wiem, że to nie jest najlepszy grób, ale być może nie będziesz już długo w nim leżeć, moja droga”.

- Mogę zatrzymać twoje bransoletki? - zapytałem. - Możliwe, że zostało jeszcze coś do zrobienia.

Tak. Bałem się, że niebawem czeka mnie kolejne starcie.

- Edgar? - W głosie Wiremana zabrzmiał niepokój. - Do kogo ty mówisz?

- Do tej, której naprawdę zawdzięczamy zwycięstwo nad Perse - wyjaśniłem.

A ponieważ ta, której zawdzięczaliśmy zwycięstwo, nie kazała mi zwrócić bransoletek, zatrzymałem je sobie i zacząłem wstawać, co kosztowało mnie sporo czasu i nie mniej bólu. Na dno zbiornika posypały się kawałki pokruszonych kości i odpryski zielonych od mchu skorup. Lewe kolano - to zdrowe - miałem spuchnięte; podarta nogawka spodni opinała się na nim ciasno. Głowa pulsowała od bólu, a pierś płonęła żywym ogniem. Drabina miała w moich oczach co najmniej kilometr wysokości, ale nad krawędzią otworu majaczyły

ciemne sylwetki Jacka i Wiremana. Czekali, żeby wyciągnąć mnie na górę, kiedy tylko - jeśli tylko - uda mi się wdrapać na tyle wysoko, żeby mogli mnie chwycić.

Dziś księżyc jest w trzeciej kwadrze, pomyślałem, a dopóki nie wyjdę z tej dziury, to go nie zobaczę.

Więc ruszyłem się z miejsca.

XIII

Nad wschodnim obrzeżem horyzontu na niebo dźwignął się brzuchaty, żółty księżyc, zalewając swoim blaskiem bujną dżunglę przytłaczającą południowy kraniec wyspy. Złota poświata oblepiła ściany zrujnowanej rezydencji, w której niegdyś zamieszkiwał John Eastlake, jego gosposia i sześć córek; żyli, jak się domyślam, całkiem szczęśliwie, dopóki Libbit nie wypadła z dwukółki. Wtedy wszystko się zmieniło.

Księżycowa poślota dotknęła również starego, inkrustowanego naroślami koralowca szkieletu, leżącego na posłaniu z podeptanych winorośli, tych, które Jack i Wireman powyrywali z korzeniami, aby odsłonić klapę zbiornika na wodę. Przyglądając się szczątkom Emery'ego Paulsona, przypomniałem sobie urywek z Szekspira, jeszcze z czasów szkoły średniej. Wyrecytowałem go na głos:

Ojciec na dnie morza spoczął (...)

Blade perły w miejscu oczu.

Jack wzdrygnął się gwałtownie, jakby smagnął go przenikliwy, wilgotny wiatr. Objął się ramionami. Tym razem go dopadło.

Wireman pochylił się, podnosząc z ziemi rachityczną rękę; pękła w dwóch miejscach, nie wydając najłżejszego dźwięku. Emery Paulson spędził w *caldo* długie, długie lata. Pomiędzy jego żebrami sterczał harpun, zagrzebany grotem w ziemi. Wireman wyciągnął go.

- A jak bez nabitej broni odstraszyliście Piekielne Bliźniaczki? - zapytałem.

Wireman dźgnął harpunem powietrze, jakby trzymał w dłoni sztylet.

- Tak było. - Jack przytaknął skinieniem głowy. - Wyrwałem mu jeden harpun z pasa i robiłem tak samo. Ale nie wiem, czy na dłuższą metę to by podziałało. One były jak para wściekłych psów.

Wireman zatknął grot, którym trafił Emery'ego, z powrotem za pasek.

- *À propos* rozwiązań na dłuższą metę: dobrze by było obstalować nowy domek dla

twojej laleczki, nie sądzisz, Edgar?

Miał rację. Jakoś nie umiałem sobie wyobrazić, że Perse wytrzyma następne osiemdziesiąt lat zamknięta w obudowie latarki firmy Garrity. Już teraz zacząłem się zastanawiać, czy ścianka oddzielająca przegrodę na baterie od soczewki z żarówką jest bardzo cienka. Myślałem też o fragmencie koralowca, który oderwał się od ściany zbiornika, spadając prosto na baryłkę po stołowej whiskey: czy to był przypadek... czy może ostateczne zwycięstwo umysłu nad materią, zwieńczenie cierpliwej, długoletniej pracy? Inni robią podkopy trzonkiem łyżki, tymczasem Perse mogła mieć własne sposoby na wydostanie się ze swojej celi.

Tak czy inaczej, latarka spełniła swoje zadanie. Niech Bóg błogosławi praktyczny umysł Jacka Cantoriego. Chociaż nie - to zbyt pretensjonalne. Niech błogosławi Jacka i już.

- Znam w Sarasocie jednego złotnika - powiedział Wireman. - Specjalizuje się w srebrze. *Mexicano muy talentoso*. Panna Eastlake ma - miała - kilka wyrobów z jego pracowni. Spokojnie mógłbym u niego zamówić wodoszczelny cylinder na tyle duży, żeby zmieściła się w nim ta latarka. To by nam dało, jak to mówią agenci ubezpieczeniowi i trenerzy drużyn futbolowych, podwójną pewność. Będzie swoje kosztować, ale co z tego? Jeśli nikt nie obali testamentu starszej pani, to niedługo będę bardzo bogaty. Ale mi się trafiło, *muchacho*.

- *La loteria* - odparłem bez zastanowienia.

- *Si*. - Skinął głową. - *La cholerna loteria*. Chodzą Jack. Pomóż mi zrzucić Emery'ego na dół.

Jack skrzywił się.

- Dobra, tylko że... Prawdę mówiąc, wolałbym go nie dotykać.

- Ja ci pomogę z Emerym - powiedziałem. - Jack niech potrzyma latarkę. Już, Wireman? Do roboty.

Zawlekliśmy Emery'ego do otworu, a potem wrzuciliśmy jeszcze do zbiornika to, co odpadło i leżało w trawie - a w każdym razie wszystko, co udało nam się znaleźć. Po dziś dzień pamiętam jego skamieniały, koralowy uśmiech, kiedy spadał w ciemność, aby dołączyć do swojej żony. Oczywiście, ten uśmiech czasami mi się śni. W tych snach słyszę, jak Adie i Em wołają do mnie z tej ciemności; pytają, czy nie zechciałbym zejść i przyłączyć się do nich. I czasami, w tych snach, schodzę. Czasami rzucam się w tę ciemną, cuchnącą gardziel - tylko po to, żeby położyć kres swoim wspomnieniom.

Z tych snów budzę się z krzykiem i pogrążony w ciemności biję dookoła pięścią, której nie ma.

XIV

Wireman i Jack z powrotem zasunęli otwór klapą, a potem wróciliśmy do starego mercedesa Elizabeth. Szedłem powoli i z wielkim bólem, a pod koniec właściwie już tylko kuśtykałem. Jakbym cofnął się w czasie do października. Moje myśli zaczęły krążyć wokół tych kilku tabletek oxycontin, które czekały na mnie w Wielkim Koralu. Postanowiłem zażyć trzy. Oprócz uśmierzenia bólu taka dawka, przy odrobinie szczęścia, mogła mnie uspić przynajmniej na parę godzin.

Obaj moi przyjaciele proponowali mi, żebym się na nich oparł. Odmawiałem. To nie była moja ostatnia przechadzka tej nocy; co do tego podjąłem już decyzję. Wciąż brakowało ostatniego elementu tej układanki, ale miałem pewną koncepcję. Co Elizabeth powiedziała Wiremanowi? „Będziesz tego pragnął, ale ci nie wolno”.

Za późno, za późno, za późno.

Mojej koncepcji daleko było do konkretności. Bardzo konkretny był natomiast odgłos wydawany przez muszle. W Wielkim Koralu słyszałem go dosłownie wszędzie, ale dla uzyskania pełnego efektu trzeba było posłuchać go pod gołym niebem. Wtedy najbardziej przypominał gwar pomieszanych głosów. Tyle nocy zmarnowałem na malowanie, a mogłem przecież słuchać.

Dzisiaj posłucham, postanowiłem.

Kiedy minęliśmy kamienne słupy, Wireman przystanął.

- *Abyssus abyssum invocat* - powiedział.

- Otchłań przyzywa otchłań - zawtórował mu Jack i westchnął.

Wireman spojrzał na mnie.

- Jak sądzisz, będziemy mieli kłopoty w drodze powrotnej?

- Teraz? Nie.

- I nie mamy tu już nic do roboty?

- Nie mamy.

- Wrócimy tutaj kiedyś?

- Nie - odparłem, spoglądając w stronę zdewastowanego domu, śpiącego w blasku księżyca. Nie miał już swoich tajemnic. Przypomniało mi się, że zostało tam pudełko małej Libbit, pudełko w kształcie serca. Ale być może tak było lepiej. Niech tam zostanie.

- Nikt już nigdy nie przyjdzie w to miejsce - oznajmiłem.

Jack zerknął na mnie - zaciekawiony, a jednocześnie nieco wystraszony.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Wiem - uciałem.

MUSZLE PRZY BLASKU KSIĘŻYCA

I

W drodze powrotnej nie mieliśmy żadnych problemów. Fetor dżungli wciąż wisiał w powietrzu, ale mimo to było już lepiej - po części dzięki silnemu wiatrowi, który przyszedł znad zatoki, a po części dlatego, że po prostu... było lepiej.

Zewnętrzne oświetlenie *El Palacio* włączało się automatycznie o ustawionej godzinie. Wspaniale to wyglądało, gdy nagle ciemność przed nami zamigotała światłem. Po wejściu do domu Wireman ruszył w obchód po wszystkich pokojach, metodycznie włączając lampę za lampą. Nie zostawił ani jednej żarówki zgaszonej, a kiedy skończył, dom, w którym Elizabeth Eastlake spędziła większą część swojego życia, rozjarzył się niczym transatlantyk wchodzący do portu o północy.

Kiedy już *El Palacio* otrzymał pełną iluminację, po kolei wzięliśmy prysznic, przekazując sobie latarkę z rąk do rąk, jak pałeczkę w sztafecie; zawsze ktoś ją trzymał. Najpierw wykapał się Wireman, potem Jack, a na końcu ja. Po wyjściu spod prysznicza wymyty delikwent dostawał się w ręce pozostałej dwójki: przechodził dokładne oględziny i dezynfekcję wodą utlenioną najmniejszych nawet zadrapań. Ja byłem w najgorszym stanie, a kiedy w końcu ubrałem się z powrotem, cała skóra szczypała mnie jak diabli.

Kończyłem już wiązać buty (mozolna praca, jeśli nie ma się dwóch rąk), kiedy do pokoju gościnnego wszedł Wireman. Minę miał poważną.

- Chodź, musisz tego posłuchać. Dzwonili z komisariatu w Tampie. Nagrali wiadomość. Pomogę ci z tym.

Przyklęknął na jedno kolano i zawiązał mi sznurówki. Bez większego zdziwienia odnotowałem, że przybyło mu siwych włosów. Nagle, ni stąd, ni zowąd, przeszył mnie dreszcz niepokoju. Chwyliłem Wiremana za ramię, wbijając palce w jego grube mięśnie.

- Latarka! Czy Jack...?

- Wyluzuj. Cały czas ma ją przy sobie. Siedzi w salonie, tam gdzie stało Porcelanowe

Miasteczko panny Eastlake.

Mimo wszystko uznałem jednak, że pośpiech jest wskazany. Nie wiem, co spodziewałem się zastać w tym salonie - może tylko odkręconą latarkę leżącą na podłodze w ciemnej kałuży, a może Jacka zmienionego w kobietę, trójką harpię ze szponami u rąk, zjawę ze starej, popękanej baryłki. Nic z tych rzeczy: Jack siedział spokojnie, trzymał latarkę, a na jego twarzy malowały się niepokój i troska. Zapytałem go, czy wszystko w porządku. I zajrzałem mu głęboko w oczy. Gdyby... coś mu się stało... to chyba dostrzegłbym to w jego oczach.

- Nic mi nie jest - odpowiedział. - Ale to, co mówił tamten gliniarz... - Urwał, potrząsając głową.

- No cóż, posłuchajmy.

Facet, który przedstawił się jako detektyw Samson, wyjaśnił, że szuka panów Edgara Freemantle'a i Jerome'a Wiremana, ponieważ ma kilka pytań dotyczących Mary Ire. Szczególnie zależało mu, aby porozmawiać z panem Freemantle'em, o ile nie wyjechał do Rhode Island albo do Minnesoty, dokąd, jak mu było wiadomo, zostaną przewiezione zwłoki jego córki; tam też odbędzie się pogrzeb.

- Rozumiem, że pan Freemantle jest pogrążony w żałobie - wyjaśnił detektyw Samson - a sprawa, z którą dzwonię, należy w zasadzie do policji z Providence, ale wiadomo mi, że Mary Ire przeprowadziła z nim ostatnio wywiad, więc zgłosiłem się na ochotnika, aby, jeśli to możliwe, zdobyć jego zeznania, jak również pańskie, panie Wireman. Mogę wyjaśnić przez telefon, co najbardziej interesuje moich kolegów z Providence, więc jeśli tylko wystarczy taśmy na nagranie...

Wystarczyło. I tak ostatni element układanki wskoczył na swoje miejsce.

II

- Edgar, to jest czysty obłąd - powiedział Jack. Powtórzył to po raz trzeci, a w jego głosie słyhać już było desperację. - Kompletne wariactwo. - Odwrócił się do Wiremana. - No, powiedz mu!

- *Un poco loco* - zgodził się Wireman, ale ja, w przeciwieństwie do Jacka, znałem różnicę pomiędzy *poco* a *muy**.

Staliśmy przed domem, pomiędzy sedanem Jacka a starym mercedesem Elizabeth. Księżyc podźwignął się już nieco wyżej, wiatr przybrał na sile. Fale były o brzeg, a półtora

* *Un poco* (hiszp.) - trochę; *muy* (hiszp.) - bardzo; *loco* (hiszp.) - szalony (przyp. tłum.).

kilometra dalej muszle pod podłogą Wielkiego Korala rozprawiły już zapewne o najprzeróżniejszych dziwach: *muy asustador*.

- Ale coś mi się wydaje - dodał Wireman - że mógłbym gadać do rana, a on i tak nie zmieniłby zdania.

- Bo wiesz, że mam rację - wtrąciłem.

- *Tu perdón, amigo* - sprzeciwił się - ale to nie jest powiedziane. Wcale nie musisz mieć racji. Wiedz tylko, że jak już pójdziesz, to Wireman padnie na te stare, tłuste kolana i będzie zanosił serdeczne modły, żeby się okazało, że miałeś rację.

- Przynajmniej tego ze sobą nie bierz. - Jack spojrzał na latarkę, którą trzymałem w dłoni. - Za przeproszeniem, szefie, chyba cię pojebało, że chcesz to zabrać!

- Wiem, co robię - uciałem, modląc się w duchu, żeby to była prawda. - A wy macie zostać tutaj, jeden i drugi. Nie próbujcie przypadkiem iść za mną! - Uniosłem dłoń z latarką i pogroziłem nią Wiremanowi. - Daj mi słowo honoru.

- Dobrze, Edgar. Co prawda mój honor leży w gruzach, ale mogę na niego przysiąc. Jedno pytanko natury praktycznej: jesteś pewien, że wystarczą ci dwa tylenole? Chcesz iść do siebie na piechotę, plażę... Żebyś nie musiał na koniec wlec nosa po ziemi, jak ten nasz wesoły aligator.

- Dojdę na dwóch nogach.

- I zadzwonisz, jak już będziesz na miejscu.

- Zadzwonię.

Wireman rozłożył ramiona, a ja podszedłem do niego. Uściskał mnie i ucałował w oba policzki.

- Kocham cię, Edgar - oznajmił. - Łebski z ciebie chłop. *Sano como una manzana*.

- A co to znaczy? Wzruszył ramionami.

- Chyba „dużo zdrowia”.

Jack podał mi rękę - lewą, bystry dzieciak - ale potem doszedł do wniosku, że jednak też może mnie uściskać. Ściskając, szepnął mi do ucha:

- Zostaw tę latarkę, szefie.

- Nie mogę - odszepnąłem. - Przykro mi.

I ruszyłem ścieżką biegnącą na tyły domu, gdzie zaczynał się drewniany podest prowadzący na plażę. A tam, gdzie kończył się podest, spotkałem kiedyś - z tysiąc lat temu albo coś około tego - rosłego faceta, którego teraz musiałem opuścić. Siedział wtedy pod pasiastym parasolem. Poczęstował mnie zieloną herbatą z lodem, bardzo orzeźwiająca. „A więc tak oto nadszedł chromy nieznajomy”, powiedział, kiedy się zbliżyłem.

„A tak teraz odchodzi”, dodałem w myślach.

Obejrzałem się za siebie. Obaj odprowadzali mnie wzrokiem.

- *Muchacho!* - zawołał Wireman.

Myślałem, że chce poprosić, żebym poczekał, wrócił, żebyśmy pomyśleli nad tym jeszcze trochę, obgadali wszystko od nowa. Nie doceniłem go, jak się okazało.

- *Vaya con Dios, mi hombre.*

Pomachałem mu ostatni raz i skręciłem za narożnik *El Palacio*.

III

Tak rozpoczęła się ostatnia z moich Wielkich Wędrówek Brzegiem Morza, tak samo niemrawa i dotkliwa jak pierwsze przechadzki po usłanej muszlami plaży. Z tym że wtedy świeciły mi pierwsze różane promienie świtu, a cały świat cichł w godzinie najwyższego, niezmaconego spokoju; wszystko zamierało w bezruchu, a poruszały się tylko fale głaszczące brzeg i brunatne chmary uciekających przede mną ćwierków. Tym razem sceneria wyglądała zgoła inaczej. Tej nocy wyl wiatr, a morze szalało, ginąc co chwilę samobójczą śmiercią w czołowym zderzeniu z brzegiem. Gdzieś daleko piętrzyły się grzywacze malowane chromem, a kilka razy zdawało mi się, że widzę kątem oka statek o nazwie „Perse”, ale kiedy się odwracałem, nie było tam nic. Tej nocy mój wycinek zatoki, nie licząc blasku księżyca, był pusty.

Kuśtykałem przed siebie, ściskając w dłoni latarkę. Przed oczami miałem ten dzień, kiedy spacerowałem tędy razem z Ilse. Zapytała mnie wtedy, czy to jest najpiękniejsze miejsce na ziemi, a ja zapewniłem ją, że nie, że są co najmniej trzy piękniejsze.... ale teraz nie umiałem sobie przypomnieć, co to były za miejsca, pamiętałem jedynie, że wszystkie miały trudne do wymówienia nazwy. A najlepiej ze wszystkiego pamiętałem, jak powiedziała mi: zasłużyłeś sobie, żeby zamieszkać w pięknym miejscu, zasłużyłeś na odpoczynek. Czas odpocząć i zacząć się leczyć.

Wtedy z oczu popłynęły mi łzy. Nie próbowałem ich powstrzymywać. W dłoni, którą mógłbym otrzeć oczy, trzymałem latarkę, więc po prostu pozwalałem łzom płynąć.

IV

Zanim jeszcze zobaczyłem Wielki Koral, najpierw go usłyszałem. Muszle pod podłogą jeszcze nigdy przedtem nie robiły tyle hałasu. Kilka kroków dalej przystanąłem. Dom był na wprost przede mną, czarna sylweta wymazująca z nieba gwiazdy. Kolejnych

czterdzieści czy pięćdziesiąt złotych, koślawych kroków - i blask księżycy wypełnił kontur szczegółami. Wszystkie światła zgaszone, nawet te w kuchni i pokoju „Floryda”, które prawie zawsze zostawiałem na noc. Nie można było wykluczyć, że to wichura zerwała kable i odcięła prąd, ale coś mi mówiło, że nie tym razem.

Uświadomiłem sobie nagle, że rozpoznaję głos, którym mówiły muszle. I nic dziwnego; to był mój własny głos. Czy zawsze o tym wiedziałem? Chyba tak. Każdy człowiek, jeśli tylko nie jest obłąkany, potrafi na pewnym poziomie świadomości rozpoznać różne głosy, którymi przemawia jego wyobraźnia.

A także, rzecz jasna, jego wspomnienia. One również potrafią mówić. Zapytajcie kogoś, komu amputowano rękę, nogę lub inną kończynę, kto stracił dziecko albo zaprzepaścił coś, o czym marzył przez całe lata. Zapytajcie kogoś, kogo dręczą wyrzuty sumienia z powodu błędnej decyzji, podjętej zazwyczaj w pośpiechu (który najczęściej ma kolor czerwony). Nasze wspomnienia także mają głosy. Czasami podnoszą smutną wrzawę, niczym uniesione ręce, pomstujące w ciemności.

Szedłem przed siebie, pozostawiając odcisk jednej zdrowej stopy i jednej niepełnosprawnej, ciągniętej z wysiłkiem. Zaciemniony kadłub Wielkiego Korala zbliżał się coraz bardziej. Nie była to ruina, tak jak pierwsze Czaple Siedlisko, ale tej nocy nawiedzony dom przeniósł się właśnie tutaj. Tej nocy to tu czaił się duch. A może nawet coś nieco bardziej materialnego.

Uderzony nagłym porywem wiatru, odwróciłem głowę w lewo, skąd przyszedł ten podmuch. Zobaczyłem statek - o tak, był tam, ciemny i milczący, stał, łopocząc podartymi żaglami, które targał wicher. Czekał.

Równie dobrze możesz teraz odejść, powiedziały muszle, kiedy zatrzymałem się na plaży zalanej księżycowym blaskiem, niecałe dwadzieścia metrów od domu. *Zapomnij o tym, co było - to da się zrobić, nikt nie wie o tym lepiej od ciebie - i po prostu odpłyn.* *Pozostaw ten smutek za sobą. Zapłać, żeby wejść do gry. A wiesz, co w tym wszystkim jest najlepsze?*

- Najlepsze jest to, że nie muszę płynąć sam - odpowiedziałem.

Zerwał się wicher. Głosy muszli wybuchły nagłym zgiełkiem. A z mroku pod podłogą domu, tam, gdzie to chrobotliwe złoże miało blisko dwa metry głębokości, oddzielił się jeszcze czarniejszy cień, wstępując w rozlewisko księżycowego światła. Przez chwilę stał zgarbiony, jakby się zastanawiał, a potem ruszył w moją stronę.

A właściwie ruszyła. Bo to była ona. Nie, nie Perse; Perse, utopiona w słodkiej wodzie, pogrążyła się we śnie.

To była Ilse.

V

Nie szła; nie oczekiwałem, że da radę stawiać kroki. Wlokła się nieskładnie, pełzła. To był zresztą cud - mroczny cud - że w ogóle mogła się poruszać.

Po ostatnim telefonie do Pam (rozmową raczej tego nazwać nie można) wyszedłem z Wielkiego Korala tylnymi drzwiami. Złamałem miotłę, która służyła mi do zmiatania piasku ze ścieżki biegnącej do skrzynki na listy. Potem zszedłem na plażę, tam gdzie piach był mokry i lśniący. Co było dalej - nie pamiętałem, bo nie chciałem tego pamiętać. Nic dziwnego. Ale teraz przypomniałem sobie. Musiałem, bo oto stanęło przede mną moje własne dzieło. To była Ilse, a jednocześnie nie ona. Jej twarz pojawiała się i zaraz zacierała. Sylwetka, przez chwilę wyraźna, natychmiast traciła kształt, aby znów okrzepnąć w trwałej formie. Z policzków, klatki piersiowej, bioder i ud przy każdym poruszeniu opadały drobiny uschłych unioli i pokruszonych muszli. Nagle światło księżyca wyłowiło z twarzy oko, a mnie rozdarło się serce, bo rozpoznałem w tym oku ją, to było jej oko. Potem zniknęło i po chwili znów się pojawiło, lśniąc w blasku księżyca.

Ta Ilse, która wlokła się w moim kierunku, miała ciało z piasku.

- Tatuś - powiedziała. Jej głos był suchy, chrzęszczący, jakby gdzieś wewnątrz były muszle. I chyba rzeczywiście były. Będziesz tego pragnął, ale ci nie wolno”, powiedziała Elizabeth... ale czasami człowiek nie może się powstrzymać.

Dziewczyna z piasku wyciągnęła rękę. Podmuch wiatru zamazał jej dłoń, zdmuchując drobne ziarenka, tak że palce stały się cienkie jak kości. Piasek, na którym stała, zakotłował się i poderwał do góry, wydając cienki pisk - i dłoń z powrotem nabrała krągłości. Rysy twarzy zmieniały się niczym krajobraz pod szybko płynącymi chmurami w słoneczny letni dzień. To był fascynujący widok... hipnotyczny.

- Daj mi tę latarkę - powiedziała - a potem razem wejdziemy na pokład. Na statku mogę być taka, jaką mnie pamiętasz. Ale jeśli chcesz... nie musisz pamiętać niczego.

Fale szły szeregiem ku brzegowi. Pod rozgwieżdżonym niebem jedna za drugą biły o niego niczym młoty, rycząc, aż się rozlegało. Maszerowały w blasku księżyca. Pod podłogą Wielkiego Korala muszle rozprawiły donośnym głosem, moim głosem, który zdawał się wadzić z sobą samym. Przynieś sobie zdechlaka. Wygram ja. Sadzaj na chuchro. Wygrasz ty. A przede mną stała Ilse o ciele utoczonym z piasku, zmiennokształtna hurysa obsypana światłem księżyca w trzeciej kwadrze. Patrzyłem na jej twarz, co sekundę inną, i widziałem Illy - dziewięciolatkę; piętnastolatkę wychodzącą z domu na swoją pierwszą prawdziwą randkę; Illy z grudnia zeszłego roku, na lotnisku, zaraz po przylocie, studentkę z

pierścionkiem zaręczynowym na palcu. Stała przede mną taka, jaką zawsze najbardziej kochałem - czy to nie dlatego właśnie Perse ją zabiła? - wyciągając dłoń po latarkę. Ta latarka była moim biletem na długi rejs po morzach zapomnienia. Rzecz jasna, to akurat mogło być kłamstwo... ale czasami trzeba zaryzykować. A najczęściej nie cofamy się przed ryzykiem. Człowiek, jak mawia Wireman, oszukuje siebie tak często, że gdyby mu za to płacili, to mógłby się spokojnie utrzymać.

- Mary przywiozła ze sobą sól - odezwałem się. - Kilogramy soli. Wszystko wsypała do wanny. Policja chce wiedzieć po co. Ale nawet gdyby poznali prawdę, to i tak by nie uwierzyli, nie sądzisz?

Stała przede mną, a za jej plecami fale łomotały o brzeg. Stała, a wiatr rozdmuchiwał jej kształty, które na powrót rysowały się same z piasku, który ją otaczał. Stała w milczeniu, wyciągając tylko dłoń, aby zabrać to, po co tutaj przyszła.

- Nie wystarczyło, że narysowałem cię na piasku. Nie wystarczyło nawet to, że Mary cię utopiła. Musiałaś utonąć w słonej wodzie. - Zerknąłem na latarkę. - Perse dokładnie jej wytłumaczyła, co trzeba zrobić. Przemówiła do niej z mojego obrazu.

- Daj mi to, tatusiu - powiedziała zmiennokształtna dziewczyna z piasku, nawet na chwilę nie opuszczając wyciągniętej ręki. Ręki, która, szarpana porywami wiatru, chwilami była szponiastą łapą. Nie pomagał nawet piasek, bez przerwy czerpany z plaży, aby podtrzymać zaokrąglone kształty; chwilami ta ręka była szponiastą łapą. - Daj mi to i chodźmy.

Westchnąłem. Pewnych rzeczy jednak nie sposób uniknąć.

- W porządku. - Zbliżyłem się do niej o krok, przypominając sobie kolejne powiedzonko Wiremana: każde zmartwienie w końcu się zużywa. - W porządku, Kruszyńko. Ale zapłacisz mi za to.

- Czym? - Jej głos był jak tarcie szklanej tafli piaskiem. Jak chrzęst muszli przesypywanych przez fale. Ale był to również głos Ilse. Mojej Nimfy.

- Jednym buziakiem - odpowiedziałem. - Dopóki jeszcze żyję i mogę go poczuć. - Uśmiechnąłem się. Nie czułem warg, bo były kompletnie drętwe, ale mięśnie dookoła ust rozciągnęły się. Odrobinę. - To pewnie będzie piaszczysty buziak, ale mogę udawać, że bawiłaś się na plaży. Że budowałaś zamki na piasku.

- Dobrze, tatusiu.

Zbliżyła się do mnie niezdarnymi szarpnięciami, które nie miały nic wspólnego z ludzkim sposobem chodzenia, a gdy podeszła, miraż rozwiął się już kompletnie. Podobne wrażenie ma się, unosząc obraz do oczu i obserwując, jak namalowany obiekt - czy to portret,

czy pejzaż, czy martwa natura - rozpada się na kolorowe maźnięcia, na których widać jeszcze nawet odcisnięte ślady pędzla. Twarz Ilse zniknęła, a na jej miejscu widziałem już tylko rozszalały cyklon, obracający piachem i maleńkimi odpryskami pogruchotanych muszli. Zapach, który poczułem, nie był zapachem skóry i włosów; tak pachnie słona woda.

Blade ramiona wyciągnęły się po mnie. Wicher cienkimi błonami zrywał z nich kolejne warstwy piasku, przejrzyste w świetle księżyca. Uniosłem wyżej trzymaną w dłoni latarkę. Była krótka, a obudowę miała z plastiku zamiast z nierdzewnej stali.

- Zanim zaczniesz rozdawać buziaki, lepiej przyjrzyj się tej latarce - powiedziałem. - Jack Cantori woził ją w samochodzie, w schowku na rękawiczki. Tę, w której zamknięta jest Perse, schowałem w sejfie Elizabeth.

Stwór zamarł w absolutnym bezruchu i w tym momencie wiatr wiejący znad zatoki odarł go z resztek pozorowanego człowieczeństwa. W tym momencie stał przede mną już tylko demon z piasku, ogarnięty wściekłą zamiecią. Ale ja tym razem nie ryzykowałem w żaden sposób; to był dla mnie długi dzień i nie zamierzałem już kusić losu, zwłaszcza jeśli moja córka była... powiedzmy, że gdzieś indziej i wyczekiwała chwili, gdy będzie mogła spocząć w pokoju. Ścisnąwszy latarkę w dłoni, wzięłem najmocniejszy zamach, na jaki było mnie stać, a srebrne bransoletki niani Meldy zjechały mi z przedramienia na nadgarstek, po-brzękując dźwięcznie, bo zanim wyszedłem z *El Palacio*, wyczyściłem je starannie pod kranem w kuchni.

Za paskiem, przesunięty do tyłu, żeby nie było go widać, miałem zatknięty jeden harpun ze srebrnym grotem, tak na dokładkę. Nie był potrzebny. Demon z piasku eksplodował, tryskając sypkimi fontannami w górę i na boki. Wrzask wściekłości i bólu przeszył mi uszy. Dzięki Bogu, że trwał krótko, bo jeszcze trochę i chyba rozerwałby mnie na strzępy. A potem zapadła cisza, przerywana jedynie szemraniem muszli pod podłogą Wielkiego Korala, i wszystko zniknęło - tylko po mojej prawej stronie ostatni tuman niesionego wiatrem piasku przyćmił na krótki moment blask gwiazd nad wydrami. Zatoka na powrót opustoszała; jak okiem sięgnąć, nie było tam nic oprócz grzywaczy maszerujących szeregami w kierunku brzegu. Statek o nazwie „Perse” przepadł, jakby go nigdy nie było.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Z głuchym łomotem usiadłem ciężko na piasku, myśląc, że być może faktycznie na koniec przyjdzie mi wlec nos po ziemi, jak ten nasz wesoły aligator. Cóż, jeśli nawet, to do domu nie było już daleko. Na razie jednak miałem ochotę posiedzieć sobie na plaży i posłuchać głosu muszli. Odpocząć odrobinę. Jak już odpocznę, to może dam radę wstać, przejść te dwadzieścia metrów, wejść do domu i zadzwonić do Wiremana. Powiedzieć mu, że nic mi się nie stało. Że już po wszystkim i że

Jack może po mnie przyjechać.

Na razie jednak miałem ochotę posiedzieć sobie na plaży i posłuchać muszli, które przestały już mówić moim głosem; teraz nie był to niczyj głos. Chciałem posiedzieć sobie na piasku, sam ze sobą, i popatrzeć na zatokę, wspominając swoją córkę, Ilse Marie Freemantle, która po urodzeniu ważyła dwa tysiące osiemset trzydzieści trzy gramy, której pierwsze w życiu słowo brzmiało „piesiek” i która kiedyś przyniosła do domu kartkę z bloku rysunkowego, a na niej wielki brązowy balon, i zawołała w radosnym uniesieniu: „Tatusiu, wykredkowałam cię na obrazku!”.

Ilse Marie Freemantle.

Pamiętam ją dobrze.

I

Na środku jeziora Phalen zgasilem silnik łodzi. Fala niosła nas w kierunku małej pomarańczowej boi, którą sam postawiłem. Po lustrze wody śmigało w tę i z powrotem kilka motorówek, ale nigdzie nie dostrzegłam choćby jednego żagla; dzień był idealnie bezwietrzny. Na brzegu gromadka dzieci ganiała po placu zabaw. Nieopodal, na specjalnej polance, jacyś ludzie urządzili sobie piknik, a po biegnącym tuż nad samą wodą szlaku turystycznym maszerowała grupa wycieczkowiczów. Rzec by można, że okolica była niemalże wyludniona - jak na jezioro położone, bądź co bądź, w granicach aglomeracji miejskiej.

Wireman - który w wędkarskim kapeluszu i swetrze z emblematem Minnesota Vikings kompletnie zatracił swój styl à la Floryda - zagadnął mnie o to.

- Szkoła się jeszcze nie skończyła - wyjaśniłem. - Za parę tygodni zaroi się tutaj od łodzi.

To go najwidoczniej zaniepokoiło.

- W takim razie czy to na pewno jest dla niej bezpieczne miejsce, *muchacho*? A jeśli zapłacze się w sieci jakiemuś rybakowi...

- Na jeziorze Phalen obowiązuje zakaz łowienia siecią - poinformowałem go. - Wędkarzy też przyjeżdża tu niewielu. To jest akwen głównie dla miłośników motorówek. I dla amatorów kąpieli, ale to bliżej brzegu. - Pochyliłem się, podnosząc z dna łodzi srebrny cylinder, wykonany na zamówienie przez rzemieślnika z Sarasoty. Długi prawie na metr, był zaopatrzony w zakręcane wieczko i napełniony słodką wodą. Wewnątrz, zanurzona w tej wodzie, spoczywała latarka. Perse znalazła się za dwoma zasłonami ciemności; spała, zamknięta w podwójnym sarkofagu podwójnie pełnym słodkiej wody. A wkrótce miała ją skryć jeszcze większa głębina.

- Piękny jest - powiedziałem, przyglądając się dziełu złotnika z Sarasoty.

- Prawda - zgodził się Wireman, goniąc wzrokiem refleksy popołudniowego słońca,

które płuły na lśniąco gładkiej powierzchni cylindra, kiedy obracałem go w dłoni. - I nie ma ani jednego zadziuru, o który mógłby zaczepić się haczyk na ryby. Ale i tak wolałbym utopić go w innym jeziorze, gdzieś na granicy z Kanadą.

- Właśnie w takich jeziorach łowi się ryby siecią włokową - zwróciłem mu uwagę. - Najciemniej jest pod latarnią. To nie najgorsza taktyka.

Tuż obok nas przemknęła sportowa motorówka. Siedziały w niej trzy młode kobiety. Pomachały nam wesoło, a jedna zawołała: „Kochamy ładnych chłopców!”, co wywołało gremialną burzę wesołości.

Wireman zasalutował im z uśmiechem, po czym wróciliśmy do rozmowy.

- Głęboko tutaj? - zapytał. - Wiesz czy nie wiesz? Ta pomarańczowa flaga podpowiada mi, że raczej wiesz.

- Wiem i powiem. Zebrałem trochę informacji na temat jeziora Phalen. Mogłem to zrobić już bardzo dawno temu, bo ten dom przy Aster Lane ja i Pani kupiliśmy dwadzieścia pięć lat temu. No więc przeciętna głębokość akwenu wynosi dwadzieścia osiem metrów... z wyjątkiem tego miejsca, gdzie teraz jesteśmy. Bo tutaj w dnie jeziora znajduje się szczelina.

Wireman odprężył się zauważalnie i zsunął lekko kapelusz na tył głowy.

- Ach, Edgarze - westchnął. - Wireman chyli czoła. Wciąż jesteś sprytny jak *el zono*. Jak lis.

- Może *si*, może *no*. W każdym razie pod tą pomarańczową flagą jest sto szesnaście metrów wody. Minimum. To zdecydowanie lepsza opcja niż trzyipółmetrowy zbiornik na wodę wydłubany w koralowej skale gdzieś na skraju Zatoki Meksykańskiej.

- Amen.

- Dobrze wyglądasz, Wireman. Jesteś wypoczęty.

Wzruszył ramionami.

- Jak latać, to tylko gulfstreamem. Nie stoisz w kolejkach do ochrony lotniska, nikt nie grzebie ci w bagażu podręcznym i nie sprawdza, czy ta puszczone pianki do golenia to przypadkiem nie bomba. No i raz w życiu udało mi się dostać na północ bez międzylądowania w zasranej Atlancie. Dzięki... chociaż coś mi się zdaje, że mnie też już stać na tę przyjemność.

- Czyli rozumiem, że dogadałeś się z krewnymi Elizabeth?

- Dobrze rozumiesz. Posłuchałem twojej rady. Zaproponowałem im dom i całą północną część wyspy w zamian za gotówkę i papiery wartościowe. Im się wydawało, że złapali Pana Boga za nogi. Słyszałem, jak ich prawnicy myślą tak: „Ten Wireman to niby adwokat, a nie potrafi się zakręcić koło własnego interesu”.

- Coś mi mówi, że płynie dziś ze mną drugi *zorro*.

- Wartość wszystkich moich środków płynnych wyniesie w ostatecznym rozrachunku ponad osiemdziesiąt milionów dolarów. Zastrzegłem też sobie prawo do zabrania z domu różnych pamiątek. Z blaszanym pudełkiem panny Eastlake włącznie. Wiesz, tym po ciasteczkach Sweet Owen. Myślisz, że ona chciała mi w ten sposób coś przekazać, „*chacho*”?

Stała mi przed oczami Elizabeth, chowająca różne porcelanowe figurki do blaszanego pudełka i wymuszająca na Wiremanie, żeby wrzucił je do sadzawki. Oczywiście, że próbowała mu w ten sposób coś przekazać.

- Rodzinka dostała północną część Dumy - ciągnął dalej Wireman. - Po zagospodarowaniu wartość tej nieruchomości może wynieść... Bóg wie ile. Dziewięćdziesiąt milionów?

- Tak przynajmniej im się wydaje.

- Właśnie. - Sposepniał nagle. - Tak im się wydaje.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie Wireman wyjął mi z ręki cylindryczny pojemnik. W gładkiej ścianie odbiła się moja twarz, zniekształcona krzywizną. Nie przeszkadzała mi ta deformacja, ale faktem jest, że przestałem spoglądać w lustro; robię to niezmiernie rzadko. Nie dlatego, że się zestarzałem, po prostu nie mam ochoty patrzeć w oczy tego faceta, który nazywa się Freemantle. Zbyt wiele widziały.

- Co u twojej żony i córki?

- Pam wyjechała do matki, do Kalifornii. Melinda wróciła do Francji. Po pogrzebie Illy przez jakiś czas mieszkała u Pam, ale w końcu wróciła. Tak chyba było dla niej najlepiej. Radzi sobie.

- A ty, Edgar? Też sobie radzisz?

- Nie wiem. To chyba Scott Fitzgerald powiedział, że w amerykańskim życiu nie ma drugich aktów?

- Tak, to on powiedział, ale był wtedy skończonym pijaczyną. - Wireman odstawił cylinder na dno łodzi i pochylił się ku mnie. - Posłuchaj, Edgar. Posłuchaj mnie uważnie. Życie ma pięć aktów, i to nie tylko w Ameryce. Każde spełnione życie ma pięć aktów, tak samo jak każda sztuka Szekspira, nieważne, tragedia czy komedia. Bo z tego właśnie składa się nasze życie - z komedii i tragedii.

- Mnie ostatnio raczej nie jest do śmiechu - zauważyłem.

- To prawda - zgodził się - ale akt trzeci to akt perspektyw. Ja, na przykład, zamieszkałem w Meksyku. Mówiłem ci o tym, nie? W górach, w prześlicznym miasteczku o nazwie Tamazunchale.

Spróbowałem to powtórzyć.

- Wireman widzi, że to słowo przypadło ci do gustu. Spodobało ci się, jak toczy się po języku.

Uśmiechnąłem się.

- Ma miłe brzmienie, przyznaję.

- Jest tam jeden podupadły hotelik. Wystawili go na sprzedaż, a ja zastanawiam się nad tym, czyby go nie kupić. Taki interes, zanim zaczniesz mi się opłacać, przez trzy lata będzie przynosił same straty, ale ja mam teraz forsy jak lodu. Jednakowoż przydałby mi się wspólnik, który ma jakieś pojęcie o budownictwie i konserwacji budynków. Oczywiście, jeśli w dalszym ciągu pociąga cię sztuka.

- Chyba orientujesz się na tyle, że nie musisz o to pytać.

- No więc co ty na to? Połączmy swe losy.

- Simon i Garfunkel, rok sześćdziesiąty dziewiąty - rozpoznałem cytat. - Albo coś koło tego. Nie wiem, Wireman. Teraz nie mogę podjąć takiej decyzji. Został mi jeszcze jeden obraz do namalowania.

- W rzeczy samej. A powiedz mi, to będzie duży sztorm?

- Nie wiem. Ale w Kanale 6 wszyscy będą zachwyceni.

- Tylko musisz porządnie ostrzec ludzi. Zniszczenia - w porządku, ale nikt nie może zginąć.

- Nikt nie zginie - przytaknąłem, mając tylko nadzieję, że będzie to możliwe, bo moja fantomowa prawa ręka, spuszczonej ze smyczy, mogła zrobić praktycznie wszystko. Dlatego właśnie moja druga kariera musiała się zakończyć. Postanowiłem jednak, że ten ostatni obraz musi powstać, ponieważ chciałem się zemścić do końca. I nie tylko ze względu na Illy; chodziło mi także o inne ofiary Perse.

- Masz wiadomości od Jacka? - zapytał Wireman.

- Mniej więcej raz w tygodniu. Na jesieni idzie na uniwersytet w Tallahassee. Ja płacę. A jeszcze przed studiami przeprowadza się z mamą do Port Charlotte.

- Za to też płacisz?

- Prawdę mówiąc... tak.

Ojciec Jacka zmarł na chorobę Crohna; od tego czasu dla niego i jego matki zrobiło się w życiu mocno pod górkę.

- I sam wymyśliłeś im tę przeprowadzkę? - indagował dalej Wireman.

- Znowu zgadłeś.

- Więc twój sztorm nie dojdzie tak daleko na południe. W Port Charlotte będzie

bezpiecznie.

- Tak mi się wydaje.
- A na północy? W Tampie?
- Najwyżej deszcze. To ma być nieduży sztorm. Nieduży, ale zdrowy.
- Mały i precyzyjny, jak Alice w dwudziestym siódmym.
- Otóż to.

Siedzieliśmy w milczeniu, spoglądając na siebie. Znow minęły nas dziewczyny w motorówce; tym razem śmiały się głośnie i wymachiwały do nas bardziej ochotczo niż poprzednio. O, wdzięczny ptaku młodości, upojony popołudniowymi drinkami. Zasalutowaliśmy im wspólnie.

A kiedy sobie popłynęły, Wireman zapytał mnie:

- Krewni panny Eastlake nie będą musieli się martwić załatwianiem pozwoleń budowlanych dla swojej nowej działki, prawda?

- Raczej nie. Nie wydaje mi się.

Zastanowił się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Dobrze. Poślij całą tę wyspę na dno. Nie mam nic przeciwko. - Wziął w ręce srebrny cylinder, rozejrzał się za małą pomarańczową flagą unoszącą się nad szczeliną, która biegła środkiem jeziora Phalen, a potem spojrzał z powrotem na mnie.

- Masz jakieś ostatnie słowa, *muchacho*?

- Mam - przytaknąłem - ale niewiele.

- To przygotuj je sobie.

Wireman ukląkł na dnie łodzi, wystawiając srebrny cylinder za burtę. Słońce przejrzało się w lśniącej powłoce - miałem szczerą nadzieję, że po raz ostatni na co najmniej tysiąc lat. Coś mi jednak mówiło, że sztukę wydobywania się na powierzchnię Perse ma opanowaną do perfekcji. Że to nie był jej pierwszy raz i na pewno nie będzie ostatni. Nawet tutaj, w Minnesocie, będzie umiała znaleźć drogę, która prowadzi do *caldo*.

Wypowiedziałem słowa, które ułożyłem sobie w myślach:

- Śpij i nie przebudź się już nigdy.

Wireman otworzył dłonie. Woda plusnęła cicho. Wychyliliśmy się za burtę, patrząc, jak srebrny cylinder pogrąża się płynnie i znika nam z oczu, raz jeszcze dając znać o sobie ostatnim refleksem słonecznego światła.

II

Wireman został u mnie na noc, potem na cały dzień i znów na noc. Jedliśmy krwiste steki, po południu popijaliśmy zieloną herbatę i gadaliśmy o wszystkim, byle tylko nie o tym, co było. Wreszcie odwiozłem go na lotnisko. Kupił bilet do Houston; stamtąd miał zamiar jechać dalej na południe samochodem. Wynajmę sobie cztery kółka i zobaczę trochę świata, powiedział.

Chciałem z nim iść aż do odprawy u ochrony, ale odmówił.

- Źle by było, gdybyś musiał oglądać, jak Wireman zdejmuje buty przed jakimś szczeniakiem po szkole handlowej - oznajmił. - Tutaj powiemy sobie *adiós*, Edgar.

- Wireman... - zacząłem, ale nie mogłem wykrztusić nic więcej. Łzy zalały mi gardło.

Przygarnął mnie do siebie i ucałował mocno w oba policzki.

- Posłuchaj mnie, Edgar. Już czas zacząć akt trzeci. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Przyjedź do Meksyku, kiedy uznasz, że jesteś gotowy. I że tego chcesz.

- Zastanowię się.

- Koniecznie. *Con Dios, mi amigo. Siempre con Dios**.

- Nawzajem, Wireman. Nawzajem.

Patrzyłem za nim; szedł niespiesznym krokiem, a z ramienia zwisała mu płócienna torba. Nagle usłyszałem w myślach jego okrzyk, wspomnienie tamtej nocy w Wielkim Koralu, kiedy napadł na mnie Emery. „*Cojudo deputa madre!*”, krzyknął wtedy Wireman i wyrznął truposza lichtarzem prosto w twarz. Był wspaniały. Zapragnąłem, żeby obejrzał się jeszcze jeden ostatni raz... i faktycznie, przystanął i odwrócił głowę. Usłyszał twoją myśl, powiedziałaaby moja matka. Albo miał przeczucie, dodałaby niania Melda.

Zobaczył, że cały czas stoję tam, gdzie stałem. Uśmiechnął się szeroko.

- Żyj dniem, Edgar! - zawołał, aż wystraszeni ludzie zaczęli się oglądać.

- I bierz, co przyniesie! - odkrzyknąłem.

Zasalutował mi, śmiejąc się serdecznie, a potem zniknął w rękawie prowadzącym do drzwi samolotu. Nie muszę chyba mówić, że wybrałem się w końcu do jego miasteczka, ale choć Wireman jest dla mnie wiecznie żywy w swoich powiedzonkach - zawsze cytuję go w czasie terazniejszym - to nie spotkaliśmy się już nigdy więcej. Umarł dwa miesiące później, na zawał serca, pod gołym niebem na bazarze w Tamazunchale, podczas targów o cenę świeżych pomidorów. Myślałem, że mam czas, że zdążę, ale przecież tak zawsze się myśli,

* *Siempre con Dios* (hiszp.) - zawsze z Bogiem (przyp. tłum.).

prawda? Człowiek oszukuje siebie tak często, że gdyby mu za to płacili, to mógłby się spokojnie utrzymać.

III

W domu przy Aster Lane moje sztalugi stały w salonie, gdzie było dobre światło. Rama z płótnem - zakryta kawałkiem tkaniny. Obok ramy - stół, a na nim moje oleje i kilka zdjęć lotniczych wyspy Duma Key. Nie patrzyłem na nie jednak prawie wcale; widziałem Dumę w snach, tak jak widuję ją do tej pory.

Ściągnąłem przykrycie i cisnąłem je na kanapę. Na pierwszym planie mojego ostatniego obrazu stał Wielki Koral, odmalowany tak realistycznie, że niemalże słychać było, jak każda nadchodząca fala budzi chrobotliwe głosy muszli.

Pod jednym z pali, na których wspierał się dom, siedziały obok siebie (był to element idealnie surrealistyczny) dwie rudowłose lalki, oparte o niego plecami: po lewej Reba, a po prawej - Fancy, ta sama, którą Kamen przywiózł z Minnesoty na Florydę. Ta, którą wymyśliła dla mnie Illy. Zatoce, podczas mojego pobytu na Dumie zazwyczaj tak błękitnej, dałem kolor zmatowiałej, złowieszczej zieleni. Niebo zasnuwały czarne chmury; gromadziły się w górnej części obrazu, wychodząc poza jego ramy.

W prawej ręce odezwało się swędzenie. Tamto zapamiętane poczucie siły napełniło mnie po brzegi, a następnie się przelało. Patrzyłem na mój obraz niemalże okiem boga... bądź też bogini. Mogłem z tego zrezygnować, ale wiedziałem, że przyjdzie mi to z wielką trudnością.

Kiedy malowałem, przepelniała mnie miłość do całego świata.

Kiedy malowałem, czułem, że niczego mi nie brakuje.

Przez chwilę wodziłem pędzlem po płótnie, aż wreszcie go odłożyłem. Zmieszawszy brąz i żółć kantem dłoni, przesunąłem ręką po namalowanej plaży... lekko, delikatnie... i przejrzysty obłoczek piasku wzleciał do góry, jakby porwany pierwszym niepewnym poruszeniem powietrza.

Na wyspie Duma Key, pod czarnym niebem zwiastującym nadchodzącą czerwcową burzę, zerwał się wiatr.

JAK POWSTAJE OBRAZ (XII)

Nie przeocz momentu, gdy twoja praca dobiegnie końca. Kiedy to nastąpi, odłóż ołówek czy też pędzel. Reszta to już tylko życie.

luty 2006 - czerwiec 2007

PO ZASTANOWIENIU

Geografię zachodniego wybrzeża Florydy opisałem z pewną dowolnością, na którą pozwoliłem sobie również w odniesieniu do historii tych terenów. Dave Davis, choć jest postacią autentyczną i faktycznie zaginął bez wieści, to na tych kartach pojawia się w charakterze bohatera czysto literackiego.

A ja jestem jedynym mieszkańcem Florydy, który nazywa pozasezonowe huragany imieniem Alice.

Chcę podziękować swojej żonie, Tabicie King, pisarce, która przeczytała niniejszą powieść w jednej z jej wczesnych wersji, podsuwając mi wiele cennych modyfikacji; blaszane pudełko po ciasteczkach Sweet Owen to tylko jeden z jej pomysłów.

Dziękuję Russowi Dorrowi, staremu przyjacielowi parającemu się zawodowo medycyną, który cierpliwie wyjaśniał mi, co to jest pole Broca i na czym polega mechanika obrażeń z przeciwwagi.

Składam także wyrazy wdzięczności Chuckowi Verrillovi, który zredagował ten tekst, łącząc w zwykły sobie sposób wycucie z bezwzględnością.

Teddy'emu Rosenbaumowi, mojemu przyjacielowi i adiustatorowi: *muchas gracias*.

Jak również Tobie, Notoryczny Czytelniku, wierny mój przyjacielu; zawsze Tobie.

Stephen King
Bangor, Maine